David Herbert Lawrence

ZAKOCHANE KOBIETY

David Herbert Lawrence

ZAKOCHANE KOBIETY

Konwersja: Nexto Digital Services

Spis treści

ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI
ROZDZIAŁ XVII
ROZDZIAŁ XVIII
ROZDZIAŁ XIX
ROZDZIAŁ XX
ROZDZIAŁ XXI
ROZDZIAŁ XXII
ROZDZIAŁ XXIII
ROZDZIAŁ XXIV
ROZDZIAŁ XXV
ROZDZIAŁ XXVI
ROZDZIAŁ XXVII
ROZDZIAŁ XXVIII
ROZDZIAŁ XXIX
Rozdział XXX
ROZDZIAŁ XXXI

ZAKOCHANE KOBIETY

Lawrence David Herbert

ROZDZIAŁ I

SIOSTRY

Pewnego ranka Ursula i Gudrun BrangWen siedziały we wnęce okiennej ojcowskiego domu w Beldover, zajęte pracą i rozmową. Ursula wyszywała barwny haft, Gudrun rysowała na desce wspartej o kolano. Odzywały się do siebie tylko wtedy, gdy im coś przyszło na myśl.

— Ursulo — powiedziała Gudrun — czy ty naprawdę nie chcesz wyjść za mąż?

Ursula odłożyła na kolana haft i spojrzała na siostrę. Jej twarz była spokojna i zamyślona.

— Nie wiem. Zależy, co przez to rozumiesz.

Gudrun, trochę zdziwiona, przyglądała się siostrze przez chwilę. —Cóż — rzekła ironicznie — to zwykle oznacza tylko jedno. Czy nie sądzisz, że byłabyś — spochmurniała lekko — w lepszej sytuacji niż teraz? Po twarzy Ursuli przemknął cień.

— Być może. Ale nie jestem pewna.

Gudrun zamilkła, nieco zirytowana. Chciała być dokładna.

— Nie uważasz, że każdy potrzebuje doświadczenia, jakie przynosi małżeństwo? — zapytała.

— Myślisz, że to istotnie jest doświadczenie?

— W jakimś sensie na pewno tak — oświadczyła Gudrun chłodno. — Może i niepożądane, ale niewątpliwie jest to swego rodzaju doświadczenie.

— Niekoniecznie — rzekła Ursula.— Może to być też koniec doświadczeń. Gudrun siedziała bez ruchu, zamyślona.

— Oczywiście — przyznała. — Trzeba i to wziąć pod uwagę.

Rozmowa urwała się. Gudrun prawie ze złością chwyciła gumę i zaczęła wycierać fragment swego rysunku. Ursula pochłonięta była haftem.

— Nie rozważyłabyś nawet ciekawej propozycji? — spytała Gudrun.

— Parę już odrzuciłam.

— Naprawdę? — Gudrun zarumieniła się mocno. — I było wśród nich coś interesującego? Naprawdę to zrobiłaś?

— Tysiąc funtów rocznie i bardzo miły człowiek. Ogromnie go lubiłam.

— No popatrz! I wcale cię nie kusiło?

— Teoretycznie tak, ale nie w praktyce. Kiedy następuje moment decyzji, pokusa znika. Gdyby mnie kusiło, wyszłabym za mąż natychmiast. Ale mnie kusi tylko, żeby nie.

Twarze obu sióstr rozjaśniły się nagle rozbawieniem.

— Czy to nie zadziwiające — zawołała głośno Gudrun — jak silnie kusi, żeby nie? — Roześmiały się, przyglądając się sobie nawzajem. W głębi serca obie czuły lęk.

Nastąpiła dłuższa pauza. Ursula haftowała, Gudrun dalej zajmowała się rysunkiem. Ursula skończyła dwadzieścia sześć, a Gudrun dwadzieścia pięć lat. Były już dojrzałymi kobietami. Obydwie jednak miały chłodny, dziewiczy wygląd

nowoczesnych dziewcząt, sióstr raczej Artemidy niż Hebe. Gudrun była bardzo piękna, miękka, wiotka, o gładkiej skórze. Miała na sobie suknię z ciemnoniebieskiego jedwabiu, z riuszkami z niebieskiej i zielonej koronki przy szyi i mankietach; na nogach trawiaste pończochy. Jej mina, wyrażająca jednocześnie wiarę i niewiarę we własne siły, kontrastowała z pełną nadziei twarzą Ursuli. Prowincjusze, onieśmieleni doskonałą sang froid Gudrun i wyszukaną prostotą jej manier, mówili o niej: „To wytworna kobieta!” Wróciła właśnie z Londynu, gdzie studiując przez kilka lat w szkole sztuk pięknych, wiodła życie malarskich pracowni.

— Liczyłam na to, że teraz pojawi się jakiś mężczyzna — powiedziała Gudrun, przygryzając nagle dolną wargę w dziwnym grymasie ni to rozbawienia, ni to smutku. Ursula się przestraszyła.

— I wróciłaś do domu sądząc, że go tu zastaniesz? — zaśmiała się.

— O, moja droga! — zawołała Gudrun. — Nie zboczyłabym z drogi, żeby go szukać. Ale gdyby nawinął się atrakcyjny osobnik o wystarczających dochodach, no to... — zawiesiła ironicznie głos, po czym przyjrzała się badawczo Ursuli, jakby starała się ją przeniknąć. — Czy nie czujesz, że ogarnia cię nuda? Że nic się nie dzieje? Nic się nie dzieje! Wszystko więdnie, nim się zdąży rozwinąć.

— Co więdnie?

— Och, wszystko dokoła... My same... Wszystko, na cokolwiek spojrzysz. — Zapadła cisza. Obie siostry niejasno zamyśliły się o swoim losie.

— Przeraża mnie to — powiedziała Ursula i znowu przerwała. — Masz nadzieję, że osiągniesz coś wychodząc po prostu za mąż?

— Wygląda na to, że jest to nieunikniony następny krok — rzekła Gudrun. Ursula posmutniała. Sama od paru lat była nauczycielką w szkole w Willey Green.

— Wiem — powiedziała — tak się wydaje. Ale wyobraź to sobie realnie. Wyobraź sobie któregoś ze znanych ci mężczyzn, wyobraź sobie, że wraca co wieczór do domu i całuje cię na powitanie.

Zamilkły.

— Tak — powiedziała Gudrun stłumionym głosem. — To niemożliwe. Przez tego mężczyznę...

— Oczywiście są jeszcze dzieci — dodała Ursula niepewnie. Twarz Gudrun stężała.

— Czy ty naprawdę chcesz mieć dzieci, Ursulo? — spytała chłodno. Ursula zmieszała się.

— Mnie to wciąż jeszcze wydaje się niesłychanie odległe.

— Tak to odczuwasz? Ja w ogóle nic nie czuję na myśl o własnym dziecku. — Patrzyła na siostrę z twarzą jak maska, pozbawioną wyrazu.

Ursula zmarszczyła czoło.

— Bo może to w ogóle nie jest uczucie autentyczne. Może w głębi duszy wcale się dzieci nie pragnie. Tylko powierzchownie...

Gudrun spochmurniała. Nie chciała precyzować swoich myśli.

— Kiedy patrzy się na cudze dzieci... — podjęła Ursula. Gudrun znów spojrzała na siostrę prawie wrogo.

— Właśnie — ucięła rozmowę.

Siostry pracowały w milczeniu. Ursulę zawsze rozświetlał wewnętrzny płomień, tak istotny, choć więziony, tłumiony, ograniczany. Żyła przeważnie sama i dla siebie, pracując, spędzając tak dzień po dniu, ciągle pogrążona w myślach, starająca się zrozumieć życie, uchwycić jego sens. Jej własna aktywność była jakby zawieszona, lecz w głębi, w ciemności, coś się działo. Gdyby tylko udało jej się przedrzeć przez ostatnie warstwy tego mroku! Przecież

próbowała, wyciągała ręce jak płód w łonie matki i nie mogła, nie, jeszcze nie. Ale teraz opanowało ją dziwne uczucie, przeświadczenie, że coś się zdarzy.

Odłożyła haft i spojrzała na siostrę. Uważała, że Gudrun jest czarująca przez swą miękkość, przez wspaniałą, niezrównaną cerę i subtelność rysów. Była w niej również jakaś wesołość, dowcipna i ironiczna, tyle nie tkniętych jeszcze rezerw. Ursula podziwiała ją całą duszą.

— Dlaczego wróciłaś do domu, Prune? spytała.

Gudrun czuła, że jest podziwiana. Oderwała się od rysunku i spojrzała na Ursulę spod ślicznie podwiniętych rzęs.

— Dlaczego wróciłam, Ursulo? — powtórzyła — Sama tysiące razy zadawałam sobie to pytanie.

— I nie wiesz?

— Chyba wiem. Myślę, że mój powrót do domu to po prostu reculer pour mieux sauter. — I obrzuciła Ursulę przeciągłym spojrzeniem kobiety doświadczonej.

— Rozumiem! — zawołała Ursula zmieszana i trochę nienaturalna, jakby właśnie nie rozumiała. — Ale gdzie człowiek może skoczyć?

— To nie ma znaczenia — stwierdziła Gudrun z pewną wyniosłością. — Kiedy skacze się z urwiska, zawsze się gdzieś wyląduje.

— Czy to jednak nie jest zbyt ryzykowne? Drwiący uśmiech pojawił się na twarzy Gudrun.

— Ach — rzekła ze śmiechem — to tylko słowa! — I na tym zakończyła rozmowę. Ale Ursula wciąż nad czymś medytowała.

— I jak się czujesz w domu teraz, po powrocie? — zagadnęła.

Gudrun odczekała parę chwil, po czym sucho i zdecydowanie stwierdziła:

— Całkiem obco.

— A jak z ojcem?

Gudrun spojrzała na Ursulę z urazą, jak człowiek przyciskany do muru.

— Nie myślałam o nim, unikałam tego — rzekła zimno.

— Tak... — niepewnie bąknęła Ursula; i rozmowa ostatecznie się urwała. Siostrom wydało się, że mają przed sobą próżnię, jakby spoglądały z urwiska w straszną przepaść.

Znów przez chwilę pracowały w milczeniu. Policzki Gudrun zarumieniły się pod wpływem tłumionej emocji. Była zła, że widać to po niej.

— Może pójdziemy popatrzeć na ślub? — spytała w końcu przesadnie obojętnym tonem.

— Tak! — zgodziła się z nadmiernym zapałem Ursula i odrzucając haft, zerwała się, jakby chciała przed czymś uciec. Ujawniło to jej napięcie, co zdenerwowało Gudrun i wzbudziło w niej niechęć;

Idąc na górę Ursula była pełni świadoma, że jest u siebie w domu, że otaczają ją znajome sprzęty. Nienawidziła tego ponurego, zbyt dobrze znanego miejsca. I niepokoiła ją głęboka wrogość do rodzinnego domu, do atmosfery i warunków tego staroświeckiego, trybu życia. Własne uczucia ją przerażały.

Niebawem dziewczęta szły szybko główną arterią Beldover, szeroką ulicą, wzdłuż której ciągnęły się sklepy i domy mieszkalne pozbawione charakteru, obskurne, choć niebiedne. W Gudrun, mającej świeżo w pamięci Chelsea i Sussex, amorficzna brzydota małego, górniczego miasteczka budziła dreszcz odrazy. Szła jednak naprzód długą, nudną, piaszczystą ulicą, przez brzydki ciąg pospolitości. Wystawiona na spojrzenia gapiów, doznawała istnych katuszy. Jakież to dziwne, że zdecydowała się na

powrót, na szok wywołany zetknięciem z tą nagą, bezkształtną brzydotą. Dlaczego się na to naraziła? Dlaczego chciała się znowu narazić na nieznośną udrękę kontaktu z brzydkimi, nijakimi ludźmi i zeszpeconą okolicą? Miała wrażenie, że jak chrabąszcz grzebie się w pyle. Przepełniał ją wstręt.

Skręciły z głównej ulicy za czarną plamą publicznego ogrodu, gdzie bezwstydnie sterczały zakopcone głąby kapusty. Nikomu tu nie przyszło na myśl wstydzić się czegokolwiek. Nikt tu nie wstydził się niczego.

— Zupełnie jak kraj w podziemnym świecie — rzekła Gudrun. — Górnicy wynoszą go z sobą na powierzchnię i tu wyładowują. Ursulo, to wspaniałe, naprawdę wspaniałe, naprawdę cudowne — inny świat. Ludzie to upiory i wszystko jest upiorne. Upiorna kopia prawdziwego świata, koszmar, w którym wszystko jest brudne i plugawe. Jakby człowiek zwariował.

Siostry przechodziły czarną ścieżką przez zaśmiecone pole. Na lewo rozciągał się rozległy krajobraz — szyby górnicze w dolinie, naprzeciw pagórki pokryte lasem i polami kukurydzy. Wszystko ciemniało w dali, jakby widziane przez welon żałobny. Białe i czarne dymy wznosiły się prostymi kolumnami, magiczne w szarym powietrzu. Tuż obok długie rzędy domów, przedtem ciągnące się w długich, równych liniach, rozpraszały się na zboczu. Domy, pokryte dachówką, zbudowane były z ciemnoczerwonej, kruszącej się cegły. Ścieżka, którą szły siostry, była czarna, wydeptana stopami górników, oddzielona od pola żelaznym ogrodzeniem, bariera przełazu wyszlifowana do połysku górniczymi spodniami. Teraz dziewczęta znalazły się między dwoma szeregami uboższych domów. Kobiety, które z rękami założonymi na zgrzebnych fartuchach stały plotkując przy końcu bloku, patrzyły w ślad za siostrami Brangwen natarczywym, zaciętym wzrokiem tubylców; dzieci obrzucały je wyzwiskami.

Gudrun poruszała się nie całkiem przytomnie. Jeśli to było ludzkie życie, jeśli to były ludzkie istoty, żyjące we własnym, normalnym świecie, czym wobec tego był jej świat, nie mający z tym nic wspólnego? Miała świadomość, że ma na sobie trawiaste pończochy, wielki, zielony, aksamitny kapelusz, luźny, miękki płaszcz w kolorze intensywnego błękitu. Wydawało się jej, że sunie w powietrzu pozbawiona oparcia, z sercem ściśniętym, jakby każdej chwili mogła być strącona na ziemię. Bała się.

Trzymała się kurczowo Ursuli, zahartowanej przez długoletnie przebywanie w tym ciemnym, wrogim, nierzeczywistym świecie. Ale przez cały czas dręczyła ją uporczywa myśl: „Chcę wrócić, chcę stąd uciec, nie chcę tego znać, nie chcę wiedzieć, że to istnieje”. Musiała jednak iść naprzód.

Ursula czuła jej cierpienie.

— Nienawidzisz tego, prawda? — spytała.

— To mnie wprawia w osłupienie — wyjąkała Gudrun.

— Nie zostaniesz tu długo.

I Gudrun szła dalej pocieszając się nadzieją wyzwolenia.

Minęły rejon kopalni, wspięły się na wzgórze i zeszły w czystsze okolice, po drugiej stronie, w kierunku Willey Green. Ciągle jeszcze lekki pył czerni unosił się nad polami i zalesionymi wzgórzami — zdawało się, że połyskuje ciemno w powietrzu. Dzień był wiosenny, chłodny, chwilami ukazywało się słońce. Jaskółcze ziele żółciło się u podnóży żywopłotów, w ogródkach Willey Green na krzakach porzeczek widać już było listki, drobne kwiaty smagliczki rozkwitały biało na szarych łodyżkach, zwisających z kamiennych ścian.

Skręciwszy, poszły w dół szosą, która prowadziła do kościoła. Tam, na najniższym zakręcie drogi, pod drzewami, stała gromadka gapiów, czekających na orszak weselny.

Córka najbogatszego właściciela kopalń w okolicy, Thomasa Cricha, wychodziła za mąż za oficera marynarki.

— Wracajmy — Gudrun skręciła w bok. — Straszny tu tłum. I zatrzymała się z wahaniem.

— Nie zwracaj na nich uwagi — rzekła Ursula. — To przyzwoici ludzie. Wszyscy mnie znają, nie ma się czym przejmować.

— Ale czy musimy przejść między nimi?

— To naprawdę przyzwoici ludzie — powiedziała Ursula idąc naprzód. Siostry zbliżyły się do gromady onieśmielonej, podejrzliwej gawiedzi. Były to przeważnie proste kobiety, żony górników. Miały czujne spojrzenia ludzi z podziemnej krainy.

Obie siostry z podniesionymi głowami poszły wprost do bramy. Kobiety rozstępowały się przed nimi zaledwie na tyle, by dziewczęta mogły przejść, jakby nie chciały ustąpić im miejsca. Siostry minęły w milczeniu kamienną bramę i po stopniach,’ pod okiem przyglądającego się im policjanta, weszły na ścieżkę wysłaną czerwonym dywanem.

— Ile też kosztują takie pończochy! — odezwał się głos za plecami Gudrun. Nagle dziewczynę ogarnął dziki gniew, gwałtowny i morderczy. Miałaby ochotę unicestwić ich wszystkich usunąć ze świata, który pozostałby dla niej czysty. Jakże cierpiała, że patrzą na nią, kiedy po czerwonym dywanie idzie kościelnym dziedzińcem.

— Nie wejdę do kościoła — rzekła nagle i tak zdecydowanie, że Urszula natychmiast zatrzymała się i skręciła na ścieżkę prowadzącą od tyłu, przez małą furtkę, do szkoły, której teren sąsiadował z kościołem.

Tuż za furtką, w szkółce leśnej przylegającej do cmentarza, Ursula na chwilę usiadła, by odpocząć na niskim, kamiennym murku pod krzewami wawrzynu. Za nią wznosił się obszerny, czerwony budynek szkoły z oknami szeroko otwartymi w dzień wolny od zajęć. Przed nią, nad

krzakami, widać było blade dachy i wieże starego kościoła. Dziewczęta osłaniało gęste listowie.

Gudrun siedziała w milczeniu z zaciśniętymi ustami. Żałowała gorzko, że w ogóle wróciła. Ursula patrząc na nią pomyślała, jak zadziwiająco pięknie wygląda z rumieńcem niezadowolenia na twarzy. Ale wytwarzała atmosferę przymusu, skrępowania. Ursula wolałaby być sama, wolna od napięcia, jakie narzucała jej obecność siostry.

— Zostajemy tu? — spytała Gudrun.

— Chciałam tylko trochę odpocząć. — Ursula wstała, jakby przywołano ją do porządku. — Zatrzymamy się koło boiska, stamtąd będziemy wszystko widziały.

Słońce oświetlało teraz jaskrawo cmentarz, w powietrzu unosiła się woń mleczy, wiosny i może fiołków rosnących na grobach. Rozkwitły już tu i ówdzie białe stokrotki, jasne jak anioły. Wysoko czerwieniły się krwawo młode, bukowe listki.

Punktualnie o jedenastej zaczęły przybywać pojazdy. Tłumek przy bramie ożywił się otaczając ciasno każdą karetę; goście weselni wysiadali i szli po czerwonym dywanie do kościoła. Wszyscy w blasku słońca byli weseli i podnieceni.

Gudrun przyglądała się im uważnie z obiektywnym zainteresowaniem. Każdego widziała osobno, jako całość samą w sobie, postać z książki, model do obrazu czy marionetkę w teatrze — zamknięty świat. Lubiła rozpoznawać różne cechy tych ludzi, ustawiać ich we właściwym świetle, umieszczać w odpowiednim środowisku, określać raz na zawsze, gdy mijali ją, wchodząc do kościoła. Znała ich. Byli skończeni, zapieczętowani, postemplowani, załatwieni. Wszystko było z góry wiadome, nikt nie krył w sobie żadnych niespodzianek, dopóki nie pojawili się Crichowie. Zainteresowali ją. Nareszcie coś niezupełnie do przewidzenia.

Oto szła matka, pani Crich, z najstarszym synem Geraldem. Dziwaczna i zaniedbana, mimo widocznych wysiłków, by w takiej chwili stanąć na wysokości zadania. Pochylona lekko do przodu miała bladą, żółtawą twarz o przejrzystej cerze, ładne wydatne rysy, niewidzące, napięte spojrzenie drapieżnego ptaka. Bezbarwne kosmyki potarganych włosów, wymykające się spod niebieskiego kapelusza, opadały na płaszcz z granatowego jedwabiu. Wyglądała jak kobieta ogarnięta monomanią, która chce ukryć się przed ludźmi, lecz jednocześnie pełna jest nieposkromionej dumy.

Jej syn był przystojnym mężczyzną; opalony blondyn, wzrostu powyżej średniego, zgrabny, ubrany aż nadto dobrze. I w nim jednak było coś dziwnego, jakby się miał na baczności, bezwiednie roztaczał blask wyróżniający go z tłumu. Jego widok natychmiast ożywił Gudrun. Północny urok Geralda Cricha przyciągał ją jak magnes. Jasna, północna skóra i złote włosy lśniły jak słońce w kryształkach lodu. Zdawał się tak świeży i nietknięty, tak arktycznie czysty. Miał trzydzieści lat, może trochę więcej. Blask jego urody, męskości, jego wygląd młodego, dobrodusznie uśmiechniętego wilka, nie zwiódł jej; czuła w nim znamienny, złowrogi spokój, przyczajone niebezpieczeństwo nieopanowanego gniewu. „Jego totem to wilk — powtarzała w myśli — a jego matka to stara, nieoswojona wilczyca”. Doznała gwałtownego wstrząsu, ogarnęło ją uniesienie, jakby to ona jedna na świecie dokonała niesłychanego odkrycia. W porywie nagłego wzruszenia krew uderzyła jej do głowy. „Dobry Boże! — przeraziła się. — Co to?!” Lecz już po chwili zapewniła samą siebie: „Poznałam go, i to dobrze”. Dręczyło ją pragnienie, by go ujrzeć znowu, nostalgiczna konieczność, by go zobaczyć, upewnić się, że to wszystko jej się zdarzyło, że nie łudzi się, że prawdą jest owo niepojęte, przemożne, związane z nim przeżycie, jej wewnętrzna wiedza o nim, najpełniejsze zrozumienie jego istoty. „Czy

naprawdę jestem mu w jakiś sposób przeznaczona? Czy rzeczywiście krąg bladozłotego, arktycznego światła zamyka tylko nas dwoje?” Zadawała sobie te pytania i nie mogła uwierzyć, trwała w zadumie, ledwie świadoma, co dzieje się wokoło.

Druhny już się zjawiły, nie było jeszcze pana młodego. Ursula zastanawiała się, czy aby coś się nie stało i czy ślub w ogóle się odbędzie. Czuła się zakłopotana, jakby to ona ponosiła odpowiedzialność. Przyjechały pierwsze druhny. Ursula przyglądała się, jak wchodzą po schodach. Jedną z nich znała — powolną, niezbyt sympatyczną kobietę z masą jasnych włosów nad bladą, długą twarzą. Była to zaprzyjaźniona z Crichami Hermione Roddice. Szła z podniesioną głową, balansując ogromnym, płaskim kapeluszem z jasnożółtego aksamitu, ozdobionym strusimi piórami w kolorze szarobeżowym. Sunęła przed siebie, niepomna na to, co ją otacza, z podłużną, bladą twarzą, którą uniosła do góry, żeby nic nie widzieć. Była bogata. Miała na sobie suknię z jedwabistego, cienkiego weluru w kolorze jasnożółtym i niosła naręcze małych, różowych cyklamenów. Jej pantofle i pończochy miały odcień szarobeżowy jak pióra zdobiące kapelusz; szła nie poruszając biodrami, jakby posuwała się naprzód bez udziału woli. Była imponująca w tej pięknej gamie barw jasnożółtych i brązoworóżowych, ale jednocześnie niesamowita i odpychająca. Ludzie milkli, gdy ich mijała; byli przejęci, podnieceni, skłonni do kpin, a jednak stali cicho. Z długą, bladą twarzą uniesioną do góry, jak na obrazach Rossettiego, robiła wrażenie odurzonej narkotykami, jak gdyby w ciemnościach jej duszy kłębił się natłok myśli, od których nie było ucieczki.

Ursula obserwowała ją zafascynowana. Poznała ją przelotnie. Była to najwybitniejsza kobieta w Midlands. Jej ojciec, baronet z Derbyshire, uchodził za człowieka o staroświeckich poglądach, ona zaś była na wskroś

nowoczesną intelektualistką o zszarpanych nerwach, przytłoczoną nadmiarem świadomości. Pasjonowały ją reformy, całą duszą oddana była sprawom publicznym. Ale interesowała się tylko mężczyznami, pociągał ją męski świat.

Podtrzymywała wiele różnych przyjaźni duchowych czy intelektualnych z mężczyznami utalentowanymi. Spośród nich Ursula znała tylko Ruperta Birkina, jednego z inspektorów szkolnych hrabstwa. Lecz Gudrun zetknęła się i z innymi w Londynie. Obracając się wraz z gronem zaprzyjaźnionych artystów w różnorodnych środowiskach, Gudrun poznała wiele sławnych i wybitnych osobistości. Dwa razy spotkała Hermione, ale nie poczuły do siebie sympatii. Dziwne będzie spotykać w Midlands, gdzie ich pozycja towarzyska jest tak odmienna, podczas gdy w mieście widywały się u rozmaitych znajomych na zasadzie pełnej równości. Gudrun była popularna w towarzystwie i miała przyjaciół wśród arystokratów ceniących cyganerię artystyczną.

Hermione wiedziała, że jest świetnie ubrana; wiedziała, że co najmniej dorównuje, a najczęściej przewyższa każdego, kogo może spotkać w Willey Green, Wiedziała też, że jest akceptowana w świecie kultury i intelektu. Była Kulturträgerem, pośredniczyła w rozpowszechnianiu kultury. W towarzystwie, w naukach humanistycznych, w działalności społecznej czy nawet w sztuce — była w pierwszym szeregu, za pan brat z najlepszymi. Nikt nie mógł jej poniżyć ani z niej zakpić, ponieważ należała do elity, a ci, którzy mieliby jej coś do zarzucenia, stali od niej nieporównanie niżej towarzysko, majątkowo czy wreszcie w sferze myśli, pracy dla postępu i porozumienia. Była więc nietykalna. O to starała się przez całe życie: chciała być nietykalna, niedosiężna, niezależna od sądów świata.

A jednak jej bezbronna dusza cierpiała katusze. Nawet idąc teraz ścieżką do kościoła, pewna, że nie podlega

żadnym wulgarnym osądom, że jej wygląd jest doskonały i nieskazitelny według najwyższych kanonów, cierpiała, gdyż mimo tej pewności siebie i dumy, dręczyło ją uczucie, że jest wystawiona na ciosy, drwiny i zniewagi. Zawsze czuła się zagrożona, zawsze w jej zbroi były jakieś ukryte szczeliny. Sama nie rozumiała, na czym to polega. Brakowało jej tężyzny, nie była w naturalny sposób samowystarczalna, miała w sobie straszliwą pustkę, niedobór, skazę osobowości.

Chciała, by ktoś wypełnił tę pustkę, wypełnił na zawsze. Marzyła o Rupercie Birkinie. Przy nim czuła się pewnie, umiała sprostać życiu, stawała się całością. Bez niego była jak dom ustawiony na piasku, zbudowany nad przepaścią; mimo jej zarozumiałości i pozycji, byle służąca, krzepka i pewna siebie, mogła ją wtrącić najlżejszą krytyką czy drwiną w otchłań zwątpienia. Ciągle więc, udręczona i żałosna, gromadziła środki obrony: znawstwo sztuki, ogólną kulturę, własną wizję świata i obojętność. Nigdy jednak nie potrafiła wyzbyć się poczucia mniejszej wartości.

Gdyby Birkin związał się z nią blisko i trwale, czułaby się bezpiecznie podczas tej męczącej podróży przez życie. Mógł ją uzdrowić i zapewnić triumf— nawet nad aniołami w niebie. Gdyby tylko chciał! Nękały ją jednak obawy i złe przeczucia. Starała się być piękna, wszelkimi sposobami usiłowała osiągnąć ten stopień urody i doskonałości, któremu nie mógłby się oprzeć. Ale zawsze były w niej jakieś skazy.

Birkin był przewrotny. Odpychał ją, zawsze ją odpychał. Im bardziej starała się go przyciągnąć, tym skuteczniej się przed tym bronił. Byli kochankami od lat. Jakże to było męczące, jak bardzo bolesne; tak już ją to znużyło. Ciągle jednak nie traciła wiary w siebie. Wiedziała, że próbuje ją porzucić. Chce z nią zerwać, chce być wolny. Lecz nadal wierzyła, że ma dość siły, by go zatrzymać, ufała swojej inteligencji. I on jest inteligentniejszy od innych, lecz

kamieniem probierczym prawdy jest ona. Musi tylko z nim się połączyć.

I właśnie tego związku, który i dla niego byłby najdoskonalszym spełnieniem, odmawiał przewrotnie jak krnąbrne dziecko. Z uporem złośliwego dziecka chciał zerwać łączącą ich świętą więź.

Ma być na tym ślubie drużbą pana młodego. Powinien czekać w kościele. Zobaczy ją, jak tylko wejdzie. Drżała z nerwowego podniecenia i żądzy. Będzie tam, na pewno zauważy, jak wspaniale jest ubrana, na pewno domyśli się, że to dla niego chciała być piękna. Zrozumie, uzna wreszcie, że jest dla niego stworzona, że to ona jest pierwsza, niezrównana i najlepsza. I na pewno w końcu pogodzi się z wyrokiem losu i już jej nie odtrąci.

Rozdygotana, w paroksyzmie bezgranicznie wyczerpującej tęsknoty, weszła do kościoła i ukradkiem poszukała go wzrokiem. Jej szczupła postać drżała z podniecenia. Jako drużba, powinien stać tuż przy ołtarzu. Rozejrzała się bez pośpiechu, tak niezachwiana w swej pewności, że nie lękała się zwlekać.

A przecież go nie było. Zalała ją fala gwałtownej rozpaczy, czuła, że w niej tonie. Zdruzgotana beznadziejnym smutkiem, machinalnie zbliżyła się do ołtarza. Nigdy jeszcze nie doznała rozpaczy tak ostatecznej, beznadziejnej. Otoczyła ją nicość, pustka gorsza niż śmierć.

Pan młody i drużba jeszcze nie nadeszli. Na zewnątrz kościoła narastała konsternacja. Ursula niemal czuła się za to odpowiedzialna. Nie mogła znieść myśli, że panna młoda przyjedzie i nie zastanie pana młodego. Ślub nie może być fiaskiem, po prostu nie może.

Ale oto nadjechała kareta panny młodej ozdobiona wstążkami i kokardami.

Siwe konie w wesołych podskokach stanęły u celu przed wrotami kościoła; w tym całym zamieszaniu wszystko było

śmiechem i radością. Drzwi karety otwarto, za chwilę ukaże się kwiat dnia. Od drogi, gdzie zebrali się ludzie, dobiegły ciche pomruki zawiedzionego tłumu.

Ojciec, który wysiadł pierwszy, jak cień zamajaczył w powietrzu poranka. Był to wysoki, chudy, zatroskany mężczyzna ze spiczastą, czarną, już nieco siwiejącą brodą. Czekał u drzwi karety cierpliwie, usuwając się na drugi plan.

Teraz drzwiczki karety wypełniła kaskada delikatnych liści i kwiatów, biel jedwabiu i koronek. Wesoły głos zapytał:

—Jak ja się stąd wydostanę?

Dreszcz zadowolenia przeszedł przez oczekujący tłumek. Ludzie cisnęli się, by ją powitać, z satysfakcją oglądając pochyloną, jasną głowę, ozdobioną pąkami kwiatów, i delikatną, białą, niepewną nóżkę usiłującą trafić na stopień karety. Nagle zapieniło się, panna młoda, jak unoszona falą, cała w bieli, spłynęła ku ojcu w poranny cień drzew, w welonie falującym od śmiechu.

— Udało się! — powiedziała.

Oparła rękę na ramieniu strapionego, mizernego ojca i wygładzając spienione fałdy sukni, wstąpiła na czerwony chodnik. Ojciec, milczący, o żółtawej cerze i z czarną brodą, która nadawała mu jeszcze bardziej zafrasowany wygląd, wchodził na schody sztywno, jakby nieobecny myślami; lecz chmurka śmiechu, jaka osnuła kroczącą obok niego pannę młodą, bynajmniej się nie rozwiała.

A pana młodego wciąż nie ma! To było nie do zniesienia. Ursula, z sercem ściśniętym niepokojem, spoglądała na niedalekie wzgórze, na białą, biegnącą w dół drogę, na której powinien się ukazać powóz. Już go widać. Tak, to pan młody. Ursula zwróciła się ku pannie młodej i wydala ze swojego punktu obserwacyjnego nieartykułowany okrzyk. Chciała ich uprzedzić, że się zbliża. Ale okrzyk był niewyraźny, niedosłyszalny, a ona zarumieniła się mocno w

rozterce między chęcią okazania pomocy a hamującym ją zmieszaniem.

Powóz turkotał na zboczu wzgórza i był już blisko. W tłumie rozległy się głosy. Panna młoda, która właśnie dotarła na szczyt schodów, odwróciła się wesoło, chcąc widzieć, co wywołało zamieszanie. Zobaczyła ożywionych ludzi, powóz, który właśnie stanął, i ukochanego, który z niego wyskakiwał. Już torował sobie drogę wśród koni i gapiów.

— Tibs, Tibs! — zawołała w nagłym, żartobliwym podnieceniu. Stała w słońcu, wysoko na ścieżce, wymachując bukietem. Pan młody, przeciskający się przez tłum z kapeluszem w ręku, nie dosłyszał jej wołania.

— Tibs! — krzyknęła znów.

Przypadkowo spojrzał w górę i zobaczył na ścieżce swoją narzeczoną i jej ojca.

Przez jego twarz przemknął szczególny wyraz jakby zaskoczenia. Zawahał się chwilę i rzucił naprzód, żeby ją dogonić.

— Ach! — zabrzmiał jej osobliwy, zdławiony okrzyk; odruchowo odwróciła się i rzuciła w stronę kościoła z niesłychanie szybkim tupotem białych pantofelków i szelestem białych jedwabi. Młodzieniec niczym ogar pobiegł jej śladem, przeskoczył stopnie, wyminął ojca, pracując giętkimi biodrami jak pies, który dopada zwierzyny.

— Hej tam, za nią, za nią! — pokrzykiwały proste kobiety, porwane zabawą. Siejąc za sobą kwiaty jak pianę, wyprostowała się, żeby okrążyć narożnik kościoła. Obejrzała się za siebie i z dzikim wybuchem przekornego śmiechu zmieniła kierunek, odzyskała równowagę i skryła się za przysłupem z szarego kamienia. Niemal jednocześnie pan młody, pochylony naprzód w biegu, chwycił ręką kamienny występ, skoczył i jego silne, gibkie biodra zniknęły w pościgu.

W tłumie u bramy rozbrzmiały okrzyki pełne podniecenia. Uwagę Ursuli znów zwróciła ciemna, nieco pochylona sylwetka pana Cricha, który czekał na ścieżce i z twarzą bez wyrazu obserwował ucieczkę do kościoła. Po skończonej gonitwie, obejrzał się i poszukał wzrokiem Ruperta Birkina, który natychmiast podszedł i stanął obok.

— Będziemy w ariergardzie — rzekł uśmiechając się niewyraźnie.

— Tak jest — odparł lakonicznie ojciec. I obaj mężczyźni ruszyli w górę ścieżką.

Birkin był równie chudy jak pan Crich, blady i mizerny. Choć tak szczupły,.był ładnie zbudowany. Szedł, powłócząc z lekka nogą, co było jedynie wynikiem nieśmiałości. Ubrany był stosownie do swej roli, kolidowało to jednak z jego naturą, wyglądał więc nieco śmiesznie. Intelektualista i oryginał, czuł się nieswojo w sytuacjach konwencjonalnych. Ulegał jednak powszechnym obyczajom i zachowywał pozory.

Udawał, że jest całkiem przeciętny, doskonale i nieskazitelnie banalny. Tak dobrze i szybko przystosował się do otoczenia, do tonu swego rozmówcy i do okoliczności, że osiągał znakomite rezultaty, czym zwykle zjednywał sobie ludzi i rozbrajał ich, żeby nie atakowali go za oryginalność.

Teraz, idąc z panem Crichem, rozmawiał z nim miło i swobodnie; rozgrywał sytuację jak człowiek chodzący po linie; zawsze chodząc po linie udawał, że jest mu tam bardzo wygodnie.

— Przepraszam, że tak się spóźniliśmy — mówił właśnie. — Zapodział się gdzieś zapinacz do butów, mnóstwo czasu zajęło nam uporanie się z każdym guzikiem. Wy byliście tu co do minuty.

— My zwykle jesteśmy punktualni — rzekł pan Crich.

— A ja zawsze się spóźniam — stwierdził Birkin — dziś jednak naprawdę zdążyłbym, gdyby nie przypadek. Bardzo

mi przykro.

Panowie oddalili się. Na razie nie było na co patrzeć. Ursula została z głową zaprzątniętą Birkinem. Podniecał ją, pociągał i drażnił.

Chciała go poznać bliżej. Rozmawiała z nim raz czy dwa razy, ale tylko oficjalnie, jako z inspektorem. I on, tak jak ona, zdawał się uważać, że istnieje między nimi coś w rodzaju powinowactwa, milczącego porozumienia, że używają tego samego języka. Na pogłębienie tego porozumienia zabrakło czasu. I. coś sprawiało, że trzymała się od niego z daleka, choć jednocześnie wyraźnie ją pociągał. Była w nim jakaś wrogość, najgłębiej skryta, zimna i nieprzystępna. A jednak pragnęła go poznać.

— Co myślisz o Rupercie Birkinie? — zapytała z pewnym wahaniem. Właściwie nie miała ochoty o nim rozmawiać.

— Co myślę o Rupercie Birkinie? — powtórzyła Gudrun. — Sądzę, że jest atrakcyjny, zdecydowanie atrakcyjny. Czego nie mogę w nim znieść, to jego stosunku do otoczenia — ma zwyczaj traktować każdego głupca z najwyższym szacunkiem. Człowiek czuje się wystrychnięty na dudka.

— Dlaczego tak postępuje?

— Ponieważ nie ma zdolności krytycznych — w każdym razie wobec ludzi. Mówię ci, byle głupca traktuje jak mnie lub ciebie... To jest po prostu obraźliwe!

— O, tak! Trzeba być wybrednym.

— Koniecznie — potwierdziła Gudrun. — Pod innymi względami jest zresztą nadzwyczajny... Niezwykła osobowość. Ale nie można mu ufać.

— Masz rację — rzekła niepewnie Ursula. Zawsze czuła się obowiązana do potakiwania Gudrun, nawet gdy się z nią nie w pełni zgadzała.

Siostry siedziały w milczeniu, czekając na ukazanie się ślubnego orszaku. Gudrun nie miała cierpliwości do rozmowy. Chciała myśleć o Geraldzie Crichu. Chciała zdać sobie sprawę, czy silne uczucie, które w niej wzbudził, jest prawdziwe. Chciała być gotowa.

W kościele uroczystość ślubna była w toku. Hermione Roddice myślała o Birkinie. Stał nie opodal. Jak gdyby grawitowała fizycznie w jego kierunku. Chciała trzymać się blisko, chciała go dotykać. Inaczej nie była pewna jego obecności. Nie przysunęła się jednak przez cały czas uroczystości.

Dopóki się nie zjawił w kościele, cierpiała tak straszliwie, że ciągłe jeszcze była półprzytomna, obolała jak w ataku newralgii, udręczona możliwością jego nieobecności. Czekała na niego w oszołomieniu torturowanych nerwów. Gdy tak stała przytłoczona ciężarem swych myśli, jej skupione spojrzenie, które wydawało się uduchowione jak u anioła, a było przecież wynikiem cierpienia, nadawało jej wygląd tak przejmujący, że Birkinowi litość rozdzierała serce. Widział jej schyloną głowę, jej napiętą twarz z wyrazem diabolicznej niemal ekstazy. Czując jego wzrok, wyprostowała się, jej piękne, szare oczy poszukały jego oczu i przesłały im płomienny sygnał. Kiedy umknął spojrzeniem, schyliła głowę w cierpieniu i wstydzie, znowu z nieznośnym uciskiem w sercu. Ruperta również dręczył wstyd, przemożna niechęć i dotkliwa litość, ponieważ nie chciał spotkać jej wzroku, nie chciał przyjąć sygnału porozumienia.

Ślub się odbył, orszak przeszedł do zakrystii. W ścisku Hermione odruchowo przysunęła się do Birkina, żeby go dotknąć. Pozwolił jej na to.

Przed kościołem Ursula i Gudrun nasłuchiwały, kiedy ich ojciec zacznie grać na organach. Z radością zagra marsza weselnego. Oto nadchodzi młoda para! Dzwony biły, aż drżało powietrze. Ursula zastanawiała się, czy drzewa i kwiaty odczuwają wibrację i co myślą o dziwnym ruchu

powietrza. Panna młoda szła poważnie, wsparta na ramieniu pana młodego, on zaś wpatrywał się w niebo, bezwiednie otwierając i zamykając oczy, jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Przedstawiał trochę śmieszny widok, gdy tak mrugając starał się dobrze grać swoją rolę, a w głębi duszy buntował się przeciw obraźliwej ciekawości tłumu. Wyglądał jak typowy oficer marynarki — męski i zawsze na wysokości zadania.

Ukazał się Birkin u boku Hermione, która miała ekstatyczną, triumfalną minę, jak upadły anioł przywrócony do bożej chwały, lecz jednocześnie subtelnie diaboliczną teraz, kiedy już trzymała Birkina pod ramię. On, z twarzą pozbawioną wyrazu, był zobojętniały, zagarnięty przez nią, jak gdyby z wyroku losu.

Pojawił się Gerald Crich, jasny, przystojny, zdrowy, pełen sprężonej energii. Trzymał się prosto, nieskazitelny, sympatyczny; wyglądał radośnie, ale było w nim też coś dziwnego. Gudrun zerwała się gwałtownie i odeszła. Nie mogła tego znieść. Chciała być sama, żeby pomyśleć o tej niezwykłej, gwałtownej szczepionce, która całkowicie zmieniła jej usposobienie.

ROZDZIAŁ II

SHORTLANDS

Panny Brangwen wróciły do Beldover. Goście weselni zebrali się w Shortlands, posiadłości Crichów. Był to stary dom, niski i obszerny, rodzaj szlacheckiego dworku, stojącego na zboczu wzgórza tuż za małym, wąskim jeziorem Willey Water. Okna domu poprzez spadzistą łąkę, która mogła uchodzić za park dzięki rosnącym tu i ówdzie wielkim, samotnym drzewom, spoglądały na drugi brzeg wąskiego jeziora i pokryte lasem wzgórze, które szczęśliwie zasłaniało leżące dalej zagłębie górnicze, nie mogło jednak całkowicie odgrodzić dworu od unoszącego się stamtąd dymu. Mimo to sceneria była sielska i malownicza, a dom miał swoisty urok.

W tej chwili tłoczyła się w nim rodzina i zaproszeni goście. Ojciec czuł się niezbyt dobrze i odpoczywał u siebie. Gospodarzem był Gerald. Przyjazny i swobodny, stal w przytulnym hallu, podejmując mężczyzn. Obowiązki towarzyskie zdawały się sprawiać mu przyjemność, uśmiechał się i był wylewnie gościnny.

Panie, trochę bezradne, kręciły się tu i ówdzie, nieustannie ścigane przez trzy zamężne córki domu. Ciągle słyszało się władczy, charakterystyczny głos którejś z dawnych panien Crich: „Helen, chodź tu na chwilę!” „Marjorie, jesteś mi potrzebna!”, „Proszę posłuchać, pani Witham…” Wszędzie szeleściły spódnice, widać było eleganckie damy, jakieś dziecko tańczyło w hallu, służąca weszła i wyszła pośpiesznie.

Tymczasem mężczyźni, w małych grupkach, spokojnie gawędzili paląc papierosy i na pozór nie zwracali uwagi na

szeleszczące ożywienie w świecie kobiet. Ale naprawdę nie mogli rozmawiać, przeszkadzała im krystaliczna mieszanina chłodnych, podnieconych śmiechów i nie milknących, kobiecych głosów. Czekali więc niepewni, skrępowani, nieco znudzeni. Tylko Gerald zachowywał się jakby nigdy nic; nadal wesoły i towarzyski nie uświadamiał sobie, że czeka lub że nie ma nic do roboty, gdyż wiedział, że jest tutaj główną osobą.

Nagle do pokoju weszła bezszelestnie pani Crich i z pogodnym wyrazem twarzy rozejrzała się badawczo. Ciągle jeszcze miała na sobie kapelusz i jedwabny płaszcz.

— Szukasz czegoś, mamo? — zapytał Gerald.

— Nie, nie szukam — odparła niewyraźnie i podeszła wprost do Birkina, który rozmawiał z jednym z jej zięciów.

— Dzień dobry panu — rzekła niskim głosem, jakby wyłączając innych gości ze swego pola widzenia. Wyciągnęła do niego rękę.

— Dzień dobry! — Birkin łatwo zmieniał rozmówcę. — Przepraszam, nie mogłem podejść do pani wcześniej.

— Nie znam połowy obecnych tu osób — oświadczyła. Jej zięć oddalił się speszony.

— A nie lubi pani nieznajomych? — roześmiał się Birkin. — Ja też nie mogę pojąć, czemu mam się liczyć z ludźmi wyłącznie dlatego, że znaleźli się w tym samym pokoju co ja: dlaczego muszę przyjmować ich obecność do wiadomości.

— No właśnie — potwierdziła pani Crich niskim, pełnym napięcia głosem — tylko że oni są tutaj. Nie znam ludzi, których spotykam we własnym domu. Moje dzieci mi ich przedstawiają. „Mamo, to pan taki a taki”. Nic mi to nie daje. Co wspólnego ma pan taki a taki ze swoim nazwiskiem? I co mnie łączy z jego nazwiskiem czy z nim samym?

Podniosła wzrok na Birkina. Był zaskoczony. Pochlebiało mu, że podeszła, by z nim porozmawiać, gdyż nikogo prawie nie zauważała. Patrzył na jej napiętą, jasną twarz o wydatnych rysach, ale bał się napotkać surowe spojrzenie niebieskich oczu. Widział za to nieporządne, zlepione kosmyki włosów nad pięknymi uszami, niezbyt czystymi, jak zdążył zauważyć. Szyję też miała niedomytą. Nawet pod tym względem czuł się bliższy jej niż reszcie towarzystwa; chociaż sam mył się starannie, w każdym razie uszy i szyję.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Odczuwał jednak pewne skrępowanie, że oboje — on i ta stara, inna niż wszyscy kobieta — rozmawiają ze sobą jak zdrajcy, jak wrogowie w obcym obozie. Przypominał trochę jelenia, który jedna ucho nastawia do tyłu, gdzie zostawił ślady, a drugie do przodu, żeby wiedzieć, co go czeka.

— Ludzie właściwie się nie liczą. — Nie miał ochoty dalej prowadzić rozmowy. Spojrzała na niego z nagłą, posępną podejrzliwością, jakby zwątpiła w jego szczerość.

— Co pan przez to rozumie? — zapytała ostro.

— Niewielu jest ludzi, którzy coś znaczą — musiał pogłębiać temat bardziej, niż zamierzał. — Brzęczą i chichoczą. Byłoby znacznie lepiej zmieść ich z powierzchni ziemi. W gruncie rzeczy nie istnieją, nie ma ich.

Obserwowała go uważnie.

— Przecież to nie my ich sobie wyobrażamy — rzekła szorstko.

— Nie ma co sobie wyobrażać i dlatego właśnie nie istnieją.

— Nie posunęłabym się tak. daleko. Są tu, bez względu na to, czy istnieją, czy nie. Nie ja decyduję o ich istnieniu. Jedno wiem: nie można oczekiwać, że będę ich wszystkich brała pod uwagę ani że będę ich znała tylko dlatego, że przypadkiem tu się znaleźli. Jeśli idzie o mnie, równie dobrze mogłoby ich nie być.

— Właśnie.

— Mogłoby tu ich nie być? — nalegała.

— Równie dobrze. Przez chwilę milczeli.

— Tylko że oni tu są i to mnie męczy — rzekła. — Na przykład moi zięciowie — ciągnęła monolog. — Teraz Laura wyszła za mąż i przybył jeszcze jeden, a ja naprawdę do tej pory nie odróżniam Johna od Jamesa. Mówią do mnie „mamo”. Z góry wiem, co powiedzą: „Jak się czujesz, mamo ?” Powinnam odpowiedzieć: „Bynajmniej nie jestem twoją matką”. Ale na co by się to zdało. Są tutaj. Miałam własne dzieci. Chyba je umiem odróżnić od dzieci innej kobiety?

— Najprawdopodobniej — powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona; zdążyła już zapomnieć, że z nim rozmawia. Zgubiła wątek.

Rozejrzała się niezbyt przytomnie po pokoju. Birkin nie mógł odgadnąć, czego szuka ani o czym myśli. Bo przecież na pewno zauważyła swoich synów.

— Czy są tu wszystkie moje dzieci? — spytała go nagle. Roześmiał się, ale to go zaskoczyło, może się nawet przestraszył.

— Z wyjątkiem Geralda prawie ich nie znam — odrzekł.

— Gerald! — wykrzyknęła. — On z nich wszystkich jest najbardziej upośledzony, najbardziej potrzebuje pomocy. Nigdy by pan tego nie pomyślał, patrząc teraz na niego, prawda?

— Na pewno nie — potwierdził Birkin. Matka utkwiła wzrok w najstarszym synu.

— Ech! — mruknęła coś niewyraźnie. Zabrzmiało to wręcz cynicznie. Birkin poczuł lęk przed czymś, czego jakby nie miał odwagi sobie uświadomić. Pani Crich odeszła, już nie pamiętając o nim. Ale natychmiast wróciła.

— Chciałabym, żeby miał przyjaciela — powiedziała. — Nigdy nie miał przyjaciela.

Birkin spoglądał w jej niebieskie, czujnie obserwujące go oczy. Nie bardzo rozumiał ich wymowę. „Azaliż jestem stróżem brata mego?” — pomyślał wręcz lekceważąco.

Z lekkim wstrząsem uświadomił sobie, że są to słowa Kaina. A Gerald był przecież Kainem bardziej niż ktokolwiek. To znaczy naprawdę Kainem nie był, chociaż zabił swego brata. Zdarzają się przecież czyste przypadki i człowiek nie może za nie ponosić konsekwencji, nawet jeśli zabity był jego bratem. Gerald jako chłopiec zabił przypadkiem brata. I co z tego? Po co naznaczać piętnem czy obciążać przekleństwem tego, kto spowodował wypadek? Człowiek może istnieć przypadkiem i przez przypadek umrzeć. A jeśli nie? Czy życie każdego człowieka zależy od przypadku i tylko rasa, rodzaj, gatunek są zdeterminowane przez powszechne prawa natury? A jeśli to nieprawda? Jeśli czysty przypadek nie istnieje? Czy wszystko, co się dzieje, ma powszechne znaczenie? Czy w ogóle ma znaczenie? Birkin, pogrążony w myślach, zapomniał o pani Crich, tak jak ona zapomniała o nim.

Nie, nie wierzył, że istnieje coś takiego jak przypadek. W najgłębszym sensie wszystko jest z sobą powiązane.

Był tego prawie pewien, kiedy podeszła do nich jedna z dawnych panien Crich mówiąc:

— Mamo droga, może byś zdjęła kapelusz? Za chwilę siadamy do stołu i bądź co bądź to ważna uroczystość, kochanie. — Wzięła matkę pod rękę i oddaliły się. Birkin natychmiast wdał się w rozmowę z najbliżej stojącym mężczyzną.

Odezwał się gong wzywający do stołu. Mężczyźni podnieśli głowy, lecz nikt nie ruszył się w stronę jadalni. Panie domu zachowywały się tak, jakby ten sygnał nie miał dla nich najmniejszego znaczenia. Minęło pięć minut. W drzwiach ukazał się stary służący, Crowther, wyraźnie zrozpaczony. Spojrzał prosząco na Geralda. Młodzieniec

wziął z półki wielką muszlę w kształcie rogu i na nic nie bacząc, zadął przeraźliwie. Rozległ się dziwny, drażniący hałas przyprawiający o bicie serca. Zew odniósł magiczny wręcz skutek. Wszyscy, jak na dźwięk pobudki, hurmem ruszyli do jadalni. Gerald odczekał chwilę w nadziei, że siostra odegra rolę gospodyni. Wiedział, że matka nie wywiąże się ze swoich obowiązków. Ale siostra po prostu usiadła przy stole. Wobec tego, nieco zbyt po dyktatorsku, zaczął kierować gości na przeznaczone dla nich miejsca.

Na chwilę uciszyło się, goście przyglądali się przystawkom, które roznoszono wokół stołu. Ciszę przerwała trzynasto- czy czternastoletnia dziewczynka o długich, rozpuszczonych włosach, która rzekła spokojnym, opanowanym tonem:

— Geraldzie, narobiłeś nieludzkiego hałasu, nie pamiętałeś o ojcu.

— Ależ pamiętałem — zwrócił się do całego towarzystwa. — Ojciec leży, niezbyt dobrze się czuje.

—Jak naprawdę jest z jego zdrowiem? — zapytała jedna z zamężnych córek, wyglądając spoza potężnego tortu weselnego, wznoszącego się jak wieża pośrodku stołu, z którego sypały się sztuczne kwiaty.

— Nic go nie boli, ale jest zmęczony — odpowiedziała Winifred, dziewczynka z rozpuszczonymi włosami.

Rozlano wino i rozmowa się ożywiła. U drugiego końca stołu Birkin siedział obok potarganej pani Crich, która od czasu do czasu obrzucała dzikim spojrzeniem pochylone i gapiące się bezceremonialnie twarze. Po cichu pytała Birkina:

— Kto to jest ten młody człowiek?.

— Nie mam pojęcia — brzmiała dyskretna odpowiedź.

— Czy już go kiedyś spotkałam?

— Nie sądzę. Ja w każdym razie go nie znam.

To ją zadowoliło. Przymknęła zmęczone oczy, twarz jej ogarnął spokój, wyglądała jak wypoczywająca królowa. Nagle jakby się ocknęła, na jej ustach pojawił się uprzejmy uśmiech, przez chwilę sprawiała wrażenie miłej pani domu, łaskawie skłaniała głowę, jakby każdy był dla niej pożądanym i czarującym gościem. Lecz natychmiast powracał cień. Wyglądała jak posępny orzeł. Rzucała pełne nienawiści spojrzenia spode łba, niby drapieżnik schwytany w potrzask.

— Mamo! — zawołała Diana, ładna dziewczynka, nieco starsza od Winifred. — Czy mogę napić się wina?

— Tak, możesz — odparła matka jak automat, było jej to bowiem zupełnie obojętne.

Diana dała znak służącemu, żeby napełnił jej kieliszek

— Nawet Gerald mi nie zabroni — stwierdziła spokojnie, zwracając się do całego towarzystwa.

— W porządku, Di — powiedział miło jej brat. Podniosła kieliszek do ust, patrząc na niego z wyzwaniem.

W domu panował osobliwy nastrój swobody graniczącej z anarchią. Był to raczej opór wobec władzy niż wolność. Gerald cieszył się pewnym autorytetem dzięki silnej osobowości, a nie z powodu zajmowanej pozycji. Tonem grzecznym, lecz stanowczym, umiał narzucić swoją wolę młodszemu rodzeństwu.

Hermione dyskutowała z panem młodym problem narodowości.

— Nie — powiedziała. — Myślę, że odwoływanie się do patriotyzmu to błąd. Zupełnie jakby jedno przedsiębiorstwo rywalizowało z drugim.

— Jak możesz tak mówić?! — wykrzyknął Gerald, który namiętnie lubił dyskusje. — Nie można przyrównywać rasy do przedsiębiorstwa. A narodowość i rasa to mniej więcej to samo. Tak mi się wydaje.

Nastąpiła mała pauza. Gerald i Hermione byli wobec siebie dziwnie i niezmiennie, choć grzecznie, wrodzy.

— Więc uważasz, że rasa odpowiada narodowości? — zapytała z namysłem i z pewnym wahaniem.

Birkin wiedział, że oczekuje, by wziął udział w dyskusji. Posłusznie spełnił jej życzenie.

— Moim zdaniem Gerald ma rację. Rasa jest podstawowym elementem narodowości, przynajmniej w Europie.

Hermione milczała chwilę, jakby czekając, aż słowa ostygną. Wreszcie odezwała się z akcentem niespodziewanie autorytatywnym. .

— Lecz jeśli nawet tak jest, to czy, apelując do uczuć patriotycznych, apelujemy do instynktu rasowego? Czy nie jest to raczej odwołanie się do instynktu posiadania, do instynktu kupieckiego? I czy to właśnie nie oznacza dla nas narodowości?

— Być może — rzekł Birkin, który uważał, że jest to dyskusja nie na miejscu i nie na czasie.

Ale Gerald był już na tropie nowych argumentów.

— Rasa też pewne sprawy traktuje po kupiecku. To nieuniknione. Jak w rodzinie. Trzeba przecież się zabezpieczyć, a żeby to uczynić, musi się walczyć z innymi rodzinami, z innymi narodami. Dlaczego miałoby być inaczej?

Hermione, chłodna i władcza, znów odczekała chwilę, zanim zabrała głos.

— Tak, myślę, że wywoływanie ducha rywalizacji zawsze jest niesłuszne. To powoduje złą krew. A zła krew jest zaraźliwa.

— Ale przecież nie można wykluczyć ducha współzawodnictwa? — zaprotestował Gerald. — To jeden z podstawowych bodźców produkcji i postępu.

— A ja uważam — orzekła nonszalancko Hermione — że można się bez tego obyć.

— We mnie duch współzawodnictwa budzi odrazę — oświadczył Birkin. Hermione odgryzła kęs chleba, wyciągając palcami kromkę z ust powolnym, lekko kpiącym ruchem. Zwróciła się do Birkina.

— Tak, ty tego nienawidzisz — potwierdziła z poufalą satysfakcją.

— Czuję do tego odrazę — powtórzył.

— Tak — mruknęła pewna siebie i zadowolona.

— Przecież — nalegał Gerald — człowiekowi nie wolno zabijać drugiego człowieka. Czy można więc dopuścić, by jeden naród pozbawiał życia drugi naród?

Hermione przez dłuższą chwilę mruczała coś do siebie, zanim odezwała się z powściągliwą obojętnością:

— To chyba nie jest zawsze kwestia stanu posiadania? Problem majątku? Geralda zirytowało, że insynuuje mu aż tak wulgarny materializm.

— Owszem, mniej czy więcej. Jeśli zerwę komuś kapelusz z głowy, ten kapelusz stanie się symbolem jego wolności. Walcząc ze mną o swój kapelusz, będzie walczył o wolność.

Hermione speszyła się.

— Możliwe — rzekła z rozdrażnieniem. — Ale wymyślone przykłady to nie są właściwe argumenty. Nikt nikomu nie zrywa kapelusza z głowy.

— Tylko dlatego, że prawo tego zabrania.

— Nie tylko dlatego — wtrącił Birkin. — Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu nie chce mojego kapelusza.

— To kwestia gustu — rzekł Gerald.

— Albo kapelusza — roześmiał się pan młody.

— A jeśli ktoś naprawdę chce mieć mój kapelusz taki, jaki jest — ciągnął Birkin

— to przecież do mnie należy decyzja, co wolę stracić, kapelusz czy wolność i neutralność. Jeśli jestem zmuszony do walki, tracę wolność. Problem polega na tym, co więcej cenię, miłą swobodę działania czy kapelusz.

— Tak — Hermione dziwnie wpatrywała się w Birkina. — Właśnie.

— Ale czy pani pozwoliłaby komukolwiek, żeby zerwał pani kapelusz z głowy?

— zapytała ją panna młoda.

Wysoka i sztywna obróciła się wolno, jak pod działaniem narkotyków, do nowej uczestniczki dyskusji.

— Nie — odrzekła niskim, twardym głosem, w którym pobrzmiewał zduszony chichot. — Nie, nikomu bym na to nie pozwoliła.

— Jak byś temu zapobiegła? — spytał Gerald.

— Nie wiem — odpowiedziała z namysłem Hermione. — Może bym go zabiła. Mówiła z dziwnym chichotem, tonem nie pozbawionym humoru, ale i groźnym.

— Oczywiście — rzekł Gerald — rozumiem punkt widzenia Ruperta. Dla niego to problem, co ważniejsze — jego kapelusz czy jego spokój ducha.

— Spokój ciała — poprawił Birkin.

— Jeśli tak wolisz — zgodził się Gerald. — Ale jaką podjąłbyś decyzję, gdyby chodziło o naród?

— Niech mnie Bóg od tego broni — roześmiał się Birkin.

— No dobrze, ale jak byś zdecydował, gdybyś musiał? — nalegał Gerald.

— Tak samo. Jeśli narodowa korona królewska to stary kapelusz, niechże pan złodziej ją sobie bierze.

— Czy kapelusz narodu lub rasy może być starym kapeluszem? — naciskał Gerald.

— Nawet chyba jest — rzekł Birkin.

— Nie jestem tego tak pewny.

— Nie zgadzam się, Rupercie — oświadczyła Hermione.

— Bardzo dobrze — powiedział Birkin.

— Jestem całą duszą za starym, narodowym kapeluszem — śmiał się Gerald.

— I wyglądasz w nim jak wariat! — zawołała Diana, jego zuchwała siostrzyczka, która właśnie weszła w wiek podlotka.

— O, już kręci mi się w głowie od tych starych kapeluszy —jęknęła Laura Crich. — Skończ z tym, Geraldzie. Teraz toasty. Wznosimy toasty. Proszę, kieliszki... kieliszki! I mowa, mowa!

Birkin, rozmyślając o śmierci rasy albo narodu, przyglądał się, jak służący napełnia mu kieliszek szampanem. Bąbelki gazu załamywały się na krawędzi szkła, służący cofnął się i Birkin, nagle spragniony na widok wina, wypił od razu. Lekkie napięcie w atmosferze wyrwało go z zamyślenia. Poczuł się nagle skrępowany.

„Zrobiłem to przypadkiem czy umyślnie?”— pytał sam siebie. I zdecydował, że zgodnie z utartym wyrażeniem, zrobił to „przypadkiem naumyślnie”. Rozejrzał się za wynajętym lokajem. Lokaj podszedł cichym krokiem służącego, który nie ukrywa chłodnej dezaprobaty. Birkin uznał, że nie cierpi toastów, lokai, przyjęć i w ogóle ludzkości prawie pod każdym względem. Po czym wstał, by wygłosić mowę. Nękało go niejasne obrzydzenie.

Wreszcie towarzystwo wstało od stołu. Niektórzy panowie wyszli przespacerować się po ogrodzie. Był tam trawnik, klomby i na samym końcu żelazne . ogrodzenie wokół małego pola przy parku. Widok był przyjemny; w dole

szosa wiła się między drzewami wzdłuż brzegów jeziora. Woda migotała w wiosennym powietrzu, a w lesie po drugiej stronie gęstniały fioletowe smugi nowego życia. Ładne krowy, dżerseje, podeszły do ogrodzenia i dysząc chrapliwie, wyciągały aksamitne pyski w stronę ludzi w nadziei na skórki od chleba.

Birkin oparł się o ogrodzenie. Krowa wilgotnym, ciepłym oddechem ogrzewała mu dłoń.

— Piękne bydło, bardzo piękne — rzekł Marshall, jeden ze szwagrów. — Dają najlepsze mleko.

— Tak — potwierdził Birkin.

— Ej, ty moja ślicznotko, mała ślicznotko! — zawołał piskliwie Marshall, co przyprawiło Birkina o konwulsje hamowanego śmiechu.:

— Kto wygrał wyścig, Lupton? — zawołał do pana młodego, chcąc ukryć śmiech.

Pan młody wyjął z ust cygaro.

— Wyścig? — uśmiechnął się niezbyt przekonywająco. Nie chciał rozmawiać na temat biegu do wrót kościoła. — Dopadliśmy tam jednocześnie. Ona dotknęła drzwi pierwsza, ale ja trzymałem rękę na jej ramieniu.

— O czym mówicie? — spytał Gerald.

Birkin opowiedział mu o wyścigu młodej pary. Gerald chrząknął z dezaprobatą.

— Dlaczego spóźniliście się?

— Lupton mówił o nieśmiertelności duszy, a potem nie mógł znaleźć haczyka do zapinania butów.

— O Boże! — krzyknął Marshall. — Nieśmiertelność duszy w dniu własnego wesela?! Nie przyszło ci nic lepszego do głowy?

— A cóż w tym złego? — zapytał pan młody z rumieńcem na gładko ogolonej twarzy marynarza.

— To brzmi, jakbyś szedł na własną egzekucję, nie na ślub. Nieśmiertelność duszy! — powtórzył jego szwagier z zabójczą emfazą.

Ale nie znalazł odzewu.

— No i do jakiego doszliście wniosku? — spytał Gerald już gotów do metafizycznej dyskusji.

— Nie ma dziś zapotrzebowania na duszę, mój chłopcze — rzekł Marshall. — Przeszkadzałaby ci tylko.

— Chryste! Marshall, idź sobie i pogadaj z kim innym. — Gerald zniecierpliwił się nagle.

—Jak Boga kocham, z przyjemnością — rzekł ostro Marshall. — Za dużo tu dla mnie i tej cholernej duszy, i tego gadania.

Odszedł wściekły. Gerald odprowadzał go gniewnym spojrzeniem, które stopniowo łagodniało i uspokajało się, w miarę jak masywna postać szwagra znikała w oddali.

—Jedno jest pewne, Lupton — zwrócił się nagle do pana młodego. — Laura nie wprowadziła do rodziny takiego durnia jak Lottie!

— Możesz się tym pocieszać — zaśmiał się Birkin.

— Nie zwracam na nich uwagi — wesoło stwierdził młody małżonek.

— Więc jak było z tym wyścigiem? Kto go zaczął? — spytał Gerald.

— Spóźniliśmy się. Kiedyśmy nadjechali, Laura była już u szczytu kościelnych schodów. Zobaczyła, że Lupton pędzi do niej, i zaczęła uciekać. Ale dlaczego jesteś taki niezadowolony? Czyżby to raniło twoje poczucie rodzinnej dumy?

— Raczej tak — rzekł Gerald. — Jeśli ma się coś zrobić, trzeba to zrobić jak należy lub wcale.

— Piękna sentencja — rzekł Birkin.

— Nie zgadzasz się z nią?

— Zgadzam się, oczywiście, tylko nudzą mnie twoje aforystyczne uzdolnienia.

— Bo podobają ci się tylko twoje własne aforyzmy.

— Żadne mi się nie podobają. Nie mam na nie apetytu, a ty mnie nimi częstujesz.

Gerald skwitował żarcik sarkastycznym uśmiechem, po czym zbył go lekkim zmarszczeniem brwi.

— Ty w ogóle nie wierzysz w żadne normy postępowania, prawda? — zaatakowal surowo Birkina.

— W normy... nie. Nienawidzę norm. Są, co prawda, niezbędne dla szarego tłumu. Ale człowiek nieprzeciętny ma prawo być sobą i robić, co chce.

— A co według ciebie znaczy być sobą? — spytał Gerald. — Czy to aforyzm, czy frazes?

— To znaczy po prostu postępować według swego uznania. Uważam, że ucieczka Laury przed Luptonem była w bardzo dobrym guście. Była wręcz arcydziełem dobrych manier. Najtrudniej postępować spontanicznie, kierując się własnym impulsem, a jest to jedyny elegancki sposób zachowania się, pod warunkiem, że jesteśmy do tego zdolni.

— Nie oczekujesz chyba, że potraktuję to poważnie?

— Tak, Geraldzie, należysz do bardzo nielicznych, po których tego oczekuję.

— Obawiam się, że nie sprostam twoim oczekiwaniom, w każdym razie pod tym względem. Ty uważasz, że ludzie powinni postępować według swego widzimisię.

— I myślę, że właśnie to robią. Wolałbym tylko, żeby podobało im się to, co w nich indywidualne, co ich odróżnia od innych. A im, niestety, podoba się to, co wszystkim.

—Ja natomiast — rzekł ponuro Gerald — nie miałbym ochoty żyć w świecie ludzi, którzy, jak ty to nazywasz,

działaliby indywidualnie i spontanicznie. W ciągu pięciu minut wszyscy rzuciliby się sobie do gardła.

— Co oznacza, że ty chciałbyś podrzynać gardła — stwierdził Birkin.

— Z czego to wynika? — zapytał z irytacją Gerald.

— Nikt nikomu nie podrzyna gardła, jeśli tego nie chce i jeśli ten drugi nie chce mu swego gardła podstawić. To jest niepodważalny pewnik. Do morderstwa niezbędne są dwie osoby: morderca i ofiara. Na ofiarę też trzeba się nadawać. I nadaje się na nią człowiek, który głęboko, choć skrycie pragnie być zamordowany.

— Czasem mówisz zupełne brednie. Na pewno nikt z nas nie marzy, żeby mu poderżnięto gardło, natomiast mnóstwo ludzi chętnie by nam je poderżnęło przy tej czy innej okazji.

— Patrzysz na świat od najgorszej strony, Geraldzie — rzekł Birkin — i nic dziwnego, że boisz się sam siebie i własnych niepowodzeń.

— Jak to, boję się siebie? — spytał Gerald. — I wcale nie uważam się za pechowca.

—Jak gdyby przyczaiło się w tobie pragnienie, żeby ktoś ci rozpłatał gardło. Podejrzewasz, że każdy człowiek nosi w tym celu nóż w zanadrzu.

— Z czego to wnosisz?

— Z twoich słów.

Zamilkli, czując do siebie dziwną wrogość, bardzo bliską miłości. Tak było zawsze między nimi; zawsze ich rozmowy prowadziły do śmiertelnie bliskiego kontaktu, osobliwej, niebezpiecznej intymności, która była albo nienawiścią, albo miłością, a może jednym i drugim jednocześnie. Na pozór rozstawali się obojętnie, jakby nie miało to żadnego znaczenia. I usilnie starali się zachować te pozory. Ale ich serca płonęły. Obu ich spalał wewnętrzny żar, do którego nie

chcieli się przed sobą przyznać. Postanowili obcować z sobą na stopie swobodnej, nieskrępowanej przyjaźni. Za niemęskie i nienaturalne uważali wszelkie zaognienie wzajemnych stosunków. Nie było w nich ani cienia wiary w możliwość głębokiego związku między mężczyzną i mężczyzną i ta niewiara hamowała rozwój ich wielkiej, lecz tłumionej przyjaźni.

ROZDZIAŁ III

W KLASIE

Dzień szkolny miał się ku końcowi. W ciszy i spokoju odbywała się ostatnia lekcja — podstawy botaniki. Pulpity zarzucone były baziami leszczyny i wierzby, które służyły dzieciom jako modele do rysunków. Ale niebo już ściemniało, zbliżał się wieczór; za mało było światła, żeby rysować. Ursula stała przed klasą i starała się, zadając odpowiednie pytania, uświadomić dzieciom strukturę bazi i rolę, jaką pełnią.

Promień intensywnego światła barwy miedzi, wpadający przez okno po zachodniej stronie, obrysowywał dziecięce głowy czerwonozłotym konturem i rzucał na przeciwległą ścianę rzęsiste, rdzawe odblaski. Ursula jednak prawie tego nie dostrzegała. Była zajęta, dzień się kończył, praca toczyła się jak łagodna fala, która wzbiera, by wnet się cofnąć.

I ten dzień upłynął, podobny do innych, od zajęcia do zajęcia, jak w transie. Teraz już trzeba było się trochę śpieszyć, żeby wypełnić planowe zadania. Nagliła dzieci pytaniami, by przyswoiły sobie, co trzeba, nim zabrzmi dzwonek. Stała w cieniu przed klasą z baziami w ręku, zwrócona ku dzieciom, pochłonięta pasją nauczania.

Usłyszała, że drzwi się otwierają, ale nie zwróciła na to uwagi. Nagle drgnęła. Tuż koło siebie, w miedzianorudej smudze, ujrzała twarz mężczyzny. W pożarze światła, wpatrzony w nią, czekał, aż uświadomi sobie jego obecność. Wstrząśnięta do głębi, przez chwilę myślała, że zemdleje. Znienacka ujawnił się boleśnie cały jej tłumiony lęk.

— Przestraszyłem panią? — spytał Birkin ściskając jej dłoń. — Myślałem, że usłyszała pani, jak wszedłem.

— Nie — wyjąkała, z trudem dobywając głosu. Śmiał się przepraszając ją. Zastanawiała się, czemu go to rozbawiło.

— Bardzo tu ciemno — rzekł. — Może zapalimy lampy?

Przekręcił kontakt i rozbłysło silne, elektryczne światło. Klasa była teraz wyraźna i surowa; wydobyta z miękkiego, magicznego półmroku, wyglądała obco, zupełnie inaczej niż przed jego przyjściem. Birkin odwrócił się i z ciekawością spojrzał na Ursulę. Jej oczy były okrągłe i pełne zdumienia, usta drżały lekko. Sprawiała wrażenie nagle przebudzonej. Delikatne, żywe piękno, jak delikatny blask świtu, rozświetlało jej twarz. Patrzył na nią z nie znaną mu dotąd przyjemnością. Poczuł się wesoły i lekkomyślny.

— Lekcja o baziach? — zapytał biorąc z pulpitu gałązkę leszczyny. —Już się tak rozwinęły? Nie zauważyłem ich w tym roku.

Z zainteresowaniem oglądał gałązkę.

— I czerwone są także! — rzekł na widok przeświturającej tu i ówdzie purpury żeńskiego kwiatu.

Przeszedł między pulpitami, przeglądając zeszyty uczniów. Ursula obserwowała ten uważny obchód. Jego spokój uśmierzał bicie jej serca. Jakby stała z boku w znieruchomiałej ciszy i patrzyła, jak Birkin porusza się w innym, skupionym świecie, spokojny, jak gdyby od jego obecności wytworzyła się w skłębionym powietrzu strefa ciszy.

Nagle zwrócił ku niej twarz i serce zabiło jej szybciej na dźwięk jego głosu.

— Może da im pani kolorowe kredki, dobrze? — powiedział. — Będą mogli żeńskie kwiaty barwić na czerwono, a męskie na żółto. Kontur nie jest ważny w tym wypadku. Tylko znaczenie barwy warto wydobyć.

— Nie mam kredek — rzekła Ursula.

— Na pewno jakieś się znajdą — czerwone i żółte, innych nie potrzeba. Ursula wysłała na poszukiwanie jednego z chłopców.

— Pobrudzą sobie zeszyty — powiedziała rumieniąc się mocno.

— Nie za bardzo. Trzeba te aspekty wyraźnie akcentować. Przecież chcemy ukazać rzeczywistość, nie tylko subiektywne wrażenie. A co jest rzeczywistością? Czerwone, małe, spiczaste stygmaty”żeńskiego kwiatu, zwisające, męskie bazie i żółty pyłek, który przenosi się z jednych na drugie. Przedstawmy to obrazowo jak dziecko, kiedy rysuje twarz — dwoje oczu, nos, usta z zębami... o tak — I zrobił kredą szkic na tablicy.

W tym momencie nowa postać zamajaczyła przez szybę w drzwiach. Była to Hermione Roddice. Birkin pośpieszył jej otworzyć.

— Zobaczyłam twój samochód. Nie masz mi chyba za złe, że wstąpiłam? Chciałam cię zobaczyć przy pracy.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę czule i filuternie, wreszcie zaśmiała się krótko. Teraz dopiero zwróciła się do Ursuli, która wraz z całą klasą obserwowała scenkę między kochankami.

— Dzień dobry, panno Brangwen — zanuciła Hermione właściwym sobie niskim, śpiewnym głosem, w którym jak gdyby wyczuwało się kpinę. — Czy nie przeszkadza pani moja obecność?

Szarymi, ironicznymi oczami wpatrywała się w Ursulę, jakby ją chciała oszacować.

— Och, nie — odrzekła Ursula.

— Czy jest pani tego pewna? — spytała Hermione chłodno, z osobliwą, niemal brutalną impertynencją.

— Naprawdę, bardzo mi przyjemnie — uśmiechnęła się Ursula trochę podniecona i oszołomiona, ponieważ

Hermione zdawała się nacierać na nią, przysunąwszy się blisko, jakby łączyła je zażyłość; a przecież nie mogło ich nic łączyć.

Na taką odpowiedź Hermione czekała. Zadowolona, znowu zwróciła się do Birkina.

— Co przerabiacie? — zaśpiewała po swojemu nonszalancko i natarczywie.

— Bazie — odpowiedział.

— No proszę! A czego się o nich uczycie? — Ciągle mówiła kpiąco, trochę się przekomarzając, jakby rozbawiona sytuacją. Wzięła do ręki gałązkę bazi, lekko rozdrażniona, że Birkin poświęca im tyle uwagi.

W klasie dziwnie wyglądała jej postać otulona starym, obszernym płaszczem z zielonkawego sukna w ciemnozłoty, wypukły wzór. I płaszcz, i jego wysoki kołnierz podszyte były ciemnym futrem. Pod spodem miała suknię z cieniutkiego materiału w kolorze lawendy, obrzeżoną na dole futrem, a na głowie ściśle przylegający kapelusz także z futra i z matowego materiału w złotozielony deseń. Wysoka i trochę niesamowita, wyglądała, jakby wyszła z ram dziwacznego, nowoczesnego obrazu.

— Znasz te małe, czerwone zalążnie kwiatów, z których powstają orzechy? Zauważyłaś je kiedyś? — Podszedł bliżej i pokazał jej na gałązce, o co mu chodzi.

— Nie. Co to jest?

— Te małe kwiatki produkują nasiona, a podłużne bazie tylko pyłek, który je zapładnia.

— Naprawdę? No proszę! — Hermione zbliżyła gałązkę do oczu.

— Z tych czerwonych punkcików rodzą się orzechy, jeśli zapylą je podłużne bazie.

— Małe czerwone płomyki, małe czerwone płomyki — mruczała do siebie Hermione. Przez dłuższą chwilę

wpatrywała się w drobne pączki, z których wychylały się czerwone płomyki znamion.

— Jakie to piękne! Strasznie mi się podobają — przysunęła się do Birkina i wskazała długim, białym palcem czerwone nitki pyłkowe.

— Dotychczas nigdy ich nie spostrzegłaś? — spytał.

— Nie, nigdy.

— Teraz już będziesz je zawsze widziała.

— Tak. Teraz już będę je zawsze widziała — powtórzyła. — Dziękuję, że mi je pokazałeś. Są tak piękne... Małe czerwone płomyki... — Wpadła w dziwne, niemal rapsodyczne uniesienie. Birkin i Ursula czekali. Małe Czerwone słupki kwiatu budziły w niej niepojęty, prawie namiętny, mistyczny zachwyt.

Lekcja skończyła się, książki odłożono, uczniowie rozeszli się w końcu, a Hermione ciągle jeszcze siedziała z łokciem na stole, z podbródkiem opartym na dłoniach, nie zwracając na nic uwagi. Birkin podszedł do okna i z rzęsiście oświedonego pokoju patrzył na szary, bezbarwny pejzaż w padającym bez szmeru deszczu.

Ursula układała w szafie swoje rzeczy.

Wreszcie Hermione wstała i podeszła do niej.

— Pani siostra wróciła do domu?

— Tak.

— Cieszy się, że jest znowu w Beldover? — Nie.

— Dziwię się, że w ogóle może tu wytrzymać. Kiedy tu przebywam, całą energię zużywam na to, żeby znieść brzydotę tych okolic. Może zechciałaby pani mnie odwiedzić? Czy obie z siostrą nie spędziłybyście kilku dni w Breadalby? Serdecznie zapraszam.

— Dziękuję pani bardzo — rzekła Ursula.

— Wobec tego napiszę do pani. Myśli pani, że siostra się zgodzi? Bardzo bym się ucieszyła. Uważam, że jest nadzwyczajna. Niektóre jej prace są naprawdę wspaniałe. Mam jej dwie pliszki rzeźbione w drzewie i polichromowane. Może je pani widziała?

— Nie.

— Uważam, że są cudowne, jak błyski instynktu.

— Jej małe rzeźby są dziwne — powiedziała Ursula.

— Doskonale piękne... Pełne prymitywnego żaru.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego ona lubi tylko to, co małe. Zawsze rzeźbi drobne stworzonka, które można zamknąć w dłoni, ptaki, małe zwierzęta. Lubi patrzeć na świat przez odwróconą lornetkę i w ten sposób wszystko widzi. Jak pani myśli, dlaczego?

Hermione objęła Ursulę długim spojrzeniem, badawczym i nieobecnym, które w młodej kobiecie wzbudziło niepokój.

— Tak — odezwała się wreszcie. — To interesujące. Jak gdyby drobne stworzenia wydawały się jej bardziej subtelne...

— Ale tak chyba nie jest? Mysz nie jest bardziej subtelna niż lew?

Hermione znowu utkwiła w niej długie, badawcze spojrzenie, jak gdyby, zajęta własnymi myślami, nie zważała na to, co Ursula mówi.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Rupert! — wezwała go śpiewnym, ściszonym głosem. Zbliżył się w milczeniu. — Czy małe stworzenia są bardziej subtelne niż wielkie? — spytała z dziwnym, przypominającym chrząknięcie śmiechem, jakby pokpiwała z niego, zadając mu to pytanie.

— Pojęcia nie mam.

— Nie cierpię przesadnej subtelności — rzekła Ursula. Hermione przyjrzała się jej z namysłem.

— Dlaczego? — zapytała.

— Myślę, że to oznaka słabości. — Ursula rzuciła się do walki, jakby jej prestiż był zagrożony.

Hermione nie zwróciła na to uwagi. Miała ściągniętą twarz, marszczyła w zamyśleniu czoło, zdawała się wić w bolesnym trudzie szukania właściwych słów.

— Rupercie, czy ty naprawdę myślisz — zwróciła się do niego, jakby Ursuli wcale tu nie było — że to ma sens? Naprawdę uważasz, że dzieci są szczęśliwsze, jeśli budzi się w nich świadomość?

Ciemny płomień gniewu objął jego twarz. Z bladymi, zapadniętymi policzkami wyglądał prawie nieziemsko. Ta kobieta swoim poważnym, dojmującym pytaniem dotknęła go do żywego.

— Nikt nie budzi w nich świadomości — rzekł. — Sami do niej dorastają, czy chcą, czy nie chcą.

— Ale sądzisz, że są szczęśliwsze, jeśli ten proces przyśpiesza się, pobudza? Czy nie lepiej, by ich wiedza o leszczynie nie była aż tak szczegółowa, żeby widziały rzeczy w całości, bez tego rozbierania na części, bez tej całej nauki?

— A ty sama wolisz wiedzieć, czy raczej nie, że te czerwone kwiatki wysuwają się w oczekiwaniu na zapylenie? — spytał szorstko. Jego głos był brutalny, pogardliwy, okrutny.

Hermione, pogrążona w myślach, stała z uniesioną do góry twarzą. Birkin trwał w rozdrażnionym milczeniu.

— Nie wiem — odpowiedziała ostrożnie. — Po prostu nie wiem.

— Przecież wiedzieć, to dla ciebie wszystko, to całe twoje życie! — wybuchnął.

Spojrzała na niego przeciągle.

— Czy tak? — zapytała.

— Ty musisz wiedzieć. Dla ciebie tylko wiedza istnieje, nic poza tym! — zawołał. — Masz w ustach tylko jedno drzewo i jeden, jedyny owoc.

Znowu milczała przez czas pewien.

— Tak uważasz? — odezwała się wreszcie z niezmąconym spokojem i dodała tonem kapryśnej dociekliwości: —Jaki owoc, Rupercie?

— Wieczne jabłko — odpowiedział zirytowany, że posługuje się metaforą.

— Tak. — Wydawała się ostatecznie wyczerpana. W klasie zapadła cisza. Wreszcie Hermione opanowała się, kurczowo napięła mięśnie i podjęła znowu zwykłym, śpiewnym tonem: — Ale niezależnie ode mnie, Rupercie, czy twoim zdaniem dzieci są weselsze, bogatsze, szczęśliwsze dzięki tej całej wiedzy? Naprawdę tak myślisz? A może lepiej, żeby zostały nietknięte, spontaniczne. Żeby były to raczej zwierzęta, nieskomplikowane, prymitywne, gwałtowne, jakie bądź zresztą, byle nie obciążone samoświadomością, niezdolne do spontanicznych odruchów.

Myśleli, że już skończyła, ale z dziwnym pomrukiem ciągnęła dalej:

— Lepiej niech będą niczym, niż miałyby rosnąć ułomne, z okaleczonymi uczuciami, z okaleczoną duszą i zbaczać z właściwej drogi — Hermione zacisnęła pięść jak w transie — niezdolne do spontanicznego działania, zawsze rozdarte wątpliwościami, obciążone koniecznością wyboru, nie znające uniesień.

Znowu uznali, że skończyła. Ale kiedy Rupert chciał już odpowiedzieć, podjęła swoją dziwaczną rapsodię.

—... niezdolne do zapomnienia o sobie, zawsze świadome, zawsze samoświadome, zawsze świadome siebie. Czy cokolwiek nie jest lepsze niż to? Raczej być zwierzęciem, zwykłym, bezrozumnym zwierzęciem niż tym, tą nicością...

— Uważasz więc, że to wiedza przeszkadza nam żyć, zatruwa nas nadmiarem świadomości? — spytała z rozdrażnieniem.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego przeciągle.

— Tak. — Zamilkła na chwilę, przyglądając mu się błędnym wzrokiem. Przetarła palcami czoło z niejasnym wyrazem zmęczenia na twarzy. Wszystkie jej gesty doprowadzały go do pasji. — To rozum — rzekła — a więc śmierć. — Z wolna wzniosła ku niemu oczy. — Czy rozum — powtórzyła wzdrygając się gwałtownie — nie jest naszą śmiercią? Czy nie niszczy całej naszej spontaniczności, wszystkich naszych instynktów? Czy młodzież dorastająca w naszej epoce nie jest martwa, zanim jeszcze zaczyna żyć?

— Nie dlatego, że ma za dużo rozumu, ale ponieważ ma go za mało — powiedział brutalnie.

—Jesteś pewny? — zawołała. — Mnie się wydaje, że przeciwnie. Są zbyt świadomi, śmiertelnie obciążeni świadomością.

— Uwięzieni w sieci fałszywych, ograniczonych koncepcji.

Pominęła jego słowa milczeniem i ciągnęła dalej swoje śpiewne pytania:

— Kiedy zdobywamy wiedzę, czyż nie tracimy wszystkiego poza nią? — mówiła z patosem. — Skoro wiem już wszystko o kwiecie, czy nie tracę kwiatu, zachowując tylko wiedzę o nim? Czy nie wymieniamy treści na jej cień? Czyż nie zdradzamy życia dla martwych zalet wiedzy? I cóż to dla mnie w końcu znaczy? Jaką wartość ma dla mnie poznanie? Żadnej.

— To są wyłącznie słowa — rzekł. — Wiedza jest dla ciebie wszystkim. Nawet ten twój animalizm zrodził się w twojej głowie. Nie chcesz być zwierzęciem, chcesz, żeby obserwacje własnych, zwierzęcych funkcji fizjologicznych dostarczyły ci intelektualnych emocji. Są to upodobania

całkowicie wtórne i bardziej dekadenckie niż zacofany intelektualizm. Wielbisz namiętności i zwierzęce instynkty, ale czy nie jest to po prostu najgorsza, najniższa forma intelektualizmu? Namiętność, instynkty — chcesz im ulegać, ale tylko w mózgu, tylko w świadomości. To wszystko dzieje się w twojej głowie, pod twoją czaszką. Ale co naprawdę się dzieje, tego nie chcesz wiedzieć. Wolisz kłamstwo, które harmonizować będzie z resztą umeblowania.

Hermione, zaatakowana, zesztywniała w jadowitym uporze. Ursula była zdumiona i zawstydzona. Przerażała ją ich jawna wzajemna nienawiść.

— Zupełnie historia Damy z Shalott — mówił głośno i obojętnie. Zdawało się, że ją oskarża przed nie widzącym powietrzem. — Masz swoje zwierciadło, własną, niewzruszoną wolę, własny, nieśmiertelny rozum, własny świat zamknięty i świadomy. Poza tym nic nie istnieje. Tam, w tym lustrze, musisz mieć wszystko. I teraz, kiedy już wyciągnęłaś z tego wnioski, chcesz się cofnąć i żyć jak istota dzika, która nic nie wie o świecie. Chcesz czystych doznań zmysłowych i „namiętności”.

Zacytował sarkastycznie jej własne określenie. Siedziała skurczona w paroksyzmie wściekłości, bez słowa, jak ugodzona gromem kapłanka greckiej wyroczni.

— Ale twoja namiętność jest kłamstwem — atakował ją dalej gwałtownie. — To wcale nie namiętność, lecz wola, twoja brutalna wola. Chcesz wszystko schwytać i mieć w swojej władzy. Chcesz wszystkim rządzić. Wiesz dlaczego? Bo nie masz prawdziwego ciała, ciemnego, zmysłowego ciała, które żyje. Nie jesteś zmysłowa. Masz tylko wolę i niezachwiane przekonanie, że wszystko rozumiesz, masz żądzę władzy i głód wiedzy.

Spoglądał na nią z nienawiścią i pogardą, cierpiąc, ponieważ ona cierpiała, i wstydząc się, ponieważ wiedział, że się nad nią znęca. Miał ochotę klęknąć przed nią i błagać

o wybaczenie, ale narastał w nim gorzki czerwony gniew. Przestał sobie zdawać sprawę z jej obecności, był tylko pełnym pasji głosem.

— Spontanicznie! — zawołał. — Ty i spontaniczność! Wśród wszystkich istot, które chodzą lub pełzają po tej ziemi, nie ma bardziej rozważnej! O tak, jesteś spontaniczna, spontaniczna z wyrachowania. Ponieważ chcesz, żeby wszystko działo się według twojej woli, w twojej umyślnie spontanicznej świadomości. Taki masz charakter. Chcesz to wszystko zawrzeć w tej swojej małej, odrażającej czaszce, którą by należało rozłupać jak orzech. Póki to się nie stanie, będziesz zawsze taka sama, jak owad w swojej otoczce. Gdyby ktoś ci rozwalił czaszkę, może wydobyłby z ciebie spontaniczną, namiętną kobietę, prawdziwie zmysłową. To, czego chcesz teraz, to tylko pornografia, przeglądanie się w lustrze, obserwowanie odbicia nagich, zwierzęcych gestów, po to, żeby to wszystko przefiltrować przez umysł, przekształcić w doznanie intelektualne.

Atmosfera była gęsta od napięcia, jakby padło zbyt wiele słów, słów nie do wybaczenia; Ursulę jednak interesowały teraz jej własne problemy. Była blada i zamyślona.

— Ale czy panu naprawdę zależy na zmysłowości? — spytała ze zdumieniem.

Birkin spojrzał na nią i zaczął gorliwie tłumaczyć.

— Szczerze mówiąc, zależy mi tylko na tym i na niczym więcej. To jest spełnienie — potężna, mroczna wiedza, zawarta nie w mózgu. Ciemne, bezwiedne istnienie. To śmierć dla własnego ja, lecz także przejście w inną formę bytu.

— Ale w jaki sposób? Gdzie mieści się wiedza, jeśli nie w mózgu? — pytała niezdolna pojąć jego słów.

— We krwi. Kiedy umysł i znany świat tonie w mroku, wszystko musi zniknąć, musi nastąpić potop. I wtedy dopiero czujesz, że jesteś ciałem, dotykalnym ciałem ciemności, demonem...

— Ale dlaczego mam być demonem?

— „Dziewczę, co płacze kochanka — demona” — zacytował. — Dlaczego, nie wiem.

Hermione ocknęła się jakby ze śmierci, z unicestwienia.

—Jaki z niego koszmarny satanista, prawda? — wycedziła dziwnym, donośnym głosem, który przeszedł w przenikliwy, rozbawiony śmiech. Obie kobiety drwiły z niego, ich drwiny strącały go w nicość. Przenikliwym śmiechem triumfującej kobiecości Hermione drwiła z niego, jakby był bezpłciowy.

— Nie — rzekł — to ty jesteś prawdziwym szatanem, który chce zdusić każdy przejaw życia.

Spojrzała na niego powłóczyście, złośliwie, lekceważąco.

— Ty naturalnie jesteś w tym najlepiej zorientowany? — spytała zimno, z przewrotną ironią.

— Wystarczająco — odpowiedział z twarzą jak stal skupioną i jasną. Straszna rozpacz przeniknęła Hermione, a jednocześnie uczucie ulgi, wyzwolenia. Zwróciła się przyjaźnie do Ursuli:

— Na pewno przyjedzie pani do Breadalby? — nalegała.

— Ależ tak, będzie to dla mnie wielka przyjemność.

Hermione przyglądała się jej z namysłem, uspokojona i dziwnie daleka, nieobecna, jakby opętana.

— Cieszę się — rzekła opanowując się. — Mniej więcej za dwa tygodnie, dobrze? Napiszę do pań na adres szkoły, dobrze? I na pewno pani przyjedzie? Tak? Będzie mi bardzo miło. Do widzenia! Do widzenia!

Wyciągnęła rękę i spojrzała w oczy Ursuli. Rozpoznała w niej bezpośrednią rywalkę i dziwnie ją to podniecało. Poza tym żegnała się. Zawsze to, że odchodzi i zostawia tę drugą, dawało jej poczucie siły, przewagi. Co więcej, zabierała z sobą mężczyznę, choćby nawet pełnego nienawiści.

Birkin stał z boku bez ruchu, wręcz nierzeczywisty. Ale teraz, kiedy z kolei on miał się pożegnać, znów zaczął mówić:

—Jest ogromna różnica między prawdziwym, zmysłowym istnieniem a rozpustą, przemyślną rozwiązłością z premedytacją, której wielu z nas się oddaje. Nocą zapalamy zawsze elektryczność, sami się obserwujemy, układamy to wszystko w głowie. Człowiek ucieka, zanim się dowie, czym jest rzeczywistość zmysłowa, ucieka w nieznane, rezygnuje z własnych pragnień, z własnego ja. Musi to zrobić. Musi uczyć się nie być, zanim jeszcze zaczyna być. Jesteśmy próżni — na tym to polega. Jesteśmy próżni, ale brak nam dumy. Wcale nie ma w nas dumy, tylko sama próżność, jesteśmy ślepo zakochani w naszych jaźniach z papier maché. Każdy wolałby raczej umrzeć, niż zrezygnować ze swojej śmiesznej racji, śmiesznego zacietrzewienia i śmiesznego uporu.

W pokoju zapadła cisza. Obie kobiety były urażone i wrogie. Birkin podniósł głos, jak gdyby przemawiał na wiecu. Hermione po prostu nie uważała, sztywno wyprostowana wzruszyła niechętnie ramionami.

Ursula przyglądała mu się ukradkiem, niezupełnie świadoma, co widzi. Miał wielki fizyczny urok — osobliwe, utajone bogactwo — który przebijał się przez jego szczupłość i bladość, jak inny głos przekazujący inną o nim wiedzę. W łuku jego brwi, w kształcie podbródka, w wyrazistych, subtelnych, czarujących rysach tkwiło olśniewające piękno życia. Nie wiedziała, na czym to polega. Ale dawało jej to poczucie pełni i swobody.

— Przecież jesteśmy dosyć zmysłowi, wcale o to nie zabiegając? — spytała z błyskiem złotego uśmiechu migocącego jak wyzwanie w jej zielonych oczach. Natychmiast dziwny, swobodny, ogromnie pociągający uśmiech ogarnął jego oczy i czoło, choć usta pozostały zaciśnięte.

— Nie — odrzekł — niewystarczająco. Jesteśmy zbyt przepełnieni sobą.

— Uważa pan, że to kwestia próżności?

— Wyłącznie próżności. Była szczerze zdziwiona.

— Czy nie sądzi pan, że ludzie są najbardziej próżni na temat swoich zmysłowych możliwości? — zapytała.

— Dlatego właśnie nie są zmysłowi, tylko łasi na zmysłowe doznanie, a to jest zupełnie co innego. Zawsze są świadomi siebie i tak niezmiernie próżni, że zamiast wyzwolić się, żyć w innym świecie, czerpać z innych źródeł, oni...

— Na. pewno chce się już pani napić herbaty — zwróciła się do Ursuli Hermione z łaskawą dobrotliwością. — Po całym dniu pracy...

Ursulę przeszył spazm gniewu i żalu. Twarz Birkina stwardniała. Pożegnał się, jakby przestał ją zauważać.

Wyszli oboje. Ursula stała przez chwilę w miejscu, wpatrzona w drzwi. Potem pogasiła światła. W ciemności znów usiadła zamyślona i zagubiona. Nagle zaczęła płakać, rozszlochała się gorzko, rzewnie; czy z przygnębienia, czy z radości — nie miała pojęcia.

ROZDZIAŁ IV

NUREK

Minął tydzień. W sobotę, z małymi przerwami, padał łagodny, mżący deszcz. Podczas jednej z takich przerw Ursula i Gudrun wybrały się na spacer drogą do Willey Water. Powietrze było szarawe i przejrzyste, ptaki zanosiły się śpiewem na młodych gałęziach, ziemia ponaglała i przyspieszała kiełkujące rośliny. Dziewczęta szły prędko, rozradowane porankiem, którego szumy łagodne i subtelne przepełniały wilgotną mgłę. Przydrożne tarniny stały w mokrych, białych kwiatach, których bursztynowe włókienka płonęły słabo w białym tumanie płatków. Fioletowe gałęzie połyskiwały ciemno w szarym powietrzu, wysokie żywopłoty błyskały jak żywe cienie, coraz bliższe, coraz bardziej rzeczywiste. Także i poranek był coraz bardziej rzeczywisty.

Siostry podeszły do Willey Water; jezioro ciągnęło się szare i dobrze widzialne w zamglonym pejzażu, w którym przeświytywały drzewa i łąki. Od strony drogi dochodziło brzęczenie owadów, jak gdyby szum elektryczności, ptaki świergotały na wyścigi, od jeziora słychać było tajemniczy plusk fal.

Dziewczęta szły szybko naprzód. Przed nimi, w załomie jeziora, w pobliżu drogi, znajdował się pod orzechowym drzewem omszały budynek przystani wioślarskiej, a także małe molo z przycumowaną łodzią, rozchwianą jak cień na spokojnej, szarej wodzie pod zielonymi, zmurszałymi słupami. Mgiełki unoszące się w powietrzu zapowiadały bliskość lata.

Nagle z przystani wybiegła biała postać, w błyskawicznym tempie znalazła się na końcu starego mola i

rzuciła się białym łukiem w powietrze. Woda rozprysła się i wygładziła wokół pływaka, który sunął w dal wśród lekkiego falowania. Miał dla siebie cały ten inny świat, mokry i daleki. Mógł pogrążyć się w przejrzystej, czystej szarości dziewiczych wód.

Gudrun przyglądała się temu stojąc przy kamiennym murze.

— Jakże mu zazdroszczę — powiedziała niskim, żarliwym głosem.

— E, tam. — Ursula zadygotała. — Tak zimno!

— Ale jak dobrze, jak cudownie jest tak sobie odpłynąć!

Siostry stały obserwując, jak pływak coraz bardziej oddala się w szarą przestrzeń wodną, jak rytmicznie sunie pod łukiem mgły i mglistych drzew.

— Chciałabyś być na jego miejscu? — Gudrun spojrzała pytająco na Ursulę.

— Tak — odpowiedziała Ursula — chociaż nie jestem pewna... Tak mokro!

Gudrun potwierdziła niechętnie. Zafascynowana patrzyła na falującą taflę wody. Pływak w pewnej odległości zawrócił i płynął na wznak, spoglądając ponad wodą na dziewczęta, które przystanęły pod murkiem. W lekkim wirze, jaki wzniecał wokół siebie, dostrzec mogły jego rumianą twarz; widziały, że on też im się przygląda.

— To Gerald Crich — powiedziała Ursula.

— Wiem — odrzekła Gudrun.

Stała bez ruchu, wpatrzona ponad wodą w twarz, która raz po raz wyłaniała się z toni w rytmie miarowych ruchów Geralda. Zanurzony w innym żywiole, widział je, uszczęśliwiony własną przewagą i światem, który posiadł na własność. Był wolny i doskonały. Kochał swoje mocne, zamaszyste ruchy, zetknięcie rąk i nóg z bardzo zimną wodą, utrzymujące go na powierzchni. Był zadowolony, że

dziewczęta przyglądają mu się z daleka. Dał im znak uniesioną ręką.

— Macha do nas — rzekła Ursula.

— Tak.

Nie spuszczały z niego wzroku. Znów dziwnym gestem dał im znać, że poznaje je, choć przebywa w odmiennym świecie.

—Jak Nibelung — zaśmiała się Ursula. Gudrun stała w milczeniu i patrzyła na wodę.

Gerald nagle zawrócił, odpływał szybko na boku. Był teraz samotny i wolny wśród wodnej przestrzeni, którą miał wyłącznie dla siebie. Nieskrępowany i niezależny, upajał się samotnością wśród nowego żywiołu. Był szczęśliwy, że unosi się sam jeden w świecie wody tylko dzięki ruchom nóg i ciała, bez żadnych więzi i obowiązków.

Gudrun zazdrościła mu niemal boleśnie. Ta idealna samotność w płynnym żywiole, choćby nawet przelotna, wydawała jej się tak godna pożądania, że stojąc na szosie poczuła się jak wyklęta.

— Boże, jakie to szczęście być mężczyzną! — zawołała.

— Co? — zdziwiła się Ursula.

— Wolność, niezależność, swoboda ruchów! — zawołała Gudrun z twarzą w wypiekach i dziwnie podniecona. — Mężczyzna, jeśli chce coś zrobić, po prostu to robi. Nie musi pokonywać tysiąca przeszkód, które piętrzą się przed kobietą. — Ursula zadawała sobie pytanie, co skłoniło Gudrun do tego wybuchu. Nie rozumiała, o co jej chodzi.

— A co ty właściwie chcesz robić?

— Nic! — zawołała Gudrun, z miejsca zadając kłam własnym słowom. — Ale wyobraź sobie, że chcę. Że na przykład chcę popływać w tym jeziorze. I oczywiście jest niemożliwe, absolutnie wykluczone, żebym teraz rozebrała

się i wskoczyła do wody. Czy to nie idiotyczne? Przecież to wręcz przeszkadza nam żyć.

Ursula zastanawiała się, dlaczego jej siostra jest tak rozgorączkowana i oburzona.

Ruszyły teraz dalej drogą pod górę. Szły wśród drzew, tuż poniżej Shortlands. Widać stąd było długi, niski dom, niewyraźny, pełen uroku w wilgotnej, porannej mgle, z cedrami pochylonymi ku oknom. Gudrun przyglądała mu się ze szczególną uwagą.

— Prawda, że jest ładny, Ursulo?

— Bardzo — odparła Ursula. — Pełen czaru i spokoju.

— Ma dobry kształt. Jest stylowy.

— Z jakiej epoki?

— Na pewno z osiemnastego wieku. Dorothy Wordsworth i Jane Austen, nie uważasz?

Ursula roześmiała się.

— Nie uważasz? — powtórzyła Gudrun.

— Być może, ale Crichowie chyba nie są z tej epoki. Wiem, że Gerald zakłada prywatną elektrownię, żeby oświetlić dom, i wprowadza różne nowoczesne udogodnienia.

Gudrun żywo wzruszyła ramionami.

— To przecież nieuniknione.

— No tak — śmiała się Ursula. — On przeskoczył kilka pokoleń. Nienawidzą go za to. Chwyta każdego za kark i wlecze za sobą. Nie ma rady. Umrze, kiedy już wszystko unowocześni. W każdym razie ma zryw!

— Na pewno — zgodziła się Gudrun. — Prawdę mówiąc, nie spotkałam jeszcze nikogo z takim ładunkiem energii. Niestety, nie wiadomo, na co ją zużywa i jakie to daje wyniki.

— Owszem, wiadomo. Zużywa ją na wprowadzanie nowoczesnych udogodnień.

—Właśnie.

— Czy ty wiesz, że on zastrzelił brata?

— Zastrzelił brata?! — Gudrun zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

— Nie wiedziałaś? Myślałam, że słyszałaś o tym. Bawili się obaj strzelbą. Kazał bratu zajrzeć w lufę, strzelba była nabita i rozwaliła chłopcu głowę. Potworne.

— Straszne! — zawołała Gudrun. — Dawno to się zdarzyło?

— O tak, byli jeszcze dziećmi. Chyba nie znam drugiej tak okropnej historii.

— On, oczywiście, nie wiedział, że strzelba jest nabita?

— Nie: Ta stara broń od lat leżała w stajni. Nikomu nie wpadło do głowy, że kiedykolwiek wystrzeli i oczywiście nikt nie przypuszczał, że jest nabita. Niesamowity wypadek!

— Makabryczny. Co za koszmar przeżyć coś takiego w dzieciństwie i dźwigać potem ciężar odpowiedzialności przez całe życie! Wyobraź sobie tylko: dwaj chłopcy bawią się i nagle spada to na nich, nie wiadomo dlaczego, jak grom z jasnego nieba. Ursulo, to mnie przeraża! To jedna z tych rzeczy, jakich nie mogę znieść. Morderstwo jest do pomyślenia, bo za nim stoi czyjaś wola. Ale żeby coś takiego się wydarzyło...

— Może była w tym podświadoma wola? — powiedziała Ursula. — Czy nie sądzisz, że w zabawie w zabijanie zawsze jest jakieś pierwotne pragnienie morderstwa?

— Pragnienie! — Gudrun zesztywniała. — Nawet nie wiem, czy się bawili w zabijanie. Pewnie jeden chłopiec powiedział drugiemu: „Zajrzyj do lufy, a ja nacisnę cyngiel i zobaczymy, co się stanie”. Według mnie to najczystszy przypadek.

— Nie — zaprotestowała Ursula. — Nie mogłabym nacisnąć cyngla żadnej strzelby, gdyby ktoś zaglądał do lufy, choćby nie było w niej śladu prochu. Tego się nie robi instynktownie. Po prostu nie można.

Milczenie Gudrun wyrażało ostry sprzeciw.

— Oczywiście — rzekła chłodno. — Kobiecie, kobiecie dorosłej instynkt na to nie pozwoli. Nie widzę jednak, jak to się da zastosować do dwóch małych chłopców, którzy bawią się z sobą.

Mówiła zimno i gniewnie

— Ależ tak! — upierała się Ursula. W tym momencie dobiegł je podniesiony, kobiecy głos.

— Niech to diabli! — Podeszły bliżej i zobaczyły Laurę Crich i Hermione Roddice na polu po drugiej stronie żywopłotu. Laura szarpała furtkę, która nie chciała się otworzyć. Ursula natychmiast pospieszyła z pomocą.

— Bardzo, bardzo dziękuję — rzekła Laura. Zarumieniona, wyglądała jak zakłopotana amazonka. — Zawiasy są nie w porządku.

— Właśnie — potwierdziła Ursula. — I furtka jest taka ciężka.

— Niesłychanie! — zawołała Laura.

— Dzień dobry — zaśpiewała Hermione znalazłszy się w zasięgu głosu. — Ładna pogoda. Panie, jak widzę, spacerują. Zachwycająca jest ta młoda zieleń. Olśniewa swoją pięknością. Witam, witam... Odwiedzą mnie panie? Serdecznie dziękuję. Może w przyszłym tygodniu, dobrze? Do widzenia, do widzenia.

Gudrun i Ursula przyglądały się, jak ze sztucznym uśmiechem skłania głowę i odprawia je powolnym gestem ręki — dziwna postać, wysoka i budząca lęk. Ciężkie, jasne włosy opadały jej na same oczy. Odeszły, jak odprawione podwładne. Wszystkie cztery ruszyły w swoją stronę.

Gdy siostry wystarczająco się oddaliły, Ursula rzekła z wypiekami na twarzy:

— Ona jest naprawdę bezczelna.

— Kto? Hermione Roddice? Dlaczego?

— Sposób, w jaki nas traktuje! Co za impertynencja!

— Przepraszam, Ursulo, ale gdzie tu dopatrzyłaś się impertynencji? — spytała dość chłodno Gudrun.

— W jej całym zachowaniu. To nieznośne, jak ona próbuje każdego sobie podporządkować. Ciągle rozkazuje. „Odwiedzicie mnie”. Jakbyśmy się ubiegały o ten zaszczyt.

— Nie rozumiem, Ursulo, co cię tak wzburzyło — rzekła Gudrun z pewnym zniecierpliwieniem. — Wiadomo, że kobiety tego rodzaju są aroganckie... Wyzwolone kobiety, które wyemancypowały się ze środowiska arystokratycznego...

— Takie to niepotrzebne, takie wulgarne! — zawołała Ursula.

— Wcale tego nie widzę. A gdyby nawet, pour moi elle n’existe pas. Nie jest w jej mocy zachować się impertynencko wobec mnie.

— Myślisz, że cię lubi?

— Chyba nie. Nie sądzę.

— Dlaczego wobec tego zaprasza cię do Breadalby? I to na dłuższą wizytę? Gudrun wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Ostatecznie zdaje sobie sprawę, że nie jesteśmy byle kim. Cokolwiek by można o niej powiedzieć, nie jest głupia. Ja też wolałabym przebywać z kimś, kogo nie lubię, niż z kobietą przeciętną, która nie umie wyjść poza własne środowisko. Hermione Roddice ponosi pewne ryzyko.

— Ursula zastanawiała się przez chwilę.

— Wątpię — odparła. — W gruncie rzeczy żadnego ryzyka nie ponosi. Powinnyśmy chyba podziwiać ją, że może zapraszać nas — dwie nauczycielki — i nie jest to dla niej ryzykiem.

— Właśnie. Pomyśl o tysiącach kobiet, które by się na to nie odważyły. Ona dobrze wykorzystuje swoje przywileje — to niemało. Prawdę mówiąc sądzę, że na jej miejscu postępowałabym tak samo.

— Nie — zaprotestowała Ursula. — Mnie by to nudziło. Nie mogłabym marnować życia na takie zabawy. To poniżej godności.

Były jak nożyce tnące wszystko, na co natrafią; albo jak nóż i kamień, na którym go się ostrzy.

— Oczywiście! — krzyknęła nagle Ursula. — Ona powinna dziękować swojej szczęśliwej gwieździe, jeśli zechcemy ją odwiedzić. Ty jesteś skończenie piękna, zawsze byłaś i jesteś tysiąc razy piękniejsza od niej i według mnie tysiąc razy

lepiej ubrana. Ona nigdy nie wyglądała świeżo i naturalnie jak kwiat, zawsze staro i wymyślnie. Obie jesteśmy również znacznie inteligentniejsze od większości ludzi.

— Niewątpliwie — potwierdziła Gudrun.

— I trzeba to po prostu uznać — oświadczyła Ursula.

— Owszem, trzeba. Ale zobaczysz sama, że prawdziwy szyk polega na tym, żeby być kimś absolutnie przeciętnym, idealnie zwyczajnym i nie wyróżniającym się z tłumu, wtedy dopiero jest się naprawdę arcydziełem człowieczeństwa, już nie zwykłym człowiekiem z tłumu, lecz jego artystyczną kreacją.

— Jakie to okropne!

— Tak, Ursulo, to jest z wielu względów okropne. Nie śmiesz być czymkolwiek, co nie jest zdumiewająco à terre,

tak bardzo à terre, że staje się artystyczną kreacją przyziemności.

— To strasznie nudne wymyślać gorszą wersję własnej osoby — roześmiała się Ursula.

— Bardzo nudne! Rzeczywiście, Ursulo, to jest nudne, oto właściwe określenie. Potem człowiek już tylko chciałby być górnolotny i wygłaszać tyrady a la Corneille.

Gudrun aż zarumieniła się podniecona własną inteligencją.

— I puszyć się — dorzuciła Ursula. — Człowiek lubi puszyć się, chce być łabędziem wśród gęsi.

— O, właśnie! — zawołała Gudrun. — Łabędziem pośród gęsi.

— Wszyscy oni są tak zajęci odgrywaniem brzydkich kacząteк — nie przestawała kpić Ursula. — A ja ani trochę nie czuję się jak żałosne, brzydkie kaczątko. Czuję się jak łabędź wśród gęsi... i nic na to nie poradzę. To przez nich tak się czuję. I nie dbam, co oni sobie o mnie pomyślą. Je m’en fiche.

Gudrun obrzuciła Ursulę dziwnym spojrzeniem, jakby zazdrosnym i niechętnym.

— Naturalnie, jedyne wyjście to gardzić nimi wszystkimi. Po prostu gardzić — powiedziała.

Siostry wróciły do domu, by czytać, rozmawiać i pracować, a także czekać na poniedziałek i szkolne lekcje. Ursula często zastanawiała się, czy czeka na coś innego poza początkiem i końcem szkolnego tygodnia, początkiem i końcem świąt. I to byłoby wszystko? Zdarzały jej się okresy strasznego lęku, że życie jej minie i skończy się właśnie na tym. Ale nigdy nie godziła się na taką możliwość. Jej umysł nie stępiał i jej przyszłość była jak młody pęd, który wciąż rośnie, lecz nie wydobył się jeszcze spod ziemi.

ROZDZIAŁ V

W POCIĄGU

W tym okresie Birkin pewnego dnia został wezwany do Londynu. Nie miał właściwie stałego miejsca pobytu. Wynajmował mieszkanie w Nottingham, ponieważ tam głównie pracował. Często jednak przebywał w Londynie lub w Oxfordzie. Dużo czasu spędzał w rozjazdach, prowadząc życie nieuregulowane, pozbawione ustalonego rytmu, niesystematyczne.

Na peronie stacji kolejowej zobaczył Geralda Cricha czytającego gazetę w oczekiwaniu na pociąg. Sam stanął nie opodal wśród pasażerów. Nie miał zwyczaju podchodzić do nikogo w czasie podróży.

Od czasu do czasu Gerald w charakterystyczny dla siebie sposób podnosił głowę i rozglądał się wokół Nawet zagłębiony w lekturze musiał być czujny wobec otoczenia, jakby działała w nim dwoista świadomość. Myślał intensywnie o czymś, co właśnie przeczytał, a jednocześnie nic z tego, co działo się dookoła, nie uchodziło jego uwagi. Birkina, który go obserwował, denerwowała ta dwoistość. Spostrzegł już zresztą, że Gerald zawsze ma się jakby na baczności wobec ludzi, mimo że w towarzystwie zawsze jest osobliwie wesoły i ożywiony.

Birkin drgnął gwałtownie, dostrzegłszy nagły błysk radości na twarzy Geralda, który już zbliżał się z ręką wyciągniętą na powitanie.

— Witam, Rupert, dokąd się wybierasz?

— Do Londynu. I ty też, jak sądzę?

— Tak...

Gerald spojrzał na Birkina z zaciekawieniem.

— Możemy jechać razem, jeśli chcesz — rzekł.

— Przecież podróżujesz zwykle pierwszą klasą?

— Nie znoszę tłumu. Ale w trzeciej też będzie dobrze. Jest tam wagon restauracyjny, będziemy mogli napić się herbaty.

Obaj spoglądali na zegar dworcowy, nie mając sobie nic więcej do powiedzenia.

—Jest coś ciekawego w gazecie? — spytał Birkin. Gerald obrzucił go bystrym spojrzeniem.

— Czy to nie zabawne, co oni w tych gazetach wypisują? Oto dwa wstępniaki — wyciągnął „Daily Telegraph” — pełne zwykłych, dziennikarskich frazesów. —

Przebiegł wzrokiem szpalty. — A tu, obok tamtych artykułów, niewielka, nie wiem, jak to nazwać, może rozprawka, która głosi, że musi znaleźć się człowiek, który nada wszystkiemu nową wartość, objawi nam nowe prawdy, nauczy nowej postawy wobec życia, bo w przeciwnym razie w ciągu paru lat rozpadniemy się w nicość, nasz kraj będzie w ruinie.

— Myślę, że to też próbka dziennikarskich frazesów — powiedział Birkin.

— Autor wydaje się wierzyć uczciwie w to, co pisze.

— Pozwól… — Birkin wyciągnął rękę po gazetę.

Nadszedł pociąg, wsiedli i zajęli miejsca w wagonie restauracyjnym po dwu stronach małego stolika przy oknie. Birkin przejrzał gazetę i zwrócił się do Geralda, który spokojnie czekał:

— Tak, sądzę, że on wierzy w to, co pisze, jeśli w ogóle w cokolwiek wierzy.

— A twoim zdaniem ma rację? Uważasz, że naprawdę potrzebna nam jest nowa ewangelia?

Birkin wzruszył ramionami.

— Ci, którzy domagają się nowej religii, ostatni zaakceptują nowe idee. Owszem, chcą nowości. Ale żeby przyjrzeć się uczciwie życiu, jakie sobie stworzyliśmy, i odrzucić je, zetrzeć w proch dawne bóstwa — na to nie zdobędziemy się nigdy. Trzeba mocno chcieć pozbyć się wszystkiego, co stare,, zanim zrodzi się coś nowego, nawet w nas samych.

Gerald przyglądał mu się badawczo.

— Uważasz, że powinniśmy odrzucić to życie i zacząć od początku?

— Tak uważam. Musimy kompletnie je zniszczyć, bo inaczej skurczymy się w nim jak w za ciasnej skórze. Tego życia już nie można rozszerzyć.

W oczach Geralda czaił się dziwny uśmieszek, łagodny wyraz rozbawionego zaciekawienia.

— A od czego proponujesz zacząć? Od gruntownych reform i zmian w porządku społecznym?

Między brwiami Birkina zarysowała się lekka zmarszczka zdradzająca napięcie. Jego także ta rozmowa niecierpliwiła.

— W ogóle nic nie proponuję. Jeżeli naprawdę chcemy coś poprawić, najpierw musimy skruszyć stare. Dopóki to nie nastąpi, wszelkie propozycje będą tylko nieznośną zabawą pyszałków.

Uśmieszek zgasł w oczach Geralda, który spytał patrząc zimno na Birkina:

— Naprawdę myślisz, że jest aż tak źle?

— Całkiem źle. Uśmiech znów się pojawił.

— Pod jakim względem?

— Pod każdym. Wszyscy tak okropnie kłamiemy. Naszą dewizą jest okłamywać siebie samych. Naszym ideałem jest świat doskonały: czysty, uczciwy i syty. Zapaskudziliśmy

całą ziemię: praca jest ropiejącym wrzodem, jak robaki grzebiemy się w gnoju po to, by twój górnik mógł mieć fortepian w salonie, ty — kamerdynera i samochód w supernowoczesnym domu, a jako naród — żebyśmy mogli chlubić się naszym Ritzem, naszym imperium, naszymi Gaby Deslie czy naszymi niedzielnymi dodatkami do gazet. To żałosne.

Gerald musiał odczekać chwilę, zanim uporał się w myśli z tą tyradą.

— Chcesz, żebyśmy porzucili nasze domy i żyli na łonie natury? — spytał. —Ja w ogóle nic nie chcę. Ludzie zawsze robią to, co chcą robić... i co potrafią.

Gdyby byli zdolni do czego innego, wszystko wyglądałoby inaczej.

Gerald znów zastanawiał się chwilę. Nie miał zamiaru obrażać się na Birkina.

— A czy nie sądzisz, że fortepian jest dla górnika symbolem czegoś bardzo konkretnego, konkretnej chęci wzniesienia własnego życia na wyższy poziom?

— Wyższy poziom! — zawołał Birkin. — Zawrotne wyżyny moralnej wielkości! Tak bardzo go to podnosi w oczach sąsiada. Widzi siebie odbitego w opinii sąsiadów jak we mgle Brockena, o kilka stóp wyższego dzięki fortepianowi, i jest zadowolony. Żyje dla widma Brockena — dla swego odbicia w opinii ludzkiej. Ty robisz to samo. Jeśli jesteś ważny w oczach świata, sam też uważasz się za ważnego: I dlatego pracujesz tak ciężko w kopalniach. Jeśli możesz wydobyć dość węgla dla, ugotowania pięciu tysięcy obiadów, jesteś pięć tysięcy razy ważniejszy, niż gdybyś mógł ugotować na nim tylko swój własny obiad.

— Przypuszczam, że istotnie tak jest — roześmiał się Gerald.

— Czy nie rozumiesz — rzekł Birkin — że pomagać bliźniemu, by mógł się najeść, to nie większa zasługa niż

jeść samemu? Ja jem, ty jesz, on je, my jemy, wy jecie, oni jedzą. No i co? Po co ta cała koniugacja? Mnie zupełnie wystarcza pierwsza osoba liczby pojedynczej.

— Trzeba rozpocząć od potrzeb materialnych — powiedział Gerald. Birkin pominął tę uwagę milczeniem. — I musimy żyć z jakimś celem. Jesteśmy czymś więcej niż bydło, które skubie trawę i któremu to całkowicie wystarcza.

— Powiedz mi, po co ty żyjesz? Gerald zmieszał się.

— Po co żyję? — powtórzył. — Chyba po to, żeby pracować, wytwarzać coś jak każda istota, która ma cel w życiu. Poza tym żyję, ponieważ żyję.

— A na czym polega twoja praca? Na wydobywaniu z ziemi każdego dnia tysięcy ton węgla więcej. A kiedy już będzie tyle węgla, ile potrzeba, dość pluszowych mebli i fortepianów, kiedy wszystkie króliki zostaną przyrządzone i zjedzone, wszystkim nam będzie ciepło i z pełnymi brzuchami będziemy słuchać, jak młoda panna popisuje się grą na fortepianie — co wtedy? Co potem, kiedy już załatwimy jak należy te twoje potrzeby materialne?

Geralda rozbawiły słowa Birkina i jego sarkastyczny humor. Ale i jemu przychodziły do głowy refleksje.

— Na razie jeszcze tego nie osiągnęliśmy — rzekł. — Mnóstwo ludzi czeka na swego królika i na węgiel, na którym go mogą ugotować.

— A więc podczas gdy ty wydobywasz węgiel, ja mam upolować królika? — spytał drwiąco Birkin.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził Gerald.

Birkin przyglądał mu się uważnie. Dostrzegał jego gruboskórność ukrytą pod maską dobroduszności, tę jego dziwną, wręcz błyskotliwą złośliwość przebijającą przez frazesy o etyce wydajnej pracy.

— Wiesz, Gerald — powiedział — właściwie ja ciebie nie znoszę.

— Wiem, ale dlaczego?

Birkin, nieprzenikniony, zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Chciałbym wiedziać, czy masz świadomość, że mnie nienawidzisz — rzekł wreszcie. — Zdarza ci się, że pogardzasz mną świadomie, nienawidzisz mnie nienawiścią mistyczną? Bo bywają dziwne momenty, kiedy ja nienawidzę cię wręcz kosmicznie.

Gerald był trochę zaskoczony, nawet zbity z tropu. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

— Być może, czasem cię nienawidzę, ale nigdy jasno nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Tym gorzej — rzekł Birkin.

Gerald patrzył na niego ciekawie. W gruncie rzeczy nie całkiem go rozumiał.

— Naprawdę tym gorzej? — powtórzył.

Przez pewien czas milczeli. Birkin, z twarzą lekko ściągniętą od nerwowego napięcia, zmarszczył brwi pod wpływem jakichś zawiłych myśli. Gerald obserwował go ostrożnie, powściągliwie, rozważając coś, jakby nie mógł się zdecydować, do czego tamten zmierza.

Nagle Birkin spojrzał mu wprost w oczy.

— Co według ciebie stanowi cel i sens twojego życia?

Gerald znowu się speszył. Nie rozumiał, o co tamtemu chodzi. Może po prostu żartuje sobie z niego?

— Nie mogę ci tak na poczekaniu odpowiedzieć — oświadczył sarkastycznie.

— Czy sądzisz, że życie ma sens samo w sobie? — zapytał Birkin bez ogródek i bardzo poważnie.

— Moje życie? — Tak.

Gerald milczał zaskoczony.

— Nie, nie umiem powiedzieć — rzekł wreszcie. — Do tej pory chyba nie ma sensu.

— Czym więc było twoje życie do tej pory?

— Och, odkrywaniem świata, zdobywaniem doświadczeń, załatwianiem spraw.

Na czole Birkina wystąpiły, jak wyryte w kamieniu, bruzdy.

— Uważam — rzekł — że człowiek ma potrzebę uprawiania działalności naprawdę czystej, najistotniejszej — taką czystą, najistotniejszą działalnością nazwałbym miłość. Ale ja nikogo nie kocham prawdziwie, przynajmniej teraz.

— A kochałeś już kogoś prawdziwie? — spytał Gerald.

— I tak, i nie.

— Ale nie ostatecznie i nieodwołalnie?

— Nie.

— Ja też nie.

— A chciałbyś?

Gerald długo, z ironicznym błyskiem oczu spoglądał na przyjaciela.

— Nie wiem.

— A ja wiem — rzekł Birkin. — Chcę kochać.

— Chcesz?

— Tak. Chcę miłości ostatecznej i nieodwołalnej.

— Ostatecznej i nieodwołalnej — powtórzył Gerald i dodał po chwili: — Do jednej kobiety?

W świetle wieczoru spływającym żółto na pola twarz Birkina, roztargniona i daleka, przybrała nieugięty wyraz. Gerald ciągle nie mógł go rozszyfrować.

— Tak, do jednej kobiety — powiedział Birkin.

Gerald pomyślał, że mówi to z większym naciskiem niż wiarą.

— Nie wyobrażam sobie, żeby kobieta, i tylko kobieta, mogła wypełnić mi życie.

— Nawet gdyby miłość do kobiety była jego sednem i treścią? Oczy Geralda zwęziły się w dziwnym, niebezpiecznym uśmiechu.

— Nigdy tego w ten sposób nie odczuwałem.

— Nie? To co, według ciebie, jest sednem życia?

— Nie wiem. Chciałbym, żeby ktoś mi to powiedział. O ile się orientuję, życie nie ma żadnego sedna. Jest sklejone sztucznie dzięki mechanizmom społecznym.

Birkin wyglądał, jakby chciał coś stłuc.

— Wiem, że tak jest. Dawne ideały zmarły gwałtowną śmiercią, nie ma już nic. Więc chyba pozostaje tylko idealny związek z kobietą... coś w rodzaju najdoskonalszego małżeństwa... i nic poza tym.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli nie ma kobiety, nie ma nic? — zapytał Gerald.

— Właśnie tak... skoro nie ma Boga.

— Wobec tego krucho z nami — powiedział Gerald. I odwrócił się, żeby patrzeć na umykający za oknem złoty krajobraz.

Birkin nie mógł powściągnąć zachwytu dla urody tej twarzy, twarzy żołnierza, który umie zdobyć się na odwagę obojętności.

— Uważasz, że nie mamy szans?

—Jeżeli moje życie ma zależeć od kobiety, jednej kobiety i tylko kobiety, to chyba nie mamy. W każdym razie nie wierzę, żebym w ten sposób mógł ułożyć sobie życie.

Birkin przyglądał mu się prawie z gniewem.

— Z ciebie prawdziwy niedowiarek.

— Po prostu czuję to, co czuję — Gerald znów obrzucił Birkina drwiącym spojrzeniem niebieskich, twardych, mocno

błyszczących oczu. Twarz Birkina była przez chwilę zagniewana, lecz szybko pojawił się na niej wyraz troski, wątpliwości, wreszcie serdecznej czułości i rozbawienia.

— Bardzo mnie to niepokoi, Geraldzie — rzekł marszcząc czoło.

— Widzę właśnie. — Gerald obnażył zęby w dziarskim, żołnierskim śmiechu.

Gerald podświadomie uległ Birkinowi. Chciał być w pobliżu, w zasięgu jego wpływu. Było w Birkinie coś, co silnie go pociągało. Poza tym jednak nie przywiązywał do jego teorii większego znaczenia. Czuł, że on, Gerald, kieruje się bardziej wypróbowanymi i trwalszymi prawdami niż te, które głosi Rupert. Czuł się też starszy i bardziej doświadczony. Szybko zmieniający się nastrój, ciepło, żywość, błyskotliwa inteligencja — oto, co kochał w przyjacielu. Lubił jego potoczysty, dowcipny sposób wyrażania się i szybkie zmiany uczuć. Istotnej treści słów nigdy naprawdę nie brał pod uwagę: on sam wiedział lepiej.

Birkin zdawał sobie z tego sprawę. Miał świadomość, że Gerald chce go lubić, ale nie traktuje go poważnie. To odstręczało go i mroziło. W miarę jak pociąg pędził naprzód, krajobraz pozostawał w tyle. Geralda Birkin również zostawiał w tyle. Przestał dla niego istnieć. Patrzył przez okno na wieczorny pejzaż i myślał:

„Jeśli ludzkość wyginie, ulegnie zagładzie jak w Sodomie, ale zdarzać się będą wieczory piękne jak ten, ze świetlistą ziemią i świetlistymi drzewami, mnie to wystarczy. Siła sprawcza będzie istnieć i nigdy istnieć nie przestanie. Czym ostatecznie jest ludzkość, jeśli nie jednym z przejawów niepojętego. Skoro więc ludzkość wygaśnie, będzie to tylko świadczyło, że ta szczególna forma wyrazu jest spełniona i dobiegła kresu. To, co wyrażała i co jeszcze wyrazi, nie może być umniejszone. Jest tu, w tym jasnym, wieczornym powietrzu. Niech ludzkość wyginie — czas już

na to — twórcze manifestacje nie ustaną, będą trwały. Ludzkość nie uosabia już niepojętego. Jest martwa. Siła sprawcza przejawi się w czym innym, w odmienny sposób. Oby ludzkość znikła jak najszybciej”.

Gerald przerwał mu myśl pytaniem:

— Gdzie zatrzymujesz się w Londynie? Birkin przeniósł na niego wzrok.

— W Soho. U znajomego. Płacę część czynszu za dom i zatrzymuję się, kiedy chcę.

— Dobry pomysł. Masz coś w rodzaju własnego kąta.

— Tak, ale niezbyt mi to odpowiada. Męczą mnie ludzie, z którymi muszę się tam spotykać.

— Co to za ludzie?

— Artyści, muzycy, cyganeria londyńska — najbardziej krętacka, wyrachowana, zachłanna cyganeria. Ale jest tam paru porządnych ludzi, porządnych pod pewnymi względami. Z głębokiego przekonania, szczerze, nie zgadzają się na dzisiejszy świat. Nie ma w nich nic poza gestem odrzucania i negacji, ale coś w każdym razie reprezentują.

— To też malarze, muzycy?

— Malarze, muzycy, pisarze, kibice, modele, postępowa młodzież, każdy, kto jawnie odrzuca konwencje i nigdzie nie przynależy. To często studenci, którzy nie skończyli studiów, i dziewczęta, które, jak mówią, żyją pełnią życia.

— Wszyscy całkowicie wolni? — spytał Gerald. Birkin zauważył, że wzbudził w nim ciekawość.

— W pewnym sensie. I zarazem od siebie zależni. Każdy stara się gorszyć innych, ale w gruncie rzeczy są do siebie podobni.

W niebieskich oczach Geralda dostrzegł płomyk pożądliwego zaciekawienia. Gerald był przystojny i pociągający, wydawało się, że w jego żyłach płynie wartka i

jakby naelektryzowana krew. Niebieskie oczy lśniły intensywnym, choć zimnym światłem, w jego ciele, kształtach, było jakieś leniwe, bierne, czarujące piękno.

— Moglibyśmy się spotkać... Będę w Londynie dwa, trzy dni — powiedział Gerald.

— Proszę bardzo. Nie mam ochoty iść do teatru ani do music hallu... Najlepiej wpadnij, zobaczymy, jak ci się spodoba Halliday i jego paczka.

— Dziękuję, z przyjemnością — Gerald uśmiechnął się. — A co robisz, dzisiaj wieczorem?

— Obiecałem spotkać się z Hallidayem w „Pompadour”. To nieznośna dziura, ale poza tym nie ma dokąd pójść.

— Gdzie to jest? — zapytał Gerald.

— Na Piccadilly Circus.

— Aha! Mogę tam przyjść?

— Koniecznie, może cię to zabawi.

Zapadł zmrok. Minęli Bedford. Birkin patrzył na krajobraz, coraz bardziej przygnębiony. Zawsze ogarniało go to uczucie, kiedy zbliżał się do Londynu. Jego wstręt do ludzkości, do ludzi w masie, był już prawie chorobliwy.

Gdzie cichy, barwny zachód się uśmiecha, Na złotej łące szeptał do siebie jak człowiek skazany na śmierć.

Gerald, z przenikliwą uwagą, pochylił się naprzód i zapytał z uśmiechem:

— Co mówiłeś?

Birkin spojrzał na niego, roześmiał się i powtórzył:

Gdzie cichy, barwny zachód się uśmiecha, Na złotej łące,

Gdy owce coś tam, coś tam budzą echa na poły śpiące...

Gerald też wyglądał teraz przez okno. Birkin, nie wiadomo dlaczego zmęczony i zniechęcony, powiedział:

— Zawsze czuję się jak skazaniec, kiedy pociąg dojeżdża do Londynu. Wpadam w taką rozpacz i smutek, jakby świat się kończył.

— Naprawdę?! — zdziwił się Gerald. — A czy koniec świata cię przeraża? Birkin nieśpiesznie wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Chyba tak, skoro nieuchronnie nad nami wisi i nie następuje. Ale ludzie budzą we mnie niechęć, wstręt nawet.

Oczy Geralda rozjaśniły się zadowoleniem.

— Czyżby? — przyglądał się Birkinowi badawczo.

Pociąg wjechał już w brzydotę londyńskich przedmieść. Wszyscy w przedziale stali w pogotowiu, szykując się do ucieczki. Wreszcie znaleźli się pod ogromnym sklepieniem dworca, w groźnym cieniu miasta. Birkin zamknął się w sobie. Byli już na miejscu.

Wsiedli razem do taksówki.

— Czy nie czujesz się jak potępieniec? — spytał Birkin, kiedy zamknięci w małym, szybko toczącym się pudełku, spoglądali na ohydną, szeroką ulicę.

— Nie — Gerald roześmiał się.

— To jest prawdziwa śmierć — rzekł Birkin.

ROZDZIAŁ VI

CREME DE MENTHE

Spotkali się w kawiarni w parę godzin później. Gerald pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do obszernej, wysokiej sali. Twarze i głowy gości, majaczące mgliście w oparach dymu, jeszcze bardziej mgliście odbijały się i powtarzały ad infmitum w wielkich lustrach na ścianach, a nowo przybyły odnosił wrażenie, że wkracza w mglisty świat widmowych postaci, bzykających w powietrzu błękitnym od dymu papierosów. Jedynie czerwony plusz fotelików przypominał o konkretnej rzeczywistości w tym świecie przyjemnych iluzji.

Gerald właściwym sobie, powolnym, lecz sprężystym krokiem uważnego obserwatora szedł między stolikami i ludzie podnosili na niego widmowe twarze, gdy ich mijał. Jakby wtargnął w obcy żywioł, znalazł się na nowym, oświetlonym obszarze wśród ciżby grzesznych dusz. Był zadowolony i rozbawiony. Przesuwał wzrok po mglistych, zjawiskowych, dziwnie majaczących twarzach, pochylających się nad stolikami. Dostrzegł Birkina, który wstał i dawał mu znaki.

Przy jego stoliku siedziała dziewczyna o blond włosach, według artystycznej mody przyciętych dość krótko na pazia — gładko opadających i lekko podwiniętych przy uszach. Drobna i wiotka, miała jasną cerę i duże, niewinne, niebieskie oczy. Była w niej kruchość delikatnego kwiatu, a jednocześnie pewna, nie pozbawiona powabu wulgarność, która rozpaliła nagły błysk w oczach Geralda.

Birkin, milczący, nierzeczywisty, jakby nieobecny duchem, przedstawił ją jako pannę Darrington. Podała Geraldowi rękę szybkim, jak gdyby mimowolnym ruchem,

nie odrywając od niego pociemniałych, obnażonych oczu. Siadając zarumienił się mocno.

Podszedł kelner. Gerald zerknął na kieliszki. Birkin pił coś zielonego, przed panną Darrington stał mały kieliszek do likieru, prawie pusty, z jedną kropelką na dnie.

— Napije się pani jeszcze?

— Koniak — rzuciła kelnerowi. Wysączyła ostatnią kroplę i odstawiła kieliszek. Kelner oddalił się. — Nie — zwróciła się do Birkina. — On nie wie, że włóciłam. Będzie przełażony, jak mnie tu zobaczy.

Wymawiała „r” jak „ł” i sepleniła trochę po dziecinnemu w sposób afektowany, ale jednocześnie bardzo naturalny. Głos miała matowy i bezdźwięczny.

— A gdzie on jest? — spytał Birkin.

— Występuje pływatnie u lady Snellgłow — rzekła dziewczyna. — Wałłens też tam jest.

Zamilkli.

— Wobec tego, co masz zamiar robić? — Birkin mówił beznamiętnie i opiekuńczo.

Dziewczyna milczała zachmurzona. Pytanie ją rozzłościło.

— Nic nie zamierzam łobić. Jutło łozejrzę się, kto potrzebuje modelki.

— Do kogo chcesz się zwrócić?

— Najpiełw do Bentleya. Choć przypuszczam, że jest zły na mnie za to, że od niego zwiałam.

— Pozowałaś mu do Madonny?

— Tak. A jeśli nie będzie mnie chciał, zawsze mogę dostać płacę u Kałmałthena.

— U Karmarthena?

— Fłedełic Kałmałthen fotogłafuje.

— Szyfon i ramiona.

— Tak. Ale to bałdzo przyzwoity facet. — Znów zamilkła.

— A jak będzie z Juliuszem?

— Po płostu go zignołuję.

— Skończyłaś z nim definitywnie?

Odwróciła chmurną twarz i pozostawiła pytanie bez odpowiedzi. Inny młody człowiek podszedł szybko do stolika.

— Dzień dobry, Birkin, witaj, Minette, kiedy wróciłaś? — spytał żywo.

— Dzisiaj.

— Czy Halliday wie?

— Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi.

— Aha! Stąd wieje wiatr. Czy mogę się do was przysiąść?

— Łozmawiam z Łupełtem, jeśli nie masz nic przeciw temu? — odpowiedziała chłodno, a jednocześnie prosząco jak dziecko.

— Publiczna spowiedź, lekarstwo dla duszy, co? — rzekł młody człowiek. — A więc bywaj!

Obrzucił Birkina i Geralda bystrym spojrzeniem i odszedł, powiewając połami marynarki. Przez cały czas nikt na Geralda nie zwracał najmniejszej uwagi, czuł jednak, że dziewczyna jest fizycznie świadoma jego bliskości. Czekał, słuchał i starał się tę rozmowę złożyć w sensowną całość.

— Zatrzymałeś się w domu?

— Na trzy dni. A ty?

— Nie wiem jeszcze. Zawsze mogę iść do Belthy — znów zapadła cisza.

Nagle dziewczyna zwróciła się do Geralda i zapytała grzecznie konwencjonalnym, powściągliwym tonem kobiety zdającej sobie sprawę, że jej pozycja towarzyska jest niższa

niż mężczyzny, z którym rozmawia, ale traktuje go z koleżeńską poufałością.

— Dobrze zna pan Londyn?

— Bo ja wiem. Byłem w Londynie wielokrotnie, ale tu, na przykład, jestem po raz pierwszy.

— Wobec tego nie jest pan ałtystą? — spytała tonem, który podkreślał jego obcość.

— Nie.

— Jest żołnierzem, odkrywcą i Napoleonem przemysłu — Birkin podsunął Geraldowi listy uwierzytelniające, bilet wstępu do cyganerii artystycznej.

—Jest pan żołnierzem? — spytała dziewczyna z chłodną, lecz żywą ciekawością.

— Nie, wystąpiłem z wojska parę lat temu.

— Walczył w ostatniej wojnie — wtrącił Birkin.

— Napławdę?

— Potem prowadził poszukiwania nad Amazonką, a teraz rządzi kopalniami węgla.

Dziewczyna przyglądała się Geraldowi ze spokojną, skupioną ciekawością. Opis własnej osoby rozśmieszył go. Ale poczuł się też dumny i pełen męskiej siły. Jego bystre, niebieskie oczy zabłysły uśmiechem, a świeżą twarz pod bardzo jasną czupryną pokrył żywy rumieniec zadowolenia. Wzbudził jej zainteresowanie.

— Jak długo pan tu zostaje? — spytała.

— Dzień lub dwa, nie śpieszy mi się specjalnie.

Nie odrywała od niego przeciągłego, uważnego spojrzenia, które intrygowało go i podniecało. Był dojmująco i rozkosznie świadomy siebie i swego uroku i tak silny, jakby mógł wydzielać z siebie energię elektryczną. Widział, że jej błękitne, bezbronne oczy wpatrują się w niego. Miała piękne oczy jak kwiaty, szeroko otwarte, jakby nagie. Coś w nich

tajemniczo opalizowało, pokrywała je cieniutka, rozkładająca się warstewka złego humoru jak oliwa na powierzchni wody. W ciepłej kawiarni nie miała na głowie kapelusza, a jej prosty, luźny dżemper wykończony był tasiemką przy szyi. Uszyty był jednak z drogiej, żółtej crépe de Chine, która opadała w sutych, miękkich fałdach z jej młodej szyi i z delikatnych przegubów. Wyglądała naturalnie i nieskazitelnie, naprawdę piękna dzięki harmonii kształtów, z połyskliwymi, złotymi włosami, lekko podwiniętymi, które opadały równo z obu stron głowy, z regularnymi, drobnymi rysami, łagodnymi, ale też bardziej wyzywającymi przez nieco nadmierne zaokrąglenie twarzy, ze smukłą szyją, w prostej, jaskrawej bluzce na szczupłych ramionach. Była spokojna, powściągliwa, uważna.

Pociągała Geralda bardzo. Miał przemożne, rozkoszne poczucie, że jest w jego mocy, jego instynktowna czułość graniczyła z okrucieństwem. Gdyż ona była ofiarą. Wiedział, że ma nad nią władzę, i był wielkoduszny. Jego członki wzbierały elektrycznością lubieżną i zmysłową. Mógłby ją unicestwić samą siłą wyładowania. Czekała, jeszcze osobna, ale już uległa.

Przez chwilę rozmawiali o niczym. Nagle Birkin powiedział:

— Przyszedł Juliusz. — Uniósł się nieco z krzesła w stronę nowo przybyłego. Dziewczyna, nie drgnąwszy nawet, dziwnie, jakby złośliwie spojrzała na niego przez ramię. Gerald dostrzegł, że jej jasne, gęste włosy zakołysały się koło uszu. Wiedział, że wpatruje się intensywnie w zbliżającego się mężczyznę, sam więc też na niego spojrzał. Zobaczył smagłego, szczupłego młodzieńca o dość długich, gęstych, czarnych włosach, wymykających się spod czarnego kapelusza, idącego niezdarnie przez salę z twarzą rozjaśnioną uśmiechem naiwnym, ciepłym i zarazem zdawkowym. Śpieszył się, żeby powitać Birkina.

Dopiero będąc całkiem blisko zauważył dziewczynę. Cofnął się, zzieleniał i zapytał wysokim, piskliwym głosem:

— Minette, co ty tu robisz?

Cała kawiarnia podniosła głowę jak stado zwierząt, które usłyszało zew. Halliday stał bez ruchu z głupawym uśmiechem, majaczącym blado na jego twarzy. Dziewczyna nie odrywała od niego zimnych jak lód oczu, w których odbijało się bezdenne piekło świadomości i jakby bezsilność. Speszył ją.

— Dlaczego wróciłaś? — spytał tym samym histerycznym tonem. — Mówiłem, żebyś nie wracała.

Dziewczyna nie odpowiadała, nadal tym samym lodowatym, ciężkim wzrokiem patrzyła, jak stoi z daleka, jakby dla bezpieczeństwa opierając się o sąsiedni stolik.

— Sam chciałeś, żeby wróciła, chodź tu i siadaj! — zawołał Birkin.

— Nie, wcale nie chciałem i powiedziałem jej, żeby nie wracała. Po co wróciłaś, Minette?

— Nie do ciebie w każdym łazie — odpowiedziała, głosem nabrzmiałym urazą.

— Więc po co w ogóle wróciłaś? — zapiał Halliday.

— Wolno jej przebywać, gdzie chce — rzeki Birkin. — Siadasz wreszcie, czy nie?

— Nie, nie usiądę z Minette! — krzyknął Halliday.

— Nie ugryzę cię, nie bój się — powiedziała Minette szorstko, lecz zarazem jakby opiekuńczo.

Halliday podszedł, usiadł przy stoliku i położył rękę na sercu, wołając:

— Omal nie zemdlałem! Minette, co ty wyprawiasz? Po co wróciłaś?

— Nie do ciebie.

— Już to mówiłaś — pisnął.

Odwróciła się od niego do Geralda Cricha, którego oczy błyszczały lekkim rozbawieniem.

— Bałdzo bał się pan dzikich? — spytała spokojnym, matowym, dziecinnym głosem.

— Nie. Nigdy się bardzo nie bałem. W gruncie rzeczy są nieszkodliwi. Jeszcze się właściwie nie narodzili, nie można więc naprawdę ich się bać. Człowiek wie, że sobie z nimi da radę.

— Rzeczywiście? Nie są stłasznie głoźni?

— Nie. W ogóle niewiele jest groźnych rzeczy na świecie. Ludzie, tak jak i zwierzęta, rzadko są naprawdę niebezpieczni.

— Chyba że w stadach — wtrącił Birkin.

— Czy to możliwe? — powiedziała. — A ja myślałam, że dzicy są bałdzo głoźni. Mogą zabić, zanim się człowiek obejrzy.

— Aż tak? — roześmiał się. — Dzikich się przecenia. Za bardzo są podobni do innych ludzi, niezbyt interesujących, gdy minie pierwsze wrażenie.

— Nie trzeba więc być nieustlaszenie odważnym, żeby zostać podłóżnikiem?

— Nie. To raczej kwestia niewygód niż strachu.

— O! A w ogóle bał się pań kiedyś?

— W życiu? Nie wiem. Choć tak, pewnych rzeczy się boję... Że mnie zamkną lub związą. Boję się mieć związane ręce i nogi;

Spoglądała na niego ciągle naiwnymi oczami, które wywoływały w nim ostre podniecenie, choć na zewnątrz pozostawał zupełnie spokojny. Sprawiało mu żywą przyjemność, że wyciąga z niego niespodzianie zwierzenia, jakby wyrywała je z najskrytszego, ciemnego rdzenia jego istoty. Chciała wiedzieć. Jej oczy zdawały się przenikać go do trzewi. Wiedział już, że musi być jego, że jej przeznaczeniem

było go spotkać, że musi patrzeć na niego i poznać go. I wywoływało to w nim dziwne uniesienie. Wiedział też, że podda mu się, będzie mu uległa. Profanka, niewolnica, zapatrzona w niego, zajęta wyłącznie nim. Nie dlatego, że interesowało ją to, co on mówi; pochłaniało ją to, co mówił o sobie, co ujawniał z siebie, chciała poznać jego tajemnicę, chciała doświadczyć jego męskości.

Twarz Geralda rozjaśniał niesamowity uśmiech, promienny i pełen życia, choć nie całkiem świadomy. Siedział z łokciami na stole, opalone, niepokojące dłonie, trochę zwierzęce, lecz bardzo kształtne i kuszące, wyciągnął w jej stronę. Fascynowały ją. Zdawała sobie z tego sprawę i śledziła własną fascynację.

Różni mężczyźni podchodzili do stolika, żeby porozmawiać z Birkinem i Hallidayem. Gerald rzekł po cichu do Minette:

— Skąd pani wróciła?

— Ze wsi — odrzekła Minette niskim, lecz bardzo dźwięcznym głosem. Twarz jej stężała. Spoglądała co chwila na Hallidaya i wtedy w jej oczach zapalał się płomień. Ociężały, ładny młodzieniec całkowicie ją ignorował; wyraźnie bał się jej. Chwilami zapominała o Geraldzie. Jeszcze jej nie zdobył.

— A co wspólnego ma z tym Halliday? — znów poufnie zniżył głos. Przez kilka sekund zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie rzekła niechętnie:

— Namówił mnie, żebym z nim żyła, a tełaz chce mnie rzucić Ale nie pozwala mi zejść się z kim innym. Chce, żebym się zakopała na głuchej wsi. I jeszcze łozpowiada, że go prześladuję i że nie może się mnie pozbyć.

— Sam nie wie, czego chce — powiedział Gerald.

— On w ogóle nic nie wie. Czeka, żeby mu ktoś powiedział, co ma łobić. Nigdy nie łobi tego, co sam chce… bo nie wie, czego chce. Jest jak małe dziecko.

Gerald obserwował przez chwilę Hallidaya, jego miękką, nieco zdegenerowaną, młodą twarz. Właśnie ta miękkość miała swój powab — miękkie, ciepłe usposobienie, w którym można się było zanurzyć z prawdziwą przyjemnością.

— Ale on nie może pani do niczego zmusić?

— Widzi pan, zmusił mnie, żebym z nim żyła, kiedy już wcale nie chciałam. Nachodził mnie i płakał, w życiu pan nie widział tylu łez, mówił, że nie potłafi żyć, jeśli do niego nie włócę. I że nigdy nie odejdzie, że to na wieki. Zmusił mnie do powłotu. I za każdym łazem to samo. A tełaz, kiedy mam mieć dziecko, chce mi dać sto funtów i wysłać na wieś, żeby się mnie pozbyć łaz na zawsze. Ale ja tego nie złobię po...

Twarz Geralda przybrała dziwny wyraz.

—Jest pani w ciąży? — zapytał z niedowierzaniem. Wydawało się to wręcz niemożliwe, była taka młoda i tak daleka duchem od macierzyństwa.

Spojrzała mu prosto w twarz, jej niebieskie, szkliste oczy miały teraz ukradkowe, ciemne spojrzenie człowieka, który poznał zło. Poczuł płomień w sercu.

— Tak — odpowiedziała. — Czy to nie świństwo?

— Nie chce pani dziecka?

— Nie — oświadczyła z naciskiem.

— Ale... Od jak dawna pani wie?

— Od dziesięciu tygodni.

Przez cały czas patrzyła wprost na niego. Zastanawiał się chwilę w milczeniu. Nagle, jakby wyłączył prąd i ostygł, zapytał z ostrożną uprzejmością:

— Czy można tu coś zjeść? Miałaby pani na coś ochotę?

— Tak. Z łoskoszą zjadłabym palę ostłyg.

— Świetnie. Będziemy jedli ostrygi. — I skinął na kelnera.

Halliday nic nie zauważył, póki nie znalazł się przed nią talerz z ostrygami. Wtedy zawołał nagle:

— Minette, nie możesz jeść ostryg, kiedy pijesz koniak.

— A co ciebie to obchodzi?

— Nic, nic! Ale nie możesz jeść ostryg, kiedy pijesz koniak.

— Nie piję — odpowiedziała i bryznęła mu w twarz ostatnimi kroplami z kieliszka. Wydał z siebie dziwny pisk. Przyglądała mu się z rozmyślną obojętnością.

— Minette, dlaczego to zrobiłaś? — krzyknął w panice. Gerald odniósł wrażenie, że Halliday boi jej się i kocha ten swój strach. Zdawał się rozkoszować własnym przerażeniem, mieszać oba uczucia i w prawdziwym popłochu wyciągać z tej mieszaniny rozmaite smaki. Gerald uznał go za szaleńca, osobliwego, ale zabawnego.

— Minette — inny mężczyzna odezwał się cienkim, ożywionym głosem etończyka. — Obiecałaś, że mu nie zrobisz nic złego.

— Nie złobiłam mu nic złego, Maks.

— Czego się napijesz? — zapytał młodzieniec. Był ciemny, gładkoskóry, pełen utajonej siły.

— Nie lubię połtełu, Maks.

— Musisz poprosić o szampana. — Nawet szepcząc miał akcent dżentelmena.

Gerald zorientował się nagle, że jest to wskazówka dla niego.

— Napijemy się szampana? — spytał ze śmiechem.

— Tak, płoszę o wytławny — wysepleniła dziecinnie.

Gerald obserwował, jak je ostrygi. Robiła to z przesadną elegancją. Jej palce były cienkie i zdawały się mieć bardzo wrażliwe koniuszki, brała ostrygę lekkimi, drobnymi ruchami, jadła starannie i delikatnie. Przyglądał się jej z

wielką przyjemnością, co irytowało Birkina. Wszyscy pili szampana. Tylko Maksym, młody Rosjanin z gładką, o ciepłej karnacji twarzą i wypomadowanymi, czarnymi włosami, sprawiał wrażenie absolutnie trzeźwego i spokojnego. Birkin był blady, roztargniony i nienaturalny. Gerald uśmiechał się ciągle z zimnym blaskiem rozbawienia w oczach; pochylał się opiekuńczo w stronę Minette, która wyglądała bardzo ładnie i słodko, jak piękny, lodowaty kwiat w groźnej nagości rozkwitu, dumna już, zarumieniona od wina i podniecenia mężczyzn. Halliday miał głupią minę. Po jednym kieliszku był podpity i rozchichotany, lecz nadal zachował trochę tej miłej, ciepłej naiwności, która stanowiła o jego uroku.

— Nie boję się niczego z wyjątkiem kałaluchów — Minette podniosła wzrok i utkwiła w twarzy Geralda oczy, które zdawała się pokrywać ledwie widoczna, połyskliwa błonka. Roześmiał się, groźnie już rozpłomieniony. Jej dziecinny głosik pieścił mu nerwy, a płonące, zamglone oczy, zwrócone teraz wprost na niego, niepomne przeszłości, jak gdyby mu na coś przyzwalały.

— Nie boję się — zapewniała go raz jeszcze. — Niczego się nie boję, ale kałaluchy, błłł... — wstrząsnął nią dreszcz, jakby sama myśl o nich była nie do zniesienia.

— To znaczy — spytał Gerald z pijacką precyzją — że boi się pani widoku karaluchów, czy tego, że mogą panią ukąsić albo inaczej skrzywdzić?

— To one głyzą?! — krzyknęła dziewczyna.

— Co za koszmar! — zawołał Halliday.

— Nie wiem — Gerald rozejrzał się dokoła. — Czy karaluchy gryzą? Nie o to zresztą idzie. Boi się pani, że ją pokąsają, czy jest to wstręt metafizyczny?

Dziewczyna przez cały czas wpatrywała się w niego oczyma bez wyrazu.

— O, myślę, że one są ohydne, odłażające. Na sam ich widok dostaję gęsiej skółki. Gdyby jakiś po mnie pełzał, na

pewno bym umarła. Na pewno.

— Mam nadzieję, że nie — szepnął młody Rosjanin.

— Kiedy wiem to na pewno — powtórzyła stanowczo.

— No to żaden karaluch nie będzie po pani pełzać — Gerald uśmiechnął się ze znajomością rzeczy. W jakiś osobliwy sposób dobrze ją rozumiał.

— Wobec tego, jak mówi Gerald, jest to uczucie metafizyczne — odezwał się Birkin.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie.

— I niczego innego się nie boisz, Minette? — spytał młody Rosjanin swoim szybkim, przytłumionym, wytwornym głosem.

— Nie, napławdę nie. Boję się łóżnych rzeczy, ale bez połównania mniej. Nie boję się kłwi.

— Nie boisz się krwi?! — zawołał młody człowiek o tęgiej, bladej, drwiącej twarzy, który właśnie przysiadł się i popijał whisky.

Minette rzuciła na niego pełne niesmaku spojrzenie, chmurne i nieprzyjazne.

— Naprawdę nie boisz się krwi? — nalegał urągliwie.

— Wcale się nie boję.

— A widziałaś kiedy krew poza spluwaczką u dentysty? — drwił dalej.

— Nie mówiłam do ciebie — rzekła wyniośle.

— Ale możesz mi chyba odpowiedzieć?

Zamiast odpowiedzi dźgnęła nagle nożem jego bladą, tłustą dłoń. Poderwał się z ordynarnym przekleństwem.

— Od łazu widać, kim jesteś — powiedziała pogardliwie.

— Niech cię diabli wezmą! — krzyknął. Stał przy stoliku i patrzył na nią z cierpką niechęcią.

— Dość tego! — rzucił odruchowo Gerald tonem rozkazu.

Młody człowiek nadal patrzył na nią ze złośliwą pogardą, ale jego blada, tłusta twarz przybrała niepewny, zastraszony wyraz. Ręka zaczęła silnie krwawić,

— Ależ to potworne, zabierz to stąd — pisnął Halliday, odwracając pozieleniałą twarz.

— Słabo ci? — spytał młodzieniec kpiąco, ale z pewną troską. — Słabo ci, Juliuszu? To głupstwo, człowieku, uważaj, bo jeszcze pomyśli, że to bohaterski wyczyn! Nie rób jej tej przyjemności. Tęgo właśnie chce.

— Och! — piszczał Halliday.

— Będzie rzygał, Maksym — ostrzegła Minette. Uprzejmy, młody Rosjanin wstał, wziął Hallidaya pod ramię i wyprowadził. Birkin, blady i skurczony, miał niezadowoloną minę. Sardoniczny młodzieniec odszedł ostentacyjnie, nie zwracając uwagi na krwawiącą rękę.

— To napławdę okłopny tchórz — rzekła Minette do Geralda. — I ma wielki wpływ na Juliusza.

— Kto to jest? — spytał Gerald.

— To Żyd, napławdę. Nie znoszę go.

— On się nie liczy. Ale co się stało Hallidayowi?

— Juliusz to największy tchórz świata! — zawołała. — Zawsze mdleje, kiedy podnoszę nóż. Boi się mnie.

— Hm — mruknął Gerald.

— Oni wszyscy mnie się boją. Tylko temu Żydowi wydaje się, że pokaże, jaki to on odważny. Ale to najgołszy tchórz z nich wszystkich, bo boi się, co ludzie o nim pomyślą. Juliusz wcale o to nie dba.

— Widzę, że w sumie mają mnóstwo odwagi na zbyciu — zażartował Gerald.

Minette spojrzała na niego z przeciągłym uśmiechem. Była bardzo ładna, cała w rumieńcach, ufna w swoją straszną wiedzę. Dwa świetlne punkciki zapaliły się w oczach Geralda.

— Dlaczego nazywają panią Minette? Uważają, że jest pani podobna do kota? — spytał.

— Chyba tak.

Uśmiech na jego twarzy pogłębił się.

— To prawda, albo do młodej pantery.

— Na Boga, Geraldzie! — rzekł Birkin z niesmakiem. Oboje spojrzeli na niego zakłopotani.

— Jesteś dziś milczący, Łupełcie — powiedziała bezczelnie, bezpieczna przy boku Geralda.

Wrócił Halliday, żałosny i mizerny.

— Minette, wolałbym, żebyś nie robiła takich rzeczy... Och!... — opadł z jękiem na krzesło.

— Lepiej właacaj do domu.

— Pójdę do domu. Ale nie poszlibyście ze mną wszyscy? I pan też, prawda? — zwrócił się do Geralda. — Sprawi mi to wielką przyjemność. Proszę, to będzie cudownie, naprawdę. — Rozejrzał się za kelnerem. — Proszę sprowadzić taksówkę. — Znowu jęknął. — Och, czuję się po prostu upiornie! Minette, widzisz, co ty ze mną wyprawiasz?

— To dlaczego jesteś takim idiotą? — spytała z posępnym spokojem.

— Ależ nie jestem idiotą! Och, jakie to okropne! Chodźcie, chodźcie wszyscy. Będzie cudownie. Minette, chodźże, co? Ależ ty musisz przyjść, tak, musisz. Co takiego? Moja kochana, nie rób teraz zamieszania, czuję się absolutnie... Och, co za koszmar...

— Wiesz, że nie możesz pić — powiedziała chłodno.

—Mówię ci, że to nie skutek picia. To twoje okropne zachowanie, Minette, nic innego. Och, jakie to potworne! Libidnikow, chodźmy już.

— On wypił tylko jeden kieliszek, tylko jeden — mruknął prędkim, przytłumionym głosem młody Rosjanin.

Wszyscy skierowali się do drzwi. Dziewczyna trzymała się blisko Geralda, zdawała się nawet poruszać w tym samym co on rytmie. Czuł to i napawało go demonicznym zadowoleniem, że decyduje za nich oboje. Trzymał ją w zagłębieniu swojej woli, uległą, ukrytą, niewidzialną.

W pięcioro wtłoczyli się do taksówki. Halliday wcisnął się pierwszy na chwiejnych nogach i zajął miejsce przy dalszym oknie, potem wsiadła Minette, a za nią Gerald. Słyszeli, jak młody Rosjanin daje wskazówki kierowcy; siedzieli w ciemności, ciasno, jedno przy drugim; Halliday jęczał, wychylony przez okno. Czuli szybkie, stłumione drgania samochodu.

Minette siedziała koło Geralda i płynna, jak gdyby coraz płynniejsza, zdawała się drażniąco spływać w jego kości, wzbierać w jego ciele czarnym strumieniem elektryczności. Cała jej istota nasycała jego żyły magnetyczną ciemnością i skupiała się u podstawy kręgosłupa w przerażające źródło mocy. Jednocześnie rozmawiała obojętnie z Birkinem i Maksymem cienkim, nonszalanckim głosem. Tylko między nią i Geraldem trwała cisza i czarne, elektryczne porozumienie w ciemności. Znalazła jego rękę, objęła ją mocnym uściskiem. Było to wyznanie najgłębiej skryte, lecz zarazem tak jawne, że we krwi, w mózgu poczuł gwałtowne wibracje i stracił panowanie nad sobą. Ciągle jej głos, zabarwiony nutą kpiny, rozbrzmiewał jak dzwonek. Gdy potrząsnęła głową, grzywa jej puszystych włosów musnęła mu twarz i wszystkie nerwy zadrgały w nim jak przeszyte nagłym prądem. Lecz nadal u nasady kręgosłupa tryskało źródło jego mocy i męskiej dumy.

Zajechali na ulicę cichych domów, poszli ścieżką przez ogród do drzwi, które otworzył im ciemnoskóry służący. Gerald zdziwił się, niepewny, czy nie jest to przypadkiem dżentelmen, może nawet oxfordczyk ze Wschodu. Ale nie, był to służący.

— Zrób herbatę, Hassanie — powiedział Halliday.

— Znajdzie się dla mnie pokój? — spytał Birkin.

W odpowiedzi Hassan uśmiechnął się i coś zamruczał. Gerald nadal się wahał, gdyż Hassan, wysoki, szczupły i powściągliwy, sprawiał wrażenie człowieka z towarzystwa.

— Kim jest pański służący? Wygląda bardzo elegancko — zagadnął Hallidaya.

— A tak, dlatego, że ma na sobie cudze ubranie. Naprawdę nie ma z elegancją nic wspólnego. Znaleźliśmy go zagłodzonego na drodze. Wziąłem go do siebie, a ktoś dał mu ubranie. Jest zupełnie inny, niż się wydaje. Ma jedną zaletę: nie mówi i nie rozumie po angielsku, człowiek czuje się z nim bezpiecznie.

— Jest bardzo brudny — cicho i szybko powiedział młody Rosjanin. Służący natychmiast znowu pojawił się w drzwiach.

— O co idzie? — spytał Halliday.

Mężczyzna uśmiechnął się i mruknął wstydliwie:

— Chcieć mówić z panem.

Gerald obserwował go ciekawie. Ten człowiek był przystojny, dobrze zbudowany, miał spokojny sposób bycia, wyglądał elegancko, arystokratycznie. A przecież był półdzikusem i uśmiechał się głupkowato. Halliday wyszedł na korytarz, by z nim pomówić.

— Co? — usłyszeli jego głos. — Co mówisz? Powtórz. Co? Chcesz pieniędzy? Więcej pieniędzy? A po co ci pieniądze? — Słychać było niewyraźny szmer odpowiedzi

Araba, po czym Halliday, również głupio uśmiechnięty, wrócił do pokoju i powiedział:

— Mówi, że chce pieniędzy, żeby sobie kupić bieliznę. Czy ktoś może pożyczyć mi szylinga? Dziękuję, szyling wystarczy.

Wziął szylinga od Geralda i wyszedł znowu na korytarz, skąd dobiegły jego słowa:

— Nie możesz domagać się więcej pieniędzy. Wczoraj dostałeś trzy szylingi i sześć pensów. Nie proś o więcej. Pośpiesz się z herbatą.

Gerald rozejrzał się po pokoju. Był to przeciętny, londyński salonik w domu wynajętym na pewno razem z meblami, dobranymi raczej przypadkowo, ale dość przyjemnymi. Było tu jednak kilka posążków w drzewie z wysp zachodniego Pacyfiku, dziwnych i niepokojących. Rzeźbione postacie tubylców przypominały płody ludzkie. Jedna z nich przedstawiała nagą kobietę siedzącą w dziwnej pozie, zmaltretowaną, z wypiętym brzuchem. Młody Rosjanin wyjaśnił, że kobieta jest w trakcie rodzenia dziecka — w obu rękach ściska końce zwisającej z jej szyi opaski, by łatwiej jej było przeć i przyspieszyć poród. Dziwna, osłupiała, prymitywna twarz kobiety znów przypomniała Geraldowi płód ludzki; była wspaniała jako wyraz skrajnego doznania fizycznego, przekraczającego granice świadomości.

— Są chyba trochę nieprzyzwoite? — zapytał z dezaprobatą.

— Nie wiem — mruknął żywo tamten. — Nie potrafię określić, co jest nieprzyzwoite. Uważam, że są bardzo dobre.

Gerald odwrócił głowę. W pokoju wisiało parę futurystycznych obrazów, stał tu też fortepian i parę mebli, jakie znaleźć można w każdym lepszym wynajętym londyńskim mieszkaniu.

Minette zdjęła płaszcz i kapelusz i usiadła na sofie. Było oczywiste, że czuje się tu jak u siebie w domu, ale jest niepewna i niezdecydowana. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. W tym momencie czuła się związana z Geraldem i nie miała pojęcia, jak dalece orientują się w tym pozostali mężczyźni. Zastanawiała się, jak wybrnąć z sytuacji. Nie zamierzała rezygnować z nowej przygody.

Teraz, w ostatniej chwili, nie pozwoli jej sobie odebrać. Twarz miała zaczerwienioną jak podczas walki, wzrok zamyślony, ale uparty.

Służący przyniósł herbatę i butelkę Kümmelu. Postawił tacę na stoliku obok sofy.

— Minette — rzekł Halliday — nalej herbatę. Nie poruszyła się.

— Nie chcesz? — Halliday był zdenerwowany i niespokojny.

— Bo wcale tu nie wróciłam — powiedziała. — Przyszłam tylko dlatego, że inni tego chcieli, nie dla ciebie.

— Moja droga Minette, wiesz, że jesteś panią swojej woli. Do niczego cię nie zmuszam, możesz tu robić, co ci się żywnie podoba. Wiesz o tym dobrze, powtarzałem ci to tyle razy.

Nie odpowiedziała, tylko milcząco, bez pośpiechu sięgnęła po imbryk. Siedzieli półkolem i popijali herbatę. Gerald czuł, że między nim a Minette, kiedy siedzi tu tak spokojna i powściągliwa, przebiega silny prąd elektryczny, który znowu odmienił sytuację. Jej milczenie i bezruch wprawiały go w zakłopotanie. Jak miał do niej przyjść? Wiedział jednak, że jest to nieuniknione. Ufał prądowi, który ich łączył. Jego niepokój był tylko powierzchowny, powstała nowa sytuacja, dawne warunki już nie obowiązywały; teraz każdy robił to, co musiał, na nic nie bacząc.

Birkin wstał. Dochodziła pierwsza.

— Idę do łóżka — powiedział. — Gerald, zadzwonię do ciebie jutro rano albo ty zadzwoń tu do mnie.

— Dobrze — zgodził się Gerald i Birkin wyszedł.

Po dłuższej chwili Halliday rzekł z podnieceniem do Geralda:

— Proszę, może pan też tu zostanie? Och, koniecznie!

— Nie ma pan miejsca dla wszystkich — powiedział Gerald.

— Ależ świetnie dam sobie radę — są tu trzy łóżka, nie licząc mojego. Proszę, niech pan zostanie, naprawdę. Wszystko jest gotowe. Zawsze tu ktoś nocuje, miejsca jest dosyć. Lubię, żeby w domu było pełno.

— Przecież są tylko dwa pokoje — wtrąciła Minette zimnym, wrogim tonem. — Tełaz, kiedy przyjechał Łupełt.

— Wiem, że są tylko dwa pokoje — powiedział Halliday swoim dziwnym, wysokim głosem. — Ale to nieważne. Jest jeszcze studio...

Uśmiechnął się głupkowato i mówił zapalczywie z obraźliwą determinacją.

— Juliusz i ja zajmiemy jeden pokój — oznajmił Rosjanin w zwykły sobie dyskretny i dokładny sposób. Przyjaźnili się z Hallidayem, odkąd byli razem w Eton.

— To zupełnie proste — Gerald wstał i przeciągnął się, prężąc do tyłu ramiona. Znowu zaczął przyglądać się jednemu z obrazów. Całe jego ciało nabrzmiałe było mocą elektryczną, a plecy napięte jak grzbiet sprężonego do skoku tygrysa. Był bardzo z siebie dumny.

Minette podniosła się. Obrzuciła Hallidaya ponurym spojrzeniem, dzikim i zawziętym, co wywołało głupawy wyraz zadowolenia na jego twarzy. I wyszła z pokoju z chłodnym „dobłanoc”, skierowanym do wszystkich.

Zapadło krótkie milczenie, usłyszeli zamykanie drzwi i Maksym powiedział ze swym wytwornym akcentem:

— Wszystko w porządku.

Popatrzył znacząco na Geralda i powtórzył z lekkim skinieniem głowy:

— W porządku. Jest pan całkiem w porządku.

Gerald spojrzał na gładką, świeżą, urodziwą twarz, w dziwne, wymowne oczy i wydało mu się, że cichy, melodyjny głos młodego Rosjanina brzmi nie w pokoju, lecz w jego krwi.

— Więc jestem w porządku — powiedział.

— Tak, tak! Całkiem w porządku!

Halliday nadal uśmiechał się nic nie mówiąc.

Nagle w drzwiach ukazała się Minette. Jej mała, dziecięca twarz była chmurna i mściwa.

— Wiem, że chcecie mnie przyłapać — miała zimny, dźwięczny głos — ale nic a nic mnie to nie obchodzi.

Odwróciła się i znów wyszła. Miała na sobie luźny szlafrok z fioletowego jedwabiu, podwiązany w pasie. Była tak drobna, dziecinna i bezbronna, że niemal żałosna. A jednak wyraz jej oczu sprawił, że Gerald poczuł, jak tonie w gęstym mroku, i przejął go lęk.

Mężczyźni zapalili papierosy i dalej toczyli zdawkową rozmowę.

ROZDZIAŁ VII

TOTEM

Gerald obudził się późno po ciężkim śnie. Minette jeszcze spala, wyglądała dziecinnie i żałośnie, tak malutka, skulona i bezbronna, że wznieciło to we krwi młodzieńca płomień niezaspokojonego pożądania, pożerającą, chciwą litość. Znów na nią spojrzał. Budzić ją byłoby zbyt okrutne. Opanował się i wyszedł.

Z salonu dobiegły go głosy Hallidaya i Libidnikowa, podszedł więc do drzwi i zajrzał do środka. Owinięty był w jedwabny szal w pięknym błękitnawym kolorze z ametystową wypustką.

Zaskoczył go widok obu młodych ludzi, którzy całkiem nadzy siedzieli przy kominku. Halliday spojrzał na niego z zadowoloną miną.

— Dzień dobry. Szuka pan ręczników? — I wyszedł nago do hallu, obca biała postać na tle martwych mebli. Wrócił z ręcznikami i znów usiadł po turecku na kracie przed kominkiem.

— Lubi pan czuć ciepło płomieni na skórze? — zapytał.

— Tak, to jest przyjemne — odparł Gerald.

—Jak cudownie byłoby żyć w klimacie, w którym można się obyć bez ubrania — westchnął Halliday.

— Owszem, gdyby wszystko tam nie kąsało i nie kłuło.

— To jest ta druga strona medalu — szepnął Maksym.

Gerald spojrzał na niego i z lekkim wstrętem zobaczył przed sobą ludzkie zwierzę, wręcz upokarzające w swojej złotoskórej nagości. Halliday był inny. Ciemny i mocny. Był piękny pięknością niedbałą, dość ciężką, przyćmioną.

Przypominał Chrystusa z Pięty. Nic w nim nie było ze zwierzęcia, tylko ta ciężka, przyćmiona uroda. Gerald uświadomił sobie, jak piękne są też oczy Hallidaya — piwnozłote, tak ciepłe i niepewne, również jakby przyćmione. Blask ognia padał na jego ciężkie, nieco przygarbione ramiona. Siedział niedbale na kracie przed kominkiem z twarzą uniesioną, słabą, jakby zamazaną, a jednak po swojemu wzruszająco piękną.

— Pan, oczywiście — rzekł Maksym — bywał w ciepłych krajach, gdzie ludzie chodzą nago.

— Naprawdę? — wykrzyknął Halliday. — Gdzie?

— W południowej Ameryce... Nad Amazonką — powiedział Gerald.

— Och, jakie to cudowne! Może tego właśnie chciałbym najbardziej — żyć sobie spokojnie i nigdy nie wkładać ubrania. Gdybym mógł tak spędzać dni, czułbym, że naprawdę żyję.

— Ale dlaczego? — spytał Gerald. — Przecież nie jest to znowu tak wielka różnica.

— O, ja myślę, że to cudowne. Jestem pewien, że życie by się całkiem odmieniło, byłoby inne i naprawdę wspaniałe!

— Nie rozumiem dlaczego. Co by to zmieniło?

— Człowiek czułby świat, nie tylko na niego patrzył. Czułbym powietrze na moim ciele i czułbym wszystko, czego dotykam, a nie tylko widział, jak dotychczas. Życie na pewno jest nie takie, jakie powinno być, ponieważ stało się zbyt wizualne — nie słyszymy, nie czujemy i nie rozumiemy, tylko patrzymy. Jestem przekonany, że to wielki błąd.

— Tak, to prawda — potwierdził Rosjanin.

Spojrzenie Geralda objęło delikatne, złotawe ciało z czarnymi włosami, które rosły ciemne i bujne jak wąsy pnączy, z członkami jak gładkie łodygi. Był tak zdrowy i

dobrze zbudowany, dlaczego więc jego widok budził wstyd i odrazę? Dlaczego jego nagość raziła Geralda, nawet raniła jego dumę? „A więc, do tego sprowadza się człowiek? Jakież to przyziemne!” — pomyślał.

Nagle w drzwiach pojawił się Birkin z wilgotnymi włosami, w białej pidżamie, z ręcznikiem na ramieniu. Biały i powściągliwy; zachowywał się, jakby zjawił się tu przelotnie.

— Łazienka wolna, jeśli kogoś to interesuje — oznajmił i już wychodził, kiedy Gerald zawołał:

— Poczekaj, Rupert!

— O co chodzi? — Biała postać znów pojawiła się w pokoju.

— Co myślisz o tej rzeźbie? Chciałbym wiedzieć — rzekł Gerald.

Birkin, biały i dziwnie widmowy, podszedł do statuetki wyobrażającej pierwotną kobietę w trakcie rodzenia dziecka. Jej nagie, wypukłe ciało kuliło się w dziwnym skurczu, ręce ściskały końce opaski nad piersiami.

— To dzieło sztuki — powiedział.

— Piękne, bardzo piękne — dodał Rosjanin.

Podeszli wszyscy bliżej, żeby się przyjrzeć. Gerald patrzył na grupę mężczyzn, na Rosjanina — złotego, przypominającego roślinę wodną, na Hallidaya — wysokiego, pięknego przyćmioną pięknością, na Birkina bardzo białego, niewyraźnego, niełatwego do określenia, kiedy tak stał i przypatrywał się bardzo uważnie rzeźbie kobiety. Ogarnięty niepojętym uniesieniem, sam również utkwił wzrok w twarzy drewnianej figury. I serce mu się ścisnęło.

Przeszył mu duszę widok szarej, wysuniętej do przodu kobiecej twarzy, ciemnej, napiętej, udręczonej do ostateczności fizycznym cierpieniem. Była to twarz straszna, pusta, wychudła, prawie całkowicie pozbawiona wyrazu,

jakby ściągnięta brzemieniem, które kobieta dźwigała w brzuchu. Ujrzał w rzeźbie Minette. Rozpoznał ją jak we śnie.

— Dlaczego to ma być sztuka? — spytał wstrząśnięty i urażony.

— Bo przekazuje pełną prawdę powiedział Birkin. — Zawiera całą prawdę o stanie tej kobiety, jakkolwiek byś to odbierał.

— Ale nie nazwiesz tego chyba wielką sztuką?

— Wielką. Ta rzeźba ma za sobą setki, tysiące lat rozwoju sztuki w prostej linii. Jest to straszliwe wręcz osiągnięcie pewnego określonego rodzaju kultury.

— Jakiej kultury? — zaoponował Gerald. Nienawidził tej kwintesencji barbarzyństwa.

— Czystej kultury doznań, kultury fizycznej świadomości, naprawdę ostatecznej fizycznej świadomości, bezmyślnej, całkowicie zmysłowej. I zmysłowej do tego stopnia, że aż ostatecznej, najdoskonalszej.

Ale Geralda to nie przekonało. Chciał zachować pewne złudzenia, pewne idee, tak samo, jak chciał zachować ubranie.

— Lubisz niewłaściwe rzeczy, Rupercie — powiedział — rzeczy, które są ci wrogie.

— O, ja wiem, że to nie jest wszystko — rzekł Birkin wychodząc.

Kiedy Gerald po kąpieli wracał do pokoju, również niósł ubranie w ręku. W domu żył tak konwencjonalnie że gdy wyjeżdżał i wyrywał się na swobodę, nic nie cieszyło go bardziej niż gwałcenie ustalonych obyczajów. Szedł więc z wyzywającą miną, przewiesiwszy przez ramię błękitny szal.

Minette leżała w łóżku bez ruchu z niebieskimi, okrągłymi oczami jak zamarłe, nieszczęśliwe stawy. Widział tylko te martwe, bezdenne stawy. Może cierpiała. Myśl o jej żywiołowym, elementarnym cierpieniu znów wznieciła w

nim gorący płomień, dojmującą litość, namiętość graniczącą z okrucieństwem.

— Już nie śpisz— powiedział.

— Która godzina? — spytała stłumionym głosem.

Zdawała się odpływać, jakby roztopiona, tonąc bezradnie, byle dalej od niego. Od jej spustoszonego spojrzenia zgwałconej niewolnicy, która zaspokojenie znaleźć może jedynie w coraz nowych gwałtach, nerwy przeszył mu ostry, rozkoszny dreszcz żądzy. Bo w końcu tylko jego wola tu decydowała, ona była poddaną jego woli, bierną materią. Przeszły go siarki. I zrozumiał, że musi od niej odejść, że bezwzględnie muszą się rozstać.

Śniadanie, było spokojne i zwyczajne. Cała czwórka mężczyzn wyglądała po kąpieli świeżo i czysto. Gerald i Rosjanin zachowywali się bardzo poprawnie i comme il faut. Birkinowi, ponuremu i mizernemu, nie udało się mimo wysiłków upodobnić do nich w ubiorze. Halliday miał na sobie tweedowe ubranie, flanelową, zieloną koszulę i zamiast krawata gałganek, w którym było mu bardzo do twarzy. Arab, który przyniósł górę miękkich grzanek, wyglądał dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczoru, bez najmniejszej zmiany.

Pod koniec śniadania zjawiła się Minette w peniuarze z fioletowego jedwabiu, przepasanym błyszczącą szarfą. Wzięła się jakoś w garść, ale ciągle była przygaszona i bez życia. Udręką dla niej było, gdy ktoś się do niej odzywał. Jej twarz wyglądała jak mała, delikatna maska, wyrażająca bezwiedne cierpienie. Dochodziło południe. Gerald z uczuciem ulgi poszedł załatwiać swoje sprawy. Ale to nie był koniec. Wróci wieczorem, zjedzą wtedy razem obiad. Zamówił już miejsca w music hallu dla wszystkich, z wyjątkiem Birkina.

Wrócili bardzo późno, jeszcze rozgrzani alkoholem. Znowu Arab — który niezmiennie znikał między dziesiątą a

dwunastą w nocy — wszedł bezszelestnie i tajemniczo z herbatą, nachylając się dziwnym, powolnym, lamparcim ruchem, kiedy cicho stawiał tacę na stole. Twarz miał nieruchomą, arystokratyczną, o. szarawym odcieniu skóry; był młody i przystojny. Ale Birkin na jego widok czuł lekkie mdłości; szarość cery kojarzyła mu się z popiołem czy zgnilizną, w arystokratycznej, nieprzeniknionej twarzy widział mdlącą, zwierzęcą głupotę.

Znów rozmawiali serdecznie i z ożywieniem, ale więzy między nimi już się kruszyły. Birkin był rozdrażniony do szaleństwa, Halliday odnosił się do Geralda z coraz bardziej obłędną nienawiścią, Minette, twarda i zimna jak krzemień, nie dawała się ułagodzić przez Hallidaya. Zmierzała do podporządkowania go sobie, do zdobycia nad nim bezwzględnej przewagi.

Rano znowu kręcili się bez celu po mieszkaniu. Gerald czuł w powietrzu szczególną wrogość wobec siebie. Budziło to w nim upór i przekorę. Zdecydował się pozostać jeszcze dwa dni. Rezultatem była paskudna, niepoczytalna scena z Hallidayem czwartego dnia wieczorem. Halliday zachował się szorstko wobec Geralda w kawiarni. Wywiązała się kłótnia, Gerald o mało nie uderzył Hallidaya w twarz, gdy nagle, ogarnięty niesmakiem i całkowicie zobojętniały, wyszedł, pozostawiając Juliusza w stanie idiotycznego triumfu, Minette nareszcie pewną swojej pozycji i Maksyma trzymającego się na uboczu. Birkina nie było, wyjechał już z miasta.

Gerald z niezadowoleniem myślał, że nie dał Minette pieniędzy. Go prawda nie wiedział, czy ona ich chce. Ale może przyjęłaby chętnie dziesięć funtów, a on bardzo chętnie by jej dał. Teraz znalazł się w fałszywej pozycji. Przygryzał wargi aż do końców swych krótkich przystrzyżonych wąsów. Wiedział że Minette jest wręcz rada, bo się go pozbyła. Dostała swego Hallidaya. Chciała go mieć dla siebie. Teraz wyjdzie za niego. Postanowiła go poślubić.

Uparła się, że do tego doprowadzi. Nie chciała więcej słyszeć o Geraldzie, chyba że znalazłaby się w trudnej sytuacji, ponieważ mimo wszystko Geralda uważała za mężczyznę, a ci pozostali — Halliday, Libidnikow, Birkin i całe środowisko cyganerii — składało się z półmężczyzn. Ale tylko z takimi umiała postępować. Z nimi była pewna siebie. Prawdziwi mężczyźni, jak Gerald, ustawiali ją na właściwym miejscu. Czuła jednak dla Geralda szacunek, szanowała go naprawdę. Zdobyła jego adres, żeby móc się do niego zwrócić w razie kłopotów. Wiedziała, że chciał jej dać pieniądze. Może napisze do niego, kiedy już nieodwołalnie nadejdzie czarna godzina.

ROZDZIAŁ VIII

BREADALBY

Breadalby był to dom w georgiańskim stylu z korynckimi kolumnami, położony wśród łagodniejszych, bardziej zielonych wzgórz Derbyshire, nie opodal Cramford. Od frontu był widok na trawnik, na kilka drzew i dalej, na ciąg stawów rybnych w głębi cichego parku. Na tyłach domu, wśród drzew, znajdowały się stajnie i duży ogród warzywny, za którym rozciągał się las.

Było tu bardzo zacisznie, parę mil od głównej szosy, poza Derwent Valley, na uboczu od pokazowego pejzażu. Cichy i opuszczony, ze złotą sztukaterią widoczną poprzez gałęzie drzew, dom spoglądał na park, w którym nic się nie zmieniło i nie zmieni.

Ostatnio Hermione spędzała tu dużo czasu Porzuciła Londyn i Oxford dla ciszy wsi.

Jej ojciec przeważnie bawił za granicą, była więc w domu albo sama w towarzystwie gości, których zawsze pojawiało się paru, albo też przebywał z nią jej brat, kawaler, poseł do parlamentu z ramienia liberałów. Przyjeżdżał, kiedy Izba nie obradowała, i wydawało się, że ciągle jest w Breadalby, choć swoje obowiązki poselskie wypełniał z wielką sumiennością.

Z początkiem lata Ursula i Gudrun przyjechały po raz drugi na zaproszenie Hermione. Jadąc samochodem przez park, patrzyły przez wąwóz, gdzie w ciszy drzemały stawy rybne, na kolumnową fasadę domu, który, cały w słońcu, mały, na szczycie zielonego wzgórza, z drzewami w tle, wyglądał jak staroświecki angielski rysunek. Na murawie widać było drobne postacie kobiet w lawendowych i żółtych

sukienkach, zmierzające w cień ogromnego, cudownie harmonijnego cedru.

— Czy to nie jest wręcz doskonałe?! — powiedziała Gudrun. — Po mistrzowsku wycyzelowane jak stara akwatinta. — Mówiła z pewną urazą w głosie, jakby oczarowana wbrew woli musiała to niechętnie przyznać.

— Kochasz to? — spytała Ursula.

— Nie kocham, ale uważam, że na swój sposób jest to absolutnie doskonałe.

Samochód zjechał z jednego pagórka, siłą rozpędu wjechał na drugi i zakręciwszy, zatrzymał się przed bocznymi drzwiami. Zjawiła się pokojówka, a potem Hermione. Z uniesioną, bladą twarzą i z wyciągniętymi rękami szła naprzeciw nowo przybyłych, mówiąc śpiewnie:

— A więc jesteście... Cieszę się, że cię widzę — pocałowała Gudrun. — Tak miło, że przyjechałaś... — pocałowała” Ursulę i objęła ją ramieniem. — Bardzo jesteś zmęczona?

— Wcale nie — powiedziała Ursula.

— A ty, Gudrun?

— Też nie, dziękuję.

— Nie... — powtórzyła przeciągle Hermione. Stała nie odrywając od nich wzroku. Dziewczęta były zakłopotane, że zamiast wejść do domu, odgrywa swoją małą scenkę powitania na ścieżce. Służący czekali.

— Wejdźcie — powiedziała wreszcie Hermione, przyjrzawszy się dokładnie obu dziewczętom. Znowu zdecydowała, że Gudrun jest ładniejsza i bardziej pociągająca, Ursula —bardziej cielesna, bardziej kobieca. Lepiej podobał jej się strój Gudrun: suknię miała z zielonej popeliny, na niej luźny płaszczyk w szerokie, ciemnozielone i ciemnobrązowe pasy, kapelusz z jasnej, zielonkawej słomki w kolorze świeżego siana z plisowaną wstążką — czarną i

pomarańczową, pończochy ciemnozielone, pantofle czarne. Była to dobra całość, modna, a jednocześnie oryginalna. Ursula w granatowym kostiumie nie wyróżniała się elegancją, choć też wyglądała ładnie.

Sama Hermione miała na sobie suknię ze śliwkowego jedwabiu, korale i pończochy w tym samym kolorze. Ale suknia była podniszczona i zaplamiona, nawet brudna.

— Pewnie chciałybyście zobaczyć teraz wasze pokoje? Tak! Może byśmy poszły na górę, dobrze?

Ursula była zadowolona, że wreszcie jest sama w pokoju. Hermione długo zwlekała, zawsze wywierała presję na ludzi. Stała tak blisko, prawie napierając na rozmówcę, w sposób w najwyższym stopniu krępujący i uciążliwy, jakby chciała go odgrodzić od świata.

Lunch podano na murawie pod wielkim drzewem, którego grube, brunatne gałęzie opadały nisko, niemal dotykając trawy. Wśród gości była młoda Włoszka, szczupła i elegancka; panna Bradley, także młoda, o atletycznym wyglądzie; uczony, suchy baronet pod pięćdziesiątkę, który sypał dowcipami i śmiał się z nich serdecznie, rżąc jak koń; był tu też Rupert Birkin i sekretarka, Fräulein März, młoda, smukła i śliczna.

Jedzenie było w każdym razie doskonałe. Zawsze krytyczna Gudrun doceniała je w pełni. Ursulę zachwycało tu wszystko — biały stół pod cedrem, zapach wczesnego lata, widok liściastego parku z sarną pasącą się spokojnie w oddali. Całe to miejsce wydawało się jej otoczone magicznym kręgiem, który odcinał je od teraźniejszości, zachowując niezapomnianą, świetną przeszłość — drzewa i sarnę, i ciszę, jak we śnie.

W duchu jednak była nieszczęśliwa. Rozmowa brzmiała jak obstrzał lekkiej artylerii, przy czym strzały aforyzmów punktowane były przez nieustanne trzaski dowcipów i nieustanne bryzgi żartów słownych; miało to nadać lekki ton

potokowi konwersacji, w której tylko krytykowano i poruszano tematy ogólne; właściwie był to raczej kanał konwersacji niż potok.

Rozmowa miała charakter intelektualny i była wyjątkowo męcząca. Tylko starszawy socjolog, sklerotyczny i pozbawiony wrażliwości, wydawał się całkowicie szczęśliwy. Birkin był przygnębiony. Hermione, z przedziwnym uporem, starała się go jakby ośmieszyć i skompromitować w oczach towarzystwa. Zdumiewające było, jak łatwo zdawała się osiągać ten cel i jak on wydawał się wobec niej bezbronny i nic nie znaczący. Ursula i Gudrun, nienawykłe do takich rozmów, przeważnie się nie odzywały, słuchały tylko powolnego, rapsodycznego zaśpiewu Hermione, docinków sir Joshuy paplaniny Fräulein odpowiedzi pozostałych dwu kobiet.

Lunch się skończył, przyniesiono na trawnik kawę, towarzystwo wstało od stołu i rozsiadło się na leżakach w cieniu lub na słońcu, jak kto chciał. Fräulein poszła do domu, Hermione zajęła się haftem, mała contessa otworzyła książkę, panna Bradley plotła koszyk z cienkiej trawy. Siedzieli tak wszyscy w to wczesne, letnie popołudnie na murawie, robiąc coś leniwie i wymieniając od czasu do czasu nieobowiązujące uwagi.

Nagle rozległ się zgrzyt hamulców i trzask drzwiczek samochodu. .

— To Salsie! — zanuciła po swojemu przeciągle Hermione. Odłożyła robótkę, wstała powoli i powoli przeszła przez trawnik, okrążyła krzewy i znikła z pola widzenia.

— Kto to? — spytała Gudrun.

— Pan Roddice... brat panny Roddice... tak w każdym razie przypuszczam — powiedział sir Joshua.

— Salsie, tak, to jej brat — mała contessa uniosła na chwilę głowę znad książki, żeby udzielić informacji swoją nieco przesadną, gardłową angielszczyzną.

Czekali wszyscy. Zza krzewu wyłoniła się wysoka postać Aleksandra Roddice, który kroczył romantycznie, jak bohater Mereditha pamiętający o Disraelim. Serdeczny wobec wszystkich, od razu wszedł w rolę gospodarza, z niewymuszoną, naturalną gościnnością, jaką nauczył się świadczyć przyjaciołom Hermione. Właśnie przybył z Londynu, wprost z Izby Gmin. Od razu na murawie powiało atmosferą parlamentu: minister spraw wewnętrznych powiedział to i to, a on, Roddice, pomyślał tak i tak i oświadczył to i to premierowi.

Teraz od strony krzaków nadeszła Hermione z Geraldem Crichem, który przyjechał razem z Aleksandrem. Hermione przedstawiała go wszystkim, trzymała na widoku przez dłuższą chwilę, po czym sama odprowadziła na bok. W tym momencie był wyraźnie jej głównym gościem.

W Gabinecie nastąpił rozłam, minister oświaty zrezygnował na skutek krytyki opozycji. Wiadomość wywołała dyskusję o problemach oświaty.

— Oczywiście — powiedziała Hermione unosząc twarz jak pieśniarka — kształcenie ludzi może mieć tylko jeden powód, jedno uzasadnienie: radość, jaką daje czysta wiedza i jej piękno. — Zdawała się przez dłuższą chwilę przetrawiać głębokie myśli, po czym ciągnęła dalej: — Wykształcenie zawodowe nie jest wykształceniem, jest końcem edukacji.

Gerald, zawsze gotów do dyskusji, z zadowoleniem wciągnął powietrze i przystąpił do akcji.

— Niekoniecznie. Bo czy wykształcenie nie jest swoistą gimnastyką, której końcowym efektem byłoby ukształtowanie dobrze wyćwiczonego, rzeźkiego, czynnego umysłu?

— Tak jak ćwiczenia fizyczne kształtują zdrowe, zdolne do wszelkiego wysiłku ciało! — zawtórowała z zapałem panna Bradley.

Gudrun spojrzała na nią z milczącą pogardą.

— Bo ja wiem — zastanawiała się Hermione. — Dla mnie rozkosz wiedzy jest tak wielka, tak cudowna... Nic w moim życiu nie miało dla mnie takiego znaczenia jak pewność, że coś wiem... Absolutnie nic.

— Na przykład, że co wiesz, Hermione? — spytał Aleksander. Hermione uniosła twarz i wydała z siebie charkot.

— Hmmmrn... No, chociażby o gwiazdach... Kiedy naprawdę dowiedziałam się czegoś o gwiazdach. Człowiek wówczas czuje się tak wyzwolony, tak bezgraniczny.

Birkin spoglądał na nią blady ze złości.

— Po co masz się czuć bezgraniczna? — zapytał drwiąco. — Skoro wcale nie chcesz być bezgraniczna. ’.

Hermione żachnęła się obrażona.

— Tak, ale miewa się poczucie nieskończoności — powiedział Gerald — jakby człowiek stał na szczycie góry i spoglądał na Pacyfik.

— „Cicho na szczycie w Darien”” ’ — szepnęła Włoszka, podnosząc na chwilę głowę znad swojej książki.

— Niekoniecznie w Darien — rzekł Gerald.

Ursula parsknęła śmiechem.

Hermione odczekała chwilę i ciągnęła dalej niewzruszona: — Tak, to najważniejsza sprawa w życiu — wiedzieć. Wtedy jest się szczęśliwym, jest się wolnym.

— Wiedza jest, rzecz jasna, wolnością — powiedział Mattheson.

— Wiedza w pigułkach — dorzucił Birkin patrząc na suchą, sztywną postać małego baroneta. Gudrun natychmiast wyobraziła sobie słynnego socjologa jako płaską butelkę z pigułkami koncentratu wolności. Spodobało jej się to. Sir Joshua, opatrzony etykietą, został raz na zawsze zaszufladkowany w jej umyśle.

— Co to ma znaczyć, Rupercie? — zanuciła Hermione z lekką pogardą.

— Wiedzę, ściśle biorąc, możemy mieć tylko o sprawach dokonanych w przeszłości. To jest tak, jak gdybyście konserwowali wolność ubiegłego lata w konfiturach z agrestu.

— Czy istotnie nasza wiedza może dotyczyć wyłącznie przeszłości? — spytał uszczypliwie baronet.

— Tak — odpowiedział Birkin.

— Coś najpiękniejszego wyczytałam w mojej książce — zaświergotała nagle mała Włoszka. — Napisane jest, że ktoś podszedł do drzwi i wyrzucił swoje oczy na ulicę.

Rozległ się ogólny śmiech. Panna Bradley podeszła i zajrzała contessie przez ramię.

— O tu — pokazała contessa.

— „Bazarów podszedł do drzwi i pośpiesznie rzucił swoje oczy na ulicę” — przeczytała.

Znów wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Najbardziej zaskakujący był śmiech baroneta: brzmiał jak łoskot spadających kamieni.

— Co to za książka? — zapytał Aleksander.

— „Ojcowie i dzieci” Turgieniewa — powiedziała mała cudzoziemka, wyraźnie wymawiając każdą sylabę. Spojrzała na okładkę żeby jeszcze raz sprawdzić.

— Stare wydanie amerykańskie — stwierdził Birkin.

— A oczywiście! Dosłowne tłumaczenie z francuskiego! — zawołał Aleksander pięknym, aktorskim głosem. „Bazarov ouvra la porte et jeta les yeux dans la rue.”

Rozejrzał się po zebranych.

— Ciekawa jestem, skąd się wzięło „pośpiesznie”? — rzekła Ursula. Zabrali się do zgadywania.

Ku ogólnemu zdumieniu ukazała się pokojówka z wielką tacą. Tak szybko nadeszła pora podwieczorku. Po herbacie Hermione postanowiła zabrać gości na wspólny spacer. Pytała każdego po kolei, czy ma ochotę się przejść. Wszyscy potwierdzili, czując się po trosze jak więźniowie ustawieni do obowiązkowej gimnastyki. Tylko Birkin odmówił.

— Pójdziesz się przejść, Rupercie?

— Nie, Hermione.

— Jesteś pewien?

— Zupełnie pewien — odrzekl”po sekundzie wahania.

—A dlaczego? — śpiewnie zapytała Hermione. Była wściekła, że odmawia jej w tak drobnej sprawie. Chciała, żeby wszyscy poszli z nią do parku:

— Ponieważ nie lubię spacerować w gromadzie.

Przez moment z jej gardła wydobywał się charkot. Po czym powiedziała z dziwnym, obcym spokojem:

— Zostawmy więc chłopczyka, skoro się boczy.

Wydawało się, że obrażanie go naprawdę ją cieszy. Ruperta utwierdziło to tylko w uporze.

Bez pośpiechu dołączyła do reszty towarzystwa, odwróciła się jeszcze, żeby pomachać mu chusteczką, i z gardłowym śmiechem zanuciła:

Do widzenia, do widzenia, chłopczyku!

— Do widzenia, bezczelna wiedźmo — mruknął do siebie.

Poszli wszyscy przez park Hermione chciała pokazać gościom dzikie żonkile na zboczu pagórka. — Tędy, tędy! — nuciła niedbale od czasu do czasu. I musieli, oczywiście, iść tamtędy. Żonkile były ładne, ale kto na nie patrzył? Ursula była już teraz całkiem sztywna z Urazy, cała atmosfera napawała ją oburzeniem. Gudrun, ironiczna i obiektywna, wszystko obserwowała i rejestrowała w pamięci.

Zobaczyli płochliwego jelonka i Hermione przemawiała do niego, jakby i on był małym chłopcem, którego chce udobruchać i popieścić. Był samcem, a więc musiała mieć na niego jakiś wpływ. Wracali do domu obok stawów rybnych i Hermione opowiedziała im o walce dwu łabędzi, ubiegających się o względy tej samej damy. Chichotała i zaśmiewała się opisując, jak odrzucony kochanek siedział na żwirze z głową schowaną pod skrzydłem.

Kiedy już byli z powrotem przed domem, Hermione stanęła na murawie i zawołała śpiewnie, dziwnie przenikliwym, cienkim głosem, który niósł się daleko:

— Rupert, Rupert! — Pierwszą sylabę wymawiała wysoko i przeciągle, drugą niżej. — Ruuuupert!

Nie było odpowiedzi. Ukazała się pokojówka.

— Gdzie jest pan Birkin, Alice? — zapytała łagodnie, od niechcenia, ale pod tym niedbałym tonem kryła się uporczywa, wręcz obłędna wola.

— Jest chyba w swoim pokoju, proszę pani.

— Na pewno?

Hermione szła wolno po schodach, potem korytarzem, wyśpiewując swoje wysokie, piskliwe wezwanie:

— Ruuuupert! Ruuuuuupert!

Podeszła do drzwi i zapukała, ciągle wołając „Ruuupert!”

— Tak — zabrzmiał wreszcie jego głos.

— Co tam robisz? — spytała łagodnie i z. zaciekawieniem. Nie było odpowiedzi. Wreszcie otworzył drzwi.

— Jesteśmy z powrotem — powiedziała Hermione. — Żonkile są takie piękne.

— Tak, widziałem je. Obrzuciła go przeciągłym, kamiennym spojrzeniem.

— Widziałeś je? —powtórzyła za nim. Ciągle mu się przyglądała. Nic tak jej nie podniecało, jak taki właśnie konflikt, kiedy on zachowywał się niczym naburmuszony, bezradny chłopiec, a ona miała go bezpiecznie przy sobie w Breadalby. Ale w głębi duszy wiedziała, że zerwanie jest bliskie, i podświadomie czuła do Ruperta coraz intensywniejszą nienawiść.

— Co robiłeś? — spytała tak samo łagodnie i obojętnie. Nie odpowiedział. Niemal machinalnie weszła do jego pokoju. Przyniósł sobie z buduaru chiński rysunek przedstawiający gęsi i kopiował go bardzo zręcznie i z zacięciem.

— Kopiujesz rysunek? — zbliżyła się do stołu, przy którym pracował. — Tak. Jak pięknie to robisz! Podoba Ci się, prawda?

— Jest cudowny.

— Naprawdę? Cieszę się, że tak uważasz, bo jestem do niego przywiązana. Dostałam go od chińskiego ambasadora.

— Wiem.

— Ale dlaczego kopiujesz? — spytała nonszalancko. — Dlaczego nie rysujesz czegoś własnego?

— Chcę go zgłębić. Więcej dowiaduję się o Chinach kopiując ten rysunek, niż gdybym przeczytał wszystkie książki.

— Czego się dowiadujesz?

Natychmiast ożywiła się, jak gdyby gwałtem chciała mu wydrzeć wszystkie tajemnice. Musiała wiedzieć. Dręczyła ją obsesyjna, nieubłagana potrzeba, by wiedzieć wszystko, co on wie. Przez chwilę milczał, wzdragając się przed odpowiedzią. Wreszcie zaczął mówić z przymusem:

— Skąd wywodzi się ich sposób myślenia... Co wiedzą i co czują?... Wiem, co to jest gorąca istota gęsi w odmętach zimnej wody i błota, dziwne. gorzkie, piekące ciepło gęsiej

krwi, dostające się w ludzką krew jak szczepionka niszczącego ognia, ognia płonącego w zimnym błocie, wiem, co jest tajemnicą lotosu.

Wpatrywały się w niego oczy Hermione, obce i jakby odurzone, ciężkie pod ciężko opadającymi powiekami. Szczupła pierś podnosiła się spazmatycznie. Rupert też na nią patrzył, demoniczny, nieporuszony. Z dziwnym, konwulsyjnym dreszczem odwróciła się, jak gdyby chora czuła już pierwsze symptomy rozpadu. Nie mogła objąć swoim umysłem tego, co on mówi. Schwytał ją za wszystkimi liniami obrony i zniszczył podstępną, nadprzyrodzoną mocą.

— Tak — szeptała nie wiedząc, co chce powiedzieć. — Tak — przełknęła ślinę i starała się pozbierać myśli. Na próżno, nadal była tępa, rozkojarzona. Nie zdołała największym nawet wysiłkiem woli wrócić do normalnego stanu. Straszliwie cierpiała czując, jak ohydnie gnije, złamana i tknięta okrutnym rozkładem. Stał i patrzył na nią nieporuszony. Zeszła mu z drogi, blada i udręczona jak upiór, jak człowiek ścigany przez wyziewy grobu, które nigdy nas nie odstępują. Znikła bez śladu jak trup, już nieobecny, już bez żadnych powiązań. Rupert był nadal twardy i mściwy.

Hermione zeszła na obiad, obca, grobowa, z ciężkimi oczami pełnymi stężonej ciemności grobu. Miała na sobie suknię ze starego, sztywnego, zielonkawego brokatu, bardzo obcisłą, w której wydawała się wyższa, groźniejsza, wręcz widmowa. W wesołym świetle salonu była postacią niesamowitą i przygnębiającą. Ale w półmroku jadalni, sztywno wyprostowana za stołem, na którym stały przysłonięte świece, tchnęła siłą, była bardziej obecna niż inni. Słuchała i uczestniczyła w rozmowie z przyćmioną uwagą, jak odurzona.

Towarzystwo było wesołe i dość rozochocone. Wszyscy, z wyjątkiem Birkina i Joshuy Matthesona, włożyli wieczorowe

stroje. Mała włoska contessa miała suknię z aksamitu w szerokie, delikatne pasy pomarańczowe, złote i czarne, Gudrun — szmaragdową, przybraną koronką dziwnej roboty, Ursula — żółtą z woalem barwy matowego srebra, panna Bradley — szaroczerwoną, naszywaną dżetami, Fräulein März ubrana była na niebiesko. Gra tych bogatych kolorów w świetle świec wywołała w Hermione nagły dreszcz przyjemności. Świadoma była rozmowy toczącej się bez chwili przerwy, w której górował głos sir Joshuy; nieustannego świergotu, lekkiego kobiecego śmiechu i jego echa; olśniewających barw białego stołu i cieni na górze i na dole; zdawała się omdlewać z radości, uszczęśliwiona, a jednak chora, nieszczęsna jak upiór. Brała nikły udział w rozmowie, ale słyszała wszystko, wszystko, co jej dotyczyło.

Towarzystwo przeszło razem do salonu, swobodnie, jak w rodzinie, bez żadnych ceremonii. Fräulein podawała kawę, wszyscy palili papierosy lub długie fajki z białej gliny, których było pod dostatkiem.

— Papierosa czy fajkę? — pytała przymilnie Fräulein. Było to ciekawe grono ludzi: sir Joshua jakby żywcem z osiemnastego wieku, Gerald — rozbawiony, młody, urodziwy Anglik, Aleksander — wysoki, przystojny polityk, demokrata o światłym umyśle, Hermione — niezwykła, dziwna, wysoka Kasandra, pozostałe kobiety w jaskrawych sukniach — wszyscy ”posłusznie palący długie, białe fajki, wygodnie usadowieni półkolem w łagodnym półmroku salonu wokół żarzących się na marmurowym kominku kłód drzewa.

Rozmowa dotyczyła przeważnie polityki i socjologii i, co ciekawe, miała anarchistyczne zabarwienie. W pokoju wzbierała potężna siła, potężna i destrukcyjna. Zdawało się, że wszystko wrzucono do jednego tygla, i Ursula miała wrażenie, że jak wiedźmy podsycają ogień, by doprowadzić do wrzenia. Dawało im to poczucie dumy i satysfakcji, ale nowych gości męczył ten bezwzględny nacisk intelektualny,

zawiłe spekulacje, niszcząca inteligencja, którą tchnęli sir Joshua, Hermione i Birkin i która nadawała ton dyskusji.

Hermione nagle poczuła się źle, chwyciły ją straszne mdłości. Rozmowa przycichła, jakby zatrzymana jej bezwiedną, lecz wszechmocną wolą.

— Salsie, może coś zagrasz? — spytała ucinając ostatecznie dyskusję. — Czy ktoś tańczy? Gudrun, zatańczysz, dobrze? Bardzo proszę. Anche tu, Palestra, ballerai — si per piacere. Ty też, Ursulo.

Hermione wstała i z wolna pociągnęła wyszywaną złotem wstęgę wiszącą przy kominku. Przez chwilę przytrzymywała ją, po czym puściła gwałtownie. Wyglądała jak kapłanka pogrążona w głębokim transie.

Przyszedł służący, który otrzymawszy zlecenie powrócił niebawem z naręczem jedwabnych sukien, szali, szarf, głównie wschodnich, które Hermione, uwielbiająca piękne, ekstrawaganckie stroję, latami kolekcjonowała.

— Będzie to taniec trzech kobiet — oświadczyła.

— Jaki to ma być taniec? — spytał podnosząc się Aleksander.

— Vergini delle Rocchette, Dziewice na Skałach — powiedziała szybko contessa.

— One są takie rozlazłe — zaoponowała Ursula.

— Może trzy wiedźmy z „Makbeta” — zaproponowała usłużnie Fräulein. Wreszcie zdecydowano się na Noemi, Rut i Orfę. Ursula będzie Noemi,

Gudrun — Rut, a contessa — Orfą. Miała to być scenka taneczna w stylu rosyjskiego baletu Pawiowej i Niżyńskiego.

Contessa była gotowa pierwsza. Zrobiono miejsce, Aleksander usiadł przy pianinie. Orfa w pięknym, wschodnim stroju rozpoczęła powolny taniec na śmierć swego męża. Nadeszła Rut i razem płakały i lamentowały, po czym pojawiła się Noemi, żeby je pocieszać. Odtwarzały

to wszystko bez słów, wyrażając swoje uczucia gestem i tańcem. Cała dramatyczna scenka trwała około kwadransa.

Ursula była piękna jako Noemi. Jej męża i obu synów zabrała śmierć, lecz ona zachowała nieugiętą dumę i o nic nie prosi. Rut, kochająca kobiety — kocha ją. Owdowiała Orfa, żywa, zmysłowa, mądra, wraca do życia, chce je zacząć od nowa. Wszystko, co dzieje się między kobietami, jest prawdziwe i nieco przerażające. Widzów zaskakiwała desperacka namiętność, z jaką Gudrun tuliła się do Ursuli, jednocześnie uśmiechając się z subtelną złośliwością; Ursula przyjmowała to w milczeniu, niezdolna dać nic więcej ani sobie, ani synowej, lecz groźna i nieugięta, kryjąca swój ból.

Hermione była uważnym widzem. Patrzyła na contessę, zmienną, zmysłową, szybką jak gronostaj, i na Gudrun, lgnącą z całej mocy, lecz zdradliwie, do tak bardzo kobiecej siostry, i na Ursulę niebezpiecznie bezradną, jakby w tej bezradności obarczano ją ciężarem, od którego nie umie się wyzwolić.

— To było bardzo piękne! — zawołali wszyscy chórem. Ale Hermione przeżywała tortury, wiedząc to, czego nie chciała wiedzieć. Wołała o nowy taniec i na jej życzenie contessa i Birkin odtańczyli żartobliwie Malbrouka.

Geralda podniecił widok Gudrun garnącej się do Noemi. Jej tak bardzo kobieca, choć skrywana brawura i skłonność do kpin burzyła mu krew w żyłach. Nie mógł zapomnieć jej uniesionej, ofiarnej, wiernej, zuchwałej, a jednocześnie drwiącej twarzy. Birkin przypatrywał się jak krab — pustelnik ze swojej muszli, jak przejmująco Ursula przekazuje w tańcu swoje rozczarowania i swoją bezradność. Była bujna, pełna niebezpiecznej siły. Niczym nieświadomy pączek, z którego rozkwitnie kwiat wszechwładnej kobiecości. Bezwiednie ciągnęło go do niej. Była jego przyszłością.

Aleksander zagrał jakąś węgierską melodię i wszyscy zaczęli tańczyć, porwani jej rytmem. Gerald był radośnie

oszołomiony, kiedy zbliżał się w tańcu do Gudrun. Jeszcze jego stopy nie mogły się uwolnić od rytmu walca i two— stepa, ale czuł już siłę wzbierającą w członkach i w całym ciele wyzwalającym się z niewoli. Pojęcia nie miał, jak się tańczy ten spazmatyczny, murzyński rag-time, ale już wiedział, jak należy zacząć. Birkin, kiedy udało mu się zrzucić ciężar niechęci do tych spośród obecnych, których nie lubił, tańczył ochoczo i z prawdziwą wesołością. Jakżeż za tę lekkomyślną wesołość nienawidziła go Hermione.

— Widzę teraz — zawołała z podnieceniem contessa, obserwując jego taniec pełen wewnętrznej radości, której nie chciał z nikim dzielić — że pan Birkin jest zmienny! .

Hermione obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem i zadrżała. Tylko cudzoziemka mogła to zauważyć i głośno powiedzieć.

— Cosa vu-oldire Palestra?'.— zapytała śpiewnie.

— Popatrz — odpowiedziała po włosku contessa — to nie mężczyzna, lecz kameleon, stworzenie, które ciągle zmienia barwę.

„To nie człowiek, to zdrajca i nie jest to jeden z nas" — powtarzało echo w podświadomości Hermione. Wiła się w duszy, że tak niewolniczo mu ulega, gdyż on uciekał i umiał żyć, a ona nie, gdyż on nie był logiczny, nie był człowiekiem, był mniej niż człowiekiem. Nienawidziła go z rozpaczą, która nią targała i która ją niszczyła; cierpiała, jakby już była rozkładającym się trupem, nieczuła na nic poza straszliwą chorobą, która trawiła jej ciało i duszę.

Dom był pełen gości, Gerald dostał więc malutki pokój, właściwie garderobę przylegającą do pokoju Birkina. Kiedy wszyscy wzięli świece i poszli na górę słabo oświetlonymi schodami, Hermione zawładnęła Ursulą i zabrała ją do swojej sypialni, żeby z nią porozmawiać. W tym wielkim, obcym pokoju Ursula poczuła się skrępowana. Hermione zdawała się ją przytłaczać, drapieżna, zmierzająca do

jakichś własnych celów. Oglądały indyjskie, jedwabne kosztowne koszule, działające na zmysły przez swój krój i wręcz grzeszny przepych. Hermione zbliżyła się do niej z falującą piersią i Ursula zbladła, ogarnięta nagłą paniką. W tym momencie błędne oczy ’Hermione uchwyciły lęk na twarzy Ursuli i znowu nastąpiło zderzenie. Ursula wzięła do ręki koszulę z pąsowego i błękitnego jedwabiu, uszytą dla czternastoletniej księżniczki, i zawołała odruchowo:

— Jakież to wspaniałe! I pomyśleć, że ktoś odważył się połączyć dwa tak intensywne kolory!

Weszła cicho pokojówka Hermione i Ursula wybiegła zdjęta strachem.

Birkin od razu poszedł do łóżka. Był szczęśliwy i senny. Był szczęśliwy od chwili, kiedy zaczął tańczyć. Ale Gerald chciał z nim pomówić. W wieczorowym stroju siedział przy nim na łóżku i zmuszał go do rozmowy.

— Kim są te panny Brangwen?

— Mieszkają w Beldover.

— W Beldover? Ale kim są?

— Nauczycielkami w szkole średniej. Zapadła cisza.

— Prawda! — wykrzyknął wreszcie Gerald. — Zdawało mi się, że skądś je znam.

—Jesteś rozczarowany? — spytał Birkin.

— Rozczarowany?”Nie... Ale skąd się wzięły u Hermione?

— Poznała Gudrun w Londynie. Tę młodszą z ciemniejszymi włosami. To artystka — rzeźbi i lepi z gliny.

— Więc nie ona jest nauczycielką, tylko ta druga?

— Obie uczą — Gudrun rysunku. Ursula jest wychowawczynią.

— A co robi ich ojciec?

— Jest instruktorem robót ręcznych.

— Naprawdę?

— Bariery klasowe padają!

Gerald zawsze czuł się nieswojo, kiedy w głosie Birkina pobrzmiewały drwiące tony.

— A cóż mnie to może obchodzić, że ich ojciec jest instruktorem szkolnym!

Birkin roześmiał się. Jego twarz na poduszce była uśmiechnięta, gorzka i obojętna. I Gerald nie miał siły odejść.

— Nie sądzę, żebyś jeszcze długo mógł liczyć na towarzystwo Gudrun. To przelotny ptak Za tydzień czy dwa już jej tu nie będzie — powiedział Birkin.

— Dokąd się wybiera?

— Do Londynu, Paryża czy Rzymu, jeden Bóg wie. Zawsze można się spodziewać, że odfrunie do Damaszku albo do San Francisco; to rajski ptak. Nie wiadomo, skąd się wzięła w Beldover. Nie ma w tym logiki, jak w snach.

Gerald zamyślił się.

— Jak to się stało, że znasz ją tak dobrze?

— Poznałem ją w Londynie, w kręgu Algernona Strange. Stykała się na pewno z Minette, z Libidnikowem i resztą — nawet jeśli nie znała ich osobiście. Nigdy nie należała do tej grupy, jest w pewien sposób bardziej konwencjonalna. Znam ją chyba od jakichś dwu lat.

— Zarabia więc niezależnie od posady w szkole?

— Niedużo i nieregularnie. Czasem sprzedaje swoje prace. Ma pewną réclame.

— Ile za to dostaje?

— Gwineę, dziesięć gwinei.

— Czy są dobre? Co przedstawiają?

— Niektóre wręcz znakomite. Na przykład te dwie pliszki w buduarze Hermione, widziałeś je, rzeźbione w drzewie i

pomalowane.

— Myślałem, że to też prymityw.

— Nie, Gudrun. Przeważnie to właśnie rzeźbi — zwierzęta, ptaki, czasem małych, dziwnych ludzików. Naprawdę te rzeczy są niezwykłe, kiedy jej się udają. Zabawne w sposób jakby przypadkowy i niesłychanie subtelny.

— Może kiedyś zostać sławną artystką?

— Mogłaby, ale myślę, że nie zostanie. Porzuca sztukę natychmiast, kiedy urzekają cokolwiek innego. Skłonność do przekory nie pozwala jej traktować sztuki serio — wzbrania się przed nadmierną powagą, jakby bała się obnażyć. Nie chce się obnażyć, zawsze jest w defensywie. Tego właśnie nie mogę znieść u ludzi w jej typie. Nawiasem mówiąc, jak ułożyły się twoje sprawy z Minette po moim wyjeździe? Nic nie słyszałem na ten temat.

— Raczej paskudnie. Halliday zrobił się nieprzyjemny, omal nie rzuciłem się na niego i ledwie udało mi się uniknąć staroświeckiej, autentycznej awantury.

Birkin milczał chwilę.

— Rzeczywiście — rzekł —Juliusz nie jest całkiem normalny. Ma coś w rodzaju manii religijnej, a jednocześnie fascynuje go wszystko, co sprośne i plugawe. Jest albo prostym sługą obmywającym stopy Chrystusa, albo rysuje go w nieprzyzwoitych sytuacjach. Wpada z jednej ostateczności w drugą, a w środku nic. Naprawdę ma źle w głowie. Chce czystej lilii, dziewczęcia z twarzą a la Botticelli, ale, oczywiście musi mieć Minette, po prostu, żeby się nurzać w brudzie.

— Właśnie tego nie rozumiem. Kocha Minette czy nie kocha?

— Ani jedno, ani drugie. Minette jest dla niego ladacznicą, prawdziwą ladacznicą, z którą grzeszy. Jest

opętany pragnieniem, by razem z nią taplać się w błocie. Po czym wstaje i zwraca się do niewinnej lilii, dziewczyny z twarzą dziecka i w ten sposób się zabawia. Ciągle to samo — z jednej ostateczności w drugą i nic w przerwach.

— Nie sądzę — rzekł po chwili Gerald — żeby to była aż taka zniewaga dla Minette. Ona robi na mnie wrażenie dość zepsutej.

— Myślałem, że ci się podoba! — zawołał Birkin. — Ja zawsze ją lubiłem. Co prawda nigdy mnie nic z nią nie łączyło.

— Owszem, podobała mi się na parę dni, ale tygodnia bym z nią nie wytrzymał. Skóra takich kobiet wydziela specjalny zapach, który z czasem staje się obrzydliwy ponad wszelką miarę, choćby nawet z początku był przyjemny.

— Wiem — rzekł Birkin. I dodał z irytacją: — Ale idź do łóżka, Geraldzie. Bóg wie, która to już godzina.

Gerald spojrzał na zegarek, wstał i wreszcie poszedł do swego pokoju. Ale po paru minutach wrócił w samej koszuli.

— Jeszcze jedno — rzekł znów sadowiąc się przy Birkinie. — Skończyło się to raczej burzliwie i z braku czasu nic jej nie dałem.

— Myślisz o pieniądzach? Dostanie, ile zeche, od Hallidaya lub od innych znajomych.

— Wolałbym jednak zapłacić.

— Jej nie zależy na tym.

— Być może. Ale rachunek pozostał otwarty, a ja wolałbym go zamknąć.

— To nieważne. — Birkin patrzył na białe nogi Geralda siedzącego w samej koszuli na łóżku. Były to pełne, muskularne nogi o białej skórze, zgrabne i jędrne. A jednak budziły w Birkinie jakąś żałosną tkliwość, jaką czasem budzą nogi dziecka.

— Chciałbym uiścić ten rachunek — powtórzył Gerald niewyraźnie.

— Naprawdę, to nie ma znaczenia.

— Ty zawsze o wszystkim twierdzisz, że nie ma znaczenia. — Gerald mówił z lekkim zdziwieniem, spoglądając serdecznie na przyjaciela.

— I najczęściej nie ma.

— Bo to właściwie dobra dziewczyna, naprawdę...

— Oddajcie cesarzowej co cesarskie — Birkin odwrócił się na bok. Uważał, że Gerald mówi po prostu, żeby mówić. —Idź już, jestem zmęczony, za późno na rozmowy.

— Chciałbym usłyszeć od ciebie coś, co ma znaczenie — ciągnął Gerald patrząc mu w twarz wyczekująco. Ale Birkin odwrócił głowę do ściany.

— No dobrze, śpij sobie — Gerald dotknął serdecznie jego ramienia i wyszedł.

Rano usłyszawszy, że Birkin się rusza, Gerald zawołał:

— Nadal myślę, że powinienem był dać Minette trochę pieniędzy.

— O Boże, nie bądź taki przyziemny! Zamknij rachunek we własnej duszy, jeśli musisz. Chociaż ty chyba nie potrafisz.

— Skąd wiesz?

— Znam cię przecież. Gerald zastanawiał się chwilę.

— Uważam, że należy płacić takim dziewczętom jak Minette.

— Kochanki należy utrzymywać. Z żoną należy żyć pod jednym dachem. Integer vitae scelerisque purus...

— Dlaczego mi dokuczasz?

— Nudzisz mnie, nie interesują mnie twoje grzeszki.

— Mnie interesują.

Ranek znów był słoneczny. Pokojówka przyniosła wodę i odsunęła zasłony. Birkin siedział w łóżku i z przyjemnością, leniwie spoglądał na park za oknem, zielony, opustoszały i romantyczny, jakby przeniesiony z odległej przeszłości.

Myślał o tym, jak urocze, jak pewne, jak doskonale i ostatecznie wykończone jest wszystko, co należy do przeszłości — pięknie spełnionej przeszłości — ten dom tak spokojny i złoty, park drzemiący w spokoju przez stulecia. Jakąż jednak pułapką i złudzeniem jest to nieprzemijające piękno, jak ponurym, martwym więzieniem jest w istocie Breadalby, jak nieznośnie ciąży panujący tu spokój. A przecież nawet to jest lepsze niż teraźniejszość z jej szamotaniną i żałosnymi konfliktami. Ach, gdyby można było stworzyć przyszłość zgodnie z pragnieniami serca! Trochę czystej prawdy, niezachwiane stosowanie tej odrobiny prostej prawdy w życiu — oto, czego serce zawsze pragnie.

— Nie wiem, czy w ogóle pozwalasz mi się czymkolwiek interesować — dobiegł Birkina glos Geralda z sąsiedniego pokoju. — Minette i jej podobnymi — nie, kopalniami — nie, więc czym w końcu?

— Ależ interesuj się, Geraldzie, czym tylko potrafisz. Mnie po prostu te sprawy nie obchodzą.

— Co wobec tego mam robić?

— Co chcesz. A co ja mam robić?

W ciszy, która zaległa, Birkin wyczuwał namysł Geralda.

— Niech mnie piorun strzeli, jeśli wiem — usłyszał żartobliwą odpowiedź.

— Bo, widzisz — rzekł Birkin —jakaś część ciebie chce Minette i tylko Minette, inna część chce kopalń i wielkich interesów... I masz... cały składasz się z różnych części.

— I jakaś część chce jeszcze czegoś innego — powiedział Gerald szczególnym głosem, spokojnym i

prawdziwym

— Czego? — spytał nieco zaskoczony Birkin.

— Właśnie miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.
Zamilkli obaj.

— Nie, nie mogę ci powiedzieć. Nie umiem znaleźć drogi dla siebie, a cóż dopiero dla ciebie. Mógłbyś się ożenić.

— Z kim? Z Minette?

— Może. — Birkin wstał i podszedł do okna.

— To jest twoje panaceum — mruknął Gerald —lecz sam jeszcze tego lekarstwa nie wypróbowałeś, a przecież i ty nie jesteś zdrowy.

— Tak — odparł Birkin. — Ale ja się wyleczę.

— Przez małżeństwo?

— Tak — rzekł Birkin z uporem.

— Nie. Nie, nie, nie, mój chłopcze.

Zaległa między nimi cisza; obaj odczuli szczególne napięcie wzajemnej wrogości. Zawsze starali się zachować pewien dystans, pewną niezależność. Jednocześnie dziwnie ich do siebie ciągnęło.

— Salvator femininus — powiedział Gerald z ironią.

— Czemu nie?

— Rzeczywiście, czemu nie, byle ci się to udało. Ale z kim się ożenisz?

— Z kobietą.

— Bardzo dobrze — rzekł Gerald.

Na śniadanie zeszli ostatni. Hermione lubiła, żeby wszyscy zjawiali się wcześnie. Cierpiała, że okradają ją z części dnia, że przez nich marnuje życie. Zdawała się chwytać godziny za gardło, by siłą wycisnąć z nich, co się da. Rano była zwykle upiornie blada, jakby jeszcze nie całkiem się ocknęła. A jednak tchnęła siłą, jej wola była nie

do odparcia. Gdy Birkin i Gerald weszli, w atmosferze dało się odczuć nagle napięcie.

Hermione uniosła twarz i powiedziała śpiewnym, rozbawionym głosem:

— Dzień dobry! Czy spaliście dobrze? Cieszę się bardzo!

I odwróciła się, jakby przestali dla niej istnieć. Birkin, który doskonale ją znał, wiedział, że postanowiła go nie zauważać.

— Proszę bardzo, na kredensie stoi jedzenie, bierzcie, na co macie ochotę. — W głosie Aleksandra brzmiała lekka dezaprobata. — Mam nadzieję, że jeszcze nie wystygło. O nie! Czy zechciałbyś zgasić płomień pod podgrzewaczem, Rupercie? Dziękuję ci.

Aleksander stawał się autorytatywny, kiedy Hermione była chłodna. Nieuchronnie przejmował jej ton. Birkin usiadł i spojrzał na stół. Przywykł do tego pokoju, do tej atmosfery przez lata zażyłości, a teraz czuł, że nie ma już z tym nic wspólnego. Jak dobrze znał tę Hermione, która siedzi tu wyprostowana i milcząca, odurzona jakby, a przecież silna i energiczna! Znal ją tak do głębi, tak ostatecznie, że niemal przechodziło to w obłęd. Trudno mu było uwierzyć, że jest przy zdrowych zmysłach, że nie znajduje się w królewskim przedsionku egipskiego grobowca, gdzie zmarli zasiadają wieczni i groźni. Jak gruntownie poznał Joshuę Matthesona, który szorstkim, lecz afektowanym głosem mówił i mówił bez końca; jego świetny umysł pracował bez przerwy i wszystko, co opowiadał, było interesujące, ale już znane, wiadome z góry, choć tak odkrywcze i inteligentne. Aleksander — doskonały gospodarz, tak uprzejmie swobodny; Fräulein — wszystkim przyklaskująca we właściwy sposób; mała włoska contessa — na każdego zwracająca uwagę i uroczo rozgrywająca swoje gierki, obiektywna i czujna jak łasica, która wciąż zabiega, żeby mieć jak najwięcej przyjemności, nic z siebie nie dając;

panna Bradley — ciężka, służalcza, traktowana z zimną, niemal szyderczą pogardą przez Hermione, a przez pozostałych z lekceważeniem — wszystko to było mu znane jak gra, w której tradycyjnie ustawione figury, zawsze te same — królowa, dwa skoczki, pionki, identyczne teraz jak przed wiekami — ciągle te same figury poruszają się w jednej z niezliczonych odmian ciągle tej samej gry. Lecz przebieg gry jest dobrze znany, rozgrywać ją to szaleństwo, wyczerpane są wszystkie możliwości.

Gerald był wyraźnie ubawiony; gra mu się podobała. Gudrun przyglądała się wszystkiemu uporczywie wielkimi, poważnymi, wrogimi oczyma; gra fascynowała ją i budziła w niej obrzydzenie. Ursula miała nieco zaskoczony wyraz twarzy, jakby została zraniona i ból czaił się jeszcze tuż poza progiem jej świadomości.

Nagle Birkin wstał i wyszedł.

— Dość tego — mruknął do siebie mimo woli.

Hermionę dostrzegła, że wstaje, chociaż nie uświadamiała sobie tego. Podniosła ciężkie powieki i zobaczyła, jak znika, porwany nagle nieznanym prądem; fale zwaliły się na jej głowę. Tylko niezłomna wola trzymała ją przy stole i pozwoliła jej mechanicznie snuć refleksje i rzucać oderwane uwagi. Ale ogarniała ją ciemność, była jak okręt idący na dno. Dla niej też był to koniec, okręt rozbił się w mroku. A przecież niezawodny mechanizm jej woli nadal działał, działała więc i ona.

— Czy będziemy się kąpać dziś rano? — spytała nagle.

— Wspaniale — powiedział Joshua. — Poranek jest cudowny.

— Piękna pogoda — dorzuciła Fräulein.

— Tak, chodźmy się kąpać! — poprosiła Włoszka.

— Nie mamy kostiumów kąpielowych — zauważył Gerald.

— Weźmie pan mój — powiedział Aleksander. — Muszę iść do kościoła i czytać ewangelię. Czekają na mnie.

— Jest pan chrześcijaninem? — zapytała contessa z nagłym zainteresowaniem.

— Nie — odparł. — Nie jestem. Ale uważam, że powinno się podtrzymywać dawne obyczaje.

— Są takie piękne! — uzupełniła Fräulein taktownie.

— O tak! — zawołała panna Bradley.

Wszyscy bez pośpiechu przenieśli się na murawę. Był słoneczny, łagodny poranek wczesnego lata, gdy życie snuje się delikatnie jak wspomnienie. Rozbrzmiewały dzwony pobliskiego kościoła, niebo było bezchmurne, poniżej na jeziorze jak nenufary bielały łabędzie, pawie defilowały długimi, dumnymi krokami, idąc przez obszar cienia na zalany słońcem trawnik. Człowiek miał ochotę wtopić się w tę niedzisiejszą doskonałość.

— Do widzenia! — zawołał Aleksander powiewając rękawiczkami i zniknął za kępą drzew w drodze do kościoła.

— Idziemy teraz się kąpać? — spytała Hermione.

— Ja nie — powiedziała Ursula.

— Nie chcesz? — nalegała Hermione, patrząc na nią powłóczyście.

— Nie, nie mam ochoty — powtórzyła Ursula.

— Ani ja — dodała Gudrun.

— A co z moim kostiumem? — zapytał Gerald.

— Nie wiem — Hermione zaśmiała się z rozbawieniem. — Czy chustka do nosa wystarczy? Duża chustka?

— Wystarczy — rzekł Gerald. ’”

— No to idziemy — zanuciła Hermione.

Pierwsza przebiegła przez trawnik drobna Włoszka o kocich ruchach; gdy biegła, błyskały jej białe nogi. Pochylała głowę zawiązaną złotą jedwabną chustką. Lekkim krokiem

przeszła przez furtkę i zeszła niżej na trawę, po czym stanęła — drobna figurka z kości słoniowej i brązu — na brzegu wody. Odrzuciła ręcznik i spoglądała na łabędzie, które zbliżyły się zdziwione. Potem nadbiegła panna Bradley podobna w ciemnoniebieskim kostiumie do wielkiej, miękkiej śliwki. Następny był Gerald z czerwoną chustką wokół bioder, z ręcznikami na ramionach. Trochę jakby chciał się popisać, przystanął roześmiany w pełnym słońcu. Ciało jego było białe, ale swoją nagość obnosił naturalnie. Potem nadszedł sir Joshua w płaszczu kąpielowym i wreszcie Hermione, krocząc ze sztywnym wdziękiem w obszernej opończy z fioletowego jedwabiu i fioletowozłotym turbanie na głowie. Ładne było jej wyprostowane, długie ciało, jej mocno stąpające, białe nogi; miała w sobie wręcz olśniewający majestat, kiedy tak szła pozwalając, by peleryna opływała jej kroki. Przesunęła się przez trawnik niczym dziwne wspomnienie i poszła wolno, dostojnie w stronę wody.

Były tu trzy stawy, schodzące tarasami w dolinę, rozległe, gładkie i piękne w słońcu. Woda przelewała się przez niski kamienny murek, przez niewielkie skałki i spadała z wyższego stawu do niższego. Łabędzie przeniosły się na przeciwległy brzeg, trzcina pachniała słodko, lekki powiew muskał skórę. Gerald skoczył do wody w ślad za sir Joshuą i popłynął na kraniec stawu; tam wspiął się na brzeg i usiadł na murku. Jeszcze jeden skok do wody — to mała contessa popłynęła jak kot, żeby się do niego przyłączyć. Oboje roześmiani siedzieli w słońcu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Podpłynął sir Joshua i stanął w pobliżu zanurzony w wodzie po pachy. Hermione i panna Bradley też przepłynęły staw i usiadły obok siebie na brzegu.

— Czy oni nie są przerażający? Naprawdę się ich nie boisz? Wyglądają jak płazy. Jak wielkie jaszczury. Widziałaś kiedy stwór podobny do sir Joshuy? Ursulo, przecież on

należy do świata sprzed potopu, kiedy po ziemi pełzały olbrzymie gady.

Gudrun patrzyła z prawdziwym przerażeniem na sir Joshuę, który stał po pierś w wodzie; długie, siwiejące włosy oblepiały mu oczy, szyja osadzona była na grubych, szorstkich ramionach. Mówił coś do panny Bradley, która siedziała wyżej na brzegu, pulchna, duża i mokra, gotowa lada chwila stoczyć się do wody jak oślizłe lwy morskie w zoo.

Ursula przyglądała się w milczeniu. Gerald, śmiejący się wesoło między Hermione i contessą, ze swymi prawdziwie złotymi włosami, radosny, o jędrnym ciele, przywodził jej na myśl Dionizosa. Hermione, z hojnym, sztywnym, złowieszczym wdziękiem, pochylała się ku niemu, groźna, jakby nieodpowiedzialna za swoje czyny. Dostrzegał w niej niebezpieczeństwo, spazm obłędu. Ale tym weselszy miał wyraz twarzy i jakby częściej stał zwrócony do małej contessy, której oczy błyskały do niego.

Wszyscy zsunęli się do wody i płynęli razem jak stado fok. Hermione w wodzie była potężna i roztargniona, powolna i silna. Palestra płynęła szybko i cicho jak szczur wodny. Gerald kołysał się na fali migotliwie — biały swobodny cień. Potem wyszli kolejno na brzeg i skierowali się do domu,

Gerald pozostał nieco w tyle, żeby zamienić parę słów z Gudrun.

— Nie lubi pani wody? — spytał.

Obrzuciła mężczyznę stojącego przed nią niedbale z kropelkami wody na skórze nieprzeniknionym spojrzeniem.

— Bardzo lubię.

Przez chwilę czekał na dalsze wyjaśnienia.

— I pływa pani?

— Tak, pływam.

Nie chciał jej spytać, dlaczego wobec tego nie kąpała się z nimi. Wyczuwał jej ironiczny nastrój. Odszedł, po raz pierwszy zaintrygowany.

— Dlaczego się pani nie kąpała? — spytał później, gdy był już znów odpowiednio ubranym, młodym Anglikiem.

Podrażniona jego uporem, zawahała się chwilę z odpowiedzią.

— Ponieważ nie przypadła mi do gustu ta cała paczka.

Roześmiał się, wyraz „paczka” zdawał się budzić echo w jego świadomości. Posmak gwary w tym określeniu wydał mu się pikantny. Chciał czy nie chciał, Gudrun uosabiała dla niego prawdziwy świat. Pragnął sprostać jej wymaganiom, spełnić jej oczekiwania. Wiedział, że tylko jej kryteria się liczą. Inni, bez względu na pozycję towarzyską, są z natury profanami. Nie miał rady, musiał starać się dorównać jej zasadom, zrealizować jej ideał mężczyzny i człowieka.

Po lunchu, kiedy inni goście poszli do siebie, Hermione, Gerald i Birkin zwlekali jeszcze, kończąc rozmowę. Toczyli przedtem dyskusję bardzo intelektualną i na ogół sztuczną o nowej sytuacji ludzkości, o rodzącym się świecie. Jeśli zostanie obalony dawny porządek społeczny, co wyłoni się z chaosu?

Sir Joshua twierdził, że kluczową ideą społeczną jest idea społecznej równości. Gerald sprzeciwiał się temu. Według niego rzecz polega na tym, żeby każdy człowiek pracował na swoim niewielkim odcinku — niech spełni swoje zadanie, a poza tym niech robi, co chce. Jednoczącą zasadą jest wykonywana praca. Tylko praca — proces produkcji wiąże z sobą ludzi. Jest to więź mechaniczna, ale przecież społeczeństwo to właśnie mechanizm. Poza pracą każdy człowiek żyje osobno i postępuje, jak mu się podoba.

— Och! — zawołała Gudrun. — I nie będziemy już mieli własnych imion... Jak Niemcy, nic, tylko Herr Obermeister i Herr Untermeister. Mogę to sobie wyobrazić: ‚Jestem pani

dyrektor kopalni Crich...” „Jestem panią posłanką do parlamentu Roddice...” „Jestem panną nauczycielką rysunków Brangwen...” Bardzo to ładnie brzmi.

— Na świecie będzie o wiele lepiej, panno nauczycielko rysunków Brangwen— powiedział Gerald.

— Pod jakim względem, panie dyrektorze kopalni Crich? Stosunków między panem i mną par exemple?

— Tak, na przykład — zawołała Włoszka — to, co jest między mężczyzną a kobietą!

— To nie są kwestie społeczne — wtrącił Birkin sarkastycznie.

— Właśnie — potwierdził Gerald. — W swoich stosunkach z kobietami wykluczam kwestie społeczne. To moja osobista sprawa.

— I dziesięciofuntowego banknotu — dorzucił Birkin.

— Nie uznaje pan więc kobiety za istotę społeczną? — Ursula zwróciła się do Geralda.

—Jest jednym i drugim. Istotą społeczną, kiedy dotyczy to społeczeństwa; ale jako osoba prywatna ma pełną swobodę postępowania.

— Czy nie będzie raczej trudno złożyć razem te dwie części?

— O, nie. Układają się same w naturalny sposób... Widzimy to teraz na każdym kroku.

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz — rzekł Birkin. Gerald zmarszczył brwi w przystępie irytacji.

— A czy ja skaczę?

— Jeśli — odezwała się wreszcie Hermione — bylibyśmy zdolni zdać sobie sprawę choćby z tego, że w duchu jesteśmy wszyscy tacy sami, że wszyscy jesteśmy braćmi, reszta nie miałaby znaczenia, skończyłyby się złośliwości i zawiść, i ta walka o władzę, która wszystko obraca wniwecz.

Słowa Hermione przyjęto w milczeniu i prawie natychmiast wszyscy wstali od stołu. Ale gdy inni już wyszli, Birkin zwrócił się do Hermione z goryczą w głosie:

—Jest zupełnie inaczej. Wręcz przeciwnie. Każdy z nas jest duchem inny i nie jesteśmy sobie równi — tylko różnice społeczne wynikają z przypadkowych okoliczności materialnych. Owszem, jeśli chcesz, jesteśmy abstrakcyjnie czy matematycznie równi. Każdy człowiek odczuwa głód i pragnienie, ma dwoje oczu, jeden nos i dwie nogi. Ujęci w liczbach jesteśmy jednakowi, ale w dziedzinie ducha każdy z nas jest odmienny, wagę ma czysta różnica i nie liczy się ani równość, ani nierówność. I na tych dwu strzępach wiedzy trzeba oprzeć państwo. Twoja demokracja jest absolutnym kłamstwem, twoje braterstwo między ludźmi — fałszem, skoro tylko wykroczysz poza matematyczną abstrakcję. Wszystkich nas karmiono mlekiem, wszyscy jemy chleb i mięso, wszyscy chcemy jeździć samochodami— i to jest początek i koniec braterstwa ludzi. Ale równości nie ma. Ja jako ja, czy jestem w jakiś sposób równy innemu mężczyźnie czy innej kobiecie? Duchowo jestem tak daleki od nich, jak jedna gwiazda od drugiej i tak samo odmienny pod względem jakości i ilości. Niech ten fakt będzie fundamentem twojego państwa. Nie dlatego jeden człowiek nie jest lepszy od drugiego, że są sobie równi, lecz dlatego, że są z gruntu różni, więc całkowicie nieporównywalni. W momencie, w którym zaczyna się porównywać, jeden człowiek okazuje się o wiele lepszy od drugiego — wszelka nierówność, jaką sobie można wyobrazić, jest dana przez naturę. Chciałbym, żeby każdy człowiek miał swój udział w dobrach tego świata, bo wtedy uwolnię się od jego natręctwa i będę mógł mu powiedzieć: „Masz, czego chciałeś — dostałeś sprawiedliwy udział. Teraz zajmij się swoimi sprawami i nie zawracaj mi głowy”.

Hermione przyglądała mu się złośliwie, spode łba. Wyraźnie czuł płynące od niej gwałtowne fale nienawiści i

wstrętu do wszystkiego, co powiedział. Rwący, czarny, silny strumień nienawiści i odrazy wypływa! z jej podświadomości. I tylko podświadomie słyszała jego słowa — świadomie, ogłuszona, nie zwróciła na nie wcale uwagi.

— To zakrawa na megalomanię, Rupercie — powiedział wesoło Gerald. Hermione wydała dziwne chrząknięcie, Birkin cofnął się o krok.

— Tak, niech będzie — rzekł nagle głosem, który przedtem tak natarczywy, przygniatający, był teraz bezdźwięczny. I wyszedł.

Później jednak ogarnęły go skrupuły. Był wobec biednej Hermione gwałtowny, okrutny. Chciał jej to wynagrodzić, pogodzić się z nią. Zranił ją przecież, zachował się mściwie. Uznał, że czas już przywrócić dobre stosunki.

Poszedł do jej buduaru, pokoju ustronnego i zacisznego. Hermione siedziała przy biurku i pisała listy. Kiedy wszedł, uniosła twarz, z roztargnieniem popatrzyła, jak siada na sofie, i powróciła do pisania.

Wziął do ręki grubą książkę, którą zaczął czytać już poprzednio, i natychmiast, bez reszty pochłonęły go myśli autora. Był plecami odwrócony do Hermione, która nie mogła się już skupić nad listem. Jej mózg był chaosem, wtargnęła do niego ciemność, a ona sama walczyła, by odzyskać władzę nad swoją wolą, jak pływak walczy z podwodnymi wirami. Lecz mimo wysiłku, świat się na nią walił, wciągały ją ciemności, czuła, że serce jej pęka. Coraz bardziej wzmagało się straszliwe napięcie, było męczarnią nie do zniesienia, miała uczucie, że ją żywcem zamurowano.

Zdała sobie sprawę, że murem jest jego obecność, że to jego obecność ją zabija. Jeśli nie zdoła uciec, umrze w okropnej męce, zamurowana w koszmarze. I to on jest murem. Musi zburzyć mur, musi usunąć sprzed siebie straszliwy zator, człowieka, który tarasuje całe jej życie. Jeżeli tego nie zrobi, czeka, ją okrutna śmierć.

Straszne wstrząsy przebiegały przez jej ciało, jak gdyby porażone prądem wysokiego napięcia. Wiedziała, że on siedzi tu w milczeniu, uosobienie niszczącego ją zła. To właśnie mąciło jej umysł, dławiło oddech — te milczące, przygarbione plecy, tył jego głowy.

Ramiona jej przeszył zmysłowy dreszcz — za chwilę dozna rozkoszy zaspokojenia. Ramiona drżały, była w nich siła, bezbrzeżna, nieodparta siła. Co za rozkosz, rozkosz płynąca z siły, szaleństwo rozkoszy! Nareszcie osiągnie zaspokojenie, najwyższą zmysłową ekstazę. Za chwilę! Z nieopisanym strachem, w najgłębszym cierpieniu, wiedziała, że nadchodzi moment największego szczęścia. Zacisnęła dłoń na pięknej, błękitnej bryle lapis lazuli, która leżała jako przycisk na jej biurku. Obracała ją w ręku, podnosząc się bezszelestnie. W jej piersiach serce płonęło czystym płomieniem, była nieprzytomna z ekstatycznego uniesienia. Zbliżyła się do niego i przez cudowną chwilę stała za nim w transie. On, zamknięty w magicznym kręgu, siedział bez ruchu, nieświadom niczego.

Po czym szybko, ogarnięta płomieniem, który przeszył ją na wskroś jak płynna błyskawica przynosząc jej rozkosz, niewysłowioną rozkosz spełnienia, z całą siłą uderzyła kamiennym klejnotem w jego głowę. Obejmujące kamień palce osłabiły cios. Mimo to głowa Ruperta opadła na stół, na którym leżała książka, kamień ześliznął się koło jego ucha; Hermione przeszył spazm szczęścia, rozświetlony bólem przygniecionych palców. Ale nie zaspokoiło jej to w pełni.

Podniosła wysoko ramię, żeby raz jeszcze wycelować w głowę bezwładnie leżącą na stole. Musi ją roztrzaskać, bo dopiero kiedy to uczyni, jej ekstaza osiągnie szczyt, jej żądza zostanie na zawsze nasycona. Nic już nie miało znaczenia, ani życie, ani śmierć tysięcy ludzi; jedno było ważne — żeby osiągnąć zaspokojenie, pełne, ekstatyczne zaspokojenie.

Nie była szybka, mogła się poruszać tylko powoli. I Rupert jedynie dzięki sile ducha ocknął się, podniósł głowę i odwrócił do niej twarz. Zobaczył wzniesione ramię, rękę ściskającą kulę z lapis lazuli. To była jej lewa ręka. Ze zgrozą zdał sobie sprawę, że Hermione jest mańkutem. Błyskawicznie schował głowę pod grubym tomem Tucydydesa. Cios, który padł, nieomal złamał mu kark i roztrzaskał serce.

Miał roztrzaskane serce, ale nie bał się. Wykonał skręt, żeby znaleźć się na wprost niej, pchnął stół i odsunął się dalej. Był flaszką rozbitą na atomy, cały z odłamków, stłuczony na miazgę. Ale ruchy miał zborne i precyzyjne, nie był rozbity psychicznie ani zaskoczony.

— Nie, Hermione — rzekł cicho. — Nie pozwolę na to.

Stała przed nim wysoka, sina z wściekłości, czujna, ściskając kurczowo kamień w dłoni.

— Odsuń się i daj mi stąd odejść — rzekł zbliżając się do niej.

Jakby pchnięta przez niewidoczną rękę, cofnęła się nie odrywając od niego wzroku, znieruchomiała jak obezwładniony anioł, który zagradzał mu drogę.

— To nie ma sensu — powiedział przechodząc tuż obok niej. — To nie ja umrę, słyszysz?

Cały czas był twarzą zwrócony w jej stronę, na wypadek, gdyby go chciała znowu uderzyć! Kiedy miał się na baczności, nie ośmielała się zaatakować. Teraz uważał na siebie, była więc bezsilna. Wyszedł i zostawił ją zastygłą w bezruchu.

Całkiem zdrętwiała od długiego stania, chwiejnie dowlokła się do sofy, położyła się i zapadła w ciężki sen. Po obudzeniu pamiętała wszystko, ale zdawało jej się, że tylko go uderzyła; zrobiłaby to każda kobieta, nad którą tak by się znęcał. Miała absolutną rację. Wiedziała, że moralnie ma rację. W swojej niezawodnej czystości postąpiła tak, jak

należało postąpić. Po jej stronie jest słuszność i czystość. Jej twarzy nie opuszczał wyraz groźnej, religijnej ekstazy, jakby była w narkotycznym transie.

Birkin, jeszcze nie całkiem przytomny, ale stąpający pewnie, poszedł z domu prosto przez park na pola, w stronę wzgórza. Po słonecznym dniu zachmurzyło się, zaczął kropić deszcz. Birkin dotarł do najdzikszej części doliny, wędrując wśród leszczynowych zarośli, niezliczonych kwiatów, kiści wrzosu, kęp młodziutkich jodeł, które wypuściły pędy. Wszędzie tu czuło się wilgoć, strumień płynął w głębi doliny, która była czy też wydawała się mroczna. Wiedział, że jeszcze się w pełni nie ocknął, że porusza się jakby w ciemności.

Czegoś jednak chciał. Czuł się szczęśliwy na wilgotnym zboczu, zarośniętym i ciemnym od krzewów i kwiatów. Chciał wszystkiego dotykać, aż nasyci się tym dotykaniem. Zdjął ubranie, usiadł nagi wśród pierwiosnków, muskał je stopami, dotykał nogami, kolanami, zanurzył w nich ręce do ramion, brzuch i piersi. Całym ciałem czul ich rozkoszny, chłodny, delikatny dotyk. Całym ciałem sycił się nimi.

Lecz było tu za miękko. Brnąc przez wysoką trawę, podszedł do kępy młodych, nie wyższych od człowieka jodeł. Wiotkie, ostre gałązki smagały go. Mimo dotkliwego bólu, szedł prosto na nie, czując prysznic zimnych kropelek na brzuchu i na biodrach, uderzenia kiści wiotkich i ostrych igieł. Oset ukłuł go mocniej, ale niezbyt dotkliwie, bo poruszał się powoli i ostrożnie. Leżeć i turlać się w lepkich, chłodnych, młodych hiacyntach, ułożyć się na brzuchu i pokryć plecy garściami cienkiej, wilgotnej trawy, łagodnej jak oddech, miększej, delikatniejszej i słodszej niż dotknięcie kobiety; kłuć uda ostrym, cienkim puszkiem jodłowych gałązek; poczuć lekkie, parzące smagnięcie bata leszczyny na ramionach, przytulić do piersi srebrzysty pień brzozy, gładkiej i twardej, wezbrane życiem węzły i bruzdy — to było dobre, dobre pod każdym względem, tylko to go mogło

zaspokoić — chłód i subtelny dotyk roślin przenikający go do głębi. Jakżeż był szczęśliwy, że ta czarowna, czuła roślinność czekała na niego, tak jak on czekał na nią; ileż mu to dawało rozkoszy i radości!

Wycierając się dość pobieżnie chustką do nosa, myślał o Hermione i o ciosie, jaki mu zadała. Czuł jeszcze ból z jednej strony głowy. Ale ostatecznie, czy to ma znaczenie? A czy Hermione ma jakieś znaczenie? I ludzie w ogóle? Tu była ta doskonała, chłodna samotność, piękna, świeża i nietknięta. Zaprawdę, jakże błądził myśląc, że potrzebuje ludzi, że pragnie kobiety. Wcale nie chciał kobiety. Liście, pierwiosnki i drzewa były prawdziwie urocze, chłodne, upragnione, przenikały do krwi, bogaciły go. Teraz był wzbogacony ponad wszelką miarę i taki szczęśliwy!

Hermione słusznie chciała go zabić. Co ich łączyło? Dlaczego miał udawać, że cokolwiek łączy go z ludźmi w ogóle? Tu był jego świat; nie chciał nikogo i nic poza tą roślinnością czarowna, delikatną, czującą to samo, co on.

Musi wrócić do świata. To prawda. Ale nie ma to znaczenia, jeśli człowiek wie, gdzie jest jego ojczyzna. Teraz wiedział, gdzie jej szukać. Tu była jego ojczyzna, miejsce jego mistycznych zaślubin. Świat był obcy.

Wspinał się na zbocze zastanawiając się, czy nie jest szalony. Lecz jeśli nawet, to wolał swój obłęd niż wszelką normalność. Własne szaleństwo cieszyło go, był wolny. Nie miał ochoty na stary, zdrowy świat, nabrał do niego wstrętu. Cieszył się nowo odkrytym światem swego szaleństwa. Był tak świeży, delikatny i przyjazny.

Jeśli się smucił trochę w duszy, to tylko na skutek resztek dawnej moralności, która wiązała człowieka z ludzkością. Ale miał dość i dawnej etyki, i człowieka, i ludzkości. Kochał teraz miękką, delikatną roślinność, tak chłodną i bez skazy. Odrzuci dawną moralność i będzie wolny w swym własnym, nowym świecie.

Zdawał sobie sprawę, że ból głowy potęguje się z każdą minutą. Szedł teraz drogą do najbliższej stacji. Padał deszcz, a on nie miał kapelusza. Ale przecież tylu wariatów chodzi dziś po deszczu z odkrytą głową.

Ciągle jeszcze zastanawiał się, w jakiej mierze ciężar w sercu, niejasne uczucie depresji wynikało z obawy, że ktoś mógł go widzieć leżącego nago w trawach. Jaki potworny strach budziła w nim ludzkość, inni ludzie! Potworny strach, że ktoś mu się przygląda, stał się dla niego koszmarem, dręczącym jak zmora senna. Gdyby jak Aleksander Selkirk znalazł się na wyspie bezludnej, wśród zwierząt i drzew, byłby wolny i szczęśliwy, ustąpiłby ucisk w sercu, rozwiałyby się obawy. Mógłby kochać rośliny i byłby całkiem szczęśliwy sam z sobą, przez nikogo nie nagabywany.

Wyśle liścik do Hermione: może się o niego niepokoi, nie chciał być za to odpowiedzialny. Na stacji napisał parę słów:

„Jadę do miasta, na razie nie mam ochoty wracać do Breadalby. Ale wszystko jest w porządku, tylko nie przejmuj się, że mnie zraniłaś. Powiedz innym, że miewam takie kaprysy. Miałaś słuszność, że mnie uderzyłaś, skoro tego chciałaś. I to chyba wszystko”.

W pociągu jednak poczuł się chory. Każdy ruch sprawiał mu ból nie do zniesienia, mdliło go. Ze stacji powlókł się do dorożki, posuwając się krok za krokiem jak ślepiec trzymający się tylko resztkami woli.

Chorował prawie dwa tygodnie, ale nie zawiadomił Hermione, myślała więc, że się boczy; stosunki między nimi całkiem się urwały. Była urzeczona i pochłonięta przekonaniem, że ona jedna ma monopol na prawdę i sprawiedliwość, niezachwianie pewna własnej wyższości i własnej racji.

ROZDZIAŁ IX

PYŁ WĘGLOWY

Wracając po południu ze szkoły panny Brangwen zeszły zboczeni pagórka między malowniczo rozrzuconymi domkami Willey Green do przejazdu kolejowego. Szlaban był opuszczony, turkot kopalnianej kolejki rozlegał się coraz głośniej. Słyszały już ochrypłe sapanie małej lokomotywy, która posuwała się ostrożnie między nasypami. Jednonogi dróżnik wyglądał ze swego schronienia w budce sygnałowej jak krab ze skorupy.

Podczas gdy dziewczęta czekały przed barierą, przykłusował Gerald Crich na gniadej, arabskiej klaczy. Siedział w siodle dobrze i zwinnie, zadowolony, że czuje między kolanami lekkie drganie skóry zwierzęcia. Wyglądał efektownie, w każdym razie W oczach Gudrun, kiedy tak siedział swobodny i skupiony na smukłej, gniadej klaczy, której ogon powiewał na wietrze. Ukłonił się dziewczętom i stanął na przejeździe czekając, aż przejedzie pociąg i podniosą szlaban. Choć jego malowniczy wygląd wywołał na jej twarzy ironiczny uśmiech, Gudrun patrzyła na niego z przyjemnością. Był dobrze zbudowany, naturalny, od jego ciepłej opalenizny odbijał spłowiały, szorstki wąs, a niebieskie, wpatrzone w dal oczy pełne były ostrego światła.

Lokomotywa sapała, jeszcze niewidoczna na torze. Klaczy się to nie podobało. Zaczęła kręcić się, jakby podrażniona nieznanym dźwiękiem. Lecz Gerald ściągnął cugle i ustawił ją łbem w stronę szlabanu. Ostre gwizdy zgrzytającego parowozu płoszyły klacz coraz bardziej. Powtarzające się uderzenia nieznanych, groźnych dźwięków ogłuszały ją, zaczęła trząść się z przerażenia. Odskoczyła

jak spuszczona sprężyna. Po twarzy Geralda przemknął uśmiech. Znów bezlitośnie ściągnął cugle.

Hałas wzmógł się, mała lokomotywa z ostrym chrzęstem żelaznych złączy ukazała się na szynach. Klacz odbiła się jak kropla wody od gorącego żelaza. Ursula i Gudrun, przestraszone, wcisnęły się w żywopłot. Ale Gerald przytłoczył zwierzę swoim ciężarem i zmusił je do posłuchu. Wydawało się, że są złączeni jakby magnetyczną siłą i Gerald może powodować klaczą wbrew jej woli.

— Szaleniec! — krzyknęła Gudrun. — Dlaczego nie odjedzie, póki pociąg nas nie minie?

Jak urzeczona przyglądała się jeźdźcowi ciemnymi, szeroko otwartymi oczyma. Promienny i uparty, nadal poskramiał rozdygotaną klacz, która wierzgała i kręciła się, zmieniając kierunek jak wiatr, nie mogła jednak przełamać jego woli ani uciec od obłędnego jazgotu, od którego przenikał ją strach narastający, w miarę jak wagony powoli, ciężko, groźnie uderzały o szyny na przejeździe, jeden za drugim, jeden w pogoni za drugim.

Lokomotywa, jakby niepewna, dokąd zmierza, zahamowała i wagony wróciły, odbiły się od żelaznych buforów i uderzały w nie jak w potworne struny cymbałów, szczękając coraz bliżej z przeraźliwym łomotem. Klacz otworzyła pysk i stanęła dęba powoli, jakby unoszona wiatrem przerażenia. Nagle przednimi kopytami zaczęła, hit powietrze, skręcając się konwulsyjnie, żeby nareszcie uciec od koszmaru. Cofnęła się i dziewczęta przylgnęły do siebie, pewne, że za chwilę padnie na grzbiet i przywali jeźdźca. Ale Gerald pochylił się naprzód z nie schodzącym z promiennej twarzy wyrazem rozbawienia; wreszcie zmusił klacz do opuszczenia kopyt i okiełznawszy, skierował znów do szlabanu. Lecz równie silny jak nacisk, który pchał ją w stronę przejazdu, był odruch przemożnego strachu odpychający ją od szyn. Klacz tańczyła na dwu nogach, kręcąc się w kółko, jakby znalazła się w centrum trąby

powietrznej. Gudrun zrobiło się słabo, poczuła zawrót głowy, zamarło jej serce.

— Nie! Nie! Puść ją, wariacie, wariacie! — krzyczała Ursula najgłośniej, jak mogła, całkiem wyprowadzona z równowagi. Ten brak opanowania budził w Gudrun zaciekłą niechęć; Nie mogła znieść, że głos Ursuli jest przenikliwy i aż tak obnażony.

Rysy twarzy Geralda zaostrzyły się. Wbił się w klacz jak ostrze, które tnie do oporu, i siłą ją nawrócił. Jej oddech przeszedł w rzężenie, nozdrza były dwiema wielkimi, gorącymi dziurami, pysk miała otwarty, oczy obłąkane. Był to odrażający widok, ale Gerald, z mechanicznym wręcz okrucieństwem, nie popuszczał, wbijał się w nią ostro jak miecz. I mężczyzna, i koń spływali potem. A przecież jeździec wydawał się spokojny jak promień zimnego słońca.

Tymczasem ciągle te same wagony dudniły, tocząc się powoli jeden za drugim, jeden za drugim jak przykry sen, który trwa bez końca. Złącza wagonów chrobotały i zgrzytały w zależności od stopnia naprężenia, klacz wierzgała i cofała się już tylko odruchowo, skoro jej strach się dopełnił, ujarzmił ją człowiek; na oślep, żałośnie, bila powietrze kopytami, jeździec zagarnął ją całą pod siebie i zmusił do spuszczenia nóg, stopiony z nią, jakby była częścią jego ciała.

— Ona krwawi! Krwawi! — krzyknęła Ursula nieprzytomna z oburzenia i nienawiści. Ona jedna rozumiała go bez reszty, gdyż tak skrajnie się od niego różniła.

Gudrun zobaczyła krople krwi na skórze klaczy i zbladła. Właśnie błyszczące ostrogi dźgnęły bezlitośnie krwawiące końskie boki. Świat zawirował, zapadł się, do Gudrun nic już nie docierało.

Ocknęła się spokojna i chłodna, całkiem zobojętniała. Wagony turkotały, człowiek i koń wciąż toczyli z sobą walkę.

Ale ona była zimna i zamknięta w sobie, wcale nie zainteresowana. Mogła być twarda, chłodna i obojętna.

Widzieli już daszek wagonu kierownika pociągu, dudnienie przycichało, zaświtała nadzieja, że się skończy. Półprzytomna klacz nadal sapała ciężko, ale już jakby automatycznie, jeździec odprężył się spokojny, pan swej woli, czujnej i niezłomnej. Przejechał wagon kierownika pociągu, który mijając ich gapił się na scenę przy torze. Oczami tego człowieka w zamkniętym wagonie Gudrun też zobaczyła całą scenę, osobną i przelotną, jak gdyby wizję niezwykle wyraźnie wydzieloną z wieczności.

Zdawało się, że za pociągiem ciągnie się cudowna, rozkoszna cisza. Jakże słodka jest cisza! Ursula posłała za ostatnimi wagonami spojrzenie pełne nienawiści. Dróżnik stał w drzwiach budki szykując się do podniesienia szlabanu. Nagle Gudrun skoczyła do przodu, przed wierzgającego jeszcze konia, odciągnęła zasuwkę i gwałtownym ruchem rozsunęła bariery szlabanu — jedną pchnęła w stronę dróżnika, podczas gdy z drugą sama biegła naprzód. Gerald znienacka popuścił cugle i koń skoczył naprzód, niemal wprost na nią. Nie przestraszyła się. Kiedy jeździec szarpnął uzdą, odciągając głowę konia, zawołała dziwnym głosem, przenikliwym jak krzyk mewy czy wrzask wiedźmy stojącej na skraju drogi:

— I na pewno jest pan z siebie dumny!

Słowa zabrzmiały jasno i wyraźnie. Jeździec przechylił się na tańczącym koniu i spojrzał na nią trochę zaskoczony i trochę zainteresowany. Podkowy klaczy zabębniły trzykrotnie na podkładach toru; i jeździec, i koń nierównym galopem ruszyli sprężyście drogą.

Dziewczęta patrzyły w ślad za nim. Dróżnik kuśtykał postukując o kłody przejazdu drewnianą nogą. Zamknął szlaban, odwrócił się i zawołał do dziewcząt:

— Dobrze jeździ ten młody. Już kto jak kto, ale on postawi na swoim, choćby nie wiem co!

— O tak! — Ursula mówiła zawziętym, wyniosłym tonem. — Mógł przecież przytrzymać konia gdzieś z boku, dopóki nie przejedzie pociąg. Głupiec i brutal. Pewno myśli, że znęcanie się nad koniem to dowód męskości. Jak można tak torturować i dręczyć żywe stworzenie!

Po chwili milczenia dróżnik potrząsnął głową i rzekł: — Tak, to miła klaczka i trudno o ładniejszą... piękne zwierzę, naprawdę piękne. Jego ojciec nigdy by tak nie potraktował zwierzęcia, mowy nie ma. Nie są do siebie podobni. Gerald Crich i jego ojciec to całkiem inni ludzie.

Znowu zapadła cisza.

— Ale dlaczego on to robi? — zawołała Ursula. — Dlaczego? Czy myśli, że komuś zaimponuje znęcaniem się nad stworzeniem dziesięć razy wrażliwszym niż on sam?

Dróżnik ostrożnie odczekał chwilę, potem znów potrząsnął głową, jak człowiek, który nie chce mówić, choć ma wiele do powiedzenia.

— Na mój rozum to on trenuje swoją klaczkę, żeby się niczego nie bała — powiedział wreszcie. — Czysta arabka, nie mamy tu takich. Całkiem inna niż nasze konie. Powiadają, że sprowadził ją aż z Konstantynopola.

— I rzeczywiście! — żachnęła się Ursula. — Lepiej zostawiłby ją Turkom, na pewno traktowaliby ją przyzwoiciej.

Dróżnik wrócił do budki, do swojego kubka z herbatą, dziewczęta poszły ścieżką pokrytą grubą warstwą czarnego pyłu. Myśli Gudrun były jak porażone, tak mocno czuła jeszcze miękki, nieodparty ciężar jasnowłosego mężczyzny, przygniatający ciało klaczy: jego silne, niewzruszone uda zmuszające do uległości pulsujące końskie ciało; jakby z jego lędźwi, ud i łydek płynęła cicha, biała, magnetyczna siła, opasująca klacz, doprowadzoną mozolnie do niewysłowionej uległości, słodkiej i strasznej uległości.

Dziewczęta szły w milczeniu. Na lewo piętrzyły się wielkie hałdy i ażurowe wieże szybów kopalni. A u ich stóp czarne tory z nieruchomymi platformami wyglądały jak port, rozległa zatoka pełna szyn, przy których zarzuciły kotwice wagony.

W pobliżu drugiego przejazdu Kolejowego, przecinającego mnóstwo lśniących szyn, znajdowała się należąca do kopalni ferma. Wielka żelazna bryła zepsutego bojlera, ogromna, zardzewiała i idealnie okrągła, odpoczywała spokojnie na ogrodzonym terenie przy drodze. Kury spacerowały wkoło dziobiąc trawę, kilka kurcząt przysiadło nad korytem z wodą do picia, pliszki z powierzchni wody frunęły między wagony towarowe.

Po drugiej stronie szerokiego skrzyżowania, na poboczu drogi, leżał stos szarych kamieni do naprawy nawierzchni, stała furmanka, a człowiek w średnim wieku, z obfitymi bokobrodami, oparty na łopacie, mówił coś do młodzieńca w kamaszach. Obaj mężczyźni stali twarzą do skrzyżowania.

Widzieli zbliżające się dziewczęta, drobne sylwetki migocące w ostrym świetle późnego popołudnia. Obie miały na sobie letnie stroje, jasne i wesołe. Płaszcz Ursuli, robiony na drutach, był pomarańczowy, Gudrun — bladożółty. Ursula miała kanarkowozółte pończochy, Gudrun — jaskrawoczerwone. Podchodziły coraz bliżej nad szeroką zatokę krzyżujących się szyn — białe, pomarańczowe, żółte i czerwone lśnienia migocące w rozgrzanym świecie przysypanym węglowym pyłem.

Mężczyźni stali nieporuszeni w upale i przyglądali im się uważnie. Starszy był niski, o twardej, energicznej twarzy, młodszy — robotnik rolny, mógł mieć dwadzieścia parę lat. W milczeniu patrzyli na zbliżające się siostry. Patrzyli na nie, kiedy dziewczęta zrównały się z nimi, minęły ich i kiedy oddalały się zapyloną drogą z zabudowaniami po jednej stronie i zakurzoną młodą kukurydzą po drugiej.

Starszy mężczyzna z bokobrodami odezwał się z lubieżnym uśmieszkiem:

— Ile taka może kosztować, co? Nadałaby się, no nie?

— Która? — spytał śmiejąc się młodszy.

— Ta w czerwonych pończochach. Co ty na to? Całą tygodniówkę oddałbym za pięć minut, nic, tylko pięć minut!

Młody człowiek zaśmiał się głośno.

— Twoja stara miałaby tu coś do powiedzenia.

Gudrun odwróciła się i obrzuciła ich spojrzeniem. Dla niej były to dwa ponure typy, brzydcy ludzie, którzy stoją przy kupie szarych kamieni i gapią się na nią. Poczuła nienawiść do mężczyzny z bokobrodami.

—Jesteś pirsza klasa, nie ma gadania! — powiedział do niej poprzez dzielącą ich przestrzeń.

— I myślisz, że byłoby to warte tygodniowej wypłaty? — zastanawiał się młodszy.

— No pewnie! Jak jasna cholera...

Młodzieniec spoglądał za Gudrun i Ursulą starając się bezstronnie oszacować, co w nich może być warte aż jego tygodniowego zarobku. Pokręcił głową powątpiewająco.

— Nie — zdecydował. — Dla mnie to nie jest tyle warte.

— Nie? A ja bym dał za to Bóg wie co.

I zabrał się do zbierania łopatą kamieni.

Dziewczęta weszły między domy o łupkowych dachach i poczerniałych murach z cegieł. Gęsty, złoty przepych kłoniącego się ku zachodowi słońca roztaczał swoje blaski nad górniczym okręgiem i brzydota zalana pięknem działała na zmysły jak narkotyk. Na drogi, pokryte węglowym pyłem, rzęsiste światło padało jeszcze cieplejsze, jeszcze gęstsze, olśniewający schyłek dnia rzucał magiczny urok na całą tę bezkształtną nędzę.

— Tu jest w jakiś paskudny sposób pięknie — powiedziała Gudrun bez reszty zafascynowana. — Nie czujesz, że ma to swoisty urok? Gęsty i gorący? Boja tak. I to mnie oszałamia.

Mijały bloki zamieszkałe przez górników. Na wielu podwórkach widać było mężczyzn myjących się w upalny wieczór na świeżym powietrzu; byli obnażeni do pasa, szerokie, barchanowe spodnie opadały im z bioder. Górnicy, którzy się już umyli, siedzieli z plecami opartymi o ścianę; rozmawiali lub milczeli, pogrążeni w czysto fizycznym błogostanie, odpoczywając po męczącym dniu. Ich głosy ze specjalnym akcentem i rubaszny dialekt dziwnie pieściły zmysły. Gudrun zdawało się, że spowijają plebejska pieszczota — powietrze nasycone było urzekającym, gęstym zapachem wysiłku i męskiej tężyzny. W tej okolicy było to zjawisko powszechne i uchodziło uwagi mieszkańców.

Na Gudrun jednak działało to silnie i wręcz odpychająco. Nigdy nie umiała powiedzieć, dlaczego właściwie Beldover tak całkowicie różni się od Londynu i od południowej Anglii, dlaczego człowiek czuje się tu inaczej i zdaje się żyć w zupełnie innym świecie. Teraz zdała sobie sprawę, że jest to świat mocnych mężczyzn, którzy przebywają pod ziemią i spędzają część swego życia w ciemnościach. W ich głosach słychać było podźwięk ciemności; silnego i groźnego świata podziemi, nierozumnego, nieludzkiego. Jak gdyby były to głosy dziwnych maszyn, ciężkich, naoliwionych maszyn. I ich zmysłowość też była zmysłowością maszyny — zimną i żelazną.

Tak było co wieczór po powrocie do domu; zdawała się poruszać wśród fal brutalnej siły emanującej z tysięcy żyjących tu krzepkich górników, półautomatów nawykłych do przebywania w podziemiu; wśród fal, które podchodzą do mózgu i serca, budząc zgubne pożądanie i zgubną nieczułość. Czasem przenikała ją nostalgia. Nienawidziła tego miejsca, wiedziała, że jest to zapadła dziura, irytująco

bezmyślna. Czasem uciekała spłoszona jak nowa Dafne, która zmienia się nie w drzewo, lecz w maszynę. A przecież trawiła ją nostalgia. Toczyła zawziętą walkę, żeby dostosować się do nastroju tego miejsca, namiętnie szukała zaspokojenia.

Wieczorami ciągnęło ją na główną ulicę, brzydką i bez charakteru, nasyconą jednak tą samą intensywną aurą gęstego, ciemnego prostactwa. Zawsze byli tu górnicy. Poruszali się z właściwą sobie, osobliwą, przesadną godnością, w ich postawie było nieokreślone piękno i jakiś nienaturalny spokój, na bladych, często wychudłych twarzach wyraz roztargnienia i na poły rezygnacji. Należeli do innego świata, roztaczali niepojęty urok, ich głosy miały głębokie brzmienie, przykre jak bełkot maszyny, melodię drażniącą nerwy bardziej niż śpiew legendarnych syren.

Jak inne proste kobiety, tak i ją ciągnęło w piątkowe wieczory na mały rynek.

Piątek był dniem wypłaty dla górników, a wieczorem rozpoczynał się targ. Wszystkie kobiety wychodziły z domów, wszyscy mężczyźni towarzyszyli żonom w zakupach albo spotykali się z kumplami. W promieniu wielu mil drogi były czarne od nadciągających ludzi; mały rynek na szczycie pagórka i główną ulicę Beldover ciasno wypełniał gęsty tłum.

Po zapadnięciu mroku na rynku robiło się gorąco od płomieni naftowych, które rzucały różowe światło na poważne twarze kupujących kobiet i blade, roztargnione twarze mężczyzn. W powietrzu krzyżowały się nawoływania sprzedawców i rozmowy, a zwarte potoki ludzkie płynęły po chodnikach ku zbitej ciżbie na rynku. W jasno oświetlonych sklepach było tłoczno od kobiet, na ulicach przeważali mężczyźni, górnicy w różnym wieku. Z szerokim gestem wydawano pieniądze.

Nadjeżdżające wozy nie mogły się przebić. Musiały czekać, aż woźnica, krzycząc i wołając, skłoni gęsty tłum do rozstąpienia się. Wszędzie, na drodze i na rogach ulic, młodzi mężczyźni z okolicy wdawali się w rozmowy z dziewczętami. Drzwi do rzęsiście oświetlonych pubów stały otworem, mężczyźni nieprzerwanym strumieniem wchodzili i wychodzili, ciągle nawoływali się, szukali się nawzajem lub stali w mniejszych czy większych grupach tocząc nieustanne dyskusje. Od szumu rozmów, trochę tajemniczego, zgrzytliwego brzęczenia nie kończących się sporów na temat kopalni i polityki, powietrze wibrowało jak od drgań rozregulowanego mechanizmu. I właśnie ich głosy doprowadzały Gudrun niemal do omdlenia. Budziły w niej niepojęty, nostalgiczny ból pożądania, pożądania wręcz demonicznego, którego nie można zaspokoić.

Jak każda tutejsza dziewczyna, Gudrun spacerowała tam i z powrotem po oświedonym chodniku koło rynku. Wiedziała, że to wulgarne, że jej rodzice tego nie znoszą; ale nachodziła ją nostalgia, musiała znaleźć się między ludźmi. Czasem siadała w kinie wśród pospólstwa, wśród zaczepnych, niesympatycznych gburów. A jednak chciała przebywać w ich towarzystwie.

Jak każda dziewczyna z gminu, znalazła sobie „chłopca”. Był to elektryk, jeden z elektryków zatrudnionych zgodnie z planami reform Geralda, poważny, rozsądny młody człowiek, naukowiec z pasją socjologiczną. Mieszkał sam w umeblowanych pokojach małego domku w Willey Green. Był dżentelmenem całkiem dobrze sytuowanym. Jego gospodyni chętnie puszczała o nim różne wieści: ustawił w sypialni wielką, drewnianą kadź i zawsze, kiedy wraca z pracy, musi mu przynosić wody co niemiara; po kąpieli co dzień wkłada czystą bieliznę i koszulę, i czyste, jedwabne skarpetki. Pod tym względem jest grymaśny i wymagający, ale pod każdym innym zupełnie zwyczajny i skromny.

Gudrun znała to wszystko na pamięć. Do domu Brangwenów plotki docierały w sposób naturalny i nieunikniony. Palmer najpierw zaprzyjaźnił się z Ursulą, ale z jego bladej, poważnej, wytwornej twarzy wyzierała ta sama tęsknota, jaką czuła Gudrun. On także musiał odbywać co piątek spacery, przechadzał się więc z Gudrun i nawiązała się między nimi przyjaźń. Nie kochał się w Gudrun; naprawdę pragnął Ursuli, ale z jakiejś dziwnej przyczyny nic się między nimi nie kleiło. Lubił towarzystwo Gudrun — uważał ją za bratnią duszę — i to wszystko. Ona również nic do niego nie czuła. Był naukowcem, potrzebował kobiety, która by go podtrzymywała. Nie miał w gruncie rzeczy osobowości, był estetyczny jak część precyzyjnego mechanizmu, za zimny, zbyt niszczycielski i egoistyczny, żeby przejmować się kobietami. Mężczyźni budzili w nim mieszane uczucia. Każdego z osobna nie lubił, a nawet nim gardził. W masie fascynowali go, jak fascynowały go maszyny. Byli dla niego szczególnym rodzajem mechanizmów — lecz nieobliczalnych, całkowicie nieobliczalnych.

Tak więc Gudrun spacerowała z Palmerem albo szła z nim do kina. Jego pociągła, blada, raczej dystyngowana twarz drgała, kiedy czynił sarkastyczne uwagi. Na tym właśnie to polegało: oboje byli w pewnym sensie wykwintni; w innym sensie — oboje lgnęli do niedożywionych, kalekich górników, stanowiąc cząstkę górniczego tłumu. Dusze Gudrun, Palmera, wystrojonych młodzików i mizernych mężczyzn w średnim wieku zdawały się kryć tę samą tajemnicę. Wszyscy oni mieli tajemnicze poczucie siły, niewypowiedzianie niszczącej, a jednocześnie cechowało ich zgubne niezdecydowanie, jak gdyby rozkład woli.

Zdobywając się na spojrzenie z boku, Gudrun widziała to wszystko, widziała, jak sama w to wsiąka. Ogarniał ją wtedy wściekły gniew i pogarda, czuła, że tonie w tej bezimiennej masie, w zbitej, rojnej, zziajanej ciżbie. To było potworne.

Dusiła się. Szykowała się do odlotu, gorączkowo szukała ucieczki w pracy. Ale wkrótce rezygnowała. Wracała w ten ciemny, urzekający świat. I znów zaczynał działać czar.

ROZDZIAŁ X

SZKICOWNIK

Pewnego ranka siostry rysowały na brzegu Willey Water, w odległym krańcu jeziora. Gudrun przeszła w bród na piaszczystą łachę, usiadła tam w pozie Buddy i wpatrzyła się w rośliny wodne, które, nabrzmiałe sokiem, wyrastały z przybrzeżnego mułu. Widziała tylko muł, miękki, oślizgły, wilgotny muł. Z jego zgniłego chłodu wyrastały rośliny grube, zimne i mięsiste, bardzo proste i nadęte, o liściach sterczących pod właściwym kątem, o ciemnych, ponurych barwach, ciemnozielonych, z plamami brązowymi i fioletowymi. Czuła ich spęczniałe, mięsiste tkanki jak w zmysłowym śnie, wiedziała, jak wyrastają z mułu, wiedziała, jak wytryskują same z siebie i sterczą w powietrzu sztywne i soczyste.

Ursula przyglądała się motylom. Mnóstwo ich unosiło się nad wodą, małe, niebieskie rozbłyskiwały nagle z nicości jak klejnoty; wielki, czerwono-czarny przysiadł na kielichu kwiatu i miękkimi skrzydłami wdychał aż do upojenia czysty, eteryczny blask słońca; dwa białe zmagały się z sobą nisko przy ziemi; otaczała je aureola; kiedy znalazły się bliżej, zobaczyła pomarańczowe obrzeżenia ich skrzydeł — to one właśnie tworzyły aureolę. Ursula wstała i odeszła na bok, tak samo bezmyślna jak motyle.

Gudrun, przejęta lękiem, jaki budziły w niej wyłaniające się z mułu rośliny, siedziała na łasze skulona i rysowała; przez dłuższą chwilę nie podnosiła głowy, po czym bezwiednie, półprzytomnie wpatrywała się w sztywne, nagie, spęczniałe sokiem łodygi. Była boso, kapelusz zostawiła na brzegu. Z transu wyrwał ją plusk wioseł. Rozejrzała się. Zbliżała się łódka, na której widać było

wielobarwny, japoński parasol; biało ubrany mężczyzna wiosłował. Był to Gerald, a pod parasolem siedziała Hermione. Poznała ich natychmiast. I natychmiast poczuła dojmujący frisson oczekiwania, elektryczną wibrację krwi w żyłach, o wiele intensywniejszą niż owa stała, cicha wibracja powietrza w Beldover.

Gerald był jej ucieczką przed lepkim błotem świata górników — bladych, podziemnych robotów. On wydobył się z bagna. Był panem. Widziała jego plecy, ruchy jego białych bioder. Ale nie — to była biel, którą zdawał się obejmować ramionami, gdy zginał się nad wiosłem. Jakby pochylał się nad czymś. Jego błyszczące, białawe włosy zdawały się iskrzyć.

— Tam jest Gudrun — glos Hermione niósł się wyraźnie nad wodą. — Podpłyniemy i porozmawiamy z nią, dobrze?

Gerald obejrzał się i zobaczył dziewczynę, która stała na łasze i patrzyła na niego. Skierował tam łódź bez myśli o niej, jak pod działaniem magnesu. W jego świecie jeszcze się nie liczyła. Wiedział, że Hermione znajduje osobliwą przyjemność w lekceważeniu różnic społecznych, w każdym razie popisuje się tym, i zostawił jej wolną rękę.

— Dzień dobry, Gudrun — zanuciła Hermione, zgodnie z modą posługując się imieniem. — Co robisz?

— Jak się masz, Hermione. Dotychczas rysowałam.

— Naprawdę? — Łódź podpłynęła bliżej, aż osiadła na mieliźnie..— Mogę zobaczyć? Marzę o tym.

Nie miało sensu opierać się Hermione, kiedy powzięła jakiś zamiar.

— Ależ to naprawdę nic ciekawego — powiedziała Gudrun niechętnie. Nie lubiła pokazywać nie ukończonej pracy.

— Czyżby? Pokaż mi, bardzo proszę!

Gudrun podała szkicownik, Gerald sięgnął po niego z łodzi. W tym momencie przypomniał sobie słowa, jakie rzuciła mu podczas ostatniego spotkania, i jej twarz uniesioną ku niemu, kiedy siedział na niespokojnym koniu.

Wbiło go w dumę drażniące nerwy poczucie, że w jakiś sposób musi mu być uległa. Gra uczuć między nimi była intensywna i odbywała się poza ich wiedzą.

I Gudrun, jak w oczarowaniu, ujrzała jego ciało wyłaniające się z błota niby. błędny ognik; wyprężył się w jej stronę z wyciągniętą ręką, prostą jak łodyga. Zmysłowa, przejmująca wizja zwolniła krążenie krwi w jej żyłach, przyćmiła jej myśli, odebrała przytomność. Kołysał się na wodzie rytmicznie jak fosforyzujące światło na fali. Obejrzał się na łódź, która nieco odpłynęła. Ruchem wiosła podprowadził ją bliżej. Rozkosz, jaką sprawiło mu przytrzymywanie łódki na ciężkiej, miękkiej wodzie, całkowicie go obezwładniła.

— A więc to narysowałaś? — powiedziała Hermione, przyglądając się badawczo przybrzeżnym roślinom i porównując je z rysunkiem. Wzrok Gudrun powędrował w kierunku wskazanym przez długi palec Hermione, która powtórzyła, domagając się potwierdzenia. — Właśnie to?

— Tak — odrzekła machinalnie Gudrun, nie przykładając wagi do tego, co mówi.

— Chciałbym też zobaczyć. — Teraz Gerald sięgnął po szkicownik. Ale Hermione puściła to mimo uszu. Niech sobie za dużo nie pozwala, na razie jeszcze ona nie skończyła. Jego wola jednak była równie uparta i nieugięta. Wyprężył się, żeby dosięgnąć szkicownika. Lekki wstrząs, odruch bezwiednej niechęci przejął Hermione. Puściła szkicownik, zanim jeszcze Gerald wziął go w rękę. Zeszyt odbił się od burty i wpadł do wody.

—No popatrz — w zaśpiewie Hermione brzmiała wroga, zwycięska nuta. — Tak mi przykro, tak strasznie przykro!

Gerald, czy nie mógłbyś go wydostać?

Drwiący niepokój w jej głosie przejął Geralda kłującą nienawiścią. Wychylił się z łódki i zanurzył rękę w wodzie. Musiał wypiąć pośladki i czuł śmieszność przybranej pozy.

— Ależ to nie ma żadnego znaczenia. — Gudrun zdawała się dotykać go swoim silnym, dźwięcznym głosem. Sięgnął jeszcze dalej, łódź zachybotała gwałtownie, co bynajmniej nie zakłóciło spokoju Hermione. Wyłowił ociekający wodą szkicownik.

— Okropnie mi przykro... Naprawdę strasznie przepraszam — powtarzała Hermione. — To moja wina, niestety.

— To nieważne, zapewniam cię... Naprawdę nie ma o czym mówić — oświadczyła głośno, z naciskiem Gudrun, mocno zaczerwieniona. Wyciągnęła niecierpliwie rękę po mokry zeszyt, żeby wreszcie zakończyć tę scenę. Gerald podał jej rysunki. Czuł się nieswojo.

— Jest mi niezmiernie przykro — znowu podjęła Hermione, doprowadzając Geralda i Gudrun do rozpaczy. — Czy nie można temu jakoś zaradzić?

— W jaki sposób? — spytała Gudrun z zimną ironią.

— Ocalić jakoś te rysunki.

Gudrun odczekała chwilę, dając wyraźnie do zrozumienia, że drażni ją natarczywość Hermione.

— Zapewniam cię — rzekła ostrym tonem — że te rysunki w tym stanie całkowicie wystarczają do moich celów. Potrzebne mi są tylko jako przypomnienie.

—Ale czy mogę chociaż ofiarować ci nowy szkicownik? Chciałabym, żebyś się zgodziła. Jestem szczerze zmartwiona. To przecież ja zawiniłam.

— O ile dobrze widziałam, w żadnym razie nie była to twoja wina. Jeśli w ogóle można mówić o winie, to ponosi ją

pan Crich. Ale to przecież drobiazg i naprawdę śmieszne jest przywiązywać do tego wagę.

Gerald obserwował uważnie, jak Gudrun daje odprawę Hermione. Był w niej lodowaty, niezłomny upór. Przyglądał jej się z przenikliwością graniczącą z jasnowidzeniem. Widział w niej niebezpieczną wrogość, której nie można uśmierzyć. Co więcej, była to wrogość demonstracyjna i jakże świetnie odegrana.

— Bardzo się cieszę, że nie przywiązuje pani do tego wagi — powiedział —jeśli rzeczywiście nie poniosła pani wielkiej szkody.

Spojrzała na niego pięknymi, błękitnymi oczyma, dając mu do poznania, że rozumieją się w głębi duszy; jej głos teraz, kiedy zwracała się do niego, brzmiał intymnie, niemal pieszczotliwie:

— Naturalnie, nie przywiązuję do tego najmniejszej wagi.

Swoim tonem wyraźnie stwierdzała, że są tego samego pokroju, że oboje ich łączy coś w rodzaju szatańskiej masonerii. Wiedziała, że odtąd będzie miała nad nim władzę. Gdziekolwiek się spotkają, będą skrycie ze sobą związani. I w tym związku on będzie bezbronny. Rozpierała ją radość.

— Do widzenia! Taka jestem szczęśliwa, że się nie gniewasz. Do widzeeeenia!

Hermione wyśpiewała swoje pożegnanie i pomachała ręką. Gerald automatycznie chwycił za wiosło i odepchnął się od dna. Ale przez cały ten czas błyszczącymi, leciutko uśmiechniętymi oczyma spoglądał na Gudrun, która stała na łasze potrząsając mokrym szkicownikiem. Odwróciła się nie zajmując się już odpływającą łodzią. Gerald oglądał się za nią i wiosłował, nie myśląc o tym, co robi.

— Czy nie zbaczamy za bardzo w lewo? — zanuciła Hermione. Czuła się opuszczona pod swoją kolorową

parasolką. Gerald rozejrzał się bez słowa, wiosła kołysały się i migotały w słońcu.

— Wszystko w porządku — stwierdził pogodnie; dalej wiosłował i nie myślał o tym, co robi. Hermione nie cierpiała go za tę pogodną obojętność; przestała istnieć, nie mogła odzyskać przewagi.

ROZDZIAŁ XI

WYSPA

Ursula tymczasem szła z wolna od Willey Water, wzdłuż bystrego strumyka. Popołudnie rozbrzmiewało śpiewem skowronków, na jasnych zboczach pagórka krzaki janowca tliły się słabym ogniem żółtych kwiatów. Tu i ówdzie nad wodą kwitły kępy niezapominajek. Wszystko wokół lśniło; wszystko tryskało życiem. W zadumie błądziła nad potoczkami. Chciała dotrzeć wyżej do stawu przy młynie. Wielki młyn był opuszczony, tylko jeden robotnik i jego żona mieszkali w kuchni. Minęła puste podwórko, zdziczały ogród i weszła na nasyp przy śluzie. Wspiąwszy się na samą górę, skąd mogła zobaczyć stary, zarośnięty aksamitną rzęsą staw, ujrzała na brzegu mężczyznę majstrującego przy łodzi. Był to Birkin. Coś tam piłował i pracował z przejęciem.

Stała na szczycie śluzy i przyglądała mu się. Nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Wyglądał na zupełnie pochłoniętego tym, co robi, czynny i napięty jak dzikie zwierzę. Czuła, że powinna się oddalić, że woli być sam. Wydawał się tak pogrążony w pracy. Ale nie miała ochoty odejść, spacerowała więc dalej brzegiem, czekając, aż ją zauważy.

Nie trwało to długo. Zobaczywszy ją, natychmiast odłożył narzędzia i zrobił parę kroków w jej stronę.

— Dzień dobry. Uszczelniam łódź. Myśli pani, że tak będzie dobrze? Podeszła z nim bliżej łodzi.

— Mając takiego ojca, na pewno się pani na tym zna. Pochyliła się, żeby obejrzeć załatane miejsce.

— Mam takiego ojca — wolała uchylić się od oceny — ale nie mam pojęcia o stolarce. Wygląda chyba dobrze;

prawda?

— Myślę, że tak. Mam nadzieję, że nie pójdę w niej na dno. Zresztą gdyby nawet, to i tak głupstwo, jakoś wypłynę na powierzchnię. Czy pomoże mi ją pani spuścić na wodę?

Wspólnymi siłami odwrócili ciężką łódź i zepchnęli do stawu.

—Teraz wypróbuję ją i sama pani zobaczy. Jeśli wytrzyma, przewiozę panią na wyspę.

— Zgoda! — zawołała przyglądając się z niepokojem.

Staw był rozległy, idealny bezruch i ciemny połysk świadczyły o jego głębi. Na środku znajdowały się dwie wysepki, na których wśród gęstych zarośli rosło po kilka drzew. Birkin odepchnął się i łódka zachybotała niezdarnie. Na szczęście był już dość blisko, by chwycić się gałęzi wierzby i przyciągnąć łódź do wysepki.

— Dość zarośnięta — stwierdził spoglądając w głąb — ale bardzo tu ładnie. Już po panią wracam. Łódź trochę przecieka.

Po chwili wsiadła do mokrej łodzi.

Przewiezie nas bez kłopotu — zapewnił ją wiosłując ku wyspie.

Przybili do brzegu pod wierzbą. Ursula cofnęła się przed miniaturową dżunglą wybujałych roślin, cuchnącej ciemiężycy i szaleju. Birkin dalej się rozglądał.

— Przystrzygę te zielska i będziemy tu mieli romantycznie. Jak Paweł i Wirginia .

— Tak, można by tu urządzać urocze pikniki a la Watteau! — zawołała Ursula z entuzjazmem.

Twarz mu spochmurniała.

— Nie chcę tu pikników à la Watteau.

— Chce pan tylko swojej Wirginii — roześmiała się.

— Wirginia mi wystarczy. Chociaż nie, jej też nie potrzebuję.

Ursula przyjrzała mu się uważnie. Nie widziała go od spotkania w Breadalby. Był wychudzony, miał zapadnięte policzki i trupiobladą twarz.

— Chorował pan? — spytała z lekką odrazą.

— Tak — odrzekł chłodno.

Usiedli pod wierzbą i ze swego schronienia na wyspie patrzyli na staw.

— Bał się pan?

— Czego? — zwrócił na nią wzrok. Było w nim coś nieludzkiego i nieumiarkowanego, co zakłócało jej spokój i wyprowadzało ją ze zwykłej równowagi.

— Ciężka chorobą jest chyba przerażająca?

— A tak, nie należy do przyjemności. Właściwie nie jest ważne, czy odczuwa się strach przed śmiercią, czy nie. Zależy to od nastroju. Czasem człowiek nie boi się ani trochę, a czasem do głębi.

— Ale czy nie budzi to w panu wstydu? Mnie się zdaje, że chory człowiek się wstydzi. Choroba jest przecież tak strasznie upokarzająca, prawda?

Zastanawiał się przez chwilę.

— Być może, chociaż przez cały czas człowiek wie, że jego życie, w gruncie rzeczy, jest nic niewarte w samej swej istocie. I to jest upokarzające. Choroba nie ma już, moim zdaniem, znaczenia. Człowiek choruje, ponieważ nie żyje tak, jak powinien — nie może tak żyć. I właśnie niemożność żyda jest źródłem choroby i upokorzenia.

— I pana to spotkało? — spytała prawie drwiąco.

— O, tak... Niewiele w życiu osiągnąłem. Jakbym rozbijał sobie nos o ślepy mur.

Ursula roześmiała się. Przestraszył ją, a zawsze, kiedy była przestraszona, śmiała się i udawała rozbawienie.

— Biedny pana nos! — utkwiła wzrok w tej części jego twarzy.

— Nic dziwnego, że jest taki brzydki.

Przez chwilę milczała, walcząc z chęcią oszukiwania samej siebie. Instynktownie lubiła się okłamywać.

— Ale ja jestem szczęśliwa. I myślę, że życie jest okropnie wesołe... — powiedziała.

— To dobrze — odrzekł z zimną obojętnością.

Sięgnęła po skrawek papieru po czekoladce, którą znalazła w kieszeni, i wzięła się do robienia łódeczki. Przyglądał się jej niepostrzeżenie. Było coś wzruszającego i dziwnie żałosnego w ruchach jej palców, zdradzających, że jest zdenerwowana i dotknięta.

— Mnie cieszy mnóstwo rzeczy... A pana nie?

— O tak! Ale doprowadza mnie do wściekłości, że nie mogę dotrzeć do tego, co we mnie jest naprawdę płodne, że wszystko poplątałem i spartaczyłem i nie mogę tego jakoś naprawić. Nie wiem, co mam robić. Przecież każdy musi jakoś działać.

— Dlaczego ma pan zawsze coś robić? To takie plebejskie. Uważam, że o wiele lepiej być patrycjuszem i nie robić nic, tylko po prostu być sobą, jak kwiat, który umie chodzić.

— Zgoda. Jeśli ktoś już zakwitnął. Ale ja jakoś nie mogłem skłonić mojego kwiatu, żeby rozkwitł. Albo więdnie, albo ma mszyce, albo nie dość wilgoci. Do diabła, to nawet nie jest pąk. To węzeł, którego nie mogę rozplątać.

Znów się roześmiała. Był taki zdenerwowany i zrozpaczony. Ale sama też była niespokojna i zaintrygowana. Jak ma się z tego wywikłać? Musi być jakieś wyjście.

Zapadła cisza, Ursuli chciało się płakać. Z innego papierka od czekoladki zaczęła składać następną łódeczkę.

— A dlaczego — rzekła wreszcie — życie ludzkie teraz nie rozkwita, dlaczego pozbawione jest godności?

— Bo skończyły się ideały. Ludzkość to spróchniałe drzewo, wiszą na nim miriady istot... Owszem, wyglądają bardzo miło i różowo, ci pani zdrowi mężczyźni i kobiety! Ale są to jabłka Sodomy, Owoce Martwego Morza, chore narośle. Nieprawda, że mają jakiekolwiek znaczenie... Ich miąższ to gorzki, zmurszały popiół.

— Ale przecież istnieją dobrzy ludzie — zaprotestowała Ursula.

—Dość dobrzy, żeby żyć w dzisiejszych czasach. Ale ludzkość jest wyschniętym drzewem pokrytym błyszczącymi galasówkami.

Ursula aż się najeżyła, porównanie było tak malownicze i ostateczne. Nie mogła też nie prowokować go do dalszych wypowiedzi.

— Dobrze, ale gdyby nawet tak było, to dlaczego? — zapytała wrogo. Oboje podniecali się nawzajem do namiętnego sprzeciwu.

— Dlaczego? Dlaczego ludzie są kulkami gorzkiego kurzu? Ponieważ nie chcą spaść z drzewa, kiedy dojrzeją. Trzymają się go po dawnemu, kiedy jest już za późno, aż zalęga się w nich robactwo i próchnieją.

Nastąpiła długa przerwa. Birkin mówił z zaciekłością i sarkazmem. Ursula była speszona i zakłopotana — oboje na nic niepomni, prócz pochłaniającego ich sporu.

— Ale jeśli nawet wszyscy postępują źle, to czy pan postępuje dobrze? Lepiej?

— Ja? Oczywiście, że nie! — zawołał. — Jestem lepszy tylko dlatego, że uświadamiam sobie zło. Mierzi mnie to, czym jestem. Nie cierpię siebie jako człowieka. Ludzkość

jest wielkim, globalnym kłamstwem, a wielkie kłamstwo to mniej niż mała prawda. Cała ludzkość to o wiele mniej niż jednostka, bo jednostka bywa czasem zdolna do prawdy, a ludzkość jest drzewem kłamstw. Mówią, że najważniejsza jest miłość. Nie przestają tak mówić ci podli kłamcy, ale zobaczmy, co robią! Proszę popatrzeć na miliony ludzi, którzy co minuta powtarzają, że miłość jest najważniejsza, że miłosierdzie jest najważniejsze... A sami co przez cały czas robią? „Z owoców ich poznacie je” jako brudnych kłamców, tchórzy, którzy nie mają odwagi odpowiadać za swoje czyny, a tym bardziej za swoje słowa.

— Nie zmienia to jednak faktu — powiedziała smutno Ursula — że miłość jest najważniejsza. To, co czynią, nie przeczy prawdzie tego, co mówią.

— Przeczy absolutnie. Bo gdyby to, co mówią, było prawdą, nie mogliby tego nie spełniać. Ale oni podtrzymują kłamstwo, aż w końcu całkiem już bredzą. To fałsz, że miłość jest najważniejsza. Można by równie dobrze twierdzić, że najważniejsza jest nienawiść, skoro przeciwieństwa się równoważą. To, czego ludzie naprawdę, chcą, to nienawiści i nic prócz nienawiści. I nienawidzą w imię prawdy i miłości. Destylują swoje uczucia przez nitroglicerynę, powołując się właśnie na miłość. Kłamstwo zabija. Jeśli chcemy nienawiści, niech każdy się w niej pławi, wołajmy o śmierć, zbrodnie, tortury, gwałt i zagładę! Ale nie w imię miłości. Nienawidzę ludzkości, budzi we mnie niepohamowaną odrazę, chciałbym, żeby została zmieciona z powierzchni ziemi. Niechby znikła. Gdyby wszyscy ludzie jutro zginęli, nie byłaby to ostateczna strata. Rzeczywistość pozostałaby nietknięta. Nawet byłoby lepiej. Prawdziwe drzewo życia pozbyłoby się wtedy swych najohydniejszych, najobfitszych płodów, nieskończonego ciężaru miriadów ludzkich kukiełek, Owoców Martwego Morza, bezmiaru śmiertelnych kłamstw.

— Więc chciałby pan, żeby wszyscy ulegli zagładzie?

— W samej rzeczy.

— I żeby świat był bezludny?

—Jeszcze bardziej. A pani nie cieszy piękna i czysta myśl o świecie, na którym nie ma ludzi, tylko przestrzeń bez granic porosła trawą i kicający po niej zając?

Miał szczery głos, co sprawiło, że Ursula zastanowiła się nad własnym zdaniem, bo naprawdę to było ponętne: czysty, piękny świat bez ludzi. Naprawdę kuszące. Czuła w sercu rozterkę i porywającą radość. Ciągle jednak nie była zadowolona.

— Przecież sam pan też nie będzie żył, co więc panu z tego przyjdzie?

— Dałbym nie wiem co za to, żeby ziemia została oczyszczona z ludzi. Czy może być myśl piękniejsza i bardziej wyzwalająca? Że nigdy, nigdy już plugawa ludzkość nie będzie kalać świata?

— Nie będzie nic w ogóle.

— Nic? Tylko dlatego, że wyginą ludzie? Pani sobie pochlebia. Będzie wszystko.

— W jaki sposób, jeśli zabraknie ludzi?

— Czy pani sądzi, że świat zależy od człowieka?! Wcale nie. Świat to drzewa, trawa i ptaki. O wiele bardziej podoba mi się myśl o skowronku unoszącym się o świcie nad bezludną ziemią. Człowiek jest błędem i musi zniknąć. Trawa, zające, węże i niewidzialni gospodarze ziemi, anioły, które krążą swobodnie, skoro nie zakłócają im spokoju podli ludzie... I dobre, czyste demony... Czy to nie miłe?

Ursuli podobało się to, co mówił, nawet bardzo, ale jako fantazja. Był to, oczywiście, tylko błyskotliwy wytwór wyobraźni. Sama znała aż nadto dobrze ludzką rzeczywistość, odrażającą ludzką rzeczywistość. Wiedziała, że człowiek nie zniknie w sposób tak czysty i wygodny. Jest przed nim jeszcze długa droga, długa i odrażająca. Z

subtelną, kobiecą, demoniczną przenikliwością dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

— Gdyby ludzkość została zmieciona z powierzchni ziemi, życie trwałoby nadal, cudowne życie, miałoby tylko inny początek — nie ludzki. Człowiek jest jedną z omyłek stworzenia, jak ichtiozaury. Gdyby zniknął, jakie cuda mogłyby powstać w tych dniach wolności! Na przykład istoty zrodzone z ognia.

— Ale ród ludzki nigdy nie zginie — rzekła z podstępną, szatańską wiedzą o grozie nieustępliwości. — Świat zginie razem z nim.

— O nie, wcale tak nie będzie. Wierzę w dumne anioły i w demony... naszych poprzedników. Zniszczą nas, bo nie jesteśmy dość dumni. Ichtiozaury nie były dumne: czołgały się i taplały w błocie tak samo jak my. Zresztą wystarczy spojrzeć na kwiaty bzu i na dzwonki — są dowodem, że czystość istnieje, tak samo jak motyl. Ale ludzkość nigdy nie wyjdzie ze stadium gąsienicy. Zgnije jako poczwarka i nie wyrosną jej skrzydła. Człowiek to antystworzenie, jak małpa, szympans.

Ursula obserwowała go, jak mówił. Wydawał się cały czas niecierpliwy, przejęty gniewem, a jednocześnie rozbawiony własnymi słowami i bardzo tolerancyjny. Lecz znacznie mniej ufała jego tolerancji niż gniewowi. Wiedziała przecież, że wbrew sobie starałby się ocalić świat. Świadomość ta w jakiejś mierze pocieszała ją, sprawiała drobną satysfakcję, przywracała równowagę, a zarazem budziła gwałtowną pogardę i nienawiść do niego. Pragnęła go dla siebie, nienawidziła, gdy występował jako Salvator Mundi. Nie mogła znieść w nim owego rozproszenia, skłonności do uogólnień. Zachowywałby się tak samo, mówił to samo i dawał wszystko z siebie każdemu, kto by się nawinął, każdemu, kto by zechciał się do niego zwrócić! Było to wręcz nikczemne, jak przewrotna forma prostytucji.

— Ale wierzy pan w indywidualną miłość, nawet jeśli pan nie wierzy w miłującą ludzkość?

— W ogóle nie wierzę w miłość. To znaczy nie bardziej niż w nienawiść czy w smutek Miłość to jedna z wielu emocji jak inne — i wszystko w porządku, póki tak sie ją traktuje. Ale nie rozumiem, jak może stać się wartością absolutną. Jest to po prostu element stosunków między ludźmi — nic więcej. I tylko jeden z elementów wszelkich stosunków między ludźmi. Nie pojmuję, dlaczego wymaga się, żeby człowiek odczuwał ją zawsze, choć przecież nie może zawsze odczuwać żalu czy radości. Miłości nie można postulować. Czuje się ją lub nie, zależnie od okoliczności.

— Wobec tego, dlaczego w ogóle obchodzą pana ludzie? Jeśli nie wierzy pan w miłość? Dlaczego przejmuje się pan ludzkością?

— Ponieważ nie mogę się od niej oderwać.

— Bo kocha ją pan — upierała się.

To go zirytowało.

—Jeśli ją kocham, to jest to choroba.

— Ale choroba, z której nie chce pan być wyleczony — stwierdziła z ironią. Milczał czując, że chce go urazić.

— Więc dobrze, nie wierzy pan w miłość, to w co pan wierzy? — spytała drwiąco. — Tak zwyczajnie, tylko w koniec świata i w trawę?

Speszył się.

— Wierzę w niewidzialnych gospodarzy ziemi.

— I w nic poza tym? W nic widzialnego oprócz trawy i ptaków? Pański świat jest ubogi.

— Być może. — Teraz, kiedy poczuł się obrażony, stał się chłodny i wyniosły, przybrał nieznośną pozę wyższości i zachowywał się z nieprzystępną rezerwą.

Ursula nie lubiła go w tej chwili. Czuła jednak, że coś traci. Przyglądała mu się, jak siedzi skulony na brzegu. Była w nim sztywność ze szkółki niedzielnej, pedantyczna i odrażająca. A jednocześnie tyle w nim było życia, był tak pociągający! Budził w niej cudowne poczucie wolności — zarys jego czoła, podbródka, całe ciało tak po swojemu żywotne, chociaż na pozór chorowite.

Właśnie ta dwoistość uczuć, jakie w niej budził, sprawiała,_że wezbrała w niej nienawiść. Otaczała go aura rwącej żywotności, cudownej i kuszącej, rzadka właściwość mężczyzn niesłychanie atrakcyjnych; a jednocześnie przyjmował tę śmieszną, małostkową pozę Zbawiciela Świata i nauczyciela szkółki niedzielnej, najbardziej pedantycznego pedanta.

Podniósł na nią wzrok. Jej twarz dziwnie rozgorzała, jakby rozświetlona od wewnątrz potężnym, słodkim płomieniem. Porwał go zachwyt i zdumienie. Ursula gorzała własnym, żywym ogniem. Porażony zachwytem wobec jej uroku czystego i doskonałego, zbliżył się. Siedziała jak dziwna królowa, prawie nadnaturalna, w bogactwie żarzącego się uśmiechu.

—Jeśli chodzi o miłość — ocknął się — to nie cierpimy tego słowa, ponieważ je zwulgaryzowaliśmy. Powinno być na wiele lat zakazane, stanowić tabu, o którym nie wolno mówić, aż nadamy mu nowe, lepsze znaczenie.

Nawiązała się pomiędzy nimi nić porozumienia.

— Ale to i tak zawsze znaczy to samo — powiedziała.

— O Boże! Nie, niech już znaczy co innego! Odrzućmy dawne pojęcia!

— Przecież to jest ta sarna miłość — upierała się. Dziwne, złośliwe, żółte światełko rozbłysło w jej oczach.

Zawahał się stropiony, ostrożny.

— Nie — rzekł. — Nieprawda. Nigdy w świecie, jeśli tak ma się o niej mówić. Nie ma powodu, żeby wypowiadała pani to słowo.

— Muszę liczyć na to, że pan wyjmie je z Arki Przymierza we właściwym momencie — zakpiła.

Znowu spojrzeli na siebie. Nagle zerwała się, odwróciła od niego i ruszyła przed siebie. Rupert też wstał powoli, poszedł nad wodę, przykucnął tam i bezwiednie zaczął się bawić. Zerwał stokrotkę, rzucił ją na wodę tak, żeby łodyga służyła jako kil; kwiat płynął jak mały nenufar rozchylony ku niebu, obrócił się dookoła niezmiernie wolno, jak w tańcu derwiszów, zanim skręcił i odpłynął dalej.

Spoglądał za stokrotką, potem rzucił na wodę następną i jeszcze jedną; śledząc je jasnymi, oczyszczonymi oczyma, siedział skulony na ławicy. Ursula obejrzała się. Ogarnęło ją niepokojące uczucie, jakby za chwilę miało się coś stać. Ale było to uczucie ledwo uchwytne. Nic nie rozumiała. Mogła tylko patrzeć na małe krążki stokrotek, skręcające wolno w podróż po czarnej, połyskliwej tafli wody. Mała flotylla sunęła w światło, z odległości była już tylko gromadką białych pyłków.

— Popłyńmy na brzeg, żeby nie tracić ich z oczu — zaproponowała, lękając się dłuższego uwięzienia na wyspie; wsiedli oboje do łódki.

Była zadowolona, znalazłszy się znów na lądzie. Poszła wzdłuż brzegu, w kierunku śluzy. Stokrotki rozproszyły się na wszystkie strony po stawie, drobniutkie i promieniste jak gwiezdne punkciki. Dlaczego ich widok przejął go wzruszeniem, mocnym, mistycznym wzruszeniem?

— Proszę spojrzeć — powiedział Birkin — pani stateczek z fioletowego papierka eskortuje kwiaty jak konwój tratew.

Kilka stokrotek podpłynęło do niej powoli, z wahaniem — nieśmiały, jasny kotylion na ciemnej, czystej wodzie. Ich naiwna wesołość wzruszała ją niemal do łez.

— Dlaczego są aż tak urocze? — zawołała. — Dlaczego wydają mi się aż tak urocze?!

— To miłe kwiaty — krępował go jej egzaltowany ton. — Pani wie, że stokrotka składa się z drobnych kwiatów, jest zbiorem, który stał się jednostką? Czy botanicy nie stawiają jej najwyżej w linii rozwoju? Tak mi się zdaje.

— Kwiatostany złożone, tak, chyba tak — odrzekła Ursula, która nigdy nie była niczego pewna. Jeśli nawet w jednym momencie coś dokładnie wiedziała, to już w następnym wydawało jej się to wątpliwe.

— Wobec tego może pani tak to sobie wytłumaczyć: stokrotka to niczym nie skalana miniaturowa demokracja, a więc najdoskonalszy kwiat. Stąd jej urok.

— Nie — zawołała. — Nigdy w świecie? Wcale nie jest demokratyczna.

— Właściwie nie — zgodził się. — To złoty tłum proletariuszy, otoczony białym, ozdobnym płotem leniwych bogaczy.

— Obrzydliwe są te pańskie społeczne podziały!

— Może i racja. Zostawmy stokrotkę w spokoju.

— Tak. Tym razem dajmy jej skrytą szansę. Jeśli w ogóle można coś przed panem skryć — dorzuciła ironicznie.

Stali obok siebie, na nic niepomni, bez ruchu, jakby nieco ogłuszeni, nie całkiem przytomni. Drobny spór uraził ich oboje, przeciwstawił sobie jak dwie bezosobowe, zmagające się ze sobą siły..

Birkin zdał sobie sprawę z błędu. Chciał coś powiedzieć, przywrócić normalne stosunki.

— Wie pani, że mam mieszkanie w młynie? Moglibyśmy tam spędzić miło parę chwil.

— W młynie? — spytała pomijając aluzję do ich domniemanej zażyłości. Dostosował się natychmiast i powrócił do zwykłej rezerwy.

— Jeśli okaże się, że wystarczy mi pieniędzy na utrzymanie, zrezygnuję z posady. Zupełnie mi zobojętniała. Nie wierzę w ludzkość, której częścią rzekomo jestem, nie dbam zgoła o ideały społeczne, do których się stosuję, nienawidzę społeczeństwa ludzkiego w jego zanikającym, organicznym kształcie — a więc praca w szkolnictwie jest bzdurą. Rzucę to natychmiast, gdy tylko zorientuję się — być może już jutro — i będę żył z tego, co mam.

— Czy to dosyć, żeby się utrzymać?

— Tak. Około czterystu funtów rocznie. Łatwo mogę się za to urządzić. Zamilkli na chwilę.

— A co z Hermione? — spytała Ursula.

— Skończone definitywnie... Całkowite fiasko i nie mogło być inaczej.

— Ale nie zerwaliście znajomości?

— Trudno, żebyśmy udawali obcych. Zapadło zacięte milczenie.

— Czy to nie jest półśrodek? — odezwała się wreszcie Ursula.

— Nie sądzę. Pani mi powie, jeśli tak będzie. I znów zaległa cisza. Birkin zamyślił się.

— Trzeba rzucić wszystko, nic nie zachować, by otrzymać to jedyne, czego się najbardziej pragnie.

— A czego pan pragnie najbardziej? — spytała zaczepnie.

— Nie wiem... Wolności razem. Chciała, żeby powiedział „miłości”.

Z dołu rozległo się głośne szczekanie psów. Rupert zaniepokoił się. Ursuli to nie zainteresowało. Zauważyła tylko, że Rupert wydaje się nieswój.

— Oto właśnie Hermione z Geraldem Crichem. Chciała zobaczyć moje mieszkanie, zanim będzie urządzone.

— Rozumiem — rzekła Ursula. — Przejmie nadzór i będzie o wszystkim decydować.

— Zapewne. Czy to ma znaczenie?

— Ależ żadnego, chociaż osobiście nie mogę jej znieść. Cała jest kłamstwem, jeśli chce pan wiedzieć, skoro nieustannie mówi pan o zakłamaniu. — Przeżuwała przez chwilę myśli, wreszcie wyrzuciła je z siebie: —Tak, jestem przeciwna temu, żeby ona urządzała panu mieszkanie. Bardzo przeciwna. Nie chcę też, żeby pan pozwalał jej nadal kurczowo się siebie trzymać.

Milczał ze zmarszczonymi brwiami.

— Być może i ja nie chcę, żeby zajmowała się urządzaniem mojego mieszkania... I wcale nie trzymam jej przy sobie. Tylko przecież nie powinienem być wobec niej grubiański. W każdym razie muszę teraz zejść do nich. Pójdzie pani ze mną, prawda?

— Raczej nie — odparła chłodno i niezdecydowanie.

— Nie? Bardzo panią proszę. Zobaczy pani od razu, jak mieszkam. Tak mi na tym zależy!

ROZDZIAŁ XII

MIESZKANIE W MŁYNIE

Ruszył w dół brzegiem, a Ursula, niechętnie, poszła w ślad za nim. Nie mogła przecież zostać tu sama na uboczu.

— Znamy się już dobrze... pani i ja — powiedział. Nie odezwała się. .

W dużej, ciemnej kuchni młyna żona robotnika mówiła coś przenikliwym głosem do Hermione i Geralda, którzy zdawali się błyszczeć w półmroku — on ubrany na biało, ona w sukni z połyskliwego, niebieskiego fularu; w licznych klatkach kilkanaście kanarków śpiewało jednocześnie na cały głos. Wszystkie klatki wisiały na tylnej ścianie wokół kwadratowego okienka, przez które wpadał blask słoneczny, piękny snop światła sączącego się przez zielone liście drzewa. Pani Salmon usiłowała przekrzyczeć ptasi wrzask, który wzmagał się, coraz dzikszy i bardziej triumfalny; głos kobiety nie mógł go zagłuszyć, co pobudzało ptaki do gwałtownego ożywienia.

— Oto i Ruperti — krzyknął wśród zgiełku Gerald. Nieznośnie cierpiał, gdyż miał wrażliwy słuch.

— Te ptaki! Nie dają słowa zamienić... — piszczała z oburzeniem żona robotnika. — Zaraz je poprzykrywam.

Zerwała się, żeby rzucić na ptasie klatki tu ścierkę, tam fartuch, to znów ręcznik czy serwetę.

—Teraz skończy się ten harmider i dacie ludziom porozmawiać — oświadczyła głosem ciągle jeszcze zbyt wysokim.

Przyglądali się jej zabiegom. Przykryte klatki przybrały dziwnie żałobny wygląd. Ale spod ręczników rozlegały się

buntownicze trele i bulgotanie.

— To już nie potrwa długo — zapewniła ich pani Salmon. — Zaraz zasną.

— Rzeczywiście? — zdziwiła się grzecznie Hermione.

— Tak — oświadczył Gerald. — Zasną automatycznie, skoro wmówiono im, że zapadł już wieczór.

— Tak łatwo je oszukać? — zawołała Ursula.

— O tak — odparł Gerald. — Nie zna pani opowiadania Fabre'a, jak to, jeszcze jako chłopiec, wetknął głowę kury pod jej skrzydło i ona natychmiast zasnęła? To prawda.

— I z tego powodu został przyrodnikiem? — zapytał Birkin.

— Prawdopodobnie — odrzekł Gerald.

Tymczasem Ursula zajrzała pod jedną z serwet. W rogu klatki kanarek otrzepywał piórka gotując się do snu.

— Jakie to śmieszne! Naprawdę myśli, że już jest noc. Co za niedorzeczność!

— Tak — zaśpiewała Hermione podchodząc, by także spojrzeć. Położyła rękę na ramieniu Ursuli i zaśmiała się gardłowo. — Zabawnie wygląda. Jak głupi mąż.

Nadal z ręką na ramieniu Ursuli odciągnęła ją, pytając śpiewnie:

— Skąd się tu wzięłaś? Widzieliśmy też Gudrun.

— Poszłam popatrzeć na staw — powiedziała Ursula — i zastałam tam pana Birkina.

— Ach tak? To istne terytorium Brangwenów, prawda?

— Na to właśnie liczyłam. Przybiegłam tu, żeby się schronić, kiedy zobaczyłam was na jeziorze.

— No i dopadliśmy cię.

Hermione uniosła powieki nienaturalnym ruchem, rozbawionym, ale i zmęczonym. Miała zawsze dziwny,

napięty wygląd osoby sztucznej i nieobliczalnej,

— Miałam iść dalej. Pan Birkin chciał, żebym obejrzała jego pokoje. Czy tu nie jest cudownie mieszkać? Idealne miejsce.

— Tak — powiedziała Hermione z roztargnieniem. Nagle odwróciła się od Ursuli, zapomniała ojej istnieniu. —Jak się czujesz, Rupercie? — zanuciła innym, czułym tonem.

— Bardzo dobrze.

—Jest ci tu wygodnie? —Jej twarz miała dziwaczny, napięty, posępny wyraz, piersi drgnęły spazmatycznie, zdawała się półprzytomna.

— Całkiem wygodnie.

Zamilkli. Hermione długo spoglądała na niego spod ciężkich, bezwładnych powiek.

— I myślisz, że będziesz tu szczęśliwy? — spytała wreszcie. —Jestem tego pewny.

—Ja to na pewno zrobię wszystko akuratnie — powiedziała żona robotnika. — I nasz pan też. To chyba pan Birkin będzie tu miał wygodnie. Hermione odwróciła się i popatrzyła na nią przeciągle.

— Bardzo, bardzo dziękuję — powiedziała i natychmiast o niej zapomniała. Przybrała poprzednią pozę i z uniesioną twarzą, zwracając się wyłącznie do Ruperta, spytała:

— Wymierzyłeś pokoje?

— Nie. Reperowałem łódź.

— Zrobimy to teraz? mówiła powoli, trzeźwa i spokojna.

— Ma pani centymetr, pani Salmon? — spytał Birkin.

— Tak, proszę pana, zaraz poszukam — odrzekła, już biegnąc do koszyka. — O, taki mam, może się nada.

Hermione wzięła centymetr, choć pani Salmon podała go Birkinowi.

— Dziękuję bardzo — rzekła. — Jest w sam raz. Gorąco dziękuję. — Zwróciła się do Birkina z wesołym gestem: — Bierzemy się do roboty, Rupercie?

— A co inni? Będą się nudzili — powiedział z ociąganiem.

— Czy macie coś przeciw temu? — Hermione półprzytomnie zwróciła się do Geralda i Ursuli.

— Ależ skąd!

— Który pokój najpierw? — spytała Birkina, znowu wesoła, skoro miała coś robić wspólnie z nim.

— Pójdziemy po kolei.

— Czy mam tymczasem przygotować herbatę? — spytała pani Salmon, też wesoła, że i ona będzie miała coś do roboty.

— Będzie pani tak dobra? — Hermione odwróciła się do niej z osobliwą poufałością, którą zdawała się spowijać ją, niemal tulić do piersi, zostawiając wszystkich innych na uboczu. — Strasznie się cieszę. Gdzie wypijemy?

— Gdzie państwo wolą. Tu czy może na trawie?

— Gdzie będziemy pili herbatę? — rzuciła śpiewne pytanie Hermione.

— Na brzegu stawu. I sami zaniesiemy, co nam pani przygotuje, pani Salmon — rzekł Birkin.

— Bardzo dobrze. — Kobieta była zadowolona.

Towarzystwo przeszło korytarzem do frontowego pokoju. Był pusty, ale czysty i słoneczny. Okno wychodziło na zarośnięty ogród.

— To jest jadalnia — powiedziała Hermione. — Zmierzymy ją w ten sposób, Rupert... ty staniesz tam...

— Może ja cię zastąpię? — Gerald chciał wyjąć centymetr z ręki Hermione.

— Nie, dziękuję! — zawołała Hermione; nachyliła się nad podłogą w swoim błękitnym, połyskliwym fularze; była to dla niej wielka radość, że robi coś i kieruje pracą z Birkinem. Słuchał jej potulnie, Ursula i Gerald przyglądali się. Cechą szczególną Hermione było, że zawsze miała jednego faworyta, a resztę obecnych traktowała jak widzów. Napawało ją to uczuciem triumfu.

Wymierzyli jadalnię i po dyskusji Hermione zdecydowała, jaki ma w niej leżeć dywan. Wszelki sprzeciw wprawiał ją w groźną, niepohamowaną złość. Birkin do tej pory zawsze jej ustępował.

Przeszli przez hall do drugiego frontowego pokoju, nieco mniejszego niż pierwszy.

— To jest gabinet — oświadczyła Hermione. — Rupercie, mam dywan, który pasowałby do tego pokoju. Przyjmiesz go ode mnie? Zgódź się, proszę, chcę ci go dać.

— Jak wygląda? — spytał niegrzecznie.

— Nie widziałeś go. Przeważa w nim różana czerwień, poza tym błękit metaliczny i błękit ciemny o łagodnym odcieniu. Sądzę, że ci się spodoba. Jak myślisz?

— Brzmi to bardzo zachęcająco. Jaki on jest? Wschodni? Z włosem?

— Tak. Perski! Z wielbłądziej sierści, jedwabisty. Nazywa się chyba pergamoński... Dwanaście stóp na siedem... Myślisz, że będzie pasował?

— Pasowałby, ale dlaczego masz mi dawać kosztowny dywan? Doskonale mi wystarczy mój stary, oxfordzki Turek.

— Ale mogę ci go dać? Proszę, pozwól mi.

— Ile kosztował? Spojrzała na niego.

— Nie pamiętam. Był całkiem tani. Popatrzył na nią z zaciętym wyrazem twarzy.

— Nie chcę go, Hermione — powiedział.

— Proszę, pozwól, że ci go podaruję na nowe mieszkanie — podeszła do niego i lekko, prosząco położyła mu rękę na ramieniu. — Byłabym tak rozczarowana.

— Wiesz, że nie chcę, żebyś mi dawała prezenty — powtórzył bezradnie.

— Ja też nie chcę ci dawać prezentów — powiedziała przymilnie. — Ale czy przyjmiesz ten dywanik?

— No dobrze — był pokonany, a ona zwycięska.

Poszli na górę. Znajdowały się tu dwie sypialnie. Jedna z nich została już częściowo urządzona i widać było, że spał w niej Birkin. Hermione obeszła pokój uważnie, nie pomijając żadnego szczegółu, jakby wchłaniała w siebie świadectwa jego obecności zawarte w martwych przedmiotach. Obmacała łóżko i sprawdziła pościel.

— Czy na pewno jest ci wygodnie? — spytała ugniatając poduszkę.

— Idealnie — odpowiedział lodowato.

— I było ci ciepło? Nie ma puchowej kołdry. Na pewno jest ci potrzebna. Nie możesz spać pod ciężkim przykryciem.

— Mam taką kołdrę — powiedział. — Przyjdzie z innymi rzeczami. Mierzyli pokoje i konferowali przy każdym drobiazgu. Ursula stanęła przy oknie i patrzyła na panią Salmon, która niosła herbatę nad staw. Nienawidziła tych palawerów, jakie urządzała Hermione, miała już ochotę na herbatę, miała ochotę na wszystko, prócz tej marudnej gadaniny.

Wreszcie wspięli się na porosły trawą brzeg i zasiedli do pikniku. Hermione nalewała herbatę. Nie dostrzegała teraz wcale Ursuli, która, odzyskując humor, zwróciła się do Geralda:

— Jak ja pana nienawidziłam podczas naszego ostatniego spotkania!

— Za co? — Gerald skrzywił się lekko.

— Za to, że pan tak męczył swojego konia. Nie cierpiałam pana.

— Co zrobił? — zaśpiewała Hermione.

— Zmusił swego pięknego, wrażliwego araba, żeby stał przed szlabanem przez cały czas, kiedy przejeżdżał tam potwornie długi pociąg towarowy. Biedne zwierzę omal nie oszalało, udręczone do ostateczności. Trudno sobie wyobrazić okropniejszy widok.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała uprzejmie i dociekliwie Hermione.

— Klacz musi nauczyć się stać spokojnie... Jaki z niej pożytek w tej okolicy, jeśli płoszy się i staje dęba na każdy gwizd lokomotywy.

— Ale po co zadawać jej niepotrzebne tortury? — oburzyła się Ursula. — Przecież pan nie musiał przez cały czas trzymać jej przy przejeździe! Mógł pan po prostu odjechać trochę na bok i zaoszczędzić jej tego koszmaru. Pokłuł ją pan ostrogami do krwi. To okropne!

Gerald zesztywniał.

— Chcę na niej jeździć i jeśli w ogóle mam na niej polegać, musi nauczyć się znosić hałasy.

— Dlaczego musi? — zawołała żarliwie Ursula. — To żywe stworzenie. Dlaczego ma znosić cokolwiek, bo pan jej każe? Ma takie samo prawo postępować zgodnie ze swoją naturą jak pan.

— Nie zgadzam się — oświadczył Gerald. — Uważam, że klacz ma mi służyć. Nie dlatego, że ją kupiłem, ale ponieważ taki jest naturalny porządek rzeczy. Bardziej naturalne jest to, że człowiek ma konia i używa go według swoich potrzeb, niż gdyby czołgał się przed nim na kolanach błagając, by robił, co chce, i rozwijał swoją cudowną osobowość.

Ursula miała właśnie wybuchnąć, kiedy Hermione uniosła głowę i zaintonowała z zadumą:

— Myślę... naprawdę myślę, że musimy mieć odwagę używania niższych stworzeń do naszych celów. Moim zdaniem niesłuszne jest przyrównywać każdą istotę do samego siebie. Fałszem jest przenoszenie na zwierzęta własnych uczuć. Świadczy to o braku rozeznania, braku krytycyzmu.

— Racja — rzekł ostro Birkin. — Nie ma nic bardziej obrzydliwego niż ckliwe przypisywanie zwierzętom ludzkich uczuć i ludzkiej świadomości.

— Tak — oświadczyła Hermione ze zmęczoną miną, — Musimy dokonać wyboru. Albo będziemy posługiwać się zwierzętami, albo one będą nami się posługiwać.

— To prawda — rzekł Gerald. — Koń ma równie silną wolę jak człowiek, choć brak mu inteligencji w ścisłym znaczeniu tego słowa. I jeśli nie narzucisz mu swojej woli, on ci narzuci swoją. Nic na to nie poradzę. Nie mogę nie być panem swego konia!

— Gdybyśmy nauczyli się robić użytek z naszej woli — wtrąciła Hermione — bylibyśmy zdolni do wszystkiego. Wola może wszystko wyleczyć, wszystko naprawić. Jestem o tym przekonana... Bylebyśmy tylko posługiwali się nią właściwie, rozumnie.

— Co to według ciebie znaczy? — spytał Birkin.

— Nauczył mnie tego wielki lekarz — powiedziała zwracając się w nieokreślony sposób do Ursuli i Geralda. — Mówił mi na przykład, że jeśli człowiek chce uwolnić się od złego nawyku, powinien zmuszać się do robienia tego, od czego chce się odzwyczaić, kiedy nie ma na to ochoty. Wymóc to na sobie i nałóg zniknie.

— Jak to rozumiesz? — spytał Gerald.

— Powiedzmy, że obgryzasz paznokcie. Jeśli nie chcesz tego robić, obgryzaj je, zmuszaj się do obgryzania. I nagle zauważysz, że wyleczyłeś się z nawyku.

— Naprawdę tak jest?

— Tak. W tak wielu sprawach sama sobie pomogłam. Byłam bardzo dziwną, nerwową dziewczynką. I dzięki temu, że nauczyłam się posługiwać wolą, po prostu siłą woli wyleczyłam się z tego.

Przez cały czas, kiedy Hermione mówiła swoim powolnym, obojętnym, lecz osobliwie napiętym głosem, Ursula nie odrywała od niej wzroku. Dziwny dreszcz wstrząsnął młodą kobietą. Z Hermione emanowała jakaś niezwykła, ciemna, spazmatyczna siła, zarazem fascynująca i odpychająca.

— Nie należy posługiwać się wolą w ten sposób! — zawołał szorstko Birkin. — To obrzydliwe. Wręcz nieprzyzwoite.

Hermione utkwiła w nim mroczne, ciężkie spojrzenie. Jej twarz była miękka, blada i szczupła, prawie fosforyzująca, podbródek ostro zarysowany.

— Wcale tak nie jest — odezwała się wreszcie. Zawsze był pewien odstęp, dziwna szczelina między tym, co zdawała się odczuwać i doświadczać, a tym, co w danej chwili myślała i mówiła. Jakby wychwytywała swoje myśli z wiru chaotycznych, ciemnych emocji i reakcji; Birkina napełniało stale obrzydzeniem, że chwyta je tak nieomylnie i nigdy nie zawodzi jej wola. Mówiła beznamiętnie, choć z napiętą i absolutną pewnością siebie. A przecież nachodziły ją mdłości, rodzaj morskiej choroby zagrażającej wciąż jej umysłowi. Lecz umysł pozostał nietknięty, wola niezłomna. Doprowadzało to Birkina prawie do obłędu. Nigdy jednak, przenigdy, nie odważyłby się złamać jej woli, wyzwolić wiry jej podświadomości i zobaczyć ją w stanie ostatecznego szaleństwa. Mimo to nieustannie zadawał jej ciosy.

— Oczywiście — zwrócił się do Geralda — koń nie ma jednolitej woli tak jak człowiek. Nie jest to jedna wola. Mówiąc ściśle, są to dwie wole. Chce całkowicie poddać się władzy człowieka, lecz jednocześnie chce być wolny i dziki. Czasem te dwie wole zwierają się z sobą — znasz to zapewne, jeśli kiedyś koń cię poniósł.

— Owszem, zdarzyło mi się to, ale nie uznałem tego za dowód, że ma dwie wole. Po prostu się czegoś przestraszył.

Hermione już nie słuchała. Kiedy poruszano takie tematy, przenosiła się myślami gdzie indziej.

— Czemuż to koń miałby z własnej woli poddać się władzy człowieka? — spytała Ursula. — To dla mnie niepojęte i nie uwierzę, żeby kiedykolwiek tego chciał.

— Owszem, chce tego. To szczytowy i może najdoskonalszy poryw miłości. Rezygnacja z własnej woli na rzecz wyższej istoty — powiedział Birkin.

— Ciekawe ma pan pojęcie o miłości — zadrwiła Ursula.

— Z kobietą jest to samo, co z koniem. Walczą w niej dwa przeciwstawne pragnienia. Chce przecież być absolutnie uległa, ale chce też ponieść jeźdźca na zatracenie.

—Ja jestem właśnie takim narowistym koniem — Ursula wybuchnęła śmiechem.

— Bardzo niebezpiecznie jest obłaskawiać konie, a cóż dopiero kobiety — powiedział Birkin. — Główna zasada ma paru niezwykłych przeciwników.

— I bardzo dobrze — dorzuciła Ursula.

— Słusznie — Gerald uśmiechnął się lekko. — Tak jest zabawniej. Hermione miała już tego dosyć. Wstała i zaśpiewała po swojemu:

— Jaki piękny wieczór! Czasem tak dojmująco odczuwam piękno, że ledwie mogę to znieść.

Ursula; do której Hermione się zwróciła, wstała również, poruszona do głębi.. Birkin wydawał jej się wręcz wcieleniem ohydnej arogancji. Poszła z Hermione na spacer brzegiem stawu; rozmawiały o tym, co piękne i kojące, i zbierały nieśmiałe pierwiosnki.

— Podobałaby ci się suknia w tych kolorach? — spytała Ursula. — Bawełniana suknia w żółto-pomarańczowe kropki?

— O tak! — Hermione zatrzymała się i spojrzała na kwiatek, czekając chwilę, żeby ten pomysł w pełni do niej dotarł i ją pocieszył. — Byłaby śliczna. Uwielbiałabym ją.

Uśmiechnęła się do Ursuli z prawdziwą serdecznością.

Gerald pozostał z Birkinem. Chciał wybadać dokładnie, co Rupert rozumie przez dwoistą wolę konia. W jego oczach tańczyły iskierki podniecenia.

Hermione i Ursula wędrowały sobie, nagle połączone węzłem głębokiej sympatii i zażyłości.

— Doprawdy, nie chcę być zmuszana do tego ciągłego krytykowania życia, analizowania go. Chcę widzieć rzeczy niepodzielnie, w ich całej urodzie i pełni naturalnej świętości. Czy ty tego nie czujesz? Nie czujesz, że masz dosyć, że nie chcesz już nic więcej wiedzieć i nie dasz się dręczyć? — Hermione zatrzymała się przed Ursulą. Opuszczone ręce zacisnęła w pięści.

— Tak, niedobrze mi się robi od tego wiecznego szperania i węszenia.

— Bardzo się cieszę. Czasami — Hermione znów przerwała przechadzkę i stanęła przed Ursulą — zastanawiam się, czy nie powinnam przyjmować w pokorze tych wszystkich wyjaśnień, czy nie odrzucam ich na skutek własnej słabości. Czuję jednak, że nie mogę... nie mogę. Wydaje mi się, że to niszczy wszystko. Wszelkie piękno i prawdziwą świętość, a ja przecież nie mogę bez tego żyć.

— Byłoby grzechem bez tego żyć! — krzyknęła Ursula. — To bezczelność uważać, że wszystko trzeba wiedzieć i rozumieć. Przecież należy coś zostawić Panu Bogu, tak zawsze było i będzie.

— O tak — Hermione zachowywała się jak pocieszone dziecko. — I tak być powinno. Rupert — podniosła zadumaną twarz ku niebu — umie tylko drzeć wszystko na strzępy. Jak mały chłopieć, który musi każdą rzecz rozebrać na części, żeby zobaczyć, jak jest zrobiona. Nie mogę się na to zgodzić. Wydaje mi się, że to wręcz bezczelne, jak ty to nazwałaś.

— Rozdziera pąk, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał kwiat — dorzuciła Ursula.

— Tak. I zabija wszystko, czego się tknie, prawda? Zabija wszelką możliwość rozkwitu.

— Oczywiście, to po prostu pęd do zniszczenia.

Hermione obrzuciła Ursulę długim, przeciągłym spojrzeniem. Zdawała się akceptować jej potwierdzenie. Kobiety zamilkły. Gdy tylko uzgodniły poglądy, zrodziła się w nich wzajemna nieufność. Ursula, wbrew woli, czuła, że odsuwa się od Hermione. To było wszystko, co mogła zrobić, żeby powściągnąć wstręt.

Wróciły do mężczyzn jak dwaj spiskowcy, którzy wycofali się na bok, żeby dojść do porozumienia. Birkin podniósł na nie wzrok Ursula nie cierpiała go za chłodną uwagę, z jaką jej się przyglądał. Nie odezwał się ani słowem.

— Pójdziemy? — spytała Hermione. — Rupert, ty też idziesz do Shortlands na kolację? Od razu, razem z nami?

— Nie jestem odpowiednio ubrany — stwierdził Birkin. — A wiesz przecież, że Gerald pedantycznie przestrzega konwenansów.

— Wcale nie pedantycznie — zaprzeczył Gerald. — Ale gdyby ci tak zbrzydł jak mnie cały ten chaotyczny bałagan

w domu, też wolałbyś, żeby ludzie zachowywali się spokojnie i konwencjonalnie, przynajmniej podczas posiłków.

— Masz rację — zgodził się Birkin.

— Może poczekamy, aż się przebierzesz — nalegała Hermione.

— Jeśli chcecie.

Wstał, żeby pójść do młyna. Ursula zaczęła się żegnać.

— Muszę tylko stwierdzić — oznajmiła Geraldowi — że chociaż człowiek jest panem zwierząt i ptaków, wcale to nie znaczy, że ma prawo stosować przemoc

wobec niższych stworzeń. Nadal uważam, że byłoby o wiele rozsądniej i przyjemniej, gdyby odjechał pan w bok na czas przejazdu pociągu i okazał większą delikatność.

— Rozumiem — odrzekł Gerald uśmiechnięty, choć trochę urażony. — Muszę o tym pamiętać następnym razem.

„Oni wszyscy myślą, że jestem wścibską babą” — myślała Ursula odchodząc, ale była gotowa do walki.

Pobiegła do domu pogrążona w zadumie. Wzruszyła ją rozmowa z Hermione, naprawdę nawiązała z nią kontakt, zawarły jakby rodzaj przymierza. A przecież nie mogła jej znieść. Odsunęła od siebie tę myśl. „Jest naprawdę dobra — mówiła w duchu — i to, czego chce, jest słuszne”. Starała się stanąć po stronie Hermione i odciąć się od Birkina. Osądzała go surowo i wrogo. Lecz łączyła ją z nim jakaś więź, jakaś głęboka wspólnota. To ją drażniło i zbawiało jednocześnie.

I tylko od czasu do czasu wstrząsały nią gwałtowne dreszcze, zrodzone z jej podświadomych obaw. Wiedziała bowiem, że rzuciła wyzwanie Birkinowi i on, świadomie czy nieświadomie, je przyjął. Musi rozegrać się między nimi walka na śmierć — lub na nowe życie, choć nikt nie umiałby powiedzieć, na czym polega konflikt.

ROZDZIAŁ XIII

MINO

Dni mijały, a on nie dawał znaku życia. Czy miał zamiar ją ignorować, czy nie chciał więcej słyszeć o jej tajemnicy? Przygniatał ją ponury ciężar niepokoju i cierpkiej goryczy. Ale wiedziała przecież, że oszukuje samą siebie i że on pojawi się jeszcze w jej życiu. W domu nie powiedziała ani słowa.

I rzeczywiście, przysłał liścik, w którym zapraszał ją razem z Gudrun do swego mieszkania w mieście.

„Po co zaprasza też Gudrun? — zadała sobie w duchu pytanie. — Czy boi się być tylko ze mną? A może przypuszcza, że sama bym nie przyszła?”

Przykro jej było na myśl, że chce się ubezpieczyć. W końcu jednak postanowiła: „Wolę iść bez Gudrun, chcę, żeby powiedział mi coś więcej. Nawet jej o tym nie wspomnę, pójdę sama. W ten sposób czegoś się dowiem”.

Sama więc siedziała w tramwaju, jadącym za miasto, do dzielnicy, w której mieszkał Birkin. Zdawało jej się, że znalazła się w świecie marzeń, wyzwolona od wszelkiej rzeczywistości. Spoglądała w dół na posępne ulice miasta, jakby była duchem pozbawionym związku z materialnym światem. Co ten świat ma z nią wspólnego? Bezcielesna i pulsująca przebywa jako duch w innym świecie. Nie może już zastanawiać się, co ktoś o niej pomyśli czy powie. Wyzwolona, stoi poza kręgiem ludzi. Wypadła, obca i nieokreślona, z osłony materialnego bytu, tak jak spada jagoda, opuszczając jedyny świat, jaki kiedykolwiek znała; z osłony znanego świata wypadła w nieznane.

Kiedy gospodyni ją wprowadziła, Birkin stał na środku pokoju. On także był wzruszony do głębi. Widziała, że jest podniecony i wstrząśnięty — kruche, nierealne ciało, skupione w ciszy, węzeł sprężonej siły, która emanowała z niego i doprowadzała ją prawie do omdlenia.

— Jest pani sama? — zapytał

— Tak, Gudrun nie mogła przyjść. Natychmiast odgadł przyczynę.

Usiedli w milczeniu, oboje niesłychanie napięci. Zdawała sobie sprawę, że jest to miły pokój, pełen światła, wygodny; zauważyła też krzak fuksji obsypany kwiatami czerwonymi i fioletowymi.

—Jakie piękne fuksje! — powiedziała, żeby przerwać milczenie.

— Bardzo ładne. Myślałaś, że zapomniałem o tym, co mówiłem?

Poczuła zawrót głowy.

— Wcale nie chcę, żeby pan pamiętał. — Słowa z trudem przedarły się przez spowijającą ją ciemną mgłę.

Na chwilę znów zapadła cisza.

— Nie — powiedział. — Nie o to chodzi. Ale jeśli mamy się poznać bliżej, musimy podjąć zobowiązanie. Jeśli mamy być sobie bliscy, nawet jako przyjaciele, musi być to związek ostateczny i nieodwołalny.

W jego głosie brzmiał ton nieufności, wręcz gniewu. Nie odpowiedziała. Miała zbyt ściśnięte serce. Nie była w stanie mówić.

Widząc, że nie zamierza się odezwać, ciągnął dalej niemal z goryczą:

— Nie umiem nawet powiedzieć, czy to, co mam do zaofiarowania, jest miłością... i wcale nie szukam miłości. To, o co mi chodzi, jest o wiele bardziej bezosobowe, trudniejsze... i rzadsze.

Po krótkiej pauzie przerwała milczenie.

— To znaczy, że mnie pan nie kocha? Cierpiała straszliwie wypowiadając te słowa.

— Chyba nie, jeśli tak stawiasz sprawę. Choć może to nieprawda. Nie wiem. W każdym razie to, co czuję do ciebie, to nie jest ślepa miłość i wcale tego nie chcę, ponieważ miłość prędzej czy później się kończy.

— Miłość się kończy? — spytała zdrętwiałymi wargami.

— Tak. I w końcu człowiek pozostaje poza zasięgiem miłości. Jest we mnie cząstka mojego prawdziwego ja, całkiem bezosobowa, która nie ma nic wspólnego ani z miłością, ani z jakimkolwiek związkiem uczuciowym. Tak samo jest z tobą. Ale chcemy się łudzić, że u korzeni jest miłość. To nieprawda. Miłość nie jest u korzeni drzewa życia, jest tylko w jego gałęziach. Korzeń jest poza miłością, jest osamotnioną, osobną cząstką mojego ja, która nigdy z nikim się nie styka i nie wiąże — nie jest do tego zdolna.

Spoglądała na niego szeroko otwartymi, zmartwionymi oczyma. Jego twarz żarzyła się abstrakcyjną gorliwością.

— To znaczy, że nie umie pan kochać? — spytała.

— Być może. Owszem, kiedyś kochałem, są jednak we mnie strefy, do których miłość nie ma dostępu.

Nie mogła się z tym pogodzić. Czuła, że kręci jej się od tego w głowie. Ale nie wolno jej ustąpić. — Skąd pan wie, jeśli pan nigdy naprawdę nie kochał?

— Mówię szczerze. Są strefy w tobie, we mnie niedostępne dla miłości, poza jej zasięgiem, tak jak niektóre gwiazdy są poza zasięgiem wzroku.

— A więc miłości nie ma! — zawołała Ursula.

— W ostatecznej instancji nie ma. Jest coś innego, ale miłości w ostatecznej instancji nie ma.

Ursula przez chwilę rozważała to, co powiedział, po czym wstała z krzesła, mówiąc tonem stanowczym i

nieodwołalnym:

— Wobec tego pójdę do domu. Bo też co ja tu robię?

— Proszę, tam są drzwi. Masz wolny wybór.

Trwał ściśle i bezbłędnie w tej pozie. Znieruchomiała na chwilę, ale znów usiadła.

— Co więc tam jest, skoro nie ma miłości?! — zawołała prawie drwiąco.

— A jednak coś jest. — Nie spuszczał z niej wzroku, zmagając się z nią ze wszystkich sił całym swym jestestwem.

— Co?

Milczał dość długo, niezdolny do nawiązania z nią kontaktu, kiedy była w tak wrogim nastroju.

— Jest — powiedział tonem całkowicie beznamiętnym — niezmienna cząstka mojego ja, nieugięta, bezosobowa i poza wszelką odpowiedzialnością. I taka sama niezmienna cząstka twojego ja. I właśnie tam powinniśmy się spotkać: nie na płaszczyźnie uczucia, miłości, lecz poza nimi, tam gdzie nie ma słów i warunków ugody. Tam gdzie my oboje jesteśmy dwiema kompletnymi, nieznanymi istotami, całkiem sobie obcymi, tam chcę zbliżyć się do ciebie i chcę, żebyś ty zbliżyła się do mnie. Tam nie ma żadnych zobowiązań, ponieważ nie ma norm działania i nie mieści się to w żadnych pojęciach. Jest to całkowicie nieludzkie, nie ma więc mowy o odpowiedzialności w jakiejkolwiek formie, gdyż nie da się tego nigdzie zaszeregować i nie można zastosować żadnych uznanych norm. Można jedynie iść za impulsem, brać to, co się samo nasuwa, nikt tam za nic nie odpowiada, o nic nie prosi, nic nie daje, każdy tylko bierze to, co zaspokaja jego najpierwotniejsze pragnienia.

Ursula słuchała tych słów prawie oniemiała, niemal ogłuszona, tak bardzo to, co mówił, było niespodziewane i przewrotne.

— To po prostu czysty egoizm — powiedziała.

— Owszem, to jest czyste. Ale wcale nie egoistyczne. Ponieważ ja nie wiem, czego od ciebie chcę. A idąc do ciebie, powierzam się nieznanemu, płynę w nieznane, ogołocony ze wszystkiego, bez zastrzeżeń i odwodów. I tylko tam musimy ślubować sobie, że odrzucimy wszystko, że każde z nas odrzuci nawet siebie — przestaniemy istnieć, aby to, czym jesteśmy naprawdę, mogło się w nas narodzić.

Ursula szła za tokiem własnych myśli.

— Ale to wszystko dlatego, że mnie kochasz, że mnie pragniesz?

— Nie, nie dlatego. Dlatego, że wierzę w ciebie — jeżeli naprawdę wierzę.

— Nie jesteś pewny? — zaśmiała się nagle urażona.

Patrzył na nią uporczywie, prawie nie zwracając uwagi na jej słowa.

— Tak, wierzę ci na pewno, bo inaczej nie mówiłbym tego, co mówię. To jedyny dowód. Nie czuję akurat w tej chwili szczególnie mocnej wiary.

Nie lubiła go za ten raptowny nawrót zmęczenia i nieufności.

— Ale uważasz, że jestem ładna? — nalegała kpiąco. Przyjrzał się jej, żeby sprawdzić, czy mu się podoba.

— Nie czuję, że jesteś ładna — powiedział.

— Nawet nie pociągająca? Zmarszczył brwi w nagłej irytacji.

— Czy nie rozumiesz, że to nie ma nic wspólnego z estetyczną oceną twojego wyglądu?! — zawołał. —Ja nie chcę cię widzieć. Widziałem mnóstwo kobiet. Zbrzydło mi to. Chcę kobiety, której nie widzę.

— Żałuję, że specjalnie dla ciebie nie mogę się stać niewidzialna — powiedziała ze śmiechem.

— Jesteś dla mnie niewidzialna, bylebyś tylko nie zmuszała mnie do uświadamiania sobie, że cię widzę. Nie chcę widzieć ani słyszeć.

— To po co zaprosiłeś mnie na herbatę? — zakpiła. Ciągle nie zwracał na nią uwagi. Mówił do samego siebie.

— Chcę cię znaleźć tam, gdzie sama nie wiesz, że istniejesz, taką, jakiej zaprze się ostatecznie twoje zwykłe ja. Ale nie chcę. twojej urody ani twoich kobiecych uczuć, nie chcę twoich myśli, opinii i ideałów — to dla mnie błahe, nieważne sprawy.

— Jest pan bardzo zarozumiały, monsieur! —zadrwiła. — Skąd wiesz, jakie są moje kobiece uczucia, myśli czy ideały? Nie wiesz nawet, co teraz o tobie myślę.

— I nie obchodzi mnie to w najmniejszym stopniu.

— Myślę, że głuptas z ciebie, mój drogi, i że chcesz mi wyznać w tak okrężny sposób miłość.

— Dobrze — odpowiedział rozdrażniony. — Idź więc sobie i zostaw mnie w spokoju. Mam dość twoich bezwstydnych żartów.

— Czy to istotnie żarty? — Była szczerze rozbawiona. Uznała to, co mówił, za wyznanie głębokiej miłości. Tylko ubrane w tak niedorzeczne słowa!

Milczeli długo. Ursula była zadowolona, rozradowana jak dziecko. Rupert, wyrwany ze skupienia, patrzył na nią teraz zwyczajnie i naturalnie.

— Chcę związać się z tobą w sposób szczególny — powiedział spokojnie. — Nie chodzi mi o wspólne obcowanie... masz zupełną rację... ale o równowagę, czystą harmonię między dwiema istotami równoważącymi się, tak jak równoważą się gwiazdy.

Patrzyła na niego. Był bardzo poważny, a powaga zawsze wydawała się jej nieco śmieszna i przyziemna. W nastroju powagi nie czuła się swobodnie i wygodnie.

Owszem, lubi go ogromnie. Tylko po co wciągać w to gwiazdy?

— Czy nie stało się to zbyt nagle? — zażartowała. Roześmiał się.

— Lepiej przeczytać warunki umowy, zanim ją podpiszemy — powiedział. Młody, szary kot, który spał na sofie, zeskoczył i przeciągnął się, prężąc długie nóżki i wyginając smukły grzbiet. Potem usiadł i zamyślił się, wyprostowany i królewski. Nagle jak strzała wyskoczył z pokoju do ogrodu przez otwarte okno.

— Za czym on tak goni? — Birkin wstał z krzesła.

Kot kroczył dostojnie ścieżką z uniesionym ogonem. Był to zwykły buras z białymi łapkami, zgrabny, młody dżentelmen. Skulona, puszysta, szarobura kotka skradała się koło ogrodzenia. Mino, godny i spokojny, podszedł do niej z męską nonszalancją. Przycupnęła przed nim i rozpłaszczyła się na ziemi potulnie, puszysta, miękka przybłęda. Patrzyła na niego dzikimi oczami, które były zielone i piękne jak klejnoty. Zerknął na nią od niechcenia. Podczołgała się trochę bliżej kuchennych drzwi, kuląc się w cudowny, miękki, koci sposób, żeby jak najmniej ją było widać; przemykała jak cień.

Szedł za nią dostojnie i nagle, bez żadnego powodu, uderzył ją lekko łapką w mordkę. Uskoczyła na bok jak zwiany wiatrem liści przycupnęła skromnie, z pokorną cierpliwością dzikiego stworzenia. Mino udawał, że jej nie widzi. Zmrużonymi oczyma spoglądał dumnie na krajobraz. Teraz kotka szybko zebrała się w sobie i miękko, jak puszysty, szarobury cień, posunęła się naprzód. Już przyspieszała i za chwilę zniknęłaby jak sen, ale młody, szary lord dał susa i z wdziękiem wymierzył jej lekki policzek. Natychmiast przysiadła potulnie.

— To dzika kotka — powiedział Birkin. — Przychodzi tu z lasu.

Oczy przybłędy zalśniły na chwilę jak wielkie, zielone światła skierowane wprost na Birkina. Po chwili miękko i szybko zeskoczyła do ogrodu. Tam przystanęła i rozejrzała się. Mino dumnie odwrócił łebek w stronę swego pana i z wolna przymknął powieki — idealnie piękny w swym posągowym bezruchu. Okrągłe, zielone, pełne zdziwienia oczy dzikiej kotki, niesamowicie płonące, wpatrywały się w niego cały czas. Po chwili znów, jak cień, posunęła się w kierunku kuchni. Pięknym, sprężystym skokiem Mino, szybki jak wiatr spadł na nią i wymierzył jej dwa delikatne uderzenia łapą. Skuliła się i bez oporu odsunęła. Szedł za nią, raz po raz poszturchując ją od niechcenia czarodziejskimi, białymi łapkami.

— Dlaczego on to robi? — zawołała oburzona Ursula.

— Są w zażyłych stosunkach.

— I dlatego ją bije?

— Tak — Birkin roześmiał się. — Myślę, że chce jej to jasno uświadomić.

— Co za nikczemność! — Ursula wyszła do ogrodu i krzyknęła do Mino: — Przestań, ty brutalu, nie bij jej!

Dzika kotka zniknęła szybko i niepostrzeżenie jak cień. Mino spojrzał na Ursulę, po czym z pogardą odwrócił się w stronę swego pana.

— Jesteś brutalem, Mino? — spytał Birkin.

Szczupły kotek zmrużył powoli oczy i przeniósł spojrzenie w dal, na krajobraz, jakby zupełnie zapomniał o znajdujących się obok niego ludziach.

— Mino — powiedziała Ursula — nie lubię cię. Jesteś tyranem jak wszyscy mężczyźni.

— Jest usprawiedliwiony. Nikogo nie tyranizuje. Domaga się tylko, żeby ta biedna przybłęda uznała go za wyrok losu, za swoje własne przeznaczenie. Przecież widać, że jest

trzepotliwa i zmienna jak wiatr. Jestem całkowicie po jego stronie. Chce idealnego związku.

— O, wiem! — zawołała Ursula. — Chce narzucić wszystkim swoją wolę... Wiem, co się kryje za twoimi pięknymi słówkami... Żądza władzy, nic innego, tylko żądza władzy.

Kot znów przeniósł na Birkina spojrzenie pełne pogardy dla krzykliwej kobiety.

— Zgadzam się z tobą, Micciotto — zapewnił go Birkin. — Dbaj o swoją męską godność i wyższą inteligencję.

Mino przymrużył oczy, jakby spoglądał w słońce. Nagle, udając, że nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi, oddalił się na białych łapkach, z podniesionym ogonem, podkreślając, że jest zadowolony z siebie i wesoły.

— Teraz odszuka swoją belle sauvage i będzie ją zabawiał swoją najwyższą mądrością — roześmiał się Birkin.

Ursula popatrzyła na mężczyznę, który stał swobodnie, z włosami rozwianymi przez wiatr, z ironicznym uśmiechem w oczach, i zawołała:

— Nic mnie tak nie gniewa jak męska zarozumiałość! I jaki to fałsz! Nie przejmowałabym się przejawami męskiej wyższości, gdyby chociaż miało to jakąkolwiek podstawę.

— Dzika kotka nie przejmuje się. Uważa, że to słuszne.

— Zupełnie jak Gerald Crich ze swoim koniem... Rozkosz znęcania się, prawdziwa Wille zur Macht... Jakie to podłe i marne!

— Zgadzam się z tym, że Wille zur Macht jest podła i marna. Ale Mino chce po prostu doprowadzić tę kotkę do stanu czystej, stałej równowagi, do transcendentnego, trwałego związku z jednym partnerem. Podczas gdy bez niego, jak widzisz, jest ona tylko przybłędą, puszystym, przypadkowym ułamkiem chaosu. W tym wypadku jest to

volonte de pouvoir, czyli chcieć to móc, przyjmując pouvoir jako czasownik.

— To sofistyka! Argumenty jeszcze z czasów Adama.

— A tak. Raj Adama i Ewy był niezniszczalny, póki on miał ją tylko dla siebie jak gwiazdę na orbicie.

— Tak... Tak! — zawołała Ursula wskazując na niego palcem. — Właśnie! Gwiazda na orbicie! Chcesz zrobić z niej satelitę... satelitę Marsa! Zdradziłeś się! Satelita, Mars i jego satelita... oto, czego chcesz! Sam to powiedziałeś, proszę, wygadałeś się!

Stał z uśmiechem na ustach, zawiedziony, rozbawiony, zirytowany, zachwycony i zakochany. Była bystra, migotliwa jak jaskrawy płomień, tak skora do zemsty i tak bogata w swej niebezpiecznej, płomiennej wrażliwości.

— Nic takiego nie mówiłem i jeśli dasz mi szansę powiedzenia paru słów...

— Nie, nie — przerwała mu. — Nie dam ci mówić. Powiedziałeś to o satelicie i nie wykręcisz się z tego. Powiedziałeś!

— Nigdy nie uwierzysz, że nic takiego nie powiedziałem. Nigdy nie powoływałem się na satelitę, ani nawet nie miałem zamiaru, nigdy.

— Krętacz! — krzyknęła naprawdę oburzona.

— Herbata gotowa, proszę pana — powiedziała od progu gospodyni. Spojrzeli oboje na nią podobnie, jak koty patrzyły na nich przed chwilką.

— Dziękuję, pani Daykin.

Przerwała im rozmowę i speszeni zamilkli.

— Chodźmy na herbatę — zaproponował Birkin.

— Z największą przyjemnością. — Ursula wzięła się w garść. Usiedli za stołem naprzeciwko siebie.

— Nie mówiłem ani nie myślałem o satelicie. Chodziło mi o pojedyncze gwiazdy w harmonijnej równowadze.

— Zdemaskowałeś się, wyszły na jaw twoje gierki! — zawołała! od razu zaczęła jeść. Zorientował się, że nie zwraca najmniejszej uwagi na jego wyjaśnienia, zabrał się więc do nalewania herbaty.

— Jakie pyszności! — zawołała.

— Nasyp sobie cukru.

Podał jej filiżankę. Wszystko na stole było ładne: śliczne, połyskliwe filiżanki i spodki, fiołkoworóżowe i zielone, foremne miseczki, szklane talerze, stare łyżeczki na ręcznie tkanym obrusie o trzech barwach — jasnoszarej, czarnej i fioletowej. Całość była bogata i zachwycająca. Ale Ursula dostrzegła w tym rękę Hermione.

— Masz bardzo piękne rzeczy! — stwierdziła prawie ze złością.

— Lubię je. Sprawia mi prawdziwą przyjemność używanie przedmiotów, które mają swój własny urok. Miło jest się nimi posługiwać. Pani Daykin jest bardzo dobra. Wszystko, co moje, nadzwyczaj jej się podoba.

— Naprawdę, gospodynie są dziś lepsze niż żony. I bardziej się starają. Gdybyś był żonaty, nie byłoby tu na pewno’ tak ładnie i porządnie.

— Ale pomyśl o pustce wewnętrznej... — uśmiechnął się.

— Nie, naprawdę. Zazdrosna jestem, że mężczyźni mają takie idealne gospodynie i takie piękne mieszkania. Nic im nie brakuje do szczęścia.

— Chyba nie, jeśli chodzi o codzienne wygody. Ale ludzie, którzy pobierają się, żeby mieć wygodny dom, są raczej odrażający.

— Kobieta nie jest teraz właściwie potrzebna mężczyźnie, prawda?

— W sensie powierzchownym może i nie... Tyle, że dzieli z nim łóżko i rodzi mu dzieci. Ale jeśli chodzi o istotę życia, o jego treść, potrzebna mu jest tak samo, jak zawszę. Tylko nikt się nie przejmuje istotą życia.

— A co jest jego istotą?

— Uważam, że świat pozostaje całością jedynie przez mistyczne związki, nienaruszalną, harmonijną wspólnotę łączącą ludzi. A najściślejsza jest więź między mężczyzną i kobietą.

— To takie brednie. Dlaczego miłość miałaby być więzią? Ja nie chcę być związana.

— Jeśli zdecydowałaś się iść na zachód, odrzuciłaś możliwość pójścia na wschód, północ i południe. Jeśli wybierasz harmonijną wspólnotę, odrzucasz wszelkie możliwości chaosu.

— Ale miłość jest wolnością.

— Nie mów frazesów. Miłość to kierunek, który wyklucza wszystkie inne. To wolność razem, jeśli tak wolisz.

— Miłość niczego nie wyklucza. Mieści w sobie wszystko.

— Sentymentalny frazes. Po prostu chcesz żyć w stanie chaosu. To skrajny nihilizm ta wolność w miłości, wolność, która jest miłością, i miłość, która jest wolnością. W istocie czysty, harmonijny związek jest nieodwołalny, nie może być czysty, jeśli nie jest nieodwołalny. A wtedy ma przed sobą tylko jednokierunkową drogę, jak gwiazda.

— O, właśnie! — zawołała z goryczą. — To stara, martwa moralność.

— Nie. To prawo stworzenia. Człowiek przyjął na siebie zobowiązanie. Musi się związać z drugim człowiekiem... na zawsze. Ale nie jest to bezinteresowna rezygnacja z samego siebie, przeciwnie, w ten sposób zachowasz własne ja, niepodzielne, W mistycznej równowadze z partnerem, jak gwiazda w równowadze z drugą gwiazdą.

— Nie ufam ci, kiedy wciągasz w to gwiazdy. Gdybyś był pewien swojej racji, nie musiałbyś sięgać aż tak wysoko.

— Proszę bardzo, możesz mi nie ufać — odpowiedział z gniewem. — Wystarczy, że sam sobie ufam.

— I znowu się mylisz. Wcale sobie nie ufasz. Wcale nie wierzysz w to, co mówisz. Naprawdę nie chcesz takiego związku. Gdyby było inaczej, nie mówiłbyś tyle o nim, tylko byś go zrealizował.

Zaskoczony, znieruchomiał na chwilę.

— Jak? — spytał.

— Po prostu przez miłość — odrzuciła zaczepnie. Jeszcze przez moment walczył z gniewem, po czym rzekł:

— Przecież ci mówię, że nie wierzę w taką miłość. Ty chcesz miłości, która służyłaby twojemu egoizmowi, byłaby ci użyteczna. Miłość dla ciebie i dla wszystkich to utrata niezależności. Nienawidzę tego.

— Nie! — krzyknęła i wyciągnęła głowę jak kobra, a oczy jej ciskały błyskawice. — Miłość ma być dumna, ja chcę być dumna...

— Dumna i uległa, dumna i uległa, znam was — odparował sucho. — Dumna i uległa, potem uległa wobec dumy... Znam was i tę wasze miłość. Tik tak, tik tak, taniec przeciwieństw.

— Jesteś pewien — spytała złośliwie — że wiesz, jaka jest moja miłość?

— Jestem pewien.

— Jaki zarozumialec! jak można mieć rację, będąc tak zarozumiałym?! To świadczy tylko, że się mylisz.

Stropiony, zamilkł na chwilę.

Rozmawiali i walczyli ze sobą aż do wyczerpania. — Opowiedz mi o sobie i o swojej rodzinie — poprosił Rupert.

Zaczęła więc opowiadać o Brangwenach, o matce, o Skrebenskym, swojej pierwszej miłości, i o późniejszych doświadczeniach. Siedział bardzo spokojnie, obserwując ją, gdy mówiła. Widać było, że słucha z szacunkiem. Jej twarz była piękna i pełna światła, gdy zawstydzona wspominała przeżycia, które raniły ją lub wprawiały w zakłopotanie. Zdawało mu się, że grzeję i krzepi swoją duszę w blasku jej pięknej natury.

„Gdyby ona naprawdę mogła złożyć ślubowanie...” — pomyślał z żarliwym uporem, choć prawie beznadziejnie. Mimo to wezbrał w nim dziwny i lekkomyślny chichot.

— Wszyscyśmy tak bardzo cierpieli... — zażartował.

Podniosła na niego wzrok i płomień dzikiej wesołości przemknął po jej twarzy, a oczy rozbłysły szczególnym, żółtym światłem.

— Cierpieliśmy! — wydała z siebie wysoki, zuchwały okrzyk — Co za brednia!

— Całkowita brednia. Co więcej, cierpienie mnie nudzi.

— I mnie też.

Prawie przestraszyła go drwiąca zuchwałość jej cudownej twarzy. Oto kobieta, która, nie licząc się z niczym, poszłaby do nieba czy do piekła, gdyby uznała, że tak trzeba. I nie ufał jej. Bał się istoty zdolnej do całkowitego samozatracenia się, do tak niebezpiecznej dokładności w niszczeniu. Ale nie przestawał śmiać się w duchu.

Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. Patrzyła na niego oczami pełnymi dziwnego, złotego światła, z czułością, pod którą czaił się jednak osobliwy, diabelski wyraz.

— Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz do mnie „moja ukochana” — poprosiła.

Też zajrzał jej w oczy i zobaczył. Twarz drgnęła mu w grymasie drwiącego zrozumienia.

— Kocham cię, oczywiście — powiedział ponuro — ale wolałbym, żeby to było co innego.

— Dlaczego? No, dlaczego? — nalegała, nachylając ku niemu niezwykłą, świetlistą twarz. — Dlaczego to nie dosyć?

— Ponieważ stać nas na więcej — westchnął, biorąc ją w ramiona.

— Nie, nie stać nas — powiedziała silnym, zmysłowym głosem kobiety, która się oddaje. — Możemy tylko się kochać. Powiedz „moja ukochana”, powiedz, proszę cię...

Zarzuciła mu ręce na szyję. Przytulił ją do siebie i całował szepcząc czule, miłośnie, ironicznie i ulegle:

— Tak, moja ukochana, tak ukochana. Niech więc miłość nam wystarczy. Kocham cię, kocham. Wszystko inne mnie nudzi.

— Mnie też — szepnęła tuląc się do niego mocno i słodko.

ROZDZIAŁ XIV

PRZYJĘCIE NA WODZIE

Co roku pan Crich urządzał water party — mniej lub bardziej huczne przyjęcie na wodzie. Po jeziorze pływał niewielki stateczek spacerowy, było też sporo zwykłych łódek; goście mogli napić się herbaty w namiocie ustawionym na terenie posiadłości albo też urządzić sobie piknik w cieniu ogromnego orzecha włoskiego nad jeziorem koło przystani. W tym roku zaproszono nauczycieli ze szkoły, a także co ważniejszych urzędników firmy. Gerald i młodsi Crichowie bez entuzjazmu odnosili się do całej imprezy, ale weszła już w zwyczaj, zresztą ojciec cieszył się nią, gdyż stanowiła jedyną okazję ściągnięcia ludzi z okolicy, by razem z nim świętowali. Pan Crich bowiem lubił sprawiać przyjemność swoim podwładnym i uboższym od siebie. Jego dzieci natomiast wolały towarzystwo ludzi równie zamożnych. Nie cierpiały pokory, wdzięczności czy zakłopotania osób gorzej sytuowanych.

Jednakże młodzi Crichowie skwapliwie wzięli czynny udział w uroczystościach, w których przecież pomagali rodzicom od wczesnego dzieciństwa, tym bardziej, że czuli się nieco winni i żadną miarą nie chcieli robić przykrości coraz bardziej schorowanemu ojcu. Tak więc Laura dość nawet ochoczo szykowała się do zastąpienia matki w roli gospodyni, a Gerald zajął się organizacją rozrywek na wodzie.

Birkin napisał do Ursuli, że ma nadzieję zobaczyć ją wśród gości, a Gudrun, choć gardziła protekcjonalnym zachowaniem się Crichów, miała zamiar towarzyszyć matce i ojcu, jeśli pogoda dopisze.

Nadszedł dzień przyjęcia, błękitny i słoneczny, z lekkimi podmuchami wiatru. Obie siostry miały na sobie suknie z białej krepy i miękkie słomkowe kapelusze. Gudrun przewiązała się w talii szeroką i lśniącą, czarno-żółto-różową szarfą, włożyła różowe jedwabne pończochy, a rondo kapelusza, nieco z tego powodu wygięte, ozdobiła czarno-żółto-różowym przybraniem. Przez ramię przerzuciła jedwabny żółty płaszczyk, toteż wyglądała efektownie jak obraz z tegorocznego Salonu. Ojciec, którego jej wygląd drażnił do żywego, powiedział gniewnie:

— Ale się wystroiłaś! Właściwie mogłabyś równie dobrze przebrać się za choinkową petardę.

Lecz Gudrun, piękna i olśniewająca, traktowała swój strój jak wyzwanie.

Widząc, że ludzie gapią się na nią i chichocą, nie omieszkała powiedzieć na cały głos do Ursuli:

— Regarde, regarde ces gens-là! Ne sont-ils pas des hiboux incroyables? — mówiąc po francusku spoglądała przez ramię na rozbawione towarzystwo.

— Rzeczywiście, to nie do zniesienia!

Dziewczęta odpłacały się w ten sposób swojemu naturalnemu wrogowi. Ale ich ojciec złościł się coraz bardziej.

Ursula była cała w śnieżnej bieli, tylko kapelusz miała różowy, bez żadnych ozdób, pantofelki ciemnoczerwone i na ręku pomarańczowy płaszcz. Tak przyodziane szły przez całą drogę do Shortlands tuż za rodzicami.

Pokpiwały sobie z matki, która w letniej sukience w czarne i czerwone paski i w kapeluszu i czerwonej słomki, dziewczęco spłoszona i przejęta o wiele bardziej niż kiedykolwiek jej córki, kroczyła poważnie u boku męża; ten zaś w odświętnym ubraniu, jak zwykle nieco wygniecionym, wyglądał, jak gdyby był młodym ojcem i przed chwilą czekał z dzieckiem na ręku, aż żona skończy się stroić.

— Popatrz na tę młodą parę przed nami — powiedziała cicho Gudrun. Ursula spojrzała na rodziców i nagle chwycił ją niepohamowany śmiech. Siostry przystawały na drodze i śmiały się do łez, ilekroć ich wzrok padł, na matkę i ojca, którzy onieśmieleni i rozbrajająco naiwni dalej szli przed siebie.

— Strasznie się z ciebie śmiejemy, mamo! — zawołała Ursula z trudem nadążając za rodzicami.

Pani Brangwen odwróciła się zdziwiona i lekko zirytowana.

— Naprawdę? A czy mogłabym się dowiedzieć, co we mnie tak was rozśmieszyło?

Nie dopuszczała myśli, że jej wygląd może budzić jakieś zastrzeżenia; Miała niezachwiane przeświadczenie o słuszności swego postępowania, ze spokojną obojętnością odnosiła się do wszelkiej krytyki, jakby znajdowała się. poza jej zasięgiem. Jej stroje były zwykle niekonwencjonalne i raczej niedbałej ale nosiła je z całkowitą swobodą i zadowoleniem. Byle to, co miała na sobie, było schludne, żadne przycinki nie mogły podważyć jej wiary w słuszność własnego wyboru; instynktownie zachowywała się jak arystokratka.

— Wyglądasz tak majestatycznie! Zupełnie jak pani dziedziczka — powiedziała z uśmiechem Ursula, trochę rozczulona naiwnym zdziwieniem matki.

— Całkiem jak pani dziedziczka — zawtórowała Gudrun. Wrodzoną dystynkcję pani Brangwen krępowało zażenowanie i obie dziewczyny znowu parsknęły śmiechem.

— Dorosłe panny, a zachowują się jak idiotki! Idźcie do domu! — wybuchnął rozjątrzony ojciec.

— Mmmm... — krztusiła się Ursula wykrzywiając się w odpowiedzi na jego gniewną minę.

W oczach ojca zatańczyły żółte ogniki, pochylił się naprzód w prawdziwej furii.

— Nie bądź niemądry i nie zwracaj uwagi na te głuptaski — powiedziała pani Brangwen podejmując spacer.

— Nie pozwolę, żeby szła za mną para rechoczących, rozwrzeszczanych małp! — zawołał mściwie. Dziewczęta zatrzymały się na ścieżce przy żywopłocie, niezdolne opanować śmiechu.

— Po co zwracasz na nie uwagę? Naprawdę nie jesteś wcale od nich mądrzejszy — oświadczyła pani Brangwen, też już zagniewana, teraz, kiedy jej mąż wpadł w prawdziwą wściekłość.

— Ojcze, idą obcy ludzie — ostrzegła go ironicznie Ursula. Rozejrzał się szybko i zesztywniały z gniewu dołączył do żony. Dziewczęta znów ruszyły za nimi, osłabłe ze śmiechu.

Kiedy przechodnie oddalili się, Brangwen oznajmił donośnym głosem:

— Jak nie przestaniecie, wracam natychmiast do domu. Nie dam strugać z siebie wariata w miejscu publicznym.

Rzeczywiście wyprowadziły go z równowagi. Na dźwięk jego głosu, zdławionego ślepym gniewem, śmiech nagle zamarł na ustach dziewcząt; ich serca ścisnęła pogarda..„W miejscu publicznym”. Nienawidziły takich zwrotów. Co je obchodzi publiczne miejsce? Lecz Gudrun była w nastroju pojednawczym.

— Przecież nie śmiałyśmy się wam na złość — odezwała się z niezwykłą u niej łagodnością, co speszyło jej rodziców. — Śmiałyśmy się, bo was lubimy.

— Chodźmy przodem, jeśli są tacy wrażliwi — burknęła Ursula. I w takim porządku dotarli nad Willey Water. Woda była niebieska i czysta, po jednej stronie jeziora na spadzistym stoku rozpościerały się w pełnym słońcu łąki, po

drugiej opadał stromo gęsty, ciemny las. Od brzegu, w ogromnym zamieszaniu, odbijał mały spacerowy stateczek, zatłoczony pasażerami, rozbrzmiewający muzyką i łoskotem wodnych łopatek. Koło przystani zgromadził się tłum świątecznie wystrojonych gości. Stojący wzdłuż ogrodzenia okoliczni mieszkańcy, zazdrośnie przyglądali się z szosy zabawie, jak dusze nie wpuszczone do raju.

— Nie do wiary! Masz pojęcie! — mruknęła sotto voce Gudrun spoglądając na barwne zbiorowisko. — Co za menażeria! Wyobraź sobie tylko, moja złota, że jesteś tam wśród nich.

Jej pełen wstrętu lęk przed tłumem stropił Ursulę.

— Okropnie to wygląda — przytaknęła nerwowo

— I pomyśl tylko, jacy oni są... Pomyśl! — dodała Gudrun stłumionym, wzgardliwym głosem. Ale mimo to szła naprzód z całą stanowczością.

— Chyba uda się nam jakoś odłączyć od nich — powiedziała Ursula z niepokojem.

— Strach pomyśleć, co będzie, jeśli się nam nie uda — rzekła Gudrun. Ursulę denerwował sarkastyczny ton, jakim siostra pokrywała najwyższą niechęć i odrazę.

— Nie musimy tu zostawać.

— Nawet pięciu minut nie pozostanę w tym doborowym towarzystwie. Podchodziły już do bramy, przy której stali policjanci.

— I jeszcze policjanci, żeby nikogo nie wypuścić! Ładna historia, słowo daję...

— Trzeba by pomóc mamie i ojcu — zaniepokoiła się Ursula.

— Mama jest w pełni zdolna sprostać tej skromnej uroczystości — oświadczyła z lekką pogardą Gudrun.

Ale Ursula wiedziała, że ojciec zachowuje się niezręcznie, jest rozdrażniony i nieszczęśliwy, i przez to

sama czuła się nieswojo. Czekały przed bramą, aż nadeszli rodzice. Ojciec, wysoki, szczupły, w wymiętym ubraniu, był w obliczu czekających go towarzyskich obowiązków naburmuszony i zaperzony jak mały chłopiec. Nie czuł się dżentelmenem, nie czuł nic, prócz narastającej irytacji.

Ursula szła teraz u jego boku; podali bilety policjantowi i weszli do środka całą czwórką: smukły, porywczy mężczyzna z nabiegłymi krwią policzkami i z gniewnie zmarszczonym chłopięcym czołem; spokojna kobieta o świeżej cerze, swobodna i opanowana, chociaż włosy rozpuściły się jej z jednej strony; Gudrun spoglądająca wprost przed siebie okrągłymi, pociemniałymi oczami, z zaokrągloną, delikatną twarzą, obojętną, lekko nadąsaną, tak że chociaż szła naprzód, zdawała się cofać, pełna sprzeciwu; i wreszcie Ursula, z dziwnym, olśnionym i olśniewającym wyrazem twarzy, jaki przybierała zawsze, kiedy znalazła się w fałszywej sytuacji.

Birkin pojawił się niby anioł opiekuńczy. Podszedł do nich z uśmiechem, z właściwą sobie afektowaną układnością, która w jakiś sposób nigdy nie była całkiem na miejscu. Ale zdjął kapelusz i uśmiechnął się ze szczerą radością w oczach, aż Brangwen zawołał z ulgą:

— Jak się pali ma? Chyba lepiej, co?

—Istotnie lepiej. Witam panią — skłonił się przed panią Brangwen. — Z Ursula i Gudrun dobrze się znamy.

Uśmiech na jego twarzy był czuły i ciepły. Do kobiet odnosił się serdecznie i przypochlebnie, zwłaszcza do kobiet już niezbyt młodych.

— Owszem — pani Brangwen była chłodna, ale zadowolona — często o panu mówią.

Roześmiał się. Gudrun spuściła wzrok, zła, że nikt tu jej nie docenia. Wokół stały gromadki ludzi. Kilka kobiet rozsiadło się w cieniu orzecha włoskiego i popijało herbatę; kelner krzątał się z pośpiechem, dziewczęta wdzięczyły się

pod parasolkami, młodzieńcy, jeszcze zmęczeni po wiosłowaniu, siedzieli na trawie ze skrzyżowanymi nogami, bez marynarek, z rękawami koszuli podwiniętymi po męsku, z dłońmi złożonymi na białych, flanelowych spodniach; jaskrawe krawaty powiewały luźno, a oni śmieli się i silili na dowcipy wobec młodych panienek. „Dlaczego — pomyślała z przekąsem Gudrun — nie są na tyle dobrze wychowani, żeby włożyć marynarki i nie przybierać tak familiarnej postawy?” Nie cierpiała pospolitych młodych mężczyzn z ich wypomadowanymi włosami i niefrasobliwą poufałością.

Nadeszła Hermione Roddice w ładnej sukni z białej koronki wlokąc za sobą wielki jedwabny szal naszywany haftowanymi kwiatami, w wielkim gładkim kapeluszu, który z trudem trzymał się na głowie. Wyglądała dziwacznie, niesamowicie, niemal makabrycznie — wysoka, ciągnąca po ziemi frędzle ogromnego szala, na którym od kremowego da odcinały się barwne plamy haftu, z gęstymi włosami opadającymi nisko na oczy, z niezwykłą twarzą, podłużną i bladą, okoloną kolorowymi, wyszywanymi kwiatami.

— Popatrzcie, prawdziwa czarownica! — chichotały za jej plecami młode panny. Gudrun miała ochotę je zamordować.

—Jak się macie? — zaśpiewała Hermione podchodząc do nich z wielką uprzejmością i obrzucając nieśpiesznym spojrzeniem panią i pana Brangwen. Był to przykry moment, niełatwy do zniesienia dla Gudrun. Hermione była tak mocno obwarowana w swojej wyższości klasowej, że potrafiła podejść do człowieka i zaznajomić się z nim ze zwykłej ciekawości, jakby był eksponatem na wystawie. Gudrun też mogłaby tak postąpić. Ale czuła się dotknięta, jeśli to ją tak traktowano.

Hermione zwracając powszechną uwagę na siebie, a więc także i na Brangwenów, poprowadziła ich dalej, tam, gdzie Laura Crich witała gości.

— Oto pani Brangwen — zaśpiewała.

Laura, w płóciennej sukience, usztywnionej gęstym haftem, uścisnęła dłoń pani Brangwen i wyraziła radość z jej poznania. Zbliżył się Gerald, bardzo przystojny w białych spodniach i w czarno-brązowej kurtce. Również i on został przedstawiony Brangwenom i natychmiast odniósł się do pani Brangwen jak do damy, a do jej męża nie jak do dżentelmena. Nigdy nie starał się dbać o pozory.

Gerald witał się z koniecznością lewą ręką, bo prawą miał skaleczoną i trzymał ją obandażowaną w kieszeni kurtki. Gudrun odczuła prawdziwą ulgę, że nikt z jej towarzystwa nie zapytał, co mu się stało.

Parowy stateczek dobijał zgiełkliwie do brzegu; docierały z niego dźwięki muzyki i podniecone nawoływania z pokładu. Gerald odszedł, żeby dopilnować ceremonii wysiadania na ląd. Birkin starał się o herbatę dla pani Brangwen, przy której usiadła Hermione, pan Brangwen przyłączył się do grupy nauczycieli, a dziewczęta poszły w stronę przystani popatrzeć na przybijający statek.

Stateczek gwizdał i huczał wesoło, po czym koła łopatkowe zatrzymały się, zrzucono na brzeg liny. Przycumował z lekkim wstrząsem. Rozbawieni pasażerowie natychmiast tłumnie pośpieszyli do wyjścia.

— Proszę chwileczkę poczekać! — zawołał rozkazująco Gerald.

Musieli czekać, aż stateczek mocno przywiążą linami i położą trap. Wtedy ruszyli potokiem na brzeg, podnieceni, jakby przybyli tu z Ameryki...

— Ach, jak przyjemnie! — wołały młode dziewczęta. — Co za rozkosz! Kelnerzy pobiegli ze staku do przystani, kapitan spacerował po małym mostku. Wszystko zostało załatwione i Gerald mógł wrócić do Gudrun i Ursuli.

— Może macie ochotę na przejażdżkę statkiem? I na herbatę na pokładzie? — spytał.

— Nie, dziękuję — chłodno odparła Gudrun.

— Nie lubi pani wody?

— Wody? Ależ lubię. Nawet bardzo. Popatrzył na nią badawczo.

— Ale nie lubi pani pływać statkiem? Po chwili wahania odparła powoli:

— Nie mam nic przeciw statkom. — Zrumieniła się, jakby coś ją rozgniewało.

— Un peu trop de monde — wyjaśniła Ursula.

— Co? Trop de monde? — roześmiał się. — A tak, ludzi tu jest mnóstwo. Gudrun zwróciła się do niego z błyskiem w oczach.

— Pływał pan kiedyś parowcem po Tamizie od Westminster Bridge do Richmond?

— Nie. Nie. miałem okazji.

— To jedno z najohydniejszych doświadczeń w moim życiu. — Mówiła prędko, ożywiona, z twarzą w rumieńcach. — Nie było gdzie usiąść, absolutnie ani jednego miejsca, przez całą drogę jakiś człowiek tuż nad nami śpiewał „W kołysce nad otchłanią”, był ślepy, miał taką małą, przenośną harmonię i spodziewał się, że mu damy pieniądze. Może pan sobie wyobrazić, co tam się działo! Cały czas z dołu dolatywał do nas zapach potraw i zionęło rozgrzanym smarem z maszyn; podróż ciągnęła się i ciągnęła bez końca i całymi milami, dosłownie całymi milami, okropni chłopcy biegli wzdłuż brzegu w tym strasznym błocie nad Tamizą, zapadali się po pas, mieli podwinięte spodnie i taplali się w tym nieopisanym błocie, twarze zwracali w naszą stronę i wrzeszczeli „proszę szanpana,. proszę szanpana”, zupełnie jak cuchnące ścierwojady, co za plugastwo! I ci szacowni paterfamiliasi na pokładzie, którzy rechoczą, kiedy chłopcy zapadają się w tym potwornym błocie, i czasem ciskają im półpensówkę! Gdyby pan widział zawzięty wyraz twarzy

tych chłopaków! Jak błyskawicznie rzucali się za monetą w to błocko! Naprawdę nawet sępy czy szakale nie zniosłyby takiego smrodu. Nigdy już nie pojadę na wycieczkę statkiem. Nigdy!

Przez cały czas Gerald przyglądał jej się błyszczącymi oczyma, podniecony bynajmniej nie tym, co mówiła: to ona sama pobudzała go jak gdyby lekkimi, ostrymi ukłuciami.

— W każdym społecznym organizmie lęgnie się robactwo.

— Dlaczego? — zawołała Ursula. — We mnie się nic nie lęgnie!

— I nie o to tu chodzi. To jest kwestia jakości. Ojcowie rodzin, rozbawieni, traktujący rzucanie monet jak sport, i matki rodzin, które rozchylają tłuste kolana i jedzą, bez przerwy jedzą — wstrząsnęła się Gudrun.

— Tak — potwierdziła Ursula. — To wcale nie ci chłopcy są robactwem, to właśnie ci ludzie, cały organizm społeczny, jak pan to nazywa.

Gerald roześmiał się,

— Mniejsza o to. Nikt was nie zmusza do przejażdżki statkiem. Gudrun zarumieniła się gwałtownie, jak gdyby udzielił jej nagany. Zapadło krótkie milczenie. Gerald obserwował ludzi zmierzających w stronę przystani, jakby stał tu na warcie. Był bardzo przystojny i miał świetne maniery, ale jego postawa wojskowej czujności była raczej irytująca.

— Więc jak? Napijecie się herbaty tutaj, czy wolicie pójść w stronę domu? Ustawiono tam namiot na trawie.

— A czy nie mogłybyśmy dostać małej łódki, żeby się stąd wymknąć? — spytała Ursula, zawsze zbyt popędliwa.

— Wymknąć się? — uśmiechnął się Gerald.

— Bo rozumie pan — Gudrun była speszona nietaktem przesadnie prawdomównej Ursuli — nie znamy prawie

nikogo, jesteśmy tu całkiem obce.

— Ależ zaraz mogę dostarczyć wam paru znajomych!

Gudrun spojrzała na niego, żeby upewnić się, czy nie jest złośliwy. Uśmiechnęła się.

— Wie pan przecież, co mamy na myśli. Łódką mogłybyśmy popłynąć w tamtą stronę i rozejrzeć się po wybrzeżu. — Wskazała na zagajnik na pagórku za łąkami, nie opodal brzegu, w połowie drogi w dół jeziora. — Cudowny widok! Może byśmy nawet tam się wykąpały. Czy to nie piękne w tym oświetleniu? Zupełnie jak odnoga Nilu... Tak jak wyobrażamy sobie Nil.

Geralda rozbawił jej sztuczny entuzjazm wywołany wyłącznie oddaleniem owego miejsca.

— Jest pani pewna, że to dosyć daleko? — spytał kpiąco, dodając od razu: — Owszem, możecie tam popłynąć, jeżeli znajdziemy łódkę. Wygląda na to, że wszystkie są zajęte.

Patrzył na jezioro licząc wzrokiem łodzie.

— Jakby to było rozkosznie! — zawołała tęsknie Ursula.

— I nie macie ochoty na herbatę?

— Możemy napić się i zaraz wyruszyć.

Uśmiechnął się. Był urażony, ale zachowywał się sportowo.

— Umiecie obchodzić się z łódką?

— Raczej tak — odpowiedziała chłodno Gudrun.

— Ależ oczywiście! — zawołała Ursula. — Obie wiosłujemy jak pająki wodne.

— Świetnie. Mam lekki kajaczek, którego nie wyciągnąłem ze strachu, żeby się ktoś nic utopił. Myślicie, że będziecie w nim bezpieczne?

— Z całą pewnością — rzekła Gudrun.

— Anioł z pana! — zawołała Ursula.

— Tylko błagam, niech wam się nic nie stanie. Ze względu na mnie, bo jestem odpowiedzialny za jezioro.

— Przyrzekam panu — uspokoiła go Gudrun.

— Zresztą obie całkiem dobrze pływamy.

— W porządku. Wobec tego powiem, żeby wam dano koszyk z podwieczorkiem i będziecie mogły urządzić sobie piknik tylko we dwie. Dobry pomysł?

— Wspaniały! Cudownie będzie, jeśli się panu uda! — zawołała z zapałem Gudrun, znów cała w rumieńcach. Poczuł, że krew żywiej krąży mu w żyłach od gestu, z jakim odwróciła się do niego, jakby chciała nasycić go swoją wdzięcznością.

— Gdzie Birkin? — zapytał z błyskiem w oku. — Mógłby mi pomóc wydostać kajak.

— A pan? Chyba ma pan skaleczoną rękę? — spytała Gudrun głosem stłumionym, żeby nie zabrzmiało to poufale. Po raz pierwszy ktoś wspomniał o skaleczonej ręce. Dziwna ostrożność, z jaką poruszyła ten temat, przejęła go dreszczem, jak nowa, wyrafinowana pieszczota. Wyjął zabandażowaną dłoń z kieszeni, przyjrzał jej się i włożył z powrotem. Gudrun drgnęła na widok grubo owiniętej łapy.

— Poradzę sobie jedną ręką. Kajak jest lekki jak piórko. O, idzie Rupert. Rupert!

Birkin porzucił towarzyskie obowiązki i zbliżył się do nich.

— A co się panu stało? — Ursulę od pół godziny korciło, żeby zadać Geraldowi to pytanie.

— W rękę? Utkwiła w jakiejś maszynie.

— Ojej. I bardzo bolało?

— Tak, na początku bardzo. Teraz już jest lepiej. Mam zmiażdżone palce.

— Och! —jęknęła Ursula. — Nienawidzę, jak ludzie się ranią. Jakby mnie samą bolało. — Potrząsnęła dłonią.

— Czego sobie życzysz? — spytał Birkin.

Obaj mężczyźni wynieśli kruchy, brązowy kajaczek i spuścili na wodę.

— Na pewno będziecie w nim bezpieczne? — spytał Gerald.

— Może pan być spokojny — odpowiedziała Gudrun. — Nie byłabym tak podła, żeby go brać, gdyby istniała najlżejsza wątpliwość. Miałam kajak w Arundel i ręczę, że nic nam się nie stanie.

Powiedziała to po męsku; obie z Ursulą wsiadły do kruchej łódki i łagodnie odepchnęły się od brzegu. Mężczyźni stali i patrzyli z uwagą. Gudrun wiosłowała. Wiedziała, że jest obserwowana, przez co jej ruchy stały się powolne i dość nieporadne. Jej twarz zabarwiła się mocnym rumieńcem.

— Strasznie dziękuję! — zawołała do Geralda. Kajak oddalił się nieco. — Jest cudownie. Jakbyśmy siedziały na liściu.

Rozśmieszył go ten pomysł. Jej głos z odległości zabrzmiał obco i przenikliwie. Patrzył, jak kieruje kajakiem. Była w niej dziecięca ufność i uległość. Nie mógł oderwać od niej wzroku. A Gudrun prawdziwą rozkosz sprawiało udawanie wobec mężczyzny w białym ubraniu, który stał tam na brzegu, przystojny i władczy, że jest dziecinną, potulną kobietką. Był teraz dla niej najważniejszy ze wszystkich. Nawet nie dostrzegała obok niego bladej, niewyraźnie majaczącej postaci Birkina. W tym momencie jednak tylko postać zaprzątała całą jej uwagę.

Kajak sunął po wodzie z lekkim szmerem. Minęły kąpiących się, których pasiaste namioty stały między wierzbami na skraju łąki. Popłynęły wzdłuż odsłoniętego brzegu za łąki złocące się w świetle późnego już popołudnia.

Inne łódki przemykały pod zadrzewionym przeciwległym brzegiem, docierały z nich glosy i śmiechy. Gudrun wiosłowała w stronę widocznej z daleka kępy drzew rozkołysanych w złotym powietrzu.

Siostry trafiły na zarośnięte trzciną miejsce, gdzie wąski potok wpływał do jeziora, z piaszczystą ławicą kwieciście obramioną fioletową wierzbówką. Ostrożnie przybiły do brzegu, zdjęły pantofelki i pończochy i przebiegły przez pas wody na trawę. Drobne fale jeziora były ciepłe i przejrzyste. Siostry przeniosły kajak na ląd i rozejrzały się z radością. Były zupełnie same na tym odludziu przy ujściu strumyka, osłoniętym kępą drzew na pagórku.

— Wykąpiemy się szybciutko — rzekła Ursula — a potem zjemy podwieczorek.

Rozejrzały się wokoło. Nikt nie mógł ich tu podglądać ani nadejść znienacka. Ursula w mig zrzuciła z siebie ubranie, naga zanurzyła się w jeziorze i popłynęła. Gudrun szybko poszła w jej ślady. Pływały przez czas pewien w błogim milczeniu okrążając ujście strugi. Potem wyszły na brzeg i pędem wróciły do zagajnika jak dwie nimfy.

— Cudownie jest być wolnym! — zawołała Ursula; naga, z rozwianymi włosami biegała między drzewami. W lasku rosły buki wielkie i wyniosłe, ze stalowoszarym rusztowaniem pni i konarów poprzecinanym poprzecznymi plamami intensywnej zieleni; od północnej strony, jak przez okno, prześwitywała otwarta przestrzeń.

Dziewczęta osuszyły się biegając i tańcząc, po czym prędko ubrały się i zasiadły do aromatycznej herbaty. Siedziały po północnej stronie zagajnika, w żółtym blasku słońca, twarzą do stoku porosłego trawą pagórka. Same we własnym, bezludnym świecie. Herbata była gorąca i wonna, małe kanapki z ogórkiem i kawiorem wyśmienite, ciastka pachniały winem.

— Jesteś szczęśliwa, Prune? — zawołała Ursula z zachwytem.

— Tak, jestem absolutnie szczęśliwa — odpowiedziała poważnie Gudrun spoglądając na zachodzące słońce.

— Ja też.

Kiedy były we dwie i robiły, co im się podoba, obie czuły się w pełnej harmonii ze swymi ideałami. A to był właśnie jeden z owych nieopisanie pięknych momentów wolności i zachwytu, jakie znają jedynie dzieci, kiedy wszystko wydaje się cudowną i szczęśliwą przygodą.

Zjadły podwieczorek i dalej siedziały w ciszy i spokoju. Po paru chwilach Ursula, obdarzona pięknym, silnym, głosem, zaczęła nucić „Annchen von Tharau”. Gudrun przysłuchiwała się i nagle, siedząc tu pod drzewami, poczuła dojmujący żal w sercu. Ursula wydawała się tak spokojna i samowystarczalna, kiedy o niczym nie myśląc śpiewała piosenkę, mocna i niezachwiana, w centrum swego własnego świata. A Gudrun czuła się wyrzucona poza jego krąg. Rozpaczliwy, bolesny lęk, że znajduje się poza życiem, że jest widzem, podczas gdy Ursula w nim uczestniczy, sprawiał, że dręczyło ją poczucie własnej nieobecności, zawsze żądała, by ludzie byli świadomi jej istnienia i by czuli się z nią związani.

— Czy zgadzasz się, żebym pod twój śpiew ćwiczyła Dalcroze’a? — spytała dziwnym, stłumionym głosem, ledwie poruszając wargami.

— Co powiedziałaś? — Ursula patrzyła na nią z łagodnym zdziwieniem.

— Będziesz mi śpiewać do Dalcroze’a? — Gudrun była nieszczęśliwa, że musi to jeszcze raz powtórzyć.

Ursula zastanawiała się przez chwilę, zbierając rozpierzchłe myśli.

— Co chcesz robić?

— Ruchy Dalcroze’a. — Gudrun znosiła katusze zakłopotania nawet wobec siostry.

— Och, Dalcroze’a! Nie dosłyszałam nazwiska. Oczywiście, cieszę się, że cię zobaczę! — zawołała Ursula z ożywieniem dziecka, któremu zrobiono niespodziankę. — Co mam zaśpiewać?

— Śpiewaj, co chcesz, ja już podchwycę rytm.

Ursula na śmierć zapomniała wszystkie piosenki. Wreszcie jednak zaśpiewała wesołym, kpiącym głosem:

Moja luba to wielka pani...

Gudrun powoli, jakby na rękach i nogach dążyły jej niewidzialne łańcuchy, zaczęła rytmiczny taniec, jej stopy drgały i miarowo wybijały rytm, rękami i ramionami wykonywała ruchy powolne, regularne, to rozkładając je szerokim gestem, to unosząc nad głową, to znów puszczając luźno, z twarzą zwróconą w górę. Stopy przez cały czas wybijały takt piosenki, jakby to było magiczne zaklęcie, jej biała postać wirowała urzeczona w rytmie dziwnej, gwałtownej rapsodii, przejęta, wstrząsana dziwnym dreszczem, porwana mocą obrzędowego śpiewu. Ursula siedziała na trawie. Jej oczy śmiały się, jakby uważała to wszystko za świetny żart, ale błyskało w nich żółte światełko, kiedy dostrzegła rytualny sens tego tańca, zawiły sposób, w jaki biała postać jej siostry wibrowała, wiła się i falowała w czystym, mimowiednym, pulsującym rytmie, posłuszna potężnej hipnotycznej woli.

„Moja luba to wielka pani, w czeluść piekieł pójdę dla niej...” — śpiewała Ursula śmiejąc się, a Gudrun coraz szybciej, coraz gwałtowniej krążyła w tańcu, przytupując, jakby próbowała zrzucić z siebie więzy. Wyciągała nagle ręce i znów tupała z uniesioną na gibkiej szyi twarzą o niewidzących, półprzymkniętych oczach. Słońce stało nisko, złote, ale już gasnące, po niebie wędrował cienki, blady księżyc.

Ursula była zatopiona w śpiewie, kiedy Gudrun nagle przerwała taniec i powiedziała z łagodną drwiną:

— Ursula...

— Tak? — Ursula ocknęła się z transu i otworzyła oczy.

Gudrun nie ruszała się z miejsca i z kpiącym uśmiechem na coś wskazywała.

— Ach! — krzyknęła w popłochu Ursula zrywając się na nogi.

— Nie masz się czego bać — stwierdziła ironicznie Gudrun.

Na lewo stało niewielkie stado szkockiego bydła, kosmatych byczków, jaskrawych w wieczornym świetle, z rogami mierzącymi w niebo. Wysuwały do przodu pyski, jakby chciały sprawdzić, o co też tu chodzi. Ślepia błyszczały im przez splątane kosmyki długiej sierści, gołe nozdrza pełne były cieni.

— Nic nam nie zrobią? — Ursula zapytała ze strachem w głosie. Gudrun, która zazwyczaj bała się bydła, tym razem z nikłym uśmiechem na ustach potrząsnęła głową szczególnym, trochę niepewnym i trochę drwiącym gestem.

— Popatrz, Ursulo, jakie są urocze! — zawołała wysokim głosem, przenikliwym jak krzyk mewy.

— Urocze — potwierdziła drżąca z obawy Ursula. — Ale czy nic nam nie zrobią?

Gudrun znowu potrząsnęła głową, patrząc na siostrę z zagadkowym uśmiechem.

— Na pewno nie — zabrzmiało to, jakby chciała i siebie przekonać, ale jednocześnie ufała własnej tajemnej sile i pragnęła wystawić ją na próbę. — Siadaj i śpiewaj — nakazała.

— Boję się — żałośnie jęknęła Ursula. Małe, silne byczki stały na rozstawionych nogach i patrzyły złośliwie ciemnymi

ślepiami przez gęste kłaki sierści. Ursula posłusznie usiadła w poprzedniej pozycji.

— Nie są niebezpieczne — dotarł do niej wysoki głos Gudrun. — Zaśpiewaj byle co, ale śpiewaj.

Widać było, że ogarnęła ją przemożna ochota, żeby zatańczyć dla tych krępych, ładnych zwierząt.

Ursula śpiewała łamiącym się głosem.

Daleko w Tennessee...

W jej śpiewie słychać było lęk. Ale oto Gurdun z rozpostartymi ramionami i wzniesioną głową zbliża się w dziwnym wirującym tańcu do stada, odwraca się twarzą do byczków jak urzeczona, jej nogi drżą, jakby w porywie nieuświadomionych doznań, jej ramiona, przeguby, dłonie prężą się, wznoszą i opadają, sięgają naprzód i opadają, piersi napięte i drżące i szyję obnażoną w lubieżnym zachwyceniu wysuwa ku zwierzętom i niepostrzeżenie przybliża się ku nim. Tajemnicza, biała postać w ekstatycznym transie płynie z dziwnym wahaniem tam, gdzie stoi stado byków. One zaś czekają i spuszczają łby w nagłym sprzeciwie wobec niej, z rogami rozwidlonymi w jasnym świetle, patrzą cały czas jak zahipnotyzowane na białą postać kobiecą, chylącą się ku nim w somnambulicznych, tanecznych pląsach. Gudrun czuje je tuż przed sobą, jakby elektryczny prąd z ich ciał przebiegał w jej dłonie. Zaraz ich dotknie, naprawdę dotknie. Wstrząsnął nią okrutny dreszcz strachu i rozkoszy. Przez cały czas Ursula oszołomiona ciągnęła wysokim głosem zwykłą, nieodpowiednią piosenkę, przeszywającą jak zaklęcie powietrze wieczoru.

Gudrun słyszała, jak ciężko dyszą zwierzęta w bezradnym przestrachu i urzeczeniu. Dzielne stworzenia, te dzikie szkockie byczki — dzikie i kudłate. Nagle jeden z nich prychnął, spuścił łeb i cofnął się.

— Hej, jazda stąd...! — na skraju lasku rozległ się głośny okrzyk. Stado rozproszyło się i cofnęło odruchowo, byczki pognały pod górę w płomieniach kudłatej sierści, drżącej w takt ich ruchów. Gudrun stanęła jak wryta. Ursula podniosła się.

To Gerald i Birkin szukali ich tutaj, a Gerald krzyknął, żeby odpędzić bydło.

— Co wy tam wyprawiacie? — zawołał głośno, zdziwiony i rozdrażniony.

— Po to przyszliście? — odparowała ostro rozgniewana Gudrun.

— Co wy tam wyprawiacie? — powtórzył machinalnie Gerald.

— Ćwiczymy taniec rytmiczny — roześmiała się niepewnie Ursula. Gudrun, stropiona, stanęła nieco dalej z urazą w wielkich, ciemnych oczach.

Po chwili poszła pod górę za zwierzętami, które ogłupiałe skupiły się nieco wyżej w małe stadko.

— Dokąd pani idzie? — zawołał Gerald. I ruszył za nią stokiem. Słońce zaszło za pagórek, po ziemi snuły się cienie. Niebo pełne było pełgających świateł.

— Nie najlepsza ta piosenka do tańca. — Po twarzy stojącego koło Ursuli Birkina przemknął drwiący uśmiech. Od razu zanucił coś pod nosem i puścił się w groteskowy taniec; jego ciało trzęsło się w luźnych podrygach, znieruchomiała twarz majaczyła blado, podczas gdy stopy szybko wybijały werbel kpiącej pobudki, a cała postać zdawała się zawieszona i rozkołysana jak cień.

— Zdaje mi się, że wszyscy powariowaliśmy. — W śmiechu Ursuli brzmiał lęk

— Szkoda, że nie bardziej — odpowiedział nie przerywając ani na chwilę tanecznych podrygów. Pochylił się nad nią znienacka i ucałował lekko jej palce, zbliżając twarz

do jej twarzy i patrząc w jej oczy z uśmiechem. Cofnęła się dodcnięta.

— Obraziłaś się? — spytał ironicznie, nagle znów skupiony i powściągliwy. — Myślałem, że lubisz trochę fantazji.

— Nie takiej — odpowiedziała speszona i oszołomiona, prawie z gniewem. W jakiś dziwny sposób fascynował ją widok tego rozluźnionego ciała, bez reszty pochłoniętego tańcem, i tej bladej, sardonicznej twarzy. Ale odruchowo zesztywniała, manifestując swą dezaprobatę. U mężczyzny, który zazwyczaj zachowywał się tak poważnie, wydawało się to wręcz nieprzyzwoite.

— Dlaczego nie takiej? — spytał żartobliwie. I natychmiast z rozluźnionymi mięśniami i złośliwym spojrzeniem znów podjął niewiarygodnie szybki taniec. Podrygując gwałtownie nie ruszał się z miejsca, ale pochylił się nieco i skłonił w jej stronę z nie do opisania kpiącym, ironicznym błyskiem oczu; pocałowałby ją znowu, gdyby się nie cofnęła.

— Przestań! — krzyknęła naprawdę przerażona

—Jednak Kordelia — mruknął zjadliwie. Ukłuło ją to, jak obelga, bo wiedziała, że chce ją obrazić, i nie mogła zrozumieć, z jakiego powodu..

— A ty — próbowała się zemścić — dlaczego masz usta zawsze tak nieznośnie pełne duszy?

— Żebym łatwiej mógł ją wypluć — odpowiedział, zadowolony z riposty. Gerald Crich, z twarzą ściągniętą uporem, biegł długimi krokami w ślad za

Gudrun. Stado byków skupiło się na szczycie pagórka patrząc na rozgrywającą się poniżej scenę — na biało ubranych mężczyzn krążących wokół białych postaci kobiecych. Wpatrywały się przede wszystkim w Gudrun, która zbliżała się do nich powoli. Przystanęła na chwilę, obejrzała się na Geralda i znów zwróciła wzrok na stado.

W nagłym geście uniosła ramiona i ruszyła wprost na długorogie byki nierównym, tanecznym krokiem; przerywała na sekundę pląsy, by spojrzeć na nie, po czym podnosiła ręce i rzucała się pędem w kierunku wrytych w ziemię zwierząt, aż ustąpiły i dysząc w popłochu, z wysuniętymi łbami, rzuciły się w bok i pognały galopem w wieczór; pomniejszone przez odległość ciągle jeszcze nie przestawały uciekać.

Gudrun długo spoglądała za nimi z zaciętą, nieprzeniknioną twarzą.

— Dlaczego chcesz je doprowadzić do szału? — spytał Gerald. Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

— To przecież niebezpieczne — nastawał. — Są złośliwe, kiedy się obrócą.

— Obrócą się? Żeby. nie patrzeć? — zakpiła.

— Kiedy obrócą się przeciw człowiekowi.

— Przeciw mnie? — spytała z ironią. Nic z tego nie rozumiał.

— W każdym razie niedawno zadźgały rogami na śmierć krowę tutejszego farmera.

— Co to mnie obchodzi?

— Mnie obchodzi. Należą do mnie.

— Co to znaczy, że należą do ciebie? Przecież ich nie połknąłeś. Podaruj mi jednego — wyciągnęła rękę.

— Wiesz, gdzie są — wskazał na szczyt wzgórza. — Proszę bardzo, mogę ci któregoś potem dostarczyć.

Obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem.

— Na pewno myślisz, że boję się ciebie i twoich byczków?

Oczy zwęziły mu się groźnie, a na twarzy pojawił się blady, władczy uśmieszek.

— Dlaczego miałbym tak myśleć?

Przez cały czas wpatrywała się w niego ciemnymi, rozszerzonymi, niewinnymi oczami. Teraz pochyliła się naprzód, wyciągnęła rękę i wymierzyła mu policzek.

— Dlatego! — zawołała drwiąco.

Targnęło nią przemożne pragnienie zadania mu bólu. Wyzbyła się lęku i drążącego ją poczucia winy. Będzie robić, co chce, i nie zamierza się bać.

Cofnął się przed uderzeniem. Zbladł śmiertelnie, pociemniałe oczy rozbłysły groźnym płomieniem. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa, nieopisane wzburzenie rozsadzało mu serce. Jakby wybuchł w nim wielki zbiornik czarnej namiętności, w której cały się pogrążył.

— Ty zadałaś pierwszy cios — wykrztusił wreszcie głosem tak cichym i niskim, że zabrzmiał w jej uszach jak głos ze snu, którego nikt poza nią nie może usłyszeć.

— I ja zadam ostatni — odparowała odruchowo ze spokojną pewnością siebie. Gerald nie zaprzeczył.

Stała niedbale, patrząc w przestrzeń poza nim. W jakimś zakątku świadomości zadawała sobie machinalnie pytanie: „Dlaczego zachowujesz się tak niemożliwie i wręcz śmiesznie?” Zła na siebie, próbowała je zagłuszyć Ale nie udało jej się i poczuła się nieswojo.

Gerald, bardzo blady, przyglądał jej się uważnie. W jego oczach, przejętych i błyszczących, malował się upór. Nagle zaatakowała go.

— To przez ciebie tak się zachowuję — rzekła stanowczo.

— Przeze mnie? Dlaczego?

Ale już odwróciła się i ruszyła w stronę jeziora. W dole, na wodzie, rozjarzyły się latarnie, blade widma gorących płomieni, migocące w szarości zapadającego zmierzchu. Ciemność jak lakier pokryła ziemię, nad którą rozciągało się

zblakłe, złotawe niebo; z jednej strony jezioro było mlecznobiałe. Daleko, koło pływającej przystani, drobniutkie punkciki barwnych promieni ciągnęły się w mroku sznurem. Statek był rzęsiście oświetlony. Dookoła z drzew spływały cienie.

Gerald, biały jak zjawa w swoim letnim ubraniu, szedł za Gudrun odsłoniętym zboczem, porosłym trawą. Gudrun poczekała, aż się zbliży. Łagodnie wyciągnęła rękę i dotknęła go, mówiąc cicho:

— Nie gniewaj się na mnie.

Ogarnęły go płomienie i nieomal stracił przytomność Ledwie zdołał wyjąkać:

— Nie gniewam się na ciebie. Kocham cię.

Zamroczyło mu się w głowie, z trudem panował nad sobą. Srebrzysty, lekko kpiący śmiech Gudrun był zniewalająco pieszczotliwy.

— Można i tak to ująć — powiedziała.

Zdrową dłonią, twardą jak z żelaza, chwycił ją za ramię.

— Więc wszystko jest w porządku, tak? — zatrzymał ją siłą. Spojrzała na jego skupioną, zawziętą twarz i przeniknął ją chłód.

— Tak, wszystko jest w porządku — odurzona, powtórzyła śpiewnie, jakby to było czarodziejskie zaklęcie.

Szedł przy niej z pustką w głowie, machinalnie stawiając kroki. Po chwili jednak oprzytomniał. Cierpiał bardzo. W dzieciństwie zabił brata i został odtrącony jak Kain.

Birkin i Ursula siedzieli razem przy łódkach, pogrążeni w wesołej rozmowie. Birkin droczył się z Ursulą.

— Czujesz zapach tego bagna? — zapytał wciągając nosem powietrze. Był wrażliwy na zapachy i łatwo je rozpoznawał.

— Nawet dość przyjemny.

— O nie. Budzi lęk.

— Ależ dlaczego? — roześmiała się.

— Kłębi się i wzbiera rzeka ciemności, mnoży lilie, żmije i ignis fatuus, toczy swe fale wciąż naprzód i naprzód... Tego właśnie nigdy nie bierzemy pod uwagę. Że płynie naprzód.

— Co płynie?

— Druga rzeka. Czarna rzeka. Pamiętamy zawsze o srebrnej rzece życia, która płynie przed siebie, wiedzie świat do jasności, do nieba, wpływa do jasnego morza wieczności, do raju zatłoczonego aniołami. Ale naszą prawdziwą rzeczywistością jest ta druga rzeka.

— Która? Nie znam żadnej innej.

— A jednak to ona jest twoją rzeczywistością — ciemna rzeka rozpadu. Tak samo jak tamta, płynie w nas i ona, czarna rzeka zgnilizny. To z niej wywodzą się nasze kwiaty, nasza zrodzona z morskiej piany Afrodyta, wszystkie nasze fosforyzujące kwiaty zmysłowej doskonałości, cała nasza dzisiejsza rzeczywistość.

— Uważasz, że Afrodyta to w istocie śmierć?

— Uważam, że jest ona uosobieniem kwitnącej tajemnicy umierania. Kiedy przestaje płynąć potok twórczej syntezy, stajemy się częścią odwrotnego procesu, krwiobiegiem twórczego zniszczenia. Afrodyta rodzi się w pierwszym paroksyzmie powszechnego rozpadu, potem zjawiają się węże, łabędzie i lotosy, kwiaty bagienne, Gudrun i Gerald — zrodzeni w procesie twórczego zniszczenia.

— I ty, i ja...?

— Chyba też. W każdym razie częściowo. Czy in toto, nie wiem jeszcze.

— To znaczy, że jesteśmy kwiatami rozkładu —fleurs du mal? Wcale się tak nie czuję.

Milczał przez chwilę.

— I ja też nie, w gruncie rzeczy. Niektórzy ludzie to najprawdziwsze kwiaty zła — lilie. Ale są przecież i róże — ciepłe i płomienne. Znasz słowa Heraklita, że „sucha dusza jest najlepsza”. Bardzo dobrze rozumiem, co to znaczy. A ty?

— Nie jestem pewna — odrzekła Ursula — bo na czym polega różnica, jeśli wszyscy ludzie są kwiatami rozkładu... Jeśli są w ogóle kwiatami?...

— Nie ma różnicy i jest ogromna różnica. Rozkład wzmaga się, tak samo jak proces tworzenia, twórcza synteza. To proces postępujący i prowadzi do całkowitej nicości, do końca świata, jeśli to określenie bardziej ci odpowiada. Ale czy koniec świata nie jest równie dobry jak jego początek?

— Myślę, że raczej nie. — Ursula była trochę rozdrażniona.

— Ależ tak, w ostatecznym rachunku. Bo po nim nastąpi nowy cykl stworzenia, choć już nie dla nas. Skoro to jest koniec świata, my jesteśmy kwiatami śmierci, fleurs du mal, jeśli wolisz. A kwiaty zła nie są różami szczęścia.

— A ja właśnie czuję się różą. Różą szczęścia.

— Sztuczną? — spytał z ironią.

— Nie, żywą — odparła urażona.

— Skoro na nas świat się kończy, to nie może od nas się zaczynać.

— Owszem, może. Koniec to jednocześnie początek

— Nie. Początek następuje po końcu. Nie od nas świat się zacznie. Po nas. —Jesteś prawdziwym szatanem. Chcesz odjąć nam wszelką nadzieję. Chcesz nas pogrzebać.

— Nie. Chcę tylko, żeby każdy znał samego siebie.

— Nieprawda! — zawołała z gniewem. — Chcesz, żebyśmy znali tylko śmierć.

— Masz rację — rozległ się cichy głos Geralda.

Birkin wstał. Gerald i Gudrun podeszli bliżej. Cała czwórka w milczeniu wyciągnęła papierosy. Birkin podał każdemu po kolei ognia. Zapałka migotała w półmroku, siedzieli na brzegu i spokojnie zaciągali się dymem. Jezioro było zamglone, jak gdyby całe jego światło wchłonął czarny ląd. Opływało je powietrze dalekie i niedosiężne, w którym nierealnie pobrzmiewały dźwięki jakby banjo czy podobnej muzyki.

Kiedy świetliste złoto nad ich głowami pociemniało, księżyc rozjaśnił się, może z radości, że zyskał przewagę. Czarne drzewa z przeciwległego brzegu wchłonął wszechobecny już cień. I w ów cień ogarniający świat wtargnęły rozproszone światła. Z dala na jeziorze blado rozbłysły sznurki kolorów, zielone, czerwone i żółte, jak paciorki dogasającego ognia. Dobiegły ich tony nieco zadyszanej muzyki, kiedy statek, cały w iluminacji, pośród krótkich podmuchów melodii, skręcił w gęsty mrok, mącąc ciemności zarysami migotliwych świateł.

Wokół ożywiło się. Tu i ówdzie, tuż nad ledwie widoczną taflą wodną, przy dalekim brzegu jeziora, gdzie woda opalizowała mlecznie pod nasyconym jeszcze bielą niebem i gdzie nie dotarły jeszcze cienie, samotne, kruche płomyki latarń spływały i niewidocznych łodzi. Rozległ się plusk wioseł i jakaś łódka przemknęła z bladej toni w mrok pod lasem, gdzie piękne, szkarłatne kule jej latarń zapłonęły żywym ogniem. I znów w jeziorze tańczyły wokół łodzi przyćmione czerwone światła. Wszędzie pojawiły się owe bezgłośne, szkarłatne, żywe smugi ognia sunące tuż nad powierzchnią wody, chwytane przez ledwie widzialne, rzadkie refleksy.

Birkin przyniósł z większej łódki lampiony i cztery mgliste, białe postaci skupiły się ciaśniej, aby je zapalić razem. Ursula wzięła w rękę pierwszy i Birkin przeniósł płomień z różowego, prześwietlonego kielicha dłoni w głąb lampionu.

Lampion rozbłysnął i wszyscy cofnęli się, żeby popatrzeć na duży, błękitny, świetlisty księżyc, który zwisał z dłoni Ursuli i rzucał dziwny blask na jej twarz. Płomień zamrugał i Birkin pochylił się nad źródłem światła. Jego twarz, półprzytomna i demoniczna, majaczyła jak zjawa, a obok wyłaniała się z mroku niewyraźna, zamglona postać Ursuli.

— Teraz już dobrze — szepnął.

Podniosła lampion. Widać w nim było klucz bocianów lecących przez turkusowe niebo światła nad ciemną ziemią.

— Jakie piękne! — zawołała.

— Cudowne! — zawtórowała Gudrun. I ona chciała wznieść do góry kulę olśniewającego piękna.

— Zapal jeden dla mnie — powiedziała. Gerald stał przy niej niezdolny do żadnego wysiłku. Podała lampion Birkinowi. Serce jej biło niespokojnie w oczekiwaniu na moment zachwytu. Kwiaty na wysokich, prostych łodygach wyrastały mrocznie z ciemnych liści wznosząc kielichy w bladozłoty świt; wokół nich, w czystym, jasnym świetle krążyły motyle.

Gurdun wydała okrzyk podniecenia, jakby przeszyła ją rozkosz.

— Jakie piękne! Ach, jakie to piękne!

Bo też duszę jej przejął bezgraniczny zachwyt. Gerald pochylił się w jej stronę, bliżej strefy blasku, chcąc także się przyjrzeć. Stał teraz tuż obok, dotykając jej, razem z nią wpatrując się w świetlistą kulę. Gudrun przysunęła twarz do jego twarzy, na którą padał blask lampionu, i stali tak złączeni poświatą, bliscy sobie w tym kręgu światła.

Birkin odwrócił się i zapalił drugi lampion dla Ursuli. Tu z kolei widać było rdzawe dno morskie; czarne kraby i wijące się wodorosty poruszyły się pod przejrzystą taflą morskiej wody, która wyżej nasycała się płomienną czerwienią.

— Popatrz — powiedział — masz na górze niebo, a na dole wodę.

— Wszystko prócz ziemi — zaśmiała się patrząc na jego ruchliwe dłonie chroniące płomień.

— Umieram z ciekawości, co będzie w moim drugim lampionie! — zawołała Gudrun wibrującym, ostrym głosem, który zdawał się drażnić pozostałą trójkę.

Birkin zapalił lampion. Był w pięknej tonacji, intensywnie błękitnej z czerwonym dnem i z cicho unoszącą się nad nim wielką białą mątwą. Mątwa miała w samym źródle światła nieprzeniknioną twarz, chłodną i zawziętą.

— Co za koszmar! — krzyknęła Gudrun ze zgrozą w głosie. Gerald roześmiał się cicho.

— Przecież to straszne, naprawdę! — powtórzyła z odrazą. Znowu się zaśmiał.

— Zamień się z Ursulą na jej kraby. Gudrun milczała przez chwilę.

— Ursula, czujesz się na siłach wziąć to paskudztwo?

— Ma prześliczne barwy.

— Tak. Ale czy zniesiesz, żeby to huśtało się przy twojej łodzi? Bo może wolisz natychmiast to zniszczyć?

— O nie, mowy nie ma.

— I zgadzasz się zamienić ze mną? Naprawdę nie masz nic przeciw temu? Gudrun zrobiła krok naprzód wyciągając rękę z lampionem.

— Absolutnie nic. — Ursula podała jej kraby i wzięła mątwę.

Była jednak nieco dotknięta, że Gudrun i Gerald przyznawali sobie w taki sposób prawo pierwszeństwa.

— Chodźmy — rzekł Birkin. — Zawieszę je na łódkach. Oboje z Ursulą skierowali się do dużej łodzi.

— Chyba odwieziesz i mnie, Rupert — dobiegł ich głos Geralda.

— Nie popłyniesz z Gudrun kajakiem? Będzie ciekawiej.

Zapadła cisza. Sylwetki Birkina i Ursuli, z rozkołysanymi lampionami w dłoniach, majaczyły w półmroku na brzegu jeziora. Świat wydawał się złudą.

— Odpowiada ci to? — spytała Gudrun.

— Mnie odpowiada jak najbardziej. Ale czy ty masz ochotę wiosłować? Obciążę ci kajak.

— No to co? Ursula też go obciążała.

Z tonu jej głosu poznał, że chce go mieć w łódce tylko dla siebie i myśl, że oboje będą na jej łasce, sprawia jej przewrotną satysfakcję. Zgodził się z obcą mu, elektryzującą uległością.

Podała mu lampiony, a sama zajęła się umocnieniem prętu z tyłu kajaka. Stanął tuż przy niej. Lampiony, zwisające przy jego opiętych białą flanelą udach, podkreślały otaczające ich ciemności. Z cienia dobiegł ją przytłumiony głos:

— Pocałuj mnie, zanim popłyniemy. Zaskoczona przerwała pracę.

— Ależ dlaczego? — zawołała ze szczerym zdumieniem.

— Dlaczego? — powtórzył kpiąco.

Przez parę chwil badała go wzrokiem. Potem nachyliła się i zamknęła mu usta długim, zmysłowym pocałunkiem. Wyjęła mu z ręki lampiony, kiedy tak stał, obezwładniony palącą słodyczą, która przeniknęła jego ciało.

Spuścili kajak na wodę, Gudrun wsiadła, a Gerald odepchnął go od brzegu.

— Na pewno nie urazisz się w rękę? — spytała troskliwie. — Bo ja bym cudownie mogła to zrobić sama.

— Nic mi nie będzie. — Jego niski, stłumiony głos urzekał ją niewysłowioną pieszczotą.

Patrzyła na niego, kiedy sadowił się blisko, tuż za nią, z nogami wyciągniętymi w jej stronę, ze stopami dotykającymi jej stóp. Wiosłowała cicho, powoli, marząc, żeby z jego ust padły jakieś znaczące słowa. Ale Gerald milczał.

— Lubisz tak płynąć, prawda? — spytała łagodnie i serdecznie. Zaśmiał się krótko.

— Siedzimy za daleko od siebie — powiedział tym samym niskim, obcym głosem. Gudrun w jakiś magiczny sposób była świadoma, że w tej łódce właśnie, dzięki rozdzieleniu, równoważą się nawzajem. Poddawała się ruchom kajaka, ogarnięta dojmującą rozkoszą i zrozumieniem.

— Przecież jestem blisko — sprzeciwiła się zalotnie.

— Ale daleko, bardzo daleko.

Milczała radośnie. Wreszcie odezwała się wysokim, przejętym głosem:

— Ale przecież nie możemy na wodzie zamienić się miejscami — pieściła go słowami podniecająco i przewrotnie, mając go całkiem w swej mocy.

Na jeziorze z kilkunastu łódek lampiony różowe i lśniące księżycową poświatą zwisały nad wodą, która rozbłysła jak od pożaru. W dali statek brzęczał i brzdąkał, uderzał z lekkim pluskiem łopatkami kół wlokąc za sobą sznurki kolorowych świateł; od czasu do czasu ukazywał całą scenerię w niesamowitej iluminacji fajerwerków, które rozświetlały taflę jeziora i wydobywały z mroku wolno płynące w pewnej odległości łodzie. Potem znów zapadał miły półmrok, lampiony i nanizane na sznurki światełka łagodnie migotały, słychać było stłumione uderzenia wioseł i fale muzyki.

Gudrun wiosłowała prawie niepostrzeżenie. Gerald widział nie opodal intensywnie niebieskie i różowe kule lampionów Ursuli, kołyszące się miękko, jedna przy drugiej, w rytm ruchów Birkina, podczas gdy ich mieniące się ulotne odblaski biegły po wodzie tuż za łódką. Wiedział, że za ich kajakiem także mienią się delikatne refleksy pastelowych barw.

Gudrun przestała wiosłować i rozejrzała się. Woda, leciutko falując, unosiła kajak. Bielejące w mroku kolana Geralda prawie jej dotykały.

— Jak pięknie! — powiedziała cicho.

Patrzyła na niego, jak odchyla się w stronę, kruchych kryształków światła lampionu. Wiedziała, gdzie jest jego twarz, bo cień, w jaki była wtopiona, w pewnym miejscu gęstniał. Przeszył ją dreszcz pożądania. Tak był piękny, tak po męsku spokojny i zagadkowy. Zapach jego miękkiego, lecz silnego ciała, nieodparty powab jego obecności, budziły w niej dreszcz upojenia. Patrzyła na niego jak urzeczona. Na razie nie chciała go dotykać ani sycić się jędrnością jego pulsującego życiem ciała. Był nieosiągalny, choć przecież tak bliski. Chciała tylko jednego: patrzeć na jego kryształowy cień, czuć jego nieodzowną obecność.

— Tak — potwierdził półprzytomnie. — Bardzo pięknie!

Nasłuchiwał pobliskich odgłosów, szmeru kropli kapiących z wioseł, lekkiego brzęczenia ocierających się o siebie lampionów, szelestu szerokiej spódnicy Gudrun, obcych hałasów, jakie dobiegały z lądu. Po raz pierwszy w życiu zatracił się, stopił, utożsamił z otaczającym go światem rzeczy. Dotychczas zawsze całą uwagę, skupioną i napiętą, zwracał ku sobie. Teraz odprężył się, niepostrzeżenie stał się nieodłączną cząstką całości. Jakby śnił czysty, cudowny sen, pierwszy wielki sen w życiu. Zawsze był taki zawzięty, taki ostrożny. I oto wreszcie znalazł sen i spokój, i najdoskonalsze odprężenie.

— Czy mam płynąć do przystani? — spytała rozmarzona Gudrun budząc się z zadumy.

— Gdziekolwiek — szepnął. — Nie wiosłuj. Popłyniemy z prądem.

— Żebyśmy na coś nie wpadli — powiedziała bardzo cicho, matowym, intymnym głosem.

— Ostrzegą nas światła.

Unosili się prawie w miejscu. Oboje milczeli. Gerald chciał ciszy, nie skażonej żadnym dźwiękiem. Ale Gudrun, trochę mimo wszystko nieswoja, czekała na kojące słowa.

— Nie jesteś tam nikomu potrzebny? — próbowała nawiązać rozmowę.

— Potrzebny? Po co?

— Może cię ktoś szuka...

— Dlaczego mieliby mnie szukać? Ale może ty chcesz wrócić? — spytał zmienionym głosem.

— Nie, nie chcę. Naprawdę.

— Pewna jesteś, że ci tu dobrze?

— Całkiem pewna.

Znów zamilkli. Statek gwizdał i turkotał, słychać było czyjś śpiew. Nagle, jakby eksplodowała noc, rozległ się krzyk, odgłosy zamieszania, szum wzburzonej przez cofający się statek wody i przykry wizg wirujących wstecz łopatek

Gerald usiadł prosto. Gudrun spojrzała na niego z niepokojem.

— Ktoś wpadł do wody! — zawołał z gniewem i rozpaczą. Usiłował przebić wzrokiem ciemności. — Możesz tam podpłynąć?

— Do statku? — Gudrun wpadła w popłoch. — Tak.

— Powiedz, czy nie zbaczam z kursu.

— Teraz jest dobrze. Kajak pomknął naprzód.

Zgiełk na statku nie ustawał, woda niosła przeraźliwe krzyki przeszywające mrok.

— Oczywiście musiało się to zdarzyć — stwierdziła Gudrun z goryczą. Nawet nie usłyszał. Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy płynie we właściwym kierunku. Ciemne wody jeziora usiane były mieniącymi się bańkami rozkołysanych świateł, statek wydawał się bliski. Nacierał migotliwym blaskiem na zapadający zmierzch. Gudrun wiosłowała z całych sił. Ale teraz, kiedy trzeba się było pospieszyć, stała się jakaś nieporadna, nie potrafiła zwiększyć tempa. Zerknęła na twarz Geralda. Patrzył nieporuszenie w mrok, napięty, czujny, samotny wśród ludzi, sprężony do udzielenia pomocy. Serce jej się ścisnęło, czuła się tak, jakby za chwilę miała umrzeć. „Przecież nikt nie utonie — tłumaczyła samej sobie. — Z całą pewnością. Byłoby to nazbyt niesamowite”. Ale jego zacięta, pozbawiona wyrazu twarz przejęła ją chłodem. Jakby strach i nieszczęście były jego żywiołem i teraz znów stał się sobą.

Rozległ się dziecinny głosik, cienki, przejmujący krzyk małej dziewczynki:

— Di... Di... Och, Di... Och, Di!... Gudrun krew zastygła w żyłach.

— To Diana — mruknął Gerald — znowu wyprawia swoje małpie figle.

Rzucił okiem na wiosła, łódka płynęła dla niego nie dość szybko. Zdenerwowanie niemal sparaliżowało Gudrun, choć wytężała siły. Docierały do nich głośne nawoływania.

— Gdzie, gdzie? Tu. Właśnie tu. Popatrzcie! Z której strony? Nie. Nieee... Do licha, tutaj. Tutaj... — Ze wszystkich stron mknęły łódki, widać było kolorowe lampiony muskające powierzchnię jeziora, za nimi falowały ich odbicia. Statek gwizdał z niewiadomego powodu. Kajak Gudrun płynął prędko, lampiony podrygiwały za plecami

Geralda. Nagle znowu rozległ się krzyk dziecka, żałosny i naglący.

— Di... Och... Di, Diano, Di... Di...!

W mrocznym powietrzu wieczoru brzmiało to rozdzierająco.

— Szkoda, że jeszcze nie poszłaś spać, Winnie — mruknął pod nosem Gerald. Nachylił się, żeby rozwiązać sznurowadła, zdjął buty. Rzucił kapelusz na dno kajaka.

— Nie możesz skoczyć do wody ze zranioną ręką! — zawołała Gudrun bez tchu, niskim z przerażenia głosem.

— Co? Nic mi nie będzie.

Z trudem zdjął kurtkę i położył przy nogach. Sprawdził, czy ma zapięty pasek. Zbliżali się do statku, który górował nad nimi, ogromny, z miriadami lamp rzucających prześliczne strzały i kręte, ruchome języki brzydkiego, czerwonego, zielonego i żółtego światła na połyskliwą taflę wody, ciemną pod cieniem.

— Och, wyciągnijcie ją! Och, Di, kochana! Wyciągnijcie ją. Tatusiu, och, tatusiu! — lamentowała rozpaczliwie dziewczynka. Ktoś pływał już w jeziorze z kołem ratunkowym. Dwie łódki podpłynęły blisko i krążyły dokoła z nieprzydatnymi na nic lampionami.

— Hej, tutaj... Rockley... Tutaj!

— Pan Gerald! — dobiegł ich przestraszony głos kapitana. — Proszę pana, panna Diana wpadła do wody.

— Skoczył ktoś za nią? — szorstko spytał Gerald.

— Młody doktor Brindell, proszę pana. Wszyscy szukają, ale na razie nic nie wiadomo.

Zapadła złowroga cisza.

— W którym miejscu poszła pod wodę?

— Chyba tu, gdzie teraz stoi tamta łódka — odpowiedział kapitan z wahaniem — ta z czerwonym i

zielonym światłem;

— Wiosłuj w tym kierunku, Gudrun — nakazał spokojnie.

— Ratuj ją, Gerald, ratuj! — płakało żałośnie dziecko.

— Przechyl się w tę stronę — powiedział stanąwszy na dnie kruchego kajaka — nie przewróci się.

Bez chwili wahania, ciężki i miękki, zniknął pod powierzchnią wody. Kajak zachybotał gwałtownie, po wzburzonej wodzie przemknęły drżące światła. Gudrun uzmysłowiła sobie, że to odbija się poświata księżyca i że Gerald ją opuścił. Ponurą świadomość nieuchronnej zguby zabiła w niej wszelkie uczucia i myśli. Wiedziała, że odszedł ze świata, że jest to ten sam świat, ale jego w nim nie ma, jego nie ma. Noc wydawała się szeroka i pusta. Tu i ówdzie chwiały się lampiony, na statku i w łodziach półgłosem rozmawiali ludzie. Słyszała, jak Winifred zawodzi: — Och, znajdź ją, Gerald, znajdź ją — i jak ktoś próbuje dziewczynkę pocieszyć. Wiosłowała krążąc dokoła bez celu. Ponura, ciężka, zimna, bezgraniczna tafla wody przerażała ją nieopisanie. Czy on nigdy nie wróci? Czuła, że sama też musi skoczyć w toń jeziora, musi przeżyć ten koszmar.

Wzdrygnęła się słysząc czyjeś słowa: — On tam jest. — Widziała, że płynie pod powierzchnią jak szczur wodny, i ”automatycznie skierowała w tę stronę kajak.

Był bliżej innej, większej łódki. Ale nie przestała wiosłować. Musi być bardzo blisko. Zobaczyła go... Wyglądał jak foka, kiedy chwycił burtę łodzi. Jasne włosy oblepiały mu głowę, twarz lśniła od wody. Słyszała jego przyspieszony oddech.

Wspiął się do łódki. Umierała, chciała umrzeć, porażona pięknem jego posłusznych lędźwi, białych lędźwi połyskujących matowo, kiedy przerzucał nogi przez burtę. Piękno tych matowych, świetlistych bioder, kiedy wdrapywał się do łodzi ze zgiętymi, gładkimi plecami — to było dla niej za wiele, nie umiała temu widokowi sprostać. Wiedziała, że

nie umie temu sprostać i że czeka ją zguba. Nie zdoła uchronić się od losu.

Widziała w nim nie mężczyznę, ale samo życie, jego wielką fazę. Patrzyła, jak otrząsa twarz z kropel wody, i spojrzała na obandażowaną rękę. Wiedziała, że to wszystko nie ma sensu, że nigdy nie posunie się dalej, że nigdy nie zbliży się bardziej do życia.

— Zgaście światła, będzie lepiej widać. — Zaskoczył ją jego głos, mechaniczny, obcy, należący do świata mężczyzn. Trudno jej było uwierzyć, że istnieje świat mężczyzn. Przechyliła się do tyłu i nie bez wysiłku zdmuchnęła lampiony. Wszędzie już pogasły, świeciły tylko barwne punkciki na burtach statku. Wszystko wokół opłynęła szaroniebieska wczesna noc, jedynie w górze wisiał księżyc i gdzieniegdzie gęstniały cienie łodzi.

Znów rozległ się plusk i Gerald zniknął pod wodą. Gudrun siedziała ze ściśniętym sercem, przerażona wielką, równą taflą wody, ciężką, śmiercionośną, samotna nad płaskim, rozległym polem wodnym. Nie była to dobra samotność, ale posępne, zimne odosobnienie napiętego oczekiwania. W napięciu czekała na powierzchni tej zdradliwej rzeczywistości, która i ją za chwilę wchłonie.

Domyśliła się z podniesionych głosów, że znowu wspiął się na łódkę. Chciała być przy nim, blisko. W męce próbowała nawiązać z nim kontakt przez niewidzialną przestrzeń jeziora, lecz serce jej otoczone było grubą warstwą izolacji, przez którą nic nie mogło przeniknąć.

— Niech statek stąd odpłynie. Nie ma sensu trzymać go tutaj, przynieście liny, trzeba przeszukać dno. — Rozległ się stanowczy, energiczny głos ze świata mężczyzn.

Statek powoli zaczął się cofać.

— Gerald, Gerald! — zabrzmiał dziki krzyk Winifred. Nie odpowiedział. Statek z wolna zatoczył żałosne, nieporadne koło i popłynął w mrok, w stronę lądu, ze stłumionym

pluskiem wody, odgarnianej przez łopatki kół. Kajak Gudrun zachybotał i machinalnie zanurzyła wiosło, żeby odzyskać równowagę.

— Gudrun? — dobiegł do niej głos Ursuli.,

— Ursula!

Łódki obu sióstr zrównały się ze sobą.

— Gdzie Gerald? — spytała Gudrun.

— Znowu nurkuje — powiedziała z żalem Ursula. — Nie powinien przecież z tą skaleczoną ręką!

— Teraz już zabiorę go do domu — dodał Birkin.

Fala od statku znów rozchybotała łódki. Gudrun i Ursula wypatrywały Geralda.

— Tam jest! — zawołała Ursula, która miała lepszy wzrok. Nie był długo pod wodą. Birkin skierował łódź w jego stronę, za nim wiosłowała w kajaku Gudrun. Podpłynął wolno i uchwycił brzeg łodzi zranioną ręką. Ześliznęła się i znów się zanurzył.

— Dlaczego mu nie pomagasz? — krzyknęła Ursula.

Wypłynął na powierzchnię i Birkin nachylił się, żeby go wciągnąć do środka. Gudrun patrzyła, jak Gerald wynurza się z wody, ale tym razem gramolił się mozolnie, po omacku, jak ziemnowodne stworzenie. Znów blask księżyca padał na jego białą postać w mokrym ubraniu, zgarbione plecy i zaokrąglone biodra. Lecz teraz było to ciało człowieka pokonanego, który, wspiąwszy się niezdarnie, ciężko opadł na ławkę. Oddychał chrapliwie, jak cierpiące zwierzę. Siedział w łódce osłabły i otępiały, bardziej podobny do ślepej, bezmyślnej foki niż do ludzkiej istoty. Gudrun wiosłowała machinalnie, drżąc na całym ciele.

Birkin bez słowa płynął w stronę przystani.

— Dokąd płyniesz? — spytał nagle Gerald, jakby dopiero teraz się ocknął.

— Do domu.

— Nie! — zawołał Gerald rozkazująco. — Nie pójdę do domu, póki oni są w jeziorze. Zawróć, muszę ich szukać. — Kobiety przestraszył stanowczy, wściekły ton jego głosu, groźnego i nie dopuszczającego sprzeciwu.

— Nie — oświadczył Birkin. W jego głosie zabrzmiała dziwna, zdawkowa stanowczość. — Nie możesz ich szukać. — Gerald milczał. Wyglądał, jakby w bitwie o to, czyja wola zwycięży, gotów był zabić przeciwnika. Ale Birkin, nieporuszony, wiosłował równomiernie, z zaciekłym uporem.

— Po co się wtrącasz? — spytał z nienawiścią Gerald. Birkin nie odpowiedział. Zbliżali się do brzegu. Gerald siedział bez słowa, niemy jak zwierzę, dyszał, zęby mu szczękały, a jego głowa między skulonymi ramionami przypominała głowę foki.

Dobili do przystani. Gerald, jakby nagi w mokrym ubraniu, poszedł schodkami w górę. Stał tam w ciemnościach jego ojciec. — Ojcze!

— Tak, chłopcze? Idź do domu i przebierz się.

— Nie uratujemy ich, ojcze...

— Jest jeszcze nadzieja...

— Niestety, chyba już nie ma. Nie wiadomo, gdzie są. Nie można ich znaleźć. Jest tam piekielnie zimny prąd.

— Spuścimy wodę — powiedział ojciec. — Ty idź do domu i zajmij się sobą. Rupert, przypilnuj go — dodał bezbarwnie.

— Ojcze, proszę, wybacz mi. To moja wina, wiem o tym. Ale nie ma już rady. Robiłem, co mogłem... Mógłbym jeszcze raz skoczyć do wody, choć nie na długo. I zresztą po co?...

Wszedł boso na deski pomostu i nastąpił na coś ostrego.

— Jesteś, oczywiście, bez butów — rzekł Birkin.

— Są tutaj! — zawołała z dołu Gudrun przywiązując kajak.

Gerald zaczekał, aż Gudrun poda mu buty. Zaczął je wciągać na nogi.

— Umierasz — powiedział — i ze śmiercią wszystko się kończy.

Po co więc wracać do życia? Tam pod wodą jest miejsce dla tysięcy.

— Dwoje to zupełnie dosyć — szepnęła.

Wciągnął drugi but. Dygotał cały; kiedy mówił, drgała mu szczęka.

— Tak, to prawda. Ciekawe jednak, jak dużo jest tam miejsca, cały wszechświat pod powierzchnią wody, i piekielnie zimno, jesteś bezradny, jakby odcięto ci głowę. — Wstrząsały nim gwałtowne dreszcze. — W naszej rodzinie zawsze tak jest: jeśli stanie się coś złego, nigdy już nie można tego naprawić. Przez całe życie to obserwuję... Jeśli coś się zepsuje, nie można już tego naprawić.

Szli szosą w stronę domu.

— I wiesz, kiedy znajdziesz się tam na dole, robi się tak zimno i tak nieskończenie, zupełnie inaczej niż tu na górze... taki bezmiar wokół... Aż zdziwienie ogarnia, dlaczego tak dużo ludzi żyje, dlaczego tu jesteśmy. Odchodzisz? Zobaczę cię wkrótce, prawda? Dobranoc i dziękuję. Bardzo dziękuję.

Dziewczęta czekały jeszcze trochę, chciały wiedzieć, czy jest jakaś nadzieja. Księżyc świecił na niebie impertynenckim niemal blaskiem, czarne łódeczki skupiły się na jeziorze jedna przy drugiej, słychać było głosy i przytłumione okrzyki. Wszystko jednak okazało się daremne. Gudrun poszła do domu, kiedy wrócił Birkin.

Zlecono mu otworzyć śluzę, przez którą spuszczano wodę z jeziora mającego sztuczne ujście przy szosie, dzięki

czemu mogło służyć jako zbiornik w razie potrzeby dostarczający wody dalej położonym kopalniom.

— Chodź ze mną — poprosił Ursulę. — Załatwię to i odprowadzę cię do domu.

Wstąpili jeszcze do domku strażnika. Birkin wziął klucz od śluzy. Zeszli z szosy przez małą furtkę nad wielki, kamienny basen, w którym zbierał się nadmiar wody i skąd kamienne stopnie schodziły w głąb jeziora. U szczytu schodów były wrota śluzy.

Nic nie mąciło srebrnej szarości nocy, gdzieniegdzie tylko odzywały się niespokojne głosy. Łodzie kołysały się z pluskiem. Ursula na nic już nie reagowała, wszystko stało się dla niej nieważne i nierzeczywiste.

Birkin umocował żelazny uchwyt i szarpnął w dół. Koła zębate zaczęły się z wolna podnosić. Kręcił uchwytem jak niewolnik, jego biała postać coraz wyraźniej rysowała się w mroku. Ursula odwróciła się. Nie do zniesienia był dla niej widok Ruperta, który ciężko i mozolnie obracał uchwyt, nachylając się i prostując automatycznie jak niewolnik w kieracie.

Wstrząśnięta usłyszała głośny plusk wody z ciemnej, zarośniętej drzewami dolinki za drogą, plusk przeszedł gwałtownie w chrapliwy ryk, a potem w przeciągły, grzmiący szum ciężko spadającej ogromnej masy wodnej. Szum, miarowy i jednostajny, wypełnił noc, wszystko w nim utonęło i zatraciło się. Ursuli zdawało się, że walczy o życie. Zasłoniła dłońmi uszy i utkwiła wzrok w dalekim, szyderczym księżycu.

— Możemy już iść? — zawołała do Birkina, który przyglądał się chcąc sprawdzić, czy woda spłynie w dół. Widok ten fascynował go, ale spojrzał na Ursulę i skinął głową.

Czarne łódki podpłynęły bliżej, ludzie tłoczyli się przy ogrodzeniu na szosie, ciekawi tego, co da się zobaczyć.

Birkin i Ursula odnieśli klucz do domku strażnika i poszli w stronę jeziora. Ursula przyśpieszyła kroku. Nie mogła znieść ogłuszającego dudnienia przewalającej się wody.

— Myślisz, że już nie żyją? — spytała głośno, żeby ją usłyszał.

— Pewien jestem. — To straszne!

Nie słuchał jej. Szli pod górę, coraz dalej od szumu wody.

— Martwisz się bardzo?

— Nie martwię się o umarłych — powiedział. — Najgorsze jest, kiedy lgną do życia, nie chcą zginąć.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Tak. Sam fakt śmierci nie ma chyba wielkiego znaczenia.

— Właśnie. Jakie znaczenie ma to, czy Diana Crich żyje, czy nie?

— Jakieś chyba ma... — zaprotestowała zgorszona.

— Dlaczego? Lepiej, żeby umarła, będzie o wiele bardziej rzeczywista. Po śmierci będzie pozytywną. Za życia była kłębkiem nerwów, niczym.

— Mówisz okropne rzeczy — szepnęła Ursula.

— Wcale nie. W gruncie rzeczy wolę, żeby Diana Crich nie żyła. Jej życie było pomyłką. A ten młody nieborak po prostu załatwił się z tym szybko. Nie ma nic lepszego od śmierci.

— Ale ty przecież nie chcesz umrzeć.

Milczał przez pewien czas. Kiedy wreszcie odezwał się, głos miał tak zmieniony, że poczuła lęk.

— Chciałbym już się uporać z tym problemem. Oswoić proces umierania.

— A nie oswoiłeś? — spytała nerwowo.

Szli obok siebie wśród drzew. Po dłuższej chwili powiedział wolno, jakby z obawą:

— Istnieje życie, które należy do śmierci, i istnieje życie, które nie jest śmiercią. Takie życie jak nasze, które zwraca się ku śmierci, nuży nas. Ale jeden Bóg wie, czy to już jest koniec. Marzę o miłości, która jest jak sen... Jakby człowiek na nowo się urodził, bezbronny jak niemowlę, które dopiero przyszło na świat.

Ursula słuchała, a jednocześnie nie chciała tego słyszeć. Chwytała sens jego słów i szybko wycofywała się. Słuchała, ale nie chciała dać się w to wciągnąć. Wzbraniała się przed kapitulacją, przed rezygnacją z własnej tożsamości.

— Dlaczego miłość ma być jak sen? — spytała ze smutkiem.

— Nie wiem. Bo jest jak śmierć — naprawdę chcę umrzeć — a przecież jest czymś więcej niż samo życie. Człowiek jest jej wydany jak nagie dziecko wyjęte z łona matki, nie ma nic na swoją obronę, nawet własnego ciała, opływa go nowe powietrze, jakim nigdy nikt nie oddychał.

Starała się pojąć, co mówi. Wiedziała równie dobrze jak on, że same słowa nie przekazują sensu myśli, są tylko jeszcze jednym gestem w rozmowie na migi. Ale jego gesty burzyły w niej krew, cofała się przed nimi, chociaż pożądanie pchało ją naprzód.

— Mówiłeś przecież — wtrąciła z powagą — że chcesz czegoś, co nie jest miłością, co jest ponad nią?

Stropił się. Słowa zawsze są mylące, ale nie można się bez nich obejść. Gdziekolwiek by człowiek szedł, jeśli idzie naprzód, musi przebić sobie drogę. Żeby wiedzieć, wyrazić to, co się wie, trzeba przebić się przez mury więzienia, jak podczas porodu dziecka usiłuje się przebić przez ścianki macicy. Nie ma odnowy bez przebicia się przez stare ciało, świadomie, z premedytacją, w walce o wydostanie się.

— Nie chcę miłości. Nie chcę o tobie nic wiedzieć. Chcę, żebyśmy oboje wyzwolili się od samych siebie, przestali być sobą i odnaleźli się już całkiem inni. Człowiek nie powinien mówić, kiedy jest zmęczony i nieszczęśliwy. Hamletyzuje i wydaje się, że kłamie Ufaj mi tylko, kiedy jestem zarozumiały i nonszalancki. Nienawidzę siebie poważnego.

— Dlaczego?

Po namyśle odpowiedział niechętnie:

— Nie wiem.

Szli dalej w milczeniu, oboje rozdrażnieni. Rupert był speszony i zbity z tropu.

— Czy to nie dziwne — położyła mu znienacka czułym gestem dłoń na ramieniu — że zawsze w ten sposób z sobą rozmawiamy? Może to oznacza, że się kochamy?

— Och, tak. Za bardzo. Roześmiała się niemal wesoło.

— Musisz robić wszystko po swojemu, prawda? Nikomu nie wierzysz na słowo?

Wpadł nagle w inny nastrój. Z cichym śmiechem odwrócił się i wziął ją w ramiona na środku drogi.

— Tak — powiedział miękko.

Całował jej twarz i czoło powoli, delikatnie, z radosną czułością, na którą zaskoczona nie umiała odpowiedzieć. Obsypywał ją słodkimi, ślepymi pocałunkami. Ursula uchylała się od nich, jakby obsiadły ją dziwaczne ćmy, miękkie i ciche, wylatujące z mroku jej duszy. Poczuła się nieswojo. Odsunęła się.

— Ktoś idzie...

Spojrzeli w głąb ciemnej drogi i znów ruszyli w kierunku Beldover. Nagle, żeby pokazać mu, że nie jest pruderyjna, zatrzymała się, objęła go mocnym uściskiem i zaczęła pokrywać jego twarz dzikimi, zmysłowymi pocałunkami. Choć chciał być inny, zawrzała w nim jak dawniej krew.

— Nie tak... Nie tak... —jęczał. Pierwotny nastrój cudownej słodyczy i sennego urzeczenia rozwiał się pod naporem namiętności, która wezbrała w nim, kiedy Ursula do niego przywarła. Płonął już gwałtownym płomieniem żądzy. Ale w samym sercu płomienia czaiła się udręka, uparte pragnienie czegoś innego. Potem i to minęło, nie czuł nic, prócz palącego pożądania, nieuchronnego jak śmierć, nieodpartego.

Zaspokojony i rozbity, nasycony i wstrząśnięty, odszedł od niej i pobiegł przez ciemności do domu z zamętem w głowie, znowu trawiony dawnym ogniem spalającej namiętności. Daleko, bardzo daleko rozlegał się żałosny lament Ale czy to miało znaczenie? Czy cokolwiek miało znaczenie prócz najważniejszego, tryumfalnego przeżycia fizycznej żądzy, która jeszcze raz wybuchnęła płomieniem, jakby znów ktoś go zaczarował. „Byłem już żywym trupem, workiem pustych słów” — pomyślał zwycięsko szydząc ze swego drugiego ja. Lecz drugie ja, pomniejszone, czaiło się opodal.

Kiedy wrócił, mężczyźni przeszukiwali jeszcze dno jeziora. Stojąc na brzegu słyszał głos Geralda. Woda nadal huczała w ciemności, świecił księżyc, dalekie wzgórza spowiła mgła. Poziom jeziora opadał. W nocnym powietrzu unosił się cierpki zapach mulistego dna.

Wysoko w Shortlands wszystkie okna były oświetlone, jakby nikt jeszcze nie poszedł spać. Na pomoście przystani stał stary doktor, ojciec młodzieńca, którego ciała szukano. Stał bardzo cicho i czekał. Birkin przystanął obok, Gerald podpłynął w łódce.

—Jeszcze tu jesteś, Rupert? Nie możemy ich znaleźć. Zapadliny w dnie, rozumiesz, są bardzo strome. Woda stoi między dwoma urwistymi zboczami z mnóstwem odnóg i jeden Bóg wie, w którą stronę zniesie coś prąd. Gdyby dno było płaskie... Ale tu w ogóle nie wiadomo, jak dragować.

— Naprawdę musisz być przy tym? Poszedłbyś spać.

— Spać! Dobry Boże, myślisz, że mógłbym zasnąć? Pójdę stąd dopiero, jak ich znajdziemy.

— Przecież i bez ciebie ich znajdą. Dlaczego się upierasz?

Gerald podniósł wzrok na Birkina. Pogładził go serdecznie po ramieniu i powiedział:

— Nie przejmuj się mną, Rupert. Dbaj lepiej o swoje zdrowie. Jak ty się czujesz?

— Bardzo dobrze. Ale ty marnujesz życie. Niszczysz to, co w tobie najlepszego.

Gerald milczał przez chwilę.

— Marnuję życie? A co innego można z nim zrobić?

— Idź już stąd, dobrze? Zmuszasz się do udziału w koszmarze, zawieszasz sobie na szyi kamień młyński okropnych wspomnień. Mówię ci, idź sobie.

— Kamień młyński okropnych wspomnień! — powtórzył Gerald. Znów z miłością pogładził Birkina po ramieniu. — Popatrz, Rupert, jak ty każdą myśl potrafisz obrazowo wyrazić!

Birkin zasępił się. Był podrażniony i męczyła go umiejętność obrazowego wyrażania każdej myśli.

— Dasz już temu spokój? Poszlibyśmy lepiej do mnie... — nalegał, jakby miał do czynienia z pijanym.

— Nie — Gerald mówił pieszczotliwie, objąwszy Ruperta ramieniem. — Dziękuję ci z całego serca, chętnie wpadnę do ciebie jutro, jeśli można. Rozumiesz, prawda? Chcę tu być do samego końca. Ale jutro przyjdę, na pewno. Wolę przecież spędzać czas na rozmowie z tobą niż w jakikolwiek inny sposób, daję słowo. Możesz mi wierzyć, Rupert. Bardzo dużo dla mnie znaczysz, więcej, niż myślisz.

— Pod jakim względem znaczę dla, ciebie więcej, niż myślę? — spytał Birkin z irytacją. Zbyt wyraźnie czuł rękę Geralda na swoim ramieniu. Nie zamierzał

sprzeczać się z nim. Chciał tylko uratować go od brzydoty cierpienia.

— Powiem ci innym razem — rzekł przymilnie Gerald.

— Chodź teraz ze mną, proszę cię.

Zapadło milczenie gęste i napięte. Birkin dziwił się, że tak mocno bije mu serce. Czuł silny, przyjazny uścisk palców Geralda na ramieniu.

— Nie, mój drogi, zostanę tu do końca. Dziękuję, wiem, co masz na myśli. Przecież damy sobie jakoś obaj radę.

— Ja chyba tak. Ale ty na pewno nie powinieneś się tu pętać — rzucił jeszcze Birkin na odchodnym.

Zwłoki zostały wydobyte dopiero wczesnym świtem. Ramiona Diany obejmowały ciasno szyję młodzieńca.

— Zabiła go — powiedział Gerald.

Księżyc przetoczył się po nieboskłonie i wreszcie zaszedł. Jezioro opadło do jednej czwartej swego poziomu obnażając wstrętne ławice gliny cuchnące surową, zgniłą wilgocią. Na wschodzie, za wzgórzem, budził się blady świt. Od śluzy dochodził jeszcze huk przelewającej się wody.

Już ptaki świergotem witały wczesny ranek i wzgórza po drugiej stronie opustoszałego jeziora jaśniały w świeżych mgiełkach, kiedy do Shortlands ruszyła niewielka procesja. Kilku mężczyzn dźwigało na noszach zwłoki, Gerald szedł obok, za nim w milczeniu dwaj siwobrodzi ojcowie. W domu czekała rodzina. Ktoś musi iść da pokoju matki i ją zawiadomić. Doktor ukradkiem walczył o przywrócenie życia synowi, aż do ostatecznego wyczerpania.

W całej, nawet najdalszej okolicy, w niedzielę rano panowała posępna, napięta cisza. Górnicy odczuli to tak, jakby katastrofa spadła bezpośrednio na nich, byli może

nawet bardziej przejęci i przerażeni, niż gdyby zginął ktoś spośród nich. Taka tragedia w Shortlands! W najznakomitszej rodzinie całego okręgu! Jedna z młodych panienek uparła się, żeby tańczyć na dachu kabiny statku, no i kapryśna młoda dama utonęła wśród zabawy. Młody doktor też się utopił. W niedzielę rano górnicy gromadzili się, żeby rozmawiać o nieszczęściu. W czasie niedzielnego obiadu wszyscy odczuwali czyjąś niewidzialną obecność. Jakby w pobliżu krążył anioł śmierci, działo się coś nadprzyrodzonego. Mężczyźni mieli przejęte, zdumione twarze, kobiety były poważne, niektóre płakały. Dzieci początkowo cieszył nastrój podniecenia. Atmosfera była niezwykle intensywna, niemal magiczna. Czy wszystkich to bawiło? Czy wszystkich bawił dreszcz grozy?

Gudrun chodziły po głowie szalone pomysły, żeby pobiec z pociechą do Geralda. Cały czas układała, co mu powie, jak mądrze uspokoi go, doda mu otuchy. Wstrząśnięta i przestraszona odsuwała to od siebie, rozważając, jak ma się wobec niego zachować? Jak zagrać swoją rolę? To właśnie przejmowało ją dreszczem: jak ma zagrać swoją rolę.

Ursula była głęboko i namiętnie zakochana w Birkinie i niezdolna do niczego więcej. Po prostu nie docierały do niej rozmowy o wypadku, ale ze swą nieobecną miną sprawiała wrażenie zmartwionej. Szukała samotności i marzyła, żeby go znowu zobaczyć. Chciała, by przyszedł do niej do domu — inaczej być nie może, musi tu się pojawić. Czekała na niego. Przez cały dzień nie wychodziła nasłuchując jego pukania do drzwi. Co chwila machinalnie wyglądała przez okno. Stamtąd powinien nadejść.

ROZDZIAŁ XV

NIEDZIELNY WIECZÓR

W miarę jak dzień upływał, Ursula czuła, że odchodzi od niej życie, a pozostaje pustka, w której gromadzi się przygniatająca rozpacz. Jej namiętność zamierała i nie było już nic. Siedziała bezwolna, w stanie absolutnej nicości, trudniejszej do zniesienia niż śmierć.

„Jeśli coś się nie zdarzy — mówiła sobie z jasną świadomością nieuchronności cierpienia — umrę. Znalazłam się na końcu mojej linii życia”.

Siedziała więc starta na miazgę, unicestwiona, w ciemności, która graniczyła ze śmiercią. Myślała o tym, jak przez całe życie zbliża się coraz bardziej i bardziej do tej krawędzi, za którą nic już nie ma, z której można tylko, jak Safona, skoczyć w nieznane. Przekonanie, że niebawem umrze, działało na nią jak narkotyk. Podświadomie czuła, że nadchodzi śmierć. Przez całe życie wędrowała szukając spełnienia i oto znalazła się u kresu wędrówki. Poznała wszystko, co było do poznania, doświadczyła wszystkiego, czego należało doświadczyć, osiągnęła gorzką dojrzałość i teraz pozostawało jej tylko spaść z drzewa życia prosto w śmierć. Człowiek musi w pełni zrealizować swoją osobowość, musi do końca doprowadzić przygodę. A potem uczynić następny krok — przez granicę w śmierć. O to więc chodzi! Wiedza o tym dawała trochę spokoju.

Człowiek, który spełnił to, co zamierzył, powinien być szczęśliwy, że wkrótce spocznie w ziemi, tak jak ku ziemi ciąży przejrzały owoc. Śmierć jest wielkim spełnieniem, doświadczeniem wieńczącym wszystko. Jest dalszym etapem ewolucji. Wiemy to jeszcze za życia. Po co więc

myśleć, co będzie potem? Po co patrzeć dalej, niż sięga wzrok? Wystarczy, że śmierć jest największym i ostatecznym doświadczeniem. Dlaczego mamy pytać, co nastąpi po owym doświadczeniu, skoro jeszcze go nie zaznaliśmy? Umrzyjmy więc, jako że tym wielkim doświadczeniem, następującym po wszystkich poprzednich, jest śmierć, najważniejsza próba, jaka nas oczekuje. Jeżeli wahamy się, zwlekamy, to i tak czekamy tylko u wrót w uchybiającym godności niepokoju. Przed nami, tak jak przed Safoną, rozciąga się przestrzeń bez granic Tędy prowadzi droga. Czy nie stać nas na odwagę kontynuowania podróży, czy musimy krzyczeć „boję się”? Pójdziemy przed siebie, ku śmierci, cokolwiek śmierć oznacza. Jeśli wiadomo, dokąd prowadzi następny krok, dlaczego mamy się bać przedostatniego? Dlaczego o ten przedostatni krok pytamy? Następnego jesteśmy pewni. Jest to krok w śmierć.

„Umrę, zaraz umrę” — mówiła do siebie Ursula. Widziała przyszłość jak w transie, jasno, spokojnie, z nadludzką pewnością. Ale gdzieś poza nią, w półmroku, czaił się gorzki płacz i beznadziejny smutek. Nie trzeba na to zważać. Trzeba iść tam, dokąd idą odważni, nie wolno zwlekać ze strachu. Ani zwlekać, ani słuchać tchórzliwych głosów. Jeśli najgłębiej pragniemy iść w nieznane, to czy mamy wyrzec się prawdy głębokiej dla prawdy płytkiej?

„Niech więc to się skończy”. Powzięła decyzję. Nie, nie postanowiła się zabić. Nigdy by nie popełniła samobójstwa, byłby to postępek odrażający i brutalny. Problem polegał na poznaniu następnego kroku. A następny krok prowadził w obszar śmierci. Czy tak?... Czy może?...

Urwał się jej wątek myśli, siedziała przy ogniu odurzona, w półśnie. Nagle ocknęła się. Obszar śmierci! Czy ma tam podążyć? Ach tak! Śmierć to sen. Ma dosyć. Dość dużo wytrzymała, dość długo opierała się. Czas zaniechać walki.

Jak w natchnieniu poddała się, ustąpiła, zeszła w mrok. Wśród ciemności czuła zaciekły opór swego ciała, jedyną

udrękę nie do zniesienia, okropne mdłości rozkładu, jakiemu podlega ciało.

„Czy ciało jest tak bezpośrednio związane z duchem?” — zadawała sobie pytanie. Była absolutnie pewna, że ciało jest tylko jednym z przejawów ducha, przeobrażenie niepodzielnego ducha jest także transmutacją ciała. „Chyba że wytężę wolę, uwolnię się od rytmu życia, znieruchomieję i pozostanę nieruchoma, odcięta od doczesnego bytowania, poddana tylko własnej woli”. Lepiej jednak jest umrzeć, niż żyć mechanicznym życiem, w którym wszystko się powtarza. Umrzeć to iść naprzód z Niewidzialnym. Umrzeć to także radość, radość poddania się czemuś większemu niż to, co znamy; radość poddania się Nieznanemu. Tak, to jest radość. A życie w mechanicznej próżni, tylko wysiłkiem woli, życie istoty, która odrzuciła Nieznane, jest haniebne i podłe. W śmierci nie ma podłości. Podłe bez miary jest niespełnione, mechaniczne życie. Bo życie może zhańbić i upodlić duszę. Śmierć zaś nigdy nie jest hańbą. Jak bezgraniczna przestrzeń jest poza możliwością skażenia.

Jutro poniedziałek. Znów początek szkolnego tygodnia. Jeszcze jednego haniebnego, jałowego tygodnia, który upłynie na bezdusznych, zautomatyzowanych zajęciach. Czy śmierć nie jest nieporównanie bardziej kuszącą przygodą? Nieporównanie piękniejszą i szlachetniejszą niż takie życie? Jałowe w swej rutynie, bez wewnętrznego znaczenia, pozbawione właściwego sensu? Nędzna doczesna wegetacja, która jest hańbą dla duszy! O ile czyściej i godniej jest nie żyć! Nie można już dłużej znosić poniżenia odrażającej rutyny i bezdusznej nicości! Można owocować w śmierci. Przeżyła już dosyć. Bo gdzie ma szukać życia? Na funkcjonującym mechanizmie nie rosną kwiaty, nad tępą rutyną nie rozciąga się niebo, ruch rotacyjny nie wymaga przestrzeni. A przecież całe życie jest ruchem rotacyjnym, mechanicznym, odciętym od rzeczywistego bytu. Niczego nie można się po nim spodziewać, jest takie samo we

wszystkich krajach, dla wszystkich ludzi. Jedynym oknem jest śmierć. Człowiek może spoglądać tęsknie na wielki, ciemny firmament śmierci, jak wówczas, kiedy będąc dzieckiem wyglądał przez okno w klasie i widział na zewnątrz cudowną wolność. Teraz nie jest już dzieckiem i wie, że dusza jest więźniem w brzydkim, obszernym gmachu życia, z którego jedyną ucieczką jest śmierć.

Ale jest i powód do radości. Co za szczęście, że ludzkość, choć tak wiele dokonała, nie zdołała jednak opanować królestwa śmierci, nie potrafiła go unicestwić. Morze ludzie zamienili w morderczy szlak i brudny trakt handlowy, kłócąc się o każdy cal, jakby to był zaśmiecony teren miejski. Po powietrze też sięgnęli, rozdzielili je, rozdali powietrzne parcele właścicielom, wdarli się w nie, toczyli o nie wojny. Wszędzie stoją mury najeżone kolcami, wśród których musimy sromotnie pełzać przez labirynt życia.

Natomiast w ciemnym, bezgranicznie wielkim królestwie śmierci ludzkość została wystawiona na pośmiewisko. Ci sami mali bogowie, którzy tyle potrafili dokonać na ziemi, wyszydzeni przez królestwo śmierci, skarleli w swej prostackiej bezmyślności.

Jak piękna, jak wzniosła i cudowna jest śmierć, jak dobrze jest cieszyć się, że przyjdzie. Człowiek obmyje się wreszcie z kłamstw, plugastwa i brudu, w jaki tutaj obrósł, i po odświeżającej kąpieli, czysty i radosny pójdzie tam, gdzie nikt go nie zna, nikt o nic nie zapyta, nikt nie upokorzy. W końcu obietnica doskonałej śmierci to największe bogactwo człowieka. Jest to największa radość, że można oczekiwać śmierci, czystej, innej, nieludzkiej odmienności śmierci.

Życie, czymkolwiek jest, nie może odebrać nam śmierci, bezcielesnej i niepoznawalnej. Nie pytajmy o to, czym ona jest. Wiedzieć to sprawa ludzka, umarli nie wiedzą, umarli nie są ludzcy. I radość z tego wynagradza gorycz wiedzy i „marność człowieczego bytu. Po śmierci nie będziemy ludźmi i nie będziemy wiedzieć. Tę obietnicę otrzymaliśmy

w dziedzictwie i czekamy na jej spełnienie, jak spadkobiercy czekają na osiągnięcie pełnoletności.

Ursula siedziała w ciszy i zapomnieniu, sama przy kominku w salonie. Dzieci bawiły się w kuchni, wszyscy inni wyruszyli do kościoła. Tylko ona wyruszyła w mroczne otchłanie własnej duszy.

Wzdrygnęła się na dźwięk dzwonka; dzieci wybiegły z kuchni na korytarz, przyjemnie przestraszone.

— Ursula, ktoś dzwoni.

— Wiem. Nie bądźcie głupie — odpowiedziała. I ją też dzwonek niemal przeraził. Bała się podejść do drzwi.

Na progu stał Birkin z kołnierzem deszczowego płaszcza podniesionym na uszy. Przyszedł wreszcie, teraz, kiedy ona odeszła tak daleko. Uprzytomniła sobie, że jest już późny wieczór i że pada deszcz.

— To ty?

— Cieszę się, że zastałem cię w domu — powiedział cicho, wchodząc do mieszkania.

— Wszyscy poszli do kościoła. .

Zdjął płaszcz i powiesił na wieszaku. Dzieci zerkały na niego z bezpiecznej odległości.

— Billy, Dora, rozbierajcie się! — zawołała Ursula. — Mama zaraz wróci i zmartwi się, że jeszcze nie leżycie w łóżkach.

Dzieci, nagle anielsko grzeczne, wycofały się bez słowa. Birkin i Ursula weszli do salonu. Na kominku słabo tlił się ogień. Patrzał na nią i dziwiła go promienna delikatność jej urody, blask jej szeroko otwartych oczu. Przyglądał się, zaskoczony, jak światło zdaje się ją przeobrażać.

— Co robiłaś cały dzień?

— Siedziałam tu sama.

Przyjrzał jej się uważnie. Zaszła w niej jakaś zmiana. Jakby coś ją od niego odgradzało. Odsunęła się, otoczona kręgiem jasności. Milcząc siedzieli oboje w łagodnym świetle lampy. Czuł, że powinien odejść, że niepotrzebnie przyszedł. Nie umiał jednak zdobyć się na decyzję, choć wiedział, że jest de trop, bo Ursula, zajęta sobą, błądzi gdzieś myślami.

Zza drzwi dobiegły ich głosy dzieci, wołających nieśmiało, z bojaźliwością, którą same w sobie pobudzały:

— Ursula! Ursula!

Wstała i otworzyła drzwi. Stali oboje na progu w długich nocnych koszulach z . buziami aniołków i szeroko otwartymi oczami. Zachowywali się niezwykle grzecznie, znakomicie odgrywając rolę posłusznych dzieci.

— Zaprowadź nas do łóżka — poprosił głośnym szeptem Billy.

— Prawdziwe z was aniołki. Może wejdziecie i powiecie dobranoc panu Birkinowi?

Dzieci, z bosymi nóżkami, wsunęły się nieśmiało do pokoju. Billy uśmiechał się, ale w jego niebieskich, okrągłych oczach widniało solenne postanowienie, że będzie grzeczny. Dora ociągała się, zerkając zza jedwabistej przędzy jasnych włosów. Wyglądała jak maleńka driada, która nie ma duszy.

— Powiecie mi dobranoc? — spytał Birkin głosem dziwnie łagodnym i przymilnym. Dora natychmiast odfrunęła jak liść zwiany podmuchem wiatru. Ale Billy spokojnie wystąpił naprzód, powolny i chętny, ufnie nastawiając usta do pocałunku. Ursula patrzała, jak pełne wargi mężczyzny muskają delikatnie, najdelikatniej, usta chłopca. Birkin lekkim, czułym gestem dotknął palcami dziecinnego policzka. Nie padło ani jedno słowo. Billy wydawał się anielski, jak młodziutki cherubin lub akolita, podczas gdy patrzący na niego z góry Birkin był wysokim, poważnym aniołem.

— Dasz się pocałować? — przerwała milczenie Ursula zwracając się do dziewczynki. Ale Dora cofnęła się płochliwie, jak maleńka driada, której nie wolno dotykać.

— Nie powiesz dobranoc panu Birkinowi? Podejdź tam, czeka na ciebie — nalegała Ursula. Dziecko jednak cofnęło się jeszcze dalej od niego.

— Głuptasek! Ale z ciebie głuptasek! — zaśmiała się Ursula.

Birkin wyczuwał w małej wrogość i nieufność. Nie rozumiał, skąd to się wzięło.

— No, chodźmy — powiedziała Ursula. — Musimy zdążyć, zanim mama przyjdzie.

— Kto posłucha, jak będziemy się modlić? — spytał niespokojnie Billy.

— A kogo byście chcieli?

— Ty byś mogła?

— Bardzo chętnie.

— Ursula?

— Co, kochanie?

— Czy chce się kogoś? — Tak.

— A co to jest „kogoś”?

— To czwarty przypadek od „ktoś.

Po chwili namysłu Billy oznajmił z ufnością:

— Rozumiem.

Birkin uśmiechnął się do siebie siadając przy kominku. Kiedy Ursula zeszła, siedział z rękami na kolanach. Tak go zobaczyła, nieporuszonego, bez wieku, niczym wyobrażenie bóstwa dawno wygasłej religii. Odwrócił do niej twarz bladą i nierzeczywistą, która zdawała się świecić fosforyzującą bielą.

— Źle się czujesz? — spytała z bezwiedną odrazą.

— Nie myślałem o tym.

— I wobec tego nie wiesz?

Ciemnymi, bystrymi oczami dostrzegł jej odruch wstrętu. Nie odpowiedział na pytanie.

— Nie wiesz, czy czujesz się dobrze, czy źle, nawet jeśli o tym nie myślisz? — obstawała przy swoim.

— Nie zawsze — rzekł chłodno.

— I nie uważasz, że to jest niegodziwość?

— Niegodziwość?

— Tak. Dla mnie to zbrodnia mieć tak słaby kontakt z własnym ciałem, że nie w,ie się, kiedy jest chore.

Spojrzał na nią posępnie.

— Być może.

— Dlaczego nie leżysz w łóżku, jak jesteś niezdrów? Wyglądasz upiornie.

— Aż tak to cię razi? — spytał ironicznie.

— A tak, właśnie razi. I odpycha.

— No cóż, to bardzo przykre.

— Poza tym deszcz pada i jest okropna pogoda. To niewybaczalne, naprawdę. Jak ty traktujesz swoje ciało! Człowiek powinien cierpieć, jeśli do tego stopnia nie dba o zdrowie...

— Do tego stopnia nie dba o zdrowie — powtórzył machinalnie. Ursula zamilkła i zapadła cisza.

Cała rodzina wróciła z kościoła i Birkin musiał po kolei przywitać się najpierw z dziewczętami, potem z matką i Gudrun, wreszcie z ojcem i chłopcem.

— Dobry wieczór — rzekł Brangwen, lekko zdziwiony. — Pan do mnie w jakiejś sprawie?

— Nie. To znaczy nie mam żadnej specjalnej sprawy. Dzień był ponury i pomyślałem sobie, że nie będzie mi pan

miał za złe, jeśli wstąpię.

— Rzeczywiście, bardzo smutny dzień — potwierdziła z ubolewaniem pani Brangwen. W tym momencie z góry rozległy się dziecinne głosy: — Mamo, mamo! — Podniosła głowę i odpowiedziała łagodnie w przestrzeń: — Zaraz do was idę. — I znowu zwróciła się do Birkina: — W Shortlands chyba nic nowego? Na pewno nie. Biedni, biedni ludzie...

— Był pan tam dzisiaj? — spytał ojciec.

— Gerald był u mnie na herbacie i odprowadziłem go z powrotem. Wydało mi się, że w domu panuje niezdrowy nastrój nadmiernego podniecenia.

— Moim zdaniem są to ludzie nie dość opanowani — rzekła Gudrun.

— Lub za bardzo — powiedział Birkin.

— O tak, na pewno albo jedno, albo drugie — przytaknęła Gudrun nie bez złośliwości.

— Bo każde z nich czuje, że należy zachowywać się inaczej niż zwykle. Ludzie, których spotkało nieszczęście, powinni zakryć twarze i oddalić się od świata, jak w dawnych czasach.

— Oczywiście! — wykrzyknęła Gudrun zarumieniona i rozgorączkowana. — Przecież to straszne wystawiać smutek na widok publiczny! Gorsze niż wszystko i okropnie fałszywe. Rozpacz to sprawa czysto osobista i należy ją ukrywać.

— Właśnie. Toteż byłem wręcz zażenowany. Wszyscy kręcili się po domu z obłudnie żałobnymi minami uważając, że nie mogą się zachowywać zwyczajnie i naturalnie.

Panią Brangwen uraziły te krytyczne uwagi.

— Nie jest łatwo udźwignąć aż takie zmartwienie... Poszła na górę do dzieci.

Birkin pozostał jeszcze tylko parę minut. Kiedy pożegnał się i wyszedł, Ursulę przeszyła tak kłująca nienawiść, jakby

w twardy kryształ nienawiści zakrzepł jej cały mózg, jakby cała zmieniła się w ostrą i napiętą strzałę czystej nienawiści. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Po prostu była bezsilna wobec nienawiści tak zaciekłej i nieprzejednanej, tak czystej, jasnej i poza wszelkim rozumowaniem. W uniesieniu wcale nie mogła o tym myśleć. Było to opętanie. Czuła, że coś ją opętało. I przez następne dni chodziła opętana przemożną nienawiścią. Nigdy nie doznawała uczucia tak silnego. Wyrzucało ją poza świat w straszliwą otchłań, gdzie już nie liczyło się nic z jej dawnego życia. Dla niej, zagubionej i oszołomionej, dawne życie umarło.

Było to absolutnie niezrozumiałe i bezsensowne. Nie wiedziała, dlaczego go nienawidzi, tak całkowicie abstrakcyjna była ta nienawiść. Uświadamiała sobie tylko, i świadomość ta ogłuszyła ją, że nie może pokonać porywu nienawiści. Rupert był wrogiem, pięknym jak diament i jak diament twardym i drogocennym; był kwintesencją wszystkiego, co wrogie. Wspominała jego twarz białą, o rzeźbionych rysach i jego oczy, mroczne oczy człowieka, który zawsze chce narzucić innym własną wolę. Dotykała swego czoła, badając, czy nie jest obłąkana, tak bardzo odmienił ją biały płomień żywiołowej nienawiści.

Nie była to nienawiść przelotna, nienawidziła go nie za to, czy za co innego. Nie chciała nic mu zrobić, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Jej stosunek do niego był ostateczny, poza wszelkimi słowami, jej nienawiść czysta jak diament. Jakby był promieniem elementarnej wrogości, snopem światła, które nie tylko zniszczyło ją, ale unicestwiło, unieważniło cały jej świat. Był dla niej przebłyskiem najostrzejszych sprzeczności, obcym bytem, diamentem, którego istnienie określało jej własne nieistnienie. Wiadomość, że znowu choruje, wzmogła jedynie jej nienawiść, o ile jeszcze było to możliwe. Ogłuszona i unicestwiona nie mogła uciec. Nie mogła uciec

przed samą sobą, odmienioną przez nienawiść, która nią zawładnęła.

ROZDZIAŁ XVI

MĘŻCZYŹNI

Leżał słaby, bez ruchu, skłócony ze światem. Wiedział, jak łatwo stłuc się może naczynie jego życia. Wiedział też, jak jest mocne i trwałe. I nic go to nie obchodziło. Sto razy lepiej jest zaryzykować śmierć, niż pogodzić się z życiem, na jakie nie ma się ochoty. A najlepiej obstawać, uparcie obstawać przy swoim, aż osiągnie się zadowolenie.

Wiedział, że znów nie może obejść się bez Ursuli. I że jego życie jest w jej rękach. Ale wolał nie żyć, niż przyjąć taką miłość, jaką mu proponowała. Miłość w jej konwencjonalnej formie wydawała mu się okropną niewolą, czymś w rodzaju poboru do wojska. Nie zdawał sobie sprawy, na czym to polega, ale myśl o miłości, małżeństwie i dzieciach, o wspólnym życiu w obrzydliwej intymności domowych i małżeńskich satysfakcji napawała go odrazą. Marzył o związku jaśniejszym, bardziej otwartym, jak gdyby chłodniejszym. Gorąca, ciasna bliskość męża i żony budziła w nim odrazę. Sposób, w jaki ślubni małżonkowie zamykali drzwi i chowali się w wyłączność swojego, choćby nawet miłosnego związku, odpychał go. Odpychała go owa społeczność nieufnych par, sam na sam ze sobą, w prywatnych domach lub w prywatnych pokojach, zawsze we dwoje, bez widoków na jakiekolwiek zmiany ani teraz, ani nigdy, na żadne bezinteresowne przyjaźnie; kalejdoskop poszczególnych bytów. Przygód na boku co prawda nie cierpiał jeszcze bardziej niż pożycia małżeńskiego, romanse były tylko innym typem łączenia się w pary, reakcją na legalne małżeństwo. A reakcja jest jeszcze nudniejsza niż akcja.

W gruncie rzeczy nienawidził spraw płci — stanowiły takie ograniczenie! To seks zmieniał mężczyznę w odłamaną połówkę pary, a kobietę w drugą połówkę. A on chciał sam być całością i chciał, żeby całością była kobieta. Chciał sprowadzić seks do poziomu innych potrzeb, traktować nie jak spełnienie, lecz jak jeszcze jeden proces fizjologiczny. Uznawał konieczność pociągu płciowego w małżeństwie, ale pragnął też innego typu wspólnoty, w której mężczyzna i kobieta to dwa osobne, czyste byty. Każdy stanowi o wolności drugiego, obydwa równoważą się jak dwa bieguny o takiej samej mocy, jak dwa anioły czy dwa demony.

Tak bardzo chciał być wolny! Nie chciał żyć pod presją konieczności zawarcia związku z drugą osobą, dręczony niezaspokojonym pożądaniem. Człowiek powinien zdobywać przedmiot żądzy bez tej całej udręki, tak jak we współczesnym świecie, w którym jest pod dostatkiem wody, nikt nie cierpi z powodu pragnienia zaspokajając je niemal bezwiednie. Chciał być z Ursulą równie swobodny jak z sobą samym, zachować własną osobowość, jasną i chłodną, chciał, żeby się nawzajem równoważyli i dopełniali. Miłość polegająca na opleceniu się wokół partnera, na łapczywym, zaborczym współżyciu przejmowała go szalonym wstrętem.

Miał jednak wewnętrzne przekonanie, że kobieta zawsze jest łapczywa, i zaborcza, że ma przemożną potrzebę dominacji w miłości. Chce mieć, posiadać, rządzić, górować. O wszystkim ma decydować Ona, Kobieta, Wielka Matka Wszechrzeczy, z której wszystko się wywodzi i której wszystko musi się w końcu poddać. Do obłędnej furii doprowadzała go spokojna pewność, z jaką Magna Mater uważa, że wszystko do niej należy, bo z niej się zrodziło. Mężczyzna do niej należy, bo go urodziła. Urodziła go Mater Dolorosa, a Magna Mater rości sobie nadal do niego prawo, do jego duszy i ciała, seksu, myśli i całej reszty. Magna Mater budziła w nim odrazę, była obmierzła.

Kobietę, Wielką Matkę, znowu rozpierała pycha. Czy nie zakosztował tego przy Hermione? Hermione pokorna, służalcza Hermione, czy nie była to przez cały czas w swojej służebności Matka Bolesna — Mater Dolorosa domagająca się z despotyzmem samicy, ze straszną, podstępną arogancją, zwrotu tego, co do niej należy — mężczyzny, którego zrodziła w bólach? Czy nie była matką, która w imię swych cierpień i swej pokory okuła syna w łańcuchy, wzięła go na wieczność w niewolę?

A Ursula? Ursula jest taka sama... lub całkiem inna. Też jest okropną, arogancką królową życia, królową pszczół, od której zależy cały rój.,Zauważył żółte błyski w jej oczach, widział jej niewiarygodną, zarozumiałą pewność własnej wyższości. Nie uświadamia sobie tego. Gotowa jest oczywiście bić przed mężczyzną głową o ziemię. Ale dopiero wtedy, kiedy jest swojego mężczyzny tak pewna, że może go wielbić, jak kobieta wielbi własne dziecko, gdyż bezspornie do niej należy.

To nie do zniesienia być własnością kobiety. Mężczyzna nadal uważany jest za odcięty fragment kobiety, a seks jest ciągle jeszcze bolesną blizną po amputacji. Dopiero dodany do kobiety, mężczyzna staje się całością i zdobywa miejsce pod słońcem.

Dlaczego? Dlaczego mężczyźni i kobiety mają uważać się za kalekie cząstki jednej całości? Tak przecież nie jest. Nie jesteśmy wcale fragmentami całości. Przeciwnie, to my z zamętu splątanych rzeczy wyodrębniamy się w osobne, czyste istoty. To seks jest pozostałością zamętu i pomieszania. A namiętność jeszcze bardziej sprzyja odcedzeniu się tej mieszanki, tak aby to, co męskie, skupiło się w mężczyźnie, a to, co żeńskie, w kobiecie, aż on i ona staną się czyści i kompletni jak aniołowie, domieszka seksu będzie w najistotniejszym sensie przewyższona i pozostaną te dwie oddzielne istoty jak dwie gwiazdy w jednej konstelacji.

W dawnych wiekach nie było różnicy płci, byliśmy hybrydami, każdy z nas był mieszanką. Proces wyodrębnienia się w oddzielne indywidua przyniósł w rezultacie gruntowną polaryzację seksu. Elementy żeńskie poszły w jedną stronę, męskie w drugą. Lecz nawet wówczas rozdzielenie nie było całkowite. I tak przemija cykl świata. Teraz nadejdzie nowa era, w której każde z nas będzie oddzielną istotą. Spełnioną w swojej odrębności. Mężczyzna będzie tylko mężczyzną, kobieta tylko kobietą — oboje będą dopełniać się nawzajem. I nie będzie już owego strasznego zlepku, mieszaniny miłości, która przeczy samej sobie. Powstanie tylko jasny wynik podziału, rezultat polaryzacji, dwa ludzkie byty, każdy wolny od złego wpływu partnera. W każdym z tych oddzielnych bytów ważna będzie przede wszystkim osobowość i to jej podporządkowane będą sprawy płci, w pełni zróżnicowanej. Każdy będzie oddzielną, niezależną istotą rządzącą się własnymi prawami. Mężczyzna będzie wolny po swojemu, kobieta po swojemu. Oboje uznają doskonałość spolaryzowanego obwodu seksu. Każde z nich uzna odrębność partnera.

Takie myśli snuł Birkin w czasie swojej choroby. Lubił niekiedy chorować dość poważnie, żeby leżeć w łóżku. W łóżku zaraz czuł się lepiej i widział wszystko jasno i wyraźnie.

Podczas choroby odwiedził go Gerald: Obaj mężczyźni, skrywając wzajemne żale, czuli się dość nieswojo. Gerald miał przenikliwe, niespokojne spojrzenie, napięty i niecierpliwy sposób bycia, jakby mobilizował się do działania. W konwencjonalnym czarnym ubraniu wyglądał uroczyście, był przystojny i comme il faut. Włosy miał jasne niemal do białości, połyskliwe jak odpryski światła, twarz ożywioną i rumianą, ciało zdawało się naładowane energią północy.

Gerald naprawdę kochał Birkina, choć nigdy nie uwierzył w niego bez zastrzeżeń. Birkin był zbyt nierzeczywisty —

zdolny, kapryśny, wspaniały, ale nie . dość praktyczny. Gerald zdawał sobie sprawę, że sam jest o wiele rozsądniejszy i umie rozumować logiczniej. Birkin jest cudowny, ma niezwykły umysł, ale w końcu nie można go brać na serio ani w pełni traktować jak mężczyznę wśród mężczyzn.

— Dlaczego znowu chorujesz? — spytał serdecznie, biorąc Ruperta za rękę. Zawsze był opiekuńczy, gotów ze swej fizycznej siły uczynić ciepłe schronienie dla przyjaciela.

— Przypuszczam, że za moje grzechy — uśmiechnął się z lekką ironią Birkin.

— Za twoje grzechy? Chyba masz rację. Powinieneś grzeszyć mniej i mieć lepszą kondycję.

— Naucz mnie, jak to zrobić. — Patrzał na Geralda kpiąco. — A co u ciebie?

— U mnie? — Gerald obrzucił go spojrzeniem i kiedy stwierdził, że pytanie jest poważne, w oczach zapaliło mu się ciepłe światełko. — U mnie wszystko bez zmian. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Nie ma tu co zmieniać.

— To znaczy, że jak zawsze prowadzisz z powodzeniem interesy i nie dbasz o potrzeby duszy.

— Właśnie tak. W każdym razie, o ile chodzi o interesy. W sprawie duszy nie czuję się miarodajny.

— Słusznie.

— Chyba tego po mnie nie oczekujesz? — roześmiał się Gerald.

— Nie. A jak inne twoje sprawy dotyczące interesów?

— Inne sprawy? Jakie? Nie umiem ci powiedzieć. Nie wiem, co masz na myśli.

— Owszem, wiesz. Jesteś smutny czy wesoły? I co z Gudrun Brangwen?

— A co ma być? — Gerald speszył się. — Nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że podczas naszego ostatniego spotkania dała mi w twarz.

— Dała ci w twarz! Za co?

— Tego też ci nie potrafię powiedzieć.

— Doprawdy? Kiedy to było?

— Wieczorem w dzień zabawy, podczas której utonęła Diana. Pobiegła na wzgórze za stadem byków, a ja poszedłem za nią, pamiętasz?

— Pamiętam. Ale dlaczego to zrobiła? Bo chyba nie sprowokowałeś jej umyślnie?

— W każdym razie nic o tym nie wiem. Ostrzegłem ją tylko, że niebezpiecznie jest drażnić byki, bo tak jest naprawdę. Odwróciła się tak jakoś do mnie i rzekła: „Na pewno myślisz, że boję się ciebie i twojego bydła”. Spytałem, dlaczego tak uważa, i w odpowiedzi mnie spoliczkowała.

Birkin zaśmiał się krótko, rozbawiony. Gerald zawahał się, po czym sam także parsknął śmiechem.

— Wtedy nie było mi do śmiechu, wierz mi. W życiu nie byłem tak zaskoczony.

— A nie rozwścieczyło cię to?

—Jeszcze jak! O mały włos, a bym ją zamordował.

— Biedna Gudrun! — wykrzyknął Birkin. — Taka kompromitacja! Wyobrażam sobie, jak potem cierpiała. — Był wyraźnie zachwycony.

— Myślisz, że cierpiała? — spytał też już rozweselony Gerald. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się złośliwie i z rozbawieniem.

— O, na pewno! Przy jej nieśmiałości...

— Jest rzeczywiście nieśmiała. Więc co ją ukąsiło? Bo naprawdę uważam, że ani nie zasłużyłem na policzek, ani

go nie sprowokowałem.

— Musiał to być nagły odruch.

— Być może, ale jak to wytłumaczyć? Nie zrobiłem nic złego. Birkin potrząsnął głową.

— Może znienacka obudziła się w niej Amazonka.

— No cóż —. mruknął Gerald — wolałbym Orinoko.

Obu ich rozśmieszył ten marny dowcip. Gerald pamiętał, jak Gudrun zawołała, że ostatni cios też ona zada. Ale pewna powściągliwość sprawiła, że przemilczał to przed Birkinem.

— Gniewasz się na nią?

— Nie. Jest mi to absolutnie obojętne. — Milczał chwilę, po czym dodał z uśmiechem: — Ale chciałbym to mimo wszystko wyjaśnić. Widać było potem, że jest jej przykro.

— Ciekawe... Widzieliście się od tego czasu? Gerald zachmurzył się.

— Nie. Bo przecież... Możesz sobie wyobrazić, co się u nas działo po wypadku.

— Oczywiście. A teraz? Już się trochę uspokoili?

— Nie wiem. Był to naturalnie poważny wstrząs. Ale mama chyba nie martwi się specjalnie. Prawdę mówiąc wydaje mi się, że wcale jej to nie obchodzi. Dziwna rzecz, przecież zawsze żyła wyłącznie dla dzieci... Nic się nie liczyło, tylko dzieci. A teraz nie przejmuje się bardziej, niż gdyby chodziło o jedną ze służących.

— A ty? Bardzo się przejąłeś?

— Był to dla mnie szok. Ale właściwie nie przeżywam tego zbyt głęboko. Nie czuję się przez to inny. Wszyscy musimy umrzeć i tak czy owak nie stanowi dla mnie większej różnicy, czy ktoś żyje, czy nie. Rozumiesz, nie odczuwam smutku. Jestem obojętny. Nie umiem właściwie tego wytłumaczyć.

— Nie obchodzi cię, czy umrzesz, czy będziesz żył? — spytał Birkin. Gerald patrzył na niego oczami błękitnymi jak głownia miecza. Był zakłopotany, ale inaczej. Bo naturalnie obchodziło go to, straszliwie bał się śmierci.

— Nie chcę umierać. Wcale nie mam na to ochoty. Ale nigdy się tym nie zadręczam. Nie jest to dla mnie bynajmniej kwestia zasadnicza. Po prostu ja się tym nie interesuję.

— Timor mortis conturbat me — zacytował Birkin dodając: — Tak, śmierć nie jest chyba dzisiaj główną sprawą. Aż dziwne, jak mało się tym przejmuję. Jak każdym zwykłym, następnym dniem.

Gerald bacznie przyjrzał się przyjacielowi. Wymienili spojrzenia. Bez słowa zrozumieli się nawzajem.

Gerald mrużył oczy; bezosobowo, z chłodnym i cynicznym wyrazem twarzy spoglądał wzrokiem dziwnie przenikliwym i jednocześnie niewidzącym w jakiś punkt przestrzeni poza Birkinem.

— Jeśli śmierć nie jest główną sprawą — powiedział obojętnym, zimnym, melodyjnym głosem — to co nią jest? — Zabrzmiało to, jakby przyłapano go na kłamstwie.

— Właśnie co? — podjął Birkin. Zapadło szydercze milczenie. — Po śmierci fizjologicznej mamy przed sobą jeszcze długą drogę, zanim zostaniemy unicestwieni.

— I jaka jest ta droga? — Gerald zdawał się domagać od Birkina odpowiedzi, którą sam znał lepiej od niego.

— W dół po stopniach degeneracji — mistycznej, powszechnej degeneracji. Jest wiele etapów zwyrodnienia, przez które trzeba przejść — trwa to całą wieczność Jeszcze długo żyjemy po śmierci i powoli, powoli obracamy się w nicość.

Gerald słuchał z nikłym uśmieszkiem, który nie schodził mu z twarzy, jak gdyby w głębi duszy wszystko to wiedział o

wiele lepiej niż Birkin; ponieważ jego wiedza jest bezpośrednia i osobista, a wiedza Birkina wynika z obserwacji i wniosków, nie całkiem trafiających w sedno, chociaż dość bliskich istoty rzeczy. Ale nie miał zamiaru się zdradzić. Jeśli Birkinowi uda się dotrzeć do jądra tajemnicy — to doskonale. On, Gerald, na pewno mu nie pomoże. Do końca dochowa sekretu.

— W gruncie rzeczy — znienacka zmienił temat — naprawdę odczuł to tylko ojciec. To go wykończy. Jego świat się zawalił. Troszczy się teraz tylko o Winnie... musi ocalić Winnie. Mówi, że należałoby ją wysłać do szkoły, ale ona nie chce o tym słyszeć i ojciec tego nie zrobi. Co prawda ona jest raczej dziwna. To ciekawe, jak my wszyscy nie umiemy żyć. Różne rzeczy możemy robić, ale z życiem nie dajemy sobie rady. Skaza rodzinna...

— Nie powinno się jej wysyłać do szkoły — Oznajmił Birkin rozważywszy nową koncepcję.

— Dlaczego?

— To szczególne dziecko, dziwne, dziwniejsze nawet niż ty. A moim zdaniem szczególnych dzieci nie należy wysyłać do szkoły. Do szkoły powinny uczęszczać tylko dzieci mniej więcej przeciętne.

— Nie zgadzam się z tobą. Przeciwnie, uważam, że jak wyjedzie z domu i będzie obcować z rówieśnikami, zrobi się normalniejsza.

— Kiedy widzisz, ona nie będzie z nimi obcowała. Ty też nigdy naprawdę nie miałeś z nimi kontaktu. Winnie nawet nie będzie miała ochoty udawać. Jest dumna, skryta i stroni od ludzi. Jeśli jest z natury odludkiem, dlaczego chcesz ją zmienić w istotę towarzyską?

— Wcale nie chcę jej zmieniać. Ale myślę, że szkoła dobrze jej zrobi.

— A tobie dobrze zrobiła?

Po twarzy Geralda przemknął brzydki grymas. Szkoła była dla niego torturą. Nie podważał jednak konieczności przejścia przez tę torturę. Zdawał się wyznawać zasadę, że wykształcenie zdobywa się znosząc posłusznie udręki.

— Nienawidziłem szkoły, ale teraz widzę, jak była mi potrzebna. Zmusiła mnie do przystosowania się, a nie można żyć, jeśli się nie potrafi dostosować do otoczenia.

— No cóż — rzekł Birkin — mnie zaczyna się wydawać, że można żyć tylko zachowując niezależność od otoczenia. Nie trzeba równać szeregu, skoro ma się ochotę szereg rozbić. Winnie ma szczególny charakter, a dla szczególnych charakterów potrzebny jest szczególny świat.

— Gdzie mam szukać twojego szczególnego świata?

— Stwórz go. Zamiast przykrawać siebie, żebyś pasował do świata, przykrój świat, żeby pasował do ciebie. W gruncie rzeczy już dwaj wyjątkowi ludzie tworzą odrębny świat. My obaj mamy nasz własny, inny świat. Nie chcesz świata takiego samego jak świat twoich szwagrów. Cenisz właśnie jego szczególne właściwości. Chcesz być przeciętny i zwykły? Nieprawda. Chcesz być wolny i niezwykły, w niezwykłym, wolnym świecie.

Gerald spoglądał na Birkina bystrym, inteligentnym wzrokiem. Ale w żaden sposób nie przyznałby się otwarcie, co czuje. Wiedział więcej niż Birkin, pod pewnym względem znacznie więcej. I budziło to w nim tkliwość dla przyjaciela, jakby Birkin był młody, dziecinny, niewinny; tak zdumiewająco inteligentny i tak nieuleczalnie niewinny.

— A przy tym jesteś dość konwencjonalny, żeby uważać mnie przede wszystkim za potworka.

— Za potworka! — wykrzyknął zaskoczony Gerald. Jego twarz rozkwitła szczerym uśmiechem. — Nie, wcale nie uważam cię za potworka! — Obrzucił go dziwnym, niezrozumiałym spojrzeniem. — Zawsze czuję w tobie element niepewności, może nie jesteś pewny siebie. Bo ja

nigdy nie jestem ciebie pewny. Możesz odejść i zmienić się z taką łatwością, jakbyś nie miał duszy.

Utkwił w nim przenikliwy wzrok. Birkin zdziwił się. Uważał, że ze wszystkich ludzi on ma duszy najwięcej. Był naprawdę zdumiony. Geralda poruszył niezwykle ciepły wyraz jego oczu, ich czarująca dobroć, młodzieńcza, spontaniczna serdeczność, która bezgranicznie go pociągała, a zarazem budziła w nim dotkliwą gorycz, gdyż tak bardzo jej nie ufał. Wiedział, że Birkin mógłby obejść się bez niego. Mógłby zapomnieć o nim i wcale nie cierpieć. Nie opuszczała go świadomość zagrożenia: perspektywa nagłego zobojętnienia, jak to zdarza się u dzieci lub zwierząt. Rozmowy z Birkinem, tak głębokie i ważne, wydawały mu się czasem, ba, nawet często, obłudą i kłamstwem.

Inne myśli kłębiły się w głowie Birkina. Nagle znalazł się w obliczu całkiem nowego problemu: problemu miłości i wiecznej spójni dwóch mężczyzn. Musiał oczywiście — odczuwał tę potrzebę przez całe życie — kochać drugiego mężczyznę miłością czystą i pełną. I naturalnie zawsze kochał Geralda i zawsze się tego wypierał.

Leżał w łóżku i zastanawiał się nad tym, podczas gdy jego przyjaciel siedział obok zadumany. Każdy zaprzątnięty był własnymi myślami.

— Wiesz, jak dawni niemieccy rycerze zaprzysięgali sobie Blutbrüderschaft, braterstwo krwi? — spytał Rupert z nagłym radosnym ożywieniem.

— Obaj nacinali skórę na ramieniu i mieszali swoją krew z krwią przyjaciela?

— Właśnie. Przysięgali, że będą sobie wierni, będą braćmi do końca życia. My też tak powinniśmy zrobić. Żadnych ran, to już nie jest modne. Ale powinniśmy zaprzysiąc, że każdy z nas będzie kochać drugiego ślepo,

nieodwołalnie, na śmierć i życie, bez możności wycofania się.

Patrzał na Geralda uszczęśliwiony, jakby doznał olśnienia. Gerald też spoglądał na przyjaciela z zachwytem, urzeczony jego zniewalającym urokiem tak silnie, że — znów podejrzliwy — bronił się przed urzeczeniem, walczył z urokiem.

— Zawrzemy kiedyś braterstwo krwi, dobrze? — prosił Birkin. — Przysięgniemy, że będziemy wspierać się nawzajem, że będziemy wobec siebie lojalni i niezłomnie, do ostatka związani ze sobą.

Birkin z trudem ujmował myśli w słowa. Ale Gerald prawie go nie słuchał. Twarz rozjaśniła mu się, jakby coś sprawiło mu przyjemność. Był zadowolony. Zachowywał się jednak ostrożnie i powściągliwie.

— Kiedy zawrzemy braterstwo krwi? — nalegał Birkin wyciągając do przyjaciela rękę.

Gerald ledwie dotknął pięknej, ciepłej dłoni, jakby powstrzymywał go lęk

— Poczekamy, aż lepiej to zrozumiem — powiedział tonem perswazji. Birkin przyglądał mu się. Poczuł w sercu lekkie ukłucie zawodu, może nawet

też odrobinę pogardy.

— Tak. Powiesz mi kiedyś, co o tym myślisz. Wiesz, o co mi chodzi. Żaden ckliwy sentymentalizm. Bezosobowy związek, w którym człowiek pozostaje wolny.

Znowu obaj pogrążyli się w milczeniu. Birkin nie spuszczał oczu z Geralda. Jakby po raz pierwszy widział w nim nie tylko zdrowego, silnego samca, do którego zawsze miał słabość, ale po prostu Człowieka, pełnego Człowieka skazanego na zagładę, zgubionego, uwarunkowanego. Dziwne przeczucie, że Geralda czeka zguba, jakby był zamknięty w ściśle określonych granicach, skazany na jeden

kształt istnienia, jedną dziedzinę wiedzy i działania, na swego rodzaju zgubną połowiczność, którą nieszczęsny uważał za niepodzielną całość, zawsze przygnębiało Birkina po chwilach żarliwego zbliżenia i przejmowało go jakby pogardą czy nudą. Birkina nudziło owo uporczywe, stanowcze samoograniczanie się. Gerald nigdy nie dawał się porwać prawdziwej, bezinteresownej wesołości. Coś go hamowało, był to rodzaj obsesji.

Milczenie przedłużało się. Wreszcie Birkin odezwał się lżejszym tonem, jakby nie doszło między nimi do spięcia.

— A nie moglibyście zaangażować do Winifred dobrej guwernantki? Kogoś nieprzeciętnego?

— Hermione Roddice radziła, żebyśmy poprosili Gudrun, która mogłaby uczyć ją rysunku i modelowania w glinie. Winnie jest zdumiewająco zdolna do wyrobów z plasteliny. Hermione twierdzi, że ma talent. — Gerald mówił ze swoim zwykłym ożywieniem, swobodnie, jakby nic nie zaszło. Po sposobie bycia Ruperta można było poznać, że wszystko pamięta.

— Naprawdę? Nie wiedziałem. Żeby tylko Gudrun zechciała ją uczyć! To znakomity pomysł, oczywiście, jeśli Winifred ma talent. Bo Gudrun to artystka. A każdy prawdziwy artysta jest zbawieniem, dla drugiego artysty.

— Myślałem, że rywalizują ze sobą i przeważnie nie lubią się nawzajem.

— Być może. Ale jedynie artysta umie stworzyć dla drugiego artysty świat, który nadaje się do życia. Gdybyś mógł to załatwić dla Winifred, byłoby wspaniale,

— Myślisz, że Gudrun nie zgodzi się?

— Nie wiem. Gudrun jest uparta. Na byle co się nie zgodzi. A jeśli zgodzi się, szybko się wycofa. Nie mam pojęcia, czy raczy udzielać prywatnych lekcji, zwłaszcza tu, w Beldover. Ale byłoby to idealne rozwiązanie. Winifred ma trudny charakter. Najlepiej byłoby otworzyć przed nią

perspektywy uzyskania niezależności. W normalnych warunkach nie da sobie rady z życiem. Ty też masz trudności, a ona ma jeszcze o kilka skór mniej. Strach pomyśleć, czym będzie jej życie, jeżeli nie znajdzie możności wypowiedzenie się, spełnienia marzeń. Wiesz, do czego prowadzi zdanie się na los. I widzisz, jak dalece można zawierzyć małżeństwu... Popatrz na własną matkę.

— Myślisz, że mama jest nienormalna?

— Nie! Uważam tylko, że pospolity tok życia jej nie wystarczał. Chciała więcej i inaczej i może dlatego coś się w niej spaczyło.

— Po wyprodukowaniu stada spaczonych dzieci — rzekł posępnie Gerald.

— Nie bardziej spaczonych niż my wszyscy. Najnormalniejsi ludzie, jeśli się przyjrzeć każdemu z osobna, mają ukryte skazy.

— Czasem myślę, że życie jest przekleństwem! — zawołał Gerald z bezsilnym gniewem.

— Owszem — zgodził się Birkin — czemu nie? Niech będzie czasem przekleństwem, kiedy indziej jest za to cudowne. Prawdę mówiąc czerpiesz z niego mnóstwo przyjemności.

— Mniej niż sądzisz — Gerald unikał wzroku przyjaciela. Obaj w milczeniu snuli własne myśli.

— Nie rozumiem, co za różnica, czy uczy dzieci w szkole, czy Winnie u nas w domu.

— Taka sama różnica, jak między urzędnikiem państwowym a pracownikiem w prywatnej firmie. Szlachtą, królem i arystokracją jest społeczeństwo, ogół. Chętnie służysz społeczeństwu... Ale być prywatnym nauczycielem...

— Nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie.

— Właśnie. Gudrun chyba też. Gerald zastanawiał się przez chwilę.

— W każdym razie ojciec nie da jej odczuć, że pracuje u niego. Będzie wyskakiwał ze skóry, żeby okazać jej wdzięczność.

— Słusznie. Wszyscy powinniście być jej wdzięczni. Myślisz, że taką kobietę jak Gudrun wynajmuje się za pieniądze? Na pewno jest pod każdym względem wam równa, jeśli was nie przewyższa.

— Tak sądzisz?

— A tak. I jeśli nie masz dość rozumu, żeby zdawać sobie z tego sprawę, mam nadzieję, że nie wybawi was z kłopotu.

— Co prawda — rzekł Gerald — skoro jest mi równa, wolałbym, żeby nie była nauczycielką. W zasadzie nie uważam nauczycieli za równych sobie.

— Ani ja, niech ich Pan Bóg kocha! Ale czy musi być nauczycielem ten, co poucza, albo księdzem, kto prawi kazania?

Gerald roześmiał się. Na tym gruncie nie czul się zbyt pewnie. Nie chciał opierać swojego poczucia wyższości na pozycji społecznej, ale też nigdy nie przypisywałby jej sobie na podstawie zalet osobistych, gdyż wrodzone cechy nie mogły stanowić dla niego właściwego kryterium wartości. Z pewnym wahaniem więc przyjmował milcząco, że należy do lepszej sfery, a tu Birkin skłaniał go, żeby zaakceptował fakt przyrodzonej różnicy między ludźmi, na co w żaden sposób nie mógł się zgodzić. Byłoby to sprzeczne z jego zasadami i z jego poczuciem honoru. Wstał, żeby się pożegnać.

— Strasznie zaniedbuję swoje interesy.

— Powinienem był ci wcześniej o tym przypomnieć — uśmiechnął się kpiąco Birkin.

— Wiedziałem, że powiesz coś w tym rodzaju. — Gerald był trochę speszony.

— Naprawdę?

— Wiesz, Rupert, to dobrze, że nie wszyscy są tacy jak ty. Niełatwo byłoby żyć. Kiedy bujani w obłokach, zapominam o interesach...

— A teraz jest łatwo żyć, naturalnie.

— Łatwiej, niż sądzisz. W każdym razie mamy co jeść i pić...

— I to nam wystarcza do szczęścia — dorzucił Birkin.

Gerald zbliżywszy się do łóżka spojrzał na Birkina, który leżał z odsłoniętą szyją. Zmierzwione włosy opadały mu na rozgorączkowane czoło. Z kpiącej twarzy spoglądały nieustępliwie, spokojne oczy. Gerald, sprężysty i tryskający energią, stał bez ruchu, niezdolny rozstać się z przyjacielem. Nie mógł zdobyć się na odejście.

— Do widzenia. — Birkin, uśmiechnięty, z błyskiem w oku, wyciągnął rękę z pościeli.

— Do widzenia. — Gerald ujął dłoń przyjaciela w mocny uścisk. — Przyjdę znowu. Brak mi ciebie w biurze.

— Będę tam za parę dni.

Ich oczy znów się spotkały. Geralda, bystre jak u jastrzębia, pełne teraz ciepłego światła i nie wyznanej miłości, i Birkina, który zdawał się spoglądać z mroków niepewnych i nieznanych, ale z serdecznością, użyźniającą umysł Geralda jak krzepiący sen.

— No to bywaj! Na pewno nic ci nie potrzeba?

— Nie, dziękuję.

Birkin patrzył, jak ciemno odziana postać przyjaciela zmierza do drzwi. Jasna głowa Geralda znikła i Rupert odwrócił się, żeby zasnąć.

ROZDZIAŁ XVII

MAGNAT PRZEMYSŁOWY

W życiu Ursuli i Gudrun nastąpiła przerwa. Dla Ursuli Birkin w tym okresie przestał jakby istnieć, stracił znaczenie, nie liczył się wcale w jej świecie. Miała swoich przyjaciół, swoje zajęcia, swoje życie. Z dala od niego z przyjemnością wróciła do dawnych przyzwyczajeń.

Gudrun, która niedawno jeszcze wszystkimi zmysłami pamiętała o Geraldzie Crichu i czuła się z nim związana fizycznie, teraz myślała o nim obojętnie. Snuła projekty wyjazdu i ułożenia sobie inaczej życia. Przez cały czas głos wewnętrzny ostrzegał ją przed ostatecznym ustaleniem stosunków z Geraldem. Czuła, że lepiej i mądrzej będzie utrzymywać z nim jedynie zdawkową znajomość.

Planowała wyjazd do Petersburga, gdzie mieszkała jej przyjaciółka, też rzeźbiarka, która żyła z bogatym Rosjaninem, z amatorstwa zajmującym się wyrobem klejnotów. Pociągali ją Rosjanie ze swoim intensywnym emocjonalnie, nieustabilizowanym życiem. Nie chciała mieszkać w Paryżu. Paryż był suchy i w istocie nudny. Miała ochotę na Rzym, Monachium, Wiedeń lub Petersburg czy Moskwę. Oprócz przyjaciółki w Petersburgu miała też jedną w Monachium. Napisała do obu pytając o mieszkanie.

Odłożyła pewną sumę pieniędzy. Wróciła do domu po trosze i dla oszczędności, a ostatnio sprzedała kilka swoich prac, chwalono ją na wielu pokazach. Wiedziała, że gdyby zamieszkała w Londynie, mogłaby stać się modna. Ale Londyn znała, chciała zetknąć się z czymś nowym. Miała siedemdziesiąt funtów, o których nikt nie wiedział. Postanowiła wyjechać, jak tylko otrzyma wiadomość od

jednej z przyjaciółek. Choć pozornie była pogodna i zrównoważona, w głębi duszy trawił ją niepokój.

Obie siostry wstąpiły pewnego dnia do domku w Willey Green, żeby kupić miodu. Pani Kirk, tęga, blada kobieta o spiczastym nosie, chytra i pod pokrywką słodyczy jędzowata i fałszywa jak kotka, zaprosiła dziewczęta do swojej przesadnie przytulnej, czystej kuchni. Wszędzie panowała kocia atmosfera wygody i schludności.

— I co, panno Brangwen — powiedziała pani Kirk właściwym sobie, nieco płaczliwym, przymilnym głosem — jak się pani podoba na starych śmieciach?

Gudrun natychmiast ją znienawidziła.

— Nie przepadam za tą okolicą — ucięła szorstko.

— No tak, tu jest inaczej niż w Londynie. Pani lubi wielkomiejskie życie. Innym musi wystarczyć Willey Green czy Beldover. A co też pani, panno Brangwen, myśli o naszej szkole? Tyle się o niej ostatnio mówi.

— Co o niej myślę? — Gudrun bez pośpiechu przeniosła na nią wzrok. — To znaczy, czy uważam, że to dobra szkoła?

— No właśnie.

— Uważam, że to dobra szkoła.

Gudrun była bardzo chłodna i wyniosła. Wiedziała, że prości ludzie nie cierpią tej szkoły.

— Proszę! Tyle o tym słyszałam i tak, i inaczej. Dobrze wiedzieć, co myślą ci, co ją znają od środka. Ale zdania są podzielone. Pan Crich tam, w Highclose, też jest za nią. Biedaczysko. Boję się, że nie pożyje długo. Bardzo z nim kiepsko.

— Gorzej się czuje? — spytała Gudrun.

— O, tak Odkąd stracili pannę Dianę. Cień człowieka. Biedak, ma kłopotów co nie miara.

— Rzeczywiście? — spytała z lekką ironią Gudrun.

— A jakże, całe mnóstwo. To taki miły i grzeczny pan, jak rzadko. Dzieci nie są do niego podobne.

— Wrodziły się w matkę? — spytała Ursula.

— Pod wieloma względami. — Pani Kirk zniżyła nieco głos. — Jaka to była dumna pani, kiedy sprowadziła się w nasze strony, słowo daję, ani przystąp! Spojrzeć na nią nie wolno było, a już zagadać nikt by się nie ośmielił.

Miała chytry, nieprzyjemny wyraz twarzy.

— Znała ją pani zaraz po ślubie?

— A jakże! Wychowywałam troje jej dzieci. Prawdziwe szatany, cała trójka, małe potwory. Gerald to diabeł wcielony, był już taki, jak miał pół roku. — Dziwnie złośliwe, przebiegłe nutki pobrzmiewały w głosie kobiety.

— Doprawdy? — rzekła Gudrun.

— Ńieusłuchany, krnąbrny... półroczne dziecko, a już nie można sobie było z nim poradzić. Kopał i wrzeszczał, i szarpał się jak szatan. Mało to razy szczypałam go w pupkę, jak jeszcze był niemowlakiem? Co tam, szkoda, że nie częściej, na lepszego by wyrósł. Ona nie pozwalała ich karać, nie chciała o tym nawet słyszeć. Pamiętam, jak kłóciła się o to z mężem, a jakże. Kiedy pan Crich już całkiem wyszedł z siebie, bo tak mu napsuły krwi, że miał dosyć, to zamykał drzwi od swego gabinetu i dawał im w skórę. A ona cały czas chodziła tam i z powrotem jak tygrys. Krwiożerczy tygrys. Zabiłaby kogoś jak nic. Miała to wypisane na twarzy. Jak już otworzył drzwi, wpadała tam załamując ręce. „Coś ty zrobił moim dzieciom, tchórzu?!” Zupełnie jak wariatka. Ja tam myślę, że bał się jej, palca nie podniósł, dopiero jak wpadł we wściekłość. Dla służby to była frajda. Tak cieszyliśmy się, kiedy któreś dostawało lanie. Skaranie boskie mieliśmy z nimi.

— Doprawdy? — powtórzyła Gudrun.

— Czego nie wyprawiali! Nie dało im się tłuc kubków na stole albo uwiązać kotu sznurka wokół szyi i kazać mu biegać w kółko, czy w ogóle zachciało im się gwiazdki z nieba, a już wrzeszczały jak opętane i zaraz przylatywała mama i od razu: „O co chodzi? Co mu zrobiłaś? Co ci jest, kochanie?”. Rzucała się na ciebie, jakby cię chciała zadeptać. Ale po mnie nie deptała. Ja jedna tam dawałam sobie radę z tymi diabłami. Bo ona wcale nie chciała, żeby się jej naprzykrzali. Gdzie tam, nie pozwalała zawracać sobie głowy. Tyle, że nie wolno im było niczego zabraniać. Ani nawet krzyknąć. Panicz Gerald był ulubieńcem. Odeszłam, kiedy miał półtora roku, nie mogłam dłużej wytrzymać. Ale szczypałam go w pupkę, jak był malutki i za bardzo mi dokuczył, o tak, szczypałam. I wcale nie żałuję...

Gudrun wyszła wściekła i pełna obrzydzenia. Słowa „szczypałam go w pupkę” wprawiły ją w białą, lodowatą furię. Nie mogła tego znieść. Niech tę kobietę natychmiast zabiorą i uduszą. Ale i tak te słowa zagnieździły się w jej umyśle na zawsze, bez ratunku. Wiedziała, że musi mu to kiedyś opowiedzieć, zobaczyć, jak na to zareaguje. I nienawidziła siebie za tę myśl.

W Shortlands dobiegała końca wieloletnia walka. Ojciec był chory. Bliski śmierci. Miał silne bóle, które pochłaniały całą jego uwagę, pozostawiając mu tylko szczątki świadomości. Coraz częściej osaczało go milczenie, coraz mniej dostrzegał to, co go otaczało. Zdawał się zajęty wyłącznie bólem. Wiedział, że czyha w jego ciele, że znów się na niego rzuci. Jakby coś czaiło się w mroku jego wnętrzności. 1 nie miał ani dość siły, ani dość woli, żeby to odszukać i rozpoznać. Trwał więc w mroku wielki ból, czasem targnął nim i znowu przycichał. Kiedy ból szarpał go kulił się z milczącą uległością, a kiedy go opuszczał, nie chciał nic o nim wiedzieć. Chował się w mroku i trzeba go było tam zostawić. Przed nikim więc nie przyznawał się do bólu, skrywał go w najtajniejszym zakątku duszy, gdzie

zebrane były wszystkie nie ujawnione strachy i tajemnice. Owszem, bolało go, przechodziło, nieważne. Bóle nawet pobudzają go, ożywiają.

Ale stopniowo ból wchłaniał jego życie. Odbierał mu całą energię, wytaczał krew w ciemność, odcinał go od świata i wciągał w mrok. U zmierzchu życia niewiele już spraw pozostało w jego polu widzenia. Nie myślał o pracy, o kopalniach. Jego zainteresowania zniknęły bez śladu, jakby nigdy nie istniały. Nawet rodzina stała mu się obca i z trudem przypominał sobie nieistotne szczegóły, że ma takie i takie dzieci. Był to fakt obiektywny, nie dotyczący go osobiście. Ledwie zdawał sobie sprawę, co go z nimi łączy. Nawet żona prawie już nie istniała. Była cząstką ciemności, jak nękający go ból. Przez dziwne skojarzenie ciemność, w którą zapadał się jego ból, i ciemność, w którą zapadła jego żona, były identyczne. Cała jego zdolność rozumowania, wszystkie myśli zmąciły się i splątały, żona i trawiący go ból to była ta sama wroga, utajona siła, której nie umiał stawić czoła. Strachu, który wymościł sobie legowisko w jego trzewiach, nigdy nie próbował wygnać. Wiedział tylko, że jest tam ciemne miejsce, że w tej ciemności zagnieździło się coś, co czasem wyłazi i szarpie go. Sam nie śmiał się tam wedrzeć, żeby wyciągnąć bestię na zewnątrz. Wolał ignorować jej istnienie. Tylko w jego zmąconym umyśle strach był żoną — demonem zagłady, bólem — samą zagładą i tą ciemnością, która była żoną i bólem jednocześnie.

Żonę widywał rzadko. Przebywała głównie w swoim pokoju. Czasem tylko wyłaniała się z kryjówki z wysuniętą do przodu głową i swoim niskim, opanowanym głosem pytała go, jak się czuje. Jego odpowiedź dyktowało ponad trzydziestoletnie przyzwyczajenie: „Chyba nie gorzej, kochanie”. Ale pod obronnym odruchem przyzwyczajenia bał się jej, bał się jej śmiertelnie.

Przez całe życie był wierny swoim zasadom, nie załamał się ani razu. Teraz także nie odstąpi od nich, umrze nie wiedząc, co do niej czuje. Przez całe życie mawiał: „Biedna Christiana, ma taki gwałtowny temperament”. Z niezłomną wolą tak się do niej zawsze odnosił, zastąpił wrogość litością, litość była jego tarczą i osłoną, i jego niezawodną bronią. Nadal w chwilach przytomności było mu jej żal, miała tak porywczy charakter i taka była niecierpliwa!

Teraz jego litość zużyła się tak samo jak jego życie i wzbierał w nim koszmarny, paniczny strach. Zanim jednak zbroja litości skruszy się, umrze jak robak, któremu strzaskano skorupę. To będzie jego deska ratunku. Inny człowiek żyłby i zaznał śmierci za życia w postępującym procesie beznadziejnego rozkładu. On nie. Odbierze śmierci zwycięstwo.

Był wierny swoim ideałom, stały w miłosierdziu i miłości bliźniego. Może nawet kochał bliźniego bardziej niż siebie samego, a nie tak samo, jak chce przykazanie. Zawsze, w każdej sytuacji dodawała mu otuchy chęć niesienia pomocy ludziom, która żywym płomieniem płonęła w jego sercu. Zatrudniał wielu pracowników, był właścicielem wielu kopalń. I ani na chwilę nie zapominał, że w obliczu Chrystusa jest taki sam, jak jego robotnicy. Ba, czuł się od nich gorszy, jakby dzięki ubóstwu i mozolnej pracy byli bliżsi Bogu niż on. Skrycie wierzył, że to górnicy z jego kopalni mają w rękach środki zbawienia. Żeby zbliżyć się do Boga, musi zbliżyć się do górników, swoje życie nagiąć do ich życia. Bezwiednie odnosił się do nich jak do bóstwa — bóstwa objawionego. W nich czcił najwyższe, wielkie, miłosierne, obojętne bóstwo ludzkości.

Przez cały czas jego żona przeciwstawiała mu się, jakby była jednym z wielkich demonów piekła. Ze swoim dziwnym wyglądem drapieżnego ptaka, Wzgardliwa i przejmująco piękna jak sokół, obijała się o kraty jego dobrych uczynków i jak sokół w klatce zapadła w milczenie. Na skutek splotu

okoliczności, ponieważ cały świat zmówił się, żeby tych krat nie można było skruszyć, mąż okazał się od niej mocniejszy, mógł trzymać ją w niewoli. A ponieważ była jego więźniem, nie wygasła w nim namiętność, dojmująca jak śmierć. Zawsze kochał ją ponad miarę. W swojej klatce mogła robić, co chce, nie istniały dla niej żadne zakazy.

Z czasem jednak doprowadził ją niemal do obłędu. Z natury gwałtowna i arogancka czuła się nie do zniesienia upokorzona jego łagodną, prawie nadskakującą grzecznością wobec byle kogo. Bynajmniej nie miał złudzeń co do swoich petentów. Wiedział, że nachodzą go i skarżą się ci najgorsi; większość, na jego szczęście, była zbyt dumna, żeby o cokolwiek prosić, za bardzo niezależna, żeby pukać do jego drzwi. W Beldover, jak zresztą wszędzie, nie brakowało paskudnych pasożytów, płaczliwych lizusów, skamlących o miłosierdzie i żerujących na żywym ciele społeczeństwa. W Christianie Crich burzyła się krew na widok jeszcze dwóch bladych, zgarbionych kobiet, obłudnie ubranych na czarno, które wlokły się posępnie aleją w stronę frontowego wejścia. Miała ochotę poszczuć je psami. „Rip! Ranger! Brać je, huzia!” Niestety, Crowther, kamerdyner, tak jak i cała reszta służby, był człowiekiem pana Cricha. Mimo to, czasem, kiedy męża nie było w domu, jak wilk rzucała się na płaszczących się natrętów. „Ludzie, czego wy chcecie? Nic tu dla was nie ma. Nie macie prawa chodzić tędy. Simpson, wyrzuć ich i nie wpuszczaj nikogo przez bramę”.

Służba musiała jej być posłuszna. Nie odchodziła, patrzyła orlim wzrokiem, jak służący niezdarnie zagania aleją w stronę wyjścia smętne kobieciny, umykające przed nim w popłochu jak kury.

Potem nauczyli się dowiadywać od odźwiernego, czy pan Crich jest w domu, żeby trafić na właściwą porę. Lecz jakże często w pierwszych latach ich małżeństwa Crowther pukał cicho do drzwi:

— Jacyś ludzie, proszę pana.

— Jak się nazywają?

— Grocock, proszę pana.

— Czego chcą? — pytał ze zniecierpliwieniem, ale nie bez satysfakcji. Lubił, jak odwoływano się do jego miłosierdzia.

.— W sprawie dziecka, proszę pana.

— Każ im poczekać w bibliotece i powiedz, że nie należy przychodzić po jedenastej rano.

— Dlaczego wstajesz od obiadu? Odpraw ich — mówiła szorstko żona.

— Nie mogę. To przecież drobnostka wysłuchać, co mają do powiedzenia.

— Ilu ich było dzisiaj? Dlaczego nie poprosisz, żeby tu zamieszkali? Zaraz wygryźliby stąd i mnie, i dzieci.

— Kochanie, co ci to szkodzi, że z nimi porozmawiam? A jeżeli naprawdę są w kłopotach, to przecież moim obowiązkiem jest im pomóc.

— Twoim obowiązkiem jest zaprosić wszystkie szczury świata, żeby ogryzały twoje kości.

— Daj spokój, Christiano, wcale tak nie jest! Nie bądź taka bezlitosna.. Kiedyś wypadła z pokoju i pobiegła do gabinetu. Tam, jak w poczekalni u lekarza, siedzieli zabiedzeni petenci.

— Pan Crich nie może was przyjąć. Nie przyjmuje o tej porze. Myślicie, że jest waszą własnością i macie prawo przychodzić, kiedy wam się spodoba? Idźcie sobie, nie macie na co czekać.

Biedacy zerwali się speszeni. Ale tuż za nią wszedł pan Crich, blady, czarnobrody, z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

— Właśnie. Nie lubię, jak przychodzicie tak późno. Wysłucham każdego przed południem, ale potem naprawdę nie mam dla was czasu. No więc, co się stało, Gittens? Jak wasza żona?

— A bo bardzo z nią marnie, wielmożny panie. Śmierć jej z oczu patrzy... Czasem wydawało się pani Crich, że jej mąż jest chytrym, ponurym ptakiem, żywiącym się ludzką niedolą, że cieszy go tylko, jeśli ktoś poczęstuje go smętną historią, której wysłucha z żałosną, litościwą satysfakcją. Po prostu nie miałby raison d’être, gdyby na świecie nie było okropnych nieszczęść, tak jak przedsiębiorca pogrzebowy nie mógłby istnieć, gdyby nie było pogrzebów.

Pani Crich zamknęła się w sobie, odsunęła od świata skradającej się demokracji. Ciasna, bolesna obręcz odosobnienia zacisnęła się wokół jej serca, jej izolacja była surowa i nieugięta, wrogość bierna, ale bezwzględnie czysta jak wrogość sokoła w klatce. Z biegiem lat coraz bardziej traciła kontakt ze światem, zapatrzona w daleki blask, roztargniona, prawie nieprzytomna. Błąkała się po domu i po okolicy patrząc bystro przed siebie i nic nie widząc. Odzywała się rzadko, nic jej nie interesowało. O niczym nie myślała. Spalała się w gwałtownym napięciu sprzeciwu, który był jak ujemny biegun magnesu.

Rodziła dzieci. Po pewnym czasie nie przeciwstawiała się już mężowi ani słowem, ani czynem. Na pozór nie zwracała na niego uwagi. Była wobec niego uległa, pozwalała mu brać, co chce, i robić z nią, co chce. Była jak sokół, który ponuro poddaje się cudzej woli. Oboje z mężem obywali się bez słów, nic nie chcieli o sobie wiedzieć, ale łączył ich związek głęboki, straszny, związek nieuchronnie zmierzający do wzajemnego unicestwienia. I on, który pozornie zwyciężył, stawał się coraz bardziej pusty w środku, żywotność uchodziła z niego jak krew przy krwotoku. Ona, ociężała jak sokół w klatce, miała nadal

serce zawzięte i równie zdrowe jak dawniej, choć umysł jej uległ zniszczeniu.

Nadal więc od czasu do czasu przychodził i brał ją w ramiona, póki nie opuściły go całkiem siły. Straszne, białe, niszczące światło, które płonęło w jej oczach, podniecało go tylko i pobudzało. Dopiero kiedy uszła z niego krew, zaczął bać jej się bardziej niż czegokolwiek. Ale stale wspominał, jak był szczęśliwy, jak kochał ją czystą, żarliwą miłością, zawsze, odkąd ją znał. W jego myślach była wciąż czysta i niewinna; biały płomień, który tylko on jeden znał, płomień jej seksu, był białym kwiatem śniegu. Cała była cudownym śnieżnym kwiatem i bezgranicznie jej pożądał. Teraz, kiedy umierał, wszystkie jego przekonania, wszystkie wyobrażenia pozostały nietknięte. Wyrzeknie się ich dopiero, gdy wyda ostatnie tchnienie. Do tej chwili będą dla niego niezachwianą prawdą. Dopiero śmierć ujawni cały wymiar kłamstwa. Do momentu śmierci Christiana będzie dla niego białym kwiatem śniegu. Pokonał ją i w swojej uległości była dla niego nieskończenie czysta. Na zawsze zniewoliła go i urzekła jej dziewiczość, której nie mógł skazić.

Ustąpiła wobec świata, ale w duszy pozostała niezłomna i nieugięta. Siedziała w swoim pokoju jak chmurny, nastroszony sokół, bez ruchu i bez myśli. Jej dzieci, którym była tak zapamiętale oddana, nic już dla niej nie znaczyły. Odrzuciła wszystko, została sama. Tylko promienny Gerald jeszcze jakoś istniał. Ale w ostatnich latach, odkąd został szefem przedsiębiorstwa, i o nim zapomniała. Umierający ojciec natomiast właśnie do Geralda zwrócił się po współczucie. Zawsze dochodziło między nimi do konfliktów. Gerald bał się ojca, gardził nim, usilnie starał się unikać go przez całe dzieciństwo i młodość. A ojciec często odczuwał prawdziwą antypatię do najstarszego syna, niechętnie myślał o tym, że z czasem ustąpi mu miejsca. W miarę możności nie interesował się Geraldem, zostawiając go samemu sobie.

Kiedy jednak Gerald wrócił do domu, objął kierownicze stanowisko w firmie i okazał się znakomitym administratorem, ojciec, zmęczony i znudzony prowadzeniem przedsiębiorstwa, przeniósł całą odpowiedzialność na syna, powierzając mu wszystkie sprawy bez wyjątku, rzewnie pogodzony z zależnością od młodego wroga. Wzbudziło to natychmiast dojmującą litość i synowski szacunek w sercu Geralda, dotychczas trawionym pogardą i tajoną niechęcią. Gerald był przeciwny miłosierdziu; a miłosierdzie zdominowało go, rościło sobie prawo do rządu dusz i nie mógł tego prawa zakwestionować. Był więc po części podatny na to, co reprezentował jego ojciec, ale zarazem walczył z tym. Teraz nie miał już ratunku. Nie mógł się oprzeć współczuciu, żalowi i czułości w stosunku do ojca, choć w głębi serca nadal odczuwał posępną wrogość.

Ojciec znalazł schronienie przed Geraldem w jego współczuciu. Ale całą swoją miłość przelał na Winifred. Była jego najmłodszą córką, ją jedną spośród dzieci serdecznie kochał. Kochał ją wielką, samolubną, opiekuńczą miłością umierającego. Chciał chronić ją w nieskończoność, w nieskończoność najczulej otulać miłością, opiekuńczym ciepłem. Gdyby to było w jego mocy, nigdy nie zaznałaby bólu, smutku, krzywdy. Był tak prawy przez całe życie, tak niezmiennie dobry i życzliwy ludziom! I miłość do małej Winifred była ostatnim akordem jego namiętnej prawości. Świat odchodził od niego i siły go opuszczały. Nie było już ubogich, skrzywdzonych i poniżonych, których wspomagałby i osłaniał. Stracił ich wszystkich. Nie miał już synów i córek, którzy przysparzaliby mu kłopotów, i nie przytłaczał go ciężar wymuszonej odpowiedzialności. To także zblakło, przeminęło. Był wolny.

Pozostał tylko skryty strach i wstręt do żony, która, bezmyślna i obca, siedzi w swoim pokoju lub powłóczystymi, skradającymi się krokami, z wysuniętą do przodu głową

chodzi po domu. Odpędzał od siebie te myśli, lecz nawet poczucie sprawiedliwości, towarzyszące mu przez całe życie, nie mogło całkowicie wyzwolić go od wewnętrznej odrazy. Na szczęście umiał trzymać swój wstręt w ryzach. Nigdy nie wybuchnie otwarcie. Najpierw przyjdzie śmierć.

A poza tym była Winifred! Gdyby tylko mógł być o nią spokojny, gdyby mógł być spokojny! Po śmierci Diany i nasileniu się choroby paląca potrzeba zapewnienia Winifred bezpieczeństwa przeszła niemal w obsesję. Jakby nawet umierając musiał się o coś niepokoić, poczuwać się do obowiązku miłości i miłosierdzia.

Winifred była dziwnym, wrażliwym, skłonnym do egzaltacji dzieckiem, miała ciemne włosy podobnie jak ojciec i tak samo spokojny sposób bycia, ale w przeciwieństwie do ojca była obojętna i kapryśna. Zachowywała się jak odmieniec, jakby w gruncie rzeczy jej uczucia nie były dla niej ważne. Często bawiła się czy rozmawiała jak najweselsze i najbardziej dziecinne dziecko. Nielicznych, których kochała — głównie ojca i swoje zwierzęta — obsypywała najgorętszymi, najbardziej czarującymi dowodami czułości. Ale dowiedziawszy się, że jej ukochany kot Leo został przejechany przez samochód, przechyliła głowę na bok, spytała z lekkim grymasem urazy: „Naprawdę?” i więcej nie zaprzątała sobie tym myśli. Przestała tylko lubić służącą, która zmusiła ją do wysłuchania złej nowiny, i odtąd stale jej dokuczała. Po prostu nie chciała wiedzieć, i to nią głównie powodowało. Unikała matki i większości członków rodziny. Tatusia kochała, bo chciał, żeby zawsze była szczęśliwa, i w jej obecności stawał się znów młody i lekkomyślny. Lubiła Geralda, bo był powściągliwy. Uwielbiała ludzi, przy których życie było zabawą. Miała zdumiewające, intuicyjne zdolności krytyczne — była jednocześnie czystej krwi anarchistką i czystej krwi arystokratką. Uznawała równych sobie, gdziekolwiek by ich spotkała, i z pogodną obojętnością ignorowała niższych od

siebie, wszystko jedno, czy byli to jej bracia, siostry lub zamożni goście rodziców, czy też prości ludzie lub służący. Była osobna, samowystarczalna i nie miała poprzedników. Jakby żyła bez celu i bez ciągłości, istniała po prostu z chwili na chwilę.

Ojciec ulegając ostatniemu przed śmiercią osobliwemu złudzeniu uważał, że jego los zależy wyłącznie od tego, czy potrafi zapewnić szczęście córce. Tę Winifred, która nie umiała cierpieć, gdyż z nikim nie łączyły jej prawdziwe więzy, tę Winifred, która utraciwszy najukochańszą istotę, nazajutrz była taka jak zawsze, jakby każde zdarzenie umiała wyrzucić z usłużnej pamięci, dziwną, samowolną Winifred, anarchistyczną, wręcz nihilistyczną w swych postępkach, która jak ptak bez duszy przelatuje z miejsca na miejsce bez sentymentów i obowiązków, wesoło i swobodnie każdym ruchem targając nici najgłębszych związków — prawdziwa nihilistka, bo niczym się nie przejmuje — właśnie Winifred ojciec u schyłku życia musiał otoczyć żarliwą troskliwością.

Usłyszawszy, że Gudrun Brangwen mogłaby uczyć Winifred rysunku i modelowania z gliny, pan Crich ujrzał drogę zbawienia dla swojego dziecka. Wierzył w talent Winifred, zetknął się z Gudrun, wiedział, że jest kobietą wyjątkową. Mógł oddać Winifred w jej ręce przekonany, że okażą się odpowiednie. Gudrun będzie miała na nią dobry wpływ i nada jej właściwy kierunek. A on nie zostawi córki zagubionej i bezbronnej. Ach, gdyby przed śmiercią zdążył zaszczepić małą na jakimś drzewie mądrości, na którym by zaowocowała, wywiązałby się ze swoich obowiązków. Mogło mu się to teraz udać. Bez wahania postanowił zwrócić się do Gudrun.

W miarę jak ojciec coraz bardziej oddalał się od życia, Gerald czuł się coraz mocniej zagrożony. Bo przecież ojciec stał między nim a światem; póki żył ojciec, Gerald nie był za świat odpowiedzialny. A teraz, kiedy ojciec umierał, Gerald

poczuł się nieprzygotowany i wystawiony na burze życia, jak zbuntowany pierwszy oficer statku, który po utracie kapitana nie widzi nic przed sobą prócz straszliwego chaosu. Nie odziedziczył po nim wiary w ustalony porządek rzeczy, nie przyświecała mu idea przewodnia. Jakby myśl o ludzkości umierała razem z ojcem, jakby ze śmiercią ojca przestawały istnieć siły spajające świat w całość, która teraz rozpadnie się w przeraźliwej dezintegracji. Gerald miał wrażenie, że stoi na pokładzie okrętu, który rozpada się pod jego stopami, że ponosi odpowiedzialność za statek, który tonie.

Zdawał sobie sprawę, że przez całe życie starał się rozbić strukturę własnego świata. I teraz, z przerażeniem dziecka niszczącego wszystko dookoła, zrozumiał, że ma odziedziczyć to, co sam zniszczył. Podczas ostatnich miesięcy, pod wpływem śmierci Diany, rozmów z Birkinem i silnej osoboVości Gudrun, utracił całkowicie ową instynktowną pewność, która zapewniała mu sukcesy. Czasem chwytały go paroksyzmy nienawiści do Birkina, Gudrun i ludzi tego typu. Chciał wrócić do najnudniejszego konserwatyzmu, do najgłupszych spośród swoich konwencjonalnych znajomych, przystać do najbardziej skostniałych torysów. Ale pragnienie to nie trwało nigdy dość długo, żeby pobudzić go do czynu.

W dzieciństwie i jeszcze jako kilkunastoletni chłopiec marzył o powrocie do stanu dzikości. Ideałem jego były czasy Homera, kiedy mężczyzna był wodzem armii bohaterów lub przeżywał niezwykłe odyseje. Nienawidził zapamiętale wszystkiego, co go otaczało. Do tego stopnia, że właściwie nigdy nie widział naprawdę Beldover ani zagłębia węglowego. Z całą determinacją odwracał twarz od sczerniałego okręgu kopalń, który rozciągał się na prawo od Shortlands, a zwracał się w stronę krajobrazu wsi i lasów za Willey Water. To prawda, że w Shortlands zawsze słychać było od szybów dudnienie i stukot. Ale Gerald od

najwcześniejszego dzieciństwa nie zwracał na to uwagi. Po prostu nie dostrzegał morza przemysłu, którego czarne od węgla fale podpływały pod sam ich dom. Prawdziwy świat był dziwną krainą, gdzie człowiek poluje, pływa i jeździ konno. Buntował się przeciw wszelkim autorytetom; życie miało być stanem dzikiej wolności.

Posłano go potem na wyższą uczelnię, co odczuł jak skazanie na śmierć. Nie zgodził się studiować w Oxfordzie, wybrał niemiecki uniwersytet. Spędził trochę czasu w Bonn, w Berlinie i we Frankfurcie. Tak rozbudziła się w nim ciekawość. Chciał widzieć i wiedzieć, ale inaczej niż inni ludzie, bezinteresownie, traktując to jak rozrywkę. Uznał, że musi spróbować wojny. Potem odbędzie podróż do dzikich krajów, które od dawna go pociągały.

W rezultacie ludzie okazali się wszędzie podobni do siebie i dla mężczyzny takiego jak on, mężczyzny o chłonnym, zimnym umyśle, dzikus był nudniejszy, mniej podniecający niż Europejczyk. Zapoznał się z mnóstwem rozmaitych koncepcji socjologicznych i programów reform społecznych. Ale nie zaciekawiły go głębiej, nie stały się niczym więcej niż rozrywką dla umysłu. Zastanawiało go, że na pierwszy plan wysuwają działalność skierowaną przeciw istniejącemu porządkowi, działalność niszczącą.

W końcu prawdziwą przygodę znalazł w kopalniach węgla. Ojciec poprosił go o pomoc w firmie. Gerald otrzymał wykształcenie górnicze, ale nigdy go to nie interesowało. Nagle, olśniony, zapuścił się w nowy świat.

Wielki przemysł dotychczas odbijał się fotograficznie w jego świadomości. Teraz stał się rzeczywistością, a on sam cząstką tej rzeczywistości. Przez zagłębie biegły szyny kolejowe łączące kopalnie. Po szynach szły pociągi, krótkie pociągi z ciężko wyładowanymi platformami, długie pociągi z pustymi wagonami. Na każdym wagonie, na każdej platformie widniały białe litery: C. B. i Sp.

Na te białe litery na wszystkich wagonach patrzał od najmłodszych lat. Nigdy ich właściwie nie widział; tak mu były znajome, że nie zwracał na nie uwagi. Wreszcie ujrzał własne imię wypisane na ścianie wagonu. Zaświtała mu wizja władzy.

Tak wiele wagonów noszących jego inicjały przemierzało cały kraj! Widział je dojeżdżając pociągiem do Londynu, widział je w Dover. Daleko rozciągała się jego władza! Spoglądał na Beldover, na Selby, na Whatmore, na Lethley Bank— duże osady zagłębia, których byt zależał wyłącznie od jego kopalń. Były szkaradne, brudne, w dzieciństwie zżymał się na samą myśl o nich. Dziś patrzał na nie z dumą. Na jego utrzymaniu były cztery całkiem nowe miasta i mnóstwo brzydkich, przemysłowych osiedli. Widział strumienie górników, płynące późnym popołudniem groblą z kopalni, tysiące przygarbionych mężczyzn z ustami czerwieniejącymi w pokrytych czarnym pyłem twarzach, mężczyzn, których każdy ruch dyktowany był jego wolą. W Beldover, w piątkowe wieczory przeciskał się samochodem przez mały rynek wśród zbitego tłumu ludzi, którzy robili tu zakupy i wydawali swoje tygodniowe zarobki. Wszyscy zależeli od niego. Byli brzydcy i nieokrzesani, ale były to jego narzędzia, on nimi manipulował. Był dla nich Bogiem maszyny. Powoli, automatycznie, rozstępowali się przed jego autem.

Nie obchodziło go, czy rozstępują się skwapliwie, czy niechętnie. Nie obchodziło go, co o nim myślą. Nagle skrystalizowała się jego wizja. Pojął, że ludzkość jest tylko narzędziem działania. Tyle jest gadania ó humanitaryzmie, o cierpieniach i uczuciach. Śmieszne. Cierpienia i uczucia jednostki nie liczą się w najmniejszym stopniu. Są po prostu warunkami atmosferycznymi istnienia człowieka. Ważne jest tylko, czy jednostka sprawdza się jako narzędzie, tak jak pytamy, czy nóż dobrze kraje. I tylko to jest dla nas ważne.

Na świecie wszystko spełnia jakąś funkcję i jest dobre lub niedobre zależnie od tego, czy spełnia tę funkcję mniej czy bardziej doskonale. Czy ten górnik jest dobrym górnikiem? Jeśli tak, jest pełnym człowiekiem. Zarządca ma być dobrym zarządcą. Nic ponad to. Sam Gerald, który odpowiada za całe przedsiębiorstwo, czy jest dobrym dyrektorem? Jeśli tak, spełnił swoje życiowe zadanie. Inne sprawy są drugoplanowe.

Kopalnie były stare, niektóre złoża na wyczerpaniu, ich eksploatacja przestała się opłacać. Mówiono, że dwie z nich trzeba będzie zamknąć. Wtedy właśnie na scenie pojawił się Gerald.

Najpierw się rozejrzał. Tam leżą kopalnie. Są zmarniałe, znużone, jak stare niedołężne lwy. Rozejrzał się po raz drugi. Ba! Te kopalnie to po prostu owoc nieudolnych wysiłków bezradnych ludzi, poronione pomysły niedouczonych dyletantów. Trzeba ich koncepcje wyrzucić na śmietnik Wymiótł je z mózgu i starał się myśleć tylko o węglu pod ziemią. Ile go jest?

Węgla jest dużo. Ale stary system wydobycia po prostu nie jest już przydatny. Należy więc skończyć ze starym systemem. Złoża węgla istnieją, nawet jeśli są cienkie. Leży tu bezwładna materia, zawsze, od zarania czasów poddana woli człowieka. Wola człowieka jest tu czynnikiem decydującym. Człowiek jest arcybogiem ziemi. Jego umysł posłusznie służy jego woli. Wola ludzka jest absolutem, jedynym absolutem.

A wolą Geralda było podporządkowanie sobie materii. Istotę sprawy stanowił sam proces ujarzmiania materii, najważniejsza była walka, nie owoce zwycięstwa. Gerald przejął kopalnie nie dla pieniędzy. Pieniądze w gruncie rzeczy mało go obchodziły. Nie lubił ostentacji, nie miał zamiłowania do zbytku ani też właściwie nie dbał o pozycję towarzyską. Naprawdę chciał tylko jednego: spełnić swoją wolę w walce z naturą. A jego wolą było wydobywanie z

zyskiem węgla z ziemi. Zysk był jedynie warunkiem zwycięstwa, samo zwycięstwo polegało na pokazaniu, że można je osiągnąć. Pasjonowała go próba sił. Co dzień schodził do kopalń, badał, sprawdzał, radził się ekspertów, stopniowo obejmował myślą całą sytuację, jak generał układający plan kampanii.

Teraz trzeba było dokonać przełomu. Kopalnie pracowały według dawnego systemu, anachronicznych zasad. Zgodnie z pierwotnym założeniem miano wydobyć z ziemi dość pieniędzy, żeby właścicielom zapewnić dostatnie, wygodne życie, a robotnikom godziwe zarobki i dobre warunki pracy, a także przyczynić się do zwiększenia zamożności kraju. Ojciec Geralda, posiadacz znacznej fortuny w drugim pokoleniu, myślał już tylko o swoich ludziach. Kopalnie były dla niego przede wszystkim terenem, który miał dostarczyć chleba i dać dobrobyt setkom okolicznych mieszkańców. W sporach ze swoimi wspólnikami za każdym razem występował po stronie robotników. I robotnicy z tego korzystali. Prawie nie było takich, którym dokuczałaby bieda. Żyli dostatnio, bo kopalnie były wydajne i łatwe w eksploatacji. Górnicy byli weseli i zadowoleni, nie spodziewali się, że kiedykolwiek będzie im się wiodło aż tak dobrze. Gratulowali sobie szczęśliwego losu, pamiętali, że ich ojcowie męczyli się i przymierali głodem, cieszyli się, że nadeszły lepsze czasy. Byli wdzięczni nowym właścicielom, pionierom przemysłu, którzy powiększając kopalnie puścili strumień dobrobytu.

Człowiek jednak nigdy nie umie zadowolić się tym, co ma, i górnicy zaczęli sarkać na swoich pracodawców. Jak gdyby wzrost świadomości uszczuplił ich stan posiadania — chcieli mieć więcej. Dlaczego ich pracodawca ma być bez porównania bogatszy?

Kryzys wybuchnął, kiedy Gerald był jeszcze chłopcem. Zjednoczenie Właścicieli zamknęło kopalnie, gdyż górnicy nie zgadzali się na obniżkę wynagrodzeń. Lokaut w całej

pełni uzmysłowił Thomasowi Crichowi, jak bardzo zmieniła się sytuacja. Ponieważ należał do Zjednoczenia, honor nakazywał mu zamknąć kopalnie, wbrew robotnikom. On, ojciec, patriarcha, zmuszony był pozbawić środków do życia swych synów, swój lud. On, bogacz, który być może z powodu swego majątku nie dostanie się do nieba, musiał obrócić się przeciw ubogim, którzy są bliżsi Chrystusowi niż on, przeciw ludziom pokornego serca, pogardzanym, lecz bardziej doskonałym, męskim i szlachetnym w swym mozolnym trudzie, i miał im rzec: „Nie będziecie ani pracować, ani spożywać chleba”.

Właśnie świadomość, że są w stanie wojny, złamała mu serce. Chciał, żeby w jego przedsiębiorstwie sprawczą siłą była miłość. Nawet kopalnie chciał oddać pod jej panowanie. A teraz nagle spod płaszcza miłości cynicznie wydobyto miecz, miecz materialistycznej konieczności.

Złamało mu to dosłownie serce. Potrzebowali iluzji i rzeczywistość je rozwiała. Ludzie nie zwrócili się akurat przeciw niemu, walczyli z pracodawcami. To była wojna i chcąc nie chcąc znalazł się po stronie, w jego własnym sumieniu, niewłaściwej. Porwane nową religią, rozgorączkowane tłumy górników zbierały się dzień po dniu. Urzekła ich idea: „Wszyscy ludzie na ziemi są równi” i zapragnęli wcielić w życie. Bo w końcu, czy nie tego uczy Chrystus? I czym jest idea, jeśli nie zarodkiem działania w materialnym świecie? „Wszyscy ludzie są równi duchem, wszyscy są dziećmi Boga. Skąd więc ta oczywista nierówność?” Takie wnioski nasuwała religia. Thomas Crich w każdym razie nie umiał na to odpowiedzieć. Mógł jedynie przyznać, zgodnie ze swym najszczerszym przekonaniem, że nierówność jest niesłuszna. A skoro nie ma oddać swego majątku, który jest przyczyną nierówności, ludzie będą walczyć o swoje prawa. Ożywiały ich ostatnie porywy jedynej pasji religijnej, jaka przetrwała na ziemi… pasji równości.

Wszędzie pełno było wzburzonych mężczyzn, z płonącymi twarzami, których ognie świętej wojny przyćmiewał dymek chciwości. Jak rozróżnić żądzę równości od żądzy bogactwa? W jakim punkcie zaczyna się walka o równość posiadania? Bogiem jest maszyna. Każdy rości sobie prawo do równości wobec boskiego mechanizmu produkcji. Każdy po równi jest cząstką tego boga. Ale gdzieś w głębi duszy Thomas Crich wiedział, że to fałsz. Jeśli maszyna jest bogiem, a praca nabożeństwem, to najbardziej mechaniczny umysł jest umysłem najczystszym i najwznioślejszym — przedstawicielem Boga na ziemi. Inni są jego podwładnymi, każdy według swojej rangi.

Wybuchły zamieszki. Wieże szybów w Whatmore stanęły w ogniu. Była to najdalsza kopalnia w okolicy, tuż pod lasem. Wezwano wojsko. Tego fatalnego dnia z okien domu w Shortlands można było zobaczyć na niebie słup ognia i zaraz potem małe wagoniki miejscowej kolejki, które zwykle woziły górników do odległego Whatmore, przemknęły przez dolinę wypełnione żołnierzami. Niebawem dotarły tu stłumione odgłosy strzałów, potem wiadomości, że tłum został rozpędzony, jednego człowieka zastrzelono i ugaszono ogień.

Gerald, wówczas młody chłopiec, szalał z podniecenia i uciechy. Marzył, żeby razem z żołnierzami strzelać do ludzi. Nie pozwolono mu jednak wyjść poza obręb posiadłości. Przy bramie stały warty uzbrojone w karabiny. Gerald trzymał się blisko nich, podczas gdy gromady urągających im górników krążyły po ścieżkach wznosząc okrzyki i szydząc:

— Hej tam, postrzelajcie sobie, jazda!

Na murach i parkanach wypisywano kredą wyzwiska, służba porzuciła pracę.

Przez cały ten czas Thomas Crich zamartwiał się i przeznaczał setki funtów na cele dobroczynne. Wszędzie

rozdawano za darmo żywność aż do przesytu. Każdy dostawał chleb, choć bochenek kosztował zaledwie półtora pensa. Codziennie urządzano gdzieś bezpłatne podwieczorki, dzieci w życiu swoim nie jadły tylu smakołyków. W piątek po południu do szkół przynoszono wielkie kosze z bułeczkami i ciastkami i duże dzbany mleka, żeby każde dziecko mogło najeść się do woli. Wiele z nich pochorowało się od nadmiaru ciastek i mleka.

Wreszcie lokaut się skończył i ludzie wrócili do roboty. Ale nigdy już nie było tak jak przedtem. Powstała nowa sytuacja i górę wzięły nowe idee. Nawet w maszynie miała panować równość, żadna jej część nie mogła być podporządkowana innej części: wszystkie powinny być sobie równe. Zrodził się pociąg do chaosu. Mistyczna równość to pojęcie oderwane, nie polegające na posiadaniu czy działaniu, bo posiadanie i działanie to są procesy. Podczas wypełniania czynności czy w przebiegu procesu z konieczności jeden człowiek, jedna część musi podporządkować się innej. Jest to warunek istnienia. Lecz zrodziło się pragnienie chaosu, a idea mechanicznej równości stała się orężem rozkładu, orężem, który pozwoli to pragnienie urzeczywistnić.

Gerald w okresie strajku był chłopcem, który marzył, żeby być mężczyzną i pokonać górników. Jego ojciec natomiast uwikłał się między dwie prawdy i to go złamało. Chciał być prawdziwym chrześcijaninem, dla którego wszyscy ludzie są równi. Wolałby nawet oddać ubogim wszystko, co posiadał. Ale jednocześnie był wybitnym przemysłowcem i doskonale wiedział, że musi zachować zarówno majątek, jak i autorytet. Odczuwał to jako konieczność z boskiego nakazu, równie silną, jak potrzeba rozdania bogactw, a nawet silniejszą, ponieważ działał zgodnie z tą koniecznością. Lecz właśnie dlatego ideały, których nie urzeczywistniał, zdominowały go, umierał ze zgryzoty, ponieważ ich się wyrzekł. Chciał być dobrym

ojcem, kochającym i łaskawym. Górnicy krzyczeli, że zarabia tysiące rocznie. Nie dawali się zwodzić.

W miarę jak Gerald dorastał, coraz lepiej rozumiał mechanizmy świata i kwestia równości przestała go obchodzić. Całą tę ewangeliczną postawę miłości i poświęcenia uznał za anachronizm. Wiedział, że w życiu liczy się wyłącznie pozycja i władza i nie warto nad tym lamentować. Liczą się z prostego powodu, że są społecznie niezbędne. Nie dlatego, że stanowią istotę i ostateczny cel. Ale tak już jest, że maszyna składa się z części. On, Gerald, jest przypadkiem główną, sterującą częścią, a masy ludzkie są częściami w rozmaity sposób sterowanymi. Tak się po prostu złożyło. Równie dobrze można by oburzać się, że centralne koło wprawia w ruch sto kółek zewnętrznych albo że planety krążą wokół słońca. Byłoby przecież oczywistą brednią twierdzić, że Księżyc, Ziemia, Saturn, Jowisz czy Wenus, każde z osobna ma takie samo prawo być centrum wszechświata jak Słońce. Takie żądanie wysuwać można tylko po to, żeby doprowadzić do chaosu.

Gerald nie zastanawiał się długo, wolał wyciągnąć wnioski bez głębszego namysłu. Cały problem demokracji i wolności odrzucił jako bzdurę. Ważna była tylko wielka społeczna maszyna wytwórcza. Niech pracuje bezbłędnie, niech wytwarza pod dostatkiem towarów, niech każdy człowiek otrzyma rozsądną porcję, większą lub mniejszą, zależnie od stopnia użyteczności i znaczenia, a potem, kiedy będzie już dość dla wszystkich, pal diabli, niech ludzie bawią się, robią, co im się żywnie podoba, byle tylko nie z krzywdą bliźniego.

Tak więc Gerald wziął się do przywracania porządku w wielkim przemyśle. Ze swoich podróży i lektur wyciągnął wniosek, że podstawową tajemnicą życia jest harmonia. Nie określił sobie dokładnie, co to właściwie znaczy. Wyraz podobał mu się, zadowolony był, że wpadł na oryginalny pomysł. Wcielał w życie swoją filozofię wprowadzając ład do

otaczającego go świata, mistyczną „harmonię” przekładając na konkretną „organizację”.

Rozejrzawszy się po przedsiębiorstwie od razu zorientował się, co ma tu do roboty. Musiał stoczyć walkę z Materią — z ziemią i z węglem, który w sobie kryła. Tylko o tym myślał: jak ma opanować martwą materię pod ziemią i poddać ją swojej woli. Do walki z materią człowiek potrzebuje znakomitych narzędzi, znakomicie skoordynowanych, mechanizmu tak subtelnego i harmonijnego w działaniu, jak subtelny i harmonijny jest umysł ludzki, mechanizmu, który przez nieustępliwe powtórzenia raz ustalonego ruchu zmierza nieuchronnie i bezwzględnie do celu. Właśnie owa nieludzka zasada mechanizmu, jaki zamierzał skonstruować, przejmowała Geralda niemal religijną egzaltacją. On, człowiek, ujarzmiał materię za pośrednictwem nieskazitelnie doskonałego, niezmiennego, boskiego instrumentu działania, który sam stworzy. Jego wola i oporna Materia ziemi — to dwie przeciwstawne siły. I miał wstawić między te dwie siły wielką, cudowną maszynę, wyraz jego woli, wcielenie jego potęgi, wspaniały system działający według zasady czystego porządku, czystego mechanicznego powtarzania, powtarzania ad infinitum, a więc wiecznego i nieskończonego. Owo wieczne i nieskończone znajdował w czystej, mechanicznej zasadzie doskonałej koordynacji jednego, czystego, złożonego, powtarzającego się w nieskończoność ruchu, podobnego do wirowania koła; ale do wirowania twórczego, jak twórczym wirowaniem można nazwać krążenie wszechświata, twórczym powtarzaniem przez wieczność, w nieskończoność. I to właśnie jest bóg ruchu — ta twórcza kontynuacja w nieskończoność. Gerald jest Bogiem Maszyny, Deus ex Machina, I Bogiem jest twórcza wola człowieka.

Miał teraz cel życia — upowszechnić wielki i doskonały system, w którym ludzka wola działa gładko, bez przeszkód,

ponad czasem, stopniowo stając się bogiem. Zacząć należy od kopalń. Warunki były określone: najpierw oporna Materia pod ziemią; potem narzędzia, które pozwolą ją ujarzmić — narzędzia ludzkie i metalowe; i po trzecie jego własna czysta wola, jego własny umysł. Wymagać to będzie idealnego zestrojenia niezliczonego mnóstwa narzędzi ludzkich, zwierzęcych, metalowych, ruchomych, dynamicznych, idealnego zespolenia mnóstwa drobnych całości w jedną wielką, doskonałą całość. Wówczas doskonałość zostanie osiągnięta, wola Najwyższego doskonale spełniona, wola ludzkości ustanowiona; bo czyż ludzkość nie jest mistycznie przeciwstawiona nieożywionej materii, czy dzieje ludzkości nie są po prostu historią podbicia materii?

Górnicy pozostali w tyle. Nie wydobyli się jeszcze z matni wiary w boską równość wszystkich ludzi, kiedy Gerald posunął się dalej; załatwił w zasadzie ich sprawę i poszedł naprzód, aby będąc człowiekiem spełniać wolę całej ludzkości. Reprezentował górników w wyższym sensie, od kiedy stwierdził, że jedynym sposobem, w jaki najdoskonalej spełnić można wolę człowieka, jest skonstruowanie bezbłędnej, nieludzkiej maszyny. Reprezentował istotę ich interesów, a oni pozostali daleko w tyle, staroświeccy, kłócąc się o równość materialną. Przedmiot ich pragnień zmienił się, jest inny, większy, ich ideałem ma być cudowny mechanizm pośredniczący między człowiekiem a Materią, czysty mechanizm, który jest uosobieniem Boga.

Natychmiast po wejściu Geralda do firmy starym systemem wstrząsnął śmiertelny paroksyzm. Młodego Cricha przez całe życie nękał wściekły, niszczycielski demon, czasem porażał go jak obłęd. Ten nastrój przedostał się teraz niczym wirus do przedsiębiorstwa i doszło do okrutnych wybuchów. Straszne i nieludzkie były metody, jakimi Gerald starał się dotrzeć do najdrobniejszych szczegółów; nie oszczędzał prywatnych tajemnic, nie

wzruszały go dawne sentymenty. Starzy, siwi zarządcy, starzy, siwi urzędnicy, zramolali weterani — wszystko to były niepotrzebne graty, które należało usunąć. Koncern sprawiał wrażenie szpitala dla inwalidów. Gerald nie miał sentymentalnych skrupułów. Załatwił niezbędne emerytury, poszukał zdolnych ludzi i zastąpił nimi starych pracowników.

— Mam tu smutny list od Letheringtona — w głosie ojca brzmiał ton żalu i gorącej prośby. — Nie myślisz, że można by biedaka jeszcze trochę zatrzymać? Zawsze zdawało mi się, że dobrze sobie radzi.

—Jest już ktoś inny na jego miejsce, ojcze. Wierz mi, tak mu będzie lepiej. Ma chyba dość wysoką rentę, nie uważasz?

— Nieborakowi nie chodzi o rentę. Cierpi, że jest emerytem. Sądził, że ma jeszcze przed sobą dwadzieścia lat pracy.

— Nie takiej pracy, jaka mnie jest potrzebna. Nie zna się na tym.

Ojciec wzdychał. Nie chciał nic więcej wiedzieć. Wierzył, że w kopalniach trzeba wszystko gruntownie zmienić, skoro mają być nadal czynne. A w końcu każdy na tym ucierpi, jeśli trzeba będzie je zamknąć. Nie miał więc odpowiedzi na prośby swoich starych, zaufanych pracowników, mógł tylko powtarzać: „Gerald uważa, że...”

Ojciec stopniowo coraz bardziej usuwał się w cień. Runął cały, normalny w jego odczuciu porządek żyda. Według jego ideałów to on miał słuszność. Były to ideały wielkiej religii. A przecież zostały jakby zarzucone, wyparte ze świata. Nie mógł tego zrozumieć. Wierny im dalej, zamknął się w sobie, zapadł w milczenie. Piękne świece wiary, które już nie przyświecają światu, będą płonąć słodko i dość jeszcze jasno w jego duszy i w ciszy odosobnienia.

Gerald bezzwłocznie przystąpił do reorganizacji firmy, poczynając od biur. Trzeba było poważnie ograniczyć

wydatki, żeby umożliwić wielkie, zmiany, jakie zamierzał wprowadzić.

— Co to jest wdowi węgiel? — pytał.

— Wdowy po pracownikach zawsze dostawały od firmy co trzy miesiące przydział węgla.

— W przyszłości będą musiały płacić po cenie kosztu. Firma nie jest instytucją dobroczynną, jak tu każdy zdaje się uważać.

Na samą myśl o wdowach, tym sztandarowym obiekcie czułostkowego humanitaryzmu, odczuwał niechęć. Budziły w nim niemal odrazę. Dlaczego nie palono ich na stosie pogrzebowym męża jak w Indiach w rytuale sati? Niech więc przynajmniej kupują węgiel po cenie kosztu.

Na tysiąc sposobów obcinał wydatki używając metod tak subtelnych, że ludzie prawie tego nie dostrzegali. Górnicy musieli płacić za dowóz węgla; musieli płacić za narzędzia, za ostrzenie narzędzi, za czyszczenie lamp, za mnóstwo drobiazgów, co obciążało każdego pracownika do wysokości szylinga tygodniowo. Górnicy, choć i tak rozgoryczeni, wcale się w tym nie połapali. A oszczędzało to firmie co tydzień setki funtów.

Stopniowo Gerald przejął całe przedsiębiorstwo. I zaczęły się wielkie reformy. Założono ogromną instalację elektryczną, która dawała moc, światło i obsługiwała transport pod ziemią. Doprowadzono elektryczność do każdej kopalni. Zakupiono w Ameryce nową aparaturę, jakiej górnicy nigdy nie widzieli — wielkich żelaznych ludzi, jak nazywano maszyny tnące, i inne nadzwyczajne urządzenia. Metody eksploatacji kopalni zostały gruntownie zmienione. Zniesiono system brygad, górnikom odebrano kontrolę. W zarządzaniu przedsiębiorstwem stosowano niesłychanie ścisłe i konsekwentne metody naukowe. Kierownictwo wszędzie przejęli wykształceni fachowcy, górników obrócono w mechaniczne roboty. Musieli pracować

ciężko, o wiele ciężej niż poprzednio, praca była okropna i nękająca przez swój automatyzm.

Wszystkiemu się podporządkowali. Stracili radość życia, jakby ich nadzieje gasły, w miarę jak coraz bardziej mechanicznie wykonywali swoją robotę. A jednak zgodzili się na nowe warunki. Czerpali z nich nawet pewną satysfakcję. Z początku nienawidzili Geralda Cricha, zaklinali się, że mu nie darują, że go zabiją. Ale z upływem czasu zaakceptowali wszystkie zmiany z jakimś fatalistycznym zadowoleniem. Gerald był ich najwyższym kapłanem, reprezentował religię, której i oni stali się wyznawcami. To był nowy świat, nowy porządek, surowy, groźny, nieludzki, lecz w samej sile zniszczenia zawierający rodzaj kompensaty. Ludzie byli dumni, że są cząstką owej wielkiej, wspaniałej maszynerii nawet wtedy, kiedy ich niszczyła. Tego właśnie chcieli. Był to najdoskonalszy twór człowieka, wspaniały i nadludzki. Oszałamiała ich przynależność do wielkiego i nadludzkiego systemu, systemu istniejącego poza czuciem i rozumieniem, na podobieństwo boskie. Ich serca umierały, ale dusze były zadowolone. Tak, tego chcieli. W przeciwnym razie Gerald nigdy nie dokonałby tego, co zamierzył. Po prostu wyprzedzał ich, żeby dać im to, czego sami chcieli — uczestnictwo w wielkim i doskonałym systemie, który życie podporządkował czystym matematycznym zasadom. Takiej swoistego rodzaju wolności pragnęli. Był to pierwszy wielki krok ku rozkładowi, pierwsza wielka faza chaosu, zastąpienie zasady organicznej zasadą mechaniczną, zniszczenie celów organicznych, organicznej jedności i podporządkowanie każdego zespołu organicznego wielkiemu mechanicznemu celowi. Była to czysto organiczna dezintegracja i czysto mechaniczna organizacja. Pierwsza i najsubtelniejsza faza chaosu.

Gerald był zadowolony. Wiedział, że górnicy nie ukrywają nienawiści do niego. Ale sam dawno już przestał

ich nienawidzieć. Wieczorami, kiedy tłumnie przechodzili koło niego, pochyleni, powłócząc nogami w ciężkich butach, nie zwracali na niego uwagi, nikt go nie pozdrawiał, mijali go szaroczarnym potokiem obojętnej akceptacji. Istnieli dla niego jedynie jako narzędzia, a on był dla nich intrumentem najwyższej władzy. Mieli swój sens jako górnicy, tak jak on jako dyrektor. Cenił ich kwalifikacje. Ale każdy z nich jako człowiek, jako indywidualność był przypadkowym zjawiskiem, sporadycznym zdarzeniem, drobnym i nieważnym. I ludzie milcząco zgadzali się z tym, bo Gerald tak samo traktował i siebie.

Powiodło mu się. Nadał przedsiębiorstwu nowy, straszny i nieskazitelny kształt. Wydobycie węgla było większe niż kiedykolwiek, wspaniały, konsekwentny system działał niemal bezbłędnie. Gerald zatrudniał zespół autentycznie zdolnych specjalistów — inżynierów górników i elektryków, którzy wcale nie kosztowali go drogo. Wysoce wykształcony pracownik kosztuje niewiele drożej niż robotnik. Obecni kierownicy — wszyscy o wyjątkowych kwalifikacjach — nie pobierali wyższych wynagrodzeń niż głupi partacze z czasów ojca, zwyczajni, doświadczeni górnicy. Naczelny dyrektor, zarabiający tysiąc dwieście funtów rocznie, oszczędzał firmie co najmniej pięć tysięcy. Cały system funkcjonował teraz tak znakomicie, że Gerald nie był już właściwie potrzebny.

Wszystko szło tak gładko, że czasem nachodziły go dziwne niepokoje i nie wiedział, co począć. Przez kilka lat trwał jakby w transie aktywności. To, co robił, wydawało mu się najważniejsze, czuł się niemal Panem Bogiem. Był samą kwintesencją działania.

Teraz jednak osiągnął, co chciał — wszystko mu się udało. Parę razy ostatnio, kiedy spędzał samotnie wieczór, nagle zrywał się, przerażony, że nie wie, kim jest. Szedł wówczas do lustra i długo przyglądał się z bliska swojej twarzy, oczom, czegoś w nich szukając. Bał się, dławił go

blady, śmiertelny strach, ale nie wiedział przed czym. Patrzył na swoją twarz; była zdrowa, o regularnych rysach, taka sama jak zwykle, a przecież wydawała mu się nierzeczywista, jak maska. Nie śmiał jej dotknąć z obawy, że okaże się woskową maską. Oczy miał niebieskie i bystre jak zawsze i równie mocno osadzone w oczodołach. Ale nie był całkiem pewien, czy nie są to bańki niebieskiego powietrza, które za chwilę pękną i pozostawią jasną nicość. Widział w nich ciemność, jakby były tylko bańkami ciemności. Bał się, że któregoś dnia i on się załamie i będzie już tylko bezsensownym bełkotem chlupoczącym w ciemnościach.

A przedeż miał jeszcze dość silnej woli, mógł odejść, mógł czytać i rozmyślać o różnych sprawach. Lubił książki o człowieku pierwotnym, dzieła antropologiczne i prace z dziedziny spekulatywnej filozofii. Miał ruchliwy umysł. Czy jednak nie była to bańka unosząca się w ciemności? Bańka, która lada chwila mogła pęknąć i pogrążyć go w chaosie? Nie umarłby. Był tego pewien. Żyłby dalej, ale życie straciłoby sens, opuściłby go boski rozum. Bał się, lecz jego lęk był dziwnie jałowy i obojętny, nawet na strach nie umiał reagować. Jakby wyschły w nim ośrodki uczuć. Nadal był spokojny, zdrowy, przewidujący i zachowywał bez trudu rozwagę, nawet kiedy czuł z dreszczem ostatecznego, jałowego przerażenia, że łamie się jego mistyczny rozum, że nie sprosta krytycznej sytuacji.

Męczyło go to. Wiedział, że nie zdoła utrzymać równowagi. Będzie musiał już wkrótce zrobić coś, co przyniesie mu ulgę. Tylko Birkin skutecznie oddalał od niego strach, pomagał mu zachować tożsamość, przez swoją dziwną ruchliwość i zmienność, która zdawała się zawierać kwintesencję wiary.

Ale od Birkina, tak jak z nabożeństwa w kościele, Gerald musiał wracać do realnego świata, w którym trzeba żyć i pracować. Świat nie zmieniał się, słowa były ulotne, nie miały nań wpływu, musiał liczyć się z tym niezmiennym

światem pracy i materii. Było to coraz trudniejsze, przez dziwne ciśnienie, które przygniatało go, jakby od środka był wydrążony i pusty, a od zewnątrz poddany groźnemu napięciu. Najwięcej ulgi i zadowolenia dawały mu kobiety. Rozpustne igraszki z doprowadzoną do rozpaczy kobietą wyzwalały go z lęków. Kłopot polegał na tym, że właściwie kobiety rzadko zdolne były go zainteresować. Przestały go obchodzić. Niektóre na swój sposób były jak należy, ale nawet i one znaczyły niesłychanie mało. Nie, kobiety w tym sensie były już dla niego nieprzydatne. Żeby podniecić się fizycznie, potrzebował ostrego bodźca dla umysłu.

ROZDZIAŁ XVIII

KRÓLIK

Gudrun wiedziała, że przebywanie w Shortlands wystawi ją na próbę. Wiedziała, że jest to równoznaczne ze zgodą na Geralda Cricha jako kochanka. I chociaż, zrażona tą perspektywą, ociągała się, od początku pewna była, że się to zdecyduje. Szukała wymówek. Mówiła sobie, dręcząc się wspomnieniem pocałunku i uderzenia w twarz: „Ostatecznie, co to ma za znaczenie? Czym jest pocałunek? A nawet policzek? Drobny, przelotny incydent. Przecież mogę parę razy pójść do Shortlands, zanim stąd wyjadę, chociażby po to, żeby przyjrzeć się, jak tam jest”. Nienasycenie ciekawa, chciała wszystko zobaczyć i poznać.

Chciała też wiedzieć, jaka jest naprawdę Winifred. Tamtej nocy słyszała jej wołanie ze statku i poczuła się z nią w tajemniczy sposób związana.

Rozmowa z ojcem odbyła się w bibliotece, po czym pan Crich posłał po córkę. Przyszła w towarzystwie Mademoiselle,

— Winnie, to jest panna Brangwen, która łaskawie zgodziła się pomóc ci w rysunkach i w lepieniu twoich zwierząt — powiedział ojciec.

Dziewczynka przez chwilę przyglądała się Gudrun z ciekawością, zanim podeszła bliżej i odwracając buzię podała jej rękę. Dziecinna nieśmiałość Winifred pokrywała jej niewzruszoną sang froid i obojętność czy wręcz nieobliczalną bezwzględność.

— Dzień dobry pani — przywitała się dziewczynka nie podnosząc głowy.

— Dzień dobry — odrzekła Gudrun.

Winifred usunęła się na bok i Gudrun zawarła znajomość z Mademoiselle.

— Piękny dzień na spacer — oznajmiła raźno Francuzka.

— Całkiem ładny — zgodziła się Gudrun.

Winifred obserwowała ją z dystansem. Sprawiała wrażenie rozbawionej, ale niepewnej jeszcze, co to za nowa osoba. Tyle już osób przewinęło się przez jej życie i tak niewiele po nich zostało. Mademoiselle w każdym razie nie liczyła się, dziewczynka, swobodna i spokojna, zaledwie ją tolerowała z lekką ironią, akceptując jej niewielki autorytet, posłuszna jej z dziecinną arogancją wynikającą z obojętności.

— I co, Winifred — rzekł ojciec — cieszysz się, że przyszła panna Brangwen?

Panna Brangwen jest rzeźbiarką. Lepi zwierzęta i ptaki z gliny i rzeźbi z drzewa. Piszą o niej w gazetach i wychwalają ją pod niebiosa. Winifred uśmiechnęła się nieznacznie.

— Kto ci to powiedział, tatusiu?

— Kto mi powiedział? Hermione i Rupert Birkin.

— Zna ich pani? — Winifred zwróciła się do Gudrun. — Tak.

W zachowaniu Winifred zaszła drobna zmiana. Gotowa była potraktować Gudrun jako kogoś w rodzaju służącej. Teraz zorientowała się, że mają obcować ze sobą na przyjaznej stopie. Raczej ją to ucieszyło. Miała wokół siebie aż nadto ludzi niżej postawionych, do których odnosiła się z pogodną wyrozumiałością.

Gudrun była bardzo spokojna. I ona nie brała tych spraw nazbyt serio. Dla niej było to przede wszystkim nowe pole obserwacji. Winifred, obojętna i ironiczna, była dzieckiem nieskłonnym do przywiązania. Gudrun polubiła ją z miejsca i czuła, że zaintrygowało ją to dziecko. Wzbudziło w niej sympatię i ciekawość. Pierwszemu ich zetknięciu

towarzyszyła żenująca nieporadność. Ani Winifred, ani jej przyszła nauczycielka nie miały wcale talentów towarzyskich.

Niebawem jednak spotkały się w. zmyślonym świecie, gdzie wszystko dzieje się na niby. Dla Winifred ludzie istnieli tylko, jeśli byli do niej podobni, skorzy do zabawy i do kpiny. Żyła głównie dla rozrywki i poważnie traktowała jedynie swoje ulubione zwierzęta. Przekornie darzyła je miłością i przyjaźnią. Innym społecznym obowiązkom poddawała się z nieco znudzoną obojętnością.

Gorąco kochała małego pekińczyka Lulu.

— Narysujmy Lulu — zaproponowała jej Gudrun. — Zobaczymy, czy uda nam się oddać jego luluwatość, dobrze?

— Najsłodszy! — Winifred rzuciła się w stronę pieska, który w smutnym zamyśleniu siedział przy kominku, i ucałowała jego baniaste czoło. — Kochanie ty moje, chcesz, żeby cię narysowano? Mamusia ma ci zrobić portret? — zachichotała z radością i odwróciła się do Gudrun. — Och, tak! Narysujmy go!

Przygotowały ołówki i papier.

— Siedź spokojnie, najpiękniejszy — zawołała Winifred tuląc psa — to ci mamusia wyrysuje piękny portret! — Lulu spoglądał na nią z bolesną rezygnacją w wielkich, wyłupiastych ślepiach. Obsypała go żarliwymi pocałunkami. — Ciekawa jestem, jak wypadnie mój rysunek. Na pewno okropnie.

Szkicując śmiała się do siebie i od czasu do czasu wykrzykiwała:

— Mój najsłodszy, jaki ty jesteś śliczny!

I znów rozchichotana biegła ucałować pieska, skruszona, jakby go w jakiś przewrotny sposób krzywdziła. Pekińczyk przez cały czas siedział zrezygnowany, z wyrazem

wielowiekowej zgryzoty na ciemnej, aksamitnej mordce. Winnie rysowała powolutku, skupiona, ze złośliwym błyskiem w oczach, z głową przechyloną na bok, w intensywnym milczeniu. Jak gdyby pracą odczynić chciała urok. Nagle skończyła. Spojrzała na Lulu, potem na swój rysunek i zawołała z prawdziwym współczuciem dla psa, ale też i ze złośliwym tryumfem:

— Mój piękny, co one ci zrobiły?

Chwyciła karton z rysunkiem i podstawiła psu pod nos. Odwrócił łeb w bok, jakby zmartwiony i zawstydzony, i Winnie impulsywnie ucałowała wypukłe, aksamitne czoło.

— To Luluke, mały Lulunio! Popatrz na swój portrecik, słodziutki, popatrz na portret, jaki ci matka wyrysowała. — Spojrzała na karton i zachichotała. Po czym, raz jeszcze ucałowawszy psa, wstała, podeszła do Gudrun i podała jej rysunek.

Był to mały, groteskowy szkic małego, groteskowego zwierzątka, tak złośliwy i tak śmieszny, że na twarz Gudrun z wolna wypłynął bezwiedny uśmiech. Stojąca obok niej Winifred roześmiała się wesoło.

— Wcale niepodobny, prawda? On jest przecież o wiele ładniejszy... Taki jest piękny... Och, Lulu, mój najsłodszy — i odfrunęła, żeby uściskać zafrasowanego pieska. Podniósł na nią pełen wyrzutu, ponury wzrok, zmęczony swoją sędziwością. Winnie parsknęła śmiechem i znów wzięła w rękę rysunek.

— Wcale niepodobny, prawda?

— Owszem, podobny — odpowiedziała Gudrun.

Dziewczynka strzegła rysunku jak skarbu, obnosiła go wszędzie dokoła i pokazywała wszystkim z cichym zażenowaniem.

— Spójrz! — powiedziała wtykając ojcu karton do ręki.

— Przecież to Lulu! — wykrzyknął. Zaskoczył go niesamowity chichot córki. Geralda nie było akurat w Shortlands, kiedy Gudrun tam się pojawiła po raz pierwszy. Ale nazajutrz po powrocie czatował na nią od rana. Była cicha, słoneczna pogoda i Gerald szwendał się po ogrodowych ścieżkach, oglądając kwiaty, które rozkwitły w czasie jego nieobecności. Był jak zawsze świeży i w doskonałej formie, gładko ogolony, z jasnymi włosami starannie zaczesanymi na bok i połyskującymi w słońcu, z równo przyciętym, krótkim, jasnym wąsem, z łagodnie żartobliwym błyskiem oczu, który tak łatwo wprowadzał w błąd ludzi. Czarne ubranie znakomicie leżało na jego dobrze odżywionym ciele. A jednak, kiedy tak w porannym słońcu krążył między klombami, sprawiał wrażenie człowieka nękanego samotnością, jakby lękiem, może niedosytem.

Gudrun nadeszła szybko, niepostrzeżenie. Ubrana była cała na niebiesko, na nogach tylko miała wełniane żółte pończochy, jak uczniowie z Christ’s Hospital. Spojrzał na nią zaskoczony. Zawsze peszyły go jej pończochy — bladożółte pończochy i ciężkie, bardzo ciężkie czarne buciki. Winifred, która bawiła się w ogrodzie z Mademoiselle i z psem, prędko przybiegła do Gudrun. Dziewczynka miała na sobie sukienkę w czarno-białe paski. Jej krótkie włosy obcięte były na okrągło tuż nad karkiem.

— Zrobimy dziś Bismarcka? — spytała ujmując Gudrun pod ramię.

— Dobrze, zrobimy Bismarcka, jeśli masz na to ochotę.

— Och tak, szaloną. Strasznie chcę zrobić Bismarcka. Tak wspaniale dziś wygląda, tak dziko. Jest wielki jak lew. — Dziewczynka zachichotała, rozśmieszona własną przesadą. — To najprawdziwszy król.

— Bonjour, Mademoiselle — odezwała się mała francuska guwernandta z lekkim, wyniosłym skinieniem głowy, jakiego Gudrun szczególnie nienawidziła. — Winifred

veut tant faire le portrait de Bismarck...! Oh, mais toute la matinée... Dziś rano narysujemy Bismarcka. Bismarck, toujours Bismarck! C’est un lapin, n’est-ce pas, Mademoiselle?

— Oui, c’est un grand lapin blanc et noir. Vous ne l’avez pas vu? — spytała Gudrun swoją poprawną, choć przyciężką francuszczyzną.

— Non Mademoiselle, Winifred n’ajamais voulu me le faire voir. Tant de fois je le lui ai demandé, „Ou’est-ce donc ce Bismarck, Winifred?” Mais elle n’a pas voulu me le dire. Son Bismarck, c’était un mystère.

— Oui, c’est un mystère, vraiment un mystère! Panno Brangwen, proszę, niech pani powie, że Bismarck to tajemnica! — zawołała Winifred.

— Bismarck to tajemnica, Bismarck, c’est un mystère, der Bismarck, er ist ein Wunder — wyrecytowała żartobliwie Gudrun.

—Ja, er ist ein Wunder — powtórzyła Winifred z przekorną powagą, pod którą czaił się złośliwy chichot.

— Ist er auch ein Wunder?— W drwiącym pytaniu Mademoiselle pobrzmiewał ton arogancji.

— Doch! — rzuciła krótko i lekceważąco Winifred.

— Doch ist er nich ein König. Bismarck to wcale nie był król, Winifred, jak ty powiedziałaś. To był tylko... U n’était que chancelier.

— Qu’est-ce qu’un chancelier?— spytała Winifred z nieco wzgardliwą obojętnością.

— Chancelier to kanclerz, a kanclerz to, jak sądzę, rodzaj sędziego. — Gerald zbliżył się i uścisnął dłoń Gudrun. — Słyszę, że układacie pieśń o Bismarcku.

Mademoiselle czekała, dyskretnie ukłoniwszy się na powitanie.

— I nie chcą pokazać pani Bismarcka, Mademoiselle? — spytał.

— Non, Monsieur.

— Jak brzydko z ich strony! Co pani zamierza z nim zrobić, panno Brangwen? Ja bym kazał odesłać go do kuchni i upiec.

— Och, nie! — krzyknęła Winnie.

— Mamy zamiar go narysować — wyjaśniła Gudrun.

— Nafaszerować, pokroić i podać do stołu. — Gerald umyślnie się wygłupiał.

— Och, nie! — zawołała znów z emfazą Winifred chichocząc.

Gudrun wyczuła rozbawienie w jego głosie i podniosła na niego z uśmiechem wzrok Jego nerwy zareagowały na to jak na pieszczotę. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Jak się pani podoba Shortlands? — spytał. —Jestem zachwycona — odpowiedziała z nonszalancją.

— Cieszy mnie to. Zauważyła pani, jakie tu są kwiaty?

Poprowadził ją ścieżką. Szła tuż za nim, przejęta. Winifred przyłączyła się do nich, a guwernantka ociągała się z tyłu. Zatrzymali się przed pożyłkowanymi kwiatami wilczej jagody.

— Cudowne! — wykrzyknęła Gudrun chłonąc je wzrokiem. Jej nabożny, ekstatyczny podziw dla kwiatów odczuł znów jak pieszczotę. Nachyliła się i dotknęła kielichów muskając je czule i delikatnie koniuszkami palców. Jej widok działał na niego kojąco. Wyprostowała się i spojrzała na niego oczami rozświetlonymi urodą kwiatów.

— Jak się nazywają?

— To chyba rodzaj petunii. Nie znam ich prawdę mówiąc.

— Nigdy takich nie widziałam.

Stali obok siebie w pozornej intymności, oboje z napiętymi nerwami. I Gerald był w niej zakochany.

Gudrun miała świadomość, że obok stoi Mademoiselle i że mały francuski żuczek obserwuje ich i coś sobie kalkuluje. Wolała odejść z Winifred, żeby poszukać Bismarcka.

Gerald patrzał za nimi, nie mogąc oderwać wzroku od miękkiego, pełnego, spokojnego ciała Gudrun w sukni z jedwabistego kaszmiru. Jak jedwabiste, bujne i miękkie musi być jej ciało. Wszystko w niej zachwycało go bez miary, wydawała mu się najbardziej upragniona, najpiękniejsza. Chciał tylko być z nią, nic więcej. Tylko tego chciał: być z nią, należeć do niej.

Jednocześnie był ostro, łaskodiwie świadomy, jak krucha i nieskazitelnie estetyczna jest sylwetka Mademoiselle. W pantofelkach na wysokich obcasach, w gładkiej, nienagannie dobranej czarnej sukience, z kunsztownie upiętymi do góry ciemnymi włosami, wyglądała jak elegancki żuczek na cienkich nóżkach. Jakże odpychająca była jej doskonałość i nieskazitelność! Budziła w nim wstręt.

Ale jednocześnie go zachwycała. Była nieskazitelnie doskonała. I właściwie rozdrażniło go, że Gudrun przyszła do domu w żałobie pstra jak papuga. Przyglądał się, jak leniwie odrywa stopy od ziemi. Jasnożółte pończochy i ciemnoniebieska suknia! A przecież podobało mu się to. Bardzo mu się podobało. Zrozumiał, że jej prowokacyjny strój to wyzwanie rzucone światu, i uśmiechnął się jak na dźwięk trąbki.

Gudrun i Winifred przeszły przez dom na tyły posiadłości, gdzie znajdowały się stajnie i oficyny. Wszędzie tu było cicho i pusto. Pan Crich udał się na krótką przejażdżkę, stajenny właśnie oprowadzał konia Geralda. Dziewczęta podeszły do klatki w rogu i popatrzyły na wielkiego czarno-białego królika.

—Jaki piękny! Proszę spojrzeć, przysłuchuje się nam! Strasznie głupio wygląda! — Winifred parsknęła śmiechem. — Och, niech słucha, proszę mu pozwolić, on słucha z takim przejęciem, prawda, złociutki?

— Czy możemy go stąd zabrać — spytała Gudrun.

—Jest bardzo silny. Okropnie mocny, naprawdę. — Przechyliła główkę patrząc na Gudrun z dziwną nieufnością, jakby coś usiłowała obliczyć.

— Spróbujemy, dobrze?

— Proszę bardzo. Ale on strasznie wierzga.

Wzięły klucz, żeby otworzyć drzwiczki. Królik rzucił się w dziki pęd wokół klatki.

— Czasami okropnie drapie! — wołała przejęta Winifred. — Och, proszę spojrzeć, jaki cudowny! — Królik ciskał się po klatce w popłochu. — Bismarck! — zawołała dziewczynka z rosnącym podnieceniem. —Jesteś paskudny! Obrzydliwy! — Przeniosła na Gudrun wzrok, w którym lekka obawa przebijała przez dziką ekscytację. Gudrun uśmiechnęła się ironicznie samymi ustami. Rozgorączkowana Winifred wydała dziwny, niezrozumiały jęk. — Uspokoił się już! — wykrzyknęła widząc, że królik przykucnął w najdalszym rogu klatki. — Schwytamy go teraz? — szepnęła tajemniczo, przysuwając się do Gudrun. — Złapiemy go? — zachichotała złośliwie.

Otworzyły drzwiczki klatki. Gudrun wsunęła rękę i złapała wielkiego, silnego królika za długie uszy. Kucał jeszcze, ale schwytany za uszy legł płasko w całej ’ swojej ponad metrowej długości i rzucił się do tyłu. Przez chwilę, póki ciągnęła go po ziemi, słychać było przeciągły odgłos szurania; wkrótce jednak królik zawieszony za uszy znalazł się w powietrzu, walcząc jak oszalały; zwijał się jak sprężyna to naciągana, to znów puszczana. Gudrun odwracając twarz usiłowała utrzymać czarno-białą burzę na odległość ramienia. Nic innego nie mogła zrobić, gdyż królik zdawał

się obdarzony magiczną wręcz siłą. Straciła niemal panowanie nad sobą.

— Bismarck, Bismarck, okropnie się zachowujesz — powiedziała trochę przestraszonym głosem Winifred. — Och, proszę go zostawić, jest paskudny.

Gudrun stała jeszcze chwilę, zdumiona nawałnicą, która szalała w jej rękach. Zarumieniła się i głucha wściekłość spowiła ją jak ciemna chmura. Miotał nią gniew, jak wiatr miota domem. Serce zamierało jej ze złości na bezsens i zwierzęcą głupotę tej walki, królik rozorał jej pazurami przeguby, wezbrało w niej ślepe okrucieństwo.

Gerald zjawił się, kiedy próbowała unieruchomić wyrywające się zwierzę. W lot zorientował się, że wstrząsa nią ponura, zaciekła pasja.

— Trzeba było zlecić to komuś ze służby — powiedział przyśpieszając kroku.

— To przecież potwór! — zawołała rozgorączkowana Winifred. Wyciągnął silną, sprężystą dłoń i wziął od Gudrun królika, również chwytając go za uszy.

— Jest przeraźliwie mocny! — zawołała głosem wysokim jak krzyk mewy, obcym i mściwym.

Królik w powietrzu zwinął się w kulę i dalej szarpał się i walczył, jakby wstąpił w niego demon. Gudrun zobaczyła, że Gerald sztywnieje i oczy ciemnieją mu z gniewu.

— Znam od dawna tych drani — mruknął.

Długie, demoniczne zwierzę znów zaczęło walić łapami, gdzie popadnie, rozpostarło się w powietrzu podobne do skrzydlatego smoka, jeszcze raz skuliło się, niewiarygodnie wręcz silne i wojownicze. Ciało mężczyzny, napięte, dygotało z wysiłku. Nagle wezbrał w nim ostry, rozpalony do białości gniew. Cofnął się szybko jak błyskawica i wolną rękę, niby sokoła, spuścił na kark królika. Równocześnie rozległ się niesamowity, przeraźliwy wrzask zwierzęcia w

śmiertelnym strachu. Raz jeszcze gwałtownie zwinął się w ostatnim skurczu, rozdarł pazurami rękaw koszuli Geralda, błysnął bielą brzucha w rozpaczliwej szamotaninie i zaraz potem Gerald podciągnął go i mocno przycisnął ramieniem. Zwierzę przycichło zaczajone. Uśmiech rozjaśnił twarz Geralda.

— Kto by się spodziewał, że królik może być taki mocny — powiedział spoglądając na Gudrun. Wyglądała wręcz nieziemsko z czarnymi jak noc oczami w bladej twarzy. Wrzask królika po gwałtownej walce zerwał jakby zasłonę z jej świadomości. Gerald nie spuszczał z niej wzroku. W jego oczach migotały intensywne błyski.

— Wcale go nie lubię — zawodziła Winnie. — Lulusia kocham, a jego nie. Jest obrzydliwy.

Gudrun oprzytomniała i wykrzywiła usta w uśmiechu. Wiedziała, że się zdradziła.

— Okropne wrzaski z siebie wydaje! — zawołała znów wysokim jak krzyk mewy głosem.

— Ohydne! — potwierdził Gerald.

— Bo po co się tak głupio zachowuje, jak chce się go tylko wyjąć z klatki? — Winifred wyciągnęła dłoń i ostrożnie dotknęła królika, który skulił się pod ramieniem Geralda bez ruchu, jak nieżywy. — Gerald, czy on nie zdechł? Powiedz!

— Nie, chociaż powinien.

— Tak, powinien! — zawołała dziewczynka z nagłym przypływem rozbawienia. I dotknęła królika z większą ufnością. — Jak szybko bije mu serce. Śmieszny jest, prawda? Taki zabawny!

— Gdzie mam go zanieść? — spytał Gerald.

— Na zielony dziedziniec.

Gudrun patrzyła na Geralda z dziwnym wyrazem oczu, pociemniałych, udręczonych wiedzą z zaświatów, błagalnych niemal, jakby wiedziała, że jest na jego łasce,

ale że w końcu go pokona. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Czuł, że nawiązała się między nimi nić jakiegoś szatańskiego porozumienia. Czuł też, że powinien ukryć to pod słowami. Jego nerwy iskrzyły się jak błyskawice, a ona zdawała się łagodnie wchłaniać w siebie jego magiczny ogień — biały i przerażający. Stracił pewność siebie, ogarnął go niepokój.

— Podrapał cię? — spytał. — Nie.

— Podła bestia — powiedział odwracając od niej twarz.

Weszli na mały dziedziniec otoczony zewsząd starymi czerwonymi murami, w szczelinach których rosły wonne laki. Miękka, delikatna, stara trawa wyścielała gładkim dywanem ziemię, niebo nad głowami było błękitne. Królik, puszczony przez Geralda, przycupnął cicho i bez ruchu. Gudrun przyglądała mu się z lekką odrazą.

— Dlaczego on się nie rusza?

— Przyczaił się.

Podniosła na niego wzrok i lekki, niepokojący uśmiech ściągnął jej białą twarz.

— Co za głuptas! — zawołała. — Czy nie jest obrzydliwie głupi? —Jej mściwy, drwiący głos mącił mu myśli. Patrząc mu prosto w oczy raz jeszcze, kpiąca i do białości okrutna, dała mu do zrozumienia, że wie, jak są do siebie podobni. Jak gdyby oboje mieli wspólne, odrażające tajemnice.

— Ile masz zadrapań? — spytał obnażając swoje muskularne ramię, białe, mocne, porysowane krwawymi szramami.

— Co za nikczemność! — krzyknęła. Na widok rozoranej ręki rumieniec oblał jej policzki. — U mnie to drobiazg...

Podniosła rękę i pokazała głęboką, czerwoną rysę na jedwabistej, białej skórze.

— Diabeł wcielony! — zawołał Gerald, ale doznał uczucia, jakby ta długa czerwona szrama na jedwabistym,

miękkim ramieniu pozwoliła mu poznać ją głębiej. Nie chciał jej dotykać. Musiałby to z premedytacją wymóc na sobie. Długi, płytki, czerwony ślad pazurów zdawał się przecinać jego mózg, rozrywać powierzchnię jego najgłębszej świadomości, wyzwalać to, co miało być nigdy nieuświadomione, nigdy niepomyślane, i wypuszczać na zewnątrz czerwony eter podświadomości, sprośnej podświadomości.

— Bardzo cię boli? — spytał troskliwie.

— Ależ skąd!

Królik, który na razie przycupnął sobie, miękki i cichy, jakby był kwiatem, nagle znów się rozochocił. Puścił się dookoła dziedzińca jak wystrzelony ze strzelby, toczył się jak puszysty meteoryt po napiętym, niezmiennym obwodzie, który zdawał się wiązać ich mózgi. Stali w osłupieniu, tajemniczo uśmiechnięci, wpatrzeni w królika, posłusznego jakiemuś nieznanemu zaklęciu, pędzącego jak wicher po trawie pod czerwonymi, starymi murami.

Znienacka zatrzymał się, pokuśtykał w trawie i przysiadł zamyślony, z nosem drgającym jak strzępek puchu na wietrze. Namyślał się parę minut — bryłka puchu z otwartymi szeroko czarnymi oczami, które może spoglądały na nich, a może nie spoglądały — pokuśtykał spokojnie dalej i zaczął skubać trawę śmiesznie ruszając po króliczemu pyszczkiem.

— On jest obłąkany — rzekła Gudrun. — Absolutnie obłąkany. Gerald roześmiał się.

— Problem polega na tym, co to jest obłęd. Nie sądzę, żeby był obłąkany jako królik,

— Tak uważasz?

— O tak, na pewno. Takie właśnie są króliki.

Na jego twarzy błąkał się dziwny, blady, dwuznaczny uśmieszek. Patrzyła na niego i była nim, wiedziała, że tak

samo jak ona jest wtajemniczony. Na razie hamowało ją to i krępowało.

— Chwała Bogu, że nie jesteśmy królikami — odezwała się wysokim, przenikliwym głosem.

Uśmiech na jego twarzy pogłębił się.

— Nie jesteśmy królikami? — spytał wbijając w nią wzrok.

Powoli jej twarz rozluźniła się w dwuznacznie porozumiewawczym uśmiechu.

— Ależ Gerald — mówiła bez pośpiechu, dobitnie, niemal po męsku. — Królikami na pewno nie jesteśmy. — Wpatrywała się w niego z szokującą nonszalancją.

Odczuł to, jakby znowu uderzyła go w twarz lub jakby tępo, nieodwołalnie ugodziła go w pierś. Odwrócił się.

— Jedz, jedz, kochanie! — Winifred cichutko zaklinała królika czając się, żeby go dotknąć. Odsunął się od niej. — Pozwól mamusi pogładzić się po futerku, kochanie, takie jest tajemnicze...

ROZDZIAŁ XIX

KSIĘŻYCOWY

Birkin po chorobie pojechał na pewien czas na południe Francji. Do nikogo nie pisał, nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Ursuli, pozostawionej samej sobie, zdawało się, że wszystko jej się wymyka z rąk Jakby ze świata znikła wszelka nadzieja i ją samą, jak niewielki głaz, zalewał przypływ nicości sięgając coraz wyżej i wyżej. Ona i tylko ona jest realna, ale właśnie jak głaz wśród fal przypływu. Reszta jest nicością. Surowa i obojętna, zamknęła się we własnym osamotnieniu.

Nic jej teraz nie pozostało prócz wzgardliwej, wytrwałej obojętności. Cały świat zapadł się w szary, nijaki niebyt, z nikim nic jej nie łączyło, nie miała nikogo bliskiego. Całe to widowisko budziło w niej niechęć i pogardę. Z głębi serca, z głębi duszy nienawidziła i lekceważyła ludzi, ludzi dorosłych. Kochała tylko dzieci i zwierzęta: dzieci kochała namiętnie, choć zimno. Miała ochotę tulić je, ochraniać, dawać im życie. Ale miłość ta, oparta na litości i rozpaczy, była dla niej tylko niewolą i cierpieniem. Najbardziej kochała zwierzęta, które żyją samotnie i aspołecznie tak samo jak ona. Kochała konie i krowy na łące. Każde z tych zwierząt żyje osobno i dla siebie, każde jest magiczne. Żadne nie powołuje się na jakieś obmierzłe zasady społeczne. Żadne nie jest skłonne do sentymentalizmu czy przeżywania tragedii, czego tak głęboko nienawidziła!

Umiała być bardzo sympatyczna i przypochlebna, niemal służalcza wobec spotykanych ludzi. Ale nikt nie dawał się tym zwieść. Każdy odczuwał instynktownie, że ze wzgardliwą ironią odnosi się do cudzego i własnego człowieczeństwa. Żywiła głęboką urazę do ludzkości jako

takiej. Na sam wyraz „ludzkość” reagowała wstrętem i pogardą.

Serce jej przeważnie mroził skryty, bezwiedny wysiłek, by wszystkich wzgardliwie wyśmiewać. Myślała, że kocha, że wypełniają miłość. Takie miała o sobie pojęcie. Lecz dziwny blask jej obecności, cudowna jasność jej niespożytej energii były światłem największego wyrzeczenia, poza którym nic już nie istniało.

Zdarzało się jednak czasem, że ustępowała i miękła, chciała czystej miłości, tylko czystej miłości. Tamto uczucie, ów stan ciągłego odtrącania wytwarzał napięcie, sprawiał ból. I znowu nachodziło ją pragnienie czystej miłości.

Pewnego wieczoru wyszła z domu odrętwiała od dojmującego cierpienia, które towarzyszyło jej nieustannie. Wyznaczeni na zagładę muszą teraz zginąć.

Wiedziała, że jest to wyrok ostateczny i nieodwołalny. I właśnie owa nieodwołalność wyzwoliła ją. Jeśli los ma zabierać na śmierć i zgubę wszystkich z góry skazanych na zagładę, dlaczego ma się zadręczać, dlaczego ma się wyrzekać? Jest wreszcie wolna, może pomyśleć o nowym związku.

Skierowała się do Willey Green w stronę młyna. Doszła do Willey Water. Jezioro, z którego niedawno spuszczono wodę, znowu było prawie pełne. Ursula skręciła w las. Zapadła noc, zrobiło się ciemno. Zapomniała się bać, choć przecież miała w sobie nieprzebrane źródła strachu. Wśród drzew, z dala. od ludzi, panował zaczarowany spokój. Im głębsza, czystsza była samotność, nie skażona żadną ludzką istotą, tym lepiej się czuła. Była w gruncie rzeczy niespokojna, przerażona, że to ludzie budzą w niej strach.

Wzdrygnęła się, gdyż coś mignęło po prawej stronie, pośród drzew. Jakby ktoś ją obserwował, umykał przed nią. Zadrżała. Był to tylko księżyc zawieszony wśród przerzedzonych drzew, zagadkowy ze swoim białym,

martwym uśmiechem. Nie można było przed nim się schować. W nocy czy w dzień nie można było uciec przed złowieszczą twarzą, zwycięską, promienną, wyniośle uśmiechniętą. Przyspieszyła kroku przejęta lękiem przed białą planetą. Jeszcze tylko spojrzy na staw przy młynie i zawróci do domu.

Nie chciała iść przez podwórko, gdzie były psy, skręciła więc na drogę wzdłuż stoku, żeby zejść do stawu z góry. Księżyc świecił wysoko nad nagą, otwartą przestrzenią. Cierpiała, że jest wystawiona na jego blask. Po ziemi przemykały dzikie króliki. Noc była jasna jak kryształ i bardzo spokojna. Słychać było dalekie beczenie owcy.

Zbiegła w dół na zarosłe drzewami urwisko nadstawem, między poskręcane korzenie olch. Ucieszyła się, że skryje się w cień przed księżycem. Stała tu na szczycie urwistego brzegu, z ręką na chropowatym pniu drzewa, patrząc na wodę tak doskonałą w swej ciszy i na unoszący się na niej księżyc. Nie wiedziała, dlaczego budzi w niej to niechęć. Nie robi na niej żadnego wrażenia. Nasłuchiwała chrypliwego poszumu śluzy. Pragnęła czegoś jeszcze poza tą nocą, chciała innej nocy, nie tak surowej w bezlitosnej poświacie księżyca. Jej dusza płakała, żaliła się rozpaczliwie.

Nad wodą majaczył cień. Birkin? Więc wrócił niespodziewanie? Przyjęła to bez zdziwienia, nic jej już to nie obchodziło. Usiadła między korzeniami olchy, zamglona i niewyraźna, nasłuchując od śluzy odgłosów jakby kropel rosy sączących się wyraźnie w noc. Wyspy były ciemne i prawie niewidoczne, trzciny czarne, na niektórych tylko migotały przelotne odblaski ognia. Ryba plusnęła bezgłośnie, odsłaniając drżące światła w stawie. Gniewał ją ten ogień zimnej nocy ciągle rozbijający gęste ciemności. Chciała, żeby świat był ciemny, absolutnie ciemny, cichy i nieruchomy. Birkin, drobny i także ciemny, z włosami jasnymi od blasku księżyca, przywędrował bliżej. Był już całkiem blisko, a przecież nie istniał dla niej. Nie wiedział, że

i ona jest tutaj. A jeśli w przekonaniu, że jest całkiem sam, zrobi coś, co chciałby ukryć przed ludźmi? Jakie to ma zresztą znaczenie? Jakie znaczenie mają te drobne sekrety? Czy w ogóle to, co robił, mogło mieć jakiekolwiek znaczenie? Czy wśród identycznych organizmów mogą istnieć tajemnice? Jak można cokolwiek zataić, skoro wszyscy wszystko wiemy?

Bezwiednie dotykał suchych kwiatów olch, koło których przechodził, i coś mówił do siebie chaotycznie.

— Nie, nie można odejść stąd gdzie indziej... Nie ma żadnego gdzie indziej. Można tylko zamknąć się w sobie.

Rzucił na wodę zwiędłą koronę kwiatów.

— Antyfona — oni kłamią, a ty im odśpiewujesz. Gdyby nie było kłamstw, niepotrzebna byłaby prawda. Po co więc cokolwiek twierdzić...

Stał cicho spoglądając na wodę, na którą rzucał kwiaty.

— Niech będzie przeklęta Cybele! Przeklęta Syria Dea! Czy ktoś jej zazdrości? Co jeszcze jest tam...

Ursula omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem na dźwięk głosu rozbrzmiewającego w pustce. Jakżeż to było śmieszne!

Dalej stał tam patrząc na staw. Pochylił się, podniósł kamyk i rzucił go z rozmachem na powierzchnię wody. W oczach Ursuli srebrny księżyc zakołysał się i skoczył dziwacznie zdeformowany. Zdawał się wyrzucać ogniste łapy, jak mątwa, jak pulsujący, świetlisty polip. Cień na brzegu znieruchomiał na chwilę, potem, schylony, szukał czegoś po omacku na ziemi. Nastąpił nowy wybuch dźwięków, wybuch olśniewającego światła, księżyc eksplodował na wodzie i rozpadł się na roziskrzone smugi białego, groźnego ognia. Jak białe ptaki, strzępy ognia uniosły się nad stawem i pierzchły w zgiełkliwym zamęcie walcząc z tłumem czarnych fal, które siłą chciały się w nie wedrzeć. Najdalsze fale światła w ucieczce zdawały się

dobijać do brzegu błagając o ratunek, fale ciemności sunęły ciężko biegnąc niżej na środek stawu. Ale tam w środku, w samym sercu, nadal żywo jarzyła się drżąca biel księżyca, jeszcze nie całkiem unicestwionego, białe dało ognia wiło się i opierało, ciągłe jeszcze nie pokonane, jeszcze nie zgwałcone. Jakby księżyc w ślepym wysiłku starał się zespolić w dziwnych, gwałtownych skurczach. Niezniszczalny księżyc, który znów okrzepł, wracał do istnienia. I promienie cienkimi kreskami światła spieszyły z powrotem do okrzepłego księżyca, który kołysał się na wodzie tryumfalnie odrodzony.

Birkin czekał bez ruchu, aż staw wygładzi się, a księżyc uspokoi. Kiedy uznał, że już to nastąpiło, rozejrzał się za dalszymi kamieniami. Ursula czuła w ciemnościach jego zawziętość. I po chwili znowu roztrzaskane w eksplozji światło prysnęło jej w twarz, oślepiając ją; prawie natychmiast Rupert cisnął drugi kamień. Biały księżyc zatoczył się i wybuchnął w powietrzu. Błyskawicznie rozbiegły się strzałki jasnego światła, ciemność ogarnęła środek stawu. Księżyca już nie było, zostało tylko pobojowisko, z którego razem czmychały roztrzaskane światła i cienie. Cienie, ciemne i ciężkie, biły nieustępliwie w miejsce, gdzie znajdowało się serce księżyca, który miał zniknąć bez śladu. Białe strzępy pulsowały rytmicznie, nie wiedziały, gdzie biec, rozproszone i błyskające na wodzie jak płatki róży, które wiatr rozwiał na wszystkie strony.

Lecz oto znowu migotliwie zbliżają się do środka, odnajdują drogę łapczywie, po omacku. Jeszcze raz na oczach Birkina i Ursuli świat się uspokoił. Fale uderzały głośno o brzeg. Birkin widział, jak księżyc podstępnie zrasta się, widział, jak zwinięte serce róży rozkwita żywiołowo i na oślep, wzywa do siebie rozproszone strzępy, przyciąga rozpryskane fragmenty, które pulsują w trudzie powrotu.

Nie mógł na tym poprzestać. Musiał trwać w swoim szaleństwie. Zgromadził duże kamienie i ciskał je jeden po

drugim na płonący białym światłem środek księżyca, aż nie zostało nic, tylko nad wodą niosło się głuche dudnienie, staw rozkołysał się, nie było już w nim księżyca, zaledwie garść rozgromionych iskier, splątanych i błyskających w ciemnościach na wszystkie strony bez celu i sensu, mroczniejący zamęt jak w czarno-białym kalejdoskopie potrząsanym na chybił trafił. Głucha noc kołysała się i łoskotała, od śluzy dobiegały ostre, regularne wybuchy dźwięków. Tu i ówdzie strzępy świateł, udręczone wśród cieni, migotały w dziwnych miejscach, daleko, pośród cienia ściekającego z wierzby na wyspie. Birkin nasłuchiwał, nareszcie zadowolony.

Ursula stała odurzona, nieprzytomna. Czuła się tak, jak gdyby upadła na ziemię i rozlała się jak woda. Bez ruchu, wyczerpana, nie umiała otrząsnąć się z przygnębienia. Nie widząc wiedziała już, że w mroku niespokojnie wirują okruchy światła, rój iskier odprawia potajemne tańce w kółko, splatając się i garnąc wytrwale do siebie. Znowu skupiały się w serce, znowu wracały do istnienia. Strzępy stopniowo łączyły się, rozkołysane, tańczące, pryskały w popłochu na wsze strony, ale znów uparcie zbierały się, udawały, że uciekają, kiedy za bardzo się skupiły, lecz migotały coraz bliżej siebie, coraz bliżej celu, rój iskier, który, nie wiadomo dlaczego, ciągle rósł i stawał się jaśniejszy, kiedy promień po promieniu przywierał do całości, aż wystrzępiona róża, zniekształcony, poszarpany . księżyc znów chwiał się nad wodą; odnowiony, już zdrowy, starał się okrzepnąć po konwulsjach, położyć kres deformacji i niepokojom, chciał już znowu być cały i w zgodzie ze światem.

Birkin nie odchodził znad wody. Ursula bała się, że znowu ukamienuje księżyc. .Zsunęła się z miejsca, na którym przysiadła, i podeszła do niego mówiąc:

— Już nie będziesz ciskał w niego kamieniami, prawda?

— Jak długo tu jesteś?

— Cały czas. Ale nie rzucaj już kamieni, proszę cię.

— Chciałem zobaczyć, czy uda mi się przegnać go całkiem ze stawu.

— To było straszne, wierz mi. Dlaczego tak nienawidzisz księżyca? Przecież cię chyba nie skrzywdził?

— Co to jest nienawiść? Stali chwilę w milczeniu.

— Kiedy wróciłeś?

— Dzisiaj.

— Dlaczego ani razu nie napisałeś?

— Nie miałem nic do powiedzenia.

— Dlaczego nie miałeś nic do powiedzenia?

— Nie wiem. A dlaczego nie ma teraz żonkili?

Przycichli oboje. Ursula spojrzała na księżyc. Chwiał się lekko, już znowu cały i nieuszkodzony.

— Dobrze ci zrobiła samotność?

— Może. Właściwie nie wiem. Ale wiele spraw przemyślałem. A ty? Dokonałaś czegoś?

— Nie. Przyglądałam się Anglii i uznałam, że mam już jej dość.

— Dlaczego Anglii? — zapytał zaskoczony.

— Nie wiem. Tak jakoś to odczułam.

— To nie jest kwestia narodowości. Francja jest o wiele gorsza.

— Wiem. Mam dosyć wszystkiego.

Usiedli w cieniu pod drzewami. W milczeniu rozpamiętywał urodę jej oczu nasyconych światłem, jak woda źródlana wzbiera cudowną obietnicą. Powiedział powoli, z trudem:

— Masz w sobie złote światło i chciałbym, żebyś mi je dała — mówił tak, jakby myślał o tym od dawna.

Zaskoczyło ją to, odsunęła się od niego, ale jednocześnie sprawiło jej to przyjemność.

— Jakie światło?

Speszył się i nie powiedział nic więcej. Minął odpowiedni moment. Ursula posmutniała.

— Moje życie jest niespełnione.

— Tak — odpowiedział krótko, nie chcąc tego słuchać.

— I czuję, że nikt nigdy nie będzie mnie naprawdę kochał. Nie zaprzeczył.

— Ty oczywiście myślisz — mówiła dalej — że mnie chodzi tylko o potrzeby ciała? Tak wcale nie jest. Chciałabym, żebyś zaspokajał potrzeby mej duszy, żebyś jej służył.

— Wiem o tym. Wiem, że nie ciało jako takie jest dla ciebie ważne. Zrozum, chcę, żebyś oddała mi duszę, to złote światło, które jest tobą, o którym nie wiesz... Daj mi je...

Ursula długo milczała.

— Czy mogę? Przecież mnie nie kochasz! Zmierzasz tylko do własnych celów. Nie chcesz służyć mnie, ale chcesz, żebym ja służyła tobie. Jakież to niesprawiedliwe!

Męczyła go ta rozmowa, naleganie, żeby dała mu to, na czym mu zależy, żeby oddała mu swą duszę.

— To co innego. Całkiem odmienne są te dwa rodzaje służby. Ja ci służę w inny sposób — nie przez ciebie, inaczej. Ale chciałbym, żebyśmy byli razem nie przejmując się sobą nawzajem; żebyśmy zwyczajnie byli razem, bo jesteśmy razem, jakby to było zjawisko, a nie sprawa, która istnieje dzięki naszym wysiłkom.

— Nie — odpowiedziała z namysłem. — Ty jesteś po prostu egocentrykiem. Nigdy się nie zachwycasz, wcale się mną nie interesujesz. W gruncie rzeczy jesteś tylko dla siebie i dla swoich spraw. A ja mam po prostu być i służyć tobie.

Ale to tylko oddaliło go od niej.

— No cóż, słowa nie są ważne. Albo jesteśmy ze sobą, albo nie.

— Nawet mnie nie kochasz! — zawołała.

— Kocham — oświadczył gniewnie. — Ale chcę... — wrócił myślą do owego czarownego złotego światełka, świetlistego źródła bijącego w jej oczach jak w oknie z bajki. Chciał być z nią razem tam właśnie, w świecie dumnej obojętności. Po co zresztą o tym mówić? To musi stać się bez słów. Nie wolno mu jej przekonywać, okazałoby się to zgubne. Rajskiego ptaka nigdy się nie złowi w sieci, sam musi sfrunąć do serca.

— Zawsze, kiedy myślę, że będę kochana, spotyka mnie zawód. Ty mnie nie kochasz, zapewniam cię. Nie chcesz mi służyć. Myślisz tylko o sobie.

Wezbrała w nim złość na to ciągłe powtarzane „nie chcesz mi służyć”. Blask raju zgasł.

— Masz rację — powiedział z rozdrażnieniem — nie chcę ci służyć, bo w ogóle nie ma czemu służyć. To, czemu według ciebie mam służyć, to nic, dosłownie nic. To nawet nie ty, to tylko twoja kobiecość. Nie dałbym za nią złamanego szeląga.

Zaśmiała się drwiąco.

— Więc tak o mnie myślisz! I masz czelność twierdzić, że mnie kochasz. — Wstała rozgniewana, żeby iść już do domu.

— Marzysz o rajskiej niewiedzy — rzekła odwracając się do niego. Siedział cicho, słabo widoczny w ciemnościach. — Wiem, co to znaczy, dziękuję. Chcesz, żebym była twoją rzeczą, żebym nigdy cię nie krytykowała i nie miała nic do powiedzenia od siebie. Tak, mam być dla ciebie rzeczą, nic poza tym. Nie, dziękuję. Jeśli tego szukasz, znajdziesz mnóstwo kobiet, które ci to dadzą. Mnóstwo kobiet, które

położą się, żebyś mógł po nich deptać. Idź więc do nich, skoro tego ci potrzeba... Idź, bardzo proszę.

— Nie! — zawołał z gniewem. — Chcę tylko, żebyś nie była apodyktyczna, żebyś przestała upierać się ze strachu przy swoim. To jest to, czego chcę. Żebyś ufała sobie bez zastrzeżeń i nie hamowała swoich namiętności.

— Żebym nie hamowała namiętności! — powtórzyła ironicznie. — Ja nie hamuję namiętności. I łatwo mi to przychodzi. To ty je hamujesz, to ty trzymasz się kurczowo samego siebie, jakby to był twój jedyny skarb. Ty... to ty jesteś nauczycielem ze szkółki niedzielnej. Ty kaznodziejo!

Porcja prawdy zawarta w jej wybuchu sprawiła, że zesztywniał i odsunął się od niej.

— Nie mam na myśli folgowania namiętnościom w dionizyjskim, ekstatycznym stylu. Wiem, że to potrafisz. Ekstazy nienawidzę, dionizyjskiej czy innej. Dla mnie jest to jak kręcenie się w kółko wiewiórki w klatce. Chcę tylko, żebyś nie przejmowała się sobą, po prostu bądź tu i nie myśl o sobie, nie upieraj się... Bądź zadowolona, pewna siebie i obojętna.

— Kto się upiera? — zakpiła. — Kto z nas ciągle czegoś żąda? Na pewno nie

Mówiła drwiąco, ale ze zmęczeniem i goryczą w głosie. Birkin odczekał chwilę.

— Tak, wiem. Jeśli jedno z nas naciska na drugie, to już całkiem źle. Nie umiemy się pogodzić.

Siedzieli bez ruchu w ciemnościach pod nadbrzeżnymi drzewami. Noc wokół nich była biała, tylko oni, niezbyt przytomni, tonęli w mroku.

Stopniowo 1 ich ogarnęła cisza i spokój. Niepewnie położyła dłoń na jego dłoni. Cicho, łagodnie ich ręce splotły się w zgodnym uścisku.

— Kochasz mnie naprawdę? — spytała. Roześmiał się.

— To jest twój okrzyk bojowy — powiedział z rozbawieniem.

— Dlaczego? — zawołała też rozbawiona, ale i ciekawa.

— Twój upór... twój okrzyk bojowy... „Brangwen. Brangwen”, stare bitewne zawołanie. Ty zaś wołasz: „Kochasz mnie? Poddaj się, łotrze, lub zgiń!”

— Nie — rzekła prosząco — nie tak. Wcale nie tak. Ale przecież muszę wiedzieć, czy mnie kochasz.

— Dobrze. Więc już wiesz i skończmy z tym.

— Bo kochasz?

— Tak, kocham cię. I wiem, że to jest nieodwołalne. A skoro kocham cię nieodwołalnie, to po co mamy jeszcze o tym mówić?

Milczała parę chwil zachwycona i pełna wątpliwości.

— Pewien jesteś? — przytuliła się do niego, rozradowana.

— Całkiem pewien... No, dość już. Przyjmij to do wiadomości i skończmy z tym.

Przytuliła się mocniej.

— Z czym mamy skończyć? — szepnęła szczęśliwa.

— Z dzieleniem włosa na czworo.

Przylgnęła do niego mocniej. Przygarnął ją i całował łagodnie, czule. Jakiż to cudowny spokój i wolność niebiańska tak tulić ją i całować tkliwie, bez ubocznych myśli, bez pragnień, bez napięcia, po prostu być z nią w ciszy, w niczym nie skażonej ciszy i spokoju, który nie jest snem, ale błogosławieństwem. Błogostan bez pragnień i żądań to było niebo; niebem było przebywać razem w szczęśliwej ciszy.

Długo tuliła się do niego, a on całował ją delikatnie, jej włosy, twarz, uszy — czule, miękko, jakby strząsał na nią krople rosy. Lecz jego ciepły oddech na jej skroniach znów ją

poruszył, rozniecił dawne niszczące płomienie. Przylgnęła do niego i poczuł, że krew burzy się w nim jak rtęć.

— Nie ruszajmy się, dobrze?

— Tak — odrzekła, jakby z pokorą.

Dalej tuliła się do niego. Po chwili jednak odsunęła się.

— Muszę iść do domu.

— Musisz? Jaka szkoda...

Nachyliła się i nastawiła usta do pocałunku.

— Naprawdę żałujesz? — spytała z uśmiechem.

— O, tak. Chciałbym, żebyśmy tu pozostali na zawsze!

— Na zawsze! Mam ci wierzyć? — szepnęła, kiedy ją całował. I nagle pełnym głosem zawołała z jękiem: „Całuj mnie! Całuj!” Przywarła do niego ze wszystkich sił. Obsypał ją pocałunkami. Ale trwał przy własnych myślach i własnych pragnieniach. Chciał tylko czułej komunii dusz, nie gorączki szału, nie namiętności. Toteż Ursula odsunęła się dość szybko. Nałożyła kapelusz i poszła do domu.

Nazajutrz jednak zrobiło mu się smutno i tęskno. Uznał, że być może nie miał racji. Może nie należało narzucać jej swoich idei? I czy była to naprawdę tylko idea, czy też wyraz ukrytych tęsknot? A jeśli tak, to dlaczego zawsze mówił o spełnieniu zmysłowym? Obie postawy niezbyt zgadzały się ze sobą.

Niespodziewanie znalazł się w obliczu trudnej sytuacji. Było to właściwie całkiem proste — zgubnie proste. Z jednej strony wiedział, że nie nęcą go zmysłowe zbliżenia, chce czegoś głębszego, ciemniejszego, niż może dać zwyczajne życie. Pamiętał afrykańskie fetysze, które tak często oglądał u Hallidaya. Jeden zwłaszcza utkwił mu w pamięci: statuetka nie wyższa niż pół metra, prosta, smukła, elegancka figurka z Zachodniej Afryki, z ciemnego drzewa, połyskliwa i wdzięczna. Przedstawiała kobietę z wysoko upiętymi włosami, które wyglądały jak kopuła w kształcie melona.

Pamiętał ją żywo: należała do stałych mieszkańców jego duszy. Miała wydłużone, wytworne ciało, twarz mikroskopijną jak u żuczka, okrągłe, ciężkie obręcze opasywały jej szyję, czyniąc z niej jakby kolumnę z pierścieni. Pamiętał ją —jej zadziwiającą, wykwintną elegancję, malutką jak u żuczka twarzyczkę, jej zdumiewająco długie ciało na krótkich, brzydkich nogach, sterczące pośladki, tak masywne i nieoczekiwane pod wąskimi, długimi biodrami. Ona wiedziała to, czego on nie wiedział. Miała za sobą tysiące lat czysto zmysłowego poznania, nie mającego nic wspólnego z duchem. Gdyż na pewno upłynęły już tysiące lat, odkąd jej rasa wymarła mistycznie, to znaczy odkąd przerwał się związek między zmysłami a refleksyjnym umysłem, pozostawiając doświadczenie jednego tylko rodzaju — mistycznie zmysłowe. Tysiące lat temu to, co teraz mu zagrażało, musiało dotknąć owych mieszkańców Afryki: zaprzepaścili dobroć, świętość, twórcze porywy i radość tworzenia, zachowując tylko jeden odruch jednego typu poznania, bezmyślnego, narastającego poznania przez zmysły, poznania, które na zmysłach zatrzymuje się i kończy, mistycznej wiedzy wywodzącej się z rozkładu i gnicia, wiedzy, jaką mają żuki żyjące jedynie w świecie zgnilizny i zimnej śmierci. Dlatego jej twarz przypominała żuka; dlatego Egipcjanie czcili toczącego się skarabeusza, gdyż skarabeusz jest zasadą poznania przez rozkład i gnicie.

Człowiek może odbyć długą podróż po przerwie, jaką powoduje śmierć; po momencie, kiedy dusza w dojmującym bólu odrywa się od ciała jak liść spadający z drzewa. My spadamy zrywając więź z życiem i z nadzieją, zrywamy z czystym, nienaruszonym istnieniem, z aktem twórczym, z wolnością — spadamy w długi, bardzo długi afrykański proces czysto zmysłowego poznania, wiedzy zrodzonej z tajemnicy rozkładu.

Zdawał sobie sprawę, że jest to długi proces, trwa tysiące lat po śmierci twórczego ducha. Zdawał sobie sprawę, że są jeszcze do ujawnienia wielkie tajemnice, bezmyślne, straszne tajemnice zmysłów, bardziej tajne niż kult falliczny. Jak daleko mieszkańcy Zachodniej Afryki w swojej kulturze seksu posunęli się poza wiedzę falliczną? Na pewno bardzo daleko. Birkin wrócił myślą do posążku kobiety: wydłużone, niezwykle długie ciało, dziwne, niespodziewanie masywne pośladki, długa uwięziona szyja, twarz żuczka o mikroskopijnych rysach. Nie mieściły się w poznaniu fallicznym te subtelne, zmysłowe doznania, daleko poza zasięgiem fallicznych dociekań.

Trzeba będzie jeszcze przebyć tę drogę, powtórzyć straszny afrykański proces. U ludzi białej rasy jego przebieg będzie inny. Białe rasy, za którymi rozciąga się arktyczna północ, w bezkresnej abstrakcji lodów i śniegu spełnią tajemnicę mroźnej, niszczycielskiej wiedzy, śnieżnie abstrakcyjnego unicestwienia. Podczas gdy mieszkańcy Afryki Zachodniej — we władzy palącej, śmiertelnej abstrakcji Sahary — spełnili się w zniszczeniu słonecznym, w gnilnej tajemnicy promieni ultrafioletowych.

Czy więc to jest wszystko, co pozostało? Nic, tylko zerwane więzy ze szczęśliwym twórczym istnieniem? Czy czas już minął? Czy skończył się okres naszego twórczego życia? Czy mamy przed sobą tylko owo dziwne, okropne jutro wiedzy zrodzonej z rozkładu, wiedzy afrykańskiej, lecz odmiennej dla nas, złotowłosych i niebieskookich ludzi północy?

Birkin myślał o Geraldzie. Gerald był jednym z tych zagadkowych białych, niezwykłych demonów północy, spełnionych w niszczącej, mroźnej tajemnicy. Czy sądzone mu jest umrzeć w tej wiedzy, czy w tym procesie mroźnej wiedzy ulegnie śmierci od najczystszego chłodu? Czy jest zwiastunem zapowiadającym powszechne rozpuszczenie się świata w bieli i śniegu?

Przestraszył się. Dotarłszy do tego punktu swoich rozważań poczuł zmęczenie. Jego skupiona, napięta uwaga rozproszyła się. Nie był dłużej zdolny zastanawiać się nad tajemnicami bytu. Była jeszcze inna droga, droga wolności. Rajskie przejście w czysty, osobny byt, kiedy własna pojedyncza dusza staje się ważniejsza niż miłość i pragnienie związku, silniejsza ponad wszelkie udręki — rozkoszny stan, w którym wolny, dumny, pojedynczy człowiek akceptuje zobowiązanie stałych związków z innymi ludźmi i wraz z nimi poddaje się jarzmu i rygorom miłości, ale nie traci własnej dumnej odrębności, nigdy, nawet kiedy kocha i ustępuje.

To była ta inna droga, inna możliwość wyboru. I musi nią szybko pójść. Pomyślał o Urszuli, jak jest wrażliwa i delikatna z tą swoją skórą cieniutką, jakby zabrakło jej jednej warstwy. Była naprawdę cudowna — łagodna i subtelna. Jak mógł choćby na chwilę o tym zapomnieć? Musi natychmiast iść do niej. Poprosi ją, żeby została jego żoną. A potem zaraz pobiorą się i złożą jasne, jednoznaczne ślubowanie, zawrą jasny, jednoznaczny związek. Od razu do niej pójdzie i oświadczy się. Bezzwłocznie. Nie ma chwili do stracenia.

Szybko podążył do Beldover, niezupełnie świadomy własnych poczynań. Ujrzał na zboczu góry miasteczko, nie rozrzucone szeroko, ale jakby wmurowane w proste, celowe ulice górniczych domków tworzących wielki kwadrat, i wyobraźnia podsunęła mu obraz Jerozolimy. Cały ten świat był obcy i nieziemski.

Drzwi otworzyła mu Rozalinda. Drgnęła na jego widok, zwyczajem młodziutkich dziewcząt, i rzekła:

— Zawiadomię ojca.

Zniknęła, zostawiając Birkina w hallu, gdzie mógł przyjrzeć się reprodukcjom Picassa przywiezionym ostatnio przez Gudrun. Podziwiał jego magiczną niemal, zmysłową

zdolność rozumienia ziemi, kiedy pojawił się Will Brangwen pospiesznie spuszczając podwinięte rękawy koszuli.

— Przepraszam — powiedział Brangwen. — Włożę tylko marynarkę.

Teraz on z kolei zniknął na chwilę. Wróciwszy, otworzył drzwi do saloniku, mówiąc:

— Proszę mi wybaczyć, coś tam właśnie majstrowałem w szopie. Pan będzie łaskaw...

Birkin wszedł i usiadł. Patrzył na Brangwena, na jego jasną, czerwoną twarz o niskim czole, bardzo jasnych oczach i zmysłowych, nieco wywiniętych wargach, grubych i mięsistych pod przyciętym czarnym wąsem. Dziwne, że i to jest ludzka istota. To, co myślał o sobie Brangwen, nie miało żadnego znaczenia wobec tego, jaki był rzeczywiście. Birkin widział w nim jedynie dziwny, niezrozumiały, nieomal chaotyczny zlepek namiętności i pragnień, ograniczeń, tradycyjnych pojęć i automatycznych sądów — wszystko to niespoiste, rozbite, wciśnięte w tego szczupłego mężczyznę o jasnej cerze, który około pięćdziesiątki był równie nijaki jak wtedy, kiedy miał lat dwadzieścia, i równie nieuformowany. Jak mógł być ojcem Ursuli, skoro nie umiał stworzyć sam siebie? Nie jest jej ojcem. Przekazał jej ciało, ale nie tchnął w nią ducha. Jej dusza nie pochodzi od przodka, zjawiła się z nieznanego. Dziecko nie jest stworzone, jeśli nie jest płodem tajemnicy.

— Pogoda trochę się poprawiła — rzekł Brangwen po odczekaniu paru chwil. Obaj panowie nie umieli nawiązać kontaktu.

— Tak. Dwa dni temu była pełnia.

— Rozumiem. Pan wierzy, że księżyc ma wpływ na pogodę?

— Nie. Raczej nie. Prawdę mówiąc, nie bardzo się na tym znam.

— Wie pan, jak powiadają? Choć zmienia się księżyc i zmienia pogoda, w zmianach tych wcale nie zachodzi zgoda.

— Rzeczywiście? Nie znałem tego... Zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Birkin:

— Nie przeszkadzam panu? Bo właściwie przyszedłem odwiedzić Ursulę. Czy jest w domu?

— Zdaje się, że jej nie ma. Chyba poszła do biblioteki. Zaraz sprawdzę. Birkin słyszał, jak pyta kogoś w jadalni. Po chwili pojawił się w saloniku.

— Nie ma jej, ale zaraz wróci. Chciał pan z nią porozmawiać?

Birkin popatrzył na Brangwena dziwnie spokojnym, jasnym wzrokiem.

— Prawdę mówiąc chciałem poprosić, żeby wyszła za mnie za mąż. W złotobrązowych oczach starszego mężczyzny zabłysło światełko.

— Ach, tak? — Spojrzał na Birkina i spuścił wzrok pod jego skupionym, uważnym spojrzeniem. — Więc spodziewała się pana?

— Nie.

— Nie wiedziałem, że zanosi się na coś podobnego... — Brangwen uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Birkin nie spuszczając z niego oczu pomyślał: „Nie rozumiem, dlaczego miałoby się na to zanosić”. Głośno powiedział:

— Może to jest dość nagłe... — i myśląc o swoich stosunkach z Ursulą dodał: — ale nie wiem...

— Nagłe, powiada pan? — spytał Brangwen speszony i jakby zirytowany.

— W pewnym sensie. Choć z drugiej znów strony... Milczeli przez chwilę, po czym odezwał się Brangwen:

— No cóż, Ursula zrobi, jak zechce...

— Naturalnie — rzekł spokojnie Birkin. Silny głos Brangwena zadrżał, kiedy mówił:

— Choć nie chciałbym też, żeby się za bardzo spieszyła. Nie jest dobrze ocknąć się, kiedy jest już za późno.

— Przecież w takich sprawach nigdy nie jest za późno.

— Co pan ma na myśli?

—Jeśli jedna ze stron źle się czuje w małżeństwie, zawsze można je rozwiązać.

— Tak pan uważa? — Tak.

— No cóż, wolno panu mieć i takie poglądy.

Birkin milczał myśląc w duchu: „Rzeczywiście, wolno mi. Za to pańskie poglądy na tę sprawę, Williamie Brangwen, wymagałyby paru wyjaśnień”.

— Przypuszczam — ciągnął Brangwen — że wie pan, jakiego rodzaju ludźmi jesteśmy? Jak Ursula została wychowana?

Birkin przypomniał sobie, jak jego wychowywano, każąc mu brać przykład z grzecznych dzieci. „Ona jest grzecznym dzieckiem”.

— Czy wiem, jak Ursula została wychowana? — powtórzył głośno, jakby umyślnie drażniąc Brangwena.

— Dostała wszystko, co należy się dziewczynie, wszystko, co możliwe, co byliśmy w stanie jej dać.

— Jestem tego całkiem pewny — oświadczył Birkin, co niebezpiecznie ucięło rozmowę. Ojciec był coraz bardziej rozdrażniony. Sama obecność Birkina wyprowadziła go z równowagi.

— I nie chcę, żeby machnęła na to wszystko ręką — oznajmił głośno.

— Dlaczego?

Krótkie pytanie eksplodowało w mózgu Brangwena jak wystrzał.

— Dlaczego! Mnie tam nie podobają się te wasze modne obyczaje i te wasze modne poglądy. Co pięć minut nowe sito na kołek To nie dla mnie.

Birkin przyglądał mu się uważnie, oczami bez wyrazu. Coraz wyraźniej zarysowywał się zasadniczy antagonizm między oboma mężczyznami.

— Rozumiem, ale czy moje obyczaje albo poglądy są modne?

— A nie są? — Brangwen opanował się. — Nie mówię zresztą specjalnie o panu. Chodzi mi o to, że moim dzieciom wpoiłem poglądy i zasady postępowania zgodne z religią, w której i ja zostałem wychowany. Nie chcę, żeby się tych zasad wyrzekły.

Zapadło napięte milczenie.

— A poza tym? — wreszcie odezwał się Birkin. Ojciec zawahał się, sytuacja nie była przyjemna.

— Ech? Co pan ma na myśli? Ja tylko chcę powiedzieć, że moja córka... — zamilkł przekonany, że mówi nadaremnie. Orientował się, że w jakiś sposób zgubił wątek

— Nie chciałbym oczywiście nikogo urazić — rzekł Birkin — ani wywierać jakiegokolwiek nacisku. Ursula postąpi dokładnie tak, jak jej się spodoba.

Obaj zamilkli, przekonani o całkowitej niemożności porozumienia. Birkin był znudzony. Ojciec Ursuli nie miał określonej osobowości, był jak sala rozbrzmiewająca echami z dawnych czasów. Młodszy z dwóch mężczyzn nie spuszczał oczu z twarzy starszego. Brangwen podniósł wzrok i spostrzegł, że Birkin na niego patrzy. Teraz na jego twarzy odmalowały się mieszane uczucia gniewu, upokorzenia i poczucia niższości.

— Religia to jedna strona sprawy. Ale wolałbym, żeby moje córki jutro padły trupem, niż żeby były na każde

zawołanie pierwszego lepszego mężczyzny, który zechce na nie gwizdnąć.

Dziwnie przykry błysk zapalił się w oczach Birkina.

—Jeśli o to chodzi, to moim zdaniem na pewno bardziej ja jestem na każde jej zawołanie niż ona na moje.

Rozmowa rwała się. Ojciec był jakby zbity z tropu.

— Wiem, że zrobi, co zechce. Zawsze tak było. Dawałem im wszystko, co mogłem, ale to się nie liczy. Ważne jest tylko to, co im się podoba, i wolałyby myśleć tylko o sobie, o nikim więcej. Ale przecież ona musi mieć wzgląd na swoją matkę i na mnie też...

Przeżuwał coś w myśli.

— I mówię panu, wolałbym widzieć je w trumnie, niż patrzeć, że schodzą na złą drogę, jak to się dzisiaj zdarza. W trumnie, rozumie pan...

— Tak, ale widzi pan — Birkin mówił powoli, z pewnym zmęczeniem, znudzony nowym zwrotem w rozmowie — one nie dadzą ani panu, ani mnie szansy zobaczenia ich w trumnie, bo nie mają zamiaru dać się pochować.

Brangwen spojrzał na niego z bezradnym gniewem.

— Posłuchaj pan, nie wiem, po co pan tu przyszedł, i nie wiem, o co panu chodzi. Ale moje córki to moje córki, i to ja muszę dbać o nie, póki potrafię.

Birkin ściągnął brwi z jadowitą ironią w oczach. Pozostał jednak nieskazitelnie chłodny i spokojny. Znów zapadło milczenie.

— Nie mam nic przeciw waszemu małżeństwu — rzekł wreszcie Brangwen. — Zresztą to nie moja sprawa, bo i tak zrobi, jak zechce, z moją zgodą czy bez.

Birkin odwrócił się; wyglądał przez okno zatopiony w myślach. W końcu po co mu to? Nie warto podtrzymywać rozmowy. Poczeka, aż przyjdzie Ursula, porozmawia z nią i pójdzie do domu. Nie dopuści, żeby go jej ojciec

zdenerwował. To nie ma sensu i nie powinien był go prowokować.

Siedzieli obaj w niezmąconej ciszy. Birkin nie całkiem świadomy, gdzie się znajduje. Przyszedł tu poprosić o jej rękę, więc dobrze, poczeka i poprosi. Wcale nie zastanawiał się nad tym, co mu odpowie, czy zgodzi się, czy nie. Sam powie, co ma do powiedzenia, i to wszystko. Cała ta rodzina nie ma dla niego żadnego znaczenia. Nic nie można cofnąć. Widział przed sobą tylko jedną sprawę, nie więcej. Inne na razie jakby go wcale nie dotyczyły. Ich rozstrzygnięcie należy zostawić zrządzeniu losu.

W końcu usłyszeli odgłos otwieranej bramy. Widzieli, jak wchodzi po schodach z naręczem książek pod pachą. Twarz miała jasną, roztargnioną i nieomal błędną, jakby przebywała myślami gdzie indziej, oderwana od rzeczywistości, co zawsze tak drażniło jej ojca. Miała irytującą zdolność świecenia własnym światłem, które nie dopuszczało do niej faktów realnego życia i w którego kręgu promieniała jak w blasku słońca.

Usłyszeli, że poszła do jadalni i rzuciła książki na stół.

— Przyniosłaś mi „Świat Dziewcząt”?

— Przyniosłam. Ale zapomniałam, o który numer ci chodzi.

— Oczywiście — rozzłościła się Rozalinda. — Ty tak zawsze! Dorzuciła parę słów zniżonym głosem.

— Gdzie? — spytała Ursula.

Siostra odpowiedziała coś po cichu. Brangwen otworzył drzwi i zawołał głośno i dźwięcznie:

— Ursula!

Zjawiła się natychmiast, jeszcze w kapeluszu.

—Jak się masz! — zawołała na widok Birkina mrużąc oczy, jakby zaskoczona jego obecnością. Zdziwił się, bo przecież spodziewała się go tu zastać. Zachowywała się we

właściwy sobie zagadkowy sposób, promienna i bez tchu, niepewna wobec rzeczywistego świata, jakby nie w nim żyła, lecz w pełnym, jasnym świecie — swoim i tylko swoim.

— Czy przerwałam wam rozmowę?

— Nie rozmowę, tylko głuche milczenie — odrzekł Birkin.

— Och — mruknęła niewyraźnie, już daleka myślami. Ich obecność nie była dla niej istotna, przebywała gdzie indziej, gdzie nie zostali dopuszczeni. Był to subtelnie obraźliwy sposób bycia, który nigdy nie omieszkał wyprowadzić jej ojca z równowagi.

— Pan Birkin przyszedł porozmawiać z tobą, nie ze mną.

— Naprawdę? — spytała niezbyt przytomnie, jakby wcale jej to nie dotyczyło. Po czym, już bardziej skupiona, odwróciła się do niego promienna, ale jeszcze bez głębszego zainteresowania.

— Czy chodzi o coś specjalnego?

— Mam nadzieję — odpowiedział ironicznie.

— Według jego własnych słów — wtrącił ojciec — chce ci się oświadczyć.

— Och...

— Och! — zakpił ojciec przedrzeźniając ją. — Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Żachnęła się, dotknięta do żywego.

— Naprawdę masz zamiar mi się oświadczyć? — spytała Birkina, jakby chodziło o dowcip.

— Tak. Chyba mam zamiar ci się oświadczyć. — Ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło.

— Rzeczywiście? — zawołała, znowu promienna i nieobecna. Mógł zresztą powiedzieć cokolwiek innego. Wydawała się zadowolona.

— Tak. Chciałbym... chciałbym, żebyś zgodziła się wyjść za mnie za mąż. Patrzyła na niego. W jego oczach migotały

zmienne błyski, chciał od niej czegoś i zarazem nie chciał. Cofnęła się nieco, jak gdyby poczuła się wystawiona na jego spojrzenie i sprawiło jej to przykrość. Sposępniała i już pochmurna odwróciła się. Wygnano ją z jej własnego, osobnego promiennego świata. Lękała się wszelkiego kontaktu, zbliżenie wydawało jej się teraz niemal sprzeczne z naturą.

— Tak?... — bąknęła powątpiewająco i z roztargnieniem.

Serce Birkina ścisnęło się gwałtownie od piekącej goryczy. Wszystko to nic jej nie obchodziło. Znów się pomylił. Żyła zadowolona z siebie we własnym świecie. On i jego nadzieje były to dla niej sprawy uboczne, zakłócające spokój. Doprowadziło to jej ojca do wściekłej furii. Musiał przecież znosić to od niej przez całe życie.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

Drgnęła. Nie bez obawy podniosła wzrok na ojca i spytała:

— Przecież nic nie mówiłam. — Jakby zlękła się, że do czegoś się zobowiązała.

— No tak — odpowiedział z rozpaczą ojciec — ale dlaczego zachowujesz się jak idiotka? Masz swój własny rozum, nie?

Cofnęła się we wrogim milczeniu.

— A jeśli mam swój rozum, to co? — spytała zbuntowanym, wrogim głosem.

— Słyszałaś, o co pan Birkin cię prosi? — krzyknął z gniewem ojciec.

— Oczywiście.

— Przecież musisz mu odpowiedzieć! — grzmiał pan Brangwen.

— Dlaczego?

Zesztywniał, tak impertynencko zabrzmiało jej pytanie. Ale milczał.

— Nie — Birkin starał się rozładować atmosferę — nie oczekuję odpowiedzi natychmiast. Możesz mi jej udzielić, kiedy zechcesz.

Oczy jej zabłysły.

— Dlaczego w ogóle miałabym odpowiadać? To twój pomysł, ja z tym nie mam nic wspólnego. Dlaczego obaj znęcacie się nade mną?

— Znęcamy się! — krzyknął ojciec z goryczą i urazą. — Ja znęcam się nad tobą! Szkoda, bo może nauczyłoby cię to rozsądku i grzeczności. Ale już widzę, jak dajesz się nad sobą znęcać, uparta egoistko!

Przystanęła na środku pokoju z rozpaloną i groźną twarzą, na której malowało się wyzwanie pełne satysfakcji. Birkin spojrzał na nią. On też był zły.

— Nikt się nad tobą nie znęca — rzekł surowym, bardzo cichym głosem.

— Właśnie, że tak! — zawołała. — Obaj chcecie mnie do czegoś zmusić.

— Masz urojenia — powiedział z ironią.

— Urojenia! — wykrzyknął ojciec. —Jest po prostu uparta jak kozioł. Birkin wstał.

— Zostawmy to na razie.

Bez dalszych słów opuścił dom Brangwenów.

— Co za idiotka z ciebie! — w głosie ojca brzmiała zapiekła gorycz. Ursula zostawiła go samego w pokoju i poszła na górę nucąc coś półgłosem.

Ale była zdenerwowana i roztrzęsiona jak po straszliwej walce. Ze swego okna zobaczyła oddalającego się Birkina. Odchodził w aurze takiej wściekłości, że pobudziło ją to do

refleksji. Był śmieszny, ale przestraszył ją. Czuła się tak, jak gdyby uciekła przed niebezpieczeństwem.

W pokoju na dole siedział ojciec, w bezsilnym przygnębieniu i upokorzeniu. Jakby po tym kolejnym niezrozumiałym spięciu z Ursulą opętały go demony. Nienawidził jej przemożną nienawiścią, która stała się dla niego jedyną rzeczywistością. W sercu miał piekło. Ale odszedł, żeby uciec od siebie samego. Wiedział, że musi zrezygnować z nadziei, musi ustąpić, skończyć z rozpaczą i machnąć na to ręką.

Ursula skupiła siły, by przeciwstawić się im wszystkim. Zamknęła się w sobie, twarda i integralna jak klejnot. Była jasna i niedostępna, swobodna i szczęśliwa, w pełni wyzwolona i opanowana. Ojciec, żeby uchronić się od obłędu, musi się nauczyć pogodnego niepamiętania. Promieniała przewagą, jaką dawało jej nieskażone niczym uczucie wrogości.

Przez następne dni będzie trwała w tym stanie, w radosnym szczerym stanie pozornie czystej spontaniczności, tak elementarnie niepomna istnienia czegokolwiek poza nią samą i tak skwapliwie i bez wysiłku obracająca to na swoją korzyść. O, gorzko było mężczyźnie przebywać w jej pobliżu i jej ojciec przeklinał swoje ojcostwo. Musi nauczyć się nie widzieć swej córki, nie znać jej.

Była absolutnie stanowcza w oporze, kiedy znajdowała się w tym stanie: tak jasna, promienna, tak powabna w czystym sprzeciwie i sama tak czysta — a przecież nikt jej nie ufał, nikt nie lubił. Zdradził ją jej głos, dziwnie przenikliwy i odpychający. Tylko Gudrun była z nią w zgodzie. W takich okresach obie siostry były najściślej ze sobą związane, najintymniej, jakby miały jedną, wspólną inteligencję. Czuły silną, żywą więź porozumienia przewyższającą wszelkie inne związki. I w tych dniach ślepego, jasnego oderwania się i zbliżenia jego dwóch córek, ojciec oddychał śmiercią, jak gdyby zabito w nim treść

życia. Był rozdrażniony do szaleństwa, nie umiał odpoczywać, córki zabijały go, był wobec nich niemy i bezradny. Zmuszały go do oddychania powietrzem jego własnej śmierci. Przeklinał je w duszy i marzył o jednym: żeby nie być z nimi razem.

Dziewczęta, promienne w swej swobodnej kobiecej transcendencji, stanowiły piękny widok. Wymieniały zwierzenia, były w swoich wyznaniach niezwykle szczere, dzieliły się najskrytszymi tajemnicami. Nic nie przemilczały, mówiły sobie wszystko, aż znalazły się na granicy zła. Uzbrajały się wzajemnie w wiedzę, z jabłka poznania wydobywały najsubtelniejsze smaki. Same dziwiły się, do jakiego stopnia jedna dopowiada to, czego nie uświadomiła sobie druga. Ursula patrzyła na swoich mężczyzn jak na synów, współczuła ich tęsknotom, ceniła ich męstwo i nie mogła im się nadziwić, jak matka dziwi się swemu dziecku ucieszona jego odrębnością. Gudrun natomiast traktowała ich jak wrogi obóz. Bała się ich, gardziła nimi i przeceniała ich możliwości:

— Naturalnie — perorowała — Birkin odznacza się godną uwagi żywotnością. Ma w sobie niezwykle bogate źródło życia, to zdumiewające, jak potrafi bez reszty poświęcać się różnym sprawom. Ale jest mnóstwo rzeczy, o których po prostu nic nie wie. Albo wcale nie uświadamia sobie, że istnieją, albo odrzuca je jako nieważne, choć dla innych ludzi są najistotniejsze. Pod pewnym względem jest nie dość inteligentny, za to przesadnie intensywny, nadmiernie uczuciowy.

— Tak — powiedziała Ursula — i za dużo w nim kaznodziei. Tak naprawdę, to jest kapłanem.

— Właśnie! Nie słyszy, co kto inny ma do powiedzenia... Zwyczajnie nie słyszy. Jego własny glos jest głośny!...

— Każdego przekrzyczy.

— Przekrzyczy — powtórzyła Gudrun — i zmusi do wysłuchania. Ale to jest beznadziejne, rzecz jasna. Nikogo nie można siłą przekonać. Dlatego rozmowa z nim jest niemożliwa, a współżycie z nim na pewno jeszcze bardziej niemożliwe.

— Uważasz, że nie można z nim współżyć?

— Uważam, że byłoby to zbyt męczące, zbyt wyczerpujące. Nieustannie strofowałby swego partnera, ciągle przywoływałby go do porządku bez prawa wyboru. Chciałby nim rządzić bez żadnego luzu. Nie dopuszcza myśli, że istnieją inne niż jego umysły. Prawdziwą skazą jego umysłu jest przecież brak samokrytycyzmu. Och tak, pewna jestem, że współżycie z nim byłoby nie do zniesienia.

— Chyba tak — potwierdziła niepewnie Ursula. Nie całkiem zgadzała się z Gudrun.

— Kłopot polega na tym, że po dwóch tygodniach prawie każdy mężczyzna okazałby się nie do zniesienia.

— Tak, to okropne. Ale Birkin jest już zbyt apodyktyczny. Nie ścierpi, jeśli własną duszę nazwiesz swoją. Nie ma w tym cienia przesady.

— To prawda. Musisz mieć jego duszę.

— No właśnie! Przecież to koszmar.

Wszystko to było tak zgodne z prawdą, że Ursulę do głębi przejął niepohamowany wstręt.

Przez pewien czas targały nią sprzeczne uczucia, pogrążając ją w najbardziej jałowych rozterkach. Potem nastąpił zwrot w jej stosunku do Gudrun. Gudrun tak zdecydowanie brała życie od najgorszej strony, tak gruntownie i nieodwracalnie umiała je obrzydzić. A przecież nawet gdyby mówiąc o Birkinie miała rację, to w gruncie rzeczy co innego też było prawdą. Ona zaś sumuje go i przekreśla jak uregulowany rachunek. Jest już podsumowany, zapłacony, zlikwidowany, załatwiony. A to,

oczywiście, jest fałsz. I fałszywa jest bezwzględność Gudrun, jej skłonność do rozprawiania się jednym zdaniem z ludźmi i. problemami. W Ursuli narastał bunt przeciw siostrze.

Pewnego dnia spacerując po ścieżce zobaczyły drozda, który przysiadłszy na najwyższej gałązce krzewu zanosił się śpiewem. Siostry stanęły, żeby mu się przyjrzeć. Przez twarz Gudrun przemknął ironiczny uśmiech.

— Popatrz, jaki się robi ważny!

— Widzę! — zawołała drwiąco Ursula. — Skrzydlaty Lloyd George!

— Och tak, skrzydlaty Lloyd George. Właśnie tak wygląda! — Gudrun była zachwycona. Przez długi czas potem Ursula, patrząc na natrętne uprzykrzone ptaki, w każdym z nich widziała zażywnego, krępego polityka perorującego z trybuny, niskiego mężczyznę, który za wszelką cenę chce być słyszany.

Lecz nawet i to ostatecznie przyczyniło się do zmiany w jej uczuciach do siostry. Pewnego razu tuż przed nią śmignęło kilka trznadli. Wydały jej się tajemnicze i nieziemskie, jakby przez powietrze przemknęły w jakichś przedziwnych, lecz ważnych sprawach jaskrawożółte chryzantemy; powiedziała sobie: „Właściwie to bezczelność nazywać je skrzydlatymi Lloyd George’ami. Nic o nich naprawdę nie wiemy, są wielką niewiadomą. Bezczelnością jest oceniać je według ludzkich norm. Są z innego świata. Antropomorfizm to bzdura! A Gudrun jest w istocie zarozumiała i arogancka, ponieważ uważa siebie za miarę wszechrzeczy, sprowadza wszystko do ludzkich wzorców. Rupert ma rację, człowiek jest nudny, ponieważ utożsamia wszechświat ze światem ludzi. Świat, dzięki Bogu, nie jest ludzki”. Wydawało jej się brakiem szacunku, zgubnym dla wszystkiego, co żyje, utożsamianie ptaka z Lloyd Georgem. Było to dla drozdów uwłaczające i oszczercze. A przecież

sama to robiła! Ale pod wpływem Gudrun. To ją nieco usprawiedliwiało.

Odsunąwszy się od siostry i od głoszonych przez nią teorii, znów w duchu zwróciła się do Birkina. Nie widziała go do dnia jego pechowych oświadczyn. Nie chciała zresztą go widzieć, żeby nie stanąć przed koniecznością udzielenia mu odpowiedzi. Wiedziała, co Birkin miał na myśli, kiedy prosił ją o rękę. Nie umiejąc tego sformułować wiedziała, o co chodzi, jakiej chce od niej miłości, jakiego podporządkowania się. I bynajmniej nie była pewna, czy jest to rodzaj miłości, który jej odpowiada. Bynajmniej nie była pewna, czy pragnie właśnie takiej wspólnoty w odrębności. Pragnęła nieopisanych zbliżeń. Chciała mieć go całkowicie, nieodwołalnie tylko dla siebie, och, tak nieopisanie bliskiego. Chciała wypić go jak eliksir życia. Żarliwie zapewniała samą siebie, że gotowa jest ogrzewać jego stopy między piersiami jak w obrzydliwym wierszu Mereditha. Ale tylko pod warunkiem, że on, jej kochanek, będzie kochał ją absolutnie, z bezwzględnym oddaniem. I była dość przenikliwa, by wiedzieć, że Rupert nigdy nie podda się jej ostatecznie. Nie wierzył w ostateczne oddanie. Powiedział to szczerze. Rzucił jej wyzwanie. Była gotowa walczyć z nim o to. Ona bowiem wierzyła w absolutne poddanie się w miłości. Wierzyła, że miłość jest ważniejsza niż własna osobowość. Rupert twierdził, że osobowość to więcej niż miłość, niż każdy związek. Dla niego miłość była jedynie atrybutem duszy, jasnej i oddzielnej, atrybutem jej równowagi. Dla Ursuli miłość była wszystkim. Mężczyzna musi poddać się jej. Musi być przez nią wysączony do ostatniej kropli. Niech bez reszty będzie jej mężczyzną, a ona w zamian — z wolą czy wbrew woli — zostanie jego pokorną niewolnicą.

ROZDZIAŁ XX

GLADIATORSKI

Po nieudanych oświadczynach miotany gniewem Birkin na oślep uciekł z Beldover. Czuł, że zrobił z siebie durnia, że cała scena była farsą czystej wody. Ale bynajmniej się tym nie przejmował. Był do głębi, urągliwie wściekły na Ursulę, która, arogancka i nieuważna, uparcie trwała przy tym swoim: „Dlaczego się nade mną znęcacie?”.

Udał się wprost do Shortlands. Geralda zastał w bibliotece; stał plecami do kominka, jak człowiek nękany jałowym niepokojem, z pustką w duszy i w myślach. Wykonał w pracy wszysko, co zamierzał, i teraz już nic mu nie pozostało. Mógł pojechać gdzieś samochodem, mógł wyprawić się do miasta. Ale nie miał ochoty na jazdę samochodem, nie miał ochoty na wyprawę do miasta, nie miał ochoty na wizytę u Thirlbych. Trwał odrętwiały w zawieszeniu, w agonii bezwładu, jak maszyna bez napędu.

Dla Geralda, który nie wiedział dawniej, co to jest nuda, który bez kłopotu od jednej czynności natychmiast przerzucał się do drugiej, było to szczególnie dokuczliwe. Czuł się teraz tak, jakby stopniowo wszystko się w nim zablokowało. Nie chciał już więcej zajmować się bieżącymi sprawami. Coś w nim umarło i martwe nie pozwalało podjąć żadnej inicjatywy. Szukał w myślach ratunku przed udręką nicości, szukał ulgi od ciśnienia pustki. Znał tylko trzy sposoby ożywienia się. Jednym był alkohol lub haszysz, drugim rozmowa z Birkinem, który umiał go uspokajać, trzecim wreszcie — kobiety. W tym momencie nie miał partnera do picia, nie było żadnej kobiety i wiedział, że Birkina nie ma w domu. Nie było więc rady, sam musiał dźwigać ciężar własnej pustki.

Na widok Birkina twarz rozświetlił mu nagły, ujmujący uśmiech.

— Słowo daję, Rupert, właśnie doszedłem do wniosku, że najważniejsze w życiu to mieć kogoś, przy kim czujemy się mniej samotni — kogoś właściwego, rzecz jasna.

Spoglądał na przyjaciela z dziwnym uśmiechem w oczach. Był to wyraz szczerej ulgi, który rozjaśnił jego bladą, mizerną wręcz twarz.

— To znaczy właściwą kobietę? — podsunął złośliwie Birkin.

— Owszem, kobietę najchętniej. Ale w braku kobiety może to być i zajmujący mężczyzna.

Zaśmiał się mówiąc to. Birkin usiadł przy kominku.

— Co robisz?

— Ja? Nic. Jestem ostatnio w kiepskim nastroju, wszystko mnie denerwuje, nie mogę ani pracować, ani się bawić. Nie wiem, czy to przypadkiem nie jest oznaka starzenia się.

— Chcesz przez to powiedzieć, że się nudzisz?

— Sam nie wiem, czy się nudzę. Nie mogę się do niczego zabrać. I czuję, że albo opętał mnie diabeł, albo w ogóle go nie ma.

Birkin popatrzył mu w oczy.

— Może powinieneś walnąć w coś pięścią? Gerald uśmiechnął się.

— Może. Gdyby to było coś, w co warto walnąć.

— Właśnie! — Birkin mówił cicho, jak zawsze. Nastąpiła długa przerwa, w czasie której każdy z nich czuł wyraźnie obecność drugiego.

— Trzeba czekać — odezwał się wreszcie Rupert.

— Mój Boże! Czekać... Na co?

— Mądrzy ludzie twierdzą, że są trzy lekarstwa na ennui — sen, alkohol i podróże.

— Plotą głupstwa. Przecież śpiąc — śnisz, pijąc — klniesz, a w podróży wrzeszczysz na tragarza. Nie, nie, dwa są tylko prawdziwe lekarstwa — praca i miłość. Kiedy nie pracujesz, powinieneś kochać.

— No, to zakochaj się.

— Dostarcz mi przedmiotu uczuć. Możliwości kochania z czasem się wyczerpują.

— Rzeczywiście? I co wtedy?

— Umierasz.

— Więc powinieneś umrzeć — rzekł Birkin.

— Bo ja wiem... — Gerald wyjął ręce z kieszeni spodni i sięgnął po papierosa. Był napięty i zdenerwowany, zapaliwszy papierosa nad lampą zaciągnął się równomiernie. Chociaż sam w domu, przebrał się, jak zwykle wieczorem, do kolacji.

— Jest jeszcze trzecie lekarstwo oprócz twoich dwóch. Praca, miłość i walka. Zapominasz o walce.

— Słusznie. Boksowałeś się kiedyś?

— Nie.

— Hm... — Gerald podniósł głowę i powoli wypuścił dym z papierosa.

— Dlaczego pytasz?

— E, nic. Myślałem, że rozegramy rundę. Może to i prawda, że mam ochotę walnąć w coś pięścią. Niezła myśl.

— I myślisz, że właśnie ja bym ci się nadał?

— Ty? No cóż, może... Oczywiście w przyjacielskim starciu.

— A jakże! — mruknął kąśliwie Birkin.

Gerald stał opierając się o kominek Spoglądał z góry na Birkina i jego oczy zmąciło coś na kształt lęku; były jak nabiegłe krwią, przemęczone ślepia ogiera, który ogląda się za siebie zdrętwiały ze strachu.

— Czuję, że muszę się strzec, żeby nie popełnić nagle jakiegoś głupstwa.

— I cóż by to szkodziło? — zapytał chłodno Birkin.

Gerald słuchał niecierpliwie. Nie odrywał wzroku od Ruperta, jakby czegoś po nim oczekiwał.

— Kiedyś trenowałem zapasy japońskie — rzekł Birkin. — W Heidelbergu, w tym samym domu co ja, mieszkał Japończyk Dał mi parę lekcji. Ale nie byłem w tym specjalnie dobry.

— Popatrz! To jedna z tych rzeczy, których nawet nigdy nie widziałem. Bo mówisz przecież o dżu-dżitsu?

— Tak Ale nie mam do tego zdolności. Nie interesuje mnie to.

— A mnie tak. Od czego zaczyna się wałka?

— Pokażę ci, co sam umiem. Jeśli masz ochotę.

— Pokażesz mi? — Twarz Geralda ściągnął na mgnienie oka dziwny uśmiech. — Będę ci bardzo wdzięczny.

— Proszę bardzo, spróbujemy dżiu-dżitsu. Ale nie będzie ci wygodnie w nakrochmalonej koszuli.

— To się rozbierzmy i weźmy się do tego jak należy. Poczekaj chwilę. — Nacisnął dzwonek na kamerdynera.

— Przynieś tu sandwicze i syfon z wodą. Proszę mi dziś wieczór już nie przeszkadzać. I nikogo tu nie wpuszczać

Służący wyszedł. Gerald odwrócił się do Birkina z błyszczącymi oczami.

— Więc mocowałeś się z Japończykiem? Rozbieraliście się?

— Czasami.

— No, proszę! Jaki on był jako zapaśnik?

— Chyba dobry. Nie znam się na tym. Był bardzo zwinny. Śliski i naładowany elektrycznością. To godne uwagi, jaką ci Japończycy obdarzeni są dziwną, płynną siłą... mają ręce jak macki polipa...

Gerald skinął głową.

— Mogę sobie to wyobrazić, kiedy na nich patrzę. Jest w nich coś odpychającego.

— Odpychają, i przyciągają jednocześnie. Budzą odrazę, kiedy są zimni i bladzi.

Ale kiedy rozgrzewają się i podniecają, robią się zdecydowanie atrakcyjni, wydzielają ciekawy rodzaj elektrycznych fluidów... jak węgorze.

— Chyba tak... rzeczywiście. Służący przyniósł tacę.

— I więcej już nie wchodź — rzekł Gerald. Drzwi zamknęły się za nim.

— Więc jak? Rozbieramy się i zaczynamy, czy wolisz przedtem się czegoś napić?

— Nie, wcale nie mam ochoty.

— Ani ja.

Gerald przekręcił klucz w drzwiach i odsunął meble pod ścianę. Pokój był obszerny, z mnóstwem wolnego miejsca, na podłodze leżał gruby dywan. Gerald zrzucił szybko ubranie i czekał na Birkina. Rupert, biały i chudy, podszedł bliżej. Był bardziej zjawą niż żywym człowiekiem; Gerald był w całej pełni świadomy jego obecności, ale jakby bez udziału wzroku. Sam natomiast był rzeczywisty i dostrzegalny, był solidną, nienaruszalną cząstką materii.

— Teraz pokażę ci, czego mnie nauczono i co zapamiętałem. Chwycę cię w ten sposób.:. — Ręce Ruperta zacisnęły się na nagim ciele przyjaciela. W następnym momencie Gerald balansował już głową w dół na kolanie

Birkina. Po chwili, odprężony, stanął na nogach z błyszczącymi oczami.

— To dobre! — powiedział. — Spróbuj jeszcze raz.

Rozpoczęła się walka. Obaj mężczyźni byli krańcowo różni. Birkin wysoki i chudy, o bardzo drobnych, cienkich kościach. Gerald o wiele cięższy i bardziej giętki. Kości miał mocne i solidne, członki obłe, ciało pełne, kształtne i pięknie wymodelowane. Zdawał się mocno i pewnie stać na ziemi, podczas gdy Birkin środek ciężkości miał jakby wewnątrz, we własnym ciele. Siła Geralda była bujna i sprężona, stosował ją raczej mechanicznie, ale znienacka, niepokonany w zwarciu z przeciwnikiem, Birkin zaś był nieuchwytny, prawie nieobecny. Uderzał w partnera niewidocznie, zdawało się, że ledwie dotyka jego ciała, muskając je jak ubranie, i potem nagle chwytał go w ciasny, prężny uścisk, który przeszywał Geralda do trzewi.

Przerwali, omawiali metody, ćwiczyli chwyty i rzuty, starali się przystosować do siebie i do rytmu przeciwnika; osiągnęli coś w rodzaju fizycznego porozumienia. A potem znowu zmagali się w prawdziwej walce. Zwarli się z sobą ciasno, najciaśniej, jakby ich białe ciała chciały stopić się w jedno. Birkin atakował przeciwnika z czujnością, nerwowym napięciem i niesamowitą siłą, przytłaczał go i jakby rzucał urok. Po chwili Gerald wyzwalał się, dźwigał na nogi, biały, oszołomiony, zadyszany.

Zmagali się i mocowali, coraz ciaśniej ze sobą spleceni. Obaj byli biali i jaśni, ale skóra Geralda pod uciskiem czerwieniła się jaskrawo, podczas gdy Birkin pozostawał biały i napięty. Zdawał się cały wnikać w masywną, wielką bryłę ciała Geralda, własne ciało stapiając z jego ciałem, jakby chciał chytrze poddać je swojej woli, przez cały czas przewidując z góry z bystrą, magiczną wręcz intuicją następny ruch przeciwnika, kontrolując go i odpierając, niczym mocny wiatr targając członkami i tułowiem Geralda. Było to tak, jak gdyby cała inteligencja Birkina

podporządkowała sobie ciało Geralda, jak gdyby jego wspaniała, sprężona energia przenikała w trzewia tęższego mężczyzny niby siła przeciągająca delikatną, krępującą sieć poprzez mięśnie do samej głębi jego jestestwa.

Walczyli szybko, w uniesieniu, zawzięci i wreszcie na nic niepomni, dwie osobne białe postacie, splecione szczelnie w jedno walczące ciało z dziwnymi jak u ośmiornicy supłami i błyskami kończyn w przyćmionym świetle pokoju; napięty, biały węzeł ciał mocował się w ciszy wśród ścian zastawionych starymi książkami w brązowych oprawach. Od czasu do czasu słychać było odgłos chrapliwie wciąganego powietrza lub coś w rodzaju westchnienia, potem nagle głuchy łomot ciosów tłumionych przez gruby dywan pokrywający podłogę i wreszcie dziwne plaśnięcia ciała odrywającego się od drugiego dała. Często w ciasno splecionym kłębie pulsującego życia, który zataczał się w milczeniu, nie widać było głów, tylko szybkie, mocne nogi, masywne białe grzbiety, fizyczny związek dwóch ciał sczepionych w jedność. Kiedy zmieniali pozycję, chwilami wynurzała się rozczochrana, błyszcząca od potu głowa Geralda, potem na moment z zamętu wyłaniała się głowa Ruperta, ciemnowłosa, widmowa, o szeroko otwartych oczach, strasznych, niewidzących.

W końcu na dywanie leżał Gerald bezwładny, dyszący ciężko i mozolnie, podczas gdy Birkin klęczał na nim, prawie nieprzytomny. Rubert był o wiele bardziej wyczerpany, z największym trudem łapał oddech, krótki i urywany. Ziemia pod nim kołysała się i zapadała. Kompletnie zamroczony nie rozumiał, co się stało. Bezwiednie osunął się na Geralda, ale Gerald tego nie zauważył. Nie odzyskał świadomości, wiedział tylko, że wokół niego przechyla się i wywraca świat. Świat toczył się, wszystko odpływało w ciemność. On sam też toczył się, bez końca toczył się w przestrzeń.

Ocknął się słysząc gdzieś w pobliżu ogłuszające walenie. Co się stało, dlaczego, skąd te donośne uderzenia młota, od

których huczy cały dom? Nic nie rozumiał. Nagle zdał sobie sprawę, że to bije jego serce. Wydawało się to niemożliwe, hałas dochodził przecież z zewnątrz. Lecz nie, rozlegał się w środku, w nim, to waliło tak jego własne serce. Uderzenia były bolesne, wytężone, rozdzierająco dokuczliwe. Czy Gerald je słyszy? Rupert nie wiedział, czy stoi, leży czy pada.

Kiedy uzmysłowił sobie, że jest rozciągnięty na ciele Geralda, zdziwił się, zaskoczony. Usiadł podparłszy się ręką i czekał, aż serce uspokoi się i przestanie boleć. Silny, dojmujący ból pozbawił go przytomności.

Gerald zresztą był jeszcze bardziej zamroczony. Otępiali, pogrążeni w niebycie, trwali tak przez wiele niezliczonych, nieznanych minut.

— Przepraszam... — Gerald z trudem łapał powietrze. — Byłem wobec ciebie brutalny... Należało hamować się... Przy mojej sile...

Birkin słyszał dźwięk głosu Geralda, ale tak, jakby słuchał nie on, lecz jego duch stojący za nim. Ciało miał odrętwiałe z wyczerpania, duch słyszał niewyraźnie i ciało nie mogło odpowiedzieć. Wiedział tylko, że serce powoli się uspokaja. Był bezpowrotnie rozdwojony, składał się z ducha, który stał na zewnątrz i wiedział, i z ciała — na nic niepomnego, bezmyślnego pulsowania krwi.

— Mogłem powalić cię... przemocą — dyszał Gerald. — Ale właściwie to ty mnie pobiłeś.

— Tak. — Birkin musiał wytężać siły, żeby dobyć z siebie głos. — Jesteś ode mnie o wiele silniejszy... mogłeś mnie... łatwo... pobić.

Znowu pozwolił, by wchłonęła go straszna topiel własnego serca i krwi.

— Nie spodziewałem się, że masz tyle siły. Wręcz nadprzyrodzonej.

— Przez krótką chwilę tylko — szepnął Birkin.

Ciągle jeszcze tego, co tamten mówił, słuchał jakby nie on, lecz jego bezcielesny duch stojący w pewnej odległości. Lecz duch już się nieco zbliżył, gwałtowny łomot krwi w klatce piersiowej scichł i umysł z wolna wracał do przytomności. Zdawał sobie sprawę, że całym ciężarem leży na miękkim ciele przyjaciela. Zaskoczyło go to, bo był pewien, że już się od niego odsunął. Ocknął się, zebrał siły i usiadł. Nadal czul się mętnie i niepewnie. Wyciągnął rękę, żeby się podeprzeć. Dotknął leżącej na podłodze dłoni Geralda. Ciepła ręka Geralda niespodziewanie zacisnęła się na dłoni Birkina i leżeli tak zmęczeni i zziajani. To Birkin, w szybkiej odpowiedzi, objął mocnym, ciepłym uściskiem dłoń przyjaciela. Uścisk Geralda był odruchowy i przelotny.

Stopniowo wracali do normalnego stanu. Birkin mógł już niemal swobodnie oddychać. Gerald powoli cofnął rękę. Birkin półprzytomny stanął na nogach i podszedł do stołu. Nalał sobie whisky z wodą sodową. Gerald również podniósł się i sięgnął po szklankę.

— Prawdziwa bójka, co? — Rupert patrzył na Geralda pociemniałymi oczami.

— Najprawdziwsza. — Spojrzał na delikatne ciało Ruperta i dodał: — Czy to aby nie za dużo dla ciebie?

— Ależ skąd! Potrzebny jest kontakt fizyczny, zapasy, walka. To uzdrawia.

— Tak uważasz?

— A ty?

— Zgadzam się z tobą.

Jedno słowo od drugiego dzieliły długie okresy ciszy. Ta walka miała dla nich jakiś głęboki sens, jeszcze nie całkiem jasny. ’

— Psychicznie i duchowo jesteśmy sobie bliscy, powinniśmy więc w większym stopniu zbliżyć się do siebie

fizycznie. Wtedy dopiero osiągniemy pełnię.

— Masz rację. — Gerald roześmiał się ciepło. — Dla mnie to było wspaniałe. — Rozłożył szeroko ramiona.

— Tak. Nie wiem, dlaczego mielibyśmy się usprawiedliwiać.

— Właśnie. Zaczęli się ubierać.

— Poza tym jesteś piękny — powiedział Birkin — i to też jest przyjemne. Trzeba cieszyć się tym, co człowiekowi jest dane.

— Uważasz, że jestem piękny? Że mam piękne ciało? — spytał z błyskiem w oku Gerald.

— Tak. Masz północną urodę, jak światło odbite od śniegu. I piękną, giętką figurę. Tym także należy się cieszyć. Bo należy cieszyć się wszystkim, czym można.

Gerald roześmiał się gardłowo.

— Można spojrzeć na to i od tej strony. W każdym razie niewątpliwie czuję się lepiej. Pomogło mi. Czy to właśnie Brüderschaft, owo braterstwo krwi, o którym mówiłeś?

— Być może. Myślisz, że to był rodzaj ślubowania?

— Nie mam pojęcia — zaśmiał się Gerald.

— W każdym razie jesteśmy teraz swobodniejsi i bardziej szczerzy wobec siebie. A przecież o to właśnie nam chodzi.

— Oczywiście.

Przysunęli do kominka stolik z karafkami, szklankami i jedzeniem.

— Lubię coś przekąsić przed pójściem do łóżka — rzekł Gerald. — Lepiej Śpię.

— Ja przeciwnie, nie spałbym dobrze.

— Nie? No widzisz, nie jesteśmy do siebie podobni. Włożę szlafrok. Birkin został sam, wpatrzony w ogień. Krążył myślami wokół Ursuli. Zdawała się znowu być obecna w jego

świadomości. Gerald wrócił w efektownej, połyskliwej szacie z grubego jedwabiu w szerokie czarno-zielone pasy.

— Wspaniale w tym wyglądasz — rzekł Birkin.

— To jest kaftan z Buchary. Lubię go.

— Mnie też się podoba.

Birkin zamilkł, myśląc o tym, jak bardzo Gerald dba o swój wygląd i jak kosztownie się ubiera. Nosi jedwabne skarpetki, kunsztowne spinki, jedwabną bieliznę i jedwabne szelki. Ciekawe. Oto jeszcze jedna różnica między nimi. Birkin w sprawach stroju był niedbały i bez inwencji.

— Wiesz, że w tobie — Gerald mówił z namysłem — jest coś dziwnego. Jesteś niesamowicie silny. Nikt by się tego po tobie nie spodziewał, to zdumiewające.

Birkin roześmiał się. Spoglądał na zgrabną postać przyjaciela, jasnowłosego i przystojnego w bogatym stroju, i niejasno uświadamiał sobie, jak są odmienni; tak bardzo odmienni jak mężczyzna i kobieta, ale inaczej. Co prawda teraz właśnie kobieta zaprzątała jego myśli. Gerald znowu zblaknął, oddalał się.

— Wiesz — odezwał się nagle Rupert — oświadczyłem się dziś wieczór Ursuli Brangwen.

Na twarzy Geralda odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

— Oświadczyłeś się?

— Tak. Całkiem formalnie, najpierw zwróciłem się do ojca, zgodnie z obowiązującym zwyczajem. Choć, prawdę mówiąc, był to przypadek lub może gaffa.

Gerald wytrzeszczył oczy, jakby nie mógł tego pojąć.

— Nie powiesz mi przecież, że naprawdę poszedłeś tam i poprosiłeś ojca, żeby pozwolił ci ożenić się z Ursulą!

— Właśnie tak postąpiłem.

— Musiałeś wobec tego już przedtem to z nią omówić?

— Nie zamieniłem z nią ani słowa. Pomyślałem nagle, że pójdę tam i zapytam ją, no i przypadkiem natknąłem się na ojca, więc najpierw zapytałem jego...

— Czy możesz ją dostać?

— Chyba tak...

— A z nią wcale nie mówiłeś?

— Owszem. Przyszła trochę później, więc i jej przedłożyłem sprawę.

— Przedłożyłeś sprawę ! I co ona na to? Jesteś zaręczony?

— Nie... Oświadczyła tylko, że nie chce być zmuszona siłą do odpowiedzi.

— Że co?

— Że nie chce być zmuszona siłą do odpowiedzi.

— Zmuszona siłą do odpowiedzi! Jak to należy rozumieć? Birkin wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że nie chciała sobie właśnie wtedy zaprzątać tym głowy.

— Czy aby na pewno? A co potem zrobiłeś?

— Pożegnałem się i przyszedłem tutaj.

— Wprost tutaj? — Tak.

Gerald był zdumiony i rozbawiony. Nie mógł w to wręcz uwierzyć.

— I odbyło się to dokładnie tak, jak opowiadasz?

— Słowo w słowo.

— Nie do wiary.

Przechylił się w fotelu, rozweselony i zachwycony.

— To piękne. I przyszedłeś tutaj walczyć ze swoim aniołem?

— Tak myślisz?

— Na to wygląda. Tak przecież zrobiłeś?

Teraz z kolei Birkin nie mógł pojąć, o co chodzi Geraldowi.

— I co dalej? — spytał Gerald. — Będziesz, jak to się mówi, podtrzymywał swoją propozycję?

— Chyba tak. Przysiągłem sobie, że rzucę to wszystko w diabły. Ale sądzę, że za pewien czas znowu jej się oświadczę.

Gerald przyglądał mu się uważnie.

— Zależy ci na niej?

— Myślę, że ją kocham... — odrzekł Birkin ze spokojną, nieporuszoną twarzą.

Gerald rozpromienił się, jakby jemu właśnie miało to sprawić szczególną przyjemność. Po chwili przybrał znów należycie poważną minę i powoli pokiwał głową.

— Zawsze wierzyłem w miłość, prawdziwą miłość.. Czy można ją dzisiaj znaleźć?

— Nie wiem.

— Tak rzadko się zdarza — powiedział Gerald. I dodał: — Sam nigdy jej nie zaznałem — nie można tego nazwać miłością. Ubiegałem się o kobiety, owszem, na niektórych bardzo mi zależało. Ale nigdy nie czułem do nich miłości. Wydaje mi się, że do ciebie czuję więcej miłości, niż do którejkolwiek z nich. Miłości, rozumiesz?

— Rozumiem. I pewien jestem, że nigdy nie kochałeś kobiety.

— Czujesz to, prawda? I myślisz, że nigdy nie pokocham? Wiesz, o co mi chodzi? — położył rękę na piersi, zaciskając pięść, jakby miał coś stamtąd wyrwać. — Chodzi mi o to, że... Nie potrafię tego wyrazić, ale wiem, co mam na myśli.

— Na czym więc to polega? — spytał Birkin.

— Nie, nie umiem tego ująć w słowa. W każdym razie ma to być coś trwałego, co nie zmienia się i nie może zmienić...

Miał jasne, zamyślone spojrzenie.

— Powiedz, proszę cię... Myślisz, że spotkam kiedyś kobietę, którą będę mógł tak właśnie pokochać? — spytał niespokojnie.

Birkin potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie umiem ci na to odpowiedzieć.

Gerald, napięty, czekał na wyrok. Teraz znowu opadł w głąb fotela.

— Oczywiście. Ja też nie umiem. Nie potrafię.

— Różnimy się od siebie. Nie mogę przewidzieć, jak się potoczy twoje życie.

— Ani ja, niestety. Ale jedno ci powiem... Zaczynam w to wątpić.

— Że spotkasz kobietę, którą pokochasz?

— Prawdziwą miłością.

— Wątpisz w to?

— Zaczynam w to wątpić. Zapadło długie milczenie.

— W życiu różnie bywa — rzekł Birkin. — Nie toczy się jedną tylko drogą.

— I ja w to wierzę. Tak, wierzę. I pamiętaj, nie dbam o to, co będzie ze mną... nie dbam o nic, skoro nie czuję... — przerwał z twarzą na chwilę pozbawioną wyrazu. — Bylebym tylko czuł, że żyję, że żyłem... Nie, nie przejmuję się wcale, ale chcę Czuć, że...

— Że twoje życie jest spełnione.

— No tak... spełnione. Być może. Ja używam innych słów niż ty..

— Ale znaczą to samo.

ROZDZIAŁ XXI

PRÓG

Gudrun pojechała do Londynu, gdzie razem z przyjaciółką miała niewielką wystawę swoich prac i gdzie chciała się rozejrzeć przed wylotem z Beldover. Bez względu na wszystko zamierzała już wkrótce rozwinąć skrzydła. Od Winifred Crich dostała list ozdobiony rysunkami.

„Ojciec też był w Londynie, na badaniach u lekarza. Bardzo się tymi badaniami zmęczył. Kazali mu dużo odpoczywać, więc przeważnie leży w łóżku. Przywiózł mi śliczną papużkę tropikalną z fajansu drezdeńskiego, oracza i dwie myszy wspinające się na komin, wszystko fajansowe. Myszy są z Kopenhagi. Kopenhaski fajans jest najlepszy, tylko te myszy nie bardzo błyszczą, poza tym są dobre, ogony mają cienkie i długie. Wszystkie te figurki błyszczą jak szkło. Wiem, że to glazura, ale nie lubię tego. Geraldowi najbardziej podoba się oracz. Ma podarte spodnie i jego pług ciągnie wół, bo to jest na pewno niemiecki chłop. Jest szaro-biały, ma białą koszulę i szare spodnie, ale wszystko błyszczące i czyste. Panu Birkinowi najbardziej podoba się dziewczynka pod kwitnącym głogiem, z owieczką w spódniczce z malowanymi żonkilami, ta, co stoi w saloniku. Ale to niemądre, bo owieczka nie jest prawdziwa i dziewczynka też jest niemądra.

Droga panno Brandwen, czy wróci pani niebawem? Bardzo nam tu pani brak, I załączam rysunek, jak tatuś siedzi w swoim łóżku. Tatuś ma nadzieję, że nie zamierza nas pani porzucić. Och, kochana panno Brangwen, na pewno pani tego nie zrobi! Proszę wrócić, będziemy rysować łasice, najładniejsze i najmilsze stworzonka na świecie. Mogłybyśmy rzeźbić je z gałązek ostrokrzewu, jak kicają na

tle zielonych liści. Och, proszę, niech się pani zgodzi, bo one są na pewno najpiękniejsze.

Tatuś mówi, że mogłybyśmy mieć dla siebie pracownię. Gerald mówi, że może nam dać to pomieszczenie nad stajniami. Wystarczy tam wprawić okna w pochyły dach, co jest całkiem łatwe. I wtedy będzie pani mogła być tu przez cały dzień i tutaj pracować, i w ogóle żyłybyśmy sobie w pracowni jak dwie prawdziwe artystki, tak samo jak ten mężczyzna, co na obrazie w hallu stoi z patelnią, a dokoła calutkie ściany pokryte rysunkami Marzę o tym, żeby być wolną i wieść wolne życie artystki. Nawet Gerald powiedział ojcu, że tylko artysta jest wolny, ponieważ we własnym świecie, który sam tworzy...”

Gudrun między wierszami listu odczytała sens rodzinnych intencji. Gerald chciał związać ją jakoś z domem w Shortlands i Winifred służyła mu jako pretekst. Ojciec myślał wyłącznie o swoim dziecku i w Gudrun widział opokę, która je ocali. Gudrun podziwiała jego przenikliwość. Co więcej, dziewczynka była rzeczywiście wyjątkowa. Gudrun miała wszelkie powody do zadowolenia. Cieszyła ją perspektywa spędzania dni w Shortlands, jeżeli otrzyma tam pracownię. Szkoły już nie znosiła, chciała odzyskać swobodę. Gdyby miała pracownię, mogłaby spokojnie pracować i z całkowitą pogodą oczekiwać dalszego biegu zdarzeń. Winifred naprawdę ją interesowała, cieszyłaby się, gdyby mogła ją lepiej poznać.

W dniu powrotu Gudrun do Shortlands odbyła się tam z inicjatywy Winifred mała uroczystość.

— Zrób bukiet kwiatów dla panny Brangwen, dasz jej na powitanie — poradził siostrze z uśmiechem Gerald.

— Och nie — zawołała Winifred — to jest głupie!

— Skądże! To zwykła, bardzo sympatyczna uprzejmość.

— Ale to jest głupie — zaprotestowała Winnie z właściwą dla swego wieku mauvaise honte. Niemniej pomysł przypadł

jej do gustu. Miała wielką ochotę go zrealizować. Cichcem wymykała się do oranżerii i cieplarni łapczywie przyglądając się kwiatom na długich łodygach. Im dłużej patrzyła, im intensywniej marzyła o bukiecie z tych kwiatów, urzeczona wizją ceremoniału, tym mocniej, niemal do utraty przytomności, trawiło ją zażenowanie i nieśmiałość. Nie umiała rozstać się z myślą o bukiecie. Jakby nie potrafiła oprzeć się wyzwaniu, ale nie miała też dość odwagi żeby je podjąć. Znów więc krążyła po cieplarniach, patrzyła na piękne róże w doniczkach, na dziewicze cyklameny i mistycznie białe kiście pnączy. Jakie są piękne, ach, jakie piękne, i och, cóż to za rajskie szczęście, jeżeli ułoży z nich cudny bukiet i wręczy go nazajutrz Gudrun. Żarliwa chęć i absolutna niemożliwość powzięcia decyzji wpędziły ją niemal w chorobę.

W końcu wśliznęła się do ojca.

— Tatusiu...

— Co, mój skarbie?

Ale ociągała się, płacząc prawie z rozterki i zdenerwowania. Ojciec patrzył na nią z sercem gorejącym od czułości, udręczony dojmującą miłością.

— Co mi chcesz powiedzieć, małutka?

— Tatusiu — uśmiechnęła się powściągliwie samymi oczami — czy to nie będzie głupio, jeśli dam pannie Brangwen parę kwiatków na przywitanie?

Chory patrzał w bystre, rozumne oczy swego dziecka z sercem płonącym miłością.

— Nie, kochanie, nic w tym nie ma głupiego. Wobec królowych też tak się postępuje.

Nie upewniło to bynajmniej Winifred. Podejrzewała trochę, że w ogóle głupio jest być królową. Ale taką miała ochotę na romantyczną scenkę!

— I mam to zrobić?

— Dać kwiaty pannie Brangwen? Tak, ptaszku. Powiedz Wilsonowi, że pozwalam ci wybrać, jakie tylko zechcesz.

Przelotny uśmieszek, subtelny i bezwiedny, przemknął po twarzy dziewczynki w przewidywaniu tego, co nastąpi.

— Ale chcę je dopiero na jutro.

— Dobrze, ptaszku. A teraz pocałuj mnie... Winifred w milczeniu ucałowała chorego i wymknęła się z pokoju. Obeszła znowu cieplarnie i oranżerię we właściwy sobie wyniosły, apodyktyczny sposób, zawiadamiając ogrodnika, czego sobie życzy, i wskazując mu wybrane kwiaty.

— Po co panience te kwiaty? — spytał Wilson.

— Potrzebne mi są. — Nie lubiła, jak służący zadawali pytania.

— To już słyszałem. Ale do czego panience są potrzebne? Do dekoracji, czy żeby je komuś posłać lub co?

— Ma to być bukiet powitalny.

— Bukiet powitalny? Kto przyjeżdża? Księżna Portland?

— Nie.

— No proszę! Nie ona? Będzie panienka miała ładny groch z kapustą, jeśli wszystko upchnie się w jeden bukiet.

— Właśnie chcę mieć ładny groch z kapustą.

— A to przepraszam. Koniec sprawy.

Następnego dnia Winifred w sukience ze srebrnego aksamitu z wielobarwnym bukietem w dłoni czekała z gorączkową niecierpliwością w pokoju lekcyjnym spoglądając w głąb alei, którą miała nadejść Gudrun. Poranek był wilgotny. Wdychała drażniący zapach cieplarnianych kwiatów, bukiet zdawał się płonąć w jej ręku, jej serce trawił nowy, nieznany ogień. Odurzało ją niejasne poczucie romantyczności sytuacji.

Wreszcie zobaczyła nadchodzącą Gudrun i zbiegła na dół, żeby uprzedzić ojca i Geralda. Rozbawieni jej powagą i

zdenerwowaniem wyszli razem z nią do hallu. Służący otworzył drzwi i wziął od Gudrun parasolkę i płaszcz deszczowy. Komitet powitalny czekał, aż gość wejdzie do hallu.

Gudrun, zarumieniona od wiatru, z wijącymi się włosami, wyglądała jak kwiat, który rozchylił się podczas deszczu, i wnętrze świeżo rozkwitłego pąku zdaje się tchnąć jeszcze zachowanym ciepłem promieni słonecznych. Gerald drgnął na jej widok, tak była obca i piękna. Miała na sobie miękką, niebieską suknię i ciemnoczerwone pończochy.

Winifred wystąpiła naprzód, niesłychanie godna i uroczysta.

— Tak się cieszymy, że pani wróciła. Proszę, oto kwiaty dla pani! — Podała bukiet.

— Dla mnie?! — wykrzyknęła Gudrun. Zawahała się, jej twarz oblał żywy rumieniec na chwilę oślepiał ją płomień przyjemności. Oczy, rozjaśnione niezwykłym blaskiem, podniosła na ojca i Geralda. Gerald znowu wzdrygnął się w duchu, jakby to było więcej, niż mógł znieść — owo spojrzenie jej gorejących, obnażonych oczu. Było w nich coś tak jawnego, tak nieznośnie obnażyła się pod jego wzrokiem! Odwrócił twarz. Czuł, że nie zdoła oderwać się od niej. I buntował się przeciw tej niewoli.

Gudrun zanurzyła twarz w kwiaty.

—Jakie piękne! — powiedziała stłumionym głosem. W nagłym porywie dzikiej namiętności nachyliła się i ucałowała Winifred. Pan Crich zbliżył się z wyciągniętą ręką.

— Bałem się, że uciekła pani od nas — zażartował.

Gudrun podniosła na niego wzrok z promienną i szelmowską miną, jakiej u niej nie znał.

— Naprawdę? Nie, nie zamierzałam zostać w Londynie.

Jej głos, ciepły i pieszczotliwy, zdawał się sugerować, że cieszy się z powrotu do Shortlands.

— Miło mi to słyszeć — uśmiechnął się ojciec. — Bo my bardzo chcemy mieć panią wśród nas.

Gudrun bez słowa utkwiła w nim ciemnoniebieskie, ciepłe, spłoszone oczy. Intuicyjnie czuła swoją przewagę.

— I wygląda pani jak człowiek, który wraca odniósłszy wszelkie możliwe tryumfy — ciągnął pan Crich przytrzymując jej dłoń.

— Nie — odrzekła z dziwnym rumieńcem — nie odniosłam przed przyjazdem tu żadnych tryumfów.

— E tam, nie damy się tai łatwo zwieść. Przecież czytaliśmy wzmianki w gazetach, co, Gerald?

— Był to niewątpliwie sukces. — Gerald przywitał się z nią uściskiem dłoni. — Sprzedała coś pani?

— Bardzo mało.

— Też dobrze — powiedział.

Nie wiedziała, co ma na myśli. Ale podniecona była powitaniem, pochlebiła jej miła uroczystość na jej cześć.

— Winifred — spytał ojciec — czy masz jakieś pantofle dla panny Brangwen? Powinna zmienić od razu obuwie...

Gudrun wyszła z bukietem w ręku.

— Interesująca młoda osoba — rzekł ojciec po jej wyjściu.

— Tak — Gerald zbył go krótko, jakby uwaga ojca nie przypadła mu do gustu.

Pan Crich lubił, żeby Gudrun spędzała z nim pół godziny w ciągu dnia. Zazwyczaj był szary i mizerny, jakby śmierć wyżerała z niego życie. Ale jak tylko poczuł się lepiej, już chciał udawać, że wcale się nie zmienił, dobrze się czuje i jest pełen energii — że żyje całkowicie na tym, a nie po części na tamtym świecie. Podniecająca obecność Gudrun ofiarowywała mu bezcenne trzydzieści minut poczucia siły,

uniesienia i czystej wolności, kiedy wydawał się żyć intensywniej niż kiedykolwiek przedtem.

Odwiedzała go w bibliotece, gdzie półleżał, podparty poduszkami. Miał woskowożółtą cerę, oczy pociemniałe jak u ślepca. Czarna broda, przetykana siwizną, zdawała się wyrastać z woskowej maski trupa. Ale otaczała go aura ożywienia i beztroski. Gudrun znakomicie się do tego przyczyniała. Odnosiła się do niego tak samo, jak do wszystkich. Tylko jego upiorny wręcz wygląd odbijał się w jej duszy niemal bez udziału świadomości. Wiedziała, że mimo pozornej wesołości nie może zmienić wyrazu oczu, poczerniałej pustki oczu człowieka, który już nie żyje.

— Ach, oto panna Brangwen — ożywił się, kiedy weszła, zapowiedziana przez służącego. — Thomas, przysuń tu krzesło dla panny Brangwen, tak, tutaj. — Z przyjemnością spoglądał na jej gładką, świeżą buzię. Dawało mu to złudzenie życia. — Dostanie pani kieliszek sherry i kawałeczek ciasta. Thomas...

— Nie, dziękuję — rzekła Gudrun i ledwie to wypowiedziała, serce zamarło jej ze zgrozy. Chory słysząc, że odmawia, jakby zapadł się w otchłań śmierci. Powinna mu schlebiać, a nie sprzeciwiać się. W tej samej chwili uśmiechnęła się zalotnie.

— Nie bardzo lubię sherry. Ale poza tym lubię prawie wszystko. Chory natychmiast chwycił się podanej mu słomki.

— Nie sherry, coś innego. Co jest jeszcze, Thomas?

— Portwajn, curaçao...

— Uwielbiam curaçao — przerwała Gudrun, ufnie spoglądając na chorego.

— To świetnie. Thomas, nalej pani kieliszek curaçao. Kawałek ciasta czy herbatnik?

— Poproszę o herbatnika. — Na nic nie miała ochoty, ale była już ostrożna.

— Bardzo dobrze.

Czekał, aż usadowi się ze swoim kieliszkiem i ciastkiem. Wtedy dopiero uznał, że wszystko w porządku, i spytał z pewnym podnieceniem:

— Słyszała pani o projekcie pracowni nad stajniami dla Winifred?

— Nie! — wykrzyknęła Gudrun udając zdziwienie.

— Zdawało mi się, że Winifred pisała o tym w liście do pani…?

— Tak, oczywiście, wspomniała o tym. Ale myślałam, że to tylko taki jej fantastyczny pomysł. — Gudrun uśmiechnęła się subtelnie, pobłażliwie. Chory też uśmiechał się z dumą.

— To całkiem realny plan. Na strychu nad stajniami jest dobre pomieszczenie z ukośnymi krokwiami. Pomyśleliśmy, że można je przerobić na pracownię.

— Jakby to było cudownie! — zawołała Gudrun z ciepłym przejęciem. Wzmianka o krokwiach podnieciła ją.

— Tak pani sądzi? Więc można to zrobić.

— Trudno wymarzyć coś lepszego dla Winifred! Jeśli ma na serio pracować, właśnie to jest jej potrzebne. Artysta musi mieć warsztat, bo inaczej’ zawsze pozostanie dyletantem.

— Naprawdę? No tak. Oczywiście chciałbym, żeby pani dzieliła z Winifred tę pracownię.

— Ogromnie panu dziękuję.

Gudrun wszystko to już wiedziała, ale starała się sprawiać wrażenie wdzięcznej i onieśmielonej, jakby olśniła ją jego propozycja.

— Rzecz jasna marzyłbym, żeby zrezygnowała pani z zajęć w szkole i po prostu stale korzystała z pracowni… Tak

często lub tak rzadko, jak to pani odpowiada.

Patrzał na Gudrun ciemnymi, pustymi oczami. Odwzajemniła mu się spojrzeniem pełnym wdzięczności. Słowa umierającego, wydobywające się jak echo z jego martwych ust, były tak precyzyjne i naturalne!

— A jeśli chodzi o pani zarobki... Pozwoli mi pani, żebym płacił jej tyle, ile Komitet Oświaty? Nie chcę, żeby pani na tym straciła.

— Ależ, jeśli będę miała pracownię i będę mogła w niej pracować, to zarobię dosyć pieniędzy, naprawdę dosyć.

Był zadowolony, że występuje w roli dobroczyńcy.

— Już tego dopilnujemy. Czy nie będzie dla pani kłopotliwe spędzać tu cały dzień?

— Pracownia na własny użytek to szczyt moich marzeń.

— Doprawdy?

Sprawiło mu to wielką przyjemność. Ale był już zmęczony. Widziała, że znów spływa na niego okropna, szara półświadomość bólu i rozkładu, udręka z wolna nasycająca pustkę pociemniałych oczu. Proces umierania nie zakończył się jeszcze. Gudrun cichutko wstała z krzesła.

— Może prześpi się pan teraz. Poszukani Winifred.

Wyszła mówiąc po drodze pielęgniarce, że zostawiła go samego. Z dnia na dzień tkanka chorego ciała coraz bardziej ulegała zanikowi, proces rozpadu docierał już do ostatniego węzła, który zespala człowieka w jedność. Ale węzeł był mocny i nie rozluźniony — umierający nie kapitulował. Martwy w dziewięciu dziesiątych żył jeszcze w tej jednej dziesiątej, która nie ulegnie zmianie, dopóki nie zostanie z niego wyrwana. Siłą woli pozostawał jeszcze całością, ale zakres jego mocy coraz bardziej się zmniejszał, aż wreszcie będzie to tylko punkt, który także zniknie.

Lgnął do życia, musiał więc lgnąć do ludzi i chwytał się każdej słomki. Winifred, kamerdyner, pielęgniarka, Gudrun

— to były jego ostatnie odwody, jego cały świat. Gerald w jego obecności sztywniał z odrazy. Tak samo, choć w nieco mniejszym stopniu, reagowały pozostałe dzieci z wyjątkiem Winifred. Kiedy patrzyły na ojca, nie widziały nic prócz śmierci. Jakby zmogła je otchłanna niechęć. Nie umiały zobaczyć dobrze znanej twarzy, usłyszeć dobrze znanego głosu. Przytłaczał je wstręt do widocznej i słyszalnej śmierci. Gerald nie mógł przy ojcu oddychać. Musiał odejść bez chwili zwłoki. I tak samo ojciec nie mógł znieść obecności syna. Wywoływała ona w umierającym ostatni odruch przemożnej irytacji.

Pracownia była już gotowa, Gudrun i Winifred objęły ją w posiadanie. Bawiły się urządzaniem jej i porządkowaniem. W ogóle rzadko bywały teraz w domu. W pracowni jadały posiłki i czuły się bezpieczne. Bo dom stawał się coraz bardziej ponury. Dwie pielęgniarki w bieli, zwiastunki śmierci, krzątały się po nim w milczeniu. Ojciec nie wstawał już z łóżka i wszędzie pełno było mówiących zniżonym głosem braci, sióstr i dzieci.

Winifred regularnie go odwiedzała. Co rano po śniadaniu pojawiała się w jego pokoju, żeby z umytym już i podpartym poduszkami ojcem spędzić pół godziny.

— Lepiej się czujesz, tatusiu? — pytała nieodmiennie. A on nieodmiennie odpowiadał:

— Tak, malutka, chyba trochę lepiej.

Brała jego dłoń w obie ręce czule i opiekuńczo. Sprawiało mu to wielką radość.

Przybiegała też zazwyczaj w południe, żeby wprowadzić go w tok zdarzeń. I co wieczór, kiedy zaciągnięto story i pokój robił się przytulny, spędzała z nim dłuższy czas. Po wyjściu Gudrun Winifred, już sama w domu, najlepiej lubiła przebywać z ojcem. Rozmawiali plotąc, co im ślina na język przyniosła, ojciec zachowywał się jak zdrowy człowiek, taki sam jak przed chorobą. Winifred z bystrością dziecka, które

instynktownie unika bolesnych spraw, postępowała, jakby wszystko było w porządku. Odruchowo powściągała troskliwość i była wesoła. Ale gdzieś w głębi duszy wiedziała tyle, co dorośli; może nawet więcej.

Ojciec wcale nieźle bawił się z nią w udawanie. Ale gdy odchodziła, znowu przytłaczała go rozpaczliwa świadomość rozkładu. Zdarzały się jeszcze jaśniejsze momenty, chociaż w miarę jak podupadał na siłach, słabła jego zdolność skupiania uwagi i pielęgniarka skracała wizyty Winifred, żeby uchronić go od wyczerpania.

Nigdy nie przyznawał głośno, że jest umierający. Wiedział, że tak jest, wiedział, że nadszedł koniec. Ale nie przyznawał tego nawet przed sobą. Śmiertelnie nienawidzi! tej wiedzy. Z natury nieustępliwy, nie mógł znieść myśli, że musi ugiąć się przed śmiercią. Negował wręcz jej istnienie. A przecież czasem odczuwał przemożną potrzebę krzyku, rozpaczliwego lamentu, potrzebę użalenia się nad sobą.. Miał ochotę głośno rozpłakać się przy Geraldzie, żeby wstrząsnąć synem, przerazić go, wyprowadzić wreszcie z równowagi. Gerald intuicyjnie zdawał sobie z tego sprawę i trzymał się z daleka, żeby umknąć scen. Odpychało go niechlujstwo tego umierania. Człowiek powinien umierać szybko, jak Rzymianie, powinien być panem swego losu tak w życiu, jak i w śmierci. Skręcał się w uchwycie ojcowskiej śmierci jak w zwojach ogromnego węża, który owinął Laokoona. Ogromny wąż rzucił się na ojca, a syn Laokoona razem z nim został wciągnięty w przeraźliwy uścisk śmierci. Opierał się temu nieustannie. I w jakiś niepojęty sposób stał się przez to dla ojca podporą.

Kiedy konający wezwał do siebie Gudrun po raz ostatni, był już szary od zbliżającej się śmierci. Ale przecież musiał kogoś widzieć, musiał w momentach przytomności nawiązywać kontakt ze światem żywych, bo inaczej musiałby pogodzić się ze swoim losem. Na szczęście był przeważnie oszołomiony i półprzytomny. Spędzał wiele

godzin niejasno wspominając przeszłość, rozpamiętując dawne doświadczenia. Ale do samego końca zachował świadomość, co się z nim obecnie dzieje, rozumiał, że jest w nim śmierć. W takich chwilach wzywał pomocy z zewnątrz, wszelkiej możliwej pomocy. Uświadamianie sobie śmierci było śmiercią ponad śmierciami, cierpieniem nie do zniesienia. Wiedział, że nie wolno się do tego przyznać.

Gudrun wstrząsnął jego wygląd, pociemniałe, jakby pokruszone oczy, ciągle jeszcze niepokonane i nieustępliwe.

— No jak tam? — spytał słabym głosem. — Dobrze się pani układa z Winifred?\

—Znakomicie — zapewniła go Gudrun.

W rozmowie zdarzały się krótkie, martwe przerwy, jakby przywoływane myśli były wymykającymi się słomkami, które pływały w ciemnym zamęcie umierania.

— Pracownia wam odpowiada?

— Cudownie. Nie mogłaby być piękniejsza ani doskonalsza. Czekała, co jeszcze powie.

— I myśli pani, że z Winifred będzie rzeźbiarka?

Aż dziwne, jak pusto i bez sensu zabrzmiały jego słowa.

— Na pewno. Będzie miała kiedyś nie byle jakie osiągnięcia.

— Naprawdę? Więc pani zdaniem nie zmarnuje całkiem życia? Gudrun zdziwiła się.

— Zaręczam panu — oświadczyła miękko.

— To dobrze.

Znowu czekała, co powie.

— Pani na pewno uważa, że życie jest przyjemne, że dobrze jest żyć, prawda? — spytał z żałosnym uśmiechem, któremu Gudrun wręcz nie mogła sprostać.

— Tak — sama też się uśmiechnęła postanawiając kłamać jak z nut. — Czerpię z życia wiele radości.

— To dobrze. Pogodne usposobienie to rzecz cenna.

Gudrun znowu uśmiechnęła się, choć przejął ją suchy dreszcz odrazy. Czy na tym polega umieranie? Że śmierć siłą wyrywa z człowieka życie, a człowiek uśmiecha się i do końca prowadzi rozmowy? Nie ma innej drogi? Czy koniecznie trzeba przejść przez koszmar zwycięstwa nad śmiercią, tryumfu woli, której nie można złamać, dopóki ostatecznie nie zniknie? Niestety, to jest jedyna droga. Szczerze podziwiała spokój i opanowanie Thomasa Cricha. Ale samej śmierci nienawidziła. Była zadowolona, że trwa wokół niej powszedni świat, przez który nie musi sięgać w zaświaty.

— Dobrze tu pani? Co by można jeszcze dla pani zrobić? Nic pani nie przeszkadza?

— Tylko to, że jest pan dla mnie za dobry.

— No cóż, wina leży po pani stronie — odrzekł z drgnieniem radości, że zdobył się na taką ripostę. Jeszcze jest silny i jeszcze żyje! Ale już następowała reakcja, wracały mdłości i konanie.

Gudrun poszła do Winifred. Mademoiselle opuściła Shortlands, Gudrun spędzała tu dużo czasu, a dalszą edukacją Winifred zajmował się prywatny nauczyciel, który nie mieszkał w domu Crichów; związany był ze szkołą w Beldover.

Któregoś dnia Gudrun miała pojechać z Winifred, Geraldem i Birkinem do miasta samochodem. Dzień był ciemny i deszczowy. Winifred i Gudrun czekały gotowe w drzwiach. Winifred zachowywała się spokojniej niż zwykle. Gudrun jednak nie zwróciła na to uwagi. Nagle dziewczynka spytała głosem przesadnie obojętnym:

— Sądzi pani, panno Brangwen, że mój ojciec wkrótce umrze? Gudrun żachnęła się.

— Nie wiem.

— Naprawdę nie wie pani?

— Nikt tego nie wie na pewno. Oczywiście może umrzeć. Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę.

— Ale myśli pani, że on umrze?

Zabrzmiało to jak pytanie z geografii czy fizyki, natarczywie, jakby chciała wymóc na dorosłym wyznanie. W czujnej, lekko tryumfującej twarzyczce dziewczynki było coś wręcz diabolicznego.

— Czy myślę, że umrze? — powtórzyła Gudrun. — Szczerze mówiąc, tak Winifred stała bez ruchu nie odrywając od niej spojrzenia wielkich oczu.

— Jest bardzo chory — dodała Gudrun.

Przez twarz Winifred przemknął słaby uśmieszek, subtelny i sceptyczny.

— A ja w to nie wierzę — stwierdziła drwiąco i oddaliła się w kierunku alei wjazdowej. Gudrun patrzyła na drobną, samotną postać i jej serce struchlało. Winifred bawiła się strumyczkiem wody, zaabsorbowana, jakby nie było poprzedniej rozmowy.

— Zrobiłam prawdziwą tamę! — zawołała. Gerald zbliżył się do drzwi od strony hallu.

— Właściwie to dobrze, że postanowiła w to nie wierzyć — powiedział. Gudrun podniosła na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się, uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

— Bardzo dobrze — potwierdziła Gudrun. W jego oczach zabłysły światełka.

— Tańczmy, choć Rzym płonie, skoro musi spłonąć, prawda? Zaskoczyło ją to. Ale szybko się opanowała.

— Na pewno lepiej jest tańczyć, niż lamentować.

— I ja tak sądzę.

Oboje trawiło skryte pragnienie, żeby wszystko zostawić, wszystko odrzucić i pogrążyć się w czystym rozpasaniu, brutalnym i wyuzdanym. Niepojęta żądza, czarna i czysta, wezbrała w Gudrun. Czuła się silna. Czuła, że ma ręce dość silne, by podrzeć świat na strzępy. Wspomnienie niepohamowanej rzymskiej rozwiązłości oblało ją falą gorąca. Wiedziała przecież, że tego właśnie chce lub czegoś równie porywającego. Ach, gdyby jej nieznane, tłumione pragnienia wyrwały się choć raz na swobodę, jakiego by doznała orgiastycznego zaspokojenia! Chciała tego; drżała od bliskości mężczyzny, który stał tuż za nią, emanujący tą samą czarną żądzą, jaka w niej wzbierała. Chciała z nim przeżyć owo nie wyznane szaleństwo. Przez chwilę jasna świadomość, wyraźna i nieskażona w swej nieuchronnej realności, zaprzątała wszystkie jej myśli, ale odcięła się od nich z całą determinacją mówiąc:

— Chodźmy lepiej za Winifred. Poczekamy na samochód przy portierni.

— Proszę bardzo.

W portierni zastali Winifred podziwiającą nowy miot rasowych białych bulterierów. Dziewczynka podniosła wzrok i obrzuciła ich nieprzyjemnym, niewidzącym spojrzeniem.

— Patrzcie — zawołała — troje nowych szczeniąt! Marshall mówi, że ten tu jest bez skazy. Czy nie śliczne? Ale matka jest jeszcze słodsza. — Pogłaskała piękną białą sukę, która kręciła się przy niej niespokojnie.

— Najdroższa Lady Crich — mówiła Winifred —jesteś piękna jak anioł, który zszedł na ziemię. Anioł... anioł... och, Gudrun, czy nie uważa pani, że jest dość dobra i dość piękna, żeby pójść do nieba? One pójdą do nieba, prawda? Zwłaszcza moja ukochana Lady Crich! Pani Marshall?

— Tak, panienko?

— Och, proszę, nazwijcie tę suczkę Lady Winifred, jeśli okaże się bez skazy, dobrze? Proszę powiedzieć

Marshallowi, żeby ją nazwał Lady Winifred.

— Powiem mu, ale obawiam się, że to piesek, panienko.

— Och nie! — Dobiegł ich warkot nadjeżdżającego samochodu. — To Rupert! — zawołała dziewczynka i pobiegła do bramy.

Birkin zatrzymał wóz przed portiernią.

— Jesteśmy gotowi! — zawołała Winifred. — Rupert, ja siedzę z tobą na przedzie, dobrze?

— Boję się, że będziesz się wiercić i wypadniesz.

—Nie będę. Lubię siedzieć obok ciebie z przodu. Tu jest przyjemnie i ciepło od silnika.

Birkin pomógł jej wsiąść, rozbawiony, że Gerald będzie musiał usiąść w głębi wozu koło Gudrun.

— Jakie nowiny, Rupert? — zawołał Gerald, kiedy auto nabrało szybkości.

— Nowiny? — odkrzyknął Rupert.

— No tak! — Gerald spojrzał na Gudrun i dorzucił z uśmiechem w oczach: — Próbuję się dowiedzieć, czy mam mu złożyć gratulacje, ale nie mogę nic z niego wydobyć.

Gudrun zarumieniła się mocno.

— Gratulacje? Z jakiej okazji?

— Była mowa o zaręczynach. W każdym razie Rupert wspomniał mi o tym.

Jeszcze ciemniejszy rumieniec oblał jej twarz.

— Chodzi o Ursulę? — spytała zaczepnie.

— Tak. To przecież prawda?

— Nic nie słyszałam o żadnych zaręczynach — rzekła chłodno.

— Naprawdę? Rupert! — zawołał. — Co słychać z twoimi projektami?

— Małżeńskimi? Nic nowego.

— Co to znaczy? — zawołała Gudrun.

Birkin obejrzał się szybko za siebie. I on był wyraźnie rozdrażniony.

— A co ty o tym myślisz, Gudrun?

— Och! — zawołała, zdecydowana dorzucić i swój kamyczek do ogródka, skoro oni zaczęli. — Wątpię, czy Ursula chce się zaręczyć. Wcale nie ma ochoty być wróblem w garści. — Głos Gudrun był czysty i dźwięczny jak dzwon. Przypomniał Rupertowi mocny, wibrujący głos jej ojca.

— A ja — rzekł Birkin żartobliwie, ale stanowczo — chcę wiążącej umowy i wcale mi nie zależy wyłącznie na miłości, a zwłaszcza na wolnej miłości.

Rozweseliło to Gudrun i Geralda. Skąd to publiczne wyznanie? Gerald, rozbawiony, zawahał się na moment.

— Miłość ci nie wystarcza? — zawołał.

— Nie! — krzyknął Rupert.

— No cóż, to dla mnie zbyt wyrafinowane — rzekł Gerald. Samochód rozpryskiwał błoto.

— O co tu naprawdę chodzi? — zwrócił się do Gudrun.

Przybrał ton poufałości, co zirytowało Gudrun niemal jak zniewaga. Wydało jej się, że Gerald rozmyślnie chce ją obrazić i naruszyć zachowywaną w ich kręgu dyskrecję.

— O co chodzi? — powtórzyła wysokim, odpychającym głosem. — Mnie nie

pytaj! Ja nie wiem nic o idealnie doskonałym małżeństwie ani nawet o mniej doskonałym.

— Znasz tylko zwykły firmowy wyrób bez gwarancji — stwierdził Gerald. — Tak samo jak i ja. Nie jestem ekspertem od małżeństwa i stopnia jego doskonałości. Według mnie Rupert ma po prostu bzika na tym punkcie.

— Właśnie! I stąd jego kłopoty. Nie chce kobiety jako takiej, chce urzeczywistnić swój ideał. Potem w praktyce

ideał okazuje się nie dość idealny.

— Ma się rozumieć. Najlepiej bez zastanowienia przypuścić atak na to, co najbardziej kobiece w kobiecie. — Coś mu zaświtało w głowie. — Ty uważasz miłość za bilet do szczęścia?

— Oczywiście, dopóki trwa. Byle nie upierać się, że jest wieczna. — Ostry głos Gudrun przebił się przez hałas silnika.

— Małżeństwo czy nie małżeństwo, najdoskonalsze, prawie doskonałe czy po prostu znośne... jeśli trafi się miłość, trzeba ją chwytać.

— Czy ci się podoba, czy nie podoba — zawtórowała mu. — Małżeństwo dla mnie to instytucja społeczna i nie ma nic wspólnego z miłością.

Przez cały czas spoglądał na nią błyszczącymi oczyma. Miała uczucie, jakby obsypywał ją pocałunkami, swobodnie i przekornie. Twarz jej płonęła, ale nadal była zdecydowana i nieustępliwa.

— Myślisz, że Rupert ma fioła? Zabłysły jej oczy.

— Chyba tak, kiedy chodzi o jego stosunek do kobiet. Owszem, może zdarzyć się dwoje ludzi, którzy kochają się przez całe życie. Ale nawet i to nie ma nic wspólnego z małżeństwem. Kochają się — to znakomicie. Nie kochają się — to też nie powód, żeby tłuc jajka.

— Ja bym się z tym zgodził. Ale Rupert? Co on o tym myśli?

— Nie umiem się w tym rozeznać. On też zresztą nie umie, ani nikt inny. Jakoś sobie wymyślił, że dzięki małżeństwu można znaleźć się w siódmym niebie lub coś w tym rodzaju, dosyć to wszystko mętne.

— Bardzo mętne. I w ogóle kto chce być w siódmym niebie? W gruncie rzeczy Rupert chce tylko czuć się bezpiecznie, chce przywiązać się do masztu.

— Aha. I wydaje mi się, że pod tym względem też się myli. Pewna jestem, że kochanka częściej bywa wierna niż żona, po prostu dlatego, że żyje z mężczyzną z własnej woli. Rupert głosi, że mąż i żona mogą zajść dalej niż dwie inne ludzkie istoty. Ale dokąd zajść, nie umie wyjaśnić. Mogą poznać wzajemnie to, co w nich niebiańskie, i to, co piekielne, zwłaszcza piekielne, i to tak doskonale, że znajdą się poza niebem i piekłem... Po prostu — i tu wszystko się załamuje — znajdą się nigdzie.

— On twierdzi, że w raju — roześmiał się Gerald. Gudrun wzruszyła ramionami.

— Och, ten wasz raj! Je m’en fiche...

— Ponieważ nie jesteś mahometanką — rzekł Gerald.

Birkin siedział sztywno za kierownicą, nie mając pojęcia, o czym rozmawiają. Gudrun sprawiło przewrotną przyjemność mówienie o nim tuż za jego plecami.

— Rupert uważa — dodała z ironicznym grymasem — że w małżeństwie można osiągnąć wieczystą równowagę, jeśli obie strony utożsamią się, a jednocześnie jedno pozwoli drugiemu być sobą i żaden partner nie będzie próbował stopić się z drugim w jedność.

— Do mnie to nie przemawia — rzekł Gerald.

— No, właśnie.

— Wierzę w miłość, w prawdziwe poddanie się, jeżeli ktoś jest do tego zdolny.

—Ja również.

— I Rupert też na pewno w to wierzy, choć tak się głośno zarzeka.

— Nie — rzekła Gudrun — Rupert nie umiałby poddać się drugiemu człowiekowi. Nie można na nim polegać. W tym chyba tkwi sedno sprawy.

— Przecież on chce się ożenić! Małżeństwo... et puis?

— Le paradis! — zakpiła Gudrun.

Birkin prowadząc czuł ciarki w krzyżu, jakby coś zagrażało mu od tyłu. Ale wzruszył obojętnie ramionami. Zaczęło padać. Pogoda zmieniła się. Zatrzymał samochód i wysiadł, żeby zaciągnąć dach.

ROZDZIAŁ XXII

DWIE KOBIETY

Dojechali do miasta i zostawili Geralda na stacji kolejowej. Gudrun i Winifred miały przyjść na herbatę do Birkina, który oczekiwał także Ursuli. Po południu jednak pierwszą osobą, jaka pojawiła się w mieszkaniu Ruperta, była Hermione. Rupert jeszcze nie wrócił, czekała więc w saloniku przeglądając książki, gazety i grając na pianinie. Następna przyszła Ursula. Zaskoczył ją nieprzyjemnie widok Hermione, o której od pewnego czasu nic nie słyszała.

— Co za niespodzianka!

— Byłam za granicą, w Aix...

— Leczyłaś się? — Tak.

Przyglądały się sobie. Ursulę drażniła poważna twarz Hermione, długa i żałosna. Było w niej coś z głupoty konia i z posępnej, końskiej zarozumiałości. „Ma końską twarz — pomyślała Ursula — i nosi końskie okulary”. Wydawało się, że Hermione, jak księżyc, jest odwrócona do świata tylko jedną stroną. Moneta bez awersu. Zawsze zajmowała się wąskim, ale dla niej kompletnym światem rozjaśniającej wszystko świadomości. W ciemnościach przestawała istnieć. Jak u księżyca, jedna jej połowa była stracona dla życia. Cała jej osobowość mieściła się w głowie, nie miała pojęcia, co znaczy spontanicznie biegać lub ruszać się, jak ryba w wodzie czy łasica na łące. Zawsze musiała wiedzieć.

Ale naprawdę Ursula cierpiała tylko przez jej jednostronność. Czuła zimny, badawczy wzrok drugiej kobiety, która wyraźnie miała ją za nic. Hermione, która rozmyślała bez przerwy, do ostatecznego wyczerpania z bólu, jakiego doznawała od tego ciągłego myślenia,

Hermione z ciałem udręczonym i spopielałym, Hermione, która tak powoli i z takim trudem dochodziła do ostatecznych i jałowych wniosków poznawczych, skłonna była w obecności innych kobiet, jeśli uznała je po prostu za baby, obnosić owe wnioski gorzkiej pewności siebie jak klejnoty, przydające jej niewątpliwej dystynkcji i świadczące o jej przynależności do wyższej sfery ducha. Gotowa była nawet zniżać się do takich kobiet jak Ursula, które według niej kierowały się wyłącznie uczuciami. Biedna Hermione nie posiadała nic prócz bolesnego przeświadczenia o własnej wyższości — to był jej jedyny tytuł do chwały. Musiała być pod tym względem pewną siebie, gdyż jeden Bóg wie, jak bardzo pod innymi względami czuła się odrzucona i niepotrzebna. W świecie myśli, w świecie ducha należała do wybranych. I chciała być uniwersalna. Ale drążył ją niszczący cynizm. Nie wierzyła we własne uniwersalia — trąciły blagą. Nie wierzyła w życie wewnętrzne — była to gra pozorów, a nie rzeczywistość. Nie wierzyła w świat ducha — była to egzaltowana poza. Ostatecznie mogła wierzyć tylko w Mamona, w ciało i w diabła — to przynajmniej nie była blaga. Była kapłanką bez wiary, bez przekonania, uczepioną piersi przebrzmiałej religii, skazaną na głoszenie wszem i wobec tajemnic, które nie miały w sobie nic boskiego. Ale nie ma ucieczki. Jest liściem na usychającym drzewie. Znikąd nie oczekuje pomocy, może jeszcze tylko walczyć o dawne, obumarłe prawdy, umrzeć za dawną, przebrzmiałą wiarę — trwać jako święta i niezbezczeszczona kapłanka sprofanowanych tajemnic. Dawne wielkie prawdy są prawdziwe. A ona jest liściem na usychającym już starym wielkim drzewie poznania. Musi więc być wierna ostatniej dawnej prawdzie, choć w głębi duszy jest cyniczna i drwiąca.

— Cieszę się, że cię widzę — rzekła do Ursuli, po swojemu śpiewnie, jakby wygłaszała zaklęcie. — Zaprzyjaźniliście się z Rupertem?

— Och, tak. Przeważnie jest gdzieś w pobliżu.

Hermione odczekała chwilę. Bez trudu przeniknęła chełpliwe intencje drugiej kobiety: wydały jej się zgoła wulgarne.

— Rzeczywiście? — spytała przeciągle z niezmąconą pogodą. — Myślisz, że się pobierzecie?

Pytanie było tak spokojne i łagodne, tak proste, nagie i beznamiętne, że choć zaskoczyło Ursulę, sprawiło jej raczej przyjemność. Spodobało jej się przez swoją złośliwość. W Hermione tyle było jawnej, rozkosznej wręcz ironii!

— No cóż, on tego strasznie chce. Ale ja nie jestem jeszcze zdecydowana. Hermione przyglądała jej się skupionym, spokojnym wzrokiem. Nie uszła jej uwagi nowa chełpliwa nuta w zachowaniu Ursuli. Jakże jej zazdrościła tej nieświadomej bezwzględności! Nawet tak wulgarnej!

— Dlaczego nie jesteś zdecydowana? — zapytała pogodnym, śpiewnym głosem. Czuła się podczas tej rozmowy całkiem swobodnie, było jej nawet wesoło. — Nie kochasz go w gruncie rzeczy?

Ursula zarumieniła się lekko od łagodnej impertynencji tego pytania. Ale nie miała wyraźnego powodu, żeby się obrazić. Hermione wydawała się tak spokojna i rozsądnie szczera. W końcu jej rozsądek naprawdę był imponujący.

— Rupert mówi, że nie chodzi mu o moją miłość.

— O co mu więc chodzi? — Hermione mówiła wolno i obojętnie.

— Żebym go naprawdę zaakceptowała jako męża.

Hermione milczała przez chwilę przyglądając się Ursuli z namysłem.

— Ach tak? — odezwała się wreszcie z twarzą bez wyrazu. Nagle ocknęła się. — A przed czym ty właściwie się bronisz? Przed małżeństwem?

— Nie na tym to polega. Nie mogę przyrzec mu takiej uległości, na jaką on nastaje. Chciałby, żebym mu się poddała bez reszty. A ja po prostu nie czuję się na siłach temu sprostać.

Znowu nastąpiła dłuższa przerwa, zanim Hermione odpowiedziała.

— I nie sprostasz, jeśli sama nie będziesz chciała. — Zapadło milczenie. Hermione przejął dreszcz dojmującego pożądania. Ach, gdyby to ją poprosił, żeby mu służyła, żeby została jego niewolnicą! Drżała trawiona żądzą.

— Rozumiesz, ja nie mogę...

— Ale dokładnie na czym...

Zaczęły obie jednocześnie i obie zamilkły. Po czym Hermione, przyznając sobie pierwszeństwo, podjęła jakby ze zmęczeniem:

— Na czym ma według niego polegać to poddanie się?

— Chce, żebym zaakceptowała go ostatecznie i nie emocjonalnie... Naprawdę ’ nie wiem, co on przez to rozumie. Twierdzi, że szuka partnerki dla tego, co w nim demoniczne, w fizycznym sensie, nie dla tego, co w nim ludzkie. Rozumiesz, mówi raz jedno, to znów co innego i ciągle sam sobie przeczy...

— I zawsze myśli tylko o sobie i o własnym niezadowoleniu ze świata.

— Właśnie! — zawołała Ursula. —Jakby to dotyczyło tylko i wyłącznie jego. To przecież jest nie do wytrzymania.

Ale natychmiast zaczęła się wycofywać.

— Mam w nim zaakceptować wszystko bez wyjątku — podjęła na nowo. — Mam zaakceptować jego, Ruperta, jako absolut... Ale widzę, że on nie chce nic dać z siebie. Nie chce prawdziwej, ciepłej bliskości, nie potrzebuje jej, odrzuca ją. Prawdę mówiąc nie chce, żebym myślała, i nie chce, żebym czuła, nienawidzi uczuć.

Zapadło długie milczenie, pełne goryczy dla Hermione. Ach, gdyby tak od niej tego żądał! Ją jednak zmuszał do myślenia, nieubłaganie obciążał wiedzą, a potem czuł do niej za to wstręt.

— Chce, żebym ugięła się, przestała być sobą...

— Dlaczego więc nie ożeni się z odaliską? — spytała melodyjnie Hermione. — Skoro tego właśnie chce? —Jej długa twarz przybrała wyraz sardoniczny i rozbawiony.

— No tak — bąknęła niepewnie Ursula. Najgorsze było, że wcale nie szukał odaliski, nie chciał niewolnicy. Hermione chętnie zostałaby jego niewolnicą... Trawiło ją przemożne pragnienie, aby mogła leżeć u stóp mężczyzny... Mężczyzny, który by jednakże wielbił ją i doceniał jej doskonałość. Nie, Rupert nie chciał odaliski. Chciał kobiety, która by mu pomogła i — bezgranicznie mu oddana — przejęła na siebie wszystko, co go dręczy, wszystkie przeżycia cielesne, cielesne i nie do zniesienia.

Czy uznałby ją, gdyby tak postępowała? Czy zdolny jest uznać ją całą, czy też używałby jej tylko jako narzędzia, korzystał z niej dla własnej przyjemności, nie dając jej żadnych praw? Tak traktowali ją inni mężczyźni. Sami chcieli rządzić i nie dopuszczali jej do współudziału, unicestwiali ją. Tak jak Hermione, która zdradziła własną kobiecość. Bo Hermione jest jak mężczyzna, wierzy tylko w męskie sprawy. Zdradziła w sobie kobietę. Czy Birkin uzna ją, czy odrzuci?

— Tak — rzekła Hermione, kiedy obie ocknęły się z zadumy — chyba popełniłabyś błąd...

— Godząc się na małżeństwo?

— Właśnie — ciągnęła Hermione z namysłem. — Bo ty potrzebujesz mężczyzny o silnej woli, żołnierza. — Wyciągnęła dłoń i zacisnęła ją z rapsodycznym uniesieniem. — Potrzebny ci jest mężczyzna na wzór dawnych herosów. Chciałabyś stać za nim, kiedy rusza na bitwę, chciałabyś widzieć jego siłę i słyszeć, jak krzyczy. Mężczyzna silny

fizycznie, po męsku stanowczy, nie przewrażliwiony... — Nastąpiła pauza, jakby Pytia skończyła wygłaszać wyrocznię i teraz przemówiła kobieta zmęczonym od śpiewu głosem: — A Rupert taki nie jest, wiesz przecież. Jest inny. Jest wątły i kruchy, wymaga bardzo czułej opieki. Taki jest zmienny i tak niepewny siebie. Żeby mu pomóc, trzeba zdobyć się na ogromną cierpliwość i zrozumienie. Ty chyba nie jesteś cierpliwa. Musiałabyś przygotować się na cierpienia, straszne cierpienia. Nie umiem ci powiedzieć, ile trzeba przecierpieć, żeby dać mu szczęście. Żyje żydem intensywnie duchowym — czasem jest to wręcz nadzwyczajne. Ale potem przychodzi reakcja. Nie, nie chcę mówić, co ja z nim przeszłam. Tak długo byliśmy z sobą, naprawdę znam go, wiem, jaki jest. I muszę ci to powiedzieć: uważam, że twoje małżeństwo z nim byłoby absolutną klęską... Jeszcze bardziej dla ciebie niż dla niego. — Znowu zapadła w gorzkie zamyślenie. — Taki jest niepewny, chwiejny... Łatwo się męczy, a zmęczenie wywołuje reakcję. Nie umiem wyrazić, jakie są te jego reakcje. Cóż to za potworne katusze! To, co ceni i kocha jednego dnia, nazajutrz atakuje z niszczącą furią. Nie ma w nim stałości, zawsze ta straszna, przerażająca szarpanina. Zawsze te błyskawiczne zmiany od dobrego do złego i od złego do dobrego. Nic tak nie rujnuje nerwów... nic...

— Musiałaś wiele cierpieć — powiedziała pokornie Ursula.

Twarz Hermione rozjaśnił nieziemski blask. Zacisnęła dłoń jak w transie.

— Musisz być gotowa na cierpienie, musisz cierpieć dla niego każdego dnia, każdej godziny... Jeśli masz mu pomóc, jeśli ma pozostać sobą...

—Ja nie chcę cierpieć każdego dnia i każdej godziny. Wstydziłabym się. To poniżające... nie być szczęśliwym.

Hermione długo nie odrywała od niej wzroku.

— Tak uważasz? — odezwała się wreszcie. Słowa Ursuli uznała za dowód, jak wiele je od siebie dzieli. Gdyż dla Hermione cierpienie, wszystko jedno jakie, było najwyższą rzeczywistością, choć ona także wierzyła w prawo do szczęścia.

— Tak — odrzekła Ursula. — Człowiek powinien być szczęśliwy.

— Właśnie — zbyła ją obojętnie Hermione. — Po prostu czuję, że pośpieszny ślub byłby katastrofą, prawdziwą katastrofą. Przecież możecie żyć ze sobą bez ślubu. Małżeństwo miałoby dla was obojga fatalne skutki. Może nawet dla ciebie gorsze niż dla niego. Myślę też o jego zdrowiu...

— Oczywiście — wtrąciła Ursula. — Mnie na małżeństwie nie zależy... Dla mnie ślub wcale nie jest ważny. To on prze do tego.

— Tak sobie w tym momencie wyobraża — tonem nieodwołalnego wyroku oświadczyła Hermione zmęczona pewnością własnej racji typu si la jeunesse savait...

Po chwili milczenia Ursula zdobyła się na nieśmiałe wyzwanie.

— Uważasz mnie za kobietę bezduszną, prawda?

— Ależ skąd! Bynajmniej. Uważam tylko, że jesteś młoda i witalna... To nie jest kwestia wieku ani nawet doświadczeń — to wręcz kwestia rasy. Rupert urodził się stary, pochodzi ze starej rasy, a ty wydajesz mi się taka młoda! Należysz do rasy młodej i niedoświadczonej.

— Czyżby? To on czasem wydaje mi się strasznie młody.

— Być może. Jest pod wieloma względami dziecinny. Niemniej...

Zamilkły. W Ursuli wzbierała głęboka uraza i niejasny smutek „To nieprawda — zwracała się w duchu do swej przeciwniczki. — Nieprawda. To ty chcesz silnego,

władczego tyrana, nie ja. Tobie potrzebny jest gruboskórny mężczyzna. W gruncie rzeczy nic nie wiesz o Rupercie, mimo lat, które z nim spędziłaś. Dajesz mu nie miłość kobiety, ale miłość idealną, i dlatego stroni od ciebie. Nic o nim nie wiesz. Twoja wiedza jest martwa. Każda kucharka wiedziałaby o nim więcej niż ty. To, co uważasz za wiedzę, to tylko martwe zrozumienie, które nic nie znaczy. Jesteś taka sztuczna, taka nieprawdziwa, jak więc mogłabyś cokolwiek wiedzieć? Co przyjdzie z całego twojego gadania o miłości? Jesteś tylko fałszywym widmem kobiety! Jak możesz cokolwiek wiedzieć, jeśli nie wierzysz! Nie wierzysz w siebie i we własną kobiecość, co więc komu przyjdzie z twojej próżnej i płytkiej inteligencji?...”

Siedziały obie we wrogim milczeniu. Hermione miała poczucie krzywdy, że wszystkie jej dobre intencje, wszystko to, co ofiarowywała, budzi w Ursuli jedynie prostacki sprzeciw. No cóż, Ursula nie potrafi zrozumieć, nigdy nie zrozumie, nie może przecież być czymś więcej niż przeciętną, zawistną i niemądrą kobietą, zdolną, owszem, do silnych babskich wzruszeń, nie pozbawioną kobiecych powabów i kobiecej intuicji, ale całkiem bezmózgą. Hermione już dawno zdecydowała, że tam, gdzie nie ma mózgu, nie warto odwoływać się do rozumu — po prostu ignorantów trzeba ignorować. A Rupert... Teraz działa na niego siła kobiecości tej zdrowej, samolubnej dziewuchy, akurat w tym momencie w ten sposób reaguje. Nie można niestety na to zaradzić. Rzuca się głupio w tył i w przód, miota tak gwałtownie, że w końcu musi to rozbić jego osobowość i pogruchotany — umrze. Nic go nie uratuje. Gwałtowne, bezładne miotanie się między animalizmem a prawdą duchową wzmagać się będzie, aż rozdarty przeciwstawnymi dążeniami zniknie bezsensownie z życia. Smutne to... I on też nie jest jednością, nie ma mózgu, nie umie sprostać rzeczom ostatecznym: nie jest na tyle mężczyzną, żeby stać się losem kobiety.

Siedziały w ciszy do przyjścia Birkina. Od razu wyczuł w atmosferze zasadniczy, nie do pokonania antagonizm; przygryzł wargi. Ale zaraz przybrał jowialny sposób bycia.

— Witaj, Hermione! Już z powrotem? Jak się czujesz?

— Lepiej. A ty? Nie wyglądasz dobrze...

— Gudrun i Winifred Crich przyjdą tu chyba na herbatę. Zapowiedziały się w każdym razie. Urządzimy prawdziwe przyjęcie. Jakim pociągiem przyjechałaś, Ursulo?

Irytujące były jego wysiłki, żeby je ułagodzić. Obie go obserwowały: Hermione z głęboką urazą i litością, Ursula ze zniecierpliwieniem. Był zdenerwowany, choć pozornie w całkiem dobrym humorze, kiedy tak plótł komunały. Ursulę zdumiała i oburzyła łatwość, z jaką rozmawiał o niczym; był w tym biegły jak każdy pyszałek. Zesztywniała, zupełnie nie mając odloty uczestniczyć w rozmowie. Cała sytuacja wydala jej się fałszywa i poniżająca. Żeby choć wreszcie pojawiła się Gudrun!

— Chyba pojadę na zimę do Florencji — odezwała się w końcu Hermione.

— Tak? — zdziwił się Rupert. — Przecież tam jest zimno.

— Będę mieszkała u Palestry. Całkiem tam wygodnie.

— Co cię ciągnie do Florencji?

— Nie wiem — odrzekła z namysłem. Obrzuciła go ciężkim, przeciągłym spojrzeniem. — Barnes otwiera swoją szkołę estetyki, Olandese będzie miał serię odczytów na temat włoskiej polityki narodowej.

— I jedno, i drugie to brednie.

— Jestem innego zdania.

— Który z nich wzbudził twój zachwyt?

— Podziwiam obu. Barnes to pionier. I interesują mnie Włosi, rozkwit ich świadomości narodowej.

— Wolałbym, żeby co innego w nich rozkwitło, a nie akurat świadomość narodowa — rzekł Birkin. — Zwłaszcza że sprowadza się to wyłącznie do świadomości przemysłowo-handlowej. Nie cierpię Włoch i ich całej narodowej pompy. Barnesa uważam za amatora.

Hermione milczała wrogo. Lecz przecież znów wciągnęła Birkina w swój świat! Jak subtelny był jej wpływ, jeśli w ciągu jednej minuty udało jej się zwrócić jego gniewną uwagę wyłącznie w swoją stronę. Stanowił jej własność.

— Nie masz racji — powiedziała. Nagle napięta, uniosła twarz jak kapłanka natchniona przez wyrocznię i ciągnęła dalej śpiewnie: — Il Sandro mi scrive che ha accolto il più grande entusiasmo, tutti i giovani e fanciulle e ragazzi, sono tutti... — Mówiła po włosku, jakby myśleć o Włoszech mogła tylko w ich języku.

Przysłuchiwał się tej śpiewnej rapsodii z cieniem niesmaku.

— Mimo to nie lubię ich. Nacjonalizm u nich to tylko ambicje przemysłowe... I jeszcze ta płytka zazdrość, której nie znoszę.

— Nie masz racji, naprawdę nie masz racji — powtórzyła Hermione. — Ta namiętna miłość współczesnych Włochów do ojczyzny — bo to jest namiętna miłość do Italii — wydaje mi się tak piękna i spontaniczna...

— Dobrze znasz Włochy? — spytała Ursula. Hermione nie znosiła, żeby jej w ten sposób przerywano. Ale odpowiedziała łagodnie:

— Nieźle. Jako dziewczynka spędziłam tam z matką wiele lat. Moja matka umarła we Florencji.

— Och...

Zapadło milczenie, przykre dla Ursuli i Birkina. Hermione jednakże wydawała się roztargniona i spokojna. Rupert miał białą twarz, oczy mu błyszczały jak w gorączce,

był niesłychanie zdenerwowany. Jakże Ursula cierpiała w napiętej atmosferze walki o to, kto komu narzuci swoją wolę. Jak gdyby jej głowę ściskały żelazne obręcze.

Birkin zadzwonił, żeby przyniesiono herbatę. Nie mogli już dłużej czekać na Gudrun. Przez uchylone drzwi do pokoju wsunął się kot.

— Micio, Micio! — zawołała Hermione przeciągle i melodyjnie. Kotek zwrócił do niej łepek, po czym powoli i uroczyście ruszył w jej stronę. — Vieni... vieni quà... — jej głos był dziwnie pieszczotliwy, opiekuńczy, jakby była matką przełożoną, zawsze od wszystkich starszą. — Vieni dire buon giorno alla zia. Mi ricordi, mi ricordi bene — non è vero, piccolo? È vero che mi ricordi? È vero? — głaskała go wolno i z ironiczną obojętnośdą.

— Rozumie po włosku? — spytała Ursula nie znająca ani słowa w tym języku.

— Tak — po dłuższej chwili odpowiedziała Hermione. — Jego matka była Włoszką. Urodziła się we Florencji w moim koszu na papiery wczesnym rankiem w dzień urodzin Ruperta. Dostał ją w prezencie urodzinowym.

Wniesiono herbatę. Rupert zajął się nalewaniem. Zadziwiające, jak nienaruszalna była intymność między nim a Hermione. Ursula czuła się tu obca. Więź między nimi stanowiły nawet te filiżanki do herbaty, to stare srebro. Jakby należały do dawnego, minionego świata, w którym ongiś oboje zamieszkali, a w którym Ursula była cudzoziemką. Czuła się jak parweniuszka w środowisku o starej kulturze. Jej obyczaje nie były ich obyczajami, jej normy nie były ich normami. Ale ich sposób bycia był ustalony od wieków, miał sankcję i wdzięk dawności. Oni oboje, Hermione i Birkin, wywodzili się z tej samej starej tradycji, z tej samej przywiędłej, zblakłej kultury. Ona, Ursula, jest tu intruzem. Zawsze przy nich czuła się jak intruz.

Hermione nalała troszkę śmietanki na spodek. Prostota, z jaką przejmowała swoje uprawnienia w pokoju Birkina, złościła i mroziła Ursulę. Była w tym jakaś nieuchronność, jakby inaczej być nie mogło. Hermione podniosła kota i postawiła przed nim śmietankę. Zwierzątko oparło przednie łapki na brzegu stołu i pochyliło nad spodkiem swój śliczny łepek.

— Sicuro che capisce italiano — śpiewała Hermione — non l'avrà dimenticato, la lingua delia Mamma,

Długimi, białymi palcami niespiesznie podniosła kod łepek; nie pozwalała mu pić demonstrując swoją nad nim władzę. Zawsze z taką samą uciechą demonstrowała swoją władzę, zwłaszcza władzę nad każdym stworzeniem męskiego rodzaju. Kotek pobłażliwie zmrużył oczy z miną znudzonego mężczyzny i oblizał wąsy. Hermione parsknęła swoim krótkim, chrapliwym śmiechem.

— Ecco, il bravo ragazzo, com'è superbo, questo!

Dziwnie spokojna, tworzyła wraz z kotem barwny obraz. Nawet nieruchoma tchnęła siłą, miała mnóstwo talentów towarzyskich.

Kot nie chciał na nią patrzeć, obojętnie unikał jej palców i z pyszczkiem w śmietance zabrał się znów do picia, znakomicie zrównoważony, kiedy tak chłeptał wydając osobliwe mlaśnięcia.

— Nie należy przyzwyczajać go do jedzenia na stole — rzekł Birkin.

— Tak — łatwo zgodziła się Hermione. Patrząc na zwierzątko podjęła śpiewnie w swój kpiący, żartobliwy sposób: — Ti imparano fare brutte cose, brutte cose....

Podniosła palcem białą bródkę. Kotek rozejrzał się dookoła z miną wyrażającą absolutną cierpliwość, postarał się nic nie zobaczyć, cofnął bródkę i zaczął myć pyszczek łapką. Hermione, zadowolona, chrząknęła po swojemu wybuchając śmiechem.

— Bel giovantto... — zaczęła.

Kot znów sięgnął ładną, białą łapką i przytrzymał nią brzeg spodeczka. Hermione odsunęła go powoli i delikatnie. Ta rozmyślna, delikatna ostrożność jej ruchów przypominała Ursuli Gudrun.

— No! Non è permesso di mettere il zampino nel tondinetto. Non piace al babbo. Un signor gatto cosi selvatico...!

Nadal trzymała palec na miękko wspartych o stół łapkach, a w jej głosie pobrzmiewała ta sama kapryśna, żartobliwa nuta okrucieństwa.

Ursula poczuła się upokorzona. Chciała już wyjść. Nie podobało jej się to wszystko. Hermione usadowiła się tu na zawsze, podczas gdy ona pojawiła się przelotem, jeśli w ogóle była tu obecna.

— Pójdę już — odezwała się nagle.

Birkin spojrzał na nią prawie ze strachem. Tak bardzo bał się jej gniewu...

— Przecież nie ma pośpiechu — powiedział.

— Idę. — Nie dając nikomu dojść do głosu wyciągnęła rękę do Hermione. — Do widzenia.

— Do widzenia — zaśpiewała Hermione przytrzymując jej dłoń. — Naprawdę musisz już iść?

— Myślę, że już czas na mnie. — Ursula ze ściągniętą twarzą unikała jej wzroku.

— Myślisz, że już...

Ale Ursula oswobodziła dłoń. Rzuciła Birkinowi krótkie, niemal urągliwe „Do widzenia” i ubiegła go otwierając drzwi, zanim zdążył to dla niej zrobić.

Wyszedłszy z domu pobiegła ulicą poruszona i wściekła. Niepojęta była ta bezrozumna pasja, ślepy gniew, jaki budziła w niej Hermione samą swoją obecnością. Ursula

wiedziała, że zdradziła się przed drugą kobietą, wiedziała, że musiała się jej wydać źle wychowana, bez ogłady, sztuczna. Ale nie dbała o to. Biegła przed siebie, byleby tylko nie wrócić i nie zwymyślać tych dwojga, których zostawiła za sobą. Doprowadzili ją do szału.

ROZDZIAŁ XXIII

WYCIECZKA

Nazajutrz Birkin odszukał Ursulę w szkole. Tego dnia przypadało akurat wolne pół dnia. Pojawił się tam pod koniec rannych lekcji i spytał, czy zechce udać się z nim po południu na przejażdżkę. Zgodziła się. Ale miała zamkniętą, nieżyczliwą twarz i Rupertowi ścisnęło się serce.

Dzień był pogodny, choć mglisty. Rupert prowadził samochód, Ursula siedziała obok niego. Jej twarz jednak nadal była zawzięta i zimna. Zawsze, kiedy odgradzała się od niego murem niechęci, robiło mu się ciężko na duszy.

Życie wydawało mu się teraz o tyle uboższe, że właściwie nic już go nie obchodziło. Chwilami uważał wręcz, że jest mu doskonałe obojętne, czy Ursula albo Hermione, lub ktokolwiek inny istnieje, czy nie istnieje. Po co się przejmować? Po co zabiegać, żeby życie było logiczne i spełnione? Można przecież płynąć z prądem od przygody do przygody jak w powieści łotrzykowskiej. Czemu nie? Dlaczego martwić się o stosunki z innymi ludźmi? Dlaczego brać je na serio — wszystko jedno, czy chodzi o mężczyzn, czy o kobiety? Dlaczego w ogóle zawierać poważne związki? Czy nie lepiej zdać się na przypadek i unosić się na powierzchni, nic sobie z niczego nie robiąc?

Lecz niestety, skazany był na zgubny trud brania życia poważnie.

— Popatrz, co kupiłem.

Samochód jechał szeroką białą drogą wśród jesiennych drzew. Podał jej malutkie papierowe zawiniątko. Rozwinęła papier.

— Jakie to śliczne! — zawołała. Obejrzała dokładnie upominek.

— Naprawdę urocze. Ale dlaczego mi je dajesz? — pytanie zabrzmiało zaczepnie.

Po jego twarzy przemknął wyraz znudzonej irytacji. Wzruszył lekko ramionami.

— Bo chcę — odpowiedział chłodno.

— Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

— Czy żądasz, żebym się usprawiedliwiał?

Zamilkli i Ursula oglądała wydobyte z zawiniątka pierścionki.

— Są naprawdę piękne. Zwłaszcza ten. Wręcz cudowny...

Był to okrągły opal, czerwony i płomienny, obramiony drobnymi rubinami.

— Ten ci się najbardziej podoba?

— Chyba tak.

— Ja wolę tamten z szafirem.

— Ten?

Był to piękny szafir w kształcie róży z małymi brylancikami.

— Tak — zgodziła się. — Jest prześliczny. — Popatrzyła na niego pod światło. — Może rzeczywiście najładniejszy...

— Jego błękit...

— Nadzwyczajny...

Skręcił gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia z furmanką. Samochód przechylił się na poboczu. Rupert był kierowcą nonszalanckim, miał za to szybki refleks. Ursula jednak przestraszyła się. Zawsze było w nim coś nieobliczalnego, co napawało ją lękiem. Uzmysłowiła sobie nagle, że przecież

może ją zabić w jakimś okropnym wypadku samochodowym. Na moment skamieniała z przerażenia.

— Czy nie prowadzisz zbyt ryzykownie? — spytała.

— Ależ skąd! — Po pauzie dorzucił: — A ten żółty wcale ci się nie podoba? Był to topaz czy inny podobny kamień w misternej metalowej oprawie.

— Owszem, podoba mi się. Ale dlaczego kupiłeś te pierścionki?

— Miałem na nie ochotę. Kupiłem je okazyjnie.

— Dla siebie?

— Nie. Moje ręce nie nadają się do pierścionków.

— Więc po co?

— Żeby ci je podarować.

— Dlaczego mnie? Powinieneś, rzecz jasna, dać je Hermione! Należysz do niej.

Nie odpowiedział. Siedziała z pierścionkami w zaciśniętej dłoni. Korciło ją, żeby je zmierzyć, ale nie mogła się na to zdobyć. Co więcej, obawiała się, że jej dłonie okażą się za duże i naje się wstydu, jeśli pierścionki nie będą pasowały na żaden palec prócz małego. Jechali w milczeniu pustymi drogami.

Podniecała ją jazda samochodem, zapomniała niemal o obecności Birkina.

— Gdzie jesteśmy? — spytała nagle.

— W pobliżu Worksop.

— A dokąd jedziemy?

— Byle gdzie.

Chciała, żeby jej tak odpowiedział.

Otworzyła pięść, żeby popatrzeć na pierścionki. Jakaż to była przyjemność trzymać je tak w zagłębieniu dłoni — trzy małe krążki z supełkami kamieni. Musi je przymierzyć.

Zrobiła to ukradkiem, nie chcąc, żeby zauważył, jeśli jej palce okażą się za grube. Ale zauważył, oczywiście. Zawsze widział wszystko, co chciała przed nim zataić. Jego wścibstwo było nieznośne.

Tylko opal na cieniutkiej obrączce wszedł na serdeczny palec. Ursula była przesądna. Opale przynoszą nieszczęście, nie przyjmie od niego tego pierścionka.

— Spójrz — powiedziała wyciągając niechętnie półotwartą dłoń. — Inne nie pasują.

Popatrzył na delikatny kamień migocący czerwienią na jej nadmiernie wrażliwej skórze. — Tak.

— Ale opale przynoszą nieszczęście, prawda? — spytała z żalem.

— Wolę rzeczy, które przynoszą nieszczęście. Szczęście jest wulgarne. Kto chce, żeby mu sprzyjało szczęście? Bo ja nie chcę.

— Dlaczego? — zaśmiała się.

I pałając chęcią sprawdzenia, jak jej dłoń wyglądać będzie w pozostałych pierścionkach, włożyła je na mały palec.

— Można je nieco poszerzyć — powiedział.

— No tak — powiedziała z wahaniem. Wiedziała, że przyjmując pierścionki podejmuje zobowiązanie. Ale nie mogła sprzeciwiać się losowi. Znowu spojrzała na klejnociki. Wydały jej się bardzo piękne — nie dlatego, że były ozdobne czy kosztowne, lecz jako drobne fragmenty urody świata.

— Cieszę się, że je kupiłeś. — Trochę wbrew sobie położyła mu łagodnie rękę na ramieniu.

Uśmiechnął się lekko. Chciał, żeby mu była posłuszna. Ale w skrytości ducha był zły na nią i obojętny. Wiedział, że wzbudził w niej namiętność, ale w gruncie rzeczy nie było to wcale interesujące. Bywają otchłanie namiętności tak przepastne, że człowiek staje się bezosobowy i obojętny,

niepodatny na uczucia. Ursula zaś sprowadza wszystko na płaszczyznę uczuciową i osobistą — zawsze tak odrażająco osobistą. Godził się na nią, tak jak na niego nigdy się nikt nie godził. Dotarł do samych korzeni jej ciemności i hańby — demon śmiejący się nad źródłem mistycznego zepsucia, jednym ze źródeł jej jestestwa, demon, który śmieje się, wzrusza ramionami, akceptuje, w końcu akceptuje. A ona? Kiedy wreszcie wzniesie się ponad siebie tak, aby jego zaakceptować w jądrze śmierci?

Poczuła się teraz całkiem szczęśliwa. Samochód jechał równo, popołudnie było ciche i zamglone. Mówiła z ożywieniem, analizując ludzi i ich motywy postępowania — głównie o Gudrun, o Geraldzie. Birkin odpowiadał wymijająco. Przestał interesować się ludźmi i ich charakterami; ludzie — oświadczył — różnią się od siebie, ale dziś wszyscy zamknięci są w określonych granicach; istnieją tylko dwie wielkie idee, dwa wielkie nurty działalności, które wywołują odmienne typy reakcji. Reakcje są różne u różnych ludzi, ale przebiegają zgodnie z wielkimi prawami i w gruncie rzeczy są takie same. Ludzie bezwiednie działają i reagują zgodnie z owymi paroma wielkimi prawami i kiedy te prawa, najwyższe zasady, są już znane, człowiek, wyzuty z mistycznej tajemnicy, przestaje być interesujący. Wszyscy są zasadniczo do siebie podobni, różnice to tylko wariacje na ten sam temat. Żaden człowiek nie wykracza poza dane z góry warunki.

Ursula nie zgadzała się z nim — ludzie jeszcze ciągle byli dla niej przygodą, choć może nie aż tak, jak usiłowała to sobie wmówić. Może jej zainteresowanie było już po prostu automatyczne. A nawet wręcz zgubne, gdyż darła na strzępy obiekty swej analizy. Miała w sobie podobszary, gdzie nie dbała ani o ludzi, ani o ich szczególne cechy, nie miała nawet ochoty ich zniszczyć. Na mgnienie oka sięgnęła jakby do owej strefy ciszy w sobie; zamilkła, po czym niewinnie zwróciła się do Birkina:

— Wiesz co? Byłoby miło wrócić do domu już po zapadnięciu mroku. Moglibyśmy zjeść późno podwieczorek... Może nawet zamówić jakieś ciepłe danie. Co ty na to?

— Obiecałem być na kolacji w Shortlands.

— Przecież to nieważne. Możesz iść tam jutro.

—Jest tam Hermione — bąknął lekko stropiony. — Wyjeżdża pojutrze. Przecież powinienem się z nią pożegnać. Nigdy już jej nie zobaczę.

Ursula odgrodziła się od niego zaciekłym milczeniem. Ściągnął brwi; oczy znów rozbłysły mu irytacją.

— Chyba się nie gniewasz? — spytał z rozdrażnieniem.

— Skądże! Nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego miałabym się gniewać? — Jej ton był szyderczy i obraźliwy.

— Właśnie nad tym się zastanawiam. Dlaczego miałabyś się gniewać? Ale wyglądasz, jakbyś się gniewała. — Z trudem hamował irytację.

— Zapewniam cię, że się mylisz. Wcale się tym nie przejmuję. Idź tam, gdzie przynależysz... Tylko tego od ciebie chcę.

— Ach, głuptasie! — zawołał. — Ty i twoje „idź, gdzie przynależysz!” Między . Hermione i mną wszystko jest skończone. Prawdę mówiąc dla ciebie znaczy ona teraz o wiele więcej niż dla mnie. Bo twoją oczywistą reakcją może być tylko bunt przeciw niej — a być przeciwieństwem to znaczy być też odpowiednikiem.

— Przeciwieństwem! Znam te twoje numery’. Nie dam się nabrać na twoje wykręty. Należysz do Hermione, ciągnie cię do tych jej zgrabnych sztuczek. No cóż, proszę bardzo. Wcale cię za to nie winie. Ale wobec tego nic nie łączy cię ze mną.

Rozjątrzony i zdenerwowany do ostateczności, zatrzymał wóz i tu, na środku wiejskiej drogi, postanowili sobie wreszcie wszystko wygarnąć. Wojna, jaką toczyli,

osiągnęła punkt kulminacyjny, nie widzieli śmieszności sytuacji.

— Gdybyś nie była głupia, gdybyś nie była aż tak głupia — wołał z gorzką rozpaczą — zrozumiałabyś, że można być przyzwoitym człowiekiem, nawet jeśli się popełniło błąd! Popełniłem błąd żyjąc z Hermione przez te wszystkie lata — było to powolne umieranie. Ale w końcu trzeba zachować się po ludzku. A ty przez twoją zazdrość rozszarpałabyś mi duszę na samą wzmiankę o Hermione.

— Zazdrość! Ja zazdrosna! Mylisz się, jeśli tak sądzisz. Bynajmniej nie jestem zazdrosna o Hermione, nic mnie nie obchodzi, nawet tyle... — Strzepnęła palcami. — To ty jesteś kłamcą. To ty zawsze wracasz jak pies do swoich wymiotów. Dla mnie nienawistne jest to, co Hermione uosabia. Nienawidzę tego. To są kłamstwa, fałsz, śmierć. Ale ty tego chcesz, nie ma rady, nie możesz się z tym uporać. Należysz do starego, martwego stylu życia, więc wróć tam. Ale nie przychodź do mnie, bo ja nie mam z tym nic wspólnego.

Miotana gwałtownymi uczuciami wysiadła z samochodu i podeszła do żywopłotu, bezwiednie zrywając drobne różowe owoce — niektóre z nich popękały ukazując pomarańczowe nasiona.

— Co za idiotka z ciebie! — w jego goryczy był odcień pogardy.

— Owszem, jestem idiotką. I chwała Bogu. Jestem, na szczęście, za głupia, żeby przełknąć twoją inteligencję. Idź sobie, idź do swoich kobiet, są takie same jak ty, zawsze ciągnąłeś za sobą cały ich sznur i zawsze będziesz ciągnął. Idź do swoich duchowych narzeczonych, ale ode mnie trzymaj się z daleka, ja. się do tego nie nadaję, dziękuję. Nie jesteś z tego zadowolony, co? Twoje duchowe narzeczone nie mogą dać ci tego, co chcesz, nie są dla ciebie dość pospolite i cielesne, prawda? Więc zwracasz się po to do mnie, a tamte trzymasz na zapleczu. Na codzienny użytek

ożenisz się ze mną, ale postarasz się dobrze zaopatrzyć w duchowe narzeczone na zapleczu. Znam twoje brudne sztuczki. — Jej gniew wybuchnął płomieniem, tupnęła z wściekłością nogą, aż cofnął się przestraszony, że go uderzy. —Ja nie jestem dość uduchowiona, tak uduchowiona, jak twoja Hermione...! — Zmarszczyła brwi, oczy jej świeciły jak u tygrysa. — Więc idź do niej, to wszystko, co mam ci do powiedzenia, idź sobie, idź! Uduchowiona! A jakże! Podia materialistka. Uduchowiona? O co jej chodzi, na czym polega jej uduchowienie? Na czym? —Jej furia buchnęła z taką siłą, że zapiekła go twarz. Cofnął się o krok. — Mówię ci, że to brudy, brudy i nic tylko brudy. Te brudy ci są potrzebne, łakniesz ich. Uduchowiona! Może uduchowiony jest jej despotyzm albo pycha, albo podły materializm? To handlara ryb, nic poza tym — tylko handlara ryb może być aż taką materialistka. I to wszystko jest takie nędzne. Czego ona w końcu dokonała z tą całą swoją pasją społeczną, jak ty to nazywasz? Pasja społeczna! Jakie ona ma pasje społeczne, proszę, pokaż mi je! Jak się objawiają? Zależy jej tylko na władzy, byle jakiej, natychmiastowej, chce mieć złudzenie, że jest wielką kobietą, to wszystko. W duszy jest szatańską ateistką, ordynarną i plugawą. Taka jest naprawdę. A wszystko inne to poza i ty kochasz tę pozę. Kochasz to jej rzekome uduchowienie, to dla ciebie najlepszy pokarm. Dlaczego? Bo pod nim jest brud. Myślisz, że nie wiem, jak zwyrodniałe jest wasze życie seksualne, twoje i jej? Wiem. I tej zgnilizny chcesz, ty oszuście. Proszę bardzo, możesz ją mieć. Co za oszust z ciebie!

Odwróciła się i zaczęła kurczowo wyrywać z żywopłotu gałązki głogu, przypinając je rozdygotanymi palcami do klapy płaszcza. Przyglądał jej się w milczeniu. Widok jej wrażliwych, drżących palców wzniecił w nim niezwykłą czułość, lecz jednocześnie brała go złość i nie mógł powściągnąć okrucieństwa.

— To jest poniżające widowisko — oświadczył chłodno.

— Rzeczywiście poniżające. Bardziej dla mnie niż dla ciebie.

— Skoro masz ochotę się poniżać... — mruknął. Znowu przez jej twarz przemknęła błyskawica gniewu, oczy zabłysły żółtym światłem.

— Ty! — krzyknęła. — Ty! Czciciel prawdy! Handlarz czystości! Twoja prawda i twoja czystość śmierdzą. Śmierdzą ścierwem, którym się żywisz, hieno cmentarna, trupojadzie. Jesteś zepsuty, zepsuty do szpiku kości i sam to wiesz. Twoja czystość, twoja moralność, twoja dobroć — tak, dziękuję, zetknęliśmy się z tym. Jesteś po prostu zwyrodniałym zgniłkiem, lubieżnym, tak, lubieżnym i perwersyjnym. Ty i miłość! Łatwo ci mówić, że nie chcesz miłości. Chcesz tylko siebie, chcesz brudu, chcesz śmierci. Tylko to kochasz. Jesteś taki perwersyjny, żywisz się padliną. Poza tym...

— Jedzie tu ktoś na rowerze — ostrzegł ją chcąc powstrzymać potok głośnych oskarżeń. Spojrzała na drogę.

— A co to mnie obchodzi — żachnęła się.

Zamilkła jednak. Rowerzysta, który zdążył usłyszeć podniesione w kłótni głosy, mijając ich popatrzał ciekawie na parę ludzi obok stojącego samochodu.

— ...wieczór! — zawołał wesoło.

— Dobry wieczór — zimno odpowiedział Birkin. Czekali w milczeniu, aż rower zniknie w oddali.

Birkin rozpogodził się nieco. Wiedział, że Ursula ma w zasadzie rację. Bo czyż nie był perwersyjny? Uduchowiony pod pewnymi względami i w jakiś osobliwy sposób zdegenerowany pod innymi? Ale czy ona jest choć trochę lepsza? Czy w ogóle ktokolwiek jest lepszy?

— Może to i prawda, co mówisz. Te kłamstwa, smród i w ogóle. Ale intymne przeżycia duchowe Hermione nie są bardziej zgniłe niż wyskoki twojej emocjonalnej zazdrości.

Człowiek powinien przestrzegać dobrych obyczajów nawet wobec wrogów — choćby przez wzgląd na siebie. Hermione jest moim wrogiem, śmiertelnym wrogiem. I dlatego muszę złożyć jej na pożegnanie niski ukłon.

— Tak! Ty i twoi wrogowie! I twoje ukłony! W ładnych barwach malujesz swoją osobę. Ale nie zwiedziesz tym nikogo prócz siebie. Ja mam być zazdrosna! Mówię to wszystko — wybuchnęła — bo to jest prawda, rozumiesz? Bo ty jesteś właśnie taki. Jesteś podłym, fałszywym kłamcą, farbowanym lisem. Dlatego to mówię. A ty słuchaj!

— I bądź wdzięczny — dorzucił z ironicznym grymasem.

— Tak! — zawołała. —Jeśli masz źdźbło przyzwoitości w sobie, powinieneś być wdzięczny.

— Ale ponieważ nie mam ani źdźbła przyzwoitości...

— Właśnie — krzyknęła — nie masz nawet źdźbła! Więc idź sobie swoją drogą, a ja pójdę swoją. To nie ma najmniejszego sensu. Zostaw mnie teraz, nigdzie z tobą nie pojadę. Zostaw mnie...

— Nie wiesz nawet, gdzie jesteśmy.

— Och, nie przejmuj się. Zaręczam, że dam sobie radę. Mam w portmonetce dziesięć szylingów i to starczy, żeby wrócić zewsząd, dokądkolwiek mnie zaciągnąłeś. — Zawahała się. Nadal miała pierścionki na palcach, dwa na małym, jeden na serdecznym. Jeszcze nie była zdecydowana.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Na głupotę nie ma lekarstwa.

— Święta racja.

Ciągle nie mogła się zdecydować. Lecz już jej twarz przybrała brzydki, złośliwy wyraz, ściągnęła z palców pierścionki i cisnęła w jego stronę. Jeden trafił go w twarz, pozostałe odbiły się od płaszcza i wpadły w błoto.

— Masz, zabieraj swoje pierścionki, idź i kup sobie gdzie indziej kobietę, jest mnóstwo takich, które z radością dzielić będą twoje duchowe kłopoty albo zajmą się twoimi kłopotami cielesnymi, a duchowe zostawią Hermione.

Ruszyła chwiejnie przed siebie. Rupert stal bez ruchu obserwując jej chód, zaperzony i brzydki. Przechodząc koło żywopłotu z zadekłos'cią szarpała i wyrywała z niego gałązki. Oddalała się, jej pomniejszona postać znikała już z jego pola widzenia. Zamroczyło mu się w głowie. Już tylko strzępkiem świadomości mechanicznie pamiętał o jej niedawnej bliskości.

Poczuł się zmęczony i słaby. Ale jednocześnie ulżyło mu. Dał za wygraną; usiadł na nasypie koło drogi. Ursula miała niewątpliwie rację. To, co mówiła, było w gruncie rzeczy prawdą. Uświadamiał sobie, że jego życiu psychicznemu towarzyszy stopniowa deprawacja moralna, że znajduje jakby pewną przyjemność w samounicestwianiu, że dążenie do autodestrukcji w istocie dostarcza mu podniety — zwłaszcza jeśli daje się to przenieść w sferę ducha. Wiedział to przecież, no tak, wiedział, i co z tego? Zresztą, czy uczuciowe rozterki Ursuli, jej emocjonalny i fizyczny sposób bycia nie był równie niebezpieczny jak abstrakcyjne, duchowe rozterki Hermione? Czy zlepek, koszmarny zlepek dwóch istot, do jakiego z uporem dąży każda kobieta i prawie każdy mężczyzna, nie jest wręcz potworny i obmierzły, wszystko jedno, czy jest to związek myślących dusz, czy czujących ciał? Hermione uważa się za wcielenie doskonałej idei, której musi poddać się każdy mężczyzna; Ursula z kolei jest doskonałą Macicą, wcieleniem płodności, której oczywiście także musi się poddać każdy mężczyzna. I obie są okropne. Dlaczego nie mogą istnieć jako jednostki określone przez własne ograniczenia? Po co ta przerażająca, wszechstronna, nienawistna tyrania? Czy nie lepiej zostawić partnerowi swobodę, a nie próbować wchłonąć go, stopić,

wessać? Człowiek może dać się bez reszty porwać chwili, ale nie drugiej istocie.

Nie mógł znieść widoku pierścionków leżących w szarym błocie na drodze. Podniósł je i bezwiednie wytarł o własne dłonie. Były to drobne symbole piękna, znaki szczęścia w życzliwym świecie. Lecz zabrudziły mu i zapiaszczyły ręce.

Nadal mroczyło mu się w głowie. Koszmarny strzępek zasupłanej świadomości, obsesyjnie go nękającej, rozpadł się, znikł, życie roztopiło się w ciemnościach, które spłynęły na jego ciało. Ale w sercu poczuł teraz ukłucie niepokoju. Chciał, żeby wróciła. Oddychał lekko i miarowo jak niemowlę, niewinne, za nic jeszcze nie odpowiedzialne.

Wracała. Widział, jak błędnym krokiem przechodzi pod wysokim żywopłotem, powoli zmierzając w jego stronę. Nie poruszył się, nie spojrzał po raz drugi. Jak gdyby spał, spokojny i absolutnie rozluźniony.

Podeszła i stanęła przed nim z opuszczoną głową.

— Popatrz, jakie kwiatki znalazłam dla ciebie — powiedziała żałośnie, wycią-

gając dłoń z pękiem fioletowego wrzosu. Spojrzał na kępki barwnych kwiatków i cieniutką, rozłożystą jak drzewo gałązkę; i także na jej dłonie o zbyt delikatnej, zbyt wrażliwej skórze.

— Ładne — rzekł z uśmiechem biorąc od niej wrzos. Znowu wszystko stało się proste, zupełnie proste i nieskomplikowane. Tylko nieznośnie chciało mu się płakać... Emocje osłabiły go i znużyły.

Serce wezbrało mu namiętną czułością. Wstał i zajrzał jej w twarz. Była odmieniona i ach, jakże delikatna w swoim świetlistym .zdziwieniu i lęku. Otoczył ją ramionami, a ona ukryła twarz na jego piersi.

Czuł spokój, nic, tylko spokój, kiedy tak stał tuląc ją tkliwie na publicznej drodze. Nareszcie osiągnął spokój. W

końcu opuścił stary, obmierzły świat pełen napięć i poczuł się silny i swobodny.

Podniosła na niego oczy, które, choć świeciły nowym cudownym żółtym światłem, teraz, skoro nastąpiło pojednanie, były łagodne i ustępliwe. Całował ją czule wiele, wiele razy. Zaśmiała się.

— Obraziłam cię? — spytała.

Uśmiechnął się także i ujął jej dłoń, tak miękką i uległą.

— Nie szkodzi — dodała — i tak obróci się to na dobre. — Znowu obsypał ją pocałunkami. — Prawda?

— Na pewno — odpowiedział. — Poczekaj! Odbiorę, co mi się należy. Nagle zachłysnęła się śmiechem i objęła go mocno ramionami.

— Jesteś naprawdę mój? — zawołała przyciskając go mocno do siebie.

— Tak — odrzekł miękko.

Tak łagodnie to zabrzmiało i tak nieodwołalnie, że uciszyła się, jakby opatrzność wydała na nią wyrok. Zgodziła się, ale spełniło się to bez jej zgody. Całował ją lekko, wiele razy, w bezgłośnym, błogim uszczęśliwieniu, od którego jej serce niemal przestało bić.

— Najdroższy— uniosła twarz z lękliwym, czułym, zdumionym zachwytem. Czy to wszystko działo się naprawdę? Lecz jego oczy były piękne, łagodne, wolne od wszelkiego napięcia, wszelkiego podniecenia, piękne i śmiejące się do niej, śmiejące się z nią razem. Położyła mu głowę na ramieniu, chowając się przed nim, bo przecież mógł ją tak bez reszty zobaczyć. Wiedziała, że ją kocha, i bala się, otaczał ją obcy żywioł, nowe, nieznane niebo. Chciała, żeby był namiętny, namiętność była jej dobrze znana. Jego pieszczoty bezgłośne i kruche przerażały ją — jak przestrzeń bardziej przeraża niż siła.

Znowu szybko podniosła głowę.

— Kochasz mnie? — spytała impulsywnie.

— Tak. — Wolałby, żeby się nie ruszała.

Wiedziała, że mówi prawdę. Oderwała się od niego.

— I masz mnie kochać — rzekła odwracając się, żeby spojrzeć na drogę. — Znalazłeś pierścionki?

— Tak.

— Gdzie są?

— W mojej kieszeni.

Włożyła tam rękę i wyjęła pierścionki. Niecierpliwiła się.

— Pojedziemy?

— Oczywiście. — Znowu wsiedli do samochodu i zostawili za sobą pamiętne odtąd dla nich pole walki.

Sunęli wolno przez burzliwy wieczór, uszczęśliwieni płynnym ruchem wozu. Rupertowi było błogo na duszy, życie przepływało przez niego, jak gdyby trysnęło z nowego źródła, a on ponownie narodził się w skurczu macicy.

— Jesteś szczęśliwy? — spytała swoim dziwnym, zachwyconym głosem. — Tak.

— Ja też! — zawołała w nagłym uniesieniu; objęła go ramieniem i kurczowo przycisnęła do siebie, nie bacząc, że prowadzi samochód. — Zatrzymajmy się gdzieś blisko. Nie chcę, żebyś ciągle coś robił.

— Poczekaj. Skończymy naszą małą wyprawę i będziemy wolni.

— Och, tak, najdroższy, będziemy wolni! — zawołała z zachwytem całując jego zwróconą ku niej twarz.

Jechał przed siebie z nowo obudzoną, osobliwą czujnością, ze świadomością wolną od napięcia. Zdawał się świadomy całym sobą, miał ciało nasycone prostą, świtającą samowiedzą, jakby właśnie się obudził, jakby był rzeczą, która się dopiero zrodziła, ptakiem, który wykluł się z jajka od razu w obcym wszechświecie.

Zjechali długim zboczem w półmrok i Ursula nagle rozpoznała po prawej stronie, niżej w dolinie, zarys katedry w Southwell.

— Popatrz, gdzie przyjechaliśmy! — zawołała z radością.

Surowa, ponura, brzydka katedra sadowiła się w mroku zapadającego wieczoru, kiedy wjeżdżali w wąskie uliczki miasteczka, a złote światła wydobywały z witryn sklepowych świetliste bryły.

— Ojciec przyjechał tu z mamą zaraz, jak się poznali — powiedziała. — Ojciec uwielbia tę katedrę. A ty?

— Owszem. Wygląda jak kryształki kwarcu sterczące w mrocznej dolinie. Pojedziemy na podwieczorek do Saracen’s Head.

Wysiadłszy usłyszeli dzwony katedry grające hymn, podczas gdy zegar wybijał szóstą.

Bądź imię Twoje pochwalone Za światło dnia błogosławione.

W uszach Ursuli melodia spływała kropla po kropli z niewidocznego nieba na ciemne miasto. Brzmiało to jak dźwięki zblakłych, dawno minionych wieków, dochodzące z oddali. Stała na starym dziedzińcu gospody pachnącym słomą, stajnią i benzyną. Nad jej głową zabłysły pierwsze gwiazdy. Co to wszystko znaczy? Nie był to współczesny świat, lecz wyśniony kraj dzieciństwa — wielki krąg wspomnień. Świat stał się nierzeczywisty. Tylko ona jest obcą, transcendentną rzeczywistością.

Usiedli razem przy kominku w niewielkiej salce.

— Więc jak z tym jest? — nalegała uśmiechnięta, ale niepewna.

— Z czym?

— Ze wszystkim. Czy to wszystko jest prawdą?

— Prawdą jest to, co najlepsze.

— Czy aby na pewno?

Patrzyła na niego. Wydawał jej się tak bardzo oddzielny. W jej duszy otworzyły się nowe oczy. Siedział przy niej dziwny stwór z innego świata. Jakby ktoś ją zaczarował 1 wszystko wokół niej uległo przeobrażeniu. Wróciła do niej dawna magia Księgi Rodzaju, gdzie synowie boży widzieli córki ludzkie, że były piękne. A on jest jednym z nich, jest dziwną istotą z zaświatów, spogląda na nią z góry i widzi, że jest piękna.

Stał na dywaniku przy kominku patrząc na nią, na jej twarz uniesioną ku niemu jak kwiat, świeży, rozświetlony kwiat migocący bladym złotem rosy wczesnego świtu, i uśmiechał się leciutko, jakby na świecie nie istniały słowa, lecz tylko cicha radość kwiatu, który zachwyca się drugim kwiatem. Uśmiechnięci cieszyli się nawzajem swoją obecnością, po prostu obecnością, nie myśląc o niej, nawet o niej nie wiedząc. Tylko Birkinowi zwęził oczy leciutki grymas ironii.

Ciągnęło ją do niego dziwnie, była jak urzeczona. Uklęknąwszy przed nim na dywanie otoczyła ramionami jego biodra i wtuliła twarz w jego uda. Bogactwa! Bogactwa! Ogarnęło ją przemożne uczucie niebiańskiego bogactwa.

— Kochamy się — powiedziała z zachwytem.

— To więcej niż miłość — odrzekł patrząc na nią z rozjaśnioną, pogodną twarzą. Wyczulonymi koniuszkami palców wodziła machinalnie z tyłu po jego udach, jak gdyby przebiegał tam jakiś tajemniczy prąd życia. Odkryła tam coś całkiem niezwykłego, bardziej niezwykłego niż samo życie. Niepojętą tajemnicę jego żywego, ruchliwego ciała, tam, z drugiej strony ud, poniżej pachwin.

Dziwną rzeczywistość jego istnienia, prawdziwe tworzywo jego istnienia, tu, w prostym spadku lędźwi. Tu, właśnie tu, odkryła w nim jednego z synów Boga, owych

bożych synów, którzy zaludniali świat u jego zarania — nie człowieka, coś innego i coś więcej.

Nareszcie odczuła ulgę. Miała kochanków, doświadczyła namiętności. Ale tym razem nie była to ani miłość, ani namiętność. Tak córki ludzi wracają do bożych synów, niepojętych, nieludzkich synów Boga, którzy byli na początku świata.

Jej twarz, wyzwolona i olśniewająca, rozbłysła złotym światłem, kiedy podniósłszy oczy położyła rozpostarte dłonie z tyłu, na udach stojącego przed nią mężczyzny. Spoglądał na nią z góry, nad jego oczami, jak kosztowny diadem, jaśniały gęste brwi. Była piękna, jak cudowny kwiat rozkwitły u jego kolan, była rajskim kwiatem, kwiatem jasności ponad wszelką kobiecością. Ale mimo to coś go raziło, krępowało. Nie lubił tego kucania, tej promienności — nie, niezupełnie.

Dla niej było to spełnienie. Znalazła jednego z synów bożych z zarania dziejów, a on znalazł jedną z pierwszych, najbardziej świetlanych córek ludzkich. Dłońmi wytyczała z tyłu linię jego lędźwi i ud, przeszył ją żywy ogień przejęty od niego w ciemności. Wyzwalała z niego, wchłaniała w siebie ciemny strumień naładowanej elektrycznością żądzy. Połączyła ich silnym, nowym obwodem, po którym płynął prąd wysokiego napięcia, strumień energii elektrycznej wyzwolonej z najciemniejszych biegunów ciała i puszczonej przez idealnie zamknięty obwód. Ciemny ogień elektryczności biegł od niego do niej i w obojgu wezbrał błogi spokój spełnienia.

— Mój miły! — zawołała podnosząc ku niemu twarz, oczy i usta rozchylone w ekstazie.

— Moja miła — schylił się, nie przestając jej całować.

Zacisnęła dłonie na jego pełnych, zaokrąglonych biodrach; kiedy nachylił się nad nią, wydało jej się, że dotyka żywej tajemnicy mroku, cielesnej jak samo ciało.

Omdlewała klęcząc przed nim, a on omdlewał nachylony nad nią. Było to dla obojga najsłodsze konanie i trudne do zniesienia ocknięcie się, cudowna pełnia natychmiastowego zaspokojenia, które wezbraną falą wypłynęło ze źródła najgłębszych sił życia, z najciemniejszego, najgłębszego, najbardziej niepojętego, życiodajnego źródła, jakim jest ciało mężczyzny z tyłu i u nasady bioder.

Po długiej ciszy, gdy już spłynęły z niej rzeki dziwnej, ciemnej, gęstej cieczy zatapiając ją, porywając z sobą jej myśli i spływając po krzyżu w kolana, w stopy, cudownym strumieniem, który unosił z sobą wszystko i pozostawił ją jakby nowo narodzoną, poczuła się wolna, swobodna, poczuła się w pełni sobą. Podniosła się cicha i pogodna, z uśmiechem na ustach. Stał przed nią promienny, tak przerażająco rzeczywisty, że jej serce prawie przestało bić. Miała przed sobą jego ciało, nieodgadnione, niepodzielne, w którym tryskały cudowne źródła, jak w ciałach synów Boga u zarania dziejów. Tryskały w jego ciele niezwykłe źródła, tak tajemnicze i potężne, jakich nigdy nie wyobrażała sobie ani nie znała, tak zaspokajające, tak ponad wszelką miarę zaspokajające mistycznie i cieleśnie. Myślała dotychczas, że nie ma źródeł głębszych niż źródło falliczne. A teraz, teraz z rozłupanej skały męskiego ciała, z przedziwnych, cudownych lędźwi, ud i pachwin, głębsze, bardziej zagadkowe niż źródło falliczne, trysnęły strumienie niewysłowionych ciemności i niewysłowionego bogactwa.

Zadowoleni, mogli wszystko zapomnieć Wesoło zasiedli do zastawionego stołu. Był pasztet z dziczyzny, grube plastry szynki, jajka, rzeżucha, buraczki, owoce głogu, szarlotka i herbata.

— Ile dobrych rzeczy! — zawołała radośnie Ursula. — I jak to imponująco wygląda! Mam nalać herbatę?

Przeważnie bywała zdenerwowana i niepewna podczas spełniania takich towarzyskich obowiązków jak nalewanie herbaty. Ale dziś, całkiem swobodna, zapomniała o swoich

obawach. Smukły, z wąskim dziobkiem dzbanek do herbaty był zgrabny i poręczny. Z ciepłym uśmiechem w oczach podała Rupertowi filiżankę. Wreszcie nauczyła się być cicha i doskonała.

— Wszystko jest nasze — powiedziała.

— Wszystko.

Wydała z siebie ostry okrzyk tryumfu.

— Tak się cieszę! — zawołała z niewymowną ulgą.

— Ja też. Ale zastanawiam się, jak mamy możliwie najszybciej uwolnić się od naszych obowiązków.

— Jakich obowiązków? — spytała zdziwiona.

— Musimy bez chwili zwłoki rzucić nasze posady. Na jej twarzy odmalowało się nowe zrozumienie.

— Oczywiście, masz rację.

— Musimy stąd wyjechać. Nie ma się co zastanawiać. Musimy wydostać się stąd, i to szybko.

Popatrzyła na niego przez stół powątpiewająco.

— Ale dokąd?

— Nie wiem. Pojedziemy gdzieś na chybił-trafił. Obrzuciła go znowu zalotnym spojrzeniem.

— Mogłabym być absolutnie szczęśliwa u ciebie w młynie.

— To niewiele by zmieniło. Lepiej gdzieś się wyprawmy.

To, że jego głos może być tak łagodny i beztroski, przeszywało ją do trzewi upajającą radością. Lecz przecież wymarzyła sobie dolinę, dzikie ogrody, spokój. Marzyła o przepychu, o arystokratycznych, ekstrawaganckich luksusach. Wędrówka bez celu wydawała jej się oznaką niepokoju, niezadowolenia.

— A dokąd chciałbyś się wyprawić?

— Nie wiem. Po prostu moglibyśmy umówić się na spotkanie i ruszyć przed siebie gdzieś w przestrzeń.

— Ale dokąd można pójść? — spytała lękliwie. — Bo w końcu istnieje tylko ten świat i nic na nim nie jest tak bardzo odległe.

— Mimo to chciałbym iść z tobą... donikąd. Byłaby to po prostu wyprawa donikąd. Tam właśnie należy się udać... donikąd. Chciałoby się odejść z tego świata do naszego własnego nigdzie.

Jeszcze się zastanawiała.

— Bo widzisz, miły, tak bardzo się boję, że skoro jesteśmy tylko ludźmi, musimy przyjąć świat taki, jaki jest, bo innego nie ma.

— Owszem, jest. Jest gdzieś takie miejsce, gdzie możemy być wolni, gdzie nie trzeba troszczyć się o ubranie, można nawet nie ubierać się wcale, gdzie można spotykać się z małym gronem ludzi, którzy wiele doświadczyli,, i traktować wszystko naturalnie, gdzie bez trudu będziesz mogła być sobą. Jest gdzieś takie miejsce, są tacy ludzie, może jeden, może dwoje...

— Ale gdzie? — westchnęła.

— Gdzieś... gdziekolwiek. Ruszymy na wędrówkę. To właśnie trzeba zrobić: ruszyć na wędrówkę.

— Tak — potwierdziła, przejęta myślą o podróży. Lecz dla niej była to tylko podróż.

— Być wolnym w wolnym kraju wśród kilku bliskich ludzi!

— Tak — zgodziła się smutno. Zmartwili ją ci „bliscy ludzie”.

— Nie chodzi tu o miejscowość, to sprawa związku nas obojga, idealnego związku między tobą i mną, a także między nami i innymi ludźmi — tak, abyśmy wszyscy byli wolni razem.

— O tak, najdroższy, ty i ja. Ty i ja, mój miły, mój ukochany! — Wyciągnęła do niego ramiona. Podszedł bliżej i schylił się, żeby ucałować jej twarz. Znowu objęła go ciasno, rozpostarła dłonie na jego barkach, powoli je przesuwając, powoli dotykając jego pleców, sunąc palcami wzdłuż pleców w dół, powoli, dziwnym, powtarzającym się, rytmicznym ruchem, wolno, coraz niżej, w dół, tajemniczo naciskając na lędźwie, na pachwiny. Na myśl o bogactwach, które nigdy się nie wyczerpią, przejęła ją groza, odbierająca jej przytomność, jak omdlenie, jak śmierć w najcudowniejszym opętaniu, w mistycznej ekstazie. Posiadła go tak ostatecznie, tak nie do zniesienia, że sama zapadła się. A przecież dalej siedziała na krześle, wpierając w niego dłonie, zagubiona. Znowu pocałował ją delikatnie.

— Nigdy się nie rozstaniemy — szepnął. Nie odpowiedziała, tylko mocniej zacisnęła ręce, przesuwając je niżej, do źródła ciemności.

Ocknąwszy się ze słodkiego omdlenia zdecydowali, że bezzwłocznie, jeszcze stąd, zgłoszą na piśmie rezygnację z pracy. Ursula tego chciała.

Zadzwonił i zażądał papieru listowego bez nadruku z adresem. Kelner sprzątnął ze stołu.

— Ty pierwsza. Wypisz swój adres domowy i dzisiejszą datę. Teraz tak: „Kierownik Wydziału Oświaty, Ratusz... Szanowny Panie...” Poczekaj, nie wiem, jakie są przepisy... Chyba nie musisz wypowiedzieć na dłużej niż na miesiąc z góry. Pisz w każdym razie: „Szanowny Panie, uprzejmie zawiadamiam, że rezygnuję ze stanowiska nauczycielki w szkole w Willey Green. Wdzięczna będę za możliwie najszybsze zwolnienie mnie, w terminie krótszym niż obowiązujący miesiąc od złożenia dymisji”. Wystarczy. Napisałaś? Pokaż. „Ursula Brangwen”. Dobrze. Teraz ja napiszę. Powinienem dać im trzy miesiące, ale mogę powołać się na stan zdrowia. Już to załatwię, nie ma obawy.

Usiadł i w krótkim piśmie podał się formalnie do dymisji.

— A teraz — powiedział, kiedy zakleili i zaadresowali koperty — czy mamy je wysłać stąd, oboje razem? Wiem, że Jackie powie: „Co za zbieg okoliczności!”, kiedy zorientuje się, o co chodzi. Mamy do tego dopuścić czy nie?

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Nic? — zawahał się.

— Przecież to nie ma znaczenia.

— Nie chcę, żeby plotkowali na nasz temat. Wyślę twój list stąd, a mój potem. Wolę nie dostarczać im pożywki dla wyobraźni.

Spoglądał na nią ze swoją dziwną, nieludzką wręcz szczerością.

— Masz rację.

Podniosła ku niemu promienną, ufną twarz. Jakby chciała, żeby zanurzył się w źródle jej promienności. Miał teraz nieco roztargnioną minę.

— Pójdziemy już? — spytał. — Jak chcesz.

Wyjechali z miasteczka i znaleźli się niebawem na wyboistych wiejskich drogach. Ursula skuliła się tuż przy nim, jak najbliżej jego ciepłego ciała, wpatrzona w noc umykającą przed nimi w szeregu obrazów, które majaczyły w mroku. Czasem była to szeroka, stara droga, z zarośniętym trawą poboczem, pierzchająca feerycznie, czarodziejsko w zielonkawym oświetleniu, czasem wyłaniały się z ciemności wysokie drzewa, potem krzaki jeżyn, to znów mury obejścia i narożnik stodoły.

— Pójdziesz do Shortlands na kolację? — spytała nagle Ursula. Rupert drgnął.

— Na miłość Boską! Shortlands! Nie ma mowy. Nigdy więcej. Zresztą i tak byśmy nie zdążyli.

— Więc dokąd jedziemy? Do młyna?

— Jeśli masz ochotę. Szkoda gdziekolwiek jechać w taką dobrą, ciemną noc. Naprawdę, żal ją porzucać Szkoda, że nie możemy zostać tak w tej dobrej ciemności. Jest lepsza niż wszystko, co nas może czekać — dobra i bliska.

Siedziała zamyślona. Samochód chwiał się i podskakiwał. Wiedziała, że nie może zostawić Ruperta, że wessał ich oboje mrok, tkwią w ciemnościach, których nie można rozproszyć. Posiadła zresztą pełną, mistyczną wiedzę o jego lędźwiach słodkich i mrocznych, otulonych w mrok i w słodycz, i w tej wiedzy było coś z nieuchronności i piękna losu, o który się prosi i z którym trzeba się w pełni pogodzić.

Siedział za kierownicą nieporuszony, jak faraon egipski. Miał wrażenie, że trwa w odwiecznej potędze, jak wielkie rzeźbione posągi staroegipskie, tak jak one realny i pełen rozumnej siły, z tym samym, nieuchwytnym i nieprzeniknionym uśmiechem na wargach. Znał ów dziwny, magiczny prąd mocy w plecach, lędźwiach, wzdłuż nóg, prąd siły tak przemożnej, że zatrzymywała go w bezruchu, zostawiając na jego twarzy nieuchwytny, bezmyślny uśmiech. Znał czujność i siłę tej drugiej, podstawowej jaźni, najgłębszej, fizycznej jaźni. I z tego źródła czerpał czystą, magiczną władzę, czarnoksięską, mistyczną moc, rozpraszającą ciemności jak elektryczność.

Trudno im było mówić, tak cudownie czuli się siedząc w czystym, żywym milczeniu, mądrzy, pełni niepojętej wiedzy i niepojętej siły, od wieków podtrzymywani przez ponadczasową siłę, tak jak nieporuszeni, najpotężniejsi Egipcjanie na zawsze pogrążeni w żywym, mądrym milczeniu.

— Nie musimy jechać do domu — powiedział. — Samochód ma rozkładane siedzenia i można też podnieść budę.

Ucieszyło ją to i przestraszyło. Przytuliła się mocniej do niego.

— Nie będą wiedzieli, co się stało.

— Wyślij depeszę.

Nie padło żadne słowo więcej. Jechali w ciszy. Ale niemal podświadomie prowadził samochód do określonego miejsca, gdyż był dość inteligentny, by zmierzać do własnych celów. Ramiona, tors i głowę miał kształtne i żywe, jak starożytni Grecy, nie były to obojętne, sztywne ramiona ani zapieczętowana, senna głowa Egipcjanina. Jego błyskotliwa inteligencja przeważała w ciemności nad czystą egipską koncentracją.

Wjechali do wioski, która ciągnęła się wzdłuż drogi. Samochód pełznął powolutku, aż Rupert dostrzegł urząd pocztowy. Zahamował.

— Wyślę depeszę do twojego ojca — powiedział. — Po prostu: „Spędzę noc w mieście”. Dobrze?

— Tak. — Nie chciała zastanawiać się i zakłócać sobie spokoju.

Patrzyła, jak idzie w stronę poczty, gdzie mieścił się też sklep. Rupert był niezwykły. Nawet w publicznym, jasno oświetlonym lokalu nie przestawał być ciemny i magiczny, pogrążony w żywym milczeniu, które stanowiło realną treść jego osobowości, subtelnej, potężnej, nieodgadnionej. Oto on! Zobaczyła go w porywie uniesienia, zobaczyła człowieka, którego nigdy w pełni nie zrozumie, strasznego w swej sile, mistycznego i rzeczywistego. I ta jego ciemna, przewrotna realność, na zawsze niezrozumiała, wyzwoliła ją, dała jej osiągnąć doskonałość, zbliżyć się do ideału. Ona też była ciemna i milcząca.

Wyszedł z. budynku poczty i wrzucił do auta jakieś paczki.

— Proszę, jest chleb, ser, są rodzynki, jabłka i czekolada — mówił, jakby się śmiał, gdyż jego rzeczywistością była nieskażona cisza i siła. Chciała go dotykać, mówić z nim. Widzieć go to niewiele. Nie ma żadnego sensu patrzeć na

tego mężczyznę, rozumieć go. Musi na nią spaść doskonała ciemność i doskonała cisza, wtedy pozna go mistycznie ukradkowym dotknięciem. Musi nonszalancko, obojętnie złączyć się z nim, posiąść wiedzę, która jest śmiercią wiedzy, realną pewnością niewiedzy.

Znowu ruszyli w mrok. Nie pytała, dokąd jadą, nie obchodziło jej to. Siedziała w poczuciu pełnej i czystej siły, tak podobnej do apatii, bez myśli i bez ruchu. Była blisko niego, zawieszona w czystym spoczynku, jak gwiazda zawieszona jest w niepojętej równowadze. Trwało w niej jednak ciemne migotanie oczekiwania. Będzie go dotykać. Najdelikatniejszymi koniuszkami palców swojej rzeczywistości będzie dotykać jego rzeczywistości, słodkiej, czystej, nieprzetłumaczalnej rzeczywistości jego mrocznych lędźwi. Podtrzymywało ją oczekiwanie, że dotknie go w ciemności, bez żadnej myśli dotrze samym dotknięciem do jego żywej rzeczywistości, do jego łagodnych, najdoskonalszych, ciemnych lędźwi i ciemnych ud.

I on też czekał w magicznym napięciu oczekiwania, żeby posiadła wiedzę o nim, tak jak on posiadł wiedzę o niej. Poznał ją mrocznie w pełni mrocznego poznania. Teraz ona go pozna i on również się wyzwoli. Będzie tej nocy wolny jak Egipcjanin, niezachwiany w idealnej równowadze, w czystej, mistycznej pewności fizycznego istnienia. Obdarzą się wzajemnie gwiezdną równowagą, która jest jedyną wolnością.

Zobaczyła, że jadą wśród wielkich drzew, starych drzew o poszyciu z przywiędłych paproci. Blade, powyginane pnie majaczyły zjawiskowo i paprocie wznosiły się magiczne i tajemnicze, jak trzymający się z dala starzy kapłani. Pod niskimi chmurami noc była samą ciemnością. Samochód jechał bardzo wolno.

— Gdzie jesteśmy? — szepnęła.

— W Sherwood Forest.

Widać było, że zna to miejsce. Prowadził spokojnie, rozglądając się. Dojechali do zielonej drogi między drzewami. Ostrożnie zakręcili i ruszyli zieloną przecinką wśród dębowego lasu. Zielona przecinka, rozszerzyła się w niewielką, porośniętą trawą polanę z sączącą się strużką wody u stóp pochyłego nasypu. Wóz zahamował.

— Tu sobie staniemy — powiedział Rupert — i zgasimy światła.

Natychmiast wyłączył reflektory i otoczyła ich czysta noc, zaludniona cieniami drzew, jak istotami z mroku innych nocy. Rzucił pled na paprocie i siedzieli tak nic nie mówiąc, o niczym nie myśląc. Od strony lasu dochodziły ich słabe odgłosy, ale nic nie zakłócało spokoju, nic nie mogło go zmącić w zaklętym świecie, w którym zrodziła się nowa tajemnica. Rozebrali się, przygarnął ją do siebie i odnalazł ją, odnalazł czystą, łagodną rzeczywistość jej na zawsze niewidzialnego ciała. Jego zziębłe, nieludzkie palce dotykały jej niewidocznej nagości, jak gdyby milczenie dotykało palcami milczenia, tajemnica nocy tajemnicy nocy, nocy męskiej i nocy kobiecej, które, niewidzialne dla oczu i niepoznawalne dla umysłu, odczuwali tylko jako dotykalne objawienie pulsującej życiem inności.

Syciła swoje pragnienie, dotykała go, i przez ten kontakt, ciemny, subtelny kontakt w absolutnym milczeniu, osiągała maksimum niewyrażalnej bliskości, najwspanialszy dar, najwspanialsze doznania; idealną uległość, tajemnicę, do której jądra nigdy nie można dotrzeć, do żywotnego, zmysłowego jądra tajemnicy, niepojętej dla umysłu, zawsze pozostającej na zewnątrz — jak żywe ciało mroku, ciszy i subtelnej wiedzy o pełni mistycznej rzeczywistości. Ursula zaspokoiła pożądanie. Rupert zaspokoił pożądanie. Gdyż była dla niego tym, czym on był dla niej — odwiecznym cudem mistycznej, dotykalnej, cielesnej inności.

Chłodną noc przespali nieprzerwanym snem pod dachem samochodu. Gdy obudzili się, był już jasny dzień.

Popatrzyli na siebie, roześmieli się i odwrócili wzrok, pełni ciemności i sekretów. Kiedy całowali się, wróciła im pamięć wspaniałości ubiegłej nocy. Tak olśniewające było to dziedzictwo wszechświata ciemnej rzeczywistości, że bali się własnych wspomnień. Sami przed sobą ukryli, że pamiętają i wiedzą.

ROZDZIAŁ XXIV

ŚMIERĆ I MIŁOŚĆ

Tomasz Crich umierał powoli, straszliwie powoli. Wydawało się wręcz niemożliwe, że nić życia może być aż tak cienka i jeszcze się nie zrywa. Chory leżał bezgranicznie słaby i wyczerpany, przy życiu utrzymywała go morfina i płyny, które popijał małymi łykami. Był stale półprzytomny — cieniutkie pasemko świadomości łączyło mrok śmierci ze światłem dnia. Ale jego wola nie została złamana, nadal był niepodzielną całością. Musiał tylko mieć idealny spokój!

Obecność każdego człowieka prócz pielęgniarek wywoływała teraz napięcie i zmuszała go do wysiłku. Co rano Gerald wchodził do pokoju z nadzieją, że ojciec już nie żyje. Zawsze jednak spojrzenie jego padało na tę samą przezroczystą' twarz, te same straszne, ciemne włosy na czole barwy wosku, te same okropne, jakby niewidzące ciemne oczy, które rozpływały się w bezkształtną ciemność, zachowując jedynie najmniejsze źdźbło zdolności widzenia.

I zawsze, kiedy niewidzące oczy zwracały się na niego, trzewia Geralda przeszywał ognisty piorun buntu, którego ogłuszające dudnienie doprowadzało go do obłędu.

Każdego ranka syn stawał przy łóżku wyprostowany, tętniący życiem, jasnowłosy i promienny. Jego niepojęta, jasnowłosa promienność wprawiała ojca w nerwowe rozdrażnienie i podwyższała mu temperaturę. Nie mógł przemóc się,' by spotkać niesamowity wzrok spoglądającego na niego z góry Geralda. Ale trwało to tylko chwilę. Ojciec i syn, obaj gotowi już do odejścia, spoglądali na siebie i rozstawali się.

Gerald długo zachowywał niewzruszoną sang froid, był w pełni opanowany. W końcu jednak strach podkopał jego spokój. Bał się, że czeka go okropne załamanie. Musi tu zostać i patrzeć na to do końca. Jakaś przewrotna chęć skłaniała go do przyglądania się, jak ojciec przekracza granice życia. A przecież teraz co dzień trzewia syna przeszywał płomienny piorun przeraźliwego lęku. Gerald, coraz bardziej udręczony, przez cały czas miał ochotę kurczyć się ze strachu, jakby miecz Damoklesa kłuł go już w kark.

Nie miał ucieczki, był związany z ojcem, musiał z nim przez to przejść. Wola ojca ani na chwilę nie słabła, nie ustępowała śmierci. Skruszeje dopiero, kiedy skruszy ją śmierć — chyba że trwa i po fizycznej śmierci. Wola syna była równie nieustępliwa. Stał tu mocny i odporny, poza tą śmiercią i poza tym umieraniem.

Była to dla niego ciężka próba. Czy potrafi stać i patrzeć, jak ojciec powoli rozkłada się i zapada w śmierć, ani na moment jej nie ustępując, ani na moment nie uginając się przed jej wszechwładzą? Jak Indianin, którego torturują, Gerald przeżywał cały proces powolnej agonii bez zmrużenia powiek. Sprawiało mu to nawet przyjemność. W jakiś sposób chciał tej śmierci, nawet ją przyspieszał. Było tak, jakby to on sam zadawał śmierć, nawet kiedy usuwał się ze zgrozą. Bo w końcu zada ją i dzięki niej zwycięży.

Ale w napięciu tej próby Gerald też tracił kontakt ze zwykłym, powszednim życiem. Sprawy dotychczas ważne, teraz przestały cokolwiek znaczyć. Praca, przyjemności — wszystko to było poza nim. Prowadził nadal przedsiębiorstwo, mniej czy bardziej automatycznie, ale związane z tym czynności nic go nie obchodziły. Prawdziwie działał tylko zmagając się ze śmiercią w głębi własnej duszy. Jego wola musi zwyciężyć. Cokolwiek się stanie, nie ukorzy się, nie podda ani nie uzna śmierci za swą panią. Śmierć nie jest jego panią.

Ponieważ walka toczyła się dalej, wszystko, czym był i czym jest, stopniowo ulegało zagładzie i jego życie stawało się pustą powłoką, w której tkwił jak w muszli szumiącej odgłosami morza — w szumie tym i on uczestniczył, ale tylko zewnętrznie, w pustej muszli trwała nieprzejrzana ciemność i przerażająca przestrzeń śmierci. Wiedział, że musi poszukać posiłków, inaczej bowiem wpadnie w wielką, ciemną pustkę, która otworzyła się w jego duszy. Siłą woli starał się ustrzec swoje normalne życie, zwykłe myśli, pozorne istnienie od ruiny i zmian. Ale ciśnienie było zbyt wielkie. Musi znaleźć coś, co przywróci równowagę. Coś, co razem z nim stoczy się w głuchą pustkę śmierci w jego duszy, wypełni ją i w ten sposób wyrówna ciśnienie zewnętrzne z ciśnieniem wewnętrznym. Z każdym dniem coraz bardziej czuł się jak bańka wypełniona ciemnością, wokół której wiruje mieniąca się tęczowymi barwami świadomość i huczy ogłuszająco cisnący na nią zewnętrzny świat, zewnętrzne życie.

W sytuacji tak trudnej instynktownie lgnął do Gudrun. Odrzucił wszelkie wątpliwości, chciał tylko z nią się związać. Odwiedzał ją w pracowni, żeby rozmawiać z nią, być przy niej. Przechadzał się po pokoju biorąc do ręki narzędzia, bryłki gliny, figurynki, jakie lepiła, cudaczne i groteskowe — patrzał na nie nie widząc ich wcale. Gudrun czuła, że depcze jej po piętach, nie odstępuje jej jak fatum. Odsuwała się od niego, ale dobrze wiedziała, że podchodzi coraz bliżej i bliżej.

— Czy nie zostałabyś dzisiaj na kolacji? — spytał pewnego dnia dziwnym, roztargnionym, niepewnym głosem. — Bardzo cię o to proszę.

Zżymnęła się. Powiedział to jak mężczyzna zwracający się z prośbą do drugiego mężczyzny.

— Czekają na mnie w domu.

— Przecież nie będą mieli pretensji? Naprawdę bardzo bym się cieszył. Uznał jej przedłużające się milczenie za oznakę zgody.

— Powiem Thomasowi, dobrze?

— Ale zaraz po kolacji muszę wracać.

Był ciemny, chłodny wieczór. W salonie nie rozpalono w kominku, siedzieli więc w bibliotece. Gerald przeważnie milczał, zamyślony, a Winifred mówiła mało. Kiedy otrząsał się z zamyślenia, był miły, uśmiechnięty i odnosił się do niej normalnie. Potem znowu nachodziły go długie momenty nieobecności, których nie był świadomy.

Pociągał ją coraz bardziej. Tak był zaabsorbowany, a te dziwne, puste chwile milczenia, których nie umiała odczytać, wzruszały ją, intrygowały i budziły w niej szacunek.

Był doprawdy nader uprzejmy. Podsuwał jej najsmaczniejsze kąski. Kazał przynieść do kolacji butelkę słodkawego złotego wina o cudownym smaku, wiedząc, że będzie wolała je od Burgunda. Czuła się otoczona respektem, prawie niezbędna.

Kiedy pili kawę w bibliotece, rozległo się ciche, bardzo ciche pukanie do drzwi. Drgnął i zawołał: „Proszę”. Ton jego głosu, wibrującego na wysokiej nucie, speszył Gudrun. Biało ubrana pielęgniarka zamajaczyła w drzwiach jak zjawa. Była bardzo ładna, ale co dziwne, nieśmiała i niepewna siebie.

— Pan doktor chciałby z panem porozmawiać — powiedziała niskim, ściszonym głosem.

— Doktor! — zawołał zrywając się. — Gdzie on jest?

— W jadalni.

— Już tam idę.

Dopił kawę i ruszył w ślad za pielęgniarką, która rozwiała się jak cień.

— Która to pielęgniarka? — spytała Gudrun.

— Panna Inglis. Najlepiej ją lubię — odrzekła Winifred.

Po chwili Gerald wrócił. Wyglądał na pochłoniętego własnymi myślami, był napięty i nieuważny, jak człowiek, który sobie nieco podchmielił. Nie powiedział im, czego chciał od niego lekarz, ale stanął przy kominku z rękami założonymi na plecach, z otwartą, skupioną twarzą. W istocie nie był wcale zamyślony — trwał tylko jakby w stanie czystego zawieszenia, myśli bez ładu przepływały mu przez głowę.

— Muszę pójść teraz do mamy — rzekła Winifred — zajrzeć do tatusia, zanim zaśnie.

Życzyła im obojgu dobrej nocy. Gudrun też wstała, żeby się pożegnać.

— Przecież jeszcze nie musisz iść? — Gerald zerknął na zegar. —Jest wcześnie. Odprowadzę cię potem. Siadaj, nie spiesz się tak.

Usiadła, jak gdyby — choć nieobecny myślami — miał nad nią władzę. Czuła się niemal zahipnotyzowana. Wydawał jej się obcy, zagadkowy. O czym myślał, co czuł, kiedy tak stał skupiony, nic nie mówiąc? Trzymał ją na uwięzi, zdawała sobie z tego sprawę. Nie da jej odejść. Patrzyła na niego z pokorną uległością.

— Czy doktor miał ci coś nowego do powiedzenia? — spytała w końcu cicho, z ciepłym, nieśmiałym współczuciem, które chwytało go za serce. Podniósł brwi z niedbałym, obojętnym wyrazem twarzy.

— Nie, nic nowego — odrzekł, jakby zadała mu zdawkowe, nieistotne pytanie. — Mówi, że tętno jest już bardzo słabe, bardzo nierówne, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Spoglądał na nią z góry. Oczy miała ciemne, łagodne i obnażone, o zdumionym spojrzeniu, które go podniecało.

— Zupełnie — szepnęła w końcu — nie znam się na tych sprawach.

— I bardzo dobrze. Masz ochotę na papierosa? Proszę... — Szybko wyciągnął pudełko i podał jej ogień, po czym znów stanął przed nią obok kominka. — Myśmy też nie stykali się często z chorobami, dopóki ojciec nie zachorował. — Zastanawiał się przez chwilę. Potem nie spuszczając z niej dziwnie wymownych niebieskich oczu, które napełniały ją lękiem, ciągnął dalej: — To coś, czego nie bierzesz pod uwagę, dopóki się z tym nie zetkniesz. Dopiero wtedy zdajesz sobie sprawę, że czaiło się to przez cały czas, było zawsze obok, rozumiesz, co mam na myśli? Możliwość nieuleczalnej choroby, powolne umieranie... — z zakłopotaniem szurał nogą po marmurowym palenisku; włożywszy papierosa do ust podniósł wzrok na sufit.

— Wiem — szepnęła Gudrun — to okropne.

Palił papierosa bez udziału świadomości. Po chwili wyjął go z ust, odsłonił zęby i przyłożywszy do nich koniuszek języka wypluł okruch tytoniu, odwracając się lekko w bok, jak ktoś, kto jest sam lub zaprzątnięty własnymi myślami.

— Nie wiem, jak to właściwie działa na człowieka. — Znów na nią spojrzał i znowu napotkał jej oczy ciemne i zdumione tym, czego dowiadują się z jego oczu. Zobaczył, że tonie, i odwrócił twarz. —Ale ja jestem zupełnie nie ten sam. W ogóle nic ze mnie dawnego nie zostało, rozumiesz, o co mi chodzi? Jakbym kurczowo trzymał się pustki i jednocześnie sam był pustką. — I nie miał pojęcia, co zrobić

— No tak — szepnęła. Jej nerwy przeszył dreszcz ni to przyjemności, ni to bólu. — Bo czy można coś zrobić?

Odwrócił się i strząsnął popiół z papierosa na marmurowe obramowanie kominka, którego nie osłaniała żadna krata.

— Nie wiem — odpowiedział. — Ale sądzę, że człowiek powinien znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, nie dlatego, że

chce, ale dlatego, że musi, bo inaczej jest stracony. Jakby nasz cały świat, łącznie z tobą, miał się właśnie zawalić i tylko ty jeszcze podtrzymujesz go własnymi rękami. No cóż, taki stan rzeczy, oczywiście, nie może trwać. Czy możesz bez końca stać i podtrzymywać dach? Wiesz, że wcześniej czy później musisz go puścić. Rozumiesz, o co mi chodzi? I dlatego coś trzeba zrobić, bo inaczej wszystko runie — w każdym razie wszystko, co nas dotyczy.

Zmienił nieco pozycję, krusząc obcasem żużel. Spojrzał pod swoje nogi. Gudrun uzmysłowiła sobie, że wokół niego i nad jego głową wznoszą się piękne, ze starego marmuru płyty kominka, delikatnie rzeźbione. Czuła się tak, jak gdyby wreszcie dopadło ją przeznaczenie, jak gdyby uwięzła w strasznej, zgubnej pułapce.

— Ale co można zrobić? — szepnęła pokornie. — Musisz mnie pouczyć, jeśli mogę być ci w jakiejkolwiek mierze pomocna, ale czy mogę? Nie widzę, jakbym ci mogła pomóc.

Spojrzał na nią krytycznie.

— Nie chcę twojej pomocy — odrzekł z lekką irytacją — bo nie można tu nic zdziałać. Chcę tylko życzliwości, nic więcej. Chcę rozmawiać z kimś, kto mnie rozumie. To zmniejsza napięcie. A tymczasem nie ma nikogo, kto by wysłuchał mnie życzliwie. Dziwne. Absolutnie nikogo. Owszem, jest Rupert Birkin. Ale on nie umie współczuć, chce narzucać swoją’ wolę. A tego zupełnie nie potrzebuję.

Wpadła w osobliwą pułapkę. Przeniosła wzrok na swoje dłonie.

Rozległ się szmer po cichu otwieranych drzwi. Gerald drgnął. Był pogrążony w smutku i dopiero jego wzdrygnięcie się naprawdę przestraszyło Gudrun. Postąpił naprzód ze skwapliwą, pełną wdzięku, zamierzoną dwornością.

— Och, mamo. Jak miło, że zeszłaś na dół. Jak się czujesz?

Starsza pani, otulona w luźną, obfitą fioletową szatę, w milczeniu, dość ciężko weszła do pokoju, zgarbiona jak zwykle. Syn natychmiast znalazł się u jej boku. Podsunął jej krzesło, mówiąc:

— Znasz pannę Brangwen, prawda?

Matka obrzuciła Gudrun obojętnym wzrokiem.

— Tak. — Zwróciła swoje cudowne, błękitne jak niezapominajki oczy na syna, powoli sadowiąc się na krześle. — Przyszłam, żeby spytać cię o ojca — mówiła jak zawsze szybko i ledwie slyszalnie. — Nie wiedziałam, że masz gościa.

— Nie? Winifred ci nie wspomniała? Panna Brangwen została na kolacji, żeby nas nieco ożywić...

Pani Crich wolno zwróciła głowę w stronę Gudrun i spojrzała niewidzącymi oczami.

— Obawiam się, że nie sprawi jej to przyjemności — znowu zwróciła się do syna. — Wiem od Winifred, że lekarz coś ci mówił na temat ojca. O co mu chodziło?

— Że ma słabe tętno, bardzo nierówne i może nie przeżyć dzisiejszej nocy.

Pani Crich siedziała w absolutnym bezruchu, jakby nic nie słyszała. Jej bezkształtne dało zgarbiło się w fotelu, włosy niechlujnie zwisały na uszy. Ale cerę miała jasną i delikatną, dłonie — złożone tak, jak gdyby o nich zapomniała — jeszcze piękne i tchnące energią. Mnóstwo energii zdawało się marnować w tej milczącej, niezdarnej postaci.

Podniosła wzrok na syna, który stał tuż przy niej, rzeźki i żołnierski. Jej oczy były najcudniej błękitne, bardziej błękitne niż niezapominajki. Zdawała się w pewnym stopniu ufać Geraldowi, lecz jednocześnie odnosiła się do niego z macierzyńską nieufnością.

—A ty jak się masz? —mruknęła swoim dziwnie spokojnym głosem, jakby nikt oprócz niego nie mógł jej słyszeć. — Nie dajesz się ponieść nerwom? Mam nadzieję, że nie wpadniesz w histerię?

Osobliwy ton ostatnich słów zaskoczył Gudrun.

— Chyba nie, mamo — odpowiedział raczej chłodno, choć pogodnie. — Ktoś musi dotrwać do końca, wiesz przecież.

— Musi? Naprawdę? — mówiła prędko. — Dlaczego ty masz to brać na siebie? Co tu jest dla ciebie do roboty? Dotrwać do końca? Samo się skończy. Nie jesteś do tego potrzebny.

— Chyba rzeczywiście na nic się nie przydam. Po prostu niektórzy tak to przeżywają.

— Ty lubisz przeżywać. Masz na to ochotę, prawda? Chcesz być ważny. Przecież nie musisz wcale siedzieć w domu. Dlaczego stąd nie wyjedziesz?

Jej słowa, najwyraźniej płody przemyśleń wielu ciemnych godzin, zaskoczyły Geralda.

— Nie wydaje mi się, żeby wyjazd teraz, w ostatniej chwili, miał jakikolwiek sens — rzekł oschle.

— Ty uważaj! Myśl o sobie! Tym się masz zajmować. Za dużo na siebie bierzesz. Dbaj o siebie, bo zwariujesz, tak się to skończy. Jesteś histeryk, zawsze byłeś.

— Nic mi nie jest, mamo. O mnie nie trzeba się martwić, zaręczam ci.

— Niech umarli grzebią swoich umarłych, nie daj się pogrzebać razem z nimi, ostrzegam cię. Ja cię dobrze znam.

Nie odezwał się, nie wiedział, co odpowiedzieć. Matka milczała skulona, jej piękne białe dłonie, bez żadnych pierścionków, ściskały gałki na poręczach fotela.

— Nie, nie zrobisz tego — mruknęła niemal z goryczą. — Nie masz odwagi. Jesteś słaby jak kot, naprawdę, zawsze

taki byłeś. Czy ta młoda kobieta mieszka tutaj?

— Nie — odparł Gerald — wraca wieczorem do domu.

— Niech lepiej weźmie powozik. Daleko jedzie?

— Tylko do Beldover.

— Ach! — stara pani nie patrzyła na Gudrun, ale zdawała się przyjmować do wiadomości jej obecność. — Zawsze bierzesz na siebie zbyt wiele, Geraldzie — rzekła wstając z pewnym trudem z krzesła.

— Idziesz już, mamo? — spytał grzecznie.

— Tak, pójdę do siebie na górę. — Odwróciła się do Gudrun życząc jej dobrej nocy, po czym ruszyła powoli w stronę drzwi, jak człowiek nie przyzwyczajony do chodzenia. Już na progu machinalnie uniosła twarz. Ucałował ją.

— Zostań tu — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie chcę, żebyś mnie odprowadzał!

Powiedział jej dobranoc i patrzył, jak idzie w kierunku schodów i wolniutko się na nie wspina. Zamknąwszy drzwi, wrócił do Gudrun. Gudrun też szykowała się do odejścia.

— Dziwne stworzenie ta moja matka.

— Tak.

Milczeli czas pewien.

— Chcesz już iść? Poczekaj chwileczkę, każę tylko zaprząc konia...

— Nie, nie, wolę iść pieszo.

Przyrzekł odprowadzić ją i miała ochotę na spacer z nim długą, odludną aleją.

— Kiedy naprawdę, to żaden kłopot...

— O wiele bardziej wolę się przespacerować.

— Wobec tego pójdę z tobą. Wiesz, gdzie są twoje rzeczy? Włożę buty. Wziął czapkę i narzucił pelerynę na wieczorowe ubranie. Wyszli razem w noc.

— Zapalimy, dobrze? — Zatrzymał się w osłoniętym kącie ganku. — Proszę, poczęstuj się papierosem.

I tak w nocnym powietrzu, przesyconym zapachem dymu z papierosa, ruszyli ciemną aleją ciągnącą się przez spadziste łąki między starymi, przyciętymi żywopłotami. Chciał otoczyć ją ramieniem. Gdyby mógł idąc objąć ją i przytulić do siebie, przywróciłoby, mu to równowagę. Czuł się teraz jak waga, której jedna szala opada coraz niżej w niewiadomą próżnię. Musi powoli odzyskać spokój, I w tym upatrywał nadzieję na pełny powrót do zdrowia.

Nie bacząc na nią, przejęty tylko sobą, miękko objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. Serce jej omdlewało, czuła zawrót głowy. Jego ramię było silne, drżała w mocnym, ciasnym uścisku. Narzucił ich ruchom wspólny rytm, tak by ich kroki idealnie się dopełniały. Nagle poczuł się wyzwolony, doskonały, mocny, bohaterski.

Wyjął papierosa z ust i cisnął błyszczący punkcik w niewidoczny żywopłot. Teraz mógł całkiem swobodnie nadawać rytm jej krokom.

— Tak, jest lepiej — powiedział z tryumfem.

Radość w jego głosie podziałała na nią jak słodki, trujący narkotyk. Więc tak dużo znaczy dla niego? Sączyła małymi łykami truciznę.

— Lepiej się czujesz? — spytała rzewnie.

— O wiele lepiej — odrzekł tym samym radosnym głosem — a przecież byłem już na samym dnie.

Przytuliła się do niego. Czuł, że jest miękka i ciepła, że jest najwspanialszą, najpiękniejszą treścią jego jestestwa. Od jej ciepła i od rytmu jej kroków przenikała go rozkosz. — Tak bym się cieszyła, gdybym mogła ci pomóc.

— Nikt inny by. nie mógł. Tylko ty jedna.

„To prawda” — pomyślała z dreszczem zachwytu.

Przyciągał ją do siebie coraz mocniej, aż idąc zdawał się dźwigać ją na swym silnym ciele. Był silny, był dla niej oparciem i nie mogła mu się przeciwstawić. W cudownym fizycznym zespoleniu schodziła wolno ciemnym, wietrznym zboczem pagórka. Z dala migotały żółte światełka Beldover, mnóstwo świateł, ścielących się gęstą smugą na innym ciemnym zboczu: Oni jednak szli nadal w idealnej, odosobnionej ciemności, poza światem.

— Nie wiem przecież, jak bardzo ci na mnie zależy — powiedziała to niemal kłótliwym tonem. — Nie wiem, nie rozumiem.

—Jak bardzo! — W jego głosie zabrzmiało bolesne uniesienie. — Też nie wiem, jak bardzo, ale ponad wszystko. — Zaskoczyły go własne słowa. To była prawda.

Obnażył się bez reszty wyznając jej to. Zależało mu na niej ponad wszystko, bo ona właśnie jest wszystkim.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała cicho, zdumiona i drżąca z podniecenia i niepewności. To właśnie chciała usłyszeć, tylko to. A przecież teraz, kiedy słuchała jego słów, kiedy słuchała dzikiej, porywczej wibracji prawdy w jego głosie, nie mogła uwierzyć. Nie mogła uwierzyć, nie wierzyła, i mimo to uwierzyła z radością zgubną i zwycięską.

— Dlaczego? — spytał. — Dlaczego w to nie wierzysz? To prawda. Taka sama prawda jak to, że jesteśmy tu w tej chwili. — Oboje stali cicho w porywach wiatru. — Nie obchodzi mnie nic na ziemi ani w niebie, prócz tego miejsca, gdzie oboje teraz jesteśmy, i to nie moja tu obecność, ale twoja, tylko twoja. Raczej sprzedałbym sto razy duszę, niżby miało cię tu zabraknąć. Nie zniósłbym samotności. Wpadłbym w rozstrój nerwowy. Wierz mi. — Stanowczym ruchem przyciągnął ją bliżej.

— Nie — szepnęła zalękniona. Choć przecież tego chciała. Dlaczego więc nie miała dość odwagi?

Podjęli swój dziwny spacer. Byli sobie tak obcy, a zarazem tak strasznie, niewypowiedzianie bliscy. Co za szaleństwo! Ale tego właśnie chciała, właśnie tego. Zeszli ze wzgórza i zbliżali się do kwadratowego sklepienia, gdzie droga biegła pod torami kolejki kopalnianej. Sklepienie, jak Gudrun wiedziała, miało mury z ciosanych kamieni, wilgotnych z jednej strony od wody, która po nich spływała, a suchych z drugiej. Stanęła pod nim słuchając łoskotu pociągu dudniącego na drewnianych podkładach na górze. Wiedziała, że tu, pod tym ciemnym, ustronnym mostem, młodzi górnicy kryją się podczas deszczu w mroku ze swymi dziewczynami. Sama też chciała stać pod mostem ze swoim chłopcem, całującym ją w nieprzejrzanych ciemnościach. Kiedy zbliżali się, zwolniła kroku.

Gdy zatrzymali się pod mostem, podniósł ją i przycisnął do piersi. Jego ciało pulsowało, napięte i silne, tulił ją i miażdżył, oszołomioną, bez tchu, unicestwioną, miażdżył ją, przyciskając do piersi. Straszne to było i cudowne. Pod tym mostem górnicy ściskali swoje lube. I pod tym mostem teraz ich pan przyciskał ją do siebie! Ach, o ile potężniejszy i groźniejszy był jego uścisk, o ile bardziej skupiona i doskonalsza jego miłość niż ich miłosne przeżycia. Czuła, że mdleje, że kona od wibrującej, nadludzkiej prężności jego ramion i ciała, że musi umrzeć. Nagle nieprawdopodobnie wysoka wibracja straciła na intensywności, przeszła w falowanie. Odprężył się i pociągnął ją za sobą. Stanął plecami przy murze.

Była prawie nieprzytomna. Zakochani górnicy też tu stali z plecami przy murze tuląc swoje dziewczyny i całując je tak, jak ona jest całowana. Lecz czy te pocałunki mogły być równie subtelne i władcze, jak pocałunki jędrnych ust ich pana? I te ostre, krótko przycięte wąsy — takich nie ma żaden górnik.

I dziewczyny górników tak jak ona bezsilnie odchylają głowy i spoglądają spod ciemnego sklepienia na gęste

smugi żółtych świateł w dali, na niewidocznym wzgórzu, na zamazane kształty drzew lub na budynki kopalni z drugiej strony.

Jego ramiona otaczały ją ciasno, zdawał się wchłaniać ją w siebie, jej ciepło, jej miękkość, jej rozkoszny ciężar, chciwie spijać płynny żywioł jej kobiecości. Uniósł ją, jak gdyby chciał wlać ją w siebie jak wino do szklanki.

— To jest warte więcej niż wszystko — powiedział obcym, przenikliwym głosem.

Odprężona, zdawała się topnieć, wpływać w niego jak nieskończenie ciepły i cenny sok, wypełniający jego żyły jak alkohol. Zarzuciła mu ręce na szyję, całował ją i trzymał uniesioną cudownie w górę — wiotka i miękka spływała w niego, a on, jędrny i mocny, był pucharem, który wypełniał się winem jej życia. Leżała wciśnięta w niego, wyrzucona na brzeg, dźwignięta w górę, roztapiała się pod jego pocałunkami, roztapiała się w jego członkach i kościach, jakby był miękkim żelazem naładowanym płynącym z niej elektrycznym prądem.

Omdlewała, opuszczały ją zmysły, umierała, wszystko w niej było już stopione i płynne, leżała cicho, przejął ją całą, spała w nim, jak błyskawica śpi w jasnym, przyjaznym kamieniu. Tak zgasła i skonała w nim, a on zaspokoił pragnienie.

Kiedy znowu otworzyła oczy i ujrzała smugę świateł w oddali, wydało jej się niepojęte, że świat nadal istnieje, a ona stoi pod mostem, złożywszy głowę na piersi Geralda. Gerald... Kim jest Gerald? Piękną przygodą, wymarzoną wyprawą w nieznane.

Podniosła wzrok i w ciemnościach ujrzała jego twarz, rasową, męską twarz o regularnych rysach. Zdawało się, że emanuje z niego słabe, białe światło, otacza go, jakby był gościem z zaświatów. Wyciągnęła rękę, jak Ewa sięgająca po jabłko z drzewa wiadomości, pocałowała go, choć jej

namiętność była też ponadzmysłowym strachem przed jego obcością, dotykała jego twarzy nieskończenie delikatnymi, napastliwymi, zdziwionymi palcami. Badała nimi kształt twarzy, zarys policzków. Jaki był doskonały i obcy, i och, jaki niebezpieczny! W głębi duszy zadrżała od nadmiaru wiedzy. Twarz mężczyzny była błyszczącym zakazanym jabłkiem. Całowała go wodząc palcami po jego twarzy, oczach, nozdrzach, po czole, po uszach, wzdłuż szyi, żeby poznać go, wchłonąć w siebie przez dotyk. Był tak jędrny i urodziwy uszczęśliwiającą, niepojętą urodą, obcą, lecz niewypowiedzianie jasną. Był też niewypowiedzianie wrogi, lecz bił z niego niesamowity biały blask. Chciała dotykać go, pieścić i dotykać, aż cały będzie w jej rękach, aż nagnie go do swojej wiedzy. Ach, gdyby mogła posiąść bezcenną wiedzę o nim, nasyciłaby się na zawsze, bo nie można by jej tego pozbawić; W zwykłym, powszednim świecie nie dawał jej pewności ani poczucia bezpieczeństwa.

— Jesteś taki piękny — szepnęła gardłowo.

Zdziwił się i zawahał. Ale czuła, jak drży, i odruchowo przytuliła się do niego mocniej. Był bezradny. Jej palce miały go w swojej mocy. Bezbrzeżna, bezgraniczna żądza, jaką umiały w nim wzbudzić, była głębsza niż śmierć, nie miał wyboru. Teraz już wiedziała, i to wystarczało. Jej duszę zdruzgotał rozkoszny wstrząs, gdy przeszył ją ciekłym piorunem. Wiedziała. I wiedza ta była śmiercią, z której musiała wyzdrowieć. Czy jest w nim coś jeszcze do poznania? O, dużo, dużo, ma przed sobą wiele dni żniwa dla swych dużych, cudownie wrażliwych i mądrych dłoni na polu jego tętniącego życiem, radioaktywnego ciała. Ach, jej ręce łaknęły wiedzy, były żądne wiedzy. Ale na razie dosyć, dosyć, więcej jej dusza nie zniesie. Jeszcze trochę i rozpadnie się. Zbyt szybko wypełni cienką fiolkę duszy i dusza się stłucze. Dosyć, na razie dosyć. Czekają ją jeszcze wszystkie następne dni, kiedy jej ręce, jak ptaki, szukać

będą pożywienia na polu jego mistycznego, giętkiego ciała. Na dziś wystarczy.

Nawet on był zadowolony, że go powściąga, odpycha, hamuje. Gdyż pragnąć to więcej, niż posiadać. Lękał się nieuchronnego zakończenia równie mocno, jak go pragnął.

Szli w stronę miasta, tam gdzie pojedyncze latarnie, rozstawione daleko jedna od drugiej, ciągnęły się wzdłuż szosy w dolinie. Dotarli w końcu do bramy wjazdowej.

— Nie idź już dalej — powiedziała.

— Wolisz iść sama? — spytał z ulgą. Z duszą obnażoną i rozświetloną nie chciał pokazywać się z nią na ludnych ulicach.

— Wolę. Dobranoc — podała mu rękę. Chwycił ją i musnął wargami groźne, władcze palce.

— Dobranoc. Do jutra.

Rozstali się. Gerald poszedł do domu pełen energii i mocy, jaką daje żywe pragnienie.

Nazajutrz jednak Gudrun nie przyszła, przysłała bilecik, że przeziębiła się i nie wychodzi z domu. Co za udręka! Ale uzbroił się w cierpliwość i odpowiedział krótko, że boleśnie odczuwa jej nieobecność.

Następnego dnia pozostał w domu, uznał, że bez sensu byłoby pójść do biura. Ojciec na pewno nie przeżyje tygodnia. Chciał być tu, w oczekiwaniu.

Siedział w pokoju ojca, w fotelu przy oknie. Widać stąd było zimowy pejzaż, czarny i dżdżysty. Ojciec leżał w łóżku z szarą, bezkrwistą twarzą, cicho krzątała się pielęgniarka w białej sukni, schludna i elegancka, a nawet piękna. W powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej. Pielęgniarka wyszła i Gerald został sam na sam ze śmiercią, wpatrzony w czarny, zimowy krajobraz.

— Dużo więcej wody w Denley? — Od strony łóżka doszedł do niego słaby głos, stanowczy i zrzędny.

Umierający pytał o wyciek wody z jeziora Willey do jednego z szybów.

— Trochę więcej. Musimy spuścić jezioro.

— Musicie? — Słaby głos zgasł. Zapadła grobowa cisza. Chory z. szarą twarzą, z zamkniętymi oczami leżał bardziej martwy niż śmierć. Gerald odwrócił wzrok. Czuł, że serce mu pęknie, jeśli to potrwa dłużej.

Nagle usłyszał dziwny dźwięk. Odwróciwszy się zobaczył ojca w szaleństwie ostatniej walki, toczącego wybałuszonymi, pełnymi napięcia oczami. Zerwał się z miejsca i stal osłupiały ze zgrozy.

— Aaaach! — z gardła ojca wydobywał się straszny, zdławiony charkot, przerażone, oszalałe oczy, błądzące rozpaczliwie w dzikim, bezskutecznym poszukiwaniu pomocy, musnęły niewidzącym spojrzeniem Geralda, do twarzy konającego nabiegła ciemna krew i maź. Stężałe ciało rozluźniło się, głowa opadła z poduszki na bok.

Gerald stał struchlały, porażony koszmarem. Chciał podejść do łóżka, ale nie mógł. Nie mógł poruszyć nogą. Mózg rozsadzało mu echo tętniącego pulsu. Cicho weszła pielęgniarka w bieli. Spojrzała na Geralda i na łóżko.

— Ach! — wydała cichy, żałosny okrzyk i szybko podeszła do pacjenta. Westchnęła poruszona i zmartwiona, nachylając się nad zmarłym. Już opanowana, odwróciła się i sięgnęła po ręcznik i gąbkę. Otarła starannie martwą twarz szepcząc cichutko, prawie z jękiem:

— Biedny pan Crich... biedny, ach, biedny pan Crich...

— Nie żyje? — ostrym głosem spytał Gerald.

— Skonał — łagodnie i jękliwie odpowiedziała pielęgniarka, podniósłszy wzrok na Geralda. Była młoda, piękna i drżąca. Po twarzy Geralda, przesłaniając strach, przemknął dziwny grymas. Wyszedł z pokoju.

Musiał zawiadomić matkę. Na podeście spotkał brata.

— Nie żyje — powiedział tłumiąc głos, żeby nie zabrzmiał w nim bezwiedny, przerażający tryumf.

— Co mówisz? — Basil zbladł.

Gerald potwierdził skinieniem głowy. Skierował się do pokoju matki. Siedziała w fioletowej sukni i szyła — szyła bardzo wolno, ścieg po ściegu. Podniosła na Geralda niebieskie, nieustraszone oczy.

— Ojciec umarł.

— Nie żyje? Skąd wiesz?

— Przecież to widać.

Odłożyła przybory do szycia i wstała bez pośpiechu.

— Idziesz do niego? — spytał. — Tak.

Przy łóżku już skupiła się zapłakana gromadka dzieci.

— Mamo! — Córki, bliskie histerii, szlochały głośno.

Matka podeszła do łóżka. Zmarły leżał niby pogrążony we śnie tak pogodnym i spokojnym, jak sen niewinnego młodzieńca. Był jeszcze ciepły. Patrzała na niego przez chwilę w posępnym, ciężkim milczeniu.

— Tak — odezwała się wreszcie z goryczą, zwracając się jakby w powietrze, do niewidzialnych świadków. — Nie żyjesz. — Przez moment stała cicho, nie odrywając od niego wzroku. — Piękny jesteś — stwierdziła — piękny, jakby nie tknęło cię życie, nigdy cię nie tknęło. Chwała Bogu, ja wyglądam inaczej. Mam nadzieję, że po śmierci będę wyglądać na swoje lata. Piękny jesteś, piękny — mówiła śpiewnie. — Patrzcie na tego chłopca z pierwszym zarostem na twarzy. Piękna dusza, piękna... — Głos jej zabrzmiał rozdzierająco, kiedy krzyknęła: — Niech żadne z was po śmierci nie waży się tak wyglądać! Niech to się nigdy więcej nie zdarzy! — Dziwny, szalony rozkaz nie z tego świata. Na straszny dźwięk jej głosu wszyscy instynktownie skupili się w ciaśniejszą grupkę. Na policzki wystąpiły jej wypieki, wyglądała okropnie i cudownie. — Proszę bardzo, potępcie

mnie, proszę bardzo, potępcie mnie za to, że leży tutaj młodzik z pierwszym zarostem na twarzy. Powiedzcie, że to moja wina. Ale żadne z was nie wie... — Zapadła napięta cisza. Potem rozległ się jej niski, intensywny głos: — Gdyby moje, przeze mnie urodzone dzieci tak miały wyglądać po śmierci, zadusiłabym je jeszcze w kołysce...

— Nie, mamo — przerwał jej z głębi pokoju dziwnie ostro Gerald. — My jesteśmy inni, za nic cię nie winimy.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Podniosła ręce w osobliwym, niedokończonym geście obłędnej rozpaczy.

— Módlcie się — rzekła silnym głosem. — Módlcie się za siebie do Boga, bo od rodziców nie otrzymacie żadnej pomocy.

— Mamo! — krzyknęły przejmująco córki.

Ale zawróciła do drzwi i wyszła, a im też spieszno było rozstać się z sobą.

Kiedy do Gudrun dotarła wiadomość, że pan Crich umarł, poczuła się ukarana. Nie pokazywała się, żeby Gerald nie uznał jej za zbyt łatwą do zdobycia. Teraz on miał ciężkie zmartwienie, a ona została na uboczu.

Nazajutrz, jak zwykle, przyszła do Winifred, która ucieszyła się na jej widok, zadowolona, że może schronić się do pracowni. Dziewczynka najpierw płakała, a potem, wylękniona, usunęła się, żeby uciec od atmosfery tragedii. Obie z Gudrun podjęły normalny tok zajęć w odosobnieniu pracowni, która zdawała się wyspą nieopisanego szczęścia, światem czystej wolności w porównaniu z bezcelową, żałobną krzątaniną w domu. Gudrun została do wieczora. Przyniesiono im tu kolację, mogły więc jeść nie krępując się, z dala od domowników.

Po kolacji przyszedł Gerald. Duże, wysokie pomieszczenie pełne było cieni i zapachu kawy. Gudrun i Winifred miały niewielki stoliczek przy kominku w głębi

pokoju, z białą lampą, której światło nie rozchodziło się szeroko. Stanowiły same dla siebie świat — dwie dziewczyny otoczone uroczymi cieniami — wśród cieni belek i krokwi nad głową, i cieni ławek, i narzędzi w głębi pracowni.

— Bardzo u was miło — powiedział zbliżywszy się Gerald.

Był tu niski kominek z cegieł, w którym buzował ogień, niebieski dywan turecki, dębowy stolik z lampką, nakryty białoniebieskim obrusem, na którym stał deser. Gudrun robiła kawę w starym, mosiężnym kawniku, a Winifred gotowała mleko w malutkim rondelku.

— Piłeś już kawę? — spytała Gudrun.

— Tak, ale chętnie napiję się jeszcze z wami.

— Dostaniesz w szklance, mamy tylko dwie filiżanki — rzekła Winifred.

— Wszystko mi jedno. — Przysunął sobie krzesło i znalazł się w zaczarowanym kręgu dziewcząt. Jakie były szczęśliwe, jak miły i powabny był dla niego ten świat wysokich cieni! Rzeczywistość poza tym pokojem, ta rzeczywistość, w jakiej przez cały dzień załatwiał sprawy związane z pogrzebem, zatarła mu się w pamięci. W mgnieniu oka przeniósł się w urzekającą, magiczną atmosferę pracowni.

Wszystko tu było wykwintne: dwie oryginalne, prześliczne filiżanki, szkarłatne z masywną pozłotą, czarny dzbanuszek w szkarłatne kropki i zabawna maszynka do kawy, której spirytusowy płomyk palił się równomiernie, choć prawie niewidocznie. Wywoływało to wrażenie wręcz złowieszczego przepychu, w którym Gerald natychmiast się pogrążył.

Usiedli wszyscy i Gudrun ostrożnie wzięła się do rozlewania kawy.

— Z mlekiem? — spytała spokojnie na pozór, ale nerwowo wymachując czarnym dzbanuszkiem w duże, czerwone kropki. Zawsze była w pełni opanowana, a zarazem tak dojmująco nerwowa.

— Nie, dziękuję.

Z dziwną pokorą postawiła przed nim filiżankę, a sobie wzięła niepozorny kubek. Jak gdyby zależało jej, żeby go obsługiwać.

— Dlaczego nie dałaś mi kubka? Dla ciebie jest za pospolity. — Wolałby raczej sam z niego pić, a jej zostawić przedmioty wykwintne. Ale milczała, zadowolona, że jest od niego gorsza, że sama się poniża.

— Bardzo tu u was przytulnie.

— Tak. Właściwie nie ma nas w domu dla gości.

— Doprawdy? Więc jestem intruzem?

Poczuł nagle, że jego konwencjonalny strój jest nie na miejscu że sam jest tu obcy.

Gudrun zachowywała się bardzo spokojnie. Nie kusiła jej rozmowa z nim. W tej fazie ich stosunków najlepiej było milczeć lub mówić o byle czym. Sprawy poważne należało zostawić na boku. Rozmawiali więc lekko i wesoło, aż usłyszeli, że na dole stajenny wyprowadza konia i nawołując „nawróć się” wprzęga do powoziku, który ma zabrać Gudrun do domu. Pozbierała swoje rzeczy, wymieniła z Geraldem uścisk dłoni unikając jego wzroku. I wyszła.

Pogrzeb był okropny. Potem, przy herbacie, córki ciągle powtarzały: „Był dla nas dobrym ojcem... najlepszym ojcem naświecie” lub też: „Niełatwo znaleźć mężczyznę, równie dobrego jak ojciec”.

Gerald to wszystko akceptował. Była to własʼciwa, konwencjonalna postawa, a w sprawach światowych opowiadał się za konwenansami. Tylko Winifred, pełna

nienawiści, schowała się w pracowni i płacząc rozdzierająco marzyła o jednym — żeby przyszła Gudrun.

Na szczęście niebawem wszyscy się rozjechali. Crichowie nigdy nie pozostawali długo w domu. W porze kolacji Gerald był już sam. Nawet Winifred jej siostra Laura zabrała na parę dni do Londynu.

Prawdziwej samotności jednak Gerald w gruncie rzeczy nie umiał znosić. Minął dzień, potem drugi. I przez cały czas czuł się jak człowiek zawieszony w okowach na skraju przepaści. Choćby nie wiadomo jak się szamotał, nie mógł sięgnąć nogami gruntu, nie mógł znaleźć oparcia. Wijąc się wisiał na krawędzi pustki. O czymkolwiek pomyślał, wszystko było otchłanią — przyjaciele i nieznajomi; praca i zabawa, wszystko otwierało przed nim przepaść, nad którą kołysało się jego zamierające serce. Nie było ucieczki, nie było czego się chwycić. Musiał wić się na krawędzi pustki spętany niewidzialnym łańcuchem doczesnego życia.

Z początku był spokojny, czekał cierpliwie, aż minie skrajna depresja, aż po najcięższej pokucie znów wróci rozgrzeszony do świata żywych. Ale kryzys nie mijał, przeciwnie, coraz bardziej się pogłębiał.

Wieczorem trzeciego dnia sercem Geralda targnął strach. Czuł, że nie zniesie jeszcze jednej takiej nocy. Jeszcze jednej nocy, w czasie której wisieć będzie w kajdanach doczesnego życia nad bezdenną studnią nicości. Nie zniesie tego. Był przerażony, drążący zimny strach trawił jego duszę. Nie miał już wiary we własne siły. Jeśli spadnie w tę nieskończoną próżnię, nie zdoła się z niej wydobyć. Jeśli wpadnie — zniknie na zawsze. Musi wycofać się, musi poszukać posiłków. Nie wierzył, że sam jeden potrafi temu sprostać.

Po kolacji, porażony perspektywą przeżywania własnej nicości, zmienił postępowanie. Nałożył płaszcz, buty i ruszył na nocny spacer.

Wieczór był ciemny i dżdżysty. Szedł przez las potykając się i wypatrując drogi do młyna. Birkina nie zastał. No i dobrze... Wcale się nie zmartwił. Szedł wzgórzem błądząc po omacku na odludnych zboczach, zmyliwszy w nieprzejrzanych ciemnościach drogę. Co za ohyda! Dokąd właściwie idzie? Wszystko jedno. Błąkał się długo, nim trafił na ścieżkę. Potem zagłębił się w inny las. Z pustką w głowie szedł naprzód machinalnie, nie myśląc i nie czując; znowu na otwartej przestrzeni potykał się na wybojach, szukał na oślep przełazów, gubił ścieżkę, szedł wzdłuż płotów polnych, aż znalazł przejście.

Wreszcie dotarł do szosy. Oszołomiło go to przedzieranie się po omacku przez labirynt ciemności. Teraz jednak musi wybrać jakiś kierunek Nawet nie wie, gdzie się znajduje. Ale trzeba obrać kierunek. Nic mu nie da takie kręcenie się w kółko. Musi iść’ w określonym kierunku. .

Stał cicho na drodze wznoszącej się wysoko w gęstym mroku nocy i nie wiedział, gdzie jest. Dziwne to było doznanie — bicie serca spowitego w gęsty, obcy mrok. Pozostał tak dłuższą chwilę.

Wreszcie usłyszał kroki i zobaczył nikłe, chwiejne światełko. Natychmiast ruszył w tamtą stronę. Był to górnik.

— Czy może mi pan powiedzieć, dokąd prowadzi ta droga?

— Ta droga? Idzie na Whatmore.

— Whatmore? O, dziękuję, to dobrze. Myślałem, że zabłądziłem. Dobranoc.

— Dobranoc.

Gerald wiedział, gdzie jest. W każdym razie zorientuje się, kiedy dojdzie do Whatmore. Był zadowolony, że jest na szosie. Szedł naprzód, jak we śnie, kiedy się podjęło decyzję.

Czy to już Whatmore? Tak. Kings Head i dalej brama do ratusza. Zbiegł ze stromego wzgórza niemal pędem. Idąc przez dolinę minął szkołę i doszedł do kościoła w Willey Green. Cmentarz! Przystanął.

W mgnieniu oka wspiął się na mur i znalazł się po drugiej stronie, wśród grobów. Nawet w ciemności mógł dojrzeć u swoich stóp jaśniejszą plamę, tam gdzie leżały naręcza przywiędłych białych kwiatów. Tu więc był ten grób. Nachylił się. Kwiaty były zimne i wilgotne. Poczuł cierpki zapach więdnących chryzantem i tuberoz. Dotknął gliny pod nimi i cofnął się gwałtownie, była tak lodowata i lepka. Odsunął się z odrazą.

A więc tutaj był jeden z punktów oparcia, tu, w kompletnych ciemnościach, przy niewidocznym, świeżym grobie. Ale nie dla niego. Nie miał po co tu stać. Czuł się tak, jakby trochę zimnej, brudnej gliny oblepiło mu serce. Dość tego!

Dokąd więc? Do Shortlands? O, nie! Na to się nie zdobędzie. To jest po prostu niewykonalne. Trzeba iść gdzie indziej. Dokąd? W duszy dojrzewało groźne postanowienie, natrętny pomysł. Jest przecież Gudrun, bezpieczna w swoim domu. Mógłby iść do niej — i pójdzie. Nie wróci dziś do siebie, póki jej nie zobaczy, choćby miał to przypłacić życiem. Gotów był wszystko zaryzykować.

Ruszył prosto przez pola w stronę Beldover. Było ciemno choć oko wykol, nikt nawet nie mógłby go dojrzeć. Stopy miał mokre i zimne, ciężkie od gliny. Ale szedł naprzód wytrwale, z wiatrem, prosto przed siebie, jakby zmierzał do swej zguby. Miał luki w świadomości. Zdawał sobie sprawę, że jest w osadzie Winthorpe, ale nie miał pojęcia, jak się tu dostał. Nagle, jak we śnie, odnalazł się w Beldover na długiej, oświetlonej latarniami ulicy.

Słychać było dźwięk głosów, szczęk zatrzaskiwanych i ryglowanych drzwi, szmer nocnych rozmów w mroku.

Gospoda „Lord Nelson” właśnie została zamknięta i piwosze wracali do domu. Musi któregoś zapytać, jak się idzie do Gudrun — wcale nie znał bocznych uliczek.

— Przepraszani pana, gdzie tu jest Somerset Drive? — spytał jednego z lekko zataczających się mężczyzn.

— Co gdzie jest? — górnik był podchmielony.

— Somerset Drive.

— Somerset Drive, tak, słyszałem o takim miejscu, ale choćby mnie krajali, nie powiem, gdzie to jest. Kogo pan tam szuka?

— Pana Brangwena. Williama Brangwena.

— Williama Brangwena?

— Nauczyciela ze szkoły w Willey Green. Jego córki też tam uczą.

— Ooo, Brangwen! Teraz już wiem. A jakże. William Brangwen! Tak, tak.

Prócz niego jeszcze są tam dwie panny nauczycielki. To on, nikt inny. Jasne, że wiem, gdzie mieszka. Jakżeś pan to nazwał?

— Somerset Drive — powtórzył Gerald cierpliwie. Znał swoich górników.

— A jakże, Somerset Drive. — Wymachiwał ręką, jakby chciał coś schwytać. — Somerset Drive, oho! Nie połapałem się, ale znam to miejsce, jasne, że znam...

Odwrócił się chwiejnie i wskazał ciemną, opustoszałą drogę.

— Pójdzie pan tędy i skręci pan w pierwszą, tak, w pierwszą na lewo, po tamtej stronie, za sklepem z ciągutkami Withamsa...

— Wiem...

— Aha, potem trochę w dół, tam gdzie mieszka przewoźnik, i zaraz za rogiem, po prawej ręce będzie już

Somerset Drive, czy jak to się nazywa, i ze trzy domy, nie ma tam pewnikiem więcej niż trzy, a ich jest ostatni, głowę daję, ostatni z trzech, rozumie pan...

— Dziękuję bardzo — rzekł Gerald. — Dobranoc.

I ruszył przed siebie. Podchmielony facet stał w miejscu jak wryty.

Gerald mijał ciemne sklepy i domy, teraz przeważnie pogrążone we śnie; skręcił w mały zaułek, za którym rozpościerało się pole ciemności. Zbliżając się zwolnił kroku, niepewny, jak ma dalej postąpić. A jeśli ich dom będzie już zamknięty i bez świateł?

Ale dom nie był zamknięty. Ujrzał duże, oświetlone okno i usłyszał głosy, a potem zgrzytnęła brama. Jego czujne uszy pochwyciły głos Birkina, bystre oczy odnalazły Birkina i Ursulę w jasnej sukni, stojących na stopniu ogrodowej ścieżki. Ursula zeszła na dół i ruszyła drogą trzymając Birkina pod ramię.

Gerald cofnął się w mrok, a oni minęli go niespiesznie, zagłębieni w wesołej rozmowie — głos Birkina niski, Ursuli wysoki i wyraźny. Gerald szybko podążył w stronę domu.

Wielkie, oświetlone okno jadalni miało zaciągnięte story. Z bocznej ścieżki widać było otwarte drzwi, przez które sączyło się łagodne, wielobarwne światło wiszącej w hallu lampy. Szybko poszedł ścieżką i zajrzał do środka. Wisiały tu na ścianach obrazy i rogi jelenie. Z jednej strony prowadziły w górę schody, u stóp których znajdowały się uchylone drzwi do jadalni.

Z bijącym sercem Gerald przekroczył próg, szybko przeszedł przez hall o podłodze wykładanej kolorowymi płytkami i zajrzał do obszernego, miłego pokoju. W fotelu przy kominku drzemał ojciec z głową opartą o szeroki, dębowy gzyms. Widział zarys jego rumianej twarzy o szeroko rozwartych nozdrzach i z lekko opadającymi kącikami ust. Lada dźwięk mógł go obudzić.

Gerald zawahał się. Zerknął w głąb korytarza. Wszędzie było ciemno. Przez moment bil się z myślami, po czym szybko wbiegł schodami na górę. Jego zmysły były tak nadnaturalnie wyostrzone, że zdawał się zdolny do narzucenia własnej woli pogrążonemu w półśnie domowi.

Dotarł na pierwszy podest i stanął wstrzymując oddech. Tutaj też były drzwi w tym samym miejscu, co na dole. Prowadziły chyba do sypialni matki. Słyszał, jak krząta się przy świetle świecy. Na pewno czeka, aż mąż wejdzie na górę. Obejrzał się na ciemne schody.

Potem cicho, z niesłychaną ostrożnością, poszedł dalej korytarzem macając ściany koniuszkami palców. Znowu trafił na drzwi. Zatrzymał się nasłuchując. Dobiegły do niego oddechy dwojga ludzi. To nie tu. Chyłkiem przesunął się dalej. Jeszcze jedne drzwi lekko uchylone. Ciemno. Pokój był pusty. Potem łazienka — poczuł zapach mydła i rozgrzanego powietrza. Wreszcie w samym końcu znowu sypialnia — jeden cichy oddech. To musi być ona.

Z nadprzyrodzoną niemal ostrożnością nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Skrzypnęły lekko. Otworzył je nieco szerzej, jeszcze szerzej. Serce nie biło mu wcale, zdawał się wokół siebie wytwarzać strefę ciszy, nieistnienia.

Był już w pokoju. Nic nie mąciło miarowego oddechu. Było bardzo ciemno. Posuwał się naprzód krok za krokiem badając drogę rękami i nogami. Dotknął łóżka, nasłuchiwał chwilę. Podszedł bliżej, nachylił się, jakby mógł wzrokiem rozróżnić, kto tu leży. I nagle, tuż przy swojej twarzy, dojrzał z przerażeniem okrągłą, ciemną głowę chłopca.

Oprzytomniał i odwrócił się w stronę drzwi, przez które wpadało nieco światli. Wycofał się z pośpiechem; przymknął drzwi nie zatrzaskując ich i błyskawicznie zawrócił korytarzem. U szczytu schodów zawahał się. Jeszcze miał czas na ucieczkę.

Ale było to nie do pomyślenia. Musi spełnić, co zamierzył. Przesunął się jak cień koło sypialni rodziców i wszedł na drugą kondygnację schodów, które denerwująco skrzypiały pod jego ciężarem. Co za katastrofa, jeśli akurat otworzą się drzwi od pokoju matki i ona go zobaczy! Co by się wtedy działo! Na razie panował jeszcze nad sytuacją.

Nim zdążył wejść na piętro, usłyszał na dole szybkie kroki, zgrzyt zamków i rygli u drzwi wejściowych, głos Ursuli i senny okrzyk ojca. Co tchu wspiął się na wyższy podest.

Znów pusty pokój za otwartymi drzwiami. Szedł naprzód po omacku badając drogę czubkami palców, jak ślepiec posuwał się szybko, niespokojny, czy Ursula nie wejdzie na górę. Trafił znowu na drzwi. Nasłuchiwał czujnie nadnaturalnie wyostrzonymi zmysłami. Ktoś ruszał się w łóżku. To chyba ona.

Najciszej, jak człowiek obdarzony tylko jednym zmysłem — zmysłem dotyku — nacisnął klamkę. Szczęknęła. Stanął bez ruchu. Usłyszał szelest pościeli. Serce przestało mu bić. Znowu poruszył klamką i bardzo ostrożnie pchnął drzwi. Ustąpiły z lekkim zgrzytem.

— Ursula? — Gudrun miała przestraszony głos. Prędko otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

— Ursula, czy to ty? — W głosie Gudrun nadal brzmiał lęk. Usłyszał, że usiadła na łóżku. Jeszcze chwila i zacznie krzyczeć.

— Nie, to ja. — Zbliżał się do niej po omacku. — Gerald.

Siedziała bez ruchu, osłupiała, nazbyt zdziwiona, żeby się bać.

— Gerald! — powtórzyła z bezbrzeżnym zdumieniem. Dotarł do jej łóżka i wyciągniętą ręką dotknął po ciemku jej ciepłej piersi. Odsunęła się.

— Zapalę światło — powiedziała zrywając się z łóżka.

Stał jak wryty. Słyszał, jak bierze pudełko z zapałkami, słyszał, jak poruszają się jej palce. Potem zobaczył ją w świetle zapałki, którą przytknęła do świecy. W pokoju rozjaśniło się, potem trochę pociemniało, kiedy płomień świecy przygasł, żeby po chwili znowu rozbłysnąć.

Patrzyła na mężczyznę stojącego po drugiej stronie jej łóżka. Czapkę miał nasuniętą nisko na czoło, czarny płaszcz zapięty pod brodą, dziwną, rozświetloną twarz. Był nieuchronny jak bóstwo. Zrozumiała to, ledwie go zobaczyła. Wiedziała, że to, co teraz nastąpi, jest nie do uniknięcia i musi się z tym pogodzić. Ale musi też mu stawić czoło.

— Jak się tu dostałeś?

— Wszedłem na górę po schodach. Drzwi były otwarte. Patrzyła na niego.

— Tych drzwi też nie zamknąłem.

Szybko przeszła przez pokój i bez szmeru przekręciła w zamku klucz. Potem wróciła na miejsce.

Cudowna była z wystraszonymi oczami, z policzkami w rumieńcach, z krótkim, grubym warkoczem na plecach, w długiej, białej koszuli nocnej sięgającej do kostek

Spostrzegła, że ma buty oblepione gliną, że nawet spodnie ma uwalane. Zaniepokoiła się, że wszędzie zostawił ślady stóp. Dziwny przedstawiał widok, kiedy tak stał w jej sypialni przy rozścielonym łóżku.

— Dlaczego tu przyszedłeś? — spytała niemal kłótliwie.

— Musiałem.

Tak, widać to było w jego twarzy. Tak chciał los.

— Taki jesteś ubłocony — powiedziała z odrazą, choć łagodnie. Spojrzał na swoje buty.

— Chodziłem w ciemnościach — tłumaczył się. Ale był radośnie podniecony. Zapadło milczenie. On stał po jednej

stronie nie zasłanego łóżka, ona po drugiej. Nie zdjął nawet czapki z głowy.

— I czego ode mnie chcesz? — spytała zaczepnie.

Odwrócił wzrok nic nie odpowiadając. Gdyby nie niezwykła uroda i mistyczny czar tej tak innej, tak obcej twarzy, kazałaby mu odejść. Olśniewała ją swą czystą pięknością, oszałamiała jak tęsknota, jak ból.

— Czego ode mnie chcesz? — powtórzyła szorstko.

Ściągnął z głowy czapkę ruchem człowieka, który otrząsa się ze snu, i podszedł do niej. Nie mógł jej dotknąć — bosej, w nocnej koszuli — on, ubłocony i przesiąknięty wilgocią. Jej oczy, szeroko otwarte, wielkie, zdziwione, wpatrywały się w niego zadając mu najważniejsze pytanie.

— Przyszedłem, bo musiałem. Po co pytasz?

W jej spojrzeniu malował się zachwyt i niedowierzanie.

— Muszę pytać. Potrząsnął lekko głową.

— Nie ma na to odpowiedzi — odrzekł z dziwnym roztargnieniem. Wytwarzał wokół siebie osobliwą, boską niemal atmosferę prostoty i naiwnej bezpośredniości. Przywodził jej na myśl młodego Hermesa.

— Ale dlaczego przyszedłeś do mnie? — upierała się.

— Bo tak być musiało. Gdyby ciebie nie było na świecie, nie byłoby też i mnie.

Stała spoglądając na niego wielkimi, szeroko otwartymi oczami z namysłem i obawą. A on nie odrywał od niej przez cały czas wzroku i w niepojęty, nadprzyrodzony niemal sposób zdawał się narzucać jej swą nieubłaganą wolę. Westchnęła. Była już zgubiona. Nie miała wyboru.

— Nie zdejmiesz butów? Na pewno są mokre.

Rzucił czapkę na krzesło, rozpiął płaszcz unosząc podbródek, żeby odpiąć górne guziki. Krótkie gęste włosy

miał zmierzwione. Był piękny i złoty jak pszenica. Zdjął płaszcz.

Szybko ściągnął marynarkę, rozluźnił krawat, wyjął spinki ozdobione perłami. Nasłuchiwała czujnie, modląc się w duszy, żeby nikt nie usłyszał szelestu krochmalonej bielizny, która zdawała się trzaskać jak strzały z pistoletu.

Przyszedł tu, żeby się oczyścić z win. Przyzwalała, żeby trzymał ją w ramionach, tulił do siebie z całych sil. Przyniosła mu niewysłowioną ulgę. W nią przelał ciemność, którą nosił w sobie, i śmierć, która go na wskroś przeżerała. Cały i uzdrowiony, znowu zaczął żyć. Było to niezwykłe, wspaniałe, zakrawało na cud. Cud, który stale ponawiał się w jego życiu, świadomość tego pogrążała go w ekstazie ulgi i zadziwienia. A ona, uległa, przyjmowała go w siebie jak naczynie wypełnione gorzkim jadem śmierci, którą w sobie nosił. W przełomowym momencie nie miała siły się opierać. W strasznym, gwałtownym natarciu śmierć wypełniała ją i przyjmowała tę śmierć w ekstazie uległości, w bólach ostrego, żywiołowego doznania.

Przyciągnąwszy ją bliżej zanurzył się w promieniujące z niej łagodne ciepło, cudowne płodne ciepło, które przenikało jego trzewia i przywracało go do życia. Czuł, że roztapia się i tonie, by wytchnąć w kąpieli jej życiodajnej mocy. Jak gdyby serce w jej piersi było niezdobytym słońcem, w którego żar. i twórczą siłę pogrąża się coraz głębiej. Jego żyły, poszarpane, zmiażdżone, ozdrawiały, kiedy znów zatętniło w nich życie wchłaniane przez niego niepostrzeżenie, jakby było wszechpotężną emanacją słońca. Krew, która już miała spłynąć w śmierć, wróciła znowu do żył, płynęła pewnie, pięknie, potężnie.

Czuł, że jego członki, pełniejsze i bardziej giętkie, pulsują życiem, ciało nabiera nieznanej mocy. Był znów mężczyzną, silnym i kształtnym, był także dzieckiem, pocieszonym, odświeżonym i bezgranicznie wdzięcznym.

A ona, ona była życiodajną kąpielą, oddawał jej boską cześć. Była matką i treścią wszelkiego życia. On, dziecko i mężczyzna, obsypany przez nią darami, stał się znowu całością. Jego ciało już prawie zostało zabite. Ale cudowne, łagodne fluidy z jej piersi spływały na niego, na jego wyschnięty, okaleczony mózg jak uzdrawiająca limfa, jak łagodny, kojący strumień samego życia. Było mu tak dobrze, jakby znów kąpał się w macicy.

Mózg miał okaleczony, wyschnięty, jego tkanka była zniszczona. Nie wiedział nawet, jak bardzo jest poraniony, jak bardzo tkankę jego mózgu uszkodziła żrąca rzeka śmierci. Dopiero teraz, kiedy płynęła w nim emanująca z niej uzdrawiająca limfa, zrozumiał, do jakiego stopnia został zniszczony, jak roślina, którą zwarzył mróz.

Wtulił małą, twardą głowę między jej piersi i przycisnął je do siebie dłońmi. A ona drżącymi rękami przygarniała jego głowę, kiedy wyczerpany leżał przy niej, w pełni przytomnej. Czarowne, twórcze ciepło krążyło w nim jak sen płodności w macicy. Ach, wskrzesi go, scali, jeśli tylko nadal darzyć go będzie sokami życiodajnych fluidów. Bał się, że odtrąci go, zanim cud się spełni. Jak dziecko przy piersi przylgnął do niej z całej mocy, nie mogła go odepchnąć. Jego wyschnięta, zdarta powłoka rozkurczyła się, odprężyła, to, co było suche, zesztywniałe i zniszczone, zregenerowało się, znowu miękkie i elastyczne tętniło nowym życiem. Był jej nieskończenie wdzięczny, jak Bogu, lub jak niemowlę jest wdzięczne matce, której pierś ssie. Szczęśliwy i wdzięczny majaczył, czując, że znów jest całością, że zapada w nieopisanie krzepiący sen, sen człowieka, który umarł i zmartwychwstał.

Gudrun leżała całkiem rozbudzona, jakby została z niej tylko sama świadomość. Podczas gdy on, otoczywszy ją ramionami, zapadł w sen, ona leżała bez ruchu, a jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się nieruchomo w mrok.

Zdawało jej się, że słyszy fale uderzające o niewidoczny brzeg, długie, powolne, mroczne fale, które biją w rytmie przeznaczenia, monotonnie, jak gdyby przez całą wieczność. Ten nieustanny ruch powolnych, smutnych fal przeznaczenia władał jej życiem, gdy leżąc tak, chmurnymi, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność. Sięgała wzrokiem daleko, daleko jak wieczność, ale nic nie widziała. Czekała w pełni świadoma. Lecz świadoma czego?

Nastrój, w jakim leżała tak wpatrzona w wieczność, pełna wahań i zawieszona w próżni, świadoma wszystkiego, osiągnął punkt kulminacyjny i minął pozostawiając ją w stanie niejasnego niepokoju. Za długo leżała bez ruchu. Poruszyła się, oprzytomniała. Chciała patrzeć na niego, widzieć go. Nie śmiała jednak zapalić światła. Wiedziała, że obudziłby się, a nie chciała zakłócać niezmąconego snu, jakim sama go obdarzyła.

Delikatnie wyswobodziła się i uniosła, żeby na niego popatrzeć. W pokoju było jakby odrobinę jaśniej. Mogła nawet rozróżnić rysy pogrążonego w najsłodszym śnie Geralda. Zdawało jej się, że w mroku widzi go wyraźnie. Ale przebywał daleko, w innym świecie. Ach, mogłaby krzyczeć z męki, był taki daleki i tak w tym innym świecie doskonały. Jak gdyby wpatrywała się w kamyk na dnie głębokiej, czystej, ciemnej wody. Oto leży tu w udręce świadomości, podczas gdy on pogrążył się w innym żywiole, w żywiole bezmyślnego, żywego, ciemnego blasku. Był piękny, daleki, lepszy. Nigdy nie będą razem. Ach, ta straszna, nieludzka odległość, która zawsze dzielić ją będzie od drugiego człowieka!

Mogła tylko leżeć cicho i czekać Wezbrała w niej niezmierna czułość do niego i tajemna, zazdrosna nienawiść, że oto leży tu idealnie spokojny i wolny od obowiązków, w innym świecie, podczas gdy ją, wyrzuconą na zewnętrzny krąg ciemności, dręczy okrutna bezsenność.

Leżała żywo i intensywnie świadoma, wyczerpana nadmiarem świadomości. Zegar kościelny wybijał godziny, zbyt szybko, jak jej się zdawało. Słyszała jego uderzenia ostro i wyraźnie. A Gerald spał, jakby czas był jedną chwilą, niezmienną i nieprzemijającą.

Jest wyczerpana, znużona. A przecież musi nadal znosić ów stan gwałtownej, aktywnej świadomości. Pamiętała wszystko naraz — dzieciństwo, wczesną młodość, wszystkie zapomniane zdarzenia, wszystkie nie zrealizowane zamiary, wszystkie przygody, niezrozumiałe dla niej, jakie przytrafiły się jej samej, krewnym, przyjaciołom, kochankom, znajomym, komukolwiek. Jak gdyby wyciągała z morza ciemności połyskliwą linę wiedzy, ciągnęła ją i ciągnęła z bezdennej otchłani przeszłości i ciągle nie widziała jej końca — końca nie ma, musi ciągnąć i ciągnąć połyskliwą linę wiedzy, wyciągać ją, fosforyzującą, z nieskończonych głębi nieświadomości, aż znużona, zbolała, wyczerpana załamie się, nie wyciągnąwszy jej do końca.

Ach, gdyby mogła go obudzić! Poruszyła się niespokojnie. Kiedy powinien wstać i stąd odejść? Kiedy wolno jej będzie zakłócić jego sen? Znowu popadła w tok automatycznego myślenia, które nigdy się nie kończy.

Zbliżał się jednak moment, kiedy będzie musiała go obudzić. Co za ulga! Gdzieś wśród nocy zegar wybił czwartą. Chwała Bogu, noc już prawie minęła. O piątej on musi odejść i ona odzyska wolność. Odpręży się wreszcie i ułoży wygodnie. Teraz dostrajała się do miarowego rytmu jego snu, jak rozpalony do białości nóż dostraja się do obrotów szlifierskiego koła. Było w nim, w sposobie, w jaki ułożył się przy niej, coś wręcz monstrualnego.

Ostatnia godzina wlokła się najdłużej. Ale przecież w końcu minęła. Gudrun odetchnęła z ulgą — tak, to powoli, mocno bije zegar kościelny, po nocy, która trwała wieczność. Liczyła po kolei wszystkie niespieszne,

nieuchronne uderzenia. Trzy, cztery, pięć. Spadł jej ciężar z serca.

Wstała z łóżka, nachyliła się tkliwie nad Geraldem i pocałowała go. Smutno jej było, że go budzi. Po dłuższej chwili pocałowała go raz jeszcze. Nie drgnął nawet. Kochany, jakże mocno śpi! Aż wstyd wyrywać go ze snu. Niech jeszcze trochę poleży. Ale już musi iść, naprawdę musi...

Z największą czułością ujęła jego twarz w dłonie i ucałowała powieki. Otworzył je i dalej leżał bez ruchu wpatrując się w nią. Serce jej struchlało. Żeby skryć się przed tymi strasznymi, otwartymi oczami schyliła się niżej i pocałowała go szepcząc:

— Musisz już iść, kochany.

Lecz była chora, po prostu chora ze strachu. Objął ją. Zrobiło jej się słabo.

— Musisz iść, najdroższy. Już późno.

— Która godzina?

Jaki dziwny jest męski głos! Drżała. Nie mogła dłużej znosić tych katuszy.

— Po piątej.

Znowu ją przytulił. Była udręczona do łez. Stanowczo wyzwoliła się z jego ramion.

— Naprawdę musisz już iść.

—Jeszcze moment.

Leżała cicho, przytulona, ale nieustępliwa.

— Jeszcze moment — powtórzył przyciskając ją mocniej.

— Idź już — nie ustępowała. — Będę się bała, dopóki nie wyjdziesz stąd.

Pewien chłód w jej głosie sprawił, że rozluźnił uścisk Odsunęła się od niego, wstała i zapaliła świecę. Już koniec.

Podniósł się z łóżka. Był ciepły, pełen energii i chęci do życia. A przecież, gdy ubierał się przy niej w świetle świecy, poczuł się jakby zawstydzony, upokorzony nawet. Odsłonił się przed nią, obnażył w momencie, kiedy w jakimś sensie buntowała się przeciw niemu. Bardzo trudno było to wszysko zrozumieć. Ubrał się prędko, nie włożył tylko kołnierzyka i krawata. Ciągle czuł się pełny, scalony, doskonalszy. Ona natomiast nie była pewna, czy widok ubierającego się mężczyzny nie poniża jej: śmieszna koszula, śmieszne spodnie i szelki. Ocalił ją nowy pomysł.

„To tak jak robotnik, który wybiera się do pracy. A ja jestem żoną robotnika”. Ale dokuczał jej mdlący ból; jego widok przyprawiał ją o mdłości.

Wcisnął kołnierzyk i krawat do kieszeni płaszcza. Potem usiadł i wciągnął buty. Były przemoczone tak samo jak skarpetki i nogawki spodni. Ale sam był raźny i ciepły.

— Lepiej, żebyś włożył buty na dole.

Bez słowa zdjął buty i wstał trzymając je w ręku. Wsunęła stopy w nocne pantofle i narzuciła luźny szlafrok. Była gotowa. Spojrzała na niego, kiedy tak stał czekając, w czarnym płaszczu zapiętym pod szyję, w czapce nisko nasuniętej, z butami w ręku. I na mgnienie ożył w niej namiętny; prawie nienawistny zachwyt. Nie zużył się jeszcze. W twarzy Geralda było tyle ciepła; z szeroko otwartymi oczami taka była inna i tak nieskazitelnie urodziwa. Czuła się stara, bardzo stara. Podeszła do niego ociężale, żeby ją pocałował na pożegnanie. Musnął ją przelotnie ustami. Wolałaby, żeby to ciepło, ta uroda bez skazy nie urzekały jej do tego stopnia, żeby nie czuła się aż tak podporządkowana mu i uległa. Był to ciężar, którego nie chciała dźwigać, ale nie mogła się od niego uchylić A przecież patrząc na jego gładkie, męskie czoło, na jego krótki, zgrabny nos, w jego niebieskie, nieuważne oczy wiedziała, że nie zaspokoiła swej namiętności i może nigdy

jej nie zaspokoi. Była teraz znużona, nękał ją mdlący ból. Chciała już zostać sama.

Zeszli szybko ze schodów. Zdawało im się, że narobili strasznego hałasu. Gudrun, owinięta w jaskrawozielony szlafrok, szła przodem z zapaloną świecą w dłoni. Cierpła ze strachu, że obudzi się ktoś z rodziny. Geralda to nie obchodziło.

Wcale już nie dbał o to, czy ktoś się dowie. Nienawidziła go za to. Trzeba zachować ostrożność. Trzeba się pilnować.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie po wyjściu sprzątaczki było czysto i przytulnie. Spojrzał na zegar — dwadzieścia po piątej! Usiadł na krześle, żeby wciągnąć buty. Czekała, śledząc każdy jego ruch. Chciała, żeby to się wreszcie skończyło, z trudem trzymała nerwy na wodzy.

Wstał, Gudrun odryglowała tylne drzwi i wyjrzała. Zimna, świeża noc tuż przed świtaniem, skrawek księżyca na zamglonym niebie. Była zadowolona, że sama nie musi wyjść.

— Do widzenia — szepnął.

— Podejdę z tobą do bramy.

Znowu wysunęła się naprzód ostrzegłszy go, żeby uważał na stopnie. Przy bramie raz jeszcze zatrzymali się, ona na schodku, on niżej na drodze.

— Do widzenia — powiedziała cicho.

Pożegnał ją konwencjonalnym pocałunkiem i odszedł.

Przeżywała męki, słysząc jego mocne stąpanie, wyraźnie rozbrzmiewające na drodze. Jak bezduszne były jego twarde kroki.

Zamknęła bramę i szybko, ukradkiem wróciła do łóżka. W swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, nareszcie bezpieczna, odetchnęła swobodnie jak człowiek, który pozbył się wielkiego ciężaru. Skuliła się w łóżku, we wgłębieniu, jakie sobie wymościło jego ciało, w cieple, jakie

po nim zostało. I podniecona, wyczerpana, lecz przecież zadowolona, zapadła niebawem w głęboki, ciężki sen.

Gerald szedł pospiesznie przez cierpki półmrok nadchodzącego świtu. Nie spotkał żywej duszy. Miał umysł cudownie spokojny i leniwy jak cichy staw, a ciało pełne, ciepłe i wspaniałe. Zaspokojony i wdzięczny ruszył szybkim krokiem do Shortlands.

ROZDZIAŁ XXV

PLANY MAŁŻEŃSKIE

Rodzina Brangwenów miała wyprowadzić się z Beldover. Ojciec musiał już teraz być stale w mieście.

Birkin załatwił zezwolenie na zawarcie ślubu, ale Ursula zwlekała z dnia na dzień. Nie chciała wyznaczyć daty, wahała się jeszcze. Termin jej miesięcznego wymówienia w szkole upływał za tydzień. Zbliżało się Boże Narodzenie.

Gerald czekał na ślub Ursuli z Birkinem. W pewnym sensie traktował to jako moment przełomowy.

— A może byśmy strzelili z dubeltówki? — zagadnął pewnego dnia Birkina.

— Kto na drugi strzał?

— Gudrun i ja — rzekł Gerald z awanturniczym błyskiem, w oku. Birkin popatrzył na niego surowo, jakby trochę zgorszony.

— Mówisz poważnie, czy żartujesz? — Ależ poważnie. Zrobić to? Mamy oboje z Gudrun iść w wasze ślady?

— Naturalnie! Nie wiedziałem, że już tak daleko zaszliście.

— Czy zaszliśmy daleko? — roześmiał się Gerald. — Owszem, możliwie najdalej.

— Należy więc teraz oprzeć wasz związek na szerokim podłożu społecznym i osiągnąć wysoki cel moralny.

— Właśnie o to chodzi — uśmiechnął się Gerald — o wysokość, szerokość i długość

— No cóż, powiedziałbym, że to krok ze wszech miar wskazany. Gerald przyjrzał mu się bacznie.

— Dlaczego przejawiasz tak mało entuzjazmu? Myślałem, że jesteś zaciekłym zwolennikiem małżeństwa.

Birkin wzruszył ramionami.

— Równie dobrze mógłbym być zaciekłym zwolennikiem nosów. Istnieją rozmaite rodzaje nosów, perkate, garbate... Gerald roześmiał się.

— I różne rodzaje małżeństw, też perkate, garbate i inne?

— Właśnie.

— I myślisz, że moje małżeństwo będzie garbate? — zadał to pytanie żartobliwie, z głową lekko przechyloną na bok.

Birkin zaśmiał się krótko.

— Skąd mogę wiedzieć, jakie będzie! Nie ciskaj we mnie moimi własnymi porównaniami.

Gerald zastanawiał się przez chwilę.

— Kiedy właśnie chciałbym poznać twoją opinię.

— Na temat twojego małżeństwa? Czy małżeństwa w ogóle? Po co ci moja opinia? Nie mam żadnej opinii. Nie interesuje mnie legalna strona małżeństwa, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. To tylko kwestia wygody.

Gerald nie spuszczał z niego wzroku.

— Myślę, że to coś więcej — powiedział poważnie. — Choćbyś nie wiem jak był znudzony etycznym aspektem małżeństwa, w twoim osobistym przypadku ślub jest punktem zwrotnym, krokiem ostatecznym, decydującym.

— Uważasz, że pójście z kobietą do urzędu stanu cywilnego jest krokiem ostatecznym?

—Jeśli się potem wraca z nią do domu. Jest to przecież w pewnej mierze krok nieodwołalny.

— Zgadzam się.

— Niezależnie od tego, jaki jest twój stosunek do legalnego ślubu, zawarcie małżeństwa w każdym poszczególnym wypadku jest wydarzeniem przełomowym...

— Owszem, pod wieloma względami.

— Pozostaje więc problem, czy człowiek powinien się żenić. Birkin przyglądał mu się z rozbawieniem.

— Jesteś podobny do lorda Bacona. Stawiasz kwestię jak prawnik lub jak Hamlet w swoim „być albo nie być”. Gdybym był tobą, nie żeniłbym się. Ale spytaj Gudrun, nie mnie. Przecież nie ze mną się żenisz.

Ostatnie słowa Gerald puścił mimo uszu.

— Tak — powiedział — trzeba rozważyć to na zimno. Jest to moment krytyczny. Człowiek dochodzi do punktu, w którym musi się zdecydować, w jaką stronę ma pójść. Po jednej stronie jest małżeństwo...

— A po drugiej? — spytał szybko Birkin.

Gerald obrzucił go gorącym, szczególnym spojrzeniem, którego znaczenia Rupert nie rozumiał.

— Nie wiem. Gdybym to wiedział... — przestąpił z zakłopotaniem z nogi na nogę i nie skończył zdania.

— To znaczy, gdybyś znał inną możliwość? A ponieważ nie znasz, małżeństwo stanowi pis aller.

Znowu Gerald skierował na niego gorące, jakby zażenowane spojrzenie.

— Może i mam uczucie, że małżeństwo to gorsza alternatywa — przyznał.

— Więc nie żeń się. Powtarzam ci to samo, co już mówiłem przedtem, małżeństwo w dawnym znaczeniu wydaje mi się odrażające. Egoisme à deux to jeszcze nic. Małżeństwo to rodzaj milczącego pościgu parami: cały świat podzielony na pary, każda para w swoim domku, pilnująca swoich drobnych interesików i smażąca się we własnym sosie. Czy może istnieć coś obrzydliwszego?

— Masz całkowitą rację. Jest w tym coś niskiego. I znów spytam, czy mamy inną alternatywę?

— Człowiek powinien bronić się przed instynktem rodzinnym. Nie jest to zresztą instynkt, raczej nawyk tchórzostwa. Nie należy zakładać gniazdka.

— Naprawdę zgadzam się. Ale nie ma innej alternatywy.

— Trzeba ją znaleźć. Wierzę w trwały związek między kobietą a mężczyzną. Przelotne miłostki to wyczerpujący sposób załatwienia sprawy. Ale trwały związek między kobietą a mężczyzną to nie jest ostateczne rozwiązanie. Na pewno nie.

— Słusznie.

— Prawdę mówiąc, właśnie dlatego, że stosunek między mężczyzną a kobietą uczyniono najwyższą i jedynie dopuszczalną wspólnotą dwojga ludzi, właśnie w tym związku występują wszelkiego typu napięcia, podłości i niedomogi.

— Jestem takiego samego zdania.

— Trzeba zrzucić z piedestału ideał miłości małżeńskiej. Chcemy czegoś więcej. Ja na przykład wierzę w idealny związek mężczyzny z mężczyzną… obok małżeństwa.

— Przecież to w żaden sposób nie może być to samo.

— Nie to samo, ale równie ważne, równie twórcze, jeśli wolisz… równie święte.

— Wiem, że ty w coś takiego wierzysz, ale ja tego nie czuję, rozumiesz? — Położył dłoń na ramieniu Birkina z czymś w rodzaju czułej przygany. Uśmiechał się jak gdyby z tryumfem.

Czekał go wyrok skazujący. Małżeństwo wydawało mu się wyrokiem. Lecz był gotów skazać się na małżeństwo, stać się więźniem skazanym na pracę w kopalniach podziemnego świata, żyjącym nie w słońcu, lecz w strasznych ciemnościach podziemi. Był skłonny to

zaakceptować. I małżeństwo miało ten wyrok przypieczętować. Zgadza się być zamknięty w podziemiu, jak dusza potępiona, ale w tym potępieniu wiecznie żyjąca. Nie chce żadnego czystego związku dusz. Nie mógłby go zawrzeć. Małżeństwo to nie tylko problem związania się z Gudrun. To problem akceptacji ustalonego porządku świata; pogodziłby się z ustalanym porządkiem, w jaki absolutnie nie wierzył, a potem wycofałby się na resztę życia w podziemie. Na tym by to polegało.

Inną drogą było przyjęcie propozycji Ruperta: zawarcie opartego na zaufaniu i miłości związku z drugim mężczyzną, a potem także i z kobietą. Jeśli poświęci się mężczyźnie, będzie później zdolny do poświęcenia się kobiecie, nie w zwykłym legalnym małżeństwie, lecz w małżeństwie mistycznym i absolutnym.

Lecz przecież nie może przyjąć tej propozycji Naszło go odrętwienie. Czy dlatego, że nie było w nim woli, czy też dlatego, że uległa atrofii? A może nie stać go było na powzięcie jakiejkolwiek decyzji? Gdyż propozycja Ruperta wprawiła go w dziwne uniesienie. I jeszcze bardziej cieszyło go, że ją odrzuci, że się do niczego nie zobowiąże.

ROZDZIAŁ XXVI

KRZESŁO

W każdy poniedziałek po południu na starym rynku w mieście odbywał się jarmark Któregoś dnia zawędrowali tam Ursula i Birkin. Rozmawiali o meblach i zapragnęli popatrzeć, czy nie znajdą czegoś do kupienia wśród mnóstwa gratów poustawianych tu na kocich łbach.

Stary plac targowy nie był specjalnie duży — po prostu nagi teren, na którym tuż przy murze stało zwykle parę straganów z owocami. Była to uboga część miasta. Po jednej strome stały skromniutkie domki, a także fabryka trykotaży długa pusta ściana z mnóstwem prostokątnych okienek w samym końcu. Po drugiej stronie ciągnęła się ulica małych sklepików z brukowaną nawierzchnią. Wieńczącym to wszystko monumentern były łaźnie publiczne z nowej czerwonej cegły, z wieżą zegarową. Ludzie, którzy tu się kręcili, wydawali się krępi i raczej brudni, w powietrzu unosiły się przykre zapachy, sieć krzyżujących się uliczek tworzyła jak gdyby mrowiska nędzy. Od czasu do czasu wielki czekoladowo-żółty tramwaj zatrzymywał się na ostrym zakręcie przed sklepem z uprzężą.

Ursulę przejął dreszczyk emocji, kiedy znalazła się wśród pospólstwa, na targu zawalonym używaną pościelą, kupami starego żelastwa, poobijanej porcelany, stertami niewiarygodnych ciuchów. Oboje z Birkinem niechętnie ruszyli wąskim przejściem wśród rupieci. Rupert patrzał na towary, Ursula na ludzi.

Z podnieceniem przyglądała się młodej kobiecie w ciąży, która obracała materac, domagając się tego samego od strapionego młodzieńca w sfatygowanym ubraniu. Tak

tajemnicza, ożywiona; napięta wydawała się kobieta, a mężczyzna tak oporny i ociągający się. Ożeni się z nią, bo zaszła w ciążę.

Kiedy wypróbowali materac, kobieta spytała staruszka siedzącego na stołku wśród wyłożonych towarów, ile kosztuje. Podał jej cenę i zwróciła się do młodzieńca. Zawstydzony i skrępowany odwrócił twarz, chociaż nie zmienił pozycji i wymamrotał coś pod nosem. Kobieta znowu niespokojnie i z ożywieniem macała materac, obliczała coś w myśli i targowała się z niechlujnym staruszkiem. Przez cały czas młody człowiek ulegle stał obok, nieśmiały i mizerny.

— Spójrz — powiedział Birkin — tam jest ładne krzesło.

— Śliczne! — zawołała Ursula. — Ach, jakie śliczne!

Był to fotel z poręczami ze zwykłego drzewa, chyba brzozy, ale o tak delikatnym i pełnym wdzięku rysunku, że jego widok, kiedy tak stał na brudnych kamieniach, wzruszał niemal do łez. Był prostokątny, o najczystszych smukłych konturach, miał na oparciu cztery krótkie, drewniane listwy, które przypominały Ursuli struny harfy.

— Był kiedyś pozłacany — rzekł Birkin — i miał siedzenie z trzciny. Ktoś na to miejsce przybił drewniane. Popatrz, tam są jeszcze ślady czerwieni, która stanowiła podkład pod złoto. Reszta jest całkiem czarna, oprócz miejsc, gdzie spod wytartej farby prześwituje surowe drzewo. Jest tak śliczny dzięki doskonałej harmonii wszystkich linii. Patrz, jak biegną, stykają się i krzyżują. Oczywiście drewniane siedzenie tu nie pasuje, psuje doskonałą lekkość i jednolitą prężność, jaką dawała trzcina. Ale i tak podoba mi się...

— Tak, tak Mnie też.

— Ile kosztuje to krzesło? — spytał Birkin staruszka.

— Dziesięć szylingów.

— I odeśle je pan...? Kupili krzesło.

— Takie piękne, tak harmonijne! — zachwycał się Birkin. — Aż serce boli. — Szli między stertami rupieci. — Mój ukochany kraj... Umiał coś przekazać nawet przy pomocy takiego krzesła.

— A teraz nie umie? — spytała Ursula. Zawsze złościło ją, kiedy przybierał ten ton.

— Teraz nie umie. Kiedy patrzę na to jasne, piękne krzesło, myślę o Anglii, nawet o Anglii Jane Austen... Ten kraj miał do przekazania żywe myśli i przekazując je znajdował w tym czystą radość Teraz możemy tylko szperać wśród starych gratów szukając pozostałości ich sposobu wypowiadania się. Nie umiemy już nic stworzyć, to tylko nędzna i wstrętna produkcja mechaniczna.

— To nieprawda! — zawołała Ursula. — Dlaczego zawsze chwalisz przeszłość kosztem teraźniejszości? Wcale tak dobrze nie myślę o Anglii Jane Austen. Była. dość materialistyczna, jeśli ci o to chodzi...

— Mogła sobie pozwolić na materializm, ponieważ była dość silna, żeby go odrzucić. Nie tak jak my. My jesteśmy materialistami, ponieważ nie jesteśmy dość silni, żeby zdobyć się na cokolwiek innego. Choćbyśmy nie wiem jak się starali, zawsze jest to tylko materializm... to znaczy mechanizacja, sama istota materializmu.

Ursula popadła w gniewne milczenie. Nie zważała na to, co Rupert mówi. Buntowała się przeciw czemu innemu.

— A ja nienawidzę tej twojej przeszłości, mdli mnie od niej! — krzyknęła. —

Tego starego krzesła też chyba nie znoszę, chociaż jest piękne. To nie jest mój rodzaj piękności. Wolałabym, żeby się rozleciało, kiedy jego czas minął, a nie przetrwało, żeby głosić chwałę tej twojej ukochanej przeszłości. Mdli mnie od ukochanej przeszłości.

— Nie aż tak, jak mnie mdli od przeklętej teraźniejszości.

— Wcale nie mniej. Nienawidzę teraźniejszości, ale nie chcę zastąpić jej przeszłością. I nie chcę tego starego krzesła.

Przez chwilę był bliski gniewu. Lecz spojrzał na niebo jaśniejące nad wieżą publicznych łaźni i jakby się przemógł. Wybuchnął śmiechem.

— Dobrze, nie bierzmy go. Ja też mam tego dość Przecież nie można do końca życia żywić się kośćmi minionego piękna.

— Nie można. Ja nie chcę starych rzeczy.

— Bo prawdę mówiąc w ogóle nie mamy ochoty na rzeczy. Znieść nie mogę myśli o własnym domu i własnych meblach.

Zaskoczyło ją to na moment

— Ja też. Ale gdzieś przecież trzeba mieszkać.

— Nie gdzieś. Gdziekolwiek Trzeba po prostu mieszkać byle gdzie, a nie w jakimś określonym miejscu. Nie chcę mieszkać w określonym miejscu. Ledwie zamieszkasz we własnym pokoju i jest on całkowicie urządzony, a już chcesz z niego uciekać. Teraz, kiedy w moich pokojach w młynie niczego nie brak, wolałbym, żeby znalazły się na dnie morza. Ach, ta okropna ”tyrania niezmiennego otoczenia, gdzie każdy mebel jest tablicą przykazań!

Kiedy opuszczali rynek, uczepiła się jego ramienia.

— Co wobec tego mamy zrobić? Przecież musimy jakoś mieszkać. Chcę mieć trochę piękna w moim otoczeniu. A nawet jakiejś naturalnej grandem, pewnego przepychu.

— Nie znajdziesz tego w mieszkaniach, meblach czy nawet w strojach. Mieszkania, meble i stroje... wszystko to są kategorie starego, nikczemnego świata, wstrętnej ludzkiej społeczności. A jeśli masz dom w stylu Tudorów i

stare, piękne meble, to jest to tylko przeszłość, która sobie ciebie podporządkowała. I nawet gdybyś miała najwytworniejsze nowoczesne meble, które zaprojektował dla ciebie Poiret, to z kolei one by sobie ciebie podporządkowały. Wszystko to jest koszmarne. Wszelka własność, każdy przedmiot, który posiadasz, tyranizuje cię, zabiera ci osobowość. Masz być jak Rodin, jak Michał Anioł, masz zostawić kawał nie obrobionego kamienia z niewyraźnym zarysem twojej postaci. To, co jest wokół ciebie, masz zachować we fragmentach, naszkicowane tylko, żeby nigdy cię nie więziło, nie uciskało, nie górowało nad tobą od zewnątrz.

Stanęła na ulicy rozważając jego słowa.

— I mamy nigdy nie mieć własnego miejsca na ziemi? Własnego domu?

— Byle nie na tym świecie, jeśli Bóg pozwoli.

— Przecież innego świata nie ma.

Rozłożył ręce gestem wyrażającym obojętność

— Na razie więc będziemy się starali nie mieć nic na własność

— Ale przed chwilą kupiłeś krzesło?

— Mogę powiedzieć temu człowiekowi, że już go nie chcę. Zastanowiła się. Twarz jej wykrzywił zabawny grymas.

— Nie — zawołała — nie chcemy tego krzesła! Nie cierpię starych przedmiotów.

— Ani nowych. Zawrócili.

Na rynku, przed jakimiś meblami, stała ta sama młoda para — kobieta w ciąży i młodzieniec o wąskiej twarzy. Ona — przysadzista blondynka, on — średniego wzrostu, ładnie zbudowany. Ciemne włosy opadały mu spod czapki z jednej strony na czoło, trzymał się na uboczu, dziwnie daleki, jak dusza potępiona.

— Podarujemy je tym ludziom — szepnęła Ursula. — Popatrz, urządzają sobie wspólny dom.

— Ja się do tego nie przyczynię — odrzekł z irytacją, natychmiast stając po stronie zamkniętego w sobie, nieufnego młodzieńca przeciw energicznej, płodnej kobiecie.

— Kiedy dla nich to jest dobre! — zawołała Ursula. — Nie mają nic lepszego.

— Proszę bardzo. Ty im je ofiaruj. Będę się przyglądał.

Ursula, trochę zdenerwowana, podeszła do młodej pary, która naradzała się nad żelazną umywalką — to znaczy kobieta perorowała, a mężczyzna, przypominający aresztanta, zerkał ukradkiem, z niedowierzaniem, na paskudny przedmiot

— Kupiliśmy krzesło — zagadnęła ich Ursula. — I nie mamy na nie ochoty. Zechcielibyście je od nas przyjąć? Bardzo byśmy się cieszyli.

Młodzi ludzie rozejrzeli się nie wierząc, że zwraca się właśnie do nich.

— Weźmiecie je? — powtórzyła pytanie Ursula. —Jest naprawdę bardzo ładne, ale... ale... — Uśmiechnęła się olśniewająco.

Oboje wpatrywali się w nią bez słowa. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia niepewni, jak na to zareagować Mężczyzna w osobliwy sposób zblaknął, jak gdyby niczym szczur umiał stać się niewidzialny.

— Chcielibyśmy je wam podarować — tłumaczyła Ursula, teraz już niezdolna opanować konsternacji i lęku przed nimi, Pociągał ją ten młody człowiek. Był cichym, bezmyślnym stworzeniem, nie mężczyzną, lecz produktem miejskiej cywilizacji, w jakiś sposób dziwnie rasowym i delikatnym, skrywającym swój spryt i inteligencję. Ciemne rzęsy, długie i piękne, zdobiły oczy, w których nie odbijały się myśli, lecz tylko subiektywna, utajona,odrażająca

świadomość, szklista i ciemna. Miał ładne, czarne brwi i delikatne rysy twarzy. Na pewno jest okropnym, ale wspaniałym kochankiem dla kobiety, którą tak uszczęśliwił. Jego nogi w wymiętych spodniach na pewno są giętkie i ruchliwe, ma w sobie elegancję, ciszę, jedwabistość ciemnookiego, czającego się szczura.

Ursula zwracała się do niego z dreszczykiem pożądania. Krzepka, pełna kobieta gapiła się na nią obraźliwie. Otrząsnęła się z wysiłkiem.

— Więc jak? Nie chcecie tego krzesła?

Młodzieniec zerknął na nią z boku z uznaniem, ale obojętnie, niemal arogancko. Kobieta przysunęła się. Była w niej bujność przekupki z targowego straganu. Nie wiedziała, o co Ursuli chodzi, i wroga, miała się na baczności. Zbliżył się Birkin złośliwie uśmiechnięty na widok Ursuli tak skłopotanej i przestraszonej.

— No i co? — spytał z uśmiechem. Powieki miał lekko spuszczone, otaczała go aura tej samej dwuznacznej, drwiącej dyskrecji, jaka cechowała i tamtych dwoje dzieci przedmieścia. Mężczyzna nieznacznie ruchem głowy wskazał Ursulę i odezwał się z osobliwą uprzejmością, ciepłą i kpiącą zarazem.

— Czego ona tu chce? Co? — wykrzywił usta w szczególnym uśmiechu. Birkin obrzucił go leniwym, szyderczym spojrzeniem spód zmrużonych powiek

— Chce dać wam krzesło, o tamto, z przylepioną kartką.

Młodzieniec popatrzył na wskazany mebel. W nieuzasadnionym porozumieniu tych dwóch mężczyzn zabrzmiała niespodziewanie wroga nuta.

— Co jej do głowy strzeliło, szefie? — spytał tonem swobodnej poufałości, obraźliwej dla Ursuli.

— Myśleliśmy, że się wam spodoba. To bardzo ładne krzesło. Kupiliśmy je, ale nie mamy na nie ochoty. Nie bójcie

się, nikt was nie zmusza, żebyście je wzięli — Birkin uśmiechnął się z ironią.

Mężczyzna podniósł na niego spojrzenie niezbyt przyjazne, niezbyt porozumiewawcze.

— A dlaczego nie chcecie go dla siebie, jak już je sobie zafundowaliście? — spytała chłodno kobieta. — Nie dość dobre dla was, jakeście mu się przyjrzeli, co? Strach was wziął, że coś w nim siedzi, co?

Patrzała na Ursulę z podziwem pomieszanym z niechęcią.

— Nawet nie pomyślałem o tym — rzeki Birkin. — Ale nie, to niemożliwe, drzewo jest tu wszędzie za cienkie.

— Bo widzicie — powiedziała Ursula z rozjaśnioną, radosną twarzą — mamy się właśnie pobrać i zamierzaliśmy nabyć to i owo. No i przed chwilą zdecydowaliśmy się nie kupować mebli, bo wyjedziemy za granicę.

Krzepka, rumiana dziewczyna z gminu przyglądała się delikatnej twarzy drugiej kobiety z uznaniem. Odnosiły się do siebie nie bez respektu. Młodzieniec stanął na uboczu. Miał twarz bez wyrazu i bez wieku. Cienka kreska czarnych wąsików nad szerokimi, zamkniętymi ustami sprawiała dziwnie dwuznaczne wrażenie. Był bierny, roztargniony — mętna, dwuznaczna postać zalatująca rynsztokiem.

— Niektórym to dobrze — dziewczyna odwróciła się do swojego własnego mężczyzny. Nie spojrzał na nią, ale uśmiechnął się dolną częścią twarzy, skłaniając głowę w bok w dziwnym geście przyzwolenia. Oczy, pokryte szkliwem ciemności, nie zmieniły wyrazu.

— Grubą forsę się buli za takie fumy — powiedział niewiarygodnie gminnym akcentem.

— Tym razem tylko dziesięć szylingów — rzekł Birkin.

Młodzieniec zerknął na niego z niepewnym, ukradkowym uśmieszkiem.

— Co tam, pół funta to psie pieniądze, szefie. Na rozwód trza więcej.

— Jeszcze nie wzięliśmy ślubu — rzekł Birkin.

— My też nie — głośno wtrąciła młoda kobieta. — Ale bierzemy w sobotę.

Znów obrzuciła młodzieńca zdecydowanym, opiekuńczym spojrzeniem, jednocześnie władczym i bardzo czułym. Uśmiechnął się mdło, odwracając głowę. Musi jej oddać swoją męskość, ale mój Boże, co go to obchodzi! Miał w sobie niepojętą, utajoną pychę i zdolność zachowania osobowości.

— Dużo szczęścia życzę — powiedział Birkin.

— Wzajemnie — odrzekła kobieta. I dorzuciła ostrożnie: — Kiedy to u was nastąpi?

Birkin obejrzał się na Ursulę.

— To zdecyduje moja pani. Pójdziemy do urzędu, jak tylko będzie gotowa. Ursula roześmiała się zakłopotana i zbita z tropu.

— Nie ma pośpiechu — odezwał się znacząco młodzieniec.

— Nie warto gnać tam na złamanie karku — dodała kobieta. — Z małżeństwem jak ze śmiercią. Trwa bez końca.

Młody człowiek odsunął się, jakby te słowa go ubodły.

— Im dłużej, tym lepiej, miejmy nadzieję — zgodził się Birkin.

— Święta racja, szefie — potwierdził z podziwem młodzieniec. — Trzeba się cieszyć póki co, nie ma co bić zdechłego osła.

— Chyba, że nie zdechł, tylko udaje — burknęła kobieta patrząc na swego chłopca z pieszczotliwą, władczą czułością.

— A jakże, to co inszego — zgodził się drwiąco.

— A co z krzesłem? — spytał Birkin.

— Ano dobrze — oświadczyła kobieta.

Podeszli wolno do sprzedawcy, oślizgły piękniś nieco dalej za nimi.

— Oto krzesło. Weźmiecie je z sobą, czy każecie zmienić adres?

— E tam, Fred może je zanieść, nic mu nie będzie, jak coś zrobi dla naszego domciu.

— Rozkaz, szefowo — mruknął Fred z ponurą wesołością, biorąc krzesło od handlarza. Jego ruchy były pełne wdzięku, lecz zarazem osobliwie obleśne, ukradkowe. — Milutki fotelik dla mamuńci. Trza mu poduszeczki. — Postawił fotel na kocich łbach.

— Czy nie jest ładny? — roześmiała się Ursula.

— Mnie się podoba — rzekła kobieta.

— Niech pani sobie na nim siądzie, jeszcze go pani pożałuje.

Ursula posłusznie usiadła na krześle na samym środku placu targowego.

— Strasznie wygodne, ale trochę twarde. Niech pan spróbuje — zaprosiła młodzieńca do zajęcia krzesła. Ale odsunął się niegrzecznie na bok, zakłopotany, patrząc na nią bystrymi, jasnymi oczyma, dziwnie dwuznaczny, jak szybki, żywy szczur.

— Proszę go aby nie psuć. On tam nie jest przyzwyczajony do foteli z poręczami.

Młodzieniec odwrócił się i rzekł uśmiechając się w przestrzeń: — Wystarczą mi nogi.

Ursula i Birkin postanowili odejść. Młoda kobieta powiedziała:

— Dziękuję za to krzesło. Postoi, dopóki się nie rozleci.

— Będzie za ornyment — dorzucił Fred.

— Do widzenia, do widzenia — odrzekli Ursula i Birkin.

— Dużo szczęścia! — zawołał młodzieniec, jednocześnie zerkając na Birkina i odwracając głowę, żeby uniknąć jego wzroku.

Obie pary rozeszły się w różne strony, Ursula przytuliła się do ramienia Ruperta. Już z pewnej odległości obejrzała się za młodzieńcem kroczącym obok brzemiennej kobiety. Spodnie opadały mu na pięty, poruszał się jakby chyłkiem, przygnieciony osobliwą nieśmiałością, jeszcze bardziej teraz, kiedy niósł smukły, stary fotelik, którego nogi kołysały się niebezpiecznie nisko nad granitowymi płytami chodnika. A przecież był w jakiś sposób nieposkromiony i odrębny jak żywy, czujny szczur. I w swojej urodziwej odmienności odrażający, jak stworzenie spędzające życie pod ziemią.

— Dziwni ludzie — rzekła Ursula.

— Dzieci człowiecze. Przypominają mi Jezusowe: „Błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię”.

— Ale oni nie są cisi.

— Są. Nie wiem, na czym to polega, ale są cisi.

Czekali na tramwaj. Usiadłszy na górze Ursula spoglądała w dół na miasto. Zmierzch zasnuwał już wnęki zatłoczonych domów.

— I to oni odziedziczą ziemię?

— Tak, właśnie oni.

— To co będzie z nami? Jesteśmy przecież inni? My nie jesteśmy cisi.

— Nie. Będziemy musieli żyć w szczelinach, które nam zostawią.

— To straszne! Nie chcę żyć w szczelinie!

— Nie martw się. To są dzieci człowiecze, najlepiej lubią place targowe i rogi ulic Zostawią nam mnóstwo miejsca.

— Cały świat.

—Och, nie, ale trochę przestrzeni

Tramwaj piął się powoli na wzgórze, gdzie w zimowej szarości brzydkie masy domów wyglądały jak wizja mroźnego i kanciastego piekła. W oddali widać było gniewną czerwień zachodzącego słońca. Wszystko tu było zimne, małe, zatłoczone i jak gdyby na końcu świata.

— Wcale mi to nie przeszkadza — rzekła Ursula patrząc na brzydki widok. — Mnie to nie dotyczy.

— Absolutnie nie. — Ujął jej dłoń. — Nie trzeba tego widzieć. Można iść swoją drogą. Mój świat jest słoneczny i rozległy...

—Tak, najdroższy! — zawołała; tuliła się do niego na górnym piętrze tramwaju gorsząc pozostałych pasażerów.

— Będziemy sobie wędrować po powierzchni ziemi i zobaczymy świat inny niż ten malutki światek

Zapadło długie milczenie. Jej zamyślona twarz promieniała, jakby była ze złota.

— Nie chcę odziedziczyć ziemi — powiedziała. — Nic nie chcę odziedziczyć. Zacisnął rękę na jej dłoni.

— Ani ja. Chcę być wydziedziczony. Ciasno objęła jego palce.

— Na niczym nam nie będzie zależeć — rzekła.

Śmiał się cicho.

— I pobierzemy się, i zerwiemy z tym wszystkim — dodała. Znów się roześmiał.

— Wziąć ślub to dobry sposób, żeby zerwać z całym światem — mówiła dalej.

— I dobry sposób, żeby zgodzić się na świat — dorzucił Rupert

— Tak, ale na inny świat! — zawołała wesoło.

— Może tam będą jeszcze Gerald... i Gudrun...

—Jeśli będą, to dobrze, a jeśli nie, to też dobrze. Nie warto się o to martwić. Przecież nie możemy ich naprawdę zmienić

— Nie. Nie mamy prawa próbować nawet w najlepszych intencjach.

— Próbować siłą?

— Właśnie — odparł. — Zresztą dlaczego mnie ma zależeć, żeby był wolny, skoro jego to nie obchodzi?

Zastanawiała się przez chwilę.

— W każdym razie nie możemy go uszczęśliwić Szczęśliwy może być tylko dzięki samemu sobie.

— Wiem. Ale jacyś ludzie są nam potrzebni, prawda?

— Po co?

— Nie wiem — powiedział niepewnie. — Człowiek potrzebuje przyjaciół.

— Ale dlaczego? — nalegała. — Po co ci inni ludzie? Dlaczego ci są potrzebni?

Dotknęło go to do żywego. Zmarszczył czoło.

— My dwoje i nikt poza tym? — spytał w napięciu.

— Właśnie. Czego chcesz więcej? Jeśli ktoś chce nam towarzyszyć, proszę bardzo. Ale dlaczego mamy ubiegać się o kogokolwiek?

Miał napięty, niezadowolony wyraz twarzy.

— Widzisz — powiedział —ja zawsze wyobrażani sobie nas naprawdę szczęśliwych z kilkoma jeszcze ludźmi... Trochę wolności wśród przyjaciół.

Rozważała to przez moment.

— Tak, i ja bym tego chciała. Ale to musi się zdarzyć. To nie zależy od twojej woli. Zawsze zdajesz się sądzić, że możesz zmusić kwiaty, żeby zakiełkowały. Ludzie mają nas kochać, bo nas kochają. Nie można ich do tego namówić.

— Wiem. Ale czy nie można podjąć jakichś kroków? Czy człowiek ma postępować tak, jakby był sam na świecie? Jakby był jedyną żywą istotą na ziemi?

— Masz przecież mnie. Po co ci inni ludzie? Dlaczego chcesz koniecznie narzucać im swoje zdanie? Dlaczego nie możesz po prostu być osobno, jak zawsze mówisz? Usiłujesz tyranizować Geralda, jak zawsze tyranizowałeś Hermione. Musisz nauczyć się być sam. Takie to jest u ciebie okropne. Masz przecież mnie. I mimo to wymuszasz na innych miłość do siebie. Żądasz, żeby cię kochali. A potem wcale tej ich miłości nie chcesz.

Był szczerze zafrasowany.

— Nie chcę? To problem, którego nie umiem rozwiązać. Wiem, że pragnę doskonałego i pełnego związku z tobą. I prawie to osiągnęliśmy, naprawdę. Ale co poza tym? Czy chcę prawdziwego, najściślejszego związku z Geraldem? Czy chcę, żeby nas łączyła ostateczna, nadludzka niemal więź... ostateczna dla niego i dla mnie? Czy nie chcę?

Patrzała na niego długą chwilę dziwnie jasnymi oczami, ale nie odpowiedziała na pytanie.

ROZDZIAŁ XXVII

PRZEPROWADZKA

Tego wieczoru Ursula wróciła do domu z rozjaśnionymi oczami, w stanie zachwycenia, co drażniło jej rodzinę. Ojciec przyszedł w porze kolacji, zmęczony po wieczornych lekcjach i długiej drodze powrotnej. Gudrun czytała, matka siedziała w milczeniu.

Nagle Ursula oświadczyła dźwięcznym głosem:

— Jutro bierzemy z Rupertem ślub. Ojciec odwrócił się z pewnym trudem.

— Co jutro robicie?

—Jutro! — zawtórowała mu Gudrun.

— Naprawdę? — spytała matka.

Ale Ursula uśmiechała się tylko promiennie nic nie mówiąc.

— Jutro bierzecie ślub! Co ty wygadujesz?

— Ależ tak. Dlaczego nie? — Te dwa słowa w jej ustach zawsze doprowadzały go do wściekłości. — Wszystko już załatwione:.. Pójdziemy do urzędu stanu cywilnego...

Pogodna, niezbyt precyzyjna odpowiedź odebrała im na chwilę mowę.

— Doprawdy, Ursula! — zaprotestowała Gudrun.

— Czy wolno nam spytać, dlaczego zachowywaliście to w takiej tajemnicy? — z pewną wyniosłością zapytała matka.

— W tajemnicy? Przecież wiedzieliście.

— Kto wiedział? — Ojciec teraz już krzyczał. — Kto wiedział? Co znaczy to twoje „przecież wiedzieliście”?

Wpadł w jeden ze swoich ataków bezrozumnego gniewu i Ursula natychmiast odgrodziła się od niego.

— Rzecz jasna, że wiedzieliście — rzekła chłodno. — Wiadomo było, że chcemy się pobrać.

Zapadła groźna cisza.

— Tak? Wiadomo było, że zamierzacie się pobrać? Wiadomo! Jakby w ogóle można było o tobie cokolwiek wiedzieć, ty szczwana suko!

— Ojcze! — zaprotestowała gwałtownie Gudrun, oblana głębokim rumieńcem. I zwróciła się do Ursuli chłodnym, ściszonym głosem, jakby chciała przypomnieć siostrze, że ma być posłuszna — Ale czy ta decyzja nie jest strasznie nagła?

— Właściwie nie. — Ursula dalej była irytująco wesoła. — Od tygodni prosił mnie o zgodę, ma od dawna wszystkie potrzebne dokumenty. Tylko ja… ja nie byłam w głębi duszy gotowa. Teraz jestem. Czy jest o co się gniewać?

— Ależ skądże! — Gudrun powiedziała to jednak tonem chłodnego wyrzutu. — Przecież wolno ci robić, co ci się żywnie podoba.

— Nie byłaś gotowa w głębi duszy? To wszystko, co się dla ciebie liczy, prawda? „Nie byłam gotowa w głębi duszy” — ojciec obraźliwie przedrzeźniał jej słowa. — Nic nie jest ważne, tylko ty i twoja dusza, co?

Wyprostowała się i odchrząknęła. W oczach zapaliło jej się żółte, niebezpieczne światełko.

—Dla mnie tak—odrzekła dotknięta i upokorzona. — Wiem, że nikogo innego to nie obchodzi. Ty zawsze tylko chciałeś mną rządzić, nigdy nie dbałeś o to, czy jestem szczęśliwa.

Nachylił się w jej stronę i wbił w nią intensywny, roziskrzony wzrok

— Ursula, co ty wygadujesz? Trzymaj język na wodzy! — krzyknęła matka. Ursula odwróciła się. Jej oczy miotały błyskawice.

— Nie, nie chcę. Nie będę trzymać języka na wodzy i nie dam sobie łazić po głowie. Co za różnica, kiedy wezmę ślub? Co za różnica? Dotyczy to wyłącznie mnie, nikogo więcej.

Ojciec był napięty i sprężony, jak kot szykujący się do skoku.

— Nikogo więcej? — krzyknął zbliżając się do niej. Odsunęła się.

— Oczywiście! Bo i dlaczego? —- Cofała się przed nim, ale zacięła się w uporze.

—Więc mnie nie obchodzi, co ty robisz... Co się z tobą stanie? — Miał zdławiony głos jak od szlochu.

Matka i Gudrun stały bez ruchu jak zahipnotyzowane.

— Nie — wyjąkała Ursula. Ojciec był już przy niej. — Chcesz tylko... Wiedziała, że to niebezpieczne, i przerwała. Gotów do skoku, wszystkie mięśnie miał napięte.

— Chcę czego? — prowokował ją.

— Terroryzować mnie — mruknęła i jej wargi jeszcze poruszały się, a już jego dłoń wymierzyła jej policzek, ód którego znalazła się przy drzwiach.

— Ojcze — zawołała cienkim głosem Gudrun — jak można!

Nie poruszył się. Ursula oprzytomniała. Z ręką opartą na klamce powoli wyprostowała się. Ojciec stracił jakby na pewności siebie.

— To prawda — oświadczyła z oczami błyszczącymi od łez, z głową butnie uniesioną. — Na czym twoja miłość polega, na czym zawsze polegała? Na żądaniach i zakazach, nic poza tym...

Znów ruszył naprzód dziwnie sprężony, z zaciśniętymi pięściami i twarzą mordercy. Ale szybko jak błyskawica wybiegła za drzwi i usłyszeli, jak pędzi po schodach na górę.

Przez chwilę stał patrząc za nią. Potem, jak poskromione zwierzę, odwrócił się i usiadł z powrotem na swoim miejscu przy kominku.

Gudrun była śmiertelnie blada. W gęstej ciszy rozległ się zimny, gniewny głos matki:

— Nie powinieneś tak się nią przejmować.

Znowu zamilkli, wszyscy pogrążeni we własnych emocjach, snujący własne myśli.

Nagle drzwi się otworzyły. Ursula w kapeluszu, z małą walizeczką w dłoni powiedziała swoim irytującym, jasnym, niemal kpiącym głosem:

— Żegnajcie. Idę sobie.

Natychmiast zniknęła, posłyszeli trzask drzwi frontowych, szybkie kroki na ścieżce ogrodowej, potem stuknęła brama i przebrzmiał odgłos lekkiego stąpania. W domu zapadła śmiertelna cisza.

Ursula pobiegła prosto na stację, jakby miała skrzydła u nóg. Nie było żadnego pociągu, musiała podejść aż do węzła kolejowego. Kiedy tak szła przez mrok, zebrało jej się na płacz; z tępą, rozdzierającą rozpaczą dziecka szlochała gorzko przez całą drogę i jeszcze potem w wagonie. Mijał czas niewiadomy, niezauważalny, nie wiedziała, gdzie jest ani co się z nią dzieje. Łkała tylko w niezmierzonej głębi beznadziejnego, jakże beznadziejnego smutku, strasznego zmartwienia dziecka, które nie daje się ukoić

Ale rozmawiając w drzwiach z gospodynią Birkina miała już znowu w głosie obronną wesołość

— Dobry wieczór! Czy pan Birkin jest w domu? Mogę się z nim zobaczyć?

— Owszem, jest. W swoim gabinecie.

Ursula prześliznęła się koło kobiety. Rupert uchylił drzwi, usłyszał jej głos.

— Ursula! — wykrzyknął zaskoczony, widząc ją z walizką w ręce, ze śladami łez na twarzy. Jak u dziecka, płacz nie zostawił u niej śladów zbyt wyraźnych.

— Wyglądam potwornie, prawda? — Cofnęła się.

— Ależ skąd! Wejdź, proszę. — Wyjął jej z dłoni walizkę i weszli oboje do gabinetu.

Tutaj od razu wargi jej zaczęły drżeć jak wargi dziecka, które przypomniało sobie krzywdę, i oczy zaszkliły się łzami.

— Co się stało? — spytał biorąc ją w ramiona. Czekał spokojnie tuląc ją do siebie, aż przestaną wstrząsać nią gwałtowne łkania. — Co się stało? — powtórzył, kiedy już się trochę uspokoiła. Ale wdsnęła tylko mocniej twarz w jego ramię, rozżalona jak dziecko, które nie umie znaleźć słów.

— Co ci jest?

Nagle oderwała się od niego, otarła oczy i opanowała płacz. Usiadła na krześle.

— Ojciec mnie uderzył — oświadczyła. Siedziała z błyszczącymi oczyma, napięta jak nastroszony ptak.

— Dlaczego?

Odwróciła wzrok nie mogąc wydobyć głosu. Skóra wokół jej wrażliwych nozdrzy i drżących warg nabiegła żałosną czerwienią.

— Dlaczego? — powtórzyła swoim dziwnym, cichym, przenikliwym głosem. Spojrzała na niego zaczepnie. — Bo powiedziałam, że wychodzę jutro za mąż, i znęcał się nade mną.

— Dlaczego się znęcał?

Kąciki jej ust znów opadły, wróciła myślą do przeżytej sceny, do oczu napłynęły łzy.

— Bo powiedziałam, że nic go nie obchodzę. I nie obchodzę. To tylko jego urażona ambicja — przez cały czas mówiła z ustami w podkówkę, co nadawało jej wygląd tak dziecinny, że prawie się roześmiał. Ale nic w tym nie było dziecinnego, była śmiertelnie dotknięta, głęboko zraniona.

— To przecież nieprawda — powiedział. — A nawet gdyby tak było, nie powinnaś tak mówić.

— To jest prawda, szczera prawda — łkała. I nie pozwolę, żeby się znęcał nade mną, niby to z miłości... Co to za miłość! Wcale go nie obchodzę, w ogóle o mnie nie dba, nie potrafi być inny...

Siedział chwilę w milczeniu, rozczulony ponad wszelką miarę.

— Więc nie powinnaś go złościć, jeśli nie potrafi być inny — powiedział spokojnie.

— A ja go kochałam, bardzo kochałam — szlochała. — Kochałam go zawsze, a on zawsze tak mnie traktował, on...

— To po prostu przyciąganie się przeciwieństw. Nie przejmuj się... Wszystko będzie dobrze. Nie ma powodu do rozpaczy.

— Są. — Nie przestawała szlochać. — Są, są.

— Dlaczego?

— Nigdy już go nie zobaczę...

— Na razie nie. Nie płacz, musiałaś zerwać z ojcem, nie mogło być inaczej, nie płacz.

Podszedł do niej i ucałował jej puszyste, delikatne włosy, łagodnie musnął ustami mokre policzki.

— Nie płacz — powtórzył. — Przestań już płakać. Mocnym, pewnym ruchem przygarnął jej głowę do piersi.

Uspokoiła się wreszcie. Podniosła na niego oczy szeroko otwarte i przestraszone. — Nie chcesz mnie? — spytała.

— Czy cię chcę? — Jego pociemniałe, spokojne źrenice peszyły ją i paraliżowały.

— Wolałbyś, żebym tu nie przyszła? — spytała, już znowu niespokojna, że zachowała się niewłaściwie.

— Wolałbym, żeby nie doszło do rękoczynów... Takie to brzydkie... Ale może to było nieuniknione.

Przyglądała mu się w milczeniu. Był jakby przygaszony.

— Ale gdzie mam się zatrzymać? — spytała upokorzona. Zastanowił się.

— Tu, u mnie. Jesteśmy dzisiaj takim samym małżeństwem, jakim będziemy jutro.

— Przecież...

— Powiem pani Varley. Teraz to już wszystko jedno.

Nie odrywał od niej wzroku. Czuła na sobie bez przerwy jego zasępione spojrzenie. Nerwowo odgarnęła włosy z czoła.

— Brzydko wyglądam? Znowu wysmarkała nos.

W jego oczach pojawił się uśmiech.

— Na szczęście nie — powiedział.

Przeszedł do niej przez pokój i wziął ją w ramiona jak swoją własność. Była tak krucha, tak piękna, nie mógł nadużywać jej widoku, mógł tylko tulić ją do siebie, żeby ukryć ją przed swoim wzrokiem. Obmyta przez łzy, była młoda i wątła jak świeżo rozkwitły kwiat, kwiat tak młody, tak delikatny, tak cudownie prześwietlony własnym wewnętrznym światłem, że nie mógł tego znieść, nie mógł patrzeć na nią, musiał kryć ją przed swym wzrokiem tuląc ją do siebie, zasłaniając oczy. Była w niej cudowna szczerość aktu tworzenia, aktu przejrzystego i prostego jak promienny, lśniący kwiat rozkwitły właśnie w niebiańskim szczęściu. Była tak młoda, tak cudownie jasna, niczym nie przyćmiona. A on był tak stary, przytłoczony ciężarem wspomnień. Jej dusza jest nowa, jeszcze nie całkiem

określona i migocą w niej błyski niewidzialnego świata. A jego dusza jest ciemna i posępna, tkwi w niej tylko jedno ziarno żywej nadziei jak ziarno gorczycy. To jedyne tkwiące w nim żywe ziarno odpowiada jej cudownej młodości.

— Kocham cię — szeptał całując ją, drżąc z najczystszej nadziei jak człowiek, który urodził się na nowo do cudownej, radosnej nadziei, rozciągającej się daleko poza obszary wyznaczone przez śmierć

Nie mogła wiedzieć, jak wiele to dla niego znaczy, ile wagi przykłada do tych paru słów. Dziecinnie domagała się dowodów, deklaracji, przesadnych nawet, gdyż wszystko wydawało jej się jeszcze niepewne, nieustalone.

Lecz namiętnej wdzięczności, z jaką chłonął ją w siebie, najwyższej, niewysłowionej radości, że żyje, wie o tym i zdolny jest połączyć się z nią, on, niedawno jeszcze martwy i tak bliski, by razem z resztą swej rasy stoczyć się po zboczu mechanicznej śmierci... nie, tego nie mogła przecież zrozumieć Uwielbiał ją, jak starość wielbi młodość chlubił się nią, albowiem w swym jedynym ziarnie wiary był równie młody jak ona, był dla niej właściwym towarzyszem życia. Małżeństwo z nią przynosiło mu zmartwychwstanie.

Nie mogła tego wszystkiego wiedzieć Chciała, żeby ją podziwiał, uwielbiał. Dzieliły ich nieprzebyte obszary ciszy. Czy mógł jej wytłumaczyć jak nierozłączna z nią jest jej uroda, piękno, które nie jest kształtem, ciężarem czy barwą, lecz promieniującym z niej niepojętym złotym światłem? A czy on sam wiedział, na czym polega dla niego jej piękność? Mówił: „Twój nos jest prześliczny, twój podbródek zachwycający”, ale brzmiało to jak kłamstwo i pozostawiało ją zawiedzioną i dotkniętą. Nawet kiedy szeptem wyznawał jej zgodnie z prawdą: „Kocham cię, kocham”, w gruncie rzeczy nie była to prawda. To, co czuł, było poza miłością, ta radość że zdołał wznieść się ponad siebie, ponad własny doczesny byt Czy mógł mówić „ja”, skoro jest kimś nowym i

nieznanym, kimś innym niż dawniej? To „ja” było martwą literą, starą, przebrzmiałą formułką.

W nowej, najdoskonalszej rozkoszy, w której zamiast wiedzy osiągał spokój, nie istniało „ja” i „ty”, zdarzył się natomiast trzeci nieosiągalny cud, cud istnienia nie tylko w pojedynkę, ale w zespoleniu dwóch istot w jedną nową istotę, w nową rajską jedność która przezwyciężyła dwoistość. Jak może mówić: „Ja cię kocham”, skoro nie ma już mnie ani ciebie, oboje są spleceni, przeobrażeni w nową tożsamość gdzie wszystko jest milczeniem, ponieważ na nic nie trzeba odpowiadać wszystko jest idealną jednomyślnością. Mowa krąży między członami Lecz w doskonalej Jedności panuje doskonała cisza szczęścia.

Nazajutrz wzięli oficjalny ślub i zgodnie z życzeniem Ruperta Ursula napisała do ojca i matki. Matka odpisała, ojciec nie.

Nie wródła już do szkoły. Mieszkała z Birkinem w mieście lub w młynie przenosząc się, kiedy on się przenosił. Nie widywała nikogo prócz Gudrun i Geralda. Było jej jeszcze dziwnie i obco, ale czuła też ulgę, jaką przynosi świt.

Któregoś popołudnia rozmawiała z Geraldem w ciepłym gabinecie w młynie. Rupert nie wrócił jeszcze do domu.

—Jesteś szczęśliwa? — spytał z uśmiechem.

— Bardzo! — zawołała chroniąc się w swoją jasność

— Widać to nawet

— Naprawdę? — zdziwiła się. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

— Całkiem wyraźnie.

Sprawiło jej to przyjemność. Zastanawiała się przez chwilę.

— Po Rupercie też widać, że jest szczęśliwy? Spojrzał w bok i spuścił powieki.

— Owszem.

— Rzeczywiście?

— Ależ tak.

Przycichł, jakby to był temat, na który nie wypada mu mówić Wydawał się smutny.

Ursula była bardzo podatna na sugestie, zadała więc pytanie, którego od niej oczekiwał.

— Dlaczego ty nie masz być równie szczęśliwy? Przecież mógłbyś. Odczekał chwilę.

— Z Gudrun? — spytał.

— Tak! — zawołała z błyskiem w oczach. Ale wytworzyło się między nimi osobliwe napięcie, mówili ze sztucznym naciskiem, jakby wygłaszali życzenia niezgodne z prawdą.

— Myślisz, że Gudrun zechciałaby mnie i że bylibyśmy szczęśliwi? — Jestem tego pewna.

Oczy jej stały się okrągłe z zachwytu. Ale w głębi duszy wiedziała, że zachowuje się nienaturalnie, że jest natarczywa.

— Och, tak się cieszę — dodała. Uśmiechnął się.

— Z czego?

— Ze względu na nią. Nie wątpię, że ty... że ty jesteś dla niej właściwym mężczyzną.

— Nie wątpisz? I sądzisz, że ona też tak uważa?

— O, tak! — potwierdziła skwapliwie. Po namyśle dorzuciła, mocno zakłopotana: — Choć Gudrun nie jest taka prosta. Trudno ją w pięć minut poznać. Nie jesteśmy pod tym względem do siebie podobne. — Śmiała się do niego całą swoją dziwną, otwartą, olśnioną twarzą.

— Myślisz, że nie jest do ciebie podobna? Ściągnęła brwi.

— Och, pod wieloma względami nawet bardzo. Ale nigdy nie wiem, co zrobi, kiedy powstaje nowa sytuacja.

— Nie wiesz? — Gerald milczał przez chwilę. Wreszcie poruszył się. — W każdym razie mam zamiar poprosić, żeby wyjechała ze mną na Boże Narodzenie — odezwał się cienkim, ostrożnym głosem.

— Chcesz, żeby pojechała gdzieś z tobą? Na pewien czas, oczywiście?

— Na jak długo zechce — odpowiedział z lekkim grymasem. Przez chwilę nic nie mówili.

— Co prawda — odezwała się w końcu Ursula — istnieje możliwość, że przedtem zechce wyjść za ciebie za mąż. Rozumiesz?

— Tak — uśmiechnął się Gerald — rozumiem. Ale gdyby nie miała na to ochoty, to myślisz, że zgodziłaby się pojechać ze mną za granicę na parę dni... lub na parę tygodni?

— Chyba tak. Można ją spytać.

— A gdybyśmy pojechali wszyscy razem?

— Wszyscy? — Znowu twarz jej się rozjaśniła. — To byłoby zabawne!

— Bardzo zabawne.

— I wtedy byś zobaczył. — Co?

—Jak to się układa. Ja uważam, że miesiąc miodowy najlepiej spędzać przed ślubem, a ty?

Zadowolona była ze swego bon mot. Gerald roześmiał się.

— W niektórych przypadkach. W każdym razie wolałbym, żeby tak było w moim.

— No popatrz! — zawołała Ursula. I dodała z wahaniem: — Może zresztą masz rację. Człowiek powinien postępować po swojemu.

Wkrótce nadszedł Birkin i Ursula opowiedziała mu przebieg rozmowy.

— Gudrun! Gudrun to urodzona kochanka, tak samo jak Gerald to typowy kochanek — amant en titre. Jeżeli, jak ktoś powiedział, kobiety dzielą się na żony i kochanki, to Gudrun na pewno jest kochanką.

— A mężczyźni to albo kochankowie, albo mężowie? A dlaczego nie jedno i drugie?

— Bo jedno wyklucza drugie — roześmiał się.

— Wobec tego ja chcę kochanka.

— Nie, nie chcesz.

— Kiedy właśnie chcę — jęknęła. Pocałował ją ze śmiechem.

W dwa dni potem Ursula wybrała się po swoje rzeczy do Bełdover. Rodzina wyprowadziła się, w domu nie było już nikogo, Gudrun wynajęła mieszkanie w Willey Green.

Ursula nie widziała rodziców, odkąd wyszła za mąż. Płakała z powodu zerwania, ale czy była na to jakaś rada? Wszystko jedno, nie mogła przecież do nich iść. Jej rzeczy zostały więc w domu i obie z Gudrun postanowiły pójść po nie razem.

Popołudnie było wietrzne, kiedy dotarły do domu, niebo nasiąkło czerwienią. Okna były ciemne i puste, dom budził już lęk. Doszczętnie ogołocony z mebli hall frontowy podziałał na dziewczęta przygnębiająco.

— Wiesz, chyba nie ośmieliłabym się przyjść tu sama — rzekła Ursula. — Po prostu się boję.

— Ursula! — zawołała Gudrun. — Czy to nie zdumiewające? Możesz uwierzyć, że mieszkałaś tutaj i nigdy tego nie odczuwałaś? Jakim cudem mogłam spędzić tu choćby jeden dzień i nie umrzeć ze strachu, to dla mnie nie do pojęcia.

Zajrzały do wielkiej jadalni. Był to przestronny pokój, ale nawet cela byłaby przytulniejsza. Szerokie wnęki okienne były nagie, podłoga goła, pas ciemny od pasty biegł wokół

bledszych desek. Na wyblakłych tapetach widać było ciemniejsze plamy, tam gdzie poprzednio stały meble czy wisiały obrazy. Nastrój tych ścian, suchych, pustych, lichych ścian i lichej podłogi, bladej, ze sztucznie poczernionymi brzegami, działał na umysł otępiająco.

Nie było tu żadnego oparcia dla zmysłów, żadnej substancji w tym ogrodzeniu, które niczego nie ogradzało, gdyż ściany były z zeschniętego papieru. Czy dziewczęta stały na ziemi, czy były zawieszone w papierowym pudle? Kominek pełen był popiołu i nie dopalonych skrawków.

— I wyobraź sobie, że tutaj spędzałyśmy życie! — rzekła Ursula.

— Wiem. To przerażające. Jakie musimy być, jeśli to my jesteśmy treścią tego.

— To ohydne. Naprawdę wstrętne.

Pod kratownicą kominka rozpoznawała nie dopalone okładki Vogue, osmalone podobizny eleganckich kobiet.

Przeszły do saloniku. Jeszcze jedno pomieszczenie, w którym zamknięto powietrze; pokój bez ciężaru i masy, dający tylko nieznośne poczucie uwięzienia w papierowej nicości Kuchnia wyglądała bardziej materialnie z powodu pieca i czerwonej wykładziny podłogowej, ale była zimna i nieprzytulna.

Kroki dziewcząt dudniły głucho na schodach, z których zdjęto dywan. Każdy dźwięk odzywał się echem w ich sercach. Szły pustyni korytarzem. Pod ścianą sypialni Ursuli leżały jej rzeczy — kufer, koszyk z przyborami do szycia, kilka książek, jakieś nie zapakowane płaszcze, pudło na kapelusze — opuszczone i samotne w opustoszałym półmroku.

— Wesoły widok, prawda? — rzekła Ursula patrząc na swój porzucony dobytek

— Bardzo wesoły.

Obie siostry zaczęły znosić wszystko na dół, do drzwi frontowych. Wielokrotnie powtarzały swój dudniący głuchym echem spacer. Cały dom zdawał się rozbrzmiewać wokół nich zgiełkiem głuchego, pustego przemijania. Z oddali, z pustych, niewidocznych pokoi docierała do nich wibracja wręcz nieprzyzwoita. Dziewczęta prawie biegiem wyniosły na dwór resztę rzeczy.

Tu jednak było zimno. Czekały jeszcze na Birkina, który miał przyjechać samochodem. Znowu weszły do środka, na górę do sypialni rodziców, której okna wychodziły na drogę, skąd widać było za polami pokratkowany zachód słońca nie dającego już światła.

Usiadły w oknie, żeby tu poczekać Obie rozglądały się po pokoju. Był pusty i wyzuty z wszelkiego sensu w sposób niemal przerażający.

— Doprawdy — rzekła Ursula. — Ten pokój nie mógłby być świętym miejscem, nie uważasz?

Gudrun popatrzyła leniwie.

— Na pewno nie.

— Kiedy myślę o ich życiu — matki i ojca, o ich miłości, małżeństwie, o tym, jak rodziły im się dzieci, jak nas chowali.. Chciałabyś mieć takie życie, Prune?

— Nie chciałabym.

— Taką się to wydaje nicością... Te ich dwa życia — nie ma w nich sensu. Naprawdę, gdyby wcale się nie spotkali i nie pobrali, i nie żyli razem... nie miałoby to najmniejszego znaczenia.

— Właściwie nie wiadomo.

— Oczywiście. Ale, Prune, gdybym przypuszczała, że moje życie też tak się potoczy... — chwyciła Gudrun za ramię. — Uciekłabym.

Gudrun długo się nie odzywała.

— W gruncie rzeczy nie można zakładać, że się będzie miało zwyczajne życie... Nie można tego brać pod uwagę. Z tobą, Ursulo, jest całkiem inaczej. Ty przy Birkinie będziesz poza tym wszystkim. On jest przypadkiem wyjątkowym. Ale z przeciętnym człowiekiem, którego życie związane jest na stale z jednym miejscem, małżeństwo jest wręcz niemożliwe. Mogą istnieć i istnieją tysiące kobiet, które tego chcą i nie potrafią wyobrazić sobie innego życia. Ale ja na samą myśl o tym wpadam w szał. Człowiek musi być wolny, przede wszystkim wolny. Można postradać wszystko inne, ale trzeba zachować wolność, nie stać się na zawsze panią z Pinchbeck Street czy z Somerset Drive, czy z Shortlands. Żaden mężczyzna, nawet najlepszy, tego nie powetuje, żaden! Męża trzeba mieć niezależnego albo lepiej go nie mieć wcale. Ma to być towarzysz broni, Glücksritter. Mąż z pozycją towarzyską — o nie, to po prostu nie do wytrzymania.

—Jakie ładne słowo — Glücksritter! — powiedziała Ursula. — O wiele ładniejsze niż „awanturnik”.

— Właśnie. Z Glücksritterem zdobyłabym cały świat. Ale dom, ognisko domowe! Ursulo, co by to oznaczało? Pomyśl...

— Wiem. Miałyśmy już jeden dom. Dla mnie to dosyć.

— Zupełnie dosyć

— „Mały szary domek na Zachodzie” — zacytowała ironicznie Ursula.

— I brzmi to też szaro — powiedziała zawzięcie Gudrun.

Przerwał im warkot samochodu.. Przyjechał Birkin. Ursulę zaskoczyło, że poczuła się aż tak promiennie żywa, tak nagle wolna od kłopotów z szarymi domkami na Zachodzie. Usłyszały stukot jego butów na podłodze w hallu. — Hej! Tu jesteśmy!

Wbiegł pędem na górę.

— Upiorna atmosfera.

— W takich domach nie straszy, nie miały nigdy osobowości, a tylko dom z osobowością może mieć swojego upiora — rzekła Gudrun.

— Masz chyba rację. Opłakujecie przeszłość?

— Właśnie — potwierdziła sarkastycznie Gudrun. Ursula roześmiała się.

— Nie żal nam, że minęła, ale że w ogóle była.

— Rozumiem — powiedział z ulgą.

Usiadł z nimi na moment. Ursula pomyślała, że jest w nim jakiś blask i intensywność W jego obecności zacierała się nawet arogancka struktura tego nijakiego domu.

— Gudrun mówi, że cierpnie na myśl o małżeństwie i urządzaniu mieszkanka — rzekła znacząco Ursula. Była to oczywiście aluzja do planów Geralda.

Odczekał chwilę.

— No cóż — stwierdził — jeśli z góry wiesz, że tego nie zniesiesz, jesteś bezpieczna.

— O tak! — zawołała Gudrun.

— Dlaczego celem życia każdej kobiety jest mężulek i mały szary domek na Zachodzie? Dlaczego uważa to za największe osiągnięcie? Czy tak musi być? — pytała Ursula.

— Il faut avoir le respect de ses bêtises — odrzekł Birkin.

— Ale nie trzeba szanować głupstw, zanim się je popełniło — roześmiała się Ursula.

— A co z des bêtises de papa?

— Et de maman? — dorzuciła kpiąco Gudrun.

— Et des voisins? — dodała Ursula.

Roześmieli się i cała trójka wstała. Robiło się ciemno. Zanieśli rzeczy do auta. Gudrun zamknęła za sobą drzwi

pustego domu.

Wszyscy zdawali się rozradowani, jakby wyruszali na wycieczkę.

— Mógłbyś zatrzymać się przed sklepem Coulsonów? Muszę tam zostawić klucze — rzekła Gudrun.

— Proszę bardzo. — Birkin wprawił auto w ruch.

Przystanęli na głównej ulicy. Sklepy były już oświetlone, groblą wracali do domu zapóźnieni górnicy — cienie, ledwie widoczne pod kopalnianym pyłem, sunące przez granatowe powietrze. Ale ich stopy ostro wybijały na chodniku różnorodne rytmy.

Jakże Gudrun była zadowolona, że po wyjściu ze sklepu może wsiąść do samochodu, który powiezie ją szybko na dół, w dotykalny zmierzch, razem z Ursula i Birkinem! Jaką przygodą wydawało się w tym momencie życie! Jak mocno pozazdrościła znienacka Ursuli! Dla Ursuli życie płynęło wartko, stało przed nią otworem — tak niefrasobliwie, jakby nie tylko ten świat, ale świat, który minął, i świat, który miał nadejść, były dla niej niczym. Ach, gdyby mogła być taka sama, jakże byłoby cudownie!

Gdyż zawsze, prócz momentów podniecenia, czuła, że czegoś jej brak. Była niepewna siebie. Zdawało jej się, że teraz wreszcie, w mocnej, gwałtownej miłości Geralda znalazła pełnię życia, jego uwieńczenie. Lecz kiedy porównywała się z Ursula, w jej duszy natychmiast budziła się zazdrość, czuła niedosyt. Nie była zaspokojona, nigdy nie będzie zaspokojona.

Czego jej teraz brakowało? Małżeństwa — cudownej małżeńskiej stabilizacji. Przecież chciała tego, wszystko jedno, co na ten temat mówiła. Kłamała. Dawny ideał małżeństwa wcale się nie zdezaktualizował — małżeństwa i domu. A jednak skrzywiła się na sam dźwięk tych słów. Pomyślała o Geraldzie i o Shortlands, o małżeństwie i domu. No dobrze, niech tak na razie pozostanie! Dużo dla niej

znaczył, ale... Może nie nadaje się do roli żony? Jest banitą, tułaczem pozbawionym korzeni. Nie, nie... to niemożliwe. Nagle wyczarowała przed sobą różowy pokoik, a w nim siebie w pięknej sukni i przystojnego mężczyznę w wieczorowym stroju, który w świetle padającym z kominka trzyma ją w ramionach i całuje. Obraz nosił tytuł „Mój dom". Nadawałby się do Akademii Królewskiej.

— Chodź do nas na herbatę, proszę — rzekła Ursula, kiedy dojeżdżali do Willey Green.

— Strasznie dziękuję, ale muszę wrócić do domu... — Wolałaby pojechać do Ursuli i Birkina. Miało to dla niej smak prawdziwego życia. Ale jakaś przekora kazała jej odmówić.

— Chodź, kochana. Będzie nam tak miło — błagała Ursula.

— Ogromnie mi przykro... Bardzo bym chciała, ale nie mogę, wierz mi... Wysiadła z samochodu z nerwowym pośpiechem.

— Naprawdę nie możesz? — W pytaniu Ursuli brzmiał żal.

— Naprawdę nie mogę. — Z mroku dobiegł ich zasmucony, zmartwiony głos Gudrun.

— Nic ci nie trzeba? — spytał Birkin.

— Nic, dziękuję. Dobranoc.

— Dobranoc.

— Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz, ucieszymy się — dorzucił Birkin.

— Dziękuję bardzo. — Zaskoczyła go nuta samotnej skargi w jej nosowym, obcym głosie.

Weszła do bramy swego domu, a oni odjechali. Natychmiast jednak przystanęła, żeby popatrzeć na znikający w dali samochód. Kiedy ruszyła ścieżką do obcego domu, serce ściskała jej niezrozumiała gorycz.

W saloniku stał szafkowy zegar. W jego tarczę wmontowana była rumiana, okrągła, skośnooka, jaskrawa twarz, która w rytm tykania zegara przechylała się w jedną stronę puszczając śmieszne perskie oko, by wrócić zaraz do poprzedniej pozycji z tym samym niedorzecznym, porozumiewawczym spojrzeniem. Przez cały czas ta absurdalnie gładka, mocno rumiana twarz puszczała do niej natrętnie oko. Gudrun stała wpatrując się w zegar, aż ogarnął ją niepohamowany wstręt i wziął ją pusty śmiech z samej siebie. Twarz nadal kołysała się i puszczała do niej oko to z jednej strony, to z drugiej. Ach, jakże czuła się nieszczęśliwa! U szczytu najbujniejszego szczęścia jakże była nieszczęśliwa! Spojrzała na stół. Dżem agrestowy i wiecznie to samo domowe ciasto z nadmierną ilością sodki. Dżem agrestowy, co prawda, był smaczny i rzadko się pojawiał.

Przez cały wieczór ciągnęło ją, żeby iść do młyna. Ale kategorycznie sobie tego zabroniła. Udała się tam natomiast nazajutrz po południu. Ucieszyła się, że zastała Ursulę samą. Było zacisznie, intymnie i niesłychanie miło. Zachwycone rozmawiały ze sobą bez końca. „Czy nie jesteś tu strasznie szczęśliwa?” — Gudrun pytała w duchu siostrę patrząc na własne rozjaśnione oczy w lustrze. Zawsze trochę zazdrościła, może nawet nie bez urazy, tej dziwnej aury afirmującej pełni, jaką roztaczali wokół siebie Ursula i Birkin.

— Pięknie urządzony pokój — powiedziała głośno. — Ta gęsto pleciona rogoża ma śliczny kolor, barwę zimnego światła.

Wydawało jej się to cudowne.

— Ursula — spytała w końcu z pozorną obojętnością — czy wiesz, że Gerald Crich zaproponował, żebyśmy we czwórkę pojechali gdzieś na Boże Narodzenie?

— Tak, rozmawiał o tym z Rupertem.

Głęboki rumieniec zabarwił policzki Gudrun. Milczała przez chwilę, jakby stropiona nie wiedziała, co powiedzieć.

— Czy nie uważasz — odezwała się wreszcie — że jest zdumiewająco bezczelny?

Ursula roześmiała się.

— Lubię go za to.

Gudrun milczała. Wprawdzie w jakiejś mierze czuła się upokorzona, że Gerald pozwolił sobie wysunąć taką propozycję wobec Birkina, ale widać było, że sam pomysł mocno ją pociąga.

— Gerald jest tak uroczo bezpośredni — rzekła Ursula — tak po swojemu prowokujący! Och, moim zdaniem jest bardzo sympatyczny.

Gudrun nie odpowiedziała od razu. Czuła się jeszcze dotknięta z powodu zamachu na jej wolność

— Co Rupert odpowiedział?

— Że byłoby to niesamowicie przyjemne. Gudrun znów zamilkła i spuściła wzrok.

— A ty nie jesteś tego zdania? — spytała ostrożnie Ursula. Nigdy nie była całkiem pewna, iloma liniami obronnymi otoczyła się siostra.

Gudrun niechętnie podniosła twarz i rzekła nie patrząc na Ursulę:

— Owszem, mogłoby to być, jak mówisz, niesamowicie przyjemne. Ale czy nie sądzisz, że niewybaczalną impertynencją było rozmawiać o tym z Rupertem, który ostatecznie... Wiesz, co mam na myśli... Jakby dwaj panowie aranżowali wyprawę z jakąś damulką, którą poderwali na ulicy. To naprawdę nie do darowania. —Jej oczy błyszczały, miękka twarz była czerwona i zagniewana.

Ursula patrzyła na nią trochę przestraszona, głównie dlatego, że, jej zdaniem, sama Gudrun wyglądała raczej

dość wulgarnie, właśnie jak damulka. Ale nie miała odwagi, żeby to nawet pomyśleć — nie do końca.

— Och, nie — zająknęła się — wcale nie tak, absolutnie nie masz racji. Mnie ta przyjaźń między Rupertem a Geraldem wydaje się piękna. Są po prostu szczerzy, mówią sobie wszystko, jak bracia.

Gudrun zarumieniła się mocniej. Nie mogła znieść tego, że Gerald o niej rozmawia, nawet z Birkinem.

—Ale czy myślisz, że bracia mają prawo wymieniać tego rodzaju zwierzenia?— zapytała z gniewem.

— Tak. Nigdy nie mówią niczego, co by nie było nieskazitelnie uczciwe. To mnie najbardziej zdumiało u Geralda. Jaki okazał się cudownie prosty i bezpośredni! Wiesz, na to trzeba być człowiekiem dużego formatu. Mężczyźni przeważnie muszą kręcić. Tacy z nich tchórze!

Lecz Gudrun ciągle jeszcze przeżuwała w milczeniu złość We wszystkim, co jej dotyczyło, domagała się absolutnej dyskrecji.

— Nie pojedziesz? — spytała Ursula. — Byłoby nam tak wesoło! Gerald ma w sobie coś takiego, co ja kocham, jest o wiele milszy, niż myślałam. Jest wolny, Gudrun, naprawdę wolny.

Usta Gudrun nadal były zaciśnięte, surowe i brzydkie. Wreszcie rozchyliła

— Wiesz, dokąd zamierzałby jechać?

— Do Tyrolu. Bywał tam, kiedy mieszkał w Niemczech, w uroczym miejscu, w prymitywnej, ślicznej, małej dziurze, dokąd studenci jeżdżą na sporty zimowe!

Przez głowę Gudrun przemknęła gniewna myśl: „Są znakomicie poinformowani”.

— Tak — powiedziała na głos — około czterdziestu kilometrów od Innsbrucku, prawda?

— Nie wiem dokładnie, gdzie to jest, ale na pewno jest tam prześlicznie, pomyśl, wysoko, w nieskalanym śniegu?

— Prześlicznie — powtórzyła z ironią Gudrun. Ursula speszyła się.

— Zresztą — powiedziała — pewna jestem, że Gerald nie rozmawiał z Rupertem tak, jakby chodziło o wyprawę z damulką.

— Wiem, oczywiście, że jest w jego zwyczaju zadawać się z tego typu kobietami.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Słyszałam o pewnej modelce w Chelsea — rzekła chłodno Gudrun. Teraz zamilkła Ursula.

— No cóż — odezwała się w końcu z niepewnym uśmiechem — mam nadzieję, że przyjemnie spędza z nią czas.

Na co Gudrun jeszcze bardziej spochmurniała.

ROZDZIAŁ XXVIII

GUDRUN W KAWIARNI „POMPADOUR”

Zbliżało się Boże Narodzenie, cała czwórka szykowała się do odlotu. Birkin i Ursula zajęci byli pakowaniem swych nielicznych osobistych rzeczy, żeby je mieć w. pogotowiu, gdy tylko zdecydują się, do jakiego kraju i do jakiej miejscowości w końcu pojadą. Gudrun była ogromnie podniecona. Uwielbiała przygotowania do podróży.

Gerald i ona, ponieważ byli pierwsi gotowi, wyruszyli przez Londyn i Paryż do Innsbrucku, gdzie mieli spotkać się z Ursulą i Birkinem. W Londynie zatrzymali się na jedną noc. Poszli do music-hallu, a potem do kawiarni „Pompadour”.

Gudrun nie cierpiała tej kawiarni, ale mimo to ciągle do niej wracała, jak większość jej znajomych artystów. Wstrętna jej była atmosfera tanich grzeszków, taniej zawiści i taniej sztuki. Lecz przychodziła tu zawsze, ilekroć znalazła się w mieście. Jakby musiała wracać do tej centralnej wirówki dezintegracji i rozkładu, żeby chociaż rzucić na nią okiem.

Siedziała z Geraldem popijając słodkawy likier i ciemnym, nieprzyjaznym wzrokiem mierząc towarzystwo przy stolikach. Nie zamierzała z nikim się witać, ale różni młodzi mężczyźni kłaniali jej się z czymś w rodzaju drwiącej poufałości. Sprawiało jej przyjemność, że siedzi tu z rumieńcami na policzkach, z chmurnym spojrzeniem czarnych oczu i ogląda obiektywnie, od zewnątrz, całą tę małpią menażerię upodlonych dusz. Boże, jaka to była obmierzła zgraja! Krew jej tętniła w żyłach z gniewu i odrazy. A przecież musi siedzieć i patrzeć, patrzeć. Kilka osób podeszło zamienić z nią parę słów. Z wszystkich stron

kawiarni zwracały się na nią półukradkowe, kpiące spojrzenia, panowie zerkali przez ramię, kobiety spod kapeluszy.

Była tu cała stara paczka — Carlyon w swoim kącie ze swoimi uczniami i swoją dziewczyną, Halliday i Libidnikow — nikogo nie brakowało. Gudrun obserwowała Geralda. Widziała, jak jego wzrok zatrzymuje się na Hallidayu i na ludziach przy jego stoliku. Ci ostatni byli już w pogotowiu — ukłonili mu się, on się odkłonił. Teraz chichotali i szeptali między sobą. Gerald przyglądał im się z nieprzeniknionym błyskiem w oku. Nakłaniali do czegoś Minette.

W końcu dziewczyna wstała z krzesła. Miała na sobie osobliwą suknię z ciemnego jedwabiu w długie blade smugi, co wywoływało dziwny, promienisty efekt. Zeszczuplała, jej oczy były być może bardziej rozszerzone, mniej przytomne. Poza tym nie zmieniła się wcale. Gerald przyglądał jej się, kiedy szła w ich kierunku, z nieprzeniknionym błyskiem w oku. Podała mu wiotką, jasną dłoń.

—Jak się masz? — rzekła.

Uścisnął jej rękę, ale nadal siedział nie bacząc na to, że stoi obok, oparta o stolik. Skłoniła się chłodno w stronę Gudrun, której nie znała na tyle, by z nią rozmawiać, ale dość dobrze z widzenia i reputacji.

— Znakomicie — powiedział Gerald. — A ty?

— U mnie wszystko w porządku. A co u Łupełta?

— U Ruperta? Też wszystko w porządku.

— Nie o to mi chodzi Co jest z tym jego małżeństwem?

— Owszem, ożenił się. Oczy Minette rozbłysły.

— Och, dopławdy, udało mu się to? Kiedy wziął ślub?

— Tydzień, a może dwa tygodnie temu.

— Dopławdy? Nie odezwał się słowem. — Nie?

— Nie. Nie uważasz, że to niełądnie z jego stłony?

Ostatnie słowa powiedziała tonem wyzywającym. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że Gudrun przysłuchuje się.

— Sądzę, że nie miał na to ochoty.

— Ale dlaczego? — naciskała Minette.

Gerald milczał. Drobna, ładna postać krótkowłosej dziewczyny tchnęła brzydkim, kąśliwym uporem.

— Długo zostaniesz w mieście? — spytała.

— Tylko do jutra.

— Ach, tylko do jutła. Przyjdziesz połozmawiać z Juliusem?

— Dzisiaj nie.

— No cóż, bałdzo dobrze. Powiem mu. Wyglądasz, jakbyś był w znakomitej fołmie — zabrzmiało to jak złośliwość

— Bo też jestem — Gerald odpowiedział spokojnie i swobodnie z iskierkami kpiącego rozbawienia w oczach.

—Dobrze się bawisz? — Tym razem wymierzyła cios bezpośrednio w Gudrun. Mówiła równym, monotonnym głosem z impertynencką poufałością.

— Tak — odrzekł bezbarwnie.

— Stłasznie mi przykło, że nie wpadniesz. Nie jesteś bałdzo wiełny swoim przyjaciołom?

— Nie bardzo.

Pożegnała oboje skinieniem głowy i powoli wróciła do swego towarzystwa. Gudrun obserwowała jej szczególny chód — szła sztywno, podrzucając biodrami. Usłyszeli jej matowy, równy głos.

— Nie chce przyjść, jest zajęty. — Przy stoliku wzmogły się śmiechy, szepty i drwiny.

— Jesteś z nią zaprzyjaźniony? — spytała Gudrun zwracając na Geralda spokojne spojrzenie.

— Mieszkałem z Birkinem u Hallidayów — odrzekł spotykając jej niezmącony, opanowany wzrok. Wiedziała, że Minette była jedną z jego kochanek, a on wiedział, że ona wie.

Rozejrzała się i przywołała kelnera. Zachciało jej się akurat mrożonego cocktailu. Gerald, rozbawiony, zastanawiał się, co będzie dalej.

Towarzystwo przy stoliku Hallidayów było podpite i w złośliwym nastroju. Rozmawiano głośno o Birkinie natrząsając się z niego, zwłaszcza na temat jego małżeństwa.

— Och, nie każcie mi myśleć o Birkinie — piszczał Halliday.— Doprowadza mnie do mdłości. Jest tak samo niemożliwy jak Jezus. „Boże, co mam zrobić, żeby dostąpić zbawienia?!”

Zachichotał po pijacku sam do siebie.

— Pamiętacie — dobiegł ich ostry głos Rosjanina — listy, jakie przysyłał? „Pożądanie jest święte...”

— Tak! — wykrzyknął Halliday. — Ależ to przecież boskie! Mam nawet jeden przy sobie. Na pewno.

Powyciągał różne papiery z portfela.

— Na pewno, przepraszam, mam go gdzieś tutaj... Gerald i Gudrun nie spuszczali z nich oczu.

— O tak, naprawdę... epp, boskie! Nie rozśmieszaj mnie, Minette, dostaję od tego czkawki. Epp! — Całe towarzystwo chichotało.

— I co on tam pisze w tym liście? — spytała Minette nachylona do przodu z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, które wiły się wokół jej twarzy. Było coś dziwnie nieprzyzwoitego w jej drobnej, wydłużonej jasnej czaszce, zwłaszcza kiedy miała odsłonięte uszy.

— Czekajcie, och, czekajcie! O nie, nie dam ci go, będę czytał na głos. Wybiorę co lepsze kawałki. Epp, ojej!

Myślicie, że jak napiję się wody, to mi przejdzie czkawka? Epp! Och, jestem bezradny jak dziecko.

— Czy to nie jest ten list o jedności mroku i światła i o Rzece Rozkładu? — spytał Maxim swoim precyzyjnym, inteligentnym głosem.

— Chyba tak — rzekła Minette.

— Rzeczywiście? Zapomniałem… epp… że to ten właśnie. — Halliday rozłożył list. —Epp… Tak. Boskie! To jeden z najlepszych. „Każda rasa przechodzi fazę — czytał powoli, melodyjnie, wyraźnie, jak kaznodzieja czytający Pismo święte — kiedy żądza zniszczenia góruję nad każdą inną żądzą. U jednostki ta żądza staje się w ostatecznym rachunku żądzą samozniszczenia” epp… — przerwał i rozejrzał się.

— Mam nadzieję, że dalej pracuje nad zniszczeniem samego siebie — wtrącił Rosjanin.

Halliday zachichotał i lekko pokiwał głową.

— Nie ma w nim wiele do zniszczenia — rzekła Minette — jest taki chudy, że pławię nic z niego nie zostało.

— No, czy to nie cudowne? Co za radość to czytać! Naprawdę wyleczyło mnie to z czkawki — piszczał Halliday. — Pozwólcie mi czytać dalej. „Jest to pragnienie unicestwienia, cofnięcia się do prapoczątku, powrotu Rzeką Rozkładu do pierwotnych, najelementarniejszych warunków istnienia…” Och, naprawdę, uważam, że to cudowne. Może nawet zastąpić Biblię…

— Tak… Rzeka Rozkładu — rzekł Rosjanin — pamiętałem to określenie.

— Zawsze mówił o łozkładzie i o zgniliźnie — wtrąciła Minette — sam musi być zgniły, jeśli ciągle ma w głowie zgniliznę.

— Właśnie! — zgodził się Rosjanin.

— Dajcie czytać dalej! O, ten fragmencik jest niezrównany! Posłuchajcie: „I z owego wielkiego kroku wstecz, z unicestwienia żywego organizmu czerpiemy wiedzę i więcej niż wiedzę — fosforyzującą ekstazę dojmujących doznań”. Nie, słowo daję, jakie te zdania są absurdalnie cudowne! Nie uważacie, że są... że są prawie równie dobre jak Jezus? „I jeśli Ty, Julius, pragniesz zaznać tej ekstazy z Minette, to musisz wytrwać do końca. Lecz na pewno trwa w Tobie też w jakimś zakamarku żywa chęć tworzenia, pragnienie związku w ufności bez skazy, kiedy cały proces czynnego rozkładu, z którego powstają kwiaty błota, spełni się ponad miarę i mniej czy bardziej zakończy...” Zastanawiam się, co to są te kwiaty błota. Minette, ty jesteś kwiatem błota.

— Dziękuję... A ty czym jesteś?

— Och, ja też jestem kwiatem błota, sądząc z tego listu! Wszyscy jesteśmy kwiatami błota... Fleurs, epp, du mal. Ach, jakie to boskie... Birkin, nękający piekło, gromiący kawiarnię „Pompadour”... epp...

— Czytaj — rzekł Maxim — co dalej? To naprawdę bardzo interesujące.

— Moim zdaniem to bezczelność tak pisać — mruknęła Minette.

— Tak, tak, masz rację — dorzucił Rosjanin. — To oczywiście megaloman, ma też rodzaj manii religijnej. Uważa się za Zbawcę człowieka... Czytaj dalej.

— „Na pewno — zaintonował Halliday — dobroć i miłosierdzie towarzyszyły mi przez wszystkie dni mego życia...” — Przerwał i zachichotał. Potem znów zaintonował, melodyjnie jak kaznodzieja. — „Niewątpliwie przyjdzie dzień, kiedy wygaśnie w nas owo pragnienie ciągłych rozstań, pasja odrzucania od siebie wszystkiego... nas samych... rozrywania się na strzępy, intymnej reakcji jedynie na rozpad, używania seksu jako najważniejszego

czynnika destrukcji, odechce nam się rozkładać na części wysoce skomplikowaną jedność elementów męskich i żeńskich, odrzucać dawne ideały, cofać się do stanu dzikości po bodźce zmysłowe, stale dążyć do zagubienia się w jakimś ostatecznym, czarnym doznaniu, bez myśli i bez końca, płonąć tylko ogniem, który niszczy, z nadzieją czekać na całopalenie...”

— Pójdę już — rzekła Gudran dając znak kelnerowi. Oczy jej błyszczały, policzki pokrył rumieniec. List Birkina odczytywany z intonacją kaznodziei, czystym, dźwięcznym głosem, zdanie po zdaniu, sprawił, że krew napłynęła jej do głowy z niepohamowanej wściekłości.

Podniosła się podczas gdy Gerald płacił rachunek, i podeszła do stolika Hallidaya. Całe towarzystwo utkwiło w niej wzrok.

— Przepraszam — powiedziała — czy czyta pan autentyczny list?

— Ależ tak — odparł Halliday — całkiem autentyczny.

— Mogę zobaczyć?

Z niemądrym uśmiechem podał jej jak zahipnotyzowany.

— Dziękuję — rzekła.

Odwróciła się i pomiędzy stolikami, z listem w ręku, przeszła właściwym sobie, rytmicznym krokiem, przez całą salę w stronę wyjścia. Upłynęło parę chwil, nim ktokolwiek zdał sobie sprawę, co właściwie zaszło.

Przy stoliku Hallidaya rozległo się kilka nieartykułowanych okrzyków, potem ktoś gwizdnął i wszyscy goście w tej części sali zaczęli gwizdać w ślad za oddalającą się postacią. Gudrun była modnie ubrana w czerń, zieleń i srebro, jej zielony kapelusz mienił się połyskliwie jak niektóre owady, matowe, ciemnozielone rondo opadało cieniutkim srebrnym brzeżkiem, płaszcz też był ciemnozielony, błyszczący, z wysokim kołnierzem z

szarego futra i z szerokimi futrzanymi mankietami, wystający spod niego brzeg sukni był ze srebrnego i czarnego aksamitu, pończochy i buciki srebrnoszare. Powoli, z wytworną nonszalancją, szła w stronę drzwi. Portier otworzył je przed nią z uniżonym ukłonem, na jej skinienie pobiegł na krawężnik chodnika i gwizdnął na taksówkę. Światła pojazdu niemal natychmiast, jak dwoje świecących oczu skręciły w jej stronę.

Gerald szedł za nią zdumiony, wśród gwizdów, nie mógł się połapać, co takiego zrobiła. Usłyszał, jak Minette mówi:

— Idź i odbierz jej. To niesłychane. Idź i odbierz. Powiedz Geraldowi Crichowi, o, tam idzie, szybko, niech nam go odda.

Gudrun czekała przy drzwiczkach taksówki, które portier trzymał dla niej otwarte.

— Do hotelu? — spytała, kiedy nadszedł w pośpiechu Gerald.

— Dokąd chcesz.

— Dobrze! „Hotel Wagstaff”, Barton Street — rzuciła szoferowi. Szofer skinął głową.

Gudrun wsiadła do taksówki odmierzonymi ruchami kobiety, która wie, że jest dobrze ubrana, i ma wzgardliwy stosunek do świata. Trudno byłoby poznać, jak bardzo jest w duszy zmarznięta i przedenerwowana. Gerald usiadł obok niej.

— Zapomniałeś o napiwku — rzekła chłodno, lekko skinąwszy kapeluszem. Gerald dał portierowi szylinga. Portier zasalutował i taksówka ruszyła.

— O co była ta awantura? — spytał Gerald, jeszcze ciągle nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

— Zabrałam im list Birkina.

Zobaczył, zmięte kartki w jej ręce. Oczy rozbłysły mu zadowoleniem.

— Wspaniale! Zgraja osłów!

— Chętnie bym ich zabiła! — zawołała z pasją. — Psy! Psy, nic więcej! Dlaczego Rupert jest aż tak głupi, żeby pisać do nich takie listy? Dlaczego oddaje się na pastwę takiej canaille? Tego nie można znieść.

Geralda zdziwiła gwałtowność jej gniewu.

Nie chciała zostać dłużej w Londynie. Postanowili pojechać rannym pociągiem z Charing Cross.

Kiedy pociąg przejeżdżał przez most i rzeka migała w przerwach między wielkimi żelaznymi przęsłami, Gudrun zawołała:

— Mam uczucie, jakbym już nigdy nie miała zobaczyć tego wstrętnego miasta! Nie mogę znieść myśli, że kiedyś tutaj powrócę.

ROZDZIAŁ XXIX

KONTYNENTALNY

Przez ostatnie tygodnie przed wyjazdem Ursula żyta w stanie nierealnego zawieszenia. Nie była sobą, nie była nikim. Miała stać się kimś — wkrótce, zaraz, natychmiast. Ale na razie była to tylko zapowiedź.

Odwiedziła rodziców. Było to spotkanie dość sztywne i smutne, raczej potwierdzające rozejście się niż powrót do rodzinnej spójni. Ich wzajemne stosunki były niejasne i nieokreślone, a oni niezdolni do odmienienia losu, który ich z nią rozdzielił.

Ocknęła się dopiero, kiedy znalazła się na statku płynącym z Doyer do Ostendy. Jak we mgle jechała z Birkinem do Londynu, jak we mgle upływał pobyt w Londynie i tak samo podróż pociągiem do Dover. Wszystko działo się jak gdyby we śnie.

Dopiero teraz, kiedy stała na rufie statku w nieprzejrzanych ciemnościach wietrznej nocy, czując kołysanie morza i patrząc na nikłe, samotne światełka, migoczące na wybrzeżach Anglii jak na wybrzeżach świata, który nie istnieje, widząc, jak coraz słabsze gasną w głębokim, żywym mroku, poczuła, że coś w jej duszy porusza się, jakby budziła się z narkotycznego snu.

— Przejdźmy na przód statku, dobrze? — zaproponował Birkin. Chciał znaleźć się w najdalej wysuniętym punkcie. Przestali patrzeć na nikłe ”iskierki, które błyskały znikąd, gdzieś w oddali, w kraju zwanym Anglią, i zwrócili twarze w stronę nieprzeniknionej nocy przed nimi.

Przeszli na łagodnie zanurzony dziób statku. W absolutnej ciemności Birkin znalazł względnie osłonięty

zakątek, gdzie leżał ogromny zwój liny okrętowej. Tuż przed nimi kończył się statek i zaczynała czarna, niezgłębiona przestrzeń. Tu usiedli, przytuleni do siebie, owinięci jednym pledem, spleceni ze sobą najciaśniej, tak ciasno, jak gdyby wtopili się w siebie i scalili w jedność. Było bardzo zimno w gęstym, dotykalnym niemal mroku.

Na pokładzie pojawił się ktoś z załogi, ciemny jak ciemność, właściwie niewidzialny. Domyślali się tylko, gdzie w mroku prześwituje słabo bladość jego twarzy. Wyczuł ich obecność i zatrzymał się niepewny, po czym nachylił się nad nimi. Z bliska i on dojrzał przeświturającą słabo w mroku bladość ich twarzy. Potem oddalił się jak duch. Patrzyli w ślad za nim w najgłębszej ciszy.

Zdawali się zanurzać w mroczną głębię. Nie było nieba, nie było ziemi, tylko nieprzejrzana ciemność, w którą miękko zdawali się spadać, jak jedno oddzielone ziarno żyda spada przez ciemną, bezdenną przestrzeń.

Zapomnieli, gdzie się znajdują, zapomnieli o wszystkim, co było i co jest, tylko ich serca zachowały świadomość, i to jedynie świadomość czystego lotu w dół, przez najgęstszą ciemność. Dziób statku pruł z cichym szmerem nieprzeniknioną noc. Nic nie wiedząc, nic nie widząc płynął naprzód.

W duszy Ursuli wszystko przyćmiła pewność, że przed nią jest nie znany jej świat. Wśród najgłębszego mroku w jej sercu zdawał się jaśnieć blask raju, nieprzeczuwanego i niespełnionego raju, wypełniało je najcudowniejsze światło, złote jak miód ciemnośd, słodkie jak ciepło dnia, światło, które spływało nie na świat, lecz jedynie na nieznany raj, do jakiego zdążała, na słodycz przebywania w nim, na radość żyda nieznanego, lecz niezawodnie jej własnego. W porywie zachwytu uniosła ku niemu twarz, a on dotknął jej ustami. Była tak chłodna, tak świeża, pachnąca morzem — jak gdyby całował kwiat, rosnący wśród przybrzeżnych fal.

Nie znał tak jak ona uniesienia, jakie daje przeczuwanie rozkoszy. Porażał go cud samej podróży. Spadał przez otchłań nieskończonych ciemnośd, jak meteor lecący przez pustkę pomiędzy światami. Świat był rozdarty na dwoje, a on jak nie zapalona gwiazda płynął przez nienazwane szczeliny. Jeszcze na razie nie sięgał dalej, poza swój lot w dół. Nic innego dla niego nie istniało.

Leżał w transie trzymając Ursulę w objęciach, z twarzą przy jej sypkich, delikatnych włosach. Wdychał ich zapach razem z zapachem morza i głębokiej nocy. W jego duszy był spokój, przestał walczyć, gdy zapadł w nieznane. Teraz, kiedy ostatecznie odchodził poza życie, po raz pierwszy pełny, absolutny spokój zapanował w jego sercu. Ocknęli się, kiedy na pokładzie wszczął się ruch. Wstali. Jacy o tej nocnej porze byli sztywni i odrętwiali! A przecież ona miała blask raju w sercu, a on nieopisany spokój ciemności.

Stanęli na pokładzie i spoglądali przed siebie. Nisko w mroku migotały światła. A więc świat znowu istniał. Nie tylko jej radość i jego spokój. Był to powierzchowny, nieprawdziwy świat faktów. Jednak nie całkiem taki jak dawniej. Gdyż nadal odczuwali spokój i radość.

Dziwne i smutne ponad wszysko, jak wpłynięcie ze Styksu w świat podziemi, było to nocne lądowanie. Znaleźli się w surowej, słabo oświetlonej, osłoniętej przestrzeni, wśród bezmiaru ciemności, z drewnianą spróchniałą podłogą, pod stopami, otoczeni zewsząd pustką. Ursula spostrzegła duże, blade, tajemnicze litery OSTENDA wznoszące się w mroku. Wszyscy tu ze ślepą, owadzią determinacją spieszyli przez ciemnoszare powietrze, tragarze wołali coś nieangielską angielszczyzną i znikali pędząc kłusem z ciężkimi walizami, w swych bezbarwnych bluzach majaczących widmowo w półmroku. Ursula stanęła przy długiej, niskiej, obitej blachą barierze z setką widm — daleko w cierpką, rozległą ciemność rozciągał się niski rząd otwartych walizek i widmowych ludzi, podczas gdy po

drugiej stronie bariery bladzi, zaspani celnicy w czapkach z daszkiem przewracali bieliznę w walizkach, na których gryzmolili potem znaki kredą Wreszcie mieli to za sobą. Birkin chwycił ręczny bagaż i oddalili się z idącym za nimi tragarzem. Przeszli przez wielkie drzwi wyjściowe i znowu znaleźli się pod nocnym niebem —już na peronie kolejowym. Jeszcze ciągle przez ciemnoszare powietrze nawoływały się głosy podniecone, jakby nie należące, do ludzi, a widma biegły przez mrok wśród pociągów.

— KOLONIA—BERLIN — Ursula odczytywała napisy na tablicach zawieszonych po jednej stronie wysokiego pociągu.

— Tutaj wsiadamy — rzekł Birkin. Koło siebie zobaczyła tablicę: ALZACJA-LOTARYNGIA-LUKSEMBURG-METZ-BAZYLEA.

— Tu do Bazylei. Zbliżył się tragarz.

—A Bale, deuxième classe? Voilà! — Wspiął się na wysokie stopnie wagonu. Poszli w jego ślady. Niektóre przedziały były już zajęte. Ale nie brakowało też pustych i ciemnych. Tragarz umieścił bagaże i dostał napiwek.

— Nous avons encore...? — Birkin przeniósł wzrok z zegarka na tragarza. —Encore une demi—heure. — Znikł im z oczu w swoim niebieskim kombinezonie.

Był brzydki i arogancki.

— Chodź — rzekł Birkin —jest zimno. Musisz coś zjeść.

Na peronie stał wagon-kawiarnia. Pili gorącą, lurowatą kawę i jedli długie bułki z szynką — żeby odgryźć kąsek, trzeba było tak szeroko otwierać usta, że Ursula niemal zwichnęła szczękę; spacerowali wzdłuż pociągu. Wszystko tu było takie obce, tchnące tak niezmierzoną pustką, jak świat umarłych, jak szare, brudnoszare, opustoszałe, beznadziejne nigdzie, szare, posępne nigdzie.

Nareszcie pociąg ruszył w noc. W mroku Ursula domyślała się płaskich pól, wilgotnej, płaskiej, posępnej

ciemności kontynentu. Zatrzymali się zaskakująco szybko — Brugia! Potem znów przez jednostajną ciemność z prześwitami śpiących farm, smukłych topoli, bezludnych szos. Siedziała nastroszona z dłonią w dłoni Birkina. Rupert blady, nieruchomy, jakby sam był upiorem, chwilami wyglądał przez okno, chwilami przymykał oczy. Potem znowu otwierał je, ciemne jak otaczający ich mrok za oknem.

Wiązka światła w mroku — Gandawa! Na peronie znowu kilka widmowych cieni, dzwonek i pociąg rusza w jednostajną ciemność. Ursula widziała, jak jakiś mężczyzna z latarnią w ręku wychodzi z zagrody przy torach i idzie w stronę ciemnych zabudowań gospodarskich. Przypomniało jej się Marsh, dawne beztroskie życie na farmie w Cossethay. Mój Boże, jak daleko została rzucona od swego dzieciństwa i jak daleką ma jeszcze przed sobą drogę! Wędrówka przez życie trwa całe eony. Tak wielka była przepaść między wspomnieniem dzieciństwa w swojskim krajobrazie Cossethay i Marsh Farm (pamiętała służącą Tilly, która dawała jej chleb z masłem posypany brunatnym cukrem w starej bawialni, gdzie stał szafkowy zegar z wymalowanymi nad tarczą dwiema czerwonymi różami w koszyczku) a chwilą obecną, kiedy oto jedzie w nieznane z zupełnie obcym człowiekiem, że wydawało się, jak gdyby utraciła własną tożsamość i dziecko bawiące się na cmentarzu w Cossethay było postacią historyczną, a nie prawdziwą Ursulą.

Pociąg stanął w Brukseli — pół godziny na śniadanie. Wysiedli. Wielki zegar dworcowy wskazywał szóstą. Podano im kawę, bułki i miód w obszernym bufecie, w ponurym, znowu ponurym budynku, tak rozpaczliwie wielkim. Ale umyła twarz i ręce ciepłą wodą — co za ulga!

I już znowu siedzieli w rozpędzonym pociągu. Zaczęło szarzeć. W przedziale było kilka osób — zażywnych, rumianych belgijskich handlowców z długimi brunatnymi

brodami; rozprawiali bez przerwy brzydką francuszczyzną, której ze zmęczenia nie mogła zrozumieć.

Zdawało się, że pociąg powoli wyjeżdża z ciemności w słabe światło, po czym paroma susami w jasny dzień. Ach, jakie to było męczące! Drzewa majaczyły jak cienie. Potem dom, cały biały, dziwnie wyrazisty. Dlaczego? Potem zobaczyła wieś, mijali dom za domem.

Była to wciąż jeszcze podróż przez stary świat, skuty zimą i posępny, przez uprawne pola i łąki, kępy bezlistnych drzew, kępy krzaków i gospodarstwa nagie, bo nikt się w nich nie krzątał. Jeszcze nie było nowej ziemi.

Zerknęła na Birkina. Miał twarz białą, cichą i od wieków niezmienną, nazbyt niezmienną. Błagalnie splotła pod pledem palce z jego palcami. Odpowiedział uściskiem i spojrzeniem. Jakże ciemne były jego oczy, jak noc, jak tamten świat. Ach, gdyby to on był światem, gdyby światem był tylko on! Gdyby mógł powołać do istnienia świat, który byłby ich własnym światem!

Belgowie wysiedli, pociąg jechał dalej, przez Luksemburg, Alzację i Lotaryngię, Metz. Ale Ursula nie widziała już nic. Jej dusza nie chciała patrzeć.

Wreszcie dotarli do Bazylei i tam do hotelu. Wszystko odbierała jak w transie, z którego nie umiała się ocknąć. Wyszli do miasta rano przed odjazdem pociągu. Widziała ulicę, rzekę, stanęła na moście. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

Zapamiętała jakieś sklepy — jeden pełen obrazów, inny z pomarańczowym aksamitem i gronostajami. Ale czy to cokolwiek znaczyło?

Uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy znaleźli się znów w pociągu. Dopiero wtedy poczuła ulgę. Póki pędzili naprzód, była zadowolona. Minęli Zurych i wkrótce jechali już pod zaśnieżonymi górami. Nareszcie zbliżała się do celu. To był ten inny świat.

Innsbruck, zanurzony głęboko w śniegu i wieczorze, był urzekający. Pojechali odkrytymi saniami — w pociągu było tak gorąco i duszno. Hotel ze złotym światłem lampy nad wejściem wydawał się domem. Weszli do hallu roześmiani. Było tu ludno i ruchliwie.

— Przepraszam, czy przyjechali już tu z Paryża Anglicy, państwo Crich? — spytał po niemiecku Birkin.

Portier zastanawiał się chwilę i właśnie miał odpowiedzieć, kiedy Ursula zobaczyła Gudrun schodzącą powoli ze schodów w połyskliwym, ciemnym płaszczu przybranym szarym futrem.

— Gudrun! Gudrun! — Stojąc na dole klatki schodowej machała do niej ręką w górę. — Hej, Gudrun!

Gudrun spojrzała przez poręcz i natychmiast porzuciła swą nonszalancką, znudzoną pozę. Oczy jej zabłysły.

— Ursula! To naprawdę ty! — Ruszyła schodami w dół, podczas gdy Ursula biegła pod górę. Spotkały się na zakręcie i ucałowały wśród śmiechu i nieartykułowanych okrzyków wzruszenia i radości.

— Spodziewaliśmy się was dopiero jutro — Gudrun była szczerze zmartwiona. — Chciałam wyjść na stację!

— A my przyjechaliśmy dzisiaj! Czy tu nie jest cudownie?!

— Wręcz bosko! Gerald właśnie poszedł coś kupić. Ursulo, jesteś na pewno potwornie zmęczona?

— Nie tak bardzo. Ale wyglądam szkaradnie, prawda?

— Nic podobnego! Wyglądasz wprost idealnie świeżo. Strasznie mi się podoba ten twój futrzany toczek! — Przyjrzała się Ursuli ubranej w obszerny, miękki płaszcz z wielkim kołnierzem z puszystego jasnego futra i w toczek z takiego samego futra.

— A ty! — zawołała Ursula. — Czy wiesz, jak ty wyglądasz?! Gudrun przybrała obojętną, pozbawioną

wyrazu minę.

— Podoba ci się?

— To jest przepiękne! — zawołała Ursula, może nawet z leciutką kpiną.

— Wejdźcie na górę lub zejdźcie — powiedział Birkin. Siostry bowiem stały ciągle na schodach, w połowie drogi na pierwsze piętro, tarasując przejście robiły z siebie widowisko dla wszystkich ludzi, którzy znajdowali się w hallu, począwszy od portiera, a skończywszy na pulchnym Żydzie w czarnym ubraniu.

Młode kobiety z wolna ruszyły na górę; Birkin i służący poszli w ślad za nimi.

— Pierwsze piętro? — spytała Gudrun przez ramię.

— Drugie, Madame... Oto winda. — Służący błyskawicznie rzucił się w stronę dźwigu, żeby uprzedzić panie. Ale nie zwróciły na niego uwagi, gdy zagadane bez opamiętania, zaczęły wchodzić na drugie piętro. Poszedł za nimi nieco rozżalony.

Osobliwa była ich obopólna radość. Jakby spotkały się na wygnaniu i mogły wreszcie połączyć siły przeciw światu. Birkin, zdumiony, przyglądał się temu trochę nieufnie.

Kiedy już się wykąpali i przebrali, przyszedł Gerald. Bił od niego blask, jak w mroźny dzień od słońca.

— Idź z Geraldem na papierosa — poprosiła Birkina Ursula. — Chcemy sobie pogadać.

Siostry usiadły w sypialni Gudrun; rozmawiały o strojach i o ostatnich doświadczeniach. Gudrun opowiedziała Ursuli o liście Birkina i o awanturze w kawiarni. Ursula była wstrząśnięta i przestraszona.

— Gdzie jest ten list? — spytała.

— Zachowałam go.

— Dasz mi?

Gudrun milczała przez chwilę.

— Naprawdę ci jest potrzebny?

— Chcę go przeczytać.

— Oczywiście — rzekła Gudrun.

Nawet teraz nie miała chęci przyznać się siostrze, że wolałaby zachować ten list jako memento czy symbol. Ale Ursula sama się tego domyśliła i nie była zachwycona. Przeskoczyły na inny temat.

— Co robiłaś w Paryżu? — spytała.

— O, to, co zwykle — odparła lakonicznie Gudrun. — Byliśmy na wspaniałym przyjęciu u Fanny Bath.

— Oboje z Geraldem? I kto jeszcze? Opowiedz mi wszystko.

— Właściwie nie ma nic specjalnego do opowiadania. Fanny, jak wiesz, jest nieprzytomnie zakochana w malarzu, Billym Macfarlane. On też tam był, toteż Fanny nie szczędziła niczego, wydała masę pieniędzy. To było naprawdę wyjątkowe przyjęcie! Oczywiście wszyscy się strasznie popili, ale w interesujący sposób, nie tak jak ta wstrętna londyńska banda! Po prostu każdy z nich był kimś i na tym polega różnica. Pewien Rumun, świetny facet, kompletnie pijany, wspiął się na drabinę i wygłosił stamtąd cudowne przemówienie... Wierz mi, Ursulo, to było nadzwyczajne! Zaczął po francusku: „La vie, c’est une affaire d’âmes impériales” — ma piękny głos i jest bardzo przystojny — ale zaraz przeszedł na rumuński i żywa dusza go nie rozumiała. Donalda Gilchrista wprawiło to w szał. Rzucił kieliszkiem o podłogę i oświadczył, że, na Boga, jest szczęśliwy, że się urodził... i, na Boga, cudownie jest żyć. I wiesz, Ursulo, była to prawda... — Śmiech Gudrun był raczej wymuszony.

— A jak czuł się wśród nich Gerald?

— Gerald! Słowo daję, jak ryba w wodzie. Kiedy jest podniecony, wystarczy sam jeden za całą orgię. Nie umiałabym powiedzieć, czy była tam jakaś talia, której by nie objął. Naprawdę, Ursulo, on kosi kobiety jak żyto. Ani jedna mu się nie umiała oprzeć. To było zdumiewające! Czy możesz to zrozumieć?

Ursula zastanowiła się; światełko zatańczyło w jej oczach.

— O, tak, mogę. On zawsze idzie na całego.

— Bez wątpienia! — zawołała Gudrun. — On idzie na całego. Ale rozumiesz, naprawdę każda z obecnych tam kobiet była gotowa mu ulec. Król kogutów! Nawet Fanny Bath, autentycznie zakochana w Billym Macfarlane! W życiu nie byłam tak zdumiona! I wiesz, potem czułam się, jakbym sama była całym tłumem kobiet. Dla niego nie byłam sobą, tak jak nie byłam na przykład królową Wiktorią! Po prostu byłam całym tłumem kobiet naraz. Słowo daję! Tym razem trafił mi się sułtan...

Oczy Gudrun błyszczały, policzki jej płonęły, wyglądała niezwykle, egzotycznie kpiąco. Ursulę porwał zachwyt, a jednocześnie poczuła się nieswojo.

Czas już było przebrać się do kolacji. Gudrun zeszła w śmiałej toalecie z jaskrawozielonego jedwabiu przetykanego złotem, z zielonym aksamitnym stanikiem i w dziwnej, czarno-białej przepasce na włosach. Była naprawdę uderzająco piękna i zwracała ogólną uwagę. Gerald, błyskotliwy, pełen animuszu, wydawał się jeszcze bardziej przystojny niż zawsze. Birkin obserwował ich wzrokiem bystrym, rozbawionym, niemal złowieszczym. Ursula zupełnie straciła głowę. Zdawało się, że magiczny urok, wręcz oślepiający, otoczył ich stół, oświetlony mocniej niż cała jadalnia.

— Czy tu nie jest cudownie? — spytała Gudrun. — Uwielbiam śnieg! Zauważyliście, jak on wzmaga każdą

barwę? To wprost bajeczne... Człowiek naprawdę czuje się übermenschlich, nadludzki.

— Tak! — zawołała Ursula. — Ale czy to w pewnej mierze nie dlatego, że jesteśmy poza Anglią?

— Naturalnie. W Anglii nigdy nie można tak się czuć, choćby dlatego, że nigdy nie zdejmuje się tłumika. Na nic absolutnie nie można sobie pozwolić. Nie można tam zachowywać się swobodnie, to jest dla mnie oczywiste.

I zabrała się do jedzenia, przyjemnie podniecona.

— Święta prawda — rzekł Gerald — w Anglii nigdy tak nie jest. Może dlatego, że sami tego nie chcemy, bo u nas byłoby to jak rozpalenie ognia zbyt blisko prochowni. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby każdy miał pełną swobodę.

— Mój Boże! — zawołała Gudrun. — Byłby to wspaniały widok, gdyby cała Anglia nagle wybuchła jak wielki fajerwerk.

— To niemożliwe — rzekła Ursula. — Anglicy są zawsze tak przemoczeni. Proch w nich byłby zbyt mokry.

— Nie jestem tego pewny — oświadczył Gerald.

— Ani ja — dodał Birkin. — Kiedy Anglicy naprawdę zaczną eksplodować en masse, trzeba będzie zatkać uszy i czym prędzej zmykać.

— To się nigdy nie stanie — powiedziała Ursula.

— Zobaczymy.

— Czy to nie zdumiewające — przerwała Gudrun — że człowiek może być aż tak szczęśliwy, bo znalazł się za granicą? Sama sobie nie dowierzam: wprost nie posiadam się z radości od chwili, gdy postawiłam nogę na obcej ziemi. Powtarzam w duchu: „Jestem zupełnie nowym człowiekiem”.

— Nie bądźcie za surowi dla biednej starej Anglii — powiedział Gerald. — Złorzeczymy jej, ale kochamy ją w

gruncie rzeczy.

Ursuli te słowa wydały się zgoła cyniczne.

— Może i tak — rzekł Birkin. — Ale to piekielnie niewygodna miłość. Jak miłość do starego ojca, który straszliwie cierpi z powodu licznych powikłanych chorób, bez nadziei na wyzdrowienie.

Gudrun zwróciła na niego rozszerzone ciemne oczy.

— Myślisz, że nie ma nadziei? — spytała rzeczowo.

Ale Birkin wolał się wycofać. Nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie.

— Czy jest jakaś nadzieja, że Anglia stanie się rzeczywista? Jeden Bóg wie. Teraz to kraj iluzoryczny, zbiorowisko złudzeń. Mógłby być krajem realnym, gdyby nie było Anglików. .

— Myślisz, że Anglicy będą musieli zniknąć? — obstawała przy swoim Gudrun. W dziwnym skupieniu czekała na jego odpowiedź. Jakby dowiadywała się o swój własny los. Ciemne, rozszerzone źrenice utkwiła w Birkinie, jakby w magiczny sposób mogła wydobyć z niego prawdę o przyszłos’ci, czyniąc z niego narzędzie wyroczni.

Rupert był blady. Długo zwlekał, nim wreszcie odpowiedział:

— No cóż, co może ich czekać innego? W każdym razie muszą się rozstać ze swoim własnym, specjalnym gatunkiem angielskości.

Gudrun jak zahipnotyzowana nie odrywała od niego wzroku.

— Co to znaczy rozstać się? — nalegała.

— Myślisz, że przestaną ją kochać? — podsunął Gerald.

—Ja w ogóle nic nie myślę. Bo i dlaczego? Sam jestem Anglikiem i słono za to zapłaciłem. Nie mogę mówić o Anglii... Mówię tylko we własnym imieniu.

— Tak — rzekła z namysłem Gudrun — ty bezgranicznie kochasz Anglię, bezgranicznie, Rupercie.

— I opuszczam ją.

— Nie na zawsze. Wrócisz. — Gerald pokiwał głową z miną mędrca.

— Mówi się, że wszy opuszczają umierającego — rzekł Birkin z gniewną goryczą. — A więc opuszczam Anglię.

— Tak, ale do niej wrócisz. — Gudrun uśmiechnęła się ironicznie.

— Tant pis pour moi.

— On się gniewa na swoją ojczyznę! — roześmiał się Gerald.

— Ach, patriota! — Okrzyk Gudran zabrzmiał szyderczo. Birkin już nie raczył odpowiedzieć.

Gudrun przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. Nagle odwróciła wzrok. Urok prysnął, nie widziała już w nim magicznej wyroczni. Znowu ocknął się w niej cynizm. Spojrzała na Geralda. Wydał się jej cudowny jak grudka radu. Mogłaby spalić się i poznać wszystko dzięki temu zgubnemu, żywemu metalowi. Uśmiechnęła się do swego pomysłu. A co zrobi z sobą, kiedy wypali się doszczętnie? Bo jeśli duszę, jeśli istnienie można zniszczyć, Materia pozostaje niezniszczalna.

Był pełen życia, ale w tym momencie roztargniony, jakby przebywał myślami gdzie indziej. Wyciągnęła piękne ramię w pianie zielonego tiulu i dotknęła jego podbródka wrażliwymi palcami artystki.

— Bardzo jestem ciekawa — uśmiechnęła się.

— Czego? — Jego oczy nagle rozszerzyły się w zdumieniu.

— O czym myślisz? Miał minę człowieka zbudzonego ze snu.

— Chyba o niczym.

— Naprawdę? — Jej śmiech miał odcień powagi.

I Birkinowi wydało się, że tym dotknięciem zabiła Geralda. Zawołała:

— Więc wypijmy za Brytanię... Za Brytanię! — W jej głosie zabrzmiała dzika rozpacz. Gerald roześmiał się i napełnił kieliszki.

— Rupert zdaje się uważa, że narodowo wszyscy Anglicy muszą zginąć, aby nadal mogli istnieć indywidualnie i...

— Nadnarodowo — zakończyła Gudrun i z lekko ironiczną miną uniosła kieliszek.

Nazajutrz zeszli do maleńkiej stacji Hohenhausen na krańcu krótkiej linii kolejowej w dolinie. Wszędzie leżał śnieg, biała, nieskażona kołyska ze śniegu, świeżego i zamarzniętego, a po obu jej stronach czarne turnie i rozległe, srebrzyste przestrzenie wznoszące się ku blademu błękitowi nieba.

Gdy weszli na pusty peron, skąd widać było śnieg wokół i w górze, Gudrun skuliła się, jakby poczuła mróz w sercu.

— Mój Boże, Jerry — zwróciła się do Geralda z niespodziewaną intymnością — osiągnąłeś swój cel.

— Mój cel?

Niejasnym gestem wskazała na świat dookoła.

— Spójrz tylko!

Jakby bała się iść dalej. Roześmiał się.

Byli w sercu gór. Ze wszystkich stron spływały z wysoka fałdy białego śniegu. Człowiek czuł się drobny i znikomy w dolinie czystego, zakrzepłego nieba, w dziwnie świetlistej, niezmiennej ciszy.

— Każdy tu czuje się mały i samotny — szepnęła Ursula do Birkina kładąc mu rękę na ramieniu.

— Nie żałujesz, że tu przyjechałaś? — Gerald zwrócił się do Gudrun. Wydawała się niepewna. Wyszli ze stacji w śnieżny wąwóz. Gerald z zachwytem wciągnął powietrze.

— Cudownie! A oto nasze sanie. Poruszajmy się trochę... Pobiegniemy drogą.

Gudrun, ciągle pełna wątpliwości, cisnęła swój ciężki płaszcz na sanie, tak jak zrobił Gerald, i poszła w ślad za nim. Nagle odrzuciła do tyłu głowę i ruszyła pędem po zaśnieżonej drodze naciągając kaptur na uszy. Jej jaskrawoniebieska suknia łopotała na wietrze, grube, czerwone pończochy odcinały się od bieli śniegu. Gerald patrzył za nią: zdawało się, że biegnie na spotkanie swego losu, zostawiając go w tyle. Pozwolił jej oddalić się nieco, po czym puścił się w pogoń.

Wszędzie leżał głęboki, cichy śnieg. Szerokie dachy tyrolskich domów, aż do okien zagrzebanych w śniegu, uginały się pod ciężarem zaśnieżonych okapów. Wieśniaczki w fałdzistych spódnicach, ze skrzyżowanymi na piersiach chustami, w grubych śniegowcach, przystawały na drodze, żeby obejrzeć się za delikatną dziewczyną, z całą determinacją usiłującą uciec przed mężczyzną, który stopniowo ją doganiał, lecz nie zyskiwał nad nią przewagi.

Minęli gospodę z malowanymi okiennicami i balkonem, kilka chat zagrzebanych w śniegu, zawalony śniegiem milczący tartak przy krytym moście nad niewidocznym strumieniem, za którym znaleźli się na nietkniętych obszarach głębokiego śniegu. Cisza i nieskalana biel pobudzała do obłędnej wesołości. Ale ta niczym nie zmącona cisza napawała też przerażeniem, odosabniała duszę, otaczała serce mroźnym powietrzem.

— To cudowne miejsce, mimo wszystko — powiedziała Gudrun spoglądając mu wprost w oczy szczególnym, znaczącym wzrokiem. Serce mu zabiło.

— Jak dobrze...

Gwałtowny prąd elektryczny zdawał się przebiegać przez jego członki, od nadmiernego ładunku energii prężyły się mięśnie, twardniały ręce. Szli obok siebie śnieżną drogą, znaczoną suchymi gałęziami drzew, które powtykano w regularnych odstępach. Byli oddzieleni jedno od drugiego jak przeciwstawne bieguny tej samej nieujarzmionej siły. I oboje czuli w sobie dość energii, by ponad granicami życia wtargnąć w zakazane rejony i znów powrócić.

Birkin i Ursula również biegli po śniegu. Rupert położył bagaże na saniach, które nieco wyprzedzili. Ursula była podniecona i szczęśliwa, nieustannie odwracała się i chwytała Birkina za ramię upewniając się, że jest tuż obok.

— Tego się nigdy nie spodziewałam. To całkiem inny świat.

Weszli na śnieżną łąkę. Doścignęły ich sanie prując dzwoneczkami ciszę. Zrobili jeszcze milę, zanim dogonili Gudrun i Geralda na urwistym wzniesieniu, nie opodal różowej, wpół zasypanej śniegiem kapliczki.

Potem wjechali w parów, gdzie były ściany z czarnej skały, rzeka wypełniona śniegiem i niebo w górze spokojne i błękitne. Minęli kryty mostek, dudniąc na drewnianych deskach, powtórnie przejechali zaśnieżone koryto rzeki, wznosili się stopniowo coraz wyżej, konie pospieszały, woźnica, idący obok sań, trzaskał z bicza i dziwnie, dziko nawoływał „hej, heeej!”, powoli przesuwały się skalne ściany, aż wreszcie znów znaleźli się wśród stoków i śnieżnych zasp. Wspinali się powoli przez chłód popołudniowych blasków i cieni uciszeni bliskością gór — świetlistych śnieżnych stoków, które wisiały wysoko nad nimi i staczały się w dół.

W końcu wydostali się na niewielki wyniosły płaskowyż, cały w śniegu, białe szczyty otaczały go jak płatki rozwiniętej róży. W samym środku ostatnich, bezludnych, podniebnych wąwozów stał samotny dom o brązowych,

drewnianych ścianach, z białym ciężkim dachem, zatopiony w pustce śnieżnego bezmiaru jak sen. Wyglądało to, jak gdyby skała stoczyła się z ostatnich stromych zboczy i przybrała kształt domu zagrzebanego w śniegu. Nie do wiary było, że ktoś może tu przebywać, że nie zmiażdży go straszliwa, niezmierzona pustka bieli i ciszy i mróz wysoki, jasny i dźwięczny.

Sanie jednak podjechały w pięknym stylu pod dom, w drzwiach ukazali się ludzie roześmiani i podnieceni, podłoga gospody dudniła, sień była wilgotna od śniegu, cale wnętrze realne i ciepłe.

Nowo przybyli, prowadzeni przez pokojówkę, wdrapali się po drewnianych schodach. Gudrun i Gerald zajęli pierwszy pokój. Był nieduży, odseparowany od innych, niemal bez mebli, cały ze złotawego drzewa. Podłoga, ściany, sufit, drzwi — wszystko tu było ciepłozłote, wykładane boazerią z impregnowanej sosny. Naprzeciw drzwi znajdowało się okno, bardzo nisko, bo dach był ukośny. W miejscu, gdzie sufit był najbardziej pochyły, stał stół z miednicą do mycia i z dzbanem, obok drugi stół z lustrem, a po obu stronach drzwi dwa wysokie zasłane łóżka z olbrzymimi, naprawdę olbrzymimi kołdrami w niebieską kratę.

To było wszystko — ani szafy, ani innych udogodnień. Byli zamknięci we dwoje, sami w tej celi ze złocistego drzewa, z tymi łóżkami w niebieską kratę. Spojrzeli na siebie i roześmiali się przestraszeni bliskością, tak ostro obnażoną przez odosobnienie.

Zapukano i wszedł służący z bagażem. Był to krzepki mężczyzna o pociągłej twarzy, bladawej cerze, z szorstkimi, jasnymi wąsami. Gudrun przyglądała się, jak milcząco układa walizki i wychodzi ciężkim krokiem.

— Czy nie wydaje ci się tu za prymitywnie? Pokój był niezbyt ciepły i Gudrun lekko dygotała.

—Ach, jak przepięknie! — pominęła jego pytanie. — Spójrz na kolor tych desek! Bajeczny, jakby człowiek znalazł się wewnątrz orzecha.

Stał muskając krótki wąs, nieco odchylony do tyłu, i nie odrywał od niej oczu przenikliwych i zuchwałych, opanowany przez niewygasającą namiętność, która spadła na niego jak wyrok losu.

Przykucnęła przy oknie i wyjrzała zaciekawiona.

— Och, przecież... — wydała bezwiednie wręcz bolesny okrzyk.

Za oknem rozciągała się dolina otoczona niebem, ostatnie potężne zbocza ze śniegu i czarnej skały i na samym końcu, w głębi, jak w pępku ziemi, spowita w biel ściana i dwa szczyty lśniące w wieczornym świetle. Wprost przed nimi niecka cichego śniegu kładła się między wielkimi stokami, u których nasady jak grzywka z włosów ciemniały sosny. Ale śnieżna niecka ciągnęła się dalej, do bariery, która zamykała ją na wieczność, aż tam, gdzie wznosiły się nieprzeniknione ściany śniegu i skał, a szczyty górskie nad nimi sięgały samego nieba. Tu był środek, węzeł, pępek świata, gdzie ziemia należała do niebios, czysta, niedostępna, nie do zdobycia.

W Gudrun wzbudziło to ekstatyczny zachwyt Kucnęła przy oknie ująwszy mocno twarz w dłonie, zatopiona w transie. Nareszcie trafiła tu, dotarła na swoje miejsce. Przestanie żyć na los szczęścia, ułoży się jak kryształ w pępku ze śniegu i zniknie.

Gerald pochylił się nad nią i spoglądał przez jej ramię. Zdał sobie sprawę, że jest sam. Odeszła daleko. Nie było jej już tutaj, poczuł wokół serca lodowatą mgłę. Widział dolinę bez wyjścia, wielki, ślepy zaułek śniegu i szczytów górskich pod niebem. Nie prowadziła stąd żadna droga. Spowiła go straszna cisza i chłód, i olśniewająca biel zmierzchu, a

Gudrun trwałą skulona jak cień przed oknem, jak przed ołtarzem.

— Podoba ci się? — zapytał głosem, który brzmiał obojętnie i obco. Mogłaby przynajmniej dostrzec, że stoi przy niej. Ale uchyliła tylko przed jego wzrokiem miękką, niemą twarz. Wiedział, że w jej oczach są łzy, jej własne łzy, łzy jej niepojętej religii, która odbierała mu istnienie.

Nagle ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz. Granatowe oczy, wilgotne od łez, rozszerzyły się, jak gdyby przejął ją do głębi duszy strach. Spoglądała na niego przez łzy, z lękiem i zgrozą. Jasnoniebieskie oczy Geralda były bystre, o zwężonych źrenicach, nienaturalnie przenikliwe. Otworzyła usta, jakby oddychanie przychodziło jej z trudem.

Narastała w nim żądza coraz gwałtowniejsza, jak bicie spiżowego dzwonu, tak silna, tak bez skazy, tak niepohamowana. Kolana stwardniały mu w spiż, kiedy nachylał się nad twarzą Gudrun, której wargi rozchyliły się i źrenice oczu rozszerzyły, jakby pod przymusem. W zagłębieniu dłoni Geralda jej podbródek był nieopisanie miękki i jedwabisty. Czuł się mocny jak zima, jego ręce były z żywego metalu, niezwyciężone i nie do odepchnięcia. Serce biło mu, jakby w piersi miał dzwon.

Wziął ją w ramiona. Była miękka i bezwładna, nieruchoma. Jej oczy, w których łzy jeszcze nie obeschły, nadal były rozszerzone, jak gdyby omdlewała urzeczona i bezbronna. Nadludzko silny, bez skazy, zdawał się obdarzony nadprzyrodzoną mocą.

Uniósł ją i przytulił do siebie. Jej miękkie, uległe ciało spoczywało na jego sprężonym, spiżowym ciele budząc w nim gęste, ciemne pożądanie, które mogłoby go zabić, gdyby nie zostało zaspokojone. Szamotała się konwulsyjnie,. próbując się uwolnić. Namiętność buchnęła w nim lodowatym płomieniem, zamknął Gudrun w stalowym uścisku. Raczej zniszczyłby ją, niż wyrzekł się rozkoszy.

Ale zmogła ją jego męskość. Odprężyła się i leżała rozluźniona i bezwolna, dysząc jak w gorączce. Była tak słodka, tyle dała mu wyzwalającej rozkoszy, że wolałby przez całą wieczność znosić katusze niż zrzec się jednej sekundy tego bólu niezrównanego szczęścia.

— Mój Boże — zwrócił do niej ściągniętą, obcą, zmienioną twarz — i co jeszcze?

Leżała doskonale spokojna, z cichą, dziecinną twarzą, patrząc na niego ciemnymi oczami. Była daleka, zagubiona.

— Zawsze będę cię kochał.

Nie słyszała. Przyglądała mu się jak komuś, kogo nigdy nie zrozumie, nigdy, tak jak dziecko przygląda się dorosłemu, bez nadziei zrozumienia, tylko posłuszne.

Pocałował ją, pocałunkiem zamknął jej oczy, żeby nie mogła na niego patrzeć. Oczekiwał czegoś, znaku rozpoznania, akceptacji. Nadal jednak leżała w milczeniu, dziecinna i daleka, jak dziecko zmuszone do posłuszeństwa, które nic nie rozumie i czuje się zagubione. Pocałował ją znów, zrezygnowany.

— Czy zejdziemy na kawę i Kuchen? — spytał.

Za oknem zapadał szaroniebieski zmierzch. Zamknęła oczy, odgrodziła się powiekami od jednostajnej płaszczyzny martwego, cudownego świata i otworzyła je na świat powszedni.

— Tak — rzekła krótko, odzyskując wolę, jakby przekręciła kontakt. Znowu podeszła do okna. Niebieski wieczór okrył kołyskę ze śniegu i wielkie, blade zbocza. Ale wbite w niebo śnieżne szczyty różowiły się i lśniły jak promienne kolce niedosiężnych kwiatów w rajskim świecie, pięknym i niedostępnym.

Gudrun dostrzegła całą ich urodę, wiedziała, jak nieprzemijające piękne są te wielkie kwietne słupki różowego ognia, podsycanego śniegiem na wieczornym

błękicie nieba. Mogła to widzieć, mogła to znać, ale sama była z odmiennego świata, oddzielona, wykluczona, nie mająca dostępu.

Spojrzała z żalem po raz ostatni, po czym odwróciła się i zaczęła poprawiać włosy. Gerald otworzył walizki i czekał nie spuszczając z niej oczu. Czuła jego spojrzenie. Wprawiało ją w pośpiech, porywczy i gorączkowy.

Zeszli na dół, oboje z dziwnym, jakby nie z tego świata, wyrazem twarzy i z błyszczącymi oczami. Birkin i Ursula czekali już na nich przy długim stole.

„Jak ładnie i naturalnie wyglądają razem” — pomyślała z zawiścią Gudrun. Zazdrościła im, że są tak spontaniczni, tak naiwnie samowystarczalni, co dla niej było wręcz nieosiągalne. Wydawali jej się jeszcze bardzo dziecinni.

— Znakomite Kranzkuchen! — zawołała Ursula łakomie. — Wspaniałe!

— To dobrze. — Gudrun zwróciła się do kelnera: — Poproszę o Kaffe mit Kranzkuchen.

Usiadła na ławie obok Geralda. Birkina na ich widok przejęła aż bolesna czułość.

— Myślę, że tu jest naprawdę cudownie, Geraldzie — powiedział. —Prachtvoll i wunderbar i wunderschön i unbeschreiblich i jakie tam są jeszcze niemieckie przymiotniki.

Gerald uśmiechnął się.

— Mnie się tutaj podoba.

Drewniane, wyszorowane do białości stoły ustawiono tu jak w oberży wzdłuż trzech ścian. Birkin i Ursula siedzieli plecami do ściany, Gerald i Gudrun zajęli miejsca obok nich, w rogu, tuż koła pieca. Sala była spora, z maleńkim barem, jak w wiejskiej gospodzie, lecz bardzo skromna i pustawa, cała — sufit, ściany i podłoga — z impregnowanego drzewa, bez żadnych mebli prócz wielkiego zielonego pieca, stołów i

ław pod trzema ścianami, podczas gdy czwartą zajmowały drzwi i barek. Okna były podwójne, bez zasłon. Zapadł już wieczór.

Podano kawę — gorącą i dobrą — i nie napoczęty krąg ciasta.

— Całe Kuchen! — zawołała Ursula. — Dostaliście więcej niż my! Dajcie mi kawałek waszego...

W hotelu mieszkali też inni goście, razem dziesięć osób, jak stwierdził Birkin: dwóch artystów, trzech studentów, jedna para małżeńska i profesor z dwiema córkami — sami Niemcy. Czwórka Anglików, jak przystało nowym przybyszom, przyglądała się wszystkiemu ze swego punktu obserwacyjnego. Niemcy zaglądali co pewien czas, od drzwi zamieniali słówko z kelnerem i znów znikali. Nie była to pora posiłku, nie wchodzili więc do jadalni, tylko zmieniwszy buty, kierowali się do Reunionsaal.

Angielskich gości dobiegało czasem brzdąkanie na cytrze, dźwięki pianina, wybuchy śmiechu, okrzyki i śpiewy, niewyraźna wibracja głosów. Drewniany dom zdawał się przenosić dźwięki jak bęben, ale zamiast wzmacniać, wyciszał je, tak że brzęczenie cytry było cichutkie, jakby grano na miniaturce cytry, a dźwięki pianina zdawały się wydobywać z malutkiego szpinetu.

Gospodarz wszedł, gdy kończyli pić kawę. Był to barczysty Tyrolczyk o pociągłej twarzy, bladej cerze ze śladami ospy i z sumiastym wąsem.

— Czy zechcieliby państwo przejść do Reunionsaal? I poznać się tam z innymi paniami i panami? — zapytał pokazując w uśmiechu duże, mocne zęby. Niebieskie oczy lustrowały ich po kolei — nie czuł się zbyt pewnie z tymi Anglikami. Był

też skłopotany, bo nie znał angielskiego, i wahał się, czy użyć swojej francuszczyzny.

— Pójdziemy do Reunionsaal, żeby poznać się z resztą towarzystwa? — powtórzył za nim śmiejąc się Gerald.

Nastąpiła chwila wahania.

— Chyba lepiej od razu przełamać lody — powiedział Birkin.

Kobiety zarumienione wstały z ławy. Der Wirt, barczysty, podobny w swym czarnym ubraniu do chrabąszcza, bez ceremonii ruszył przodem. Otworzył drzwi i wprowadził czwórkę cudzoziemców do bawialni.

Natychmiast zrobiło się cicho, towarzystwo było nieco skonsternowane. Nowo przybyli odnieśli wrażenie, że całe mnóstwo blondynów zwróciło w ich stronę twarze o jasnej cerze. Gospodarz ukłonił się niskiemu, energicznemu mężczyźnie z wielkimi wąsami i powiedział ściszonym głosem:

— Herr Professor, darf ich vorstellen..?

Herr Professor był szybki i pełen wigoru. Ukłonił się Anglikom i uśmiechnięty przybrał od razu przyjacielski ton:

— Nehmen die Herrschaften teil an unserer Unterhaltung? — aż zapiał z rześką uprzejmością.

Anglicy odwzajemnili uśmiech i skupili się na środku pokoju, ugrzecznieni i skrępowani. Gerald w imieniu całej czwórki oświadczył, że, owszem, chętnie wzięliby udział w ogólnej zabawie. Gudrun i Ursula, roześmiane, podniecone, czując na sobie wzrok mężczyzn z podniesionymi głowami, patrzyły w przestrzeń i zachowywały się jak królowe.

Herr Professor sans cérémonie podał nazwiska wszystkich obecnych. Wymieniono na chybił trafił ukłony. Byli tu wszyscy goście hotelowi z wyjątkiem pary małżeńskiej. Dwie córki profesora, wysokie, o jasnej cerze, atletycznie zbudowane, w prostych ciemnoniebieskich bluzkach i lodenowych spódnicach, o długich, silnych szyjach, z jasnobłękitnymi oczami i starannie uczesanymi

pod przepaską włosami, zarumienione, ukłoniły się i cofnęły; trzej studenci złożyli bardzo niskie ukłony, w pokornej nadziei, że zrobią wrażenie niesłychanie dobrze wychowanych; teraz przyszła kolej na szczupłego, ciemnoskórego mężczyznę z wyłupiastymi oczami; dziwna to była postać — szybki, niedbały, trochę dziecko, trochę gnom. Skłonił się lekko; jego towarzysz, duży blondyn, szykownie ubrany, zaczerwienił się po białka oczu i ukłonił się możliwie najniżej.

Prezentacja dobiegła końca.

— Herr Loerke zabawiał nas recytacją w dialekcie z Kolonii — powiedział profesor.

— Przykro nam, że mu przerwaliśmy — rzeki Gerald. — Z wielką radością tego posłuchamy.

Znów nastąpiły ukłony i zaproszenia do zajęcia miejsc. Gudrun, Ursula, Gerald i Birkin usiedli na niskich sofach pod ścianą. Pokój był z surowego, impregnowanego drzewa, tak jak reszta domu. Stał tu fortepian, sofy, krzesła i kilka stolików, na których leżały książki i czasopisma. Choć prócz wielkiego, niebieskiego pieca pozbawiony wszelkich ozdób, był jednak przytulny i miły.

Herr Loerke był to ów drobny mężczyzna o chłopięcej figurze, z dużą, okrągłą głową i dużymi, wyłupiastymi jak u myszy oczami. Obrzucał obcych bystrym spojrzeniem i trzymał się na uboczu.

— Proszę, niech pan kontynuuje — ton profesora był uprzejmy, ale i trochę rozkazujący. Loerke, który siedział zgarbiony na taborecie przy fortepianie, zmrużył oczy i nic nie odpowiedział.

— Sprawi nam to ogromną przyjemność — oświadczyła Ursula, od paru już minut przygotowująca to zdanie po niemiecku.

Mały, milczący mężczyzna odwrócił się do swego poprzedniego audytorium i wytrysnął słowami równie nagle,

jak je przedtem uciął; dźwięcznym, drwiącym głosem naśladował kłótnię między starą kobietą z Kolonii i strażnikiem kolejowym.

Jego postać była drobna i jakby nie uformowana, jak u młodego chłopca, lecz głos miał dojrzały, ironiczny i giętki, wibrujący utajoną energią i sarkastyczną, przenikliwą inteligencją. Gudrun nie rozumiała ani słowa z jego monologu, ale przyglądała mu się oczarowana. Musiał być artystą, inaczej nie potrafiłby tak znakomicie utożsamiać się z przedstawianą postacią, pozostając jednocześnie samym sobą. Niemcy śmieli się do rozpuku słuchając pociesznych wyrażeń i zabawnych gwarowych powiedzonek. Wśród paroksyzmów wesołości rzucali spojrzenia pełne szacunku na czworo dystyngowanych gości. Gudrun i Ursula także musiały się roześmiać. Cały pokój rozbrzmiewał salwami śmiechu. Błękitne oczy córek profesora zaszły łzami z uciechy, policzki nabiegły krwistą czerwienią, ich ojciec raz po raz zaskakiwał obecnych wybuchami frenetycznej radości, a studenci, rozbawieni ponad miarę, schylali głowy aż do kolan. Ursula rozglądała się zdziwiona, że nie może oprzeć się ochocie do śmiechu. Spojrzała na Gudrun, Gudrun na nią i zaniosły się niepohamowanym śmiechem. Loerke obrzucił je bystrym spojrzeniem. Birkin nie umiał powstrzymać chichotu. Gerald Crich siedział wyprostowany, z błyskiem rozbawienia na twarzy. I znów gruchnął śmiech w dzikich paroksyzmach, śmiech obezwładnił córki profesora, ich ojciec, z nabrzmiałymi żyłami na szyi, z twarzą purpurową, dławił się wstrząsany cichymi konwulsjami ponad siły. Studenci wykrzykiwali jakieś nieartykułowane słowa przerywane eksplozjami śmiechu, wobec których byli bezbronni. Nagle urwał się potok dialektu, rozbrzmiewały jeszcze pojedyncze okrzyki opadającej wesołości, Ursula i Gudrun wycierały oczy, a profesor wołał głośno:

— Das war ausgezeichnet, das war famos...

— Wirklich famos! — wtórowały mu jego osłabłe ze śmiechu córki.

— A my nic nie zrozumieliśmy... — skarżyła się Ursula.

— Och, leider, leider! — wołał profesor.

— Nie zrozumiały panie? — zagadywali studenci, nareszcie bez skrępowania zwracając się do cudzoziemców. —Ja, das ist wirklich schade, das ist schade, gnädige Frau. Wissen Sie...

Towarzystwo się zespoliło, nowi goście byli już teraz jednym ze składników mikstury, cały pokój ożywił się. Gerald był w swoim żywiole, mówił płynnie, z podnieceniem, oczy mu błyszczały, twarz miał dziwnie rozbawioną. Nawet Birkin może w końcu sobie pofolguje. Był nieśmiały i pełen rezerwy, choć bardzo uważny.

Ursulę skłoniono, żeby zaśpiewała „Annie Lowrie”, jak nazwał to profesor. Cisza, jaka zapadła, świadczyła, o najgłębszym szacunku. Nigdy w życiu nic jej tak nie pochlebiło. Gudrun akompaniowała z pamięci na fortepianie.

Ursula miała piękny, dźwięczny głos, ale brak ufności we własne siły zazwyczaj psuł jej występy. Tego wieczoru była nieskrępowana i miała znakomite samopoczucie. Obecność Birkina przydawała jej blasku. Niemcy sprawili, że czuła się ładna i nieomylna, pełna wiary w siebie. Miała wrażenie, że jak ptak unosi się w powietrzu, podczas gdy jej głos szybuje w górę; bezgranicznie cieszyło ją kołysanie i lot pieśni, jak ruch skrzydeł ptaka na wietrze; jak ptak, który ślizga się i igra w przestrzeni, tak ona igrała z nadmiarem wzruszeń, pobudzona przez entuzjazm słuchaczy. Jakże była szczęśliwa śpiewając tę pieśń, przejęta . dumą, że to ona wywołuje te wzruszenia, że z taką siłą działa na siebie i na tych ludzi, uradowana, że sprawia im tak niekłamaną przyjemność.

W końcu wszystkich Niemców ogarnęła pełna podziwu, rozkoszna melancholia, chwalili ją cicho i z respektem,

wręcz nie starczało im słów zachwytu.

— Wie schon, wie rührend, die schottischen Lieder, sie haben so viel Stimmung! Aber die gnädige Frau hat eine wunderbare Stimme; die gnädige Frau ist wirklich eine Kunstlerin, aber wirklich!

Rozpromieniła się i rozkwitła jak kwiat w porannym słońcu. Czuła, że Birkin na nią patrzy, jakby z zazdrością, piersi jej przeszył dreszcz, w żyłach wezbrało płynne złoto. Szczęśliwa była jak słońce, które zdołało przedrzeć się przez chmury. Wszyscy ją podziwiali, promienni. To było najlepsze.

Po kolacji chciała wyjść na chwilkę, żeby popatrzeć na góry. Próbowano jej to wyperswadować — było tak strasznie zimno. Ale oświadczyła, że tylko zerknie, nic więcej.

Wszyscy ubrali się ciepło i wyszli na świat przyćmiony i nierealny, świat mglistego śniegu, gdzie duchy wyżyn rzucały dziwne cienie przed gwiazdami. Istotnie było zimno, dotkliwie, przerażająco, nienaturalnie zimno. Ursula nie wierzyła, że to, co wciągają jej nozdrza, jest powietrzem. Chłód wydawał się świadomy, rozmyślnie złośliwy, okrutny.

Lecz było to cudowne; upojenie, cisza śniegu zamglonego, nierzeczywistego, niewidzialnej przesłony między nią a tym, co widzialne, między nią a blaskiem gwiazd. Widziała, jak wznosi się po stokach Orion. Jakże był piękny, tak piękny, że aż chciało się głośno płakać.

Wokół rozciągała się śnieżna niecka; pod nogami czuła twardy śnieg, którego lodowate zimno przenikało przez podeszwy. Otoczyła ją noc i cisza. Wydało jej się, że słyszy gwiazdy. Wyobraziła sobie wyraźnie, że słyszy tuż koło siebie niebiański, melodyjny ruch gwiazd. A sama jak ptak unosiła się wśród ich harmonijnego krążenia.

Przylgnęła kurczowo do Birkina. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wie, o czym on myśli. Nie wie, gdzie błądzi jego duch.

— Miły! — zatrzymała się, żeby spojrzeć na niego.

Zobaczył blisko jej miękką, wzniesioną ku niemu twarz. Pocałował ją delikatnie.

— No i co? — spytał.

— Kochasz mnie?

— Za mocno — odpowiedział spokojnie. Przytuliła się do niego.

— Nie za mocno — zaprotestowała.

— O wiele za mocno — powtórzył jakby z żalem.

— I smutno ci, że jestem dla ciebie wszystkim? — spytała tęsknie. Przygarnął ją do siebie i pocałował szepcząc prawie niedosłyszalnie:

— Nie, ale czuję się jak żebrak... Jak ubogi... Milczała patrząc teraz na gwiazdy. Pocałowała go.

— Nie czuj się żebrakiem — powiedziała błagalnie. — Nie hańbi cię to, że mnie kochasz.

— Ale hańbi mnie, że czuję się biedny.

— Dlaczego? Dlaczego by miało tak być?

Stał spokojnie, trzymając ją w ramionach w przeraźliwie zimnym powietrzu, które niewidocznie przepływało na szczyty gór.

— Nie mógłbym bez ciebie znieść tej lodowatej wieczności. Nie wytrzymałbym... To by mnie zabiło...

Nagle znowu go pocałowała.

— Tak nienawidzisz tego miejsca? — spytała zaskoczona.

— Gdybym cię nie miał przy sobie, gdyby nie ty, nienawidziłbym go. Nie mógłbym go znieść.

— Ale ludzie są tu tacy mili.

— Mam na myśli bezruch, zimną, zamarzniętą wieczność.

Zdziwiła się. Po chwili pojęła, o co mu chodzi, i bezwiednie wtuliła się w niego.

— Dobrze, że jest nam ciepło i że jesteśmy razem.

Zawrócili w stronę domu. Widzieli złote światła hotelu, rozbłyskujące w śnieżnej ciszy jak grono żółtych jagód. Lśniły jak snop drobnych słonecznych promieni, pomarańczowych wśród śnieżnych ciemności. Za nimi cień górskich szczytów wznosił się jak duch i wymazywał gwiazdy z nieba.

Byli już blisko domu. Zobaczyli mężczyznę wychodzącego z ciemnego budynku z zapaloną latarnią, której rozkołysany blask tworzył wokół jego ciemnych stóp na śniegu złotą aureolę, podczas gdy cała drobna postać wtapiała się w śnieżny mrok. Otworzył drzwi dobudówki. Odór krów, gorący, zwierzęcy zapach jakby wręcz wołowego mięsa rozszedł się w zimnym powietrzu. Mignęły im dwie krowy w ciemnej oborze i znowu drzwi zamknęły się szczelnie, nie zostawiając najmniejszej szpary. Przypomniało to Ursuli dom, Marsh, dzieciństwo, podróż do Brukseli i, niespodziewanie, Antona Skrebensky’ego.

O Boże, czy człowiek może to znieść? Tę przeszłość, która zapadła się w otchłań? Czy może pogodzić się z myślą, że tak naprawdę było? Rozejrzała się po cichym, wysokim świecie śniegu, gwiazd i wszechmocnego zimna. Był też tamten, inny świat, jak obrazy w latarni magicznej; Marsh, Cossethay, Ilkeston w tym samym nierzeczywistym świetle. Tamta widmowa, nierzeczywista Ursula, cała ta gra cieni nierzeczywistego życia. Było to tak nierealne i osobne jak obrazy w latarni magicznej. Chciała, żeby wszystkie przezrocza zostały stłuczone, żeby to, co przedstawiały, zniknęło na zawsze. Chciała nie mieć przeszłości. Znaleźć się tu razem z Birkinem wprost ze stoków nieba, a nie gramolić się z mroków dzieciństwa, z nabytych przyzwyczajeń, mozolnie, zbrukana przeszłością. Pamięć to złośliwy figiel, jaki jej spłatano. Skąd ten nakaz, że musi

pamiętać? Dlaczego nie czysta kąpiel zapomnienia, nowe przyjście na świat, bez wspomnień, nie skalane dawnym życiem? Jest z Birkinem, urodziła się teraz, tutaj, w wysokim śniegu pod gwiazdami. Po co jej krewni i przodkowie? Czuje się nowa, jeszcze nie poczęta, nie ma ojca ani matki, żadnych przeszłych związków, jest sobą, srebrną i czystą, odnalazła się w jedności z Birkinem, w jedności, której głębsze tony rozbrzmiewały w sercu wszechświata, w sercu rzeczywistości, gdzie nigdy przedtem nie istniała.

Nawet Gudrun była osobną całością, była oddzielna, oddzielona, nic nie miała wspólnego z jej nowym ja, z Ursulą w jej nowej rzeczywistości. Dawny świat, cień świata, przeszłość i wszystko, co się w niej wydarzyło — niechże to zniknie! Unosiła się swobodnie na skrzydłach swej nowej doli.

Gudrun i Gerald nie od razu wrócili do gospody. Poszli w górę doliną rozciągającą się wprost przed domem, a nie jak Ursula z Birkinem — na małe wzniesienie z prawej strony. Gudrun gnało dziwne pragnienie. Chciała iść wciąż dalej, przed siebie, aż dotrze do końca śnieżnej doliny. Chciała wspiąć się na najdalszą, ostatnią ścianę bieli, przebyć ją, znaleźć się wśród szczytów, które sterczały jak ostre płatki w sercu pępka świata, zamarzłego i tajemniczego. Czuła, że tam, za obcym, ślepym, strasznym murem skalistego śniegu, w stulonym pępku mistycznego świata, wśród ostatnich stłoczonych’ szczytów, że tam właśnie czekają spełnienie. Gdyby tylko mogła dotrzeć tam sama i przedostać się do stulonego pępka wiecznych śniegów i wyniosłych, nieśmiertelnych szczytów śniegu i skał, utożsamiłaby się z tym wszystkim i stałaby się wiecznym, nieskończonym milczeniem, zmarzniętym, pogrążonym we śnie centrum wszechrzeczy, nie wiedzącym, że upływa czas.

Po powrocie do domu poszli do Reunionsaal. Była ciekawa, co tam się dzieje. Ci mężczyźni ekscytowali ją,

pobudzali jej ciekawość. Życie nabierało nowego smaku — byli wobec niej tak czołobitni, a jednocześnie tak żywotni.

Bawiono się hałaśliwie; wszyscy tańczyli razem Schuhplatteln, tyrolski taniec z klaskaniem i podrzucaniem partnerki do góry. Niemcy — pochodzący przeważnie z Monachium — byli bardzo zręczni. Gerald też nieźle sobie radził. W kącie pobrzękiwały trzy cytry. Panowało tu wielkie ożywienie i zamieszanie. Profesor wprowadzał w tajniki tańca Ursulę; tupał, klaskał, podrzucał ją w górę z zadziwiającą siłą i zapałem. W punkcie kulminacyjnym zabawy nawet Birkin poczynał sobie dziarsko z jedną z córek profesora, hożą, silną dziewczyną, która jaśniała szczęściem. Wszyscy tańczyli w nieopisanym zgiełku.

Gudrun przyglądała się z zachwytem. Solidna, drewniana podłoga dudniła pod obcasami mężczyzn, powietrze drżało od klaskania i dźwięków cytry, wokół wiszących lamp wirował złoty pył.

Nagle taniec się skończył. Loerke i studenci wybiegli po napoje. W pokoju rozlegał się podniecony gwar, brzęk pokrywek od kufli, głośne okrzyki: „Prosit, prosit”; Loerke był wszędzie jednocześnie, jak gnom; namawiał kobiety do picia, mężczyznom rzucał aluzyjne, trochę ryzykowne dowcipy, zwodził i zbijał z tropu kelnera.

Bardzo chciał zatańczyć z Gudrun. Od chwili gdy ją ujrzał, miał ochotę zbliżyć się do niej. Wyczuła to instynktownie i czekała. Ale trzymał się z daleka, jakby dąsając się, i uznała, że jej nie lubi.

— Czy gnädige Frau zechce zatańczyć? — zapytał wysoki, jasnowłosy młodzieniec, towarzysz Loerkego. Na gust Gudrun był za miękki, zbyt pokorny. Ale chciała tańczyć, a młody blondyn, który nazywał się Leitner, był nawet dość przystojny, choć trochę niezdarny i odstręczający, jakby pokorą pokrywał jakieś obawy. Zgodziła się więc być jego partnerką.

Znów zabrzmiały cytry, zaczął się taniec. Prowadził roześmiany Gerald z córką profesora. Ursula tańczyła z jednym ze studentów, Birkin z drugą córką profesora, profesor z Frau Kramer, a inni mężczyźni po prostu ze sobą, ale z nie mniejszym zapałem, niż gdyby mieli partnerki płci pięknej.

Loerke, na widok Gudrun tańczącej z łagodnym, dobrze zbudowanym młodzieńcem, stawał się coraz bardziej opryskliwy i rozdrażniony; przestał ją w ogóle zauważać. Gudrun poczuła się dotknięta, ale powetowała to sobie tańcząc z profesorem, który był silny jak krzepki byk w kwiecie wieku i jak byk pełen nieokrzesanej energii. Nie mogła go znieść, a jednak sprawiało jej przyjemność gwałtowne tempo tańca i brutalny rozpęd, z jakim jej partner podrzucał ją w powietrze. Profesor również bawił się dobrze. Jego wielkie, osobliwe, niebieskie oczy wpatrywały się w nią pełne galwanizującego ognia. Nie cierpiała go za krzepką, niby to ojcowską zmysłowość, z jaką na nią patrzył, ale podziwiała jego siłę.

Atmosfera naładowana była podnieceniem i mocnymi, zwierzęcymi emocjami. Loerke, który chciał rozmawiać z Gudrun, oddzielony był od niej jakby żywopłotem z ciemi, co napawało go drwiącą, bezlitosną nienawiścią do Leitnera, który nie miał ani grosza i był od niego całkowicie zależny. Wykpiwał go i ośmieszał tak dotkliwie, że młodzieniec czerwienił się w bezsilnej urazie.

Gerald, który już doskonale opanował taneczne ruchy, znów tańczył z córką profesora. Dziewiczo podniecona, umierała wprost ze wzruszenia, że jej partner jest tak piękny i tak wspaniały. Miał ją w swej mocy jak ptaszka, który się trzepoce — drżące stworzonko, zatrwożone i oszołomione. Uśmiech na jego twarzy wywoływała gwałtowność, z jaką kuliła się konwulsyjnie w jego rękach, gdy miał ją podrzucić w górę. Tak ją w końcu zmogła bezsilna miłość do niego, że nawet mówić nie mogła do rzeczy.

Birkin tańczył z Ursulą. W jego oczach igrały dziwne płomyczki. Zdawał się przeobrażony, inny — złośliwy kpiarz, migotliwy, dwuznaczny, nie do wytrzymania. Ursulę przerażało to i fascynowało. Tuż przed oczyma, jasno jak w wizji, miała jego twarz sardoniczną, rozpustną, drwiącą; przysuwał się do niej obojętnym ruchem, wymyślnym i zwierzęcym. Omdlewała z lęku przed obcością jego rąk szybkich i zręcznych, które nieomylnie trafiały na najczulsze miejsce pod jej piersiami i unosząc ją w kpiącym, dwuznacznym porywie, trzymały w powietrzu bez żadnego wysiłku, jak gdyby pod wpływem czarnej magii. Miała chwile buntu, chciała przerwać czar. Zanim jednak podjęła decyzję, już znowu poddawała się, ulegała lękowi. Rupert przez cały czas zdawał sobie sprawę z tego, co robi, widziała to w jego uśmiechniętych, skupionych oczach. On za to odpowiadał, więc zda się na niego.

Kiedy znaleźli się sami w ciemności, czuła, że osacza ją jego dziwna, rozpasana żądza. Niepokoiło ją to i odpychało. Dlaczego tak się zmienił?

— Co się stało? — pytała z obawą.

Ale tylko jego twarz świeciła nad nią, obca, przerażająca. I urzekała ją przecież. Impuls nakazywał odepchnąć go gwałtownie, wyzwolić się spod uroku drwiącej brutalności. Ale zbyt była oczarowana, chciała się poddać, chciała wiedzieć, co on jej zrobi?

Tak ją pociągał i tak był zarazem odrażający! Z jego twarzy i zwężonych oczu wyzierała ironiczna dwuznaczność, przed którą chciała się ukryć, chciała ukryć się przed nim i obserwować go z ukrycia.

— Dlaczego jesteś taki? — spytała buntując się jeszcze z niespodziewaną mocą i wrogością.

Płomyki migocące w jego źrenicach skoncentrowały się, gdy spojrzał jej w oczy. Opuścił nieznacznie powieki z drwiącą pogardą. I znów je podniósł przyglądając jej się z

tym samym dwuznacznym okrucieństwem. Ustąpiła, niech robi, co ”chce. Jego rozwiązłość odpychała ją i pociągała. To on ponosi za to odpowiedzialność, ona będzie bierna.

Mogli robić, co im się podoba; zdała sobie z tego sprawę zapadając w sen. Dlaczego mieliby wyrzekać się czegokolwiek, co jednemu z nich sprawiało przyjemność? Co jest hańbiące? I kogo to obchodzi? Postępki hańbiące mają inną prawdę. A jego nic nie peszyło i nic nie hamowało. Strasznie było pomyśleć, że ktoś tak uczuciowy i uduchowiony może być aż tak... Cofnęła się przed własnymi myślami i wspomnieniami... Tak zwierzęcy? Oboje byli jak zwierzęta! Co za hańba! Drgnęła. Ale właściwie dlaczego nie? I ona znalazła w tym rozkosz. Dlaczego z lęku przed wstydem ma wyrzec się całej gamy doznań? Zamieniła się w zwierzę. Jak dobrze jest być naprawdę bezwstydnym! Nie uchyliła się od doświadczenia nawet najbardziej obrzydliwego. Ale nie zawstydziło jej to, pozostałą sobą. Bo i dlaczego nie? Jest wolna, skoro poznała wszystko i nic, co ciemne i sromotne, nie zostało jej oszczędzone.

Gudrun, przyglądając się Geraldowi w Reunionsaal, pomyślała nagle: „Powinien mieć wszystkie kobiety, jakich zapragnie — to jego natura. To niedorzeczność domagać się od niego wierności. Z natury jest poligamiczny. Taki się urodził”.

Zaskoczyły ją własne myśli. Jakby ujrzała na ścianie nowe mane thekel fares! Jakiś głos odezwał się w niej tak wyraźnie, że na chwilę uwierzyła w natchnienie.

„To na pewno prawda” — powtarzała sobie.

Oczywiście zdawała sobie z tego sprawę przez cały czas. Nie miała cienia wątpliwości. Ale musi to trzymać w tajemnicy nawet przed sobą. W całkowitej tajemnicy. Tylko ona wie o tym i nikomu się do tego nie przyzna. Powzięła silne postanowienie, że go pokona. Jedno z nich musi zatryumfować nad drugim. Ale które? Zmobilizowała się w

duchu. Niemal rozśmieszyła ją ta wiara we własne siły. Wzbudziło to w niej dojmującą, na wpół wzgardliwą litość dla niego, czułość nawet; była przecież tak bezwzględna.

Zabawa skończyła się wcześnie. Profesor i Loerke przeszli do niewielkiego hallu, żeby się czegoś napić. Patrzyli za Gudrun, która szła po schodach na górę.

— Ein schönes Frauenzimmer — zauważył profesor. — Ja — potwierdził krótko Loerke.

Gerald przeszedł swym szczególnym, wydłużonym, wilczym krokiem przez pokój do okna, pochylił się i wyjrzał, po czym już wyprostowany zwrócił się do Gudrun z roztargnionym uśmiechem w roziskrzonych oczach. Pomyślała, że jest bardzo wysoki i ma połyskliwe, białawe brwi zrośnięte nad nosem.

— Jak ci się tu podoba?

Zdawał się śmiać w duchu, bez udziału świadomości. Był dla niej osobliwym fenomenem, uosobieniem zachłanności.

— Bardzo.

— A kto ci się tam na dole spodobał najbardziej? — Stał nad nią wysoki i połyskliwy, z błyszczącymi, krótko ostrzyżonymi włosami.

— Kto mi się najbardziej spodobał? — powtórzyła. Chciała mu odpowiedzieć, ale trudno jej było się skupić. — Właściwie nie wiem. Za mało ich wszystkich znam, żeby się zdecydować. A tobie kto podobał się najbardziej?

— Nieważne... Ani ich lubię, ani nie lubię. Nie o mnie chodzi. Chciałem wiedzieć, jak jest z tobą.

— Ale dlaczego? — przybladła nieco. Roztargniony, bezwiedny uśmiech w jego oczach nabrał intensywności.

— Po prostu chciałem wiedzieć.

Odwróciła się, żeby przełamać urok. Intuicyjnie czuła, że zdobywa nad nią przewagę.

— Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć.

Podeszła do lustra, żeby wyjąć szpilki z włosów. Co wieczór przez kilka minut stała przed lustrem i szczotkowała swoje piękne, ciemne włosy. Należało to do niezmiennego rytuału.

Zbliżył się i stanął za nią. Z pochyloną głową zajęta była wyciąganiem szpilek z ciepłych włosów, które stopniowo rozpuszczała. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła w lustrze, że stoi za nią i przygląda jej się bez udziału świadomości, nie widzi jej, ale przygląda się oczyma o zwężonych źrenicach, które zdawały się uśmiechać, choć nie uśmiechały się naprawdę.

Musiała zebrać całą odwagę, by dalej spokojnie szczotkować włosy udając, że czuje się swobodnie. Rozpaczliwie szukała w myśli czegoś, co mogłaby powiedzieć.

— Jakie masz plany na jutro? — spytała nonszalancko, lecz serce jej waliło tak dziko, oczy tak dziwnie błyszczały ze zdenerwowania, że nie mógł — była tego pewna — nie zauważyć jej niepokoju. Ale wiedziała też, że jest zupełnie ślepy, ślepy jak wilk, który by się w nią wpatrywał. Była to osobliwa walka między jej normalną świadomością i jego świadomością, niesamowitą i czarnoksięską.

— Nie wiem, co ty chciałabyś robić.

Odpowiedział jej machinalnie, zatopiony we własnych myślach.

— Ależ naprawdę wszystko mi jedno — oświadczyła pogodnie. — Cokolwiek zaproponujesz, na pewno będę zadowolona.

W duchu mówiła sobie: „Mój Boże, dlaczego się denerwujesz, idiotko?... Jeśli to zauważy, koniec z tobą... Wiesz przecież, że będziesz raz na zawsze skończona, jeśli dostrzeże, w jakim absurdalnym jesteś stanie".

I uśmiechnęła się do siebie, jakby to wszystko było dziecinną zabawą. Jednocześnie serce jej zamierało. Była bliska zemdlenia. Widziała go w lustrze, jak góruje nad nią, wysoki, jasny i przerażająco groźny. Zerkała na niego ukradkiem, za nic nie chciała, by zauważył, że go widzi. Nie zdawał sobie sprawy, że w lustrze widać jego odbicie. Bezmyślnie patrzył z góry błyszczącymi oczyma na jej głowę i rozpuszczone włosy, które nerwowo, zawzięcie szczotkowała. Przechyliła głowę w bok i z pasją dalej szczotkowała włosy. Za nic w świecie nie odwróciłaby się i nie spojrzała mu w twarz. Za nic w świecie. Od tych myśli robiło jej się słabo, mdlała niemal, bezsilna, wyczerpana. Czuła go tuż za sobą, groźnego, strasznego, jej plecy dotykały jego twardej, silnej, nieustępliwej piersi. Czuła też, że nie jest w stanie tego znieść, że za chwilę padnie mu do nóg, będzie się przed nim czołgać i pozwoli, żeby ją zniszczył.

Ta myśl pobudziła jej inteligencję, odzyskała przytomność umysłu. Nie śmiała odwrócić się do niego — dalej stał nieruchomy i niezachwiany. Zbierając siły powiedziała pełnym, dźwięcznym, niedbałym tonem, do którego zmusiła się resztką zimnej krwi:

— Czy mógłbyś zajrzeć do mojej torby i podać mi...

Nie umiała się skupić. „Podać? Co ma mi podać?...”, krzyczała bezgłośnie.

Ale już rozejrzał się zdumiony i zaskoczony, że prosi go o zajrzenie do torby, której zawartości tak ściśle strzegła przed cudzym okiem. Odwróciła się z pobladłą twarzą, z pociemniałymi oczami, które płonęły niesamowitym, nerwowym podnieceniem. Zobaczyła, że pochyla się nad jej torbą i wysuwa luźno zapięty rzemień.

— Co ci podać?

— Małe emaliowane puzderko... Żółte, z rysunkiem pelikana, który rozrywa sobie pierś...

Podeszła do niego, wyciągnęła piękne, nagie ramię, zręcznie przerzuciła parę drobiazgów i odsłoniła prześlicznie zdobione puzderko.

— O, jest tu, popatrz — zabrała mu je sprzed nosa.

Teraz on był zbity z tropu. Zostawiła go, żeby zamknął torbę, podczas gdy sama szybko uczesała się na noc i usiadła, żeby zdjąć buciki. Nigdy już nie odwróci się do niego tyłem.

Był speszony, zawiedziony, ale nie zdawał sobie z tego sprawy... Miała go teraz w swej mocy. Wiedziała, że nie dostrzegł jej straszliwej paniki. Ciągle jeszcze serce jej waliło. Idiotka, co za idiotka, żeby doprowadzić się do takiego stanu! Jakże wdzięczna była Bogu za tę ślepotę Geralda. Na szczęście nic nie zauważył.

Powoli rozwiązywała sznurowadła; i on także zaczął się rozbierać. Ten kryzys, dzięki Bogu, minął. Lubiła go teraz, może nawet była w nim prawie zakochana.

— Geraldzie — zaśmiała się pieszczotliwie i kpiąco — ładną grę prowadziłeś z córką profesora!

— Jaką grę?

— Przecież jest w tobie zakochana. Słowo daję, zakochała się w tobie, biedna mała! — Gudrun była znów wesoła i czarująca.

— Nie wydaje mi się...

— Nie wydaje ci się! — droczyła się z nim. —Jak to, biedna dziewczyna leży teraz zdruzgotana i umiera z miłości do ciebie. Uważa, że jesteś nadzwyczajny... że jesteś najwpanialszym mężczyzną świata. Naprawdę, czy to nie zabawne?

— Dlaczego? Co w tym zabawnego?

— Kiedy się widzi, jak się do tego zabierasz — powiedziała z lekką wymówką, co uraziło jego męską próżność. — Pomyśl, Geraldzie, ta biedna dziewczyna...

— Nic jej nie zrobiłem.

— Och, to było wręcz niegodziwe! Po prostu zbiłeś ją z nóg.

— Bo tańczyliśmy Schuhplatteln — pokazał w uśmiechu zęby. Gudrun roześmiała się.

Jej drwiny wibrowały potem w jego mięśniach osobliwym echem. Kiedy spał, zdawał się kulić w łóżku, otulony we własną siłę, która była jednak tylko pozorem siły.

A Gudrun spała mocno snem zwycięzcy. Nagle ocknęła się całkowicie przytomna. Drewniane ściany małego pokoju rozjaśnił blask wczesnego świtu, który wpadał przez niskie okno. Podniósłszy głowę mogła spoglądać na dolinę, na różowy, magiczny śnieg, jeszcze nie całkiem wydobyty z mroku, na grzywkę sosen u stóp zbocza. Jedna tylko drobna postać poruszała się na mgliście rozświetlonej przestrzeni.

Rzuciła okiem na jego zegarek. Siódma. Gerald spał mocno. A ona była kompletnie rozbudzona, aż ją to przerażało — tak twarda i metaliczna zdawała się jej trzeźwość. Leżała i patrzyła na niego.

Spał posłuszny wymogom własnego zdrowia i zmęczony po porażce. Przejął ją szczery szacunek. Do tej pory bała się go. Teraz leżała i myślała o nim. Kim jest, co reprezentuje w świecie? Ma silną wolę, jest imponująco niezależny. Wspomniała przełom, jakiego dokonał w kopalniach. Wiedziała, że poradzi sobie z każdym problemem, z każdą największą trudnością, na jaką się natknie. Umiał urzeczywistniać swoje pomysły, obdarzony był talentem porządkowania chaosu. W każdej sytuacji, jeśli tylko będzie miał punkt oparcia, na pewno znajdzie jedyne, właściwe rozwiązanie.

Przez parę chwil unosiła się na skrzydłach niepohamowanej ambicji. Gerald ze swoją siłą woli i darem rozumienia rzeczywistości mógłby być mężem opatrznościowym, powołanym do rozwiązywania aktualnych

zagadnień, problemu uprzemysłowienia współczesnego świata. Wiedziała, że z czasem dokonałby zmian, na jakich by mu zależało, potrafiłby zreorganizować system zarządzania przemysłem. Była pewna, że go na to stać. Jako instrument był w tych sprawach niezawodny, nigdy jeszcze nie spotkała człowieka o takich możliwościach. Sam sobie tego nie uświadamiał, ale ona nie miała wątpliwości.

Należało tylko go naprowadzić, postawić przed nim zadanie, bo sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Potrafiłaby to zrobić. Pobraliby się, wszedłby do Parlamentu z ramienia konserwatystów i doprowadził do porządku wszystkie zawiłe sprawy pracy i przemysłu. Był tak niesłychanie odważny, tak pewny, że każdy problem może być rozwiązany, zarówno w życiu, jak w geometrii. I nie dbałby o siebie ani o nic — tylko o rozwikłanie problemu. Był naprawdę nieskazitelnie czysty.

Serce jej bilo szybko, wzlatywała na skrzydłach entuzjazmu, wyobrażając sobie przyszłość. On będzie Napoleonem pokoju albo Bismarckiem, a ona kobietą, która za nim stoi. Czytała listy Bismarcka i wzruszyły ją głęboko. A Gerald będzie swobodniejszy, bardziej nieustraszony niż Bismarck.

Ale nawet kiedy leżała tak, porwana własnymi rojeniami, skąpana w dziwnym blasku fałszywej nadziei na promienną przyszłość, coś zdawało się pękać i górę brał w niej straszny cynizm, gaszący jej zapał jak wiatr. Każda sprawa stawała się przedmiotem drwiny, wszystko w końcu nabierało posmaku ironii. Ostre ukłucie nieurojonej rzeczywistości dało jej odczuć gorzką ironię własnych nadziei i marzeń.

Leżąc przyglądała się śpiącemu. Był piękny, jak piękny jest doskonały instrument. Myślała o nim jako o czystym, nieludzkim, wprost nadludzkim instrumencie. Właśnie ta jego instrumentalność pociągała ją najsilniej. Jakżeby chciała być Bogiem i posługiwać się nim jako narzędziem!

Natychmiast jednak nasunęło jej się ironiczne pytanie: „Po co?” Pomyślała o żonach górników z ich podłogami wyłożonymi linoleum, z ich koronkowymi firankami, z córeczkami w wysokich, sznurowanych bucikach. Pomyślała o żonach i córkach dyrektorów kopalń, ich meczach tenisowych, zajadłych walkach o zdobycie towarzyskiej przewagi. Takie było Shortlands ze swoją bezsensowną dystynkcją, ze swoim bezsensownym tłumem Crichów. Taki był Londyn, Izba Gmin, cała reszta świata. O Boże!

Gudrun, choć tak jeszcze młoda, zdążyła już poznać rytm życia towarzyskiego w Anglii. Nie zabiegała o zaszczyty. Wiedziała z bezwzględnym cynizmem okrutnej młodości, do czego sprowadzają się sukcesy towarzyskie, na czym polega kariera: żeby pokazać się światu z takiej strony, a nie innej, jakby się miało fałszywą półkoronówkę zamiast fałszywego pensa. We wszystkich ocenach posługiwano się fałszywą walutą. Oczywiście, z całym cynizmem zdawała sobie sprawę z tego, że w świecie, w którym obowiązuje fałszywa waluta, podrabiany suweren jest więcej wart niż podrabiany pens. Ale bogatych czy biednych miała w takiej samej pogardzie.

Kpiła już z siebie za swoje mrzonki. Tak łatwo mogłaby je urzeczywistnić! Ale w głębi duszy zbyt dobrze uświadamiała sobie śmieszność własnych porywów.

Co ją to obchodzi, że Gerald przeobraził stary, rozpadający się koncern w dające wielkie zyski przedsiębiorstwo przemysłowe? Dlaczego ma jej na tym zależeć? Zarówno przestarzały koncern, jak sprawne, świetnie funkcjonujące przedsiębiorstwo to fałszywe pieniądze. Ale oczywiście pozornie obchodzi ją to bardzo — i tylko to się liczy, bo w duszy wie, że to wszystko jest kiepskim żartem.

Na każdą sprawę przecież w głębi duszy skłonna była patrzeć ironicznie. Pochyliła się nad Geraldem i szepnęła w duchu ze współczuciem:

„Och, mój drogi, mój najmilszy, gra nie jest warta nawet ciebie. Jesteś naprawdę cudowny... Dlaczego miałbyś być obsadzony w tak głupiej roli?!”

Serce jej pękało z litości dla niego i ze smutku. I w tym samym momencie jej usta wykrzywiły się w grymasie zjadliwej ironii wobec własnej, nie wygłoszonej tyrady. Cóż to za farsa! Pomyślała o Parnellu i Katherine O’Shea. Parnell! Kto traktuje poważnie narodowe dążenia Irlandii? Kto bierze na serio Irlandię polityczną, bez względu na jej posunięcia? I kto bierze na serio polityczną Anglię? Kto? Kogo w najmniejszym stopniu obchodzi naprawdę, czy stara, połatana konstytucja znowu zostanie zacerowana? Kto dba o nasze narodowe ideały bardziej niż o nasz narodowy melonik? Melonik to staroświeckie nakrycie głowy!

Nic więcej, Geraldzie, mój młody bohaterze. W każdym razie oszczędzimy sobie mdłości przy bełtaniu wystygłego rosołu. Bądź piękny, Geraldzie, i lekkomyślny. Bywają w życiu cudowne momenty. Obudź się, Geraldzie, obudź się i przekonaj mnie, że bywają piękne momenty. Och, przekonaj mnie, potrzebuję tego.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Powitała go drwiącym, zagadkowym uśmiechem, w którym była cierpka wesołość. Przez jego twarz przemknął refleks tego uśmiechu, sam też się uśmiechnął bezwiednie.

Odbicie własnego uśmiechu na jego twarzy zachwyciło ją niesłychanie. Pamiętała, że tak uśmiechają się niemowlęta. Sprawiło jej to niezwykłą, promienną przyjemność.

— Już to zrobiłeś — powiedziała.

— Co? — spytał jeszcze senny.

— Przekonałeś mnie. I nachyliwszy się ucałowała go namiętnie, tak namiętnie, że go to oszołomiło.

Nie spytał, o czym ją przekonał, choć miał taki zamiar. Cieszył się, że go całuje. Jak gdyby sięgała do jego serca,

docierała do źródła życia. Chciał, żeby dotarła do źródła żyda, chciał tego najbardziej na świecie. Na dworze męski, zuchwały, ładny głos śpiewał:

Mach mir auf, mach mir auf, du Stolze, Mach mir ein Feuer von Holze, Von Regen bin ich nass, Von Regen bin ich nass...

Gudrun wiedziała, że ta pieśń, śpiewana męskim, zuchwałym, kpiącym głosem; rozbrzmiewać dla niej będzie przez całą wieczność. Towarzyszyła chwili najdoskonalszej rozkoszy, najdoskonalszego zaspokojenia udręczonych nerwów. Nigdy tej melodii nie zapomni.

Dzień wstał piękny i niebieski. Na szczytach wiał lekki wiatr, kłujący jak rapier przy zetknięciu ze skórą i niosący miałki, śnieżny pył. Gerald wyszedł z czystą, niewidzącą twarzą człowieka w pełni zaspokojonego. Oboje byli tego ranka idealnie zespoleni, lecz błędni i półprzytomni. Wzięli sanki, Ursula i Birkin mieli podążyć za nimi.

Gudrun była cała w czerwieni i jaskrawym błękicie — miała czerwony sweter i czapkę, niebieską spódnicę i pończochy. Szła wesoło po białym śniegu obok ubranego na biało i szaro Geralda, który ciągnął sanki. Coraz mniejsi w śnieżnej przestrzeni wspinali się na strome zbocze.

Gudrun miała wrażenie, że wtapia się w biel śniegu, że jest kryształem, czystym i wyzbytym wszelkiej myśli. Kiedy stanęli na górze w podmuchach wiatru, rozejrzała się wokół siebie; widać stąd było grzebienie górskie, szczyty skalne i śnieżne, błękitnawe, które stapiały się z niebem. Jakby znalazła się w ogrodzie, w którym szczyty były kwiatami, a jej serce je zbierało. Gerald stanowił cząstkę tego wszystkiego.

Przylgnęła do niego, gdy zjeżdżali po spadzistym stoku. Miała uczucie, że jej zmysły ostrzy kamień szlifierski, palący jak płomień. Śnieg z obu stron tryskał jak iskry z ostrzonej klingi, wszechmocna biel pędziła coraz szybciej, leciał na nią

biały stok, roztapiała się jak tańcząca kuleczka rzucona w intensywną białość. Potem był wielki zakręt u podnóża góry, gdzie, odchyleni do tyłu, spadli na ziemię w zwolnionym tempie.

Zatrzymali się. Lecz kiedy podniosła się, nie mogła stać. Wydała dziwny okrzyk, obróciła się i przypadła do Geralda tuląc twarz do jego piersi; omdlewała wtulona w niego. Na nic niepomna, leżała tak bezwolnie przez kilka chwil.

— Co ci jest? — spytał. — To było za dużo dla ciebie? Ale nic nie słyszała.

Kiedy ocknęła się, wstała i spojrzała dokoła w zdumieniu. Twarz miała bladą, oczy błyszczące i ogromne.

— Co ci jest? — powtórzył. — Przelękłaś się?

Popatrzyła na niego błyszczącymi oczami, które zdawały się odmienione, i zaśmiała się w porywie dzikiej wesołości.

— Nie! — zawołała z radosnym tryumfem. — Była to najwspanialsza chwila mego życia.

Ciągle patrzyła na niego z tym olśniewającym, zbyt pewnym siebie uśmiechem, jakby coś ją opętało. Cienkie ostrze zdawało się wbijać w jego serce, ale nie dbał o to ani nie zwracał na to uwagi.

Wspięli się na zbocze i znowu, jakże cudownie, rzucili się w dół, przez biały płomień. Gudrun, roześmiana, cała iskrzyła się, obsypana kryształkami śniegu; Gerald znakomicie manewrował sankami. Czuł, że są mu idealnie posłuszne, że mógłby wzbić je w powietrze, w sam środek nieba. Zdawało mu się, że lot sanek to po prostu zewnętrzny przejaw jego mocy, wystarczy poruszać ramionami, by siebie samego wprawić w ruch. Rozglądał się po rozległych stokach szukając innego zjazdu. Pewien, że istnieje jakiś jeszcze lepszy, znalazł w końcu to, czego pragnął — gładką, długą, groźną stromiznę, nagle, u podnóża skały, skręcającą wprost w drzewa na dole.

Wiedział, że szlak jest niebezpieczny. Ale wiedział też, że potrafiłby poprowadzić sanki między palcami ręki.

Pierwsze dni minęły im w ekstazie fizycznego ruchu, jazdy na sankach, nartach, łyżwach; w intensywnym białym blasku, w pędzie poza życie, który przenosił dusze ludzkie w nieludzką abstrakcję szybkości, grawitacji, ciężaru i wiecznego, zamarzniętego śniegu.

W oczach Geralda pojawił się twardy, obcy wyraz, kiedy tak mknął na nartach nie jak człowiek, lecz jak zjawa zgubna i potężna, z mięśniami elastycznymi we wspaniałym lotnym pędzie, z ciałem rzuconym w czysty, wirujący lot, bezmyślnie, bezdusznie, po idealnej linii działania siły.

Na szczęście nadszedł dzień, kiedy spadło tyle śniegu, że musieli wszyscy zostać w domu; gdyż, jak twierdził Birkin, groziło im, że stracą dar mowy i zaczną porozumiewać się z sobą głośnymi okrzykami jak jakiś dziwny, nieznany gatunek śnieżnych stworzeń.

Po południu Ursula w Reunionsaal wdała się w rozmowę z Loerkem, który ostatnio wydawał się nie bardzo szczęśliwy. Teraz ożywił się i jak zwykle był złośliwy i dowcipny. Ursula jednak miała wrażenie, że jest nadąsany. Jego towarzysz, rosły, jasny, przystojny młodzieniec, wyraźnie nieswój, kręcił się tu i ówdzie, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca, zbuntowany przeciw zależności, w jaką popadł.

Loerke prawie nie odzywał się do Gudrun. Jego towarzysz, przeciwnie, otaczał ją stale łagodnymi, pełnymi przesadnego szacunku względami. Gudrun wolałaby rozmawiać z Loerkem. Był rzeźbiarzem i ciekawiły ją jego poglądy na

sztukę. Pociągał ją. Było w nim coś z małego nicponia, co ją intrygowało, i coś ze starca, co ją interesowało; poza tym jakaś niesamowita wręcz umiejętność bycia sobą, obywania się bez innych ludzi, co według niej cechowało

artystów. Plotkarz, gaduła, puszczał złośliwe kalambury, czasem bardzo zręczne, ale często nieudane. W głębi jego brązowych oczu gnoma dostrzegała martwe, czarne cierpienie, które czaiło się za wszystkimi błahymi błazeństwami.

Nawet jego sylwetka wydawała jej się ciekawa — miał figurę chłopca, niemal ulicznika. Nie usiłował tego ukryć. Zawsze nosił proste, lodenowe ubrania i pumpy. Miał cienkie nogi i wcale nie próbował tego zamaskować, co u Niemca było raczej zaskakujące. I nigdy nikomu nie starał się w najmniejszym stopniu przypodobać, przy całej swojej pozornej wesołości nie lgnął do ludzi.

Leitner, jego towarzysz, przystojny, silnie zbudowany mężczyzna o niebieskich oczach, był świetnym sportowcem. Loerke krótkimi zrywami jeździł trochę na sankach, trochę na łyżwach, ale traktował to dość obojętnie. A jego delikatne, cienkie nozdrza rasowego ulicznika drgały pogardliwie, kiedy przyglądał się sportowym wyczynom Leitnera. Jasne było, że ci dwaj mężczyźni, którzy razem podróżowali i razem mieszkali dzieląc nawet sypialnię, weszli teraz w stadium wzajemnej nienawiści. Leitner nienawidził Loerkego z dotkliwym poczuciem krzywdy, Loerke traktował Leitnera pogardliwie i sarkastycznie. Nadchodził moment rozstania.

Już teraz rzadko z sobą przebywali. Leitner towarzyszył rozmaitym ludziom, stale nieobecny, Loerke najczęściej był sam. Poza domem nosił westfalską czapkę — obcisły kaptur z brązowego welwetu z dwiema brązowymi klapkami na uszy, w których wyglądał jak kłapouchy królik lub jak gnom. Twarz miał koloru cegły, o suchej, błyszczącej skórze, która zdawała się pofałdowana od ożywionej mimiki. Miał szczególne oczy — brązowe, wyłupiaste jak oczy królika czy gnoma lub może straceńca — dziwne oczy, nieme, rozwiązłe i wszechwiedzące, w których błyskały tajemnicze iskierki. Kiedy Gudrun próbowała go zagadnąć, usuwał się bez

odpowiedzi i tylko patrzył na nią badawczo ciemnymi oczyma, unikając wszelkiego kontaktu. Dawał odczuć, że jej nieporadny francuski i jeszcze nieporadniejszy niemiecki budzą w nim odrazę. Sam był zbyt skrępowany, żeby posługiwać się angielskim, który znał słabo, choć rozumiał wiele z tego, co przy nim mówiono. Gudrun, dotknięta, zostawiła go samemu sobie.

Tego popołudnia jednak weszła do saloniku, gdzie rozmawiał z Ursulą. Jego czarne włosy, przerzedzone na czubku okrągłej głowy, całkiem wytarte na skroniach, przywodziły jej na myśl nietoperza. Siedział przygarbiony, jakby mu było ciężko na duszy. Gudrun domyśliła się, że z ociąganiem i niechętnie zwierza się z czegoś Ursuli, czyni jej jakieś wyznania, powściągliwe i ostrożne. Podeszła i usiadła obok siostry.

Spojrzał na nią i zaraz odwrócił wzrok, jakby wcale jej nie dostrzegł. Naprawdę jednak żywo się nią interesował.

—Jakie to ciekawe, Prune! — zawołała Ursula. — Fabryka w Kolonii zamówiła u pana Loerke wielki fryz na mur od strony ulicy.

Spojrzała nie niego, na jego szczupłe, brązowe, nerwowe dłonie, chwytne jak szpony, jak griffes, nieludzkie.

— Z czego? — spytała.

— Aus was? — powtórzyła jej pytanie Ursula.

— Z granitu.

Nastąpiła szybka wymiana lakonicznych pytań i odpowiedzi między fachowcami.

— Jaki relief?

— Alto rilievo.

— A wysokość?

Gudrun z przejęciem myślała o tym, że Loerke robi ogromny, granitowy fryz dla wielkiej fabryki w Kolonii, też całej z granitu. Wydobyła od niego trochę wiadomości na

temat projektu. Fryz miał przedstawiać jarmark, na którym wieśniacy i rzemieślnicy, wśród hucznej zabawy, pijani i niedorzeczni, we współczesnych strojach, wirują śmiesznie na karuzelach, gapią się na sztukmistrzów, spleceni ze sobą wywracają się, całują, zataczają, huśtają na huśtawkach, strzelają w strzelnicach — wszystko to w chaosie frenetycznego ruchu.

Wdali się w ożywioną dyskusję o technicznych szczegółach. Gudrun była pod silnym wrażeniem.

—Jakie to wspaniałe mieć taką fabrykę! — zawołała Ursula. — Czy cały budynek jest piękny?

— O, tak. Fryz jest częścią architektonicznej całości. Tak, to wręcz kolosalne.

Po chwili jakby zesztywniał, wzruszył ramionami i ciągnął dalej: — Rzeźba i architektura muszą z sobą harmonizować. Minęły czasy wolno stojących posągów, tak samo jak ściennego malarstwa. W istocie rzeźba jest zawsze częścią koncepcji architektonicznej. A skoro kościoły to już tylko muzealne zabytki, skoro naszą współczesnością jest przemysł, to niech jego budowle będą naszą sztuką, a okręgi fabryczne naszym Partenonem, ecco!

Ursula zastanawiała się chwilę. — Sądzę, że wielkie fabryki wcale nie muszą być tak ohydne.

Natychmiast ożywił się.

— Właśnie! Oczywiście! Nie tylko nie muszą być brzydkie, ale ich brzydota w rezultacie odbije się ujemnie na pracy. Ludzie nie zechcą dłużej znosić takiej ohydy. W końcu zacznie ich to razić, będą od tego usychać. I praca też zacznie usychać Uznają, że to praca jest brzydka: maszyny, wysiłek ludzki, chociaż i maszyny, i ludzkie wysiłki są niesłychanie, oszałamiająco piękne. I to będzie koniec naszej cywilizacji: ludzie nie zechcą pracować, ponieważ praca będzie nieznośnie raniła ich wrażliwość i budziła w nich wstręt tak wielki, że będą woleli raczej umrzeć z głodu.

Wtedy zobaczymy, jak posługują się młotem wyłącznie do rozbijania, a tak, zobaczymy to. A przecież możemy budować piękne fabryki, piękne domy dla maszyn... Mamy jeszcze tę szansę...

Gudrun nie wszystko rozumiała. Niemal popłakała się ze złości.

— Co on mówi? — spytała Ursulę. Ursula jąkając się przetłumaczyła w skrócie jego słowa. Loerke wpatrywał się w twarz Gudrun, żeby zorientować się, co ona o tym sądzi.

— A więc pan myśli, że sztuka powinna służyć przemysłowi?

— Sztuka powinna objaśniać przemysł, tak jak kiedyś objaśniała religię.

— Ale czy pański jarmark objaśnia przemysł?

— Oczywiście. Co dzieje się z człowiekiem na takim jarmarku? Wykonuje przeciwieństwo pracy — nie on wprawia w ruch maszynę, ale maszyna jego. Cieszy go własne ciało mechanicznie poruszane.

— Lecz czy nie istnieje nic, tylko praca? Mechaniczna praca?

— Nic, tylko praca! — powtórzył pochylając się naprzód; w ciemnych studniach jego oczu migotały punkciki świetlne, maleńkie jak ostrza igły. — Tak, poza tym nie ma nic! Albo trzeba służyć maszynie, albo upajać się ruchem maszyn. Ruch to wszystko. Gdyby pani kiedykolwiek pracowała, żeby zaspokoić głód, wiedziałaby pani, jaki Bóg nami rządzi.

Gudrun drgnęła i zarumieniła się. Nie wiadomo, dlaczego była bliska łez.

— Tak, nigdy nie pracowałam, żeby zaspokoić głód! Ale pracowałam ciężko.

— Travaillé... lavorato? — spytał. — E che lavoro... che lavoro? Quel travall est-ce vous auez fait?

Mówił mieszaniną włoskiego i francuskiego, odruchowo sięgając w rozmowie z nią do obcych języków.

— Pani nigdy nie pracowała tak, jak pracuje cały świat — powiedział ironicznie.

— Właśnie, że pracowałam. I nadal pracuję. Utrzymuję się z własnej pracy. Przyjrzał jej się uważnie i nie podjął tematu. Wydało mu się, że Gudrun stroi sobie żarty.

— A czy pan pracował kiedyś tak, jak pracuje cały świat? — spytała go Ursula.

Obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

— Tak — burknął — i wiem, co to leżeć trzy dni w łóżku, bo nie ma się nic do jedzenia.

Gudrun spoglądała na niego wielkimi, poważnymi oczami, które zdawały się wysysać z niego zwierzenia jak szpik z kości. Cała jego natura wzbraniała się przed spowiedzią. Ale te wielkie, poważne oczy otwierały jakby zawory w jego żyłach, wbrew woli mówił dalej:

— Mój ojciec nie lubił pracować, a nie mieliśmy matki. Mieszkaliśmy w Austrii, w jej polskiej części. Jak mieszkaliśmy? No cóż, jakoś tam. Przeważnie w pokoju z trzema różnymi rodzinami... każda w innym kącie... Muszla klozetowa przykryta deską stała na środku pokoju... Ha... Miałem dwóch braci i siostrę... Czasem jakaś kobieta wprowadzała się do ojca. Był on na swój sposób człowiekiem wolnym... Bił się, z kim popadło w tym mieście... w mieście garnizonowym... a był drobny, tak jak ja. Ale nie chciał pracować dla nikogo... Uparł się i wytrwał.

— A z czego żyliście? — spytała Ursula.

Spojrzał na nią i natychmiast przeniósł wzrok na Gudrun.

— Czy pani rozumie?

— Dostatecznie.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Odwrócił spojrzenie. Nie chciał już o tym mówić

— W jaki sposób został pan rzeźbiarzem? — Ursula nie dawała za wygraną. —Jak zostałem rzeźbiarzem?... — przerwał. —Dunque... — podjął innym tonem, przechodząc na francuski. — Dorastałem, kradłem często na rynku. Potem zacząłem pracować... wyciskałem znak fabryczny na glinianych butlach przed wypalaniem. To była wytwórnia garncarska. Potem zacząłem sam robić wzory. Pewnego dnia poczułem, że mam tego dosyć. Leżałem na słońcu i nie poszedłem do roboty. Wybrałem się pieszo do Monachium... Potem też pieszo do Włoch żebrząc... żebrząc o wszystko. Włosi byli dla mnie bardzo dobrzy. Dobrzy i szlachetni. Od Bożen do Rzymu prawie co wieczór miałem co jeść i gdzie spać, często na słomie u chłopa. Kocham Włochów z całego serca. Dunque, adesso... maintenant... zarabiam tysiąc funtów rocznie, a nawet dwa tysiące...

Wbił wzrok w ziemię i zamilkł nie dokończywszy zdania.

Gudrun patrzyła na jego cienką, delikatną, błyszczącą skórę, brązowoczerwoną od słońca, napiętą na wydatnych skroniach, na jego rzadkie włosy i gęste,

szorstkie jak szczotka wąsy, przycięte krótko nad ruchliwymi, niezbyt kształtnymi ustami.

— Ile pan ma lat? — spytała.

Podniósł na nią wyłupiaste oczy zdziwionego elfa.

— Wie alt? — powtórzył. I zawahał się. Wyraźnie nie lubił tego tematu.

— A ile pani ma lat? — odpowiedział pytaniem.

— Dwadzieścia sześć.

— Dwadzieścia sześć — popatrzył jej w oczy. Zamilkł na chwilę: — Und Ihr Gemahl, wie alt ist er?

— Kto? — spytała Gudrun.

— Twój mąż — wyjaśniła Ursula nie bez pewnej ironii.

— Ja nie mam męża — powiedziała Gudrun po angielsku. Po niemiecku dodała: — Skończył trzydzieści jeden.

Ale Loerke wpatrywał się w nią uważnie i podejrzliwie swoimi zagadkowymi, wyłupiastymi, czujnymi oczami. Było w Gudrun coś takiego, co mu odpowiadało. A on sam był jakby kimś z „małego ludku”, kto nie ma duszy i kto znalazł sobie partnerkę wśród ludzkich istot Ale przyprawiało go to o cierpienie. Ona też była nim urzeczona, jak gdyby jakiś dziwny stwór, może królik czy nietoperz lub foka, nagle do niej przemówił. Dostrzegła jednak to, z czego nawet on nie zdawał sobie sprawy — jego przerażającą przenikliwość, dar rozumienia najżywszej treści jej jestestwa. Nie znał własnej siły. Nie mógł wiedzieć, do jakiego stopnia swymi wyłupiastymi, czujnymi oczyma potrafi ją zgłębić, wczuć się w nią, poznać jej tajemnice. Chciał tylko, żeby była sobą. Znał ją prawdziwie, jego wiedza o niej, podświadoma i niebezpieczna, pozbawiona była złudzeń i nadziei.

Gudrun widziała w Loerkem samo dno rzeki życia. Wszyscy ludzie mieli złudzenia, musieli mieć złudzenia, swoją przeszłość i swoją przyszłość. A on z niewzruszonym stoicyzmem żył bez przeszłości i bez przyszłości, obywał się bez złudzeń. I w rezultacie nie oszukiwał samego siebie. W rezultacie nie dbał o nic, nie kłopotał się o nic, nie czynił najmniejszych wysiłków, żeby się do czegokolwiek dostosować. Po prostu istniał — czysta, nieskrępowana wola, stoicka i skupiona. Ważna dla niego była tylko praca.

Pociągało ją jego ubóstwo i poniewierka we wczesnej młodości. Nudny i w złym guście był dla niej model dżentelmena, mężczyzny, który przeszedł zwykłą drogę przez szkołę i uniwersytet. Wezbrała w niej natomiast gwałtowna sympatia do tego dziecka nędzy. Wydawał jej się kwintesencją społecznych nizin. Wyłonił się z najniższych kręgów.

Ursulę Loerke również pociągał. W obu siostrach wzbudzał pewien respekt.

Ale chwilami wydawał się Ursuli kimś znacznie poniżej ich poziomu, obłudnikiem i prostakiem.

Birkin i Gerald nie lubili go, Birkina irytował, a Gerald ignorował go z pewną pogardą.

— Co kobiety widzą w tym chłystku? — spytał Gerald.

— Bóg jeden wie — odpowiedział Birkin — chyba to, że sposób, w jaki odnosi się do nich, pochlebia im i je urzeka.

Gerald spojrzał na niego zdumiony.

— Naprawdę im się to podoba?

— O tak. Ma duszę idealnego niewolnika, zachowuje się prawie jak przestępca. Przyciąga to kobiety, jak próżnia przyciąga prąd powietrza.

— Śmieszne, że to na nie działa.

— I denerwujące. Ale fascynuje je litość i odraza, jaką budzi w nich ta plugawa poczwara, która wylęgła się w mroku.

Gerald stał bez ruchu pogrążony w myślach.

— Czego kobiety chcą w gruncie rzeczy? Birkin wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem. Być może odruch elementarnego wstrętu sprawia im przyjemność. Czołgają się jakby przez upiorny tunel ciemności i nic ich nie zadowoli, póki nie dotrą do końca.

Gerald patrzył na wirującą, śnieżną mgłę. Wszystko tego dnia było zasnute mgłą, przerażająco posępne.

— A co jest na końcu?

—Nie dotarłem tam jeszcze, więc nie wiem. Zapytaj Loerkego, on jest całkiem blisko. O wiele bliżej, niż ty czy ja kiedykolwiek będziemy.

— Bliżej czego?

Birkin westchnął i zmarszczył gniewnie brwi.

— Posunął się znacznie dalej na drodze społecznej nienawiści — powiedział. — Żyje jak szczur w rzece rozkładu, tam gdzie ta rzeka wpada w bezdenną przepaść. Jest dalej niż my, jego nienawiść do ideału jest bardziej zawzięta. Nienawidzi ideału nieprzejednanie, ale jest jeszcze pod jego wpływem. Przypuszczam, że jest Żydem lub po części Żydem.

— Prawdopodobnie.

— Wszystko w nim jest negacją, przeczy życiu i podgryza jego korzenie.

— Więc dlaczego są ludzie, którym na nim zależy? — zawołał Gerald.

— Ponieważ także w głębi duszy nienawidzą ideału. Chcą pogrążyć się w ściekach, a on jest czarnoksięskim szczurem, który płynie na ich czele.

Gerald ciągle wpatrywał się w ciemne tumany za oknem.

— Właściwie nic z tego nie rozumiem — powiedział grobowym tonem. — Ale ten rodzaj pragnień wydaje mi się dziwaczny.

— My też chyba tego chcemy. Ale wolelibyśmy skoczyć w dół gwałtownie, w porywie ekstazy, a on powoli spływa z prądem do ścieku.

Gudrun i Ursula czekały na następną okazję rozmowy z Loerkem. Nie miało sensu zaczynać jej przy panach. Nie mogłyby wtedy nawiązać kontaktu z trzymającym się na uboczu małym rzeźbiarzem. Musiały być z nim same. Loerke wolał, żeby Ursula także była obecna, stanowiła jakby rodzaj łącznika między nim a Gudrun.

— Czy nie robi pan nic poza rzeźbą architektoniczną? — spytała pewnego wieczoru Gudrun.

— Teraz nie. Robiłem wszystko... Z wyjątkiem portretów... Do tych się nigdy nie brałem. Ale inne rzeczy...

— Jakie?

Milczał czas pewien, po czym wstał i wyszedł z pokoju. Wrócił natychmiast z niewielkim rulonem, który jej wręczył. Rozwinęła go. Była to fotograwiurowa reprodukcja podpisana F. Loerke.

— To moja wczesna praca, nie architektoniczna. Raczej popularna. Posążek przedstawiał nagą dziewczynę, drobną i zgrabną, na wielkim, nagim koniu. Dziewczyna była młodziutka i krucha — jeszcze nie rozkwitły pąk. Siedziała na koniu bokiem, bezwładnie, z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby ze wstydu czy zmartwienia. Pasma krótkich włosów, na pewno płowych, opadały jej na policzki, prawie zakrywając dłonie.

Jej ciało było młode i delikatne. Nogi jeszcze nie całkiem uformowane — nogi dziewczynki u progu okrutnej kobiecości, zwisające żałośnie i dziecinnie na zadzie potężnego konia; drobniutkie stopy spłotła ze sobą, jakby chciała je ukryć. Ale nie było kryjówki. Każdy mógł ją zobaczyć nagą, na nagim końskim grzbiecie.

Koń stał bez ruchu, spięty, jakby miał zerwać się do biegu. Był to masywny, piękny ogier, z szyją wygiętą w łuk i groźną jak kosa, z bokami wciągniętymi, sztywny od sprężonej mocy.

Gudrun zbladła, oczy jej pociemniały jakby od wstydu, podniosła wzrok błagalnie, niczym niewolnica. Spojrzał na nią i lekko potrząsnął głową.

— Jakiej to jest wielkości? — spytała bezdźwięcznie, umyślnie starając się przybrać ton zdawkowy i obojętny.

— Jakiej wielkości? — powtórzył nie odrywając od niej spojrzenia. — Bez piedestału jest takie — wskazał dłonią — z piedestałem, takie...

Przyglądał się jej uporczywie. W jego szybkich gestach było trochę nagłej, pełnej pychy wzgardy, przed którą jakby się lekko skuliła.

— Z czego to jest wykonane? — odrzuciła w tył głowę i patrzyła na niego z zamierzonym chłodem.

Ciągle wpatrywał się w nią nie tracąc przewagi.

— To brąz, zielony brąz.

— Zielony brąz? — powtórzyła Gudrun przyjmując oschle jego wyzwanie. Myślała o wiotkim, niedojrzałym, delikatnym ciele dziewczyny, gładkim i chłodnym w zielonym brązie.

— Tak, to piękne — szepnęła podnosząc na niego oczy z mrocznym podziwem.

Zmrużył powieki, żeby ukryć błysk tryumfu.

— Dlaczego — spytała Ursula — ten koń jest taki sztywny? Sztywny jak słup.

— Sztywny? — powtórzył gotów do walki.

— Tak. Proszę spojrzeć, jaki jest głupi i brutalny. Jak pień. Konie przecież są delikatne i wrażliwe.

Uniósł ramiona i rozłożył ręce obojętnie, z nonszalancją mającą dać jej do zrozumienia, że nie jest niczym więcej niż amatorką i arogancką ignorantką.

— Wissen Sie — powiedział tonem obraźliwie cierpliwym i protekcjonalnym — ten koń jest pewną formą, częścią określonej całości. To część dzieła sztuki, fragment kompozycji. Nie jest to podobizna ulubionego konia, któremu podaje się kostkę cukru. Rozumie pani, to jest część dzieła sztuki i nie ma związku z niczym poza tym dziełem.

Ursula zła, że się ją traktuje tak ubliżająco de haut en bas, z wyżyn wtajemniczenia w sztukę schodzi się do niej na niziny pospolitego dyletanctwa, odparła ostro, unosząc zarumienioną twarz:

— Ale, bądź co bądź, to jest podobizna konia. Znowu wzruszył ramionami.

— Jak pani uważa. Na pewno nie jest to podobizna krowy.

Wtrąciła się Gudrun, przejęta i apodyktyczna, chcąc za wszelką cenę powstrzymać zacietrzewioną w głupim uporze siostrę od dalszych kompromitacji.

— Co masz na myśli mówiąc „to podobizna konia”?! — krzyknęła na nią. — Co to dla ciebie jest koń? Jest ideą w twojej głowie i tak chcesz to widzieć. Ale istnieje też inna idea, całkiem odmienna. Nazwij to koniem, jeśli chcesz, lub powiedz, że to nie jest koń. Ale i ja mam prawo powiedzieć, że twój koń nie jest koniem, że jest tylko twoją osobistą, fałszywą koncepcją konia.

Ursula zawahała się stropiona. Lecz odzyskała głos.

— Ale dlaczego on ma taką ideę konia? Wiem, że to jego idea. Wiem, że to naprawdę jest jego własny portret...

Loerke żachnął się z gniewem.

— Mój portret! — powtórzył szyderczo. — Wissen Sie, gnädige Frau, to jest Kunstwerk, dzieło sztuki. Dzieło sztuki, a nie czyjaś podobizna. Nie ma ono absolutnie nic wspólnego z czymkolwiek poza sobą, nie ma związku z powszednim światem, takim czy innym, żadnego związku, znajdują się na dwóch różnych i wyraźnie odgraniczonych płaszczyznach istnienia i idiotyczne przenoszenie pojęć z jednej płaszczyzny na drugą wszystko gmatwa i zaciemnia. Widzi pani, nie wolno mylić świata czynu, gdzie wszystko jest względne, z absolutnym światem sztuki. Tego robić nie wolno.

— Tak, to prawda! — zawołała Gudrun w rapsodycznym uniesieniu. — Te dwa światy są całkowicie i trwale odmienne, nic ich ze sobą nie łączy. Między mną i moją sztuką nie ma nic wspólnego. Moja sztuka jest z innego świata, a ja żyję na tym.

Jej rozgorączkowana twarz nabrała nowego wyrazu. Loerke, który siedział z pochyloną głową, jak osaczone zwierzę, obrzucił ją szybkim, ukradkowym spojrzeniem i mruknął:

— Ja… So ist es, so ist es.

Ursula milczała chwilę po wybuchu Gudrun. Była wściekła. Chętnie by ich oboje rozszarpała na strzępy.

— Nie ma słowa prawdy w tyradzie, jaką pan wygłosił — oświadczyła kategorycznie. — Koń jest odbiciem typowej dla pana tępej brutalności, a tę dziewczynę kochał pan, zadręczył i w końcu porzucił.

Spojrzał na nią z lekkim błyskiem pogardy w oczach. Nie raczył nawet odeprzeć jej oskarżeń.

Gudrun również milczała oburzona i pełna niesmaku. Co za nieznośna profanka z tej Ursuli, wdziera się tam, gdzie anioł bałby się postawić stopę. No cóż, głupców trzeba znosić, choć nie jest to przyjemne.

Ursula nadal obstawała przy swoim.

— A jeśli mowa o pańskim świecie sztuki i świecie rzeczywistym, to rozdziela je pan, ponieważ nie chce pan wiedzieć, jaki pan jest. Nie może pan znieść świadomości, ile jest w panu naprawdę wściekłej, prostackiej, ograniczonej brutalności, więc mówi pan, że to „świat sztuki”. Świat sztuki to tylko prawda o świecie rzeczywistym, nic poza tym, ale zaszedł pan za daleko, żeby go widzieć.

Była blada i dygotała z przejęcia. Gudrun i Loerke, zesztywniali z niechęci, siedzieli bez ruchu. Gerald, który nadszedł w momencie, kiedy zaczęła mówić, również patrzył na nią z dezaprobatą i potępieniem. Uznał, że zachowuje się niestosownie, że w jakiś prostacki sposób targnęła się na wtajemniczenie, które jest ostatnią ostoją elity. Stanął po stronie tamtych dwojga. Wszyscy troje chcieli, żeby Ursula

odeszła. Ale siedziała w milczeniu, łkając w duszy, z bijącym gwałtownie sercem, mnąc w palcach chusteczkę.

Pozostali, w martwej ciszy, starali się nie zwracać uwagi na jej manifestacyjne natręctwo. Gudrun chłodno i spokojnie, jakby podejmowała zdawkową rozmowę, zapytała:

— Czy to była modelka?

— Nein, sie war kein Modell. Sie war eine kleine Malschülerin.

— Uczył ją pan malarstwa! — zawołała Gudrun.

Jakże jasna stała się dla niej sytuacja! Widziała młodziutką studentkę, o ciele jeszcze nie uformowanym, niebezpiecznie zuchwałą, zbyt młodą, z prostymi, jasnymi włosami, obciętymi krótko, które opadały jej na szyję tak gęste, że lekko podwijały się na końcach; i Loerkego, rzeźbiarza dość znanego, by dziewczyna, najpewniej dobrze wychowana i z dobrej rodziny, czuła się dumna, że jest jego kochanką. O, jak dobrze to znała! Drezno, Paryż czy Londyn, co za różnica? Wiedziała, jakie to przyziemne i wulgarne.

— Gdzie ona teraz jest? — spytała Ursula.

Loerke wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia i jest mu to całkowicie obojętne.

— To było sześć lat temu — powiedział — teraz ma dwadzieścia trzy lata. Nie nadaje się już.

Gerald wziął do ręki reprodukcję i przyglądał się jej uważnie. Jemu także rzeźba się podobała. Z napisu na piedestale zorientował się, że nosi tytuł „Lady Godiva”.

— Ale przecież to nie jest lady Godiva — powiedział z uśmiechem — lady Godiva była kobietą w średnim wieku, żoną jakiegoś lorda i włosy miała tak długie, że mogła się nimi cała okryć.

— À la Maud Allan — dorzuciła z drwiącą miną Gudrun.

— Dlaczego Maud Allan? Czy się mylę? Zawsze myślałem, że treść legendy jest właśnie taka.

— Tak, mój drogi, jestem zupełnie pewna, że dokładnie pamiętasz legendę.

Uśmiechnęła się do niego z cieniem politowania, ironicznie i pieszczotliwie zarazem.

— Rzecz jasna, wolałbym widzieć raczej kobietę niż tylko jej włosy — roześmiał się w odpowiedzi.

— Niemożliwe! — zakpiła Gudrun.

Ursula wstała i wyszła.

Gudrun wzięła od Geralda reprodukcję i oglądała ją uważnie.

— Oczywiście — teraz droczyła się z Loerkem — pan rozumiał pańską małą Malschülerin.

Uniósł brwi i wzruszył ramionami, wyraźnie z siebie niezadowolony.

— Tę dziewczynkę? — spytał Gerald.

Gudrun nadal trzymała na kolanach reprodukcję. Spojrzała Geraldowi prosto w oczy, aż go to niemal oślepiło.

— Prawda, że ją rozumiał? — zwróciła się do niego z nieco kpiącym, żartobliwym rozbawieniem. — Wystarczy spojrzeć na jej stopy... Czy nie rozkoszne? Takie urocze i delikatne, naprawdę czarujące...

Uniosła z wolna wzrok i utkwiła gorące, płomienne spojrzenie w oczach Loerkego. Rozgrzało go jej palące uznanie, zdawał się nabierać pewności siebie i pychy.

Gerald patrzył na malutkie wyrzeźbione stopy. Zwrócone były do siebie, jedna prawie ukryta za drugą w żałosnym geście, nieśmiałym i zalęknionym. Przyglądał im się długo, zafascynowany. Potem z pewnym żalem odłożył reprodukcję. Poczuł się całkiem pusty w środku.

— Jak ona się nazywa? — spytała Gudrun.

— Annette von Weck — przypomniał sobie Loerke. — Ja, sie war hübsch. Była ładna, ale nieznośna. O, dała mi się we znaki, nie umiała nawet przez chwilę ustać spokojnie, dopiero jak ją trzepnąłem, wybuchała płaczem i siedziała bez ruchu przez pięć minut.

Myślał o pracy, o swojej pracy, która była dla niego jedynie ważna.

— Naprawdę pan ją uderzył? — spytała zimno Gudrun. Spojrzał na nią podejmując wyzwanie.

— Tak — odpowiedział niedbale. — Nigdy w życiu nikogo tak mocno nie biłem. Musiałem, po prostu musiałem. Tylko w ten sposób mogłem skończyć rzeźbę.

Gudrun wpatrywała się w niego przez kilka chwil wielkimi, pociemniałymi oczyma. Jakby zaglądała mu w głąb duszy. Po czym w milczeniu spuściła wzrok.

— Dlaczego wybrał pan taką młodziutką Godivę? — spytał Gerald. — Taka jest drobna na tym koniu. Zbyt mała dla niego. Po prostu dziecko.

Dziwny skurcz przemknął przez twarz Loerkego.

— Nie lubię większych ani starszych. Są piękne, kiedy mają szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat. Potem już się dla mnie nie nadają.

Rozmowa urwała się. Po chwili Gerald podjął wątek.

— Dlaczego? — spytał. Loerke wzruszył ramionami.

— Nie widzę w nich nic interesującego ani pięknego. Nie odpowiadają mi już jako modele.

— Twierdzi pan, że po dwudziestce kobieta nie jest już piękna?

— Dla mnie nie. Zanim skończy dwadzieścia lat, jest drobna, świeża, delikatna i wiotka. Potem żadna dla mnie się już nie liczy. Wenus z Milo to mieszczka, jak one wszystkie,

— I pan nie interesuje się kobietami po dwudziestce? — nalegał Gerald.

— Nie są mi przydatne, nie nadają się dla mojej sztuki — powtórzył Loerke niecierpliwie. — Nie uważam ich za piękne.

— Jest pań epikurejczykiem — powiedział Gerald z nieco ironicznym uśmiechem.

— A co pan myśli o mężczyznach? — wtrąciła się Gudrun.

— O, mężczyźni są dobrzy w każdym wieku. Mężczyzna powinien być wielki i silny. Nieważne, stary czy młody, byleby miał odpowiednie rozmiary, coś z masywnej bryły i... jakikolwiek kształt.

Ursula, wyszedłszy z domu, znalazła się sama w świecie czystego, świeżego śniegu. Oślepiająca biel uderzała w nią aż do bólu, czuła, jak mróz z wolna skuwa jej duszę. Była oszołomiona i odrętwiała.

Nagle zapragnęła stąd odejść. Olśniła ją cudowna myśl, że może przecież odejść w inny świat. Czuła się tu, w wiecznych śniegach, skazana, jakby nic poza tym nie istniało.

I nagle, cudem, przypomniała sobie, że daleko stąd, za górami, jest czarna, żyzna ziemia, że na południu rozciąga się kraj ciemny od drzew pomarańczowych i cyprysów, szary od oliwek, gdzie wiecznie zielone dęby wznoszą w cieniu do błękitnego nieba wspaniałe, pierzaste czuby. Cud nad cudami! Ten pogrążony w niezmąconej ciszy zamarły świat górskich szczytów nie jest całym światem! Można go opuścić i zapomnieć na zawsze. Można stąd wyjechać.

Chciała urzeczywistnić cud natychmiast. Chciała już w tej chwili wyrwać się ze świata śniegu, nie widzieć strasznych, niewzruszonych lodowych szczytów. Chciała patrzeć na czarną ziemię, wdychać jej urodzajny zapach,

zobaczyć upartą, zimową roślinność, czuć, jak słońce budzi do życia pąki.

Wróciła do domu wesoła, pełna nadziei. Birkin leżał w łóżku i czytał. Wpadła do pokoju wołając:

— Rupert, chcę stąd wyjechać.

Bez pośpiechu zwrócił na nią wzrok.

— Chcesz wyjechać? — spytał łagodnie.

Usiadła przy nim i zarzuciła mu ręce na szyję.. Zaskoczyło ją, że właściwie wcale się nie zdziwił.

— A ty nie chcesz? — spytała z niepokojeni.

— Nie myślałem o tym. Ale na pewno zechcę. Wyprostowała się raptownie.

— Nienawidzę tego... Nienawidzę śniegu, śnieg jest nienaturalny, na wszystko rzuca nienaturalne światło, nienawidzę jego upiornej wspaniałości i nienaturalnych uczuć, jakie w każdym budzi.

Leżał bez ruchu i śmiał się, coś rozważając.

— Dobrze, możemy wyjechać. Możemy jechać jutro. Pojedziemy jutro do Werony, odnajdziemy Romea i Julię i usiądziemy sobie w amfiteatrze, dobrze?

Nagle, zmieszana i zawstydzona, ukryła twarz na jego ramieniu. Był tak absolutnie nieskrępowany.

— Dobrze — szepnęła miękko z ulgą. Jego beztroska uskrzydliła ją — będziemy jak Romeo i Julia. Mój najdroższy!

— Chociaż w Weronie wieje od Alp lodowaty wiatr. Będziemy mieli w nozdrzach zapach śniegu.

Znowu usiadła prosto.

— Cieszysz się, że wyjedziemy? — spytała niepewnie.

Miał nieprzeniknione, roześmiane oczy. Wtuliła twarz w jego szyję i przylgnęła do niego błagając:

— Nie śmiej się ze mnie... Proszę, nie śmiej się ze mnie...

— A to dlaczego? — objął ją rozbawiony.

— Bo ja nie chcę, żeby mnie wyśmiewano — wyszeptała. Ucałował jej puszyste, pachnące włosy.

— Kochasz mnie? — szepnęła z namiętną powagą.

— Tak — odparł śmiejąc się.

Niespodziewanie nadstawiła mu usta do pocałunku. Jej wargi były napięte, drżące i twarde, jego — miękkie, wypukłe i delikatne. Przedłużył pocałunek I poczuł w duszy cień smutiku.

— Twoje usta są takie twarde — powiedział z lekkim wyrzutem.

— A twoje takie miękkie i miłe — odrzekła wesoło.

— Ale dlaczego ty zawsze zaciskasz wargi? — spytał z żalem.

— Nie przejmuj się, to nieważne. Mam taki zwyczaj.

Wiedziała, że ją kocha; była go pewna. A jednak nie potrafiła mu do reszty ustąpić, nie znosiła, kiedy ją krytykował. Z rozkoszą poddawała się jego uczuciu. Wiedziała, że chociaż cieszy go, kiedy jest mu uległa, trochę go to także smuci.

Mogła dostosować się do niego. Ale nie mogła być sobą, nie śmiała wyjść naga naprzeciw jego nagości, zaniechać wszelkich oporów, zatracić się w czystej wierze w niego. Była mu uległa albo zagarniała go dla siebie i czerpała z tego radość. Była przy nim bardzo szczęśliwa. Ale nigdy nie byli całkowicie razem, w tej samej chwili, zawsze jedno pozostawało nieco w tyle. Ursula jednak była wesoła i optymistyczna, zwycięska i wolna, niezależna i pełna życia. Rupert na razie zachowywał się spokojnie, był łagodny i cierpliwy.

Szykowali się do jutrzejszego wyjazdu. Najpierw poszli do pokoju Gudrun, gdzie zastali ją i Geralda ubranych już na wieczór.

— Prune — powiedziała Ursula — chyba wyjedziemy jutro. Nie mogę dłużej wytrzymać śniegu. Rani mi skórę i duszę.

— Naprawdę rani ci duszę, Ursulo? — Gudrun zdziwiła się. — Mogę uwierzyć, że rani ci skórę... jest straszny. Ale myślałam, że na duszę działa cudownie.

— Nie na moją. Po prostu jej szkodzi.

— Naprawdę?

W pokoju zapadła cisza. Ursula i Birkin czuli, że wiadomość o ich wyjeździe została przyjęta z ulgą.

— Pojedziecie na południe? — W głosie Geralda brzmiało jakby zakłopotanie.

— Tak. — Birkin odwrócił się. Ostatnio obaj mężczyźni odnosili się do siebie z dziwną, nieuchwytną wrogością. Birkin, przyciszony i obojętny, biernie pozwalał, by unosił go prąd, beztroski i cierpliwy, odkąd znalazł się za granicą. Gerald natychmiast był napięty, jakby porażony ostrym białym światłem, kłótliwy. Unikali się nawzajem.

Gerald i Gudrun serdecznie traktowali odjeżdżających, dbali o ich wygody, jakby chodziło o dzieci. Gudrun przyszła do pokoju Ursuli z trzema parami kolorowych pończoch — kolorowe pończochy były jej specjalnością — i rzuciła je na łóżko. Były to grube, jedwabne pończochy, cynobrowe, chabrowe i szare, kupione w Paryżu. Szare zostały zrobione na drutach, bez szwu, najgrubsze. Ursula wpadła w zachwyt. Z jaką czułością odnosi się do niej Gudrun, skoro oddaje jej takie skarby!

— Nie mogę ich przyjąć, Prune! — zawołała. — Po prostu nie jestem w stanie pozbawić cię tych klejnotów.

— Prawda, że to klejnoty? — Gudrun spoglądała na swoje dary pożądliwym wzrokiem. — Czy nie są słodkie?

— Musisz je sobie zachować — oświadczyła Ursula.

— Nie chcę ich, mam jeszcze trzy pary. Chcę, żebyś ty je zachowała... Żebyś je miała. Są twoje...

Drżącymi z podniecenia rękami wsunęła upragnione pończochy pod poduszkę Ursuli.

— Nic nie sprawia takiej przyjemności jak naprawdę piękne pończochy — stwierdziła Ursula.

— Tak — zgodziła się Gudrun. — To jest najprzyjemniejsze.

I usiadła na krześle. Widać było, że przyszła na ostatnią rozmowę. Ursula nie wiedząc, o co jej chodzi, czekała w milczeniu.

— Czy ty, Ursulo, masz uczucie — zaczęła Gudrun raczej sceptycznie — że „wyjeżdżasz-stąd-na-zawsze-by-nigdy-nie-wrócić” lub coś w tym rodzaju?

— O, kiedyś tu wrócimy. Wystarczy kupić bilet kolejowy.

— Wiem. Ale czy duchowo... jeśli to tak nazwać... odjeżdżasz od nas wszystkich?

Ursula drgnęła.

— Nie mam pojęcia, co będzie dalej. Wiem tylko, że na razie gdzieś jedziemy.

Gudrun czekała.

— I jesteś zadowolona?

Ursula namyślała się przez chwilę.

— Chyba jestem bardzo zadowolona.

Dla Gudrun znamienny był raczej bezwiedny blask na twarzy siostry niż niepewny ton jej głosu.

— Nie sądzisz jednak, że będziesz chciała nawiązać znów stosunki ze światem? Z ojcem, z nami, ze wszystkim,

co za tym stoi... Z Anglią, ze światem myśli? Nie przypuszczasz, że będziesz tego potrzebowała w tej twojej nowej rzeczywistośd?

Ursula milczała usiłując sobie to wyobrazić.

— Myślę — rzekła w końcu niechętnie — że Rupert ma rację... Człowiek chce żyć w nowej przestrzeni i wypada z dawnej.

Gudrun przyglądała się siostrze z powagą w oczach i z niewzruszoną twarzą.

— Chce się nowej przestrzeni, zgoda. Ale ja uważam, że nowy świat jest dalszym ciągiem dawnego i że przez odosobnienie się, we dwoje z drugim człowiekiem, wcale nie znajdziesz nowego świata, tylko utwierdzisz się we własnych złudzeniach.

Ursula wyglądała przez okno. W głębi duszy toczyła już walkę i to ją przestraszyło. Zawsze bała się słów, ponieważ wiedziała, że sama siła słowa może skłonić ją, by uwierzyła w to, w co nie wierzy.

— Być może — powiedziała pełna nieufności do siebie i do wszystkich. — Ale wydaje mi się — dodała — że nie można mieć nic nowego, póki ważna jest przeszłość. Rozumiesz, co mam na myśli? Nawet jeśli się z przeszłością walczy. Wiem, człowieka kusi, żeby zatrzymać się razem ze światem, bo po prostu chce z nim walczyć. Ale nie warto. Gudrun zastanowiła się.

— Tak, w pewnym sensie jest się na pewno cząstką rzeczywistości, w jakiej się żyje. Ale czy nie łudzisz się myśląc, że można się z niej wydostać? Ostatecznie willa w Abruzzach czy gdziekolwiek indziej nie jest nowym światem. Nie, jedyne, co można uczynić ze światem, to nie dać mu się zwieść.

Ursula odwróciła wzrok Tak bardzo obawiała się wszelkich dyskusji.

— Lecz przecież może też istnieć coś innego, prawda? Można to dojrzeć w głębi własnej duszy, zanim się zobaczy to w rzeczywistości. A gdy już zgłębiło się własną duszę, wtedy coś się w nas zmienia.

— Czy można zgłębić własną duszę? Jeśli rozumiesz przez to, że wiesz, co się zdarzy na samym końcu, nie zgadzam się z tobą. Naprawdę, Ursulo, nie mogę się zgodzić. W każdym razie nie możesz nagle odlecieć na inną planetę, ponieważ myślisz, że zdołasz przewidzieć wszystko do końca.

Ursula wyprostowała się.

— Tak — powiedziała. — Tak... jednak to się wie. Z tym światem już nic nie łączy. Jest się kimś innym, mieszkańcem innej planety, nie tej. I trzeba oderwać się od ziemi.

Gudrun zamyśliła się. Na jej twarzy pojawił się drwiący, prawie pogardliwy uśmiech.

— A co się stanie, kiedy znajdziesz się w przestrzeni? — spytała szyderczo. — Bo w końcu tam też trafisz na te same wzniosłe ideały. Ty, bardziej niż ktokolwiek inny, nie możesz zaprzeczyć, że miłość jest najwyższym dobrem zarówno w przestrzeni, jak na naszym globie.

— Nie, tak wcale nie jest. Miłość jest zbyt ludzka i małostkowa. Ja wierzę w wartości nadludzkie, których miłość jest jedynie drobną cząstką. Wierzę, że to, co musimy spełnić, przychodzi do nas z nieznanego i jest nieskończenie większe od miłości. Nie tak wyłącznie ludzkie.

Gudrun spoglądała na Ursulę poważnie i jakby z wahaniem. Podziwiała swoją siostrę i jednocześnie nią gardziła. Nagle odwróciła twarz i powiedziała zimno, z niemiłym grymasem.

— No cóż, ja na razie nie zaszłam dalej niż miłość.

Przez głowę Ursuli przemknęła myśl: „Nie możesz pójść dalej, skoro nigdy nie kochałaś”.

Gudrun wstała, podeszła do Ursuli i objęła ją za szyję.

— A więc jedź i odnajdź swój nowy świat — w jej głosie pobrzmiewała fałszywa serdeczność. — Prawdę mówiąc nie ma podróży szczęśliwszej niż wyprawa w poszukiwaniu Wysp Błogosławionych, o jakich mówi Rupert.

Otaczając ramieniem szyję Ursuli musnęła przelotnie palcem jej policzek. Ursula poczuła się z tym wszystkim wręcz fatalnie. W protekcjonalnym tonie Gudrun było coś zgoła obraźliwego, co ją zbyt boleśnie raniło. Czując opór siostry, Gudrun odsunęła się niezręcznie; odwróciła poduszkę i znów odsłoniła pończochy. Roześmiała się raczej nieszczerze.

— No, naprawdę, o czyni my mówimy! Nowe światy, stary świat... Przeszły na inne, bardziej doczesne tematy.

Gerald i Birkin szli drogą czekając, aż dopędzą ich sanie z odjeżdżającymi gośćmi.

— Jak długo jeszcze tu zostaniecie? — spytał Birkin spoglądając na czerwoną, niemal pozbawioną wyrazu twarz Geralda.

— Nie wiem. Dopóki nam się nie znudzi.

— Nie boisz się, że najpierw stopnieją śniegi? Gerald roześmiał się.

— Czy kiedykolwiek topnieją?

— Więc u was wszystko w porządku? Gerald zmrużył lekko oczy.

— Wszystko w porządku? — powtórzył. — Nigdy nie wiem, co to właściwie znaczy. Wszystko w porządku i wszystko na opak, to teraz jak gdyby wręcz synonimy.

— Być może. I co z waszym powrotem?

— Och, nie wiem. Może nigdy nie wrócimy. Nie patrzę przed siebie ani za siebie.

— Ani nie wzdychasz za tym, czego nie ma.

Gerald spoglądał w dół niewidzącymi oczyma, z małymi punkcikami źrenic jak u jastrzębia.

— Nie. Jest w tym coś nieodwołalnego. A Gudrun wydaje mi się końcem drogi. Nie wiem... Jest taka miękka, z tą skórą jak jedwab, z tymi miękkimi, ciężkimi ramionami. To wysusza mi świadomość, pali tkankę mózgu. — Zrobił parę kroków wpatrzony przed siebie nieruchomymi oczami, z twarzą jak obrzędowa maska posępnej, barbarzyńskiej religii.

— Oślepia ci to duszę — ciągnął — i pozostawia cię niewidomym. Chcesz być niewidomy, chcesz, żeby cię oślepiono, nie chcesz nic innego.

Mówił jak w transie, deklamatorski i beznamiętny. Wtem ożywił się, wpadł w rodzaj uniesienia i spojrzał na Birkina mściwym, karcącym wzrokiem.

— Czy ty wiesz, co to znaczy cierpieć, gdy jest się z kobietą? Jest tak piękna, tak doskonalą, widzisz, jaka jest dobra, to cię rozdziera, jakbyś był z jedwabiu, każde rozdarcie rani cię i parzy... Ach, ta nieskazitelna doskonałość, gdy ty spalasz się, cały się spalasz! I wtedy — zatrzymał się na śniegu i nagle otworzył zaciśnięte dłonie — już nic nie ma, twój mózg mógłby się zwęglić na popiół i... — rozejrzał się po pustej przestrzeni dookoła z dziwnym aktorskim gestem — ... następuje wybuch. Rozumiesz, o czym mówię? Przeżyłeś wielkie”, ostateczne doświadczenie i potem wysychasz jak porażony przez prąd.

Szedł dalej w milczeniu. Brzmiało to jak przechwałki, lecz jak przechwałki człowieka, który, doprowadzony do ostateczności, chwali się szczerze.

— Oczywiście — podjął znów — nie chciałbym tego nie przeżyć! Jest to doświadczenie najbardziej kompletne, najpełniejsze. Gudrun to wspaniała kobieta. Ale jakże ja jej czasem nienawidzę! To ciekawe...

Birkin przyglądał mu się, jego obcej twarzy zaledwie świadomej, jakby za słowami była bezmyślna pustka.

— Ale już masz tego dosyć, prawda? Miałeś swoje doświadczenie. Po co rozdrapywać ranę?

— Nie wiem. To jeszcze nie jest skończone... Poszli obaj dalej.

— Nie zapominaj, że i ja ciebie kocham — powiedział Birkin z goryczą. Gerald obrzucił go obcym, niewidzącym spojrzeniem.

— Kochasz mnie? — powtórzył z lodowatym sceptycyzmem. — Może tylko myślisz, że mnie kochasz? — Prawie nie odpowiadał za treść swoich słów.

Dogoniły ich sanie. Gudrun wysiadła i pożegnali się. Chcieli już się rozstać, wszyscy czworo. Birkin zajął miejsce i sanie ruszyły, minęły Gudrun i Geralda stojących na śniegu i machających na pożegnanie. Birkin poczuł chłód w sercu widząc ich samotnych wśród śniegu, coraz mniejszych i coraz bardziej osamotnionych.

Rozdział XXX

ZASYPANI ŚNIEGIEM

Po wyjeździe Ursuli i Birkina Gudrun poczuła się wolna, żeby stawić czoło Geraldowi. W miarę jak przyzwyczajali się do siebie nawzajem, zdawał się naciskać na nią coraz mocniej. Z początku dawała sobie z nim jakoś radę, zachowała swobodne prawo do decyzji. Lecz wkrótce zaczął lekceważyć jej kobiecą strategię, przestał liczyć się z jej kaprysami i sekretami, usiłował ślepo narzucić jej swoją wolę, w niczym nie ustępując.

Już zarysowały się między nimi zasadnicze różnice, co ich oboje przerażało. Ale Gerald był sam, podczas gdy Gudrun rozglądała się za posiłkami z zewnątrz.

Kiedy Ursula wyjechała, Gudrun uzmysłowiła sobie, że jej życie stało się proste i nieskomplikowane. Skuliła się w swoim pokoju przy oknie patrząc na wielkie, błyszczące gwiazdy. Przed sobą widziała blady cień górskiego pasma. To był środek świata. Miała dziwne uczucie, że dzieje się z nią coś tajemniczego i nieuchronnego, jakby znalazła się w samym środku bytu i poza tym nie było już żadnej rzeczywistości.

W tym momencie Gerald otworzył drzwi. Przewidywała, że niebawem się pojawi. Rzadko bywała sama, nękał ją jak mróz, pozbawiając energii.

— Siedzisz sama po ciemku? — zapytał. Po tonie jego głosu poznać mogła, że ma do niej pretensję, że drażni go samotność, jaką się otoczyła. Lecz czując, że już powzięła nieuniknioną decyzję, starała się być dla niego miła.

— Chciałbyś zapalić świecę?

Nie odpowiedział, tylko podszedł i stanął za nią w ciemności.

— Spójrz — rzekła — na tę cudowną gwiazdę, tam w górze. Wiesz, jak się nazywa?

Przykucnął przy niej, by wyjrzeć przez niskie okno.

— Nie wiem. Jest bardzo piękna.

— Boska! Zauważyłeś, jakie różnobarwne rzuca ognie? Naprawdę ma wspaniały blask.

Zamilkli. Bez słowa, ciężko położyła dłoń na jego kolanie i wzięła go za rękę.

— Żałujesz, że nie ma Ursuli? — spytał.

— Nie, wcale nie — odparła. I spytała leniwie: —Jak bardzo mnie kochasz?

Zesztywniał.

— A jak ty myślisz?

— Nie wiem.

— Ale jakie jest twoje zdanie?

Zapadła cisza. Wreszcie z mroku dobiegł go jej głos, twardy i obojętny.

— W gruncie rzeczy bardzo, bardzo mało — powiedziała chłodno, prawie lekceważąco.

Ton jej głosu zmroził Geralda.

— Dlaczegóż to cię nie kocham? — zapytał, jakby przyznawał słuszność jej oskarżeniu, ale miał jej to za złe.

— Pojęcia nie mam... Byłam dla ciebie bardzo dobra. Znajdowałeś się w strasznym stanie, kiedy przyszedłeś do mnie.

Bicie serca zapierało jej oddech, była jednak silna i nieustępliwa.

— Kiedy po raz pierwszy do mnie przyszedłeś. Musiałam się nad tobą ulitować. Ale to nigdy nie była miłość.

Stwierdzenie, że to nigdy nie była miłość, doprowadziło go do furii.

— Czemu musisz powtarzać tak często, że to nie jest miłość — powiedział głosem zduszonym z gniewu.

— Chyba nie myślisz, że mnie kochasz? Milczał z zimną wściekłością.

— Nie myślisz, że możesz mnie kochać? — powtórzyła niemal urągliwie.

— Nie.

— Wiesz, że mnie nigdy nie kochałeś, prawda?

— Nie wiem, co rozumiesz przez słowo „miłość”.

— Właśnie, że wiesz. I wiesz doskonale, że mnie nigdy nie kochałeś. A może kochałeś?

— Nie — obstawał powodowany jałową potrzebą szczerości.

— I nigdy mnie nie pokochasz — stwierdziła kategorycznie. Tchnął od niej diaboliczny chłód, trudny do zniesienia. — Nie.

— A co masz przeciwko mnie?

Milczał, ogarnięty ślepym gniewem, przerażony i pełen rozpaczy. „Gdybym mógł ją zabić — powtarzał w duszy. — Gdybym mógł ją zabić, byłbym wolny”. Zdawało mu się, że jedynie śmierć może przeciąć ten gordyjski węzeł.

— Dlaczego się nade mną znęcasz? — zapytał. Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Nie chcę się nad tobą znęcać — powiedziała współczująco, jak do dziecka, które chciałaby pocieszyć. Jej bezczelność zmroziła go, zobojętniał. Obejmowała go ze zwycięską litością. Była to litość zimna jak kamień, jej źródłem była nienawiść do niego i lęk przed jego władzą nad nią, której stale musi się opierać.

— Powiedz, że mnie kochasz — poprosiła. — Powiedz, że będziesz mnie kochał zawsze, powiedz...

Lecz jedynie jej glos był czuły. Zmysły zimne i wrogie nie reagowały na niego. Nalegała tylko jej wola, zaborcza i niezłomna.

— Nie powiesz, że będziesz mnie zawsze kochał? — czuliła się do niego. — Powiedz, nawet jeśli to nie jest prawda. Powiedz, Geraldzie, proszę.

— Będę cię kochał zawsze — zadawał sobie prawdziwy ból, zmuszając się do wypowiedzenia tych słów.

Musnęła go pocałunkiem.

— No i popatrz, naprawdę to powiedziałeś — rzuciła z lekką kpiną. Wyglądał jak człowiek pokonany.

— Staraj się kochać mnie trochę więcej i chcieć trochę mniej — powiedziała tonem wzgardliwym i pieszczotliwym zarazem.

Do jego mózgu zdawała się napływać ciemność, zalewały go wielkie fale ciemności, czuł się najdotkliwiej poniżony, unicestwiony.

— To znaczy, że ty mnie nie chcesz?

— Jesteś tak natarczywy, tak mało masz wdzięku, tak mało subtelności. Jesteś taki brutalny. Łamiesz mnie... Marnieję przy tobie... To okropne...

— Okropne? — powtórzył.

— Tak. Gerald, chyba mogłabym mieć pokój dla siebie teraz, kiedy Ursula wyjechała? Możesz powiedzieć, że potrzebujesz ubieralni.

— Rób, co chcesz, możesz w ogóle wyjechać, jeśli wolisz — zdołał wykrztusić.

— Tak, wiem. Ty też. Możesz porzucić mnie, kiedy zechcesz, nawet bez wypowiedzenia.

Wielkie fale ciemności rozkołysały się w jego mózgu, z trudem trzymał się na nogach. Owładnęło nim straszliwe zmęczenie, poczuł, że musi położyć się na podłodze. Zrzucił

z siebie ubranie, wyciągnął się na łóżku, jak człowiek nagle zmożony pijaństwem, wśród ciemności, które wznosiły się i przelewały, jakby leżał na powierzchni czarnego, wzburzonego morza. Trwał nieruchomo przez czas pewien w tym dziwnym, przerażającym wirze, bez świadomości.

Wreszcie wstała ze swego łóżka i podeszła do niego. Leżał sztywny, odwrócony do niej plecami. Był prawie nieprzytomny.

Objęła jego ciało straszne, bez czucia, i oparła policzek o twarde męskie ramię.

— Gerald... — szepnęła — Gerald...

Nie poruszył się. Przytuliła go. Przywarła do niego piersiami, całowała jego ramiona przez kurtkę od piżamy. Nie rozumiała, dlaczego jest tak sztywny i zmartwiały. Zdezorientowana i nieustępliwa, z całą determinacją postanowiła, że musi się do niej odezwać.

— Gerald, kochany — szepnęła; nachylona nad nim całowała go w ucho. Jej ciepły oddech, muskający w rytmicznej pieszczocie jego ucho, jakby go rozluźnił. Czuła, że jego ciało stopniowo się odpręża, traci ową straszną, nienaturalną sztywność. Jej dłonie błądziły po jego skórze, zaciskały się kurczowo na jego nogach, ramionach, mięśniach.

Gorąca krew znowu zaczęła mu krążyć w żyłach, odrętwienie mijało.

— Odwróć się do mnie — szepnęła samotna w swoim uporze i tryumfie. Nareszcie ocknął się, już znów ciepły i giętki. Odwrócił się i ogarnął ją ramionami. Czując, jak jest miękka, jak doskonalę i cudownie miękka i uległa, wzmocnił uścisk. Miażdżył ją, bezsilną w jego ramionach. Mózg miał teraz twardy i niezłomny jak diament, nie sposób było mu się oprzeć.

Mierziła ją jego namiętność, gwałtowna, rozpasana, bezosobowa jak ostateczna zagłada. Czuła, że ją zabija. Jego

namiętność ją zabijała.

„Boże, Boże!” — wołała zatrwożona w jego objęciach, czując, że życie w niej zamiera. A gdy całował ją, uspokajał, oddychała słabo, jakby naprawdę gasła, konała.

„Umieram… Czy już umieram?”— zadawała sobie w duchu pytanie.

Nie otrzymała odpowiedzi ani od niego, ani od nocy.

Lecz następnego dnia ta cząstka jej istoty, która nie uległa zagładzie, pozostała nietknięta i wroga. Gudrun nie miała zamiaru wyjechać, nie miała. zamiaru skrócić wakacji, nie miała zamiaru w czymkolwiek ustąpić. Gerald prawie nigdy nie zostawiał jej samej, chodził za nią jak cień, ciążył na niej jak fatum, jak nieustające: „Zrób to” czy „Nie rób tego”. Czasem to on zdawał się silniejszy, podczas gdy ona prawie nie istniała, snuła się przy ziemi jak zamierający wiatr; czasem było na odwrót. I wciąż ta wieczna huśtawka: jedno z nich musiało ginąć, żeby drugie mogło istnieć, jedno nabierało ważności, ponieważ drugie ją traciło.

„W końcu odejdę od niego” — mówiła w duchu.

„Mogę się od niej wyzwolić” — powtarzał sobie w paroksyzmach cierpienia. I postanowił się wyzwolić. Poczynił nawet przygotowania do odjazdu, do pozostawienia jej na lodzie.

„Dokąd pójdę?” — zastanawiał się i odpowiadał sam sobie unosząc się ambicją: „Czy nie umiesz być niezależny? Bądź niezależny!” — powtarzał.

Wydawało mu się, że Gudrun jest samowystarczalna, że jest odrębną, zamkniętą całością, jak przedmiot w futerale. Spokojnie rozumując, w skrytości ducha uznawał to, uważał, że Gudrun ma prawo zamknąć się w sobie, żyć samodzielnie i bez pragnień. Zdawał sobie z tego sprawę, rozumiał to i musiał tylko ze swej strony zdobyć się na największy wysiłek, żeby osiągnąć tę samą pełnię samowystarczalności. Wiedział, że wymaga to jednego

spazmatycznego zrywu woli, aby i on był zdolny stać się odrębną, zamkniętą całością, jak kamień, który koncentruje się tylko na sobie, nieprzenikniony, integralny, oddzielny.

Świadomość ta wtrącała go w straszliwy zamęt. Chociaż rozumowo doceniał wagę niezależności i samowystarczalności, brak mu było na to chęci i nie mógł jej w sobie wzbudzić. Widział przecież, że jeśli w ogóle ma dalej żyć, musi całkowicie wyzwolić się od Gudrun, odejść od niej, skoro chce zostać sama, niczego od niej nie żądać, nie rościć sobie do niej żadnych praw.

Ale wyrzekając się praw do niej pozostanie sam, w absolutnej nicości. Na samą myśl o tym jego umysł ział pustką. Już to był stan nicości. Mógłby też poddać się i błagać ją. Lub wreszcie mógłby ją zabić. Albo po prostu zobojętnieć, bawić się, żyć z dnia na dzień, bez celu. Lecz z natury był na to zbyt poważny, nie dość wesoły czy subtelny, by przyjąć postawę rozpustnego kpiarza.

Był dziwnie rozdarty; Jak rozdarta i złożona bogom ofiara, tak on był rozdarty i ofiarowany Gudrun. Jak ma wyleczyć ranę? Ta rana przecież to jest dziwne rozdarcie jego duszy, rozdarcie, przez które jego wnętrze, jak wnętrze rozkwitłego kwiatu, widoczne jest dla całego świata; i dlatego musi ktoś go uzupełniać, ktoś inny, nieznany; ta rana, która go obnaża, pozbawia wszelkiej osłony, która zostawia go zdemolowanego, ograniczonego, niedokończonego, jak kwiat rozkwitły pod niebem, ta rana jest jego najokrutniejszą radością. Dlaczego więc ma się jej wyrzec? Dlaczego z zabliźnioną raną miałby odgrodzić się, nieczuły i niedostępny, jak osobny przedmiot w futerale, skoro trysnął jak nasienie, które zakiełkowało, żeby istnieć obejmując niespełnione niebo.

Zachowa niepełne szczęście, jakie daje mu własna tęsknota nawet wśród zadawanych przez Gudrun tortur. Zaciął się w szczególnym uporze. Nie odejdzie od niej bez względu na to, co ona zrobi lub powie. Trzymało go przy niej

niepojęte, śmiertelne pożądanie. Była w jego życiu czynnikiem decydującym; choć traktowała go pogardliwie, ciągle dokuczała mu i odtrącała go, nie mógł przecież rozstać się z nią, skoro sama jej bliskość wystarczała, by czuł, że żyje szybciej i intensywniej, że coś się w nim wyzwala, owa świadomość własnej niedoskonałości i magia obietnicy, a także tajemnica zagłady i grożącego mu unicestwienia.

Znęcała się nad jego otwartym sercem, kiedy się do niej zwracał. I sama była udręczona. Być może to ona miała silniejszą wolę. Ze zgrozą czuła, że rozdziera kwiat jej serca, rozchyla go uporczywie i bezlitośnie. Jak chłopiec, który wyrywa skrzydełka musze lub rozrywa pąk, żeby zobaczyć, co jest w środku, tak on wdzierał się w jej życie, w jej najbardziej skryte tajemnice i zniszczy ją tak, jak ulega zniszczeniu kwiat rozchylony w zalążku.

Dawniej mogła otwierać się przed nim w marzeniach, gdy była czystym duchem. Ale teraz nie da się gwałcić i demolować. Zamknęła się przed nim z zawziętą wrogością.

Wieczorem wspięli się na wysoki stok, żeby zobaczyć zachód słońca. Stali w ostrych podmuchach dojmującego wiatru i patrzyli, jak żółte słońce zanurza się w czerwieni i znika. Na wschodzie rozbłysły żywą różowością wierzchołki i grzbiety górskie, jaśniejące jak nieśmiertelne kwiaty na tle brunatnych fioletów nieba, cudownie piękne, podczas gdy świat leżał nisko w błękitnawym cieniu, a wyżej, jak zwiastowanie, różowy zachwyt unosił się między niebem a ziemią.

Dla niej było to piękne aż do szaleństwa. Jakżeby chciała przygarnąć do piersi jaśniejące, odwieczne szczyty i umrzeć. Gerald też je widział i widział ich urodę. Ale z jego piersi nie dobywał ten widok okrzyków podziwu, lecz budził proroczą wręcz gorycz. Wolałby góry szare i brzydkie, żeby nie mogła czerpać z nich otuchy. Dlaczego tak okrutnie zdradzała ich oboje biorąc w objęcia łunę wieczoru? Czemu zostawiała go

na lodowatym wietrze, który przeszywał mu serce jak śmierć, a sama upajała się pięknem pokrytych różowym śniegiem szczytów?

— Jakie znaczenie ma dla ciebie zmierzch? — pytał. — Dlaczego płaszczysz się przed nim? Taki jest dla ciebie ważny?

Żachnęła się obrażona i wściekła.

— Idź stąd! — krzyknęła. — Zostaw mnie. To jest piękne, piękne... — mówiła z dziwnym, rapsodycznym zaśpiewem. — Najpiękniejsze, co widziałam w życiu. Nie usiłuj mi tego przesłonić. Zabieraj się stąd, jesteś tu nie na miejscu.

Cofnął się nieco, podczas gdy ona stała dalej nieruchoma jak posąg przeniesiony na mistyczny, płomienny wschód. Różowa jasność już bladła, rozbłysły wielkie, białe gwiazdy. Wyrzekłby się wszystkiego prócz tęsknoty.

— Nigdy nie widziałam nic równie doskonałego — powiedziała oschle i brutalnie, kiedy wreszcie odwróciła się do niego. — Aż zdumiewa mnie, że chciałbyś to zniszczyć. Jeśli sam nie możesz tego zobaczyć, dlaczego chcesz i mnie tego pozbawić? — Ale w istocie zabił jej zachwyt, na próżno starała się go ożywić.

— Pewnego dnia — mówił cicho patrząc wprost na nią — zniszczę ciebie, kiedy będziesz stąd oglądać zachód słońca, bo tak strasznie kłamiesz.

Składał samemu sobie słodką, zmysłową obietnicę. Zmroziło ją to, ale oświadczyła wyniośle:

— Nie boję się twoich gróźb!

Nie dopuszczała go do siebie, strzegła bezwzględnie dostępu do swego pokoju. On jednak czekał z niepojętą cierpliwością, którą czerpał ze swojej tęsknoty.

„W końcu — obiecywał sobie z prawdziwą rozkoszą — dojdzie do tego, że ją zamorduję”. I jego dało przebiegł

subtelny dreszcz oczekiwania, taki sam, jaki wstrząsał nim, kiedy drżąc z nadmiaru żądzy zbliżał się do niej w porywie namiętności.

Gudrun popadła teraz w dziwną zależność od Loerkego, przewrotną i perwersyjną. Gerald wiedział o tym; lecz przyjąwszy postawę nienaturalnej wręcz cierpliwości, chcąc za wszelką cenę uniknąć konfliktów, nie zwracał na to uwagi, choć czuła sympatia okazywana właśnie mężczyźnie, którego nie cierpiał i którym brzydził się jak plugawym robakiem, również wywoływała w nim dreszcze, powtarzające się ataki dreszczy.

Zostawiał ją samą tylko wtedy, gdy szedł na narty. Kochał ten sport, a Gudrun go nie uprawiała. Zdawał się wtedy wyrwany z żyda, jak pocisk wyrzucony poza granice świata. Kiedy go nie było, Gudrun często rozmawiała z małym NIEMIEC. ckim rzeźbiarzem. Niezmiennym tematem ich rozmów była sztuka.

Mieli bardzo zbliżone zapatrywania. On nie znosił Meštrovića, nie zachwycali go futuryści, lubił drewniane rzeźby z Afryki Zachodniej, sztukę aztecką, meksykańską i Środkowej Ameryki. Cenił groteskę i jak narkotyk działał na niego pewien rodzaj mechanicznego ruchu, nieład w naturze. Oboje — Gudrun i Loerke — prowadzili z sobą grę dziwaczną i przekorną, gdzie wszystko było dwuznaczną aluzją, jakby posiedli ezoteryczną wiedzę o życiu i tylko oni wprowadzeni byli w straszne, najważniejsze tajemnice, o których świat nie śmiał wiedzieć. Cały ich wzajemny stosunek opierał się na osobliwych, prawie niezrozumiałych aluzjach, pasjonowali się wyrafinowaną lubieżnością Egipcjan czy dawnych mieszkańców Meksyku. Cała gra oparta była na podsuwaniu sobie nawzajem myśli i oboje chcieli utrzymać się na tej płaszczyźnie. Ich nerwy łaskotały przyjemnie te słowne i fizyczne niuanse, zabawna wymiana nieco dwuznacznych myśli, spojrzeń, wyrażeń i gestów, wręcz nieznośna i całkiem niezrozumiała dla Geralda.

Brakowało mu słów, którymi mógłby określić w myślach ich kontakty; określenia, jakimi się posługiwał, były zbyt prostackie.

Propozycje sztuki prymitywnej były ich schronieniem, a intymne sekrety uczucia przedmiotem czci. Sztukę i żyde uważali za Rzeczywistość i Nierzeczywistość.

— Oczywiście — mówiła Gudrun — życie nie ma naprawdę znaczenia... Najważniejsza jest własna twórczość. To, co dzieje się w życiu, ma peu de rapport, po prostu się nie liczy.

— Tak, właśnie tak jest — potwierdził rzeźbiarz. — Oddycha się tym, co się tworzy. Cała reszta to une bagatelle, głupstwa, jakimi mają przejmować się profani.

W jakie uniesienie wprawiły Gudrun te słowa, ile jej dały poczucia swobody! Znalazła w nich trwałą podporę. Oczywiście, Gerald to une bagatelle. Miłość to stan przejściowy w jej życiu, jeśli nie dotyczy jej jako artystki. Myślała o Kleopatrze... Kleopatra była na pewno artystką; brała od mężczyzny to, co istotne, wyciskała miąższ z przeżyć ostatecznych i odrzucała plewy; i Maria Stuart, i wielka Rachel, po przedstawieniu rzucająca się w ramiona jednego z kochanków — takie kobiety stały się symbolami miłości. Czym wreszcie jest kochanek, jeśli nie paliwem potrzebnym, by przenieść tę tajemną wiedzę do sztuki kobiecej, do sztuki czystej, doskonałej wiedzy o zmysłowym poznaniu.

Pewnego wieczoru Gerald spierał się z Loerkem na temat Włoch i Trypolisu. Anglik był w osobliwym, wojowniczym nastroju, Niemiec bardzo podniecony. Była to walka na słowa, ale chodziło w niej o konflikt postaw obu mężczyzn i przez cały czas Gudrun dostrzegała u Geralda arogancką, angielską wzgardę dla cudzoziemca. Choć Gerald dygotał cały, oczy mu błyszczały, a twarz płonęła, jego argumentacja była brutalna, sposób bycia dotkliwie

lekceważący, co burzyło krew w Gudrun, a Loerkego upokarzało i denerwowało. Gerald wymierzał swoje słowa jak ciosy młotem, a wszystko, co mówił, mały Niemiec uważał za wierutne brednie.

W końcu Loerke zwrócił się do Gudrun, uniósł ręce z bezradną ironią i wzruszył drwiąco ramionami zrezygnowanym gestem, jednocześnie proszącym i dziecinnym,

— Sehen Sie, gnädige Frau... — zaczął.

— Bitte, sagen Sie nicht immer gnädige Frau! — zawołała Gudrun. Oczy jej ciskały płomienie, policzki były rozpalone. Wyglądała jak Meduza. Mówiła tak głośno i krzykliwie, że zwróciło to uwagę innych gości z sali.

— I proszę nie nazywać mnie panią Crich — podniosła jeszcze bardziej głos. To nazwisko, zwłaszcza w ustach Loerkego, przez te wszystkie dni poniżało ją i sprawiało jej nieznośną przykrość.

Obaj spojrzeli na nią ze zdumieniem. Geraldowi zbielała twarz. —Jak więc mam się do pani zwracać? — spytał Loerke znacząco, z łagodnym rozbawieniem.

—Sagen Sie nur nicht das — mruknęła, cała w rumieńcach. — W każdym razie nie tak.

Po minie Loerkego zorientowała się, że zrozumiał. Nie była panią Crich! Taak, to wiele wyjaśniało.

— Soll ich Fräulein sagen? — spytał złośliwie.

— Nie jestem zamężna — odparła z pewną wyniosłością.

Serce jej trzepotało jak przerażony ptak. Wiedziała, jak okrutną ranę zadała, i nie mogła tego znieść.

Gerald siedział wyprostowany, idealnie spokojny, z twarzą bladą, nieporuszony jak posąg. Nie zwracał uwagi ani na Gudrun, ani na Loerkego, ani na nikogo. Siedział w absolutnym milczeniu nie zmieniając pozycji. Loerke zgarbił się i pochyliwszy nisko głowę, zerkał na nich z boku. Gudrun

męczyła się, chcąc za wszelką cenę znaleźć do powiedzenia coś, co rozładowałoby atmosferę. Wykrzywiła twarz w uśmiechu i rzuciła w stronę Geralda porozumiewawcze, niemal urągliwe spojrzenie.

— Najlepiej trzymać się prawdy — powiedziała ze złośliwym grymasem. Lecz teraz znowu uzyskał nad nią przewagę; ponieważ zadała mu ten cios, ponieważ zniszczyła go i nie wie, jak to zniósł. Obserwowała go. Interesował ją. Straciła zainteresowanie dla Loerkego.

Gerald wstał wreszcie i podszedł nonszalanckim, spokojnym krokiem do profesora. Wdali się w rozmowę o Goethem.

Ubodła ją swoboda, z jaką Gerald zachowywał się tego wieczoru. Nie wydawał się zagniewany czy rozgoryczony, po prostu wyglądał dziwnie niewinnie i czysto, był naprawdę piękny. Zawsze urzekał ją ten wygląd człowieka przebywającego gdzieś daleko, jaki czasem przybierał.

Czekała z niepokojem przez cały wieczór. Myślała, że będzie jej unikał albo da jej jakiś znak. Ale zwracał się do niej zwyczajnie i obojętnie, jak do każdego z obecnych. Jakby się uspokoił i myślał o czym innym.

Przyszła do jego pokoju zakochana w nim gorąco i gwałtownie. Taki był piękny i niedosiężny! Całował ją, był jej kochankiem. Osiągnęła przy nim szczyt rozkoszy. Ale sam jej nie zaznał, nie rozluźnił się, pozostał daleki i czysty, nieobecny. Chciała z nim mówić. Lecz powstrzymał ją stan, w jakim się znajdował, stan niewinnej, pięknej nieświadomości. Była znękana i smutna. Rano zaś zwrócił na nią oczy jakby pociemniałe od wstrętu, zgrozy i nienawiści. Wycofała się na dawne pozycje. A on ciągle nie mógł zdobyć się na to, aby jej się przeciwstawić.

Teraz czekał na nią Loerke. Mały artysta, dotychczas samotny we własnej otoczce, wiedział, że nareszcie trafił na kobietę, która może mu dać coś z siebie.

Czuł się nieswojo, ciągle wyczekując na rozmowę z nią i chytrze kombinując, jak znaleźć się w jej pobliżu. Jej obecność rozgrzewała go i podniecała, przebiegle grawitował w jej kierunku, jakby posiadała niewidzialną siłę przyciągania.

Bynajmniej nie wątpił w swoje szanse porównując się z Geraldem. Gerald był spoza ich świata. Loerke nienawidził go za to, że jest bogaty, dumny i urodziwy. Jednakowoż wszystko to — bogactwo, duma z pozycji społecznej i uroda — były to wartości zewnętrzne. Loerke miał własny sposób podejścia do takiej kobiety jak Gudrun i autorytet, o jakim Gerald nie mógł nawet marzyć.

Bo też jak Gerald mógł łudzić się, że zaspokoi kobietę na miarę Gudrun? Czy sądził, że pomoże mu duma, twarda wola lub fizyczna siła? Loerke znał sekret o wiele potężniejszy. Że siła, która umie być chytra i przystosować się do okoliczności, jest skuteczniejsza niż ta, która atakuje na ślepo. On, Loerke, rozumiał absolutnie wszystko tam, gdzie Gerald zachowywał się jak szczeniak. On, Loerke, mógł zgłębić otchłanie, o jakich Geraldowi nawet się nie śniło. Ta kobieta to świątynia pełna tajemnic i Gerald, jak postulant, pozostać musiał w przedsionku tej świątyni. Ale czy on, Loerke, nie zdoła wedrzeć się w ciemności wewnętrznego kręgu, odnaleźć w najtajniejszej kryjówce ducha kobiety i tam stoczyć z nim walkę, pokonać węża, który oplata rdzeń życia?

Czego właściwie pragnie kobieta? Czy tylko pozycji społecznej, zaspokojenia ambicji towarzyskich, sukcesów w ludzkiej społeczności? Czy może związku opartego na miłości i dobroci? Chce „dobroci”? Tylko głupiec mógłby przypisywać to Gudrun. Był to jedynie widok od frontu na jej pragnienia. Starczy przekroczyć próg i okaże się, że z cynizmem, z absolutnym cynizmem traktuje świat, społeczeństwo i jego pożytki. W głębi jej duszy, jeśli się zdoła tam dotrzeć, panuje cierpka atmosfera rozpadu, mroki

zmysłowych doznań i inteligencja krytyczna i bystra, świadoma, jak spaczony i straszny jest świat.

Co teraz, co dalej? Czy może ją zaspokoić czysta siła ślepej namiętności? Nie, raczej wyrafinowany dreszcz najgęstszej kondensacji przeżyć. To była niezłomna wola sprzeciwiająca się jej niezłomnej woli, w mnóstwie wyrafinowanych dreszczy najgęstszej kondensacji, to były ostatnie podrygi samoanalizy, ostatnie momenty załamania, gdzieś, w mrokach jej duszy, podczas gdy na zewnątrz to, co w niej własne i indywidualne, pozostawało całkowicie niezmienione, wręcz sentymentalne w sposobie bycia.

Lecz skala czysto zmysłowych doznań we współżyciu dwojga określonych ludzi, jakichkolwiek ludzi na ziemi, jest ograniczona. Punkt kulminacyjny zmysłowej reakcji, osiągnięty w jakim bądź kierunku, jest osiągnięty na zawsze, nie można go przekroczyć. Można jedynie powtarzać przeżyte we dwoje doświadczenie, podporządkować wolę jednego partnera woli drugiego albo umrzeć.

Gerald dobrze znał fasadę duszy Gudran. Był dla niej kwintesencją istniejącego świata, nec plus ultra świata mężczyzn, jaki ją otaczał. Przez niego ten świat poznała i zerwała z nim. Poznawszy go do dna, była jak Aleksander poszukujący nowych światów. Ale nowych światów nie było, nie było innych mężczyzn, były tylko stwory, drobne, przedziwne stwory, jak Loerke. Dla niej świat się skończył. Pozostała tylko jej własna wewnętrzna ciemność, doznania jaźni, plugawa religijna tajemnica ostatecznej degradacji, mistyczne tarło szatańskiego samozniszczenia, rozpad podstawowego, organicznego rdzenia życia.

Gudrun nie obejmowała tego myślą, lecz wiedziała o tym podświadomie. Wiedziała, jaki będzie jej następny krok, wiedziała, dokąd powinna iść, kiedy opuści Geralda. Bała się go, lękała się, że ją zabije. Nie miała zamiaru do tego dopuścić. Ciągle jeszcze łączyła ją z nim cieniutka nić. To nie

jej śmierć ją przerwie. Ma iść dalej, ma zbierać powoli dalsze cudowne doświadczenia, poznać, zanim umrze, niepojęte odcienie uczuć.

Przeżyć najbardziej subtelnych Gerald nie był w stanie jej dostarczyć. Nie umiał wniknąć do najgłębszych pokładów jej jestestwa. A tam, gdzie nie docierały jego mało wymyślne ciosy, tam potrafiło wślizgnąć się cienkie ostrze owadziej inteligencji Loerkego. Nadszedł teraz dla niej czas, by odejść do tego drugiego — dziwnego stworu, niezrównanego mistrza. Wiedziała, że w skrytości ducha Loerke jest obojętny na wszystko, nie ma dla niego nieba, ziemi ani piekła. Nie uznaje żadnej zależności, żadnych powiązań. Jest pojedynczy i przez odsunięcie się od innych, absolutnie wolny.

Gerald natomiast ciągle jeszcze nie wyzbył się pewnego przywiązania do ludzi, do świata. Na tym polegało jego ograniczenie. Był skrępowany, borné i w rezultacie podporządkowany własnej potrzebie dobra, słuszności, zgodności z ostatecznym celem. Nie obdarzono go świadomością, że ostateczny cel mógłby być doskonałym i subtelnym doświadczeniem własnej śmierci przy zachowaniu nienaruszonej woli. I to były granice, poza które nie umiał wyjść.

Odkąd Gudrun wyznała, że nie jest żoną Geralda, Loerke zachowywał się jak tryumfator. Zdawał się wzlatywać w powietrze na skrzydłach jak ptak, który wypatruje, gdzie by tu przysiąść. Nie zbliżał się do Gudrun brutalnie, nigdy nie wybierał niewłaściwej chwili. Ale wiedziony w kompletnych ciemnościach swej duszy niezawodnym instynktem, miał z nią mistyczny kontakt, niewidoczny, lecz oczywisty.

Przez dwa dni bezustannie z nią rozmawiał, kontynuował owe dyskusje o sztuce, o życiu, w jakich oboje znajdowali tak wielką przyjemność. Chwalili minione czasy, wręcz dziecinnie zachwycali się skończoną doskonałością dawnych

arcydzieł. Szczególnie lubili oboje późny wiek osiemnasty, okres Goethego, Shelleya i Mozarta.

Bawili się przeszłością i jej wielkimi postaciami, jakby rozgrywali partię szachów czy poruszali marionetkami dla własnej rozrywki. Wszystkich wielkich ludzi traktowali jak marionetki w przedstawieniu, w którym oni byli Bogiem i pociągali za sznurki. O przyszłości wcale nie wspominali, chyba żeby wyśmiać jakiś szyderczy sen o zagładzie świata w katastrofie wywołanej ludzkim wynalazkiem: pewien człowiek wynalazł tak skuteczny materiał wybuchowy, że ziemia rozpadła się i dwie jej połowy poleciały w przestrzeń w przeciwnych kierunkach, ku przerażeniu mieszkańców; albo tak: ludzkość podzieliła się na dwie połowy, z których każda uznała, że jest doskonalsza i ma po swojej stronie słuszność, druga natomiast słuszności nie ma i musi ulec zagładzie; więc inna wersja końca świata; lub znowu koszmar senny Loerkego, że świat wystygł, wszędzie spadły śniegi i tylko białe istoty — polarne niedźwiedzie, białe lisy i ludzie podobni do strasznych, śnieżnych ptaków trwają nadal w lodowym okrucieństwie.

Poza takimi opowieściami nigdy nie mówili o przyszłości. Znajdowali upodobanie albo w ironicznych wizjach zniszczenia, albo w sentymentalnych scenach z przeszłości w teatrze marionetek Rozkoszną sentymentalną zabawą było odtwarzanie Goethego w Weimarze, ubóstwa i wiernej miłości Schillera, przywołanie strachów Jean Jacquesa, obrazu Voltaire’a w Ferney czy Fryderyka Wielkiego czytającego własne wiersze.

Rozmawiali z sobą godzinami o literaturze, rzeźbie i malarstwie, z czułością bawili się Johnem Flaxmanem, Williamem Blake i Fuselim, a także Feuerbachem czy Böcklinem. Całe życie mogliby spędzić przeżywając in petto losy wielkich artystów. Najlepiej jednak czuli się w osiemnastym i dziewiętnastym wieku.

Posługiwali się mieszaniną różnych języków. Podstawowym był dla obojga francuski. Lecz Loerke kończył większość zdań jąkając się po angielsku i wyciągając wnioski po niemiecku. Gudrun zaś zręcznie snuła swoje myśli w takich słowach, jakie właśnie przyszły jej do głowy. Te rozmowy sprawiały jej szczególną przyjemność. Pełne były dziwacznych, fantastycznych wyrażeń, dwuznaczników, uników, niejasnych aluzji. Odczuwała wręcz fizyczną rozkosz splatając wątki rozmowy z nici trzech języków — każda nić w innym kolorze.

I przez cały czas oboje krążyli niezdecydowanie wokół płomienia jakiejś nieuchwytnej decyzji. Chciał tego Loerke, ale powstrzymywał go nieodparty wstręt Gudrun także o tym myślała, ale wolała zwlekać, chciałaby zwlekać bez końca, litowała się przecież jeszcze nad Geraldem, była z nim ciągle jakoś związana. Ale co najgorsze, sentymentalne wspomnienie początków ich związku budziło w niej współczucie dla samej siebie. Z racji tego, co było, czuła się związana z nim wiecznymi, niewidzialnymi niani... Ponieważ tak było, ponieważ tej pierwszej nocy przyszedł do niej, do jej domu, w skrajnej rozpaczy, ponieważ...

Geralda ogarniała stopniowo coraz większa nienawis’ć do Loerkego. Nie traktował go poważnie, gardził nim po prostu, oprócz momentów, kiedy w duszy Gudrun odkrywał ślady tego indywiduum. To go doprowadzało do szału: obecność Loerkego w krwiobiegu Gudrun, przemożny wpływ, jaki na nią wywierał.

— Co ci się tak podoba w tym robaku? — spytał naprawdę zdumiony. Będąc mężczyzną nie dostrzegał u Loerkego absolutnie nic, co byłoby pociągające lub miało jakiekolwiek znaczenie. Sądził, że kobietę podbija się urodą lub też szlachetnością. Loerke był dla niego odrażający jak insekt.

Gudrun zarumieniła się głęboko. Właśnie takich napaści nie była w stanie wybaczyć.

— Co masz na myśli? Mój Boże, co za szczęście, że nie jestem twoją żoną. Uraził go ton jej głosu, szyderczy i pogardliwy. Zamilkł nagle. Ale otrząsnął się.

— Powiedz mi, bardzo cię proszę — powtórzył groźnym, zduszonym głosem — co cię w nim tak fascynuje?

— Nie jestem zafascynowana — odpowiedziała z zimną, wyniosłą oschłością.

— Owszem, jesteś. Ta mała, sucha żmija hipnotyzuje cię jak ptaka, który lada moment wpadnie jej do gardła.

Spojrzała na niego z wściekłością.

— Nie życzę sobie, żebyś się wypowiadał na mój temat.

— Możesz sobie życzyć lub nie... Nie zmieni to faktu, że jesteś gotowa paść na kolana i całować stopy tego plugawca. I nie mam zamiaru cię powstrzymywać. Bardzo proszę, padnij i całuj jego stopy. Chciałbym tylko wiedzieć, co cię w nim tak fascynuje? Co to takiego jest?

Nie posiadała się z gniewu.

— Jak śmiesz mną pomiatać! — krzyknęła. — Jak śmiesz, ty marny snobie, sadysto! Jakie masz do mnie prawo? Co ty sobie wyobrażasz?

Twarz Geralda była biała i świecąca, oczy mu zabłysły, Gudrun zrozumiała, że jest w jego mocy... W mocy wilka. A ponieważ była w jego mocy, nienawidziła go z taką furią, że aż dziw, że nie padł trupem. Gdyby wola zabijała, już by został unicestwiony. — To nie jest kwestia prawa.

Gerald usiadł na krześle. Widziała, że zaszły w nim jakieś zmiany. Że jego spięte dało drga rytmicznie jak udręczone obsesją. Jej nienawiść do niego zabarwiła się posępną pogardą.

— To nie jest kwestia mojego prawa do ciebie... choć mam jakieś prawo, wiesz sama. Chcę wiedzieć, po prostu chcę wiedzieć, skąd bierze się twoja uległość wobec tego

plugawego rzeźbiarza, co czyni z ciebie pokorną glistę, oddającą mu cześć. Chcę wiedzieć, przed czym się czołgasz.

Stała twarzą do okna i słuchała jego słów. Odwróciła się.

— Naprawdę? — mówiła swobodnie swoim najbardziej uszczypliwym tonem. — Naprawdę chcesz wiedzieć, co ja w nim widzę? Po prostu to, że nie jest aż tak... że rozumie kobiety, bo nie jest głupi. To w nim widzę.

Dziwny, złowieszczy, zwierzęcy niemal uśmiech pojawił się na twarzy Geralda.

— Ale na czym to zrozumienie polega? Pchła, która skacze po tobie ze swoją ssawką, rozumie cię w ten sam sposób. Dlaczego masz płaszczyć się przed inteligencją pchły?

Przypomniała sobie duszę pchły na obrazie Blake’a. Chciała to przekazać Loerkemu. William Blake też był błaznem. Ale trzeba było odpowiedzieć Geraldowi.

— Czy nie uważasz, że inteligencja pchły jest bardziej interesująca niż inteligencja głupca?

— Głupca? — powtórzył.

— Tak, głupca, zarozumiałego głupca, ein Dummkopf — dodała niemieckie określenie.

— Uważasz mnie za głupca? Może zresztą wolę być głupcem niż tą pchłą, która tam czeka na dole.

Spojrzała na niego. Była w nim jakaś tępa, ślepa głupota, która mierziła ją, odrzucała.

— To cię już całkiem kompromituje — stwierdziła. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Wkrótce wyjadę. Żachnęła się.

— Pamiętaj, że nie jestem od ciebie ani trochę zależna, nic a nic Ty robisz, co chcesz, i ja robię, co chcę.

Rozważał jej słowa.

— Chcesz powiedzieć, że od tej chwili jesteśmy sobie obcy? — zapytał. Zawahała się i zaczerwieniła. Zastawiał na nią pułapkę, chciał ją zmusić do decyzji.

— Obcy nie będziemy sobie nigdy. Ale jeśli chcesz odsunąć się ode mnie, to pamiętaj, że masz całkowitą swobodę. Nie bierz mnie pod uwagę w najmniejszym stopniu.

Nawet tak zawoalowana aluzja, że potrzebuje go i ciągle jeszcze na niego liczy, wystarczyła, żeby podniecić jego namiętność. Poczuł spięcie w całym ciele, strumień roztopionego metalu wezbrał w jego żyłach. Jęknął w duchu, sprężony aż do bólu, który sprawiał mu rozkosz. Patrzył na nią jasnymi oczami, czekał na nią.

Zorientowała się od razu i wstrząsnął nią zimny dreszcz wstrętu. Jak mógł patrzeć na nią tymi jasnymi, ciepłymi oczami, które czekały, nawet teraz na nią czekały? Czy słowa, jakie padły między nimi, nie wystarczały, by zmrozić ich uczucia, rozdzielić ich po wsze czasy? A przecież czekał na nią, podniecony jak po nowej transfuzji krwi.

Speszyło ją to. Odwracając głowę powiedziała:

— W każdym razie powiem ci, jeśli zdecyduję się na jakieś zmiany... I wyszła z pokoju.

Siedział porażony rozczarowaniem, które przeżerało mu mózg. Ale nadal nie opuszczała go owa cierpliwość, z której sam nie zdawał sobie sprawy. Trwał tak długą chwilę o niczym nie myśląc i nic nie widząc. Potem wstał i zszedł na dół, żeby zagrać w szachy z jednym ze studentów. Jego twarz nadal była niewinna i jasna, z wyrazem laisser-aller, jakiejś tolerancji, która straszliwie denerwowała Gudrun i budziła w niej niemal lęk, a jednocześnie głęboką niechęć do niego.

Zaraz po tej scenie Loerke, który nigdy nie mówił z nią o sprawach osobistych, zaczął ją wypytywać, jak przedstawia się jej sytuacja.

— Nie jest pani mężatką, prawda? — zagadnął. Spojrzała mu prosto w oczy.

— O nie, nie jestem — Gudrun miała spokojny, opanowany głos. Loerke roześmiał się marszcząc zabawnie twarz. Na czoło opadał mu cienki kosmyk włosów, zauważyła, że jego skóra na dłoniach i przegubach ma jasnobrązowy odcień. Jego ręce zdawały się znakomicie dostosowane do chwytania. Przywodził na myśl topaz, tak był niezwykle brunatny i przejrzysty.

— To dobrze — powiedział.

Musiał zdobyć się na odwagę, żeby ciągnąć dalej.

— Pani Birkin, to pani siostra?

— Tak

— A ona jest zamężna? — Tak.

— Macie rodziców?

— Owszem, mamy.

Krótko i powściągliwie opisała mu swoją sytuację. Przez cały czas przyglądał jej się uważnie i ciekawie.

— Więc to tak! — zawołał z pewnym zdziwieniem; — A Herr Crich jest bogaty?

— Bardzo bogaty. Jest właścicielem kopalni węgla.

— Jak długo jesteście zaprzyjaźnieni?

— Od paru miesięcy. Zamilkli.

— Tak, jestem zdumiony — odezwał się w końcu. — Myślałem, że Anglicy są... zimni. A co pani po wyjeździe stąd zamierza robić?

— Co zamierzam robić? — powtórzyła.

— Tak. Nie może pani wrócić do nauczania. Nie — wzruszył ramionami — to niemożliwe. Trzeba to zostawić canaille, której nie stać na nic innego. A pani — sama pani wie —jest kobietą wybitną, eine seltsame Frau. Po co zaprzeczać, po co to kwestionować? Jest pani niezwykłą

kobietą, dlaczego więc miałaby pani trzymać się utartej drogi, mieć zwyczajne życie?

Gudrun zarumieniona siedziała przyglądając się swoim rękom. Podobało jej, się, że tak po prostu, uznał ją za kobietę wyjątkową. Nie powiedziałby tego tylko po to, żeby jej się przypodobać, był na to zbyt nieustępliwy i z natury obiektywny. Tak samo stwierdziłby, że niezwykła jest rzeźba, ponieważ wiedziałby, że tak jest.

Była zadowolona, że słyszy to z jego ust. Inni ludzie z takim zacietrzewieniem wszystko wyrównywali, sprowadzali do tego samego wzoru. W Anglii należało do dobrego tonu być takim jak wszyscy. I sprawiło jej ulgę, że została uznana za wyjątkową. Zwalniało ją to od przestrzegania obowiązujących zasad.

— Bo, widzi pan — powiedziała — ja nie mam pieniędzy.

— Ach, pieniądze! — wzruszył ramionami. — Dorosły człowiek zawsze może je zdobyć. Tylko młodym trafiają się rzadko. Niech pani nie myśli o pieniądzach... Zawsze są pod ręką.

— Naprawdę? — roześmiała się.

— Zawsze. Ten Gerald da pani każdą sumę, jeśli go pani poprosi. Zaczerwieniła się mocno.

— Wolałabym poprosić kogokolwiek — wykrztusiła z trudem — byle nie jego.

Loerke przyjrzał jej się bacznie.

— Dobrze, niech więc to będzie ktokolwiek. Tylko niech pani nie wraca do tej Anglii, do tej szkoły. To by było głupie.

Znowu zamilkli. Lękał się zaproponować jej wprost, żeby pojechała z nim, nie był nawet całkiem pewny, czy sam tego chce; a ona bała się, że ją o to poprosi. Cenił sobie ponad wszystko życie w pojedynkę i bardzo strzegł się, by nie dzielić go z nikim, nawet przez jeden dzień.

— Właściwie znam jeszcze tylko Paryż, którego nie znoszę.

— Paryż, nie! — zaprotestował. — Wciąż między religion d’amour, jakimś nowym izmem i jeszcze jednym powrotem do Jezusa... to już lepiej przez cały dzień jeździć na karuzeli. Niech pani jedzie do Drezna. Mam tam pracownię... Mogę dać pani robotę... Nic łatwiejszego. Nie widziałem nic z pani rzeczy, ale wierzę w panią. Proszę przyjechać do Drezna... To miasto, w którym człowiek dobrze się czuje i jak na miasto można tam żyć całkiem przyjemnie. Znajdzie tam pani wszystko, co potrzebne, bez głupoty Paryża i bez monachijskiego piwa.

Przyglądał jej się chłodno. Lubiła w nim to, że mówił do niej tak zwyczajnie i kategorycznie, jak do siebie samego. Był kolegą po fachu i przede wszystkim bratnią duszą.

— Nie, nie — podjął — na samą myśl o Paryżu robi mi się niedobrze. Ba... l’amour, nie cierpię tego. L’amour, 1’amore, die Liebe... nie cierpię tego w każdym języku. Kobiety i miłość, nie ma nic nudniejszego!

Poczuła się lekko dotknięta. A przecież w gruncie rzeczy zgadzała się z nim. Mężczyźni i miłość, nie ma nic nudniejszego.

— Też jestem tego zdania — powiedziała.

— Co za nuda! — powtórzył. — Cóż to ma za znaczenie, czy noszę ten, czy inny kapelusz? To samo z miłością. Mogę w ogóle obejść się bez kapelusza i noszę go tylko dla wygody. Miłości też potrzebuję tylko dla wygody. Powiem pani coś, gnädige Frau — skłonił się w jej stronę, po czym nagle zrobił szybki, zabawny gest, jakby coś od siebie odganiał — przepraszam, gnädiges Fräulein, powiem pani, że oddam wszystko, całą tę waszą miłość, za możność wymiany myśli, za wspólne upodobania. — W jego oczach zamigotało ciemne, złośliwe światełko. — Rozumie pani? — spytał z lekkim uśmiechem. — Nie ma dla mnie znaczenia,

czy ona ma sto, czy dwa tysiące lat, wszystko mi jedno, byleby tylko rozumiała. — Zamknął niespodziewanie oczy.

Znowu ją uraził. Więc nie uważa jej za piękną? Roześmiała się nagle.

— Będę musiała czekać blisko osiemdziesiąt lat, żeby pana zadowolić. Bo brzydka jestem już chyba wystarczająco, prawda?

Spojrzał na nią bystro, krytycznym, oceniającym okiem artysty.

— Jest pani piękna. I bardzo jestem z tego rad. Ale nie o to chodzi. Nie o to! zawołał z emfazą, która jej pochlebiła. — Ważna jest pani inteligencja, rodzaj pojętności. Ja jestem mały, chétif, niepozorny. Dobrze! Niech więc nikt nie żąda ode mnie siły i urody. Ale to j a — wskazał śmiesznie palcami na swoje usta — to j a szukam kochanki i moje j a czeka na jej ja, na partnerkę, która odpowiadać będzie mojej szczególnej inteligencji. Rozumie pani?

— Rozumiem.

— A inne sprawy, to amour — gestem ręki jakby odrzucił coś kłopodiwego — to nieważne, całkiem nieważne. Co za różnica, czy piję tego wieczoru białe wino, czy nic nie piję? To się nie liczy, to się wcale nie liczy. I tak samo ta miłość, cet amour, ce baiser. Tak czy nie, soit ou soit pas, dziś, jutro, czy nigdy, wszystko jedno, to nieważne, tak jak białe wino.

Już skończył mówić, ale jeszcze dziwnie pochylał głowę, nadal czemuś zaciekle przecząc. Gudrun przyglądała mu się poważnie. Pobladła. Nagle wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń w swoją.

— To prawda — zawołała porywczo, wysokim głosem — ja też tak uważam! Liczy się tylko wzajemne zrozumienie.

Podniósł na nią wzrok niemal ze strachem, ukradkowo. I przytaknął dość markotnie. Puściła jego rękę. Nie

zareagował. Siedzieli w milczeniu.

— ”Wiesz — utkwił w niej ciemne, dumne oczy proroka — twój los i mój będą biegły razem, dopóki… — przerwał z lekkim grymasem.

— Dopóki co? — Gudrun pobladła, wargi jej zbielały. Była podatna na złe przepowiednie; Loerke potrząsnął głową.

— Nie wiem — powiedział. — Nie wiem.

Gerald wrócił z nart dopiero po zmroku. Opuścił podwieczorek, do którego Gudrun siadała o czwartej. Warunki jazdy były cudowne, zapędził się daleko, sam wśród śnieżnych grzbietów, wspiął się na nartach wysoko, tak wysoko, że mógł zobaczyć przełęcz odległą o pięć mil, na siodle przełęczy Marienhütte, hotel półzagrzebany w śniegu i dalej, dużo dalej, głęboką dolinę aż do ciemnej linii sosen. Można było tą drogą wrócić do domu, ”ale na myśl o powrocie do domu wstrząsały nim mdłości; można było zjechać na nartach do starej cesarskiej drogi, poniżej przełęczy. Buntował się na myśl o powrocie do świata. Musi zostać tu, wśród śniegów, na zawsze. Szczęśliwy był, kiedy tak mknął wysoko, z dała od ludzi, sunął szybko na nartach, wzlatywał daleko i ślizgał się wśród’ ciemnych skał pożyłkowanych lśniącym śniegiem.

Ale poczuł mróz w sercu. Przemijał już osobliwy nastrój cierpliwości i niewinności, w jakim trwał od paru dni, i znowu wydany będzie na pastwę straszliwych namiętności i udręk. Zjechał więc niechętnie, z rozpaloną od śniegu twarzą i zziębniętą od śniegu duszą, do domu w kotlnie między kłykciami górskich wierzchołków. Zobaczył żółty odblask świateł i zwolnił, chcąc jak najbardziej opóźnić spotkanie z tymi ludźmi; nie miał ochoty znaleźć się w gwarze głosów, w zamęcie cudzej obecności. Czuł się wyizolowany, jakby wokół jego serca wytworzyła się próżnia lub lodowa powłoka.

Widok Gudrun targnął jego duszą. Dumna i niesłychanie piękna, łaskawie i spokojnie uśmiechała się do Niemców. Nagle zapragnął ją zabić. Zabicie jej dałoby mu największą zmysłową rozkosz. Przez cały wieczór był nieuważny, wyobcowany przez śnieg i swoją namiętność. Lecz nie opuszczała go myśl o tym, jak rozkosznie zaspokoiłby zmysły, gdyby udusił Gudrun, wycisnął z niej życie do ostatniego tchnienia, aż leżałaby bezwładna, miękka, ukojona na zawsze, miękkie, nieżywe ciało, nieopisanie martwe w jego rękach. Miałby ją wtedy dla siebie, ostatecznie i nieodwołalnie; jakiej rozkoszy doznałby przez tę nieodwołalność...

Gudrun nie miała pojęcia, co się z nim dzieje, wydawał się spokojny i uprzejmy jak zwykle. Jego uprzejmość pobudzała ją wręcz do okrucieństwa.

Weszła do jego pokoju, kiedy był już częściowo rozebrany. Nie zauważyła dziwnego, radosnego błysku czystej nienawiści, z jaką na nią spojrzał. Stała przy drzwiach z ręką za plecami.

— Rozważyłam to, Geraldzie — rzekła z obraźliwą nonszalancją — i nie wrócę stąd do Anglii.

— A dokąd pojedziesz?

Zignorowała to pytanie. Przygotowała sobie precyzyjnie logiczne oświadczenie i chciała wygłosić je tak, jak je obmyśliła.

— Nie widzę, po co miałabym wracać — ciągnęła — to, co było między nami, już minęło...

Zamilkła, czekając, co powie. Ale nie odezwał się, tylko w duchu mówił do siebie: „Minęło! Chyba tak. Jeszcze się jednak nie całkiem skończyło. Pamiętaj, jeszcze się nie skończyło. Trzeba to ostatecznie zamknąć. Trzeba zakończyć definitywnie i nieodwracalnie”.

— Co było, to było — mówiła dalej. — Niczego nie żałuję. Mam nadzieję, że i ty nie żałujesz...

Znów czekała, żeby coś powiedział.

— O nie, nie żałuję niczego — potwierdził usłużnie.

— Więc dobrze. Żadne z nas nie żywi żalu i tak być powinno.

— Właśnie tak być powinno — mruknął bez zainteresowania. Podjęła wątek.

— Nasza próba skończyła się niepowodzeniem. Ale możemy jeszcze próbować gdzie indziej.

Wezbrał w nim gniew. Zdawała się podniecać go i prowokować. Dlaczego to robi?

— Jaka próba? — spytał.

— Próbowaliśmy żyć z sobą, jak sądzę — powiedziała trochę zmieszana, że zabrzmiało to banalnie.

— Próbowaliśmy żyć z sobą i skończyło się to niepowodzeniem? — powtórzył głośno.

W duchu mówił: „Powinienem ją teraz zabić. Tylko to mi pozostało, zabić ją”. Owładnęło nim przemożne pragnienie zadania jej śmierci. Nic z tego do niej nie dotarło.

— Czy nie? — spytała. — Uważasz, że to był sukces?

Znowu od obrazy wywołanej nonszalanckim tonem jej pytania zakipiała w nim krew.

— Nasz związek miał pewne szansę... Mogło się udać.

Ale kończąc ostatnie zdanie zawahał się. Już w momencie gdy je zaczynał, nie wierzył w to, co miał powiedzieć. Wiedział, że to nie mogło się udać.

— Nie — odrzekła. — Ty nie umiesz kochać.

— A ty?

Utkwiła w nim wielkie, nasycone ciemnością oczy, jak dwa wielkie księżyce.

— Nie umiałam kochać ciebie — rzuciła z całkowitą, zimną szczerością.

Oślepiający blask przeszył mu mózg, targnął ciałem. Serce buchnęło płomieniem. Cała świadomość skoncentrowała się w przegubach i w dłoniach. Nie było w nim nic, prócz ślepej, nieodpartej żądzy zabicia jej, która rozsadzała mu ręce. Nie zazna zaspokojenia, póki nie zaciśnie ich na jej szyi.

Lecz zanim się na nią rzucił, na twarzy Gudrun pojawił się nagle chytry wyraz zrozumienia i w mgnieniu oka znalazła się za drzwiami. Jak strzała pomknęła do swego pokoju i zamknęła się na klucz. Była przestraszona, ale pewna siebie. Zdawała sobie sprawę, że znalazła się na skraju przepaści, lecz miała przeświadczenie, że się w nią nie stoczy. Wiedziała, że zdoła go przechytrzyć.

Stała w swoim pokoju drżąc z podniecenia i dzikiej radości. Wiedziała, że potrafi wyprowadzić go w pole. Mogła polegać na swojej przytomności umysłu i swojej inteligencji. Lecz wiedziała już teraz, że jest to walka na śmierć i życie. Jeden fałszywy krok i będzie zgubiona. W całym ciele czuła dziwną, upajającą słabość, jak ktoś, komu grozi upadek z wielkiej wysokości, ale kto nie patrzy w dół... nie chce przyznać się do strachu.

— Wyjadę pojutrze — powiedziała głośno.

Byleby tylko Gerald nie myślał, że się go boi, że ucieka z obawy przed nim. W istocie rzeczy nie bała się go. Wiedziała, że dla bezpieczeństwa musi strzec się jego siły. Ale nie odczuwała nawet fizycznego lęku przed przemocą. Chciała mu tego dowieść. Jeśli mu dowiedzie, że się go nie obawia —jeśli tego dowiedzie, będzie mogła opuścić go na zawsze. Lecz do tej pory walka, jaką toczyli, straszna walka, pozostanie nie rozstrzygnięta. Chciała też ufać sobie. Choćby ją nękały koszmary, nie stchórzy, nie da mu się zastraszyć. Nie przerazi jej, nie uzyska nad nią przewagi, nie będzie miał do niej żadnych praw; wytrwa, aż zostanie to udowodnione ponad wszelką wątpliwość. Gdy wreszcie to się stanie, będzie wolna od niego na zawsze.

Ale jeszcze nie dowiodła tego, ani jemu, ani sobie. I właśnie to nadal ją z nim łączyło. Była z nim związana, nie mogła żyć z dala od niego. Siedziała przez wiele godzin na łóżku, starannie opatulona, zastanawiając się bez końca, jakby uwikłana na zawsze w gęste sieci swoich myśli.

„Nie to, że mnie naprawdę kocha — mówiła sobie. — Nie. Chce w sobie rozkochać każdą kobietę, którą pozna. Nawet nie wie, co robi. Ale taki już jest, że przed każdą kobietą rozpościera swe męskie powaby, roztacza uroki, chce, żeby pomyślała, jak wspaniale byłoby go mieć za kochanka. Nawet obojętność okazywana kobietom jest częścią tej gry. Nigdy nie jest ich nieświadomy. Powinien być kogutem. Mógłby przechadzać się dumnie przed pięćdziesiątką swoich kurzych poddanych. Ale naprawdę, jako Don Juan, wcale mnie nie obchodzi. Sama mogę grać Donnę Juanitę tysiąc razy lepiej, niż on gra Don Juana. Nudzi mnie po prostu. Nudzi mnie jego męskość. Nic nie jest tak nudne, tak naturalnie głupie i tak głupio pretensjonalne. Naprawdę śmieszna jest bezdenna męska próżność tych pompatycznych pyszałków.

Wszyscy są jednakowi. Na przykład Birkin. Składają się wyłącznie z próżności. Tylko przez swoją śmieszną głupotę i pustkę wewnętrzną mogą być tacy zarozumiali.

Loerke jest tysiąckrotnie głębszy niż Gerald. Gerald jest tak ograniczony, wyczerpał już swoje możliwości. Chce bez końca mleć w starym młynie. A przecież między kamieniami młyńskimi nie ma już ziarna. Mielą i mielą, choć nie ma nic do zmielenia... Powtarzają te same słowa, wierzą w te same prawdy, wykonują te same gesty. O, mój Boże, nawet kamień wyprowadziłoby to z cierpliwości.

Nie ubóstwiam Loerkego, ale w każdym razie jest on człowiekiem wolnym. Nie obnosi się ze swoją męskością. Nie miele pracowicie w starym młynie. O Boże, kiedy pomyślę o Geraldzie i o jego pracy — o tych biurach w Beldover i o kopalniach — robi mi się niedobrze. Co ja mam z tym

wszystkim wspólnego? A on sądzi, że może być dobrym kochankiem dla kobiety! Równie dobrze można by się tego spodziewać po zadowolonej z siebie miejskiej latarni! Ci mężczyźni z ich odwiecznymi zajęciami — z tymi odwiecznymi młynami bożymi, które ciągle mielą, choć nie ma już nic do zmielenia! To zbyt nudne, po prostu nudne. Jak to się stało, że w ogóle potraktowałam go na serio?

W Dreźnie będzie przynajmniej można odwrócić się od tego wszystkiego. I robić różne zabawne rzeczy. Na przykład zobaczyć pokazy eurytmiczne, operę niemiecką, niemiecki teatr. Zabawne będzie uczestniczyć w życiu niemieckiej cyganerii. I Loerke jest artystą, jest wolnym człowiekiem. A najważniejsze, że oderwę się, ucieknę od potwornej nudy ciągle tych samych pospolitych czynności, pospolitych słów, wulgarnych póz. Nie łudzę się, że znajdę w Dreźnie eliksir życia. Wiem, że go nie znajdę. Ale odsunę się od ludzi, którzy mają własne domy i własne dzieci, i własnych znajomych, własne to i własne owo. Zamieszkam wśród takich, którzy nie posiadają rzeczy, nie mają domów ani służby w zapleczu, którzy nie mają pozycji ani rangi społecznej, ani stopnia uniwersyteckiego, ani grona takich samych jak oni przyjaciół. O, Boże, te wszystkie ich kółka w kółkach! W głowie ci od tego stuka jak w zegarku, do obłędu wręcz doprowadza cię ta martwa, mechaniczna monotonia, brak wszelkiego głębszego sensu. Jakże ja nienawidzę życia, jak bardzo nienawidzę! Jak nienawidzę tych wszystkich Geraldów za to, że nie mają nic innego do zaofiarowania. Shortlands! Na litość Boską! Kiedy pomyślę o życiu tam przez tydzień, potem przez drugi tydzień i potem trzeci... Nie, nie będę o tym myśleć, tego już za wiele...”

Przerwała, naprawdę przestraszona, naprawdę niezdolna tego znieść. Na myśl o długim ciągu dni następujących mechanicznie jeden po drugim, jeden po drugim, ad infinitum, serce jej biło niemal na pograniczu szaleństwa. Straszliwa niewola tykania zegara, ruch

wskazówek, wieczne powtarzanie się godzin i dni... O, Boże, to zbyt okropne do rozpamiętywania. I nie ma od tego ucieczki, nie ma ucieczki...

Zapragnęła prawie, by obecność Geralda ocaliła ją od koszmaru jej własnych myśli. Jakże cierpiała leżąc tu samotnie, na wprost przerażającego zegara z jego wiecznym tik-tak. Całe życie, całe życie sprowadzone do tego tik-tak, tik-tak, tik-tak; wybija godziny i znów tik-tak, tik-tak i drganie zegarowych palców.

Zaśmiała się do siebie tak przerażona, że śmiechem próbowała rozproszyć strach. Czy nie można zwariować od samej świadomości, że wszystko jest wiadome z góry, z. całą pewnością wiadome z góry?

Nagle poruszyło ją pytanie, czy bardzo by się zdziwiła, gdyby obudziwszy się rano stwierdziła, że posiwiały jej włosy. Tak często czuła, jak siwieją pod nieznośnym ciężarem jej myśli i doznań. A przecież ciągle były brązowe jak zawsze, a ona ciągle wyglądała jak okaz zdrowia.

Może jest zdrowa. Może właśnie przez to niespożyte zdrowie jest bezbronna wobec prawdy. Gdyby była chorowita, miałaby swoje złudzenia, swoje fantazje. A tak nie było ucieczki. Zawsze widzi i wie, nie sposób się ód tego uchylić. Oto ma przed sobą zegarową tarczę życia. I nawet gdyby odwróciła się jak na stacji kolejowej, żeby popatrzeć na stoisko z książkami, wciąż jeszcze, jak gdyby miała z tyłu oczy, będzie widziała zegar, zawsze tę samą białą, wielką twarz zegara. Na próżno przerzucała stronice książek czy lepiła figurki z gliny. Wiedziała, że nie czyta naprawdę. Że nie pracuje naprawdę. Śledzi ruch wskazówek na wiecznej, mechanicznej, jednostajnej tarczy zegara czasu. Nigdy naprawdę nie żyła, zawsze tylko obserwowała. Zaiste była jak mały zegarek nakręcany co dwanaście godzin przy gigantycznym zegarze wieczności — jak Godność przy Bezwstydzie czy Bezwstyd przy Godności.

Spodobał jej się ten obraz. Przecież jej twarz istotnie przypominała tarczę zegara — raczej okrągła, często blada, beznamiętna. Powinna wstać i spojrzeć w lustro, ale myśl, że zobaczy własną twarz wyglądającą jak tarcza małego zegarka, napełniła ją tak głębokim przerażeniem, że czym prędzej zaczęła myśleć o czym innym.

Dlaczego nikt nie jest dla niej czuły? Czemu nie ma nikogo, kto wziąłby ją w ramiona, przytulił do piersi, dał jej chwilę odpoczynku, czystego, uzdrawiającego odpoczynku? Och, dlaczego nie ma nikogo, kto wziąłby ją w ramiona i utulił do snu szczęśliwą i bezpieczną? Jakże pragnęła cudownego snu w czyichś ramionach. Zawsze we śnie leżała nie otulona. Zawsze będzie spać nie otulona, niepocieszona, bezbronna. Jak może znieść owo nieukojenie, które trwa bez przerwy, które nigdy się nie skończy...

Gerald! Czy w jego objęciach mogłaby znaleźć schronienie? Mój Boże. Biedny Gerald, sam chciałby, żeby go kołysano do snu. To wszystko, czego mu potrzeba. A to, co robi, zwiększa tylko ciężar, jaki ona dźwiga, ciężar jej snu staje się trudniejszy do zniesienia, kiedy on jest obok. Przydaje udręki jej niespełnionym nocom, jałowym marzeniom. Może to on przy niej znajdował odpoczynek. Może. I może dlatego nie odstępował jej, garnął się do niej jak wygłodniałe dziecko, szukające z płaczem piersi. I może to była tajemnica jego namiętności, jego nigdy niesytego pożądania?.. Gdyż potrzebował jej, żeby go uśpiła, żeby dała mu odpoczynek

No i co z tego? Czy jest jego matką? Czy chciała na kochanka dziecko do niańczenia po nocach? Gardziła nim, gardziła, nie miała dla niego litości. Kwilące niemowlę, które udaje Don Juana!

Nienawidziła dziecka płaczącego w nocy. Chętnie by je zamordowała tak jak Hetty Sorrell. Dziecko Hetty Sorrell na pewno płakało po nocach — nie mogło być inaczej, skoro jego ojcem był Arthur Donnithorne. Ach, ci Arthurowie i

Geraldowie tego świata! Tak męscy za dnia, a w nocy kwilący jak niemowlęta. Niech już lepiej zamienią się w mechanizmy. Niech każdy stanie się instrumentem, tylko maszyną, tylko wolą, która pracuje jak zegarek w bezustannych powtórzeniach. Niechże tacy będą, przejęci wyłącznie swoją pracą, idealne części wielkiej maszyny, śniące o niezmiennie powtarzanych ruchach. Niech Gerald kieruje swoim przedsiębiorstwem. Znajdzie tam satysfakcję, taką satysfakcję, jaką mają taczki, które przez cały dzień jeżdżą tam i z powrotem po desce — sama to kiedyś widziała.

Taczki —jedno skromne kółko — najmniejsza jednostka firmy. Potem wózek na dwóch kołach; wóz ciężarowy na czterech; mała lokomotywa z ośmioma kołami, maszyna wyciągowa na szesnastu kołach i tak dalej, aż dojdzie się do górnika, który dysponuje tysiącem kół, do elektryka z trzema tysiącami, sztygara z dwudziestoma tysiącami, generalnego dyrektora ze stu tysiącami obracających się małych kółek; i wreszcie do Geralda z milionem kółek, trybów i osi.

Biedny Gerald, takie mnóstwo kółek składa się na jego osobowość! Jest bardziej skomplikowany niż chronometr. Ale, mój Boże, jakie to nużące! Co za nuda, o Boże! Chronometr, chrząszcz — na samą myśl o tym dusza jej omdlewała z bezgranicznej nudy. Tyle kółek do liczenia, do zaplanowania, do kalkulacji! Dość! Dość! Przecież nawet ludzkie możliwości komplikowania spraw mają swoje granice. A może nie mają.

Tymczasem; Gerald siedział w swoim pokoju i czytał. Po odejściu Gudrun wpadł w otępienie od stłumionej raptownie żądzy. Przez godzinę siedział na brzegu łóżka z odrętwiałym umysłem, w którym snuły się i zanikały pasemka świadomości. Ale nie poruszał się przez długi czas tkwił tak, apatyczny, z głową opadłą na piersi.

Wreszcie podniósł wzrok i zdał sobie sprawę z tego, że szykuje się do snu. Było mu zimno. Już po chwili leżał w ciemnościach. Lecz właśnie ciemności nie mógł znieść. Twarda ściana mroku doprowadzała go do szaleństwa. Wstał więc i zapalił światło. Na chwilę przysiadł spoglądając w przestrzeń. Nie myślał o Gudrun, nie myślał o niczym.

Nagle zerwał się i zszedł na dół po jakąkolwiek książkę. Całe życie bał się, że nadejdą noce, kiedy nie będzie mógł zasnąć. Wiedział, że nie sprosta bezsenności i koszmarowi liczenia nocnych godzin.

Siedział przez wiele godzin w łóżku, nieruchomy jak posąg, i czytał. Jego umysł, napięty i przenikliwy, był zagłębiony w lekturze, jego ciało nie mogło nic zrozumieć Straciwszy kontakt z rzeczywistością czytał przez całą noc i wreszcie znużony, zniechęcony, pełen obrzydzenia, głównie do siebie, zasnął na dwie godziny.

Obudził się skupiony i pełen energii. Gudrun zaledwie się do niego odzywała, tylko przy kawie oznajmiła:

— Jutro wyjeżdżam.

— Może pojedziemy razem choćby do Innsbrucku dla zachowania pozorów.

— Może.

Powiedziała to „może” między jednym a drugim łykiem kawy. I sposób, w jaki nabrała przy tym oddechu, przyprawił go o mdłości. Wstał, żeby jak najszybciej oddalić się od niej.

Przygotował wszystko do jutrzejszego odjazdu, po czym wziął coś do jedzenia i wybrał się na cały dzień na narty. Gospodarzowi zapowiedział, że być może dotrze aż do Marienhütte albo do leżącej poniżej wsi.

Dla Gudrun ten dzień był pełen obietnic jak wiosna. Czuła zbliżające się wyzwolenie, trysnęło w niej nowe źródło żyda. Wszystko sprawiało jej przyjemność: marudzenie przy pakowaniu, wertowanie książek, przymierzanie rozmaitych

strojów, przeglądanie się w lustrze. Jak dziecko cieszyła się z powrotu do życia, piękna i powabna ze swoim miękkim, bujnym ciałem i bijącym od niego szczęściem.

Po południu poszła z Loerkem na spacer. Dzień jutrzejszy był dla niej jeszcze całkiem mglisty. I to właśnie tak ją cieszyło. Może pojechać do Anglii z Geraldem albo do Drezna z Loerkem, albo do swojej przyjaciółki w Monachium. Wszystko się mogło jutro zdarzyć. A dzień dzisiejszy był białym, śnieżnym, mieniącym się progiem wszelkich możliwości. Wszelkie możliwości — właśnie to ją urzekało: piękne, tęczowe, niejasne nadzieje, najczystsze złudzenia. Wszelkie możliwości — ponieważ śmierć jest nieunikniona i nic nie jest możliwe prócz śmierci.

Nie chciała, żeby którakolwiek z tych możliwości zmaterializowała się, przybrała ostateczny kształt. Wolałaby zostać nagle, w pewnym momencie jutrzejszej podróży, uniesiona w całkiem nowym kierunku dzięki całkiem nieprzewidzianemu zdarzeniu czy pomysłowi. Toteż, chociaż miała ochotę pójść z Loerkem po raz ostatni w śnieg, bynajmniej nie zamierzała zachowywać się poważnie i rzeczowo.

Loerke też nie był postacią poważną. W brązowej welwetowej czapce, w której jego głowa była okrągła jak kasztan i której brązowe, welwetowe klapki opadały luźno i niedbale na uszy, z kosmykiem delikatnych jak u elfa czarnych włosów, które wiatr rozwiewał nad wyłupiastymi, ciemnymi jak u elfa oczami, z połyskującą, przejrzystą, brązową cerą, marszczącą się w dziwne grymasy na twarzy o drobnych rysach, wyglądał jak odmieniec, stary chłopczyk czy nietoperz. Jego chétve, cherlawa postać w zielonkawym, lodenowym ubraniu też dziwnie odbijała od otoczenia.

Wziął małe dwuosobowe sanki i mozolnie pięli się między zboczami pokrytymi oślepiającym śniegiem, który palił ich zahartowane już twarze; śmieli się i przerzucali nieustannie żarcikami, kpinami i wielojęzycznym zlepkiem

fantastycznych pomysłów. Dla obojga fantazja stanowiła rzeczywistość i szczęśliwi byli, kiedy tak podbijali wysoko kolorowe piłeczki słownych dowcipów i wyskoków wyobraźni. Ich inteligencje iskrzyły się w pełnej harmonii, cieszyła ich bezinteresowna zabawa. I chcieli swoją przyjaźń utrzymać na płaszczyźnie gry... gry tak urzekającej!

Loerke nie traktował saneczkowania bardzo serio. Nie wkładał w to ognia i zapału, tak jak Gerald. Podobało się to Gudrun. Była znużona, tak bardzo znużona, szaloną zaciekłością, z jaką Gerald oddawał się fizycznym czynnościom. Sanki, które prowadził Loerke, leciały wesoło, na chybił — trafił, jak liść na wietrze. I kiedy na zakręcie wpakował siebie i Gudrun w śnieg, odczekał tylko, aż pozbierają się nieuszkodzeni z lśniącej bieli, i już śmiał się jak zuchwały chochlik. Była pewna, że wędrując po piekle — byle tylko w odpowiednim humorze — robiłby ironiczne, zabawne uwagi. Ogromnie jej to odpowiadało. Jak gdyby wznosili się ponad ponurą rzeczywistość, ponad monotonię nieważnych kłopotów.

Bawili się do zachodu słońca, z czystą radością, beztrosko i bez poczucia czasu. W pewnym momencie saneczki zawirowały niebezpiecznie i zatrzymały się u stóp zbocza. Loerke zawołał nagle:

— Chwileczkę! — Wyciągnął skądś wielki termos, paczkę keksów i butelkę z wódką.

— Och, Loerke! Co za genialny pomysł! To naprawdę już comble de joie! Jaki to trunek?

Spojrzał na nią i roześmiał się.

— Heidelbeer! — powiedział.

— Nie! Z czarnych jagód, które rosną pod śniegiem? Wygląda, jakby ją pędzono ze śniegu, prawda? Czujesz? — Przytknęła nos do butelki. — Czujesz zapach jagód? Czy to nie cudowne? Zupełnie, jakby człowiek wąchał jagody przez śnieg.

Tupnęła lekko nogą o ziemię. Loerke ukląkł, gwizdnął i przyłożył ucho do śniegu. W jego czarnych oczach zapaliły się iskry.

Gudrun zanosiła się od śmiechu, podochocona jego cudaczną, groteskową reakcją na jej absurdalne żarciki. Zawsze przekomarzał się z nią i wyśmiewał jej sposób bycia. Ale ponieważ jego drwiny były jeszcze bardziej niedorzeczne niż jej ekstrawaganckie pomysły, można było tylko śmiać się z nich z miłym poczuciem wyzwolenia.

Czuła wręcz namacalnie ich głosy dźwięczące srebrzyście niby dzwonki w lodowatym, znieruchomiałym powietrzu wczesnego zmierzchu. Jakim szczęściem, jak doskonałym szczęściem była ta srebrzysta samotność we dwoje!

Popijała gorącą kawę, której aromat unosił się wokół nich w śnieżnym powietrzu jak pszczoły bzykające wśród kwiatów, sączyła małymi łykami Heidelbeerwasser, jadła zimne, słodkie, śmietankowe wafle. Jakie to wszystko było dobre! Jak cudownie wszystko smakowało, pachniało i brzmiało tu, w absolutnej ciszy śniegu i zapadającego zmroku.

— Wyjeżdża pani jutro? — odezwał się wreszcie, — Tak.

— Wohin?

Właśnie — wohin? Dokąd? Wohin? Jak ładnie to brzmi! Chciałaby nigdy nie odpowiedzieć na to pytanie. Niech wiecznie rozbrzmiewa.

— Nie wiem — uśmiechnęła się do niego. Podchwycił uśmiech.

— Nigdy się nie wie.

— Nigdy się nie wie — powtórzyła.

Zapadła na chwilę cisza. Loerke chrupał herbatniki szybko, jak królik liście sałaty.

— Ale dokąd kupi pani bilet? — spytał ze śmiechem.

— Och, Boże! — zawołała. — Przecież trzeba kupić bilet!

To był prawdziwy cios. Zobaczyła samą siebie przy okienku kasowym na dworcu. Lecz nowa myśl przyniosła jej ulgę. Odetchnęła swobodnie.

— Ale przecież nie trzeba koniecznie tam jechać! — zawołała.

— Oczywiście.

— To znaczy, nie trzeba koniecznie jechać tam, dokąd kupiło się bilet.

To go zaskoczyło. Można kupić bilet i wcale nie udać się do miejsca przeznaczenia. Można zmienić zamiar, przerwać podróż. Zatrzymać się byle gdzie... To był pomysł!

— Proszę kupić bilet do Londynu — powiedział. — Tam nigdy nie należy jechać.

— Słusznie.

Nalał trochę kawy do puszki.

— Powiesz mi, dokąd pojedziesz?

— Szczerze i otwarcie, nie mam pojęcia. To zależy, skąd powieje wiatr. Obrzucił ją łobuzerskim spojrzeniem, nadął policzki jak Zefir i dmuchnął na śnieg.

— Wieje w stronę Niemiec — oświadczył.

— Mnie się też tak zdaję — odrzekła rozbawiona.

Nagle tuż obok zamajaczyła biała postać. Był to Gerald. Serce Gudrun zamarło od nagłego, dojmującego przerażenia. Wstała.

— Powiedziano mi, gdzie jesteście. — Głos Geralda w białawym zmierzchu zabrzmiał jak wyrok.

—Jezus, Maria! Zjawił się pan jak duch! — wykrzyknął Loerke.

Gerald nie odpowiedział. Jego wygląd wydał im się upiorny i niesamowity.

Loerke potrząsnął termosem i odwrócił go nad śniegiem do góry dnem. Wyciekło kilka ciemnych kropel.

— Nie ma nic! — powiedział.

Gerald widział drobną, cudaczną postać Niemca wyraziście i osobno, jakby spoglądał przez lunetę. I ta drobna postać budziła w nim najwyższy wstręt, Chciał, żeby jej nie było.

Loerke potrząsnął pudełkiem z herbatnikami.

— Herbatniki jeszcze są.

Siedząc nadal w sankach wychylił się i podał je Gudrun. Wyciągnęła jednego herbatnika z pudełka. Poczęstowałby też Geralda, lecz ten stanowczo nie chciał być częstowany; Loerke trochę niepewnie odłożył pudełko na bok, po czym wziął do ręki małą butelkę i obejrzał ją pod światło.

— Jest jeszcze trochę wódki — mruknął do siebie.

Znienacka uniósł dwornie butelkę, dziwaczny i groteskowy skłonił się w stronę Gudrun i powiedział:

— Gnädiges, Fräulein, wohl...

Rozległ się trzask, butelka frunęła w powietrze, Loerke cofnął się, wszyscy troje stali drżący od gwałtownych uczuć.

Loerke odwrócił się od Geralda z demonicznym grymasem na pobladłej twarzy.

— Świetny rzut! — powiedział z gryzącą ironią. — C’est le sport, sans doute.

W następnej chwili siedział już śmiesznie na śniegu, powalony uderzeniem pięści. Zebrał się jednak w sobie, wstał rozdygotany, spojrzał wprost w oczy

Geraldowi; dało jego było słabe i przyczajone, ale oczy diabelsko złośliwe.

— Vive le héros, vive...

Zachwiał się, kiedy pięść Geralda, jak czarna błyskawica, trafiła go w drugą stronę głowy i odrzuciła na

bok jak złamaną słomkę.

Teraz Gudrun ruszyła naprzód. Podniosła zaciśniętą pięść wysoko i z góry, szerokim ciosem, uderzyła Geralda w twarz i piersi.

Ogłuszyło go wielkie zdumienie, jakby eksplodowało powietrze. Jego dusza otworzyła się szeroko, dziwiąc się bólowi. Coś w nim zachichotało i wyciągnąwszy mocne ręce sięgnął wreszcie po to, czego pragnął najbardziej. Nareszcie mógł spełnić swoje pragnienie. Objął szyję Gudrun rękami twardymi i nieodparcie silnymi. Piękna była jej szyja, tak cudownie miękka, wyczuwał pod skórą śliskie struny jej życia. I miażdżył je, mógł je zmiażdżyć! Co za szczęście! Ach, jakie szczęście, nareszcie, jaka rozkosz! Duszę przepełniła mu najczystsza radość zaspokojenia. Widział, jak uchodzi z niej świadomość, patrzył w jej wywrócone oczy. Jak bardzo jest brzydka! Ta rozkosz i radość spełnienia... Jak dobrze mu jest, ach, jakie boskie uczucie satysfakcji... Nareszcie! Nie zdawał sobie sprawy, że Gudrun walczy i wyrywa się. Jego uścisk i w niej budził zmysłową namiętność, im mocniej się szamotała, tym bardziej szalona była rozkosz, aż osiągnęła szczyt, przesiliła się. Gudrun przestała się bronić, jej ruchy stały się miękkie, aż ustały.

Loerke uniósł się na śniegu, zbyt oszołomiony i obolały, żeby wstać. Tylko jego oczy były przytomne.

— Monsieur! — powiedział cienkim, podnieconym głosem. — Quand vous aurez fini...

Geralda przeszył dreszcz wstrętu. Wstręt przeniknął go do głębi, wywołał mdłości. Co robi, jak mógł stoczyć się tak nisko! Bo czy zależy mu na niej aż tak, by ją zabić, by splamić ręce jej śmiercią?!

Naszła go straszna słabość, mięśnie rozluźniły się, odtajał, opadł z sił. Bezwiednie zwolnił uścisk i Gudrun opadła na kolana. Czy musi widzieć, czy musi wiedzieć?

Był bezgranicznie słaby miał stawy jak z wody. Odwrócił się i ruszył przed siebie bez celu, na oślep, jak gnany wiatrem.

„Naprawdę tego nie chciałem” — po raz ostatni w głębi duszy dał wyraz swemu obrzydzeniu, kiedy wlókł się pod górę po zboczu, wyczerpany do cna, byle tylko półprzytomnie uciec od tamtych dwojga. „Dość... Chcę spać. Mam dość”. Schwyciły go mdłości.

Nie miał sił, ale nie chciał odpocząć, chciał iść coraz dalej i dalej, aż do końca. Nie zatrzyma się, póki nie dotrze do końca. Drążyło go to jedno pragnienie. Piął się więc coraz wyżej, półprzytomny i słaby, nie myśląc o niczym, dopóki mógł iść naprzód.

Zmierzch rozpostarł w górze błękitno-różową poświatę, tajemniczą i nieziemską. Zimna, granatowa noc wsiąkała w śnieg. Tam w dolinie, na wielkim śnieżnym łożu pozostały dwie małe postacie; Gudrun, która opadła na kolana jak po egzekucji, i Loerke, który podparty na łokciu leżał obok niej. To było wszystko.

Gerald potykał się na zaśnieżonym zboczu, w niebieskawym mroku, ciągle pnąc się pod górę, bezwiednie pnąc się pod górę, choć tak bardzo był zmęczony. Po lewej stronie widział stromy stok, gdzie czerniły się skały, leżały głazy, żyły śniegu smagały kamienną czerń, w mglistym mroku żyły śniegu smagały kamienną czerń. Lecz nie rozbrzmiewał żaden dźwięk, wszystko działo się w ciszy.

Na domiar złego mały, jasny księżyc świecił jaskrawo tuż nad nim, na prawo, dokuczliwy błyszczący przedmiot, niestrudzony, zawsze obecny, przed którym nie ma ucieczki. Tak bardzo chciał już dotrzeć do końca... Miał tego dość. Ale nie spał.

Wspinał się z trudem coraz wyżej, trafiając czasem na czarną, skalistą pochyłość, z której wiatr zwiał śnieg. Wtedy bał się, że spadnie w dół, bardzo się tego bał. Wysoko na

grani dął wicher, omal nie zmorzyło go jego lodowate zimno. Lecz jeszcze nie dotarł do końca, musi więc iść dalej. Wstręt, bezgraniczny, mdlący wstręt nie pozwalał mu się zatrzymać.

Kiedy wspiął się na jeden grzbiet, zamajaczył przed nim wysoki, niewyraźny cień wyższej góry. Zawsze wyżej, ciągle wyżej. Wiedział, że posuwa się szlakiem wiodącym do szczytu, gdzie stoi Marienhütte i skąd jest zjazd na drugą stronę. Ale nie był w pełni świadomy. Chciał tylko iść przed siebie, posuwać się naprzód, póki będzie mógł; poruszać się, ciągle iść, to wszystko, iść ciągle, aż się to skończy. Zgubił się, stracił orientację. Lecz resztki instynktu samozachowawczego kazały jego stopom szukać śladów nart.

Ześlizgnął się na dół po stromym, zaśnieżonym stoku. Przestraszyło go to. Nie miał okutej laski, nie miał nic. Ale udało mu się zahamować i znów ruszył naprzód w ciemności zimnej jak sen. Znajdował się w niecce między dwoma grzbietami. To znaczy, że zboczył z drogi. Czy powinien wdrapać się na drugi grzbiet, czy ma powędrować przełęczą? Jakże słaba i naprężona jest nić jego życia! Może ma wspiąć się na grzbiet? Śnieg był twardy i ubity. Szedł naprzód. Przed nim sterczało coś ze śniegu. Zbliżył się bez cienia ciekawości.

Był to krucyfiks, do połowy zagrzebany, mały Chrystus pod spadzistym daszkiem u szczytu słupka. Gerald uciekł. Ktoś miał go zamordować. Okropnie bał się, że zostanie zamordowany. Ale strach stał poza nim, obok, jak jego własny duch.

Zresztą dlaczego się boi? Przecież to musi się spełnić. Zostanie zamordowany! Spojrzał z przerażeniem na śnieg, na rozkołysane, blade, cieniste wyżyny górnego świata. Na pewno będzie zamordowany, wiedział to. „Teraz już nadchodzi śmierci nie ma od niej ucieczki. Panie Jezu, więc to musi się stać... Panie Jezu!” Czuł już spadający cios, wiedział, że go zamordowano. Półprzytomnie posuwał się

naprzód z rękami wyciągniętymi, jakby chciał wyczuć, co się będzie działo,. czekał na moment, kiedy będzie już mógł się zatrzymać, kiedy to się skończy. Ale jeszcze się nie skończyło.

Doszedł do głębokiej niecki śniegu wśród prostopadłych ścian i przepaści, skąd biegł szlak na szczyt góry. Lecz błądził nieprzytomnie, aż poślizgnął się i upadł; a gdy padał, coś pękło w jego duszy i natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ XXXI

KURTYNA

Kiedy następnego ranka przyniesiono do hotelu dało, Gudrun siedziała zamknięta w swoim pokoju. Z okna widziała idących po śniegu mężczyzn, którzy nieśli ciężar. Siedziała bez ruchu, czekając.

Zapukano do drzwi. Otworzyła. Na progu stała kobieta. Powiedziała cicho i z nadmiernym szacunkiem:

— Znaleźli go, proszę pani!

— /l est mort?

— Tak... Od wielu godzin.

Gudrun nie wiedziała, jak się zachować. Co powinna powiedzieć? Co powinna odczuwać? Co powinna zrobić? Czego się po niej spodziewają? Nie miała pojęcia.

— Dziękuję — rzekła i zamknęła drzwi pokoju. Kobieta odeszła zmartwiona. Ani słowa, ani łzy! Ta Angielka jest zimna, nieludzka.

Gudrun dalej siedziała sama w pokoju z bladą, kamienną twarzą. Co miała robić? Nie mogła szlochać i urządzać scen. Nie mogła być inna, niż jest. Siedziała nieporuszona, kryjąc się przed ludźmi. Za wszelką cenę chciała uniknąć jakichkolwiek kontaktów. Nadała jedynie depeszę do Ursuli i Birkina.

Po południu jednak wstała nagle, żeby poszukać Loerkego. Spojrzała z obawą na drzwi dawnego pokoju Geralda. Za nic w świecie tam by nie weszła.

Loerke był sam w salonie. Podeszła wprost do niego.

— To przecież nieprawda? — spytała.

Podniósł na nią wzrok. Nikły, bolesny uśmiech wykrzywił mu twarz. Wzruszył ramionami.

— Nieprawda? — powtórzył za nią.

— Myśmy go nie zabili?

Nie podobał mu się sposób, w jaki się do niego zwróciła. Znowu uniósł ze znużeniem ramiona.

— To był wypadek.

Obrzuciła go spojrzeniem. Siedział przybity i apatyczny, tak samo otępiały i jałowy jak ona. Mój Boże! Cała ta tragedia była jałowa, pusta i jałowa.

Wróciła do swego pokoju, by tam czekać na Ursulę i Birkina. Chciała wyjechać, byle tylko stąd wyjechać. Nie mogła myśleć ani czuć, dopóki stąd nie wyjedzie, póki nie wyrwie się z tego miejsca.

Dzień minął, nadszedł następny. Usłyszała sanie, zobaczyła, że wysiadają z nich Ursula i Birkin; od nich też zapragnęła uciec.

Ursula przyszła wprost do niej.

— Gudrun! — zawołała z oczami pełnymi łez. Objęła siostrę, Gudrun ukryła twarz na jej ramieniu, ale ciągle nie mogła umknąć przed zimnym demonem ironii, który mroził jej duszę.

„Brawo — pomyślała. — To jest właściwe zachowanie!”

Nie potrafiła płakać i widok jej zimnej, bladej, obojętnej twarzy wkrótce zatrzymał potok łez Ursuli. Po chwili siostry nie miały już sobie nic do powiedzenia.

— Uważacie, że jestem podła, bo przywlokłam was tu z powrotem? — spytała wreszcie Gudrun.

Ursula spojrzała na nią stropiona.

— Nawet mi to do głowy nie przyszło.

— Czułam się podła wzywając cię. Ale po prostu nie mogłam nikogo widzieć. To jest ponad moje siły.

— Tak! — Ursulę to ostudziło.

Birkin zapukał i wszedł. Twarz miał bladą, bez wyrazu. Gudrun wiedziała, że on wie. Podał jej rękę mówiąc:

— W każdym razie to koniec tej wyprawy.

Gudrun rzuciła mu zalęknione spojrzenie. Zapadła cisza, nie mieli sobie we troje nic do powiedzenia. W końcu Ursula spytała cicho:

— Widziałeś go?

Popatrzył na nią twardym, zimnym wzrokiem i nie zdobył się na odpowiedź.

— Widziałeś go? — powtórzyła.

— Tak — rzekł oschle. Spojrzał na Gudrun.

— Coś ty zrobiła?

— Nic — odpowiedziała. — Nic.

Z zimną odrazą uchyliła się od wszelkich wyznań.

— Loerke mówi, że Gerald przyszedł do was, kiedy siedzieliście na sankach u podnóża Rudelbaum, że posprzeczaliście się i Gerald odszedł. O co się pokłóciliście? Lepiej, żebym to wiedział, na wypadek rozmowy z władzami. Może zajść taka potrzeba.

Gudrun, przyciszona, z białą, dziecinną, zmartwioną twarzą, podniosła na niego oczy.

— Nie było nawet żadnej kłótni. Powalił Loerkego, mnie o mało nie udusił i poszedł sobie.

W skrytości ducha pomyślała: „Piękny przykład odwiecznego trójkąta”, ale żachnęła się z ironią, wiedziała bowiem, że walka toczyła się między nią a Geraldem i obecność trzeciej osoby była sprawą uboczną — może niezbędną, ale przypadkową. Lecz przecież lepiej przedstawić im to właśnie jako przykład odwiecznego trójkąta, trójkąta nienawiści. Będzie to dla nich bardziej zrozumiale.

Birkin odszedł chłodny i zamyślony. Wiedziała jednak, że w każdym razie załatwi wszystko za nią, że do końca będzie jej pomagał. Uśmiechnęła się z przekąsem. Niech działa, skoro tak znakomicie umie opiekować się bliźnimi.

Birkin znowu poszedł do Geralda.

Kochał go. A przecież widok bezwładnego ciała budził w nim przede wszystkim obrzydzenie. Takie było nieruchome, takie lodowato martwe, zwłoki, nic więcej; czuł, że i jemu zamarzają wnętrzności. Musi tu stać i patrzeć na zimne zwłoki, które były kiedyś Geraldem.

Teraz jest to zamarznięte ciało martwego mężczyzny. Birkin przypomniał sobie królika, którego znalazł kiedyś na śniegu, zmarzłego na kość. Gdy go podniósł, był sztywny jak deska. A teraz taki był Gerald — sztywny jak deska; skulił się jak do snu, a przecież widać było, że jego ciało jest przeraźliwie twarde. Napełniało to Birkina zgrozą. Należy ogrzać pokój, ciało musi odtajać, bo członki połamią się jak szkło czy drewno, kiedy trzeba je będzie rozprostować.

Wyciągnął rękę i dotknął martwej twarzy. Ostre, lodowate ukłucie przeszyło go bólem do trzewi. Nie był pewien, czy on także nie zamarza, czy nie zamarza od wewnątrz. Na krótkim, jasnym wąsie tchnienie życia zastygło w bryłkę lodu pod cichymi nozdrzami. I to jest Gerald!

Znów dotknął ostrych, połyskliwych złotych włosów na zamarzniętym ciele. Były lodowato zimne, kąśliwe jak lód. Serce Birkina zaczynało zamarzać. Kochał Geralda. Patrzył teraz na twarz o dziwnej barwie, kształtną, z niewielkim, zgrabnym, zziębniętym nosem, o męskich policzkach zmarzniętych w bryłkę lodu — a przecież go kochał. O czym miał myśleć, co czuć? Mózg też już mu zamarzał, krew zmieniała się w lodowatą wodę. Tak zimno, tak zimno, ciężki, kłujący chłód napierał od zewnątrz na jego ramiona i cięższy jeszcze chłód ścinał mu mrozem serce i trzewia.

Wyszedł na ośnieżone stoki, chciał zobaczyć miejsce śmierci Geralda. Dotarł w końcu do rozległej niecki między zboczami i przepaściami w pobliżu przełęczy. Dzień był szary, trzeci dzień szarości i ciszy. Wokół wszystko było białe, lodowate, blade, z cętkami czarnych skał, które sterczały gdzieniegdzie jak korzenie i pokazywały swe nagie twarze. W dali opadała od szczytu pionowa ściana przecięta czarnymi szczelinami.

Jakby płytki garnek leżał tu wśród śniegów i kamieni świata gór. W tym garnku zasnął Gerald. Ratownicy wbili na drugim krańcu żelazne pale głęboko w śnieżną ścianę, by przywiązawszy grubą linę można się było podciągnąć przez zbity, sklepiony śnieg na poszarpany szczyt przełęczy, nagi pod niebem, gdzie skryła się Marienhütte wśród gołych ścian. Dookoła spiczaste, szorstkie turnie wbijały się jak gwoździe w niebo.

Gerald mógłby znaleźć tę linę. Mógłby podciągnąć się w górę, na grań. Mógłby usłyszeć szczekanie psów w Marienhütte i znaleźć tam schronienie. Mógłby zejść po stromym, urwistym stoku południowym niżej, do ciemnej doliny świerkowej, na wielkiej cesarskiej drodze wiodącej do Włoch.

Mógłby! I co potem? Droga cesarska! Południe? Włochy? Co dalej? Czy to było wyjście? Nie, to był tylko powrót na dawne miejsce. Birkin, wysoko w górskim powietrzu, które sprawiało mu ból, spoglądał w stronę szczytów i drogi na południe. Czy należało pójść na południe, do Włoch? Starą, bardzo starą cesarską drogą?

Odwrócił się. Jeśli nie przestanie się martwić, pęknie mu serce. Lepiej przestać się martwić. Niezależnie od tego, jaka tajemnica otacza początki człowieka i wszechświata, jest to tajemnica nieludzka, ma własne ostateczne cele, nie człowiek jest ich miarą. Lepiej pozostawić to potężnej, twórczej, nieludzkiej tajemnicy. Lepiej walczyć z sobą, a nie z kosmosem.

„Bóg nie może obejść się bez człowieka” — powiedział pewien wielki francuski filozof. Nie, to na pewno nie jest prawda. Bóg może obejść się bez człowieka. Mógł się obejść bez ichtibzaurów i mastodontów. Nie udało się tym potworom twórczo rozwijać, więc Bóg, tajemnica tworzenia, pozbył się ich, W ten sam sposób owa tajemnica może pozbyć się człowieka, jeśli i on zawiedzie na drodze twórczych przemian i postępu. Wieczna, tajemnicza móc sprawcza może usunąć człowieka i zastąpić go istotą bardziej doskonałą. Tak jak koń zastąpił mastodonta.

Birkin znajdował w tych rozważaniach pociechę. Jeśli ludzkość znajdzie się w ślepym zaułku, jeśli dojdzie do kresu swoich możliwości, wieczna, sprawcza tajemnica powoła do życia nową istotę, piękniejszą, wspanialszą, nowy gatunek, lepsze wcielenie siły twórczej. Gra nigdy się nie skończy. Tajemnica tworzenia jest niezgłębiona, niezawodna, niewyczerpana na wieczność. Rasy pojawiają się i giną, gatunki zanikają, ale zawsze rodzi się doskonalszy, bardziej czy mniej godny podziwu zawsze zdarza się niepojęty cud, niepojęty i nieprześcigniony. Źródło cudów jest niezniszczalne i niezmienne. Niewyczerpane. Każdej chwili może sprawić cud, stworzyć całkiem nowe rasy, nowe gatunki we właściwej porze, nowe formy świadomości, nowe kształty cielesne, nowe, niezależne, samoistne byty. Człowiek to niesłychanie mało w porównaniu z możliwościami tajemnicy sprawczej. Jego tętno, którego pulsowanie wywodzi się wprost z zagadki stworzenia, jest wcieleniem doskonałości, niewymownie wielkim zadośćuczynieniem. To nic nie znaczy, czy coś jest, czy nie jest ludzkie. Doskonałe tętno pulsuje w nie dającym się ująć w słowa życiu cudownych, nie narodzonych jeszcze gatunków.

Birkin wrócił do Geralda. Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku. Martwy, martwy i zimny!

Potężny Cezar przedzierzgnął się w glinę, Którą przed wiatrem chłop zatkał szczelinę.

Żadnej odpowiedzi od tego, co niegdyś było Geraldem. Obca substancja, zamarznięta, lodowata, nic więcej. Nic więcej!

Birkin, rozpaczliwie zmęczony, zajął się bieżącymi sprawami. Załatwiał wszystko spokojnie, bez niepotrzebnego szumu i zawracania głowy. Na patos, szlochy, histerie, tragiczne pozy było już za późno. Lepiej zachować zimną krew i robić to, co należy, spokojnie i dokładnie.

Lecz kiedy wieczorem znowu z potrzeby duszy wszedł tam, by spojrzeć na Geralda, leżącego między zapalonymi świecami, serce mu się nagle ścisnęło, własna świeca omal nie wypadła mu z ręki. Usiadł na krześle i w porywie rozpaczy, z dziwnym jękiem wybuchnął płaczem. Ursula, która szła za nim, cofnęła się stropiona, kiedy tak siedział z głową wtuloną w ramiona, dygocąc konwulsyjnie i przeraźliwie łkając.

„Nie chciałem, żeby to tak było... Nie chciałem, żeby tak się stało...” — szlochał. Ursula musiała pomyśleć o słowach Kaisera: „Ich habe es nicht gewollt”. Patrzyła na Birkina prawie ze zgrozą.

Nagle ucichł. Siedział jednak nadał z opuszczoną głową, żeby ukryć twarz. Ukradkiem otarł łzy palcami. Wtem wyprostował się i niemal mściwie spojrzał ciemnymi oczyma wprost na Ursulę.

— Mnie powinien był kochać — powiedział. — Mówiłem mu to. Przestraszona, blada, odrzekła zdrętwiałymi wargami:

— Czy to by coś zmieniło?

— Zmieniłoby! Zmieniłoby na pewno.

Zapomniał o niej i odwrócił się do Geralda. Z głową dziwacznie skręconą, jak człowiek, który uchyla się przed ciosem, przyglądał się, jakby z pewną pychą, zimnej, niemej, bezdusznej twarzy. Miała niebieskawy odcień. Jej widok lodowatą strzałą przeszył serce człowieka żyjącego! Zimny, niemy, bezduszny! Birkin przypomniał sobie, jak pewnego razu Gerald ścisnął jego dłoń w przelotnym, gorącym uścisku dozgonnej miłości. Na sekundę... i puścił ją, puścił na zawsze. Gdyby został wierny temu uściskowi, śmierć nie miałaby znaczenia. Umierający, którzy w chwili zgonu jeszcze potrafią kochać, jeszcze wierzą, nie umierają naprawdę. Żyją nadal w tych, których ukochali. Gerald mógłby z nim, z Rupertem, współżyć duchowo nawet po śmierci. Mógłby razem z przyjacielem żyć nowym życiem.

Lecz teraz był martwy, jak kawał gliny, jak niebieskawy, łamliwy lód. Birkin patrzał na blade palce, na bezwładne ciało. Przypomniał sobie zwłoki ogiera, które kiedyś widział — martwą, odrażającą kupę samczej siły. Pamiętał też piękną twarz kogoś, kogo kochał, i kto umierając wierzył jeszcze, że poddaje się tajemnicy. Jego martwa twarz nadal była piękna, nikt nie nazwałby jej niemą, zimną, bezduszną, każdy, kto ją wspomniał, nabierał nowej wiary w tajemnicę, rozgrzewał duszę nową, głęboką ufnością do żywiołu życia.

A Gerald! Niedowiarek! Przy nim serce pozostaje zimne, zamarznięte, ledwie bijące. Ojciec Geralda wyglądał żałośnie, aż dławiło w gardle; ale nie był to budzący ostateczną grozę widok zimnej i niemej Materii. Birkin nie mógł oderwać wzroku od twarzy przyjaciela.

Ursula stała z boku przyglądając się żywemu mężczyźnie, który patrzy na zamarzniętą twarz nieboszczyka. Obie twarze były nieruchome i niewzruszone. Płomienie świec chwiały się w gęstej ciszy mroźnego powietrza.

— Czy dość się napatrzyłeś? — spytała. Wstał.

— Bardzo to jest dla mnie bolesne.

— Że on nie żyje?

Ich oczy spotkały się. Nie odpowiedział.

— Masz przecież mnie, Rupercie. Uśmiechnął się i pocałował ją.

— Kiedy umrę, będziesz wiedziała, że cię nie opuściłem. — A ja?

— Ty też mnie nie opuścisz. Śmierć nie będzie dla nas powodem do rozpaczy.

Wzięła go za rękę.

— Ale rozpaczasz po Geraldzie. —Tak.

Wyjechali. Ciało Geralda przewieziono do Anglii, żeby je tam pochować. Birkin i Ursula towarzyszyli zmarłemu z jednym z braci Geralda. To właśnie bracia i siostry Crich nalegali na pogrzeb w Anglii. Birkin chciał zostawić zmarłego w Alpach, blisko śniegów. Rodzina jednak głośno i stanowczo upierała się przy swoim.

Gudrun pojechała do Drezna. Nie pisała, co tam się z nią dzieje. Ursula i Birkin spędzili około dwóch tygodni w młynie. Oboje byli bardzo przyciszeni.

— Potrzebny ci był Gerald? — spytała pewnego wieczoru. — Tak.

—Ja ci nie wystarczam?

— Nie. To znaczy wystarczasz mi jako kobieta. Jesteś dla mnie wszystkimi kobietami świata. Ale chciałem mieć przyjaciela równie wiecznego, jak ty i ja jesteśmy wieczni.

— Dlaczego ci nie wystarczam? Ty mi wystarczasz zupełnie. Nie chcę nikogo prócz ciebie. Czemu z tobą jest inaczej?

— Mógłbym przeżyć całe życie z tobą bez nikogo innego, bez żadnej intymnej przyjaźni. Lecz żeby osiągnąć

pełnię życia, pełnię szczęścia, chciałem też wiecznego związku z mężczyzną... To jest inny rodzaj miłości.

— Nie wierzę w to. To zaślepienie, czysta teoria, perwersja.

— Ale...

— Nie możesz mieć dwóch rodzajów miłości. Bo i dlaczego?

— Chyba nie mogę. Ale bardzo tego chciałem.

— Nie możesz, bo to jest fałszywe i niemożliwe.

— Nie wierzę w to — odpowiedział.